

**Grzegorz
Wielgus**

KRZYŻOWIEC

NOVAE RES

Grzegorz Wielgus



KRZYŻOWIEC



NOVAE RES

Spis treści

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

ROZDZIAŁ I

Spizowe uderzenie dzwonu zbudziło do życia szczątki zmarłych, wzywając mnichów na Ciemną Jutrznę. Przygarbione postaci sunęły z trudem przez pogrążone w mroku korytarze, jakby ledwie starczało im sił na udźwignięcie habitów. Światło nielicznych lamp padało na oczodoły oraz pożółkłą skórę, ciasno opiętą na wychudłych ciałach. Drzwi klasztornych cel uchylały się ze zgrzytem, wypuszczając ze swego wnętrza kolejne postaci, utykające, okaleczone, zgarbione tak dalece, iż kaptury nieomal dotykały posadzki. Niektórzy mnisi wychodzili ze swych pustelni, ściskając w palcach ludzkie kości, należące do pokutników, którzy przed nimi zamieszkiwali te mury.

Nie wszyscy eremici opuszczali ciemne legowiska. Zamknięci w ciasnych czterech ścianach, najbardziej oddani mnisi pędzili życie w kompletnym odcięciu od świata. Nieraz głusi i ślepi, spoczywali na kamieniach, wychudłymi członkami gładząc twarde ściany, mamrocząc coś resztkami odciętych języków. Wyrzekali się wszelkiej możliwości skrzywdzenia innej żywej istoty. Spędzali dni na modłach do Stwórcy, aby darował liczne winy ludziom spoza klasztornych murów. Chociaż dziwni i groteskowo wypaczeni, mnisi mieli w sobie dość współczucia, aby nieść bezinteresowną pomoc innym nieszczęśnikom. Bramy ich konwentu zawsze pozostawały otwarte dla potrzebujących. Wystarczyło przekroczyć próg i znaleźć pustą celę.

Jednak nie wszyscy mieszkańcy ciemnych cel przybyli tutaj w poszukiwaniu odkupienia. Schronienie znajdowali tutaj uciekinierzy, skazańcy oraz ludzie, o których zniknięcie zabiegali możni oraz bogaci. Tych zamuroywano żywcem, pozostawiając im jedynie wąską szczelinę, przez którą mnisi wsuwali kawałek chleba oraz kubek wody. Wycie tych skazańców trwało zwykle kilka godzin, zanim ich gardła wypełniły się cystami, dusząc na jakiś czas wszelki sprzeciw. Z czasem przyzwyczajali się do nowego życia. W ciemnościach ich ciała chudły, kości rozszczepiały się, z włosów zaś pletli skomplikowane sieci, niczym pająki. Wielonożne maskary o bladych ślepiach zwisały w swych pajęczynach, zatykając resztkami ubrań małe okienka, przez które wpadało nienawistne im słońce. Wreszcie, gdy nadchodziła zima, z ludzkich istot pozostawały jedynie strąki mięśni oraz wnętrzności, zawieszane w ciemnej pustelni.

Niekiedy do opactwa przychodził rozkaz, aby wygnańca zgładzić, sama bowiem jego obecność na tym świecie wywoływała czyjś niepokój. Do klasztoru przybywał wówczas posłaniec, który zamiast posiłku wsuwał do celi niegasnącą pochodnię. Żarłoczne płomienie szybko trawiły kokon włosów, pozostawiając jedynie szary popiół oraz odłamki osmalonych kości.

We wschodniej ścianie, w celi należącej do szkieletu brata Philiberta, na podłodze siedział Krzyżowiec. Poparzony człowiek o skórze szarzej od ognia, odziany w kolczy płaszcz i tunikę z krzyżem. Jego oblicze, podobne bardziej do nagiej czaszki, spoglądało niezmiennie na kamienną ścianę, a w pustych oczodołach zamiast oczu płonęły dwa blade ogniki. Od blisko dekady Rycerz trwał skulony w kącie celi, wodząc wzrokiem za słonecznym światłem, co świt wędrującym ponad wejściem do pustelni.

Rycerz wielce mnichom przypadł do gustu. Nie zakłócał życia konwentu, a kiedy zachodziła

potrzeba, dźwigał pryczę z doczesnymi szczątkami brata Philiberta na wszystkie modły. Sypiał skulony w kącie, z mieczem oraz hełmem pod kolanami, dni zaś pędził na bezgłośnych rozmyślaniach. Starał sobie przypomnieć cokolwiek, czego doświadczył, zanim przybył do klasztoru. Nie odnajdywał jednak niczego wartościowego pod sklepieniem swojej czaszki, tylko pustkę. Czasami, nie wiedząc dlaczego, wspinał się na palce i wyglądał przez okienko w celi, jednak zawsze potrzasał głową z rezygnacją, po czym wracał do swego kąta.

Pobyt w klasztorze nie działał na niego tak, jak na niektórych skazańców. Rycerz nie oderwał sobie uszu ani nie wydlubał oczu. Nie porósł także wilgotną pleśnią, jak to często działo się z grzesznikami z południa, ci bowiem mają tendencje do gnicia, jeszcze zanim zlegną w cmentarnej ziemi. On po prostu trwał, nie wykazując chęci plecenia pajęczyn z własnych włosów bądź spędzenia reszty dni na suficie, zlizując wilgoć.

Jednak z upływem lat Rycerz stawał się coraz bardziej niespokojny. W jego umyśle coraz częściej pojawiała się myśl o podróży. Cichutki szept kusił go perspektywą wielkiej wyprawy do krain Orientu. Powoli ta iskra zamieniła się w płomień obsesji, trawiący pusty do tej pory rozum Krzyżowca. Od miesięcy Rycerz wstawał każdego dnia przed świtem, oczekując na wschód słońca. Z niezdrowym płomieniem w oczodołach trwał, aż ponad horyzontem zjawiała się krwista aureola, zwiastująca nowy dzień. Później oglądał swój oręż przez długi czas, z lubością gładząc pochwę miecza. Ten dotyk przywoływał wspomnienia.

On przecież był wojownikiem, żył z miecza. Tego był pewien, a głos w jego czaszce, jak czerw żerujący w żywej tkance, obiecywał, że poprowadzi go do białych bram Jeruzalem. Horyzont nigdy nie wydawał się bardziej pociągający.

Jeszcze tej samej nocy, kiedy mnisi zanosili swe modły, chwając nadejście Triduum, Rycerz opuścił swą celę. Aby wyszczerbionej czaszce brata Philiberta nie zbrzydła samotność, nieznajomy osadził w celi zasuszone zwłoki zmarłego zeszłej zimy brata Ekkharda, który do tej pory siedział w zakonnym refektarzu. Spełniwszy swą powinność wobec długoletniego towarzysza z celi, opuścił progi konwentu. Żegnany coraz odleglejszym śpiewem mnichów, pokuśtykał błotnistą drogą przez klasztorny sad.

Na świętej ziemi jabłonie rosły bujnie, wykręcając pnie w konwulsyjnych skurczach. Konary zwisały nisko nad ziemią, uginając się pod ciężarem liści oraz zielonych owoców. Mieszkańcy okolicznych wsi nie raz już zabiegali u mnichów o wyjawienie im sekretów owych zbiorów. Duchowni zaś od lat nawozili je szczątkami tych współbraci, których grzeszny żywot prowadził do cielesnej zgnilizny. Dzięki tej diecie drzewa otaczające klasztory były naprawdę wyjątkowe. Rodziły owoce nieco czerwieńsze i większe od innych, czasami osiągające rozmiar zaciśniętej pięści. Niektórzy mnisi szeptali między sobą, iż zamiast pestek w jabłkach można natrafić na ludzkie zęby, a drzewa krzyczą ludzkim głosem, kiedy wichura obrywa im konary. Teraz, w ciemnych godzinach przedświt, cichutko szemrały, trącane delikatnym wiatrem, pochylając ku sobie zielone grzywy liści.

Pięćset kroków dzielących bramy klasztoru od rozstajów było dla Rycerza udręką. Przez lata zamknięcia w celi niemal zapomniał, jak trudno jest stawiać kroki. Do tej pory podążał zgarbiony za mnichami w niejednej procesji, pełzną pod ciężarem łoża ze szczątkami brata Philiberta. Ciało nawykło do tego sposobu chodzenia tak dalece, iż teraz, gdy przychodziło zmierzyć się z lepkiem błotem, Rycerz chwiał się i upadał w głębokie kałuże. W desperacji brnął dalej na kolanach, przygnięciony własną niemocą, jednak nie ustawał w wędrówce. Droga, którą zdrowy pokonałby biegiem w ciągu kilku chwil, jemu zajęła czas od Ciemnej Jutrzni do świtu. Wreszcie, po trzech upadkach, jego poparzone dłonie oparły się o kamienną latarnię strzegącą rozdroży.

Kolumna była chłodna w dotyku, a pod strzelistym dachem znajdowały się resztki świecy. Niegdyś były tutaj posiadłość lokalnego comesa oraz służebna wieś. Było to jeszcze w czasach przed zarazą oraz upadkiem Rzymu, toteż ludność żyła bez chorób, w odległych, lepszych czasach. Pewnego dnia do wsi przybył chory, noszący znamię czarnej śmierci, prosząc o jałmużnę. Jego odrażający wygląd przeraził

mieszkańców, którzy wygonili chorego za rogatki. Ten zaś zemścił się, po zmroku upuszczając swojej krwi do studni. Wkrótce potem wszyscy rolnicy oraz comes zapadli na tę straszliwą chorobę i wyzionęli ducha. Później założono tutaj kolonię dla zarażonych, którymi opiekowali się mnisi, jednak tak okrutne nastąpiły czasy, że trudno już było znaleźć kogokolwiek zdrowego, więc kolonia zniknęła. Pozostała jedynie samotna latarnia strzegąca dusz żywych oraz ogromna jama z kośćmi przykryta brunatną ziemią.

Wraz ze świtem Rycerz ruszył w dalszą drogę.

W świetle wschodzącego słońca maszerował pewniej, z każdym krokiem przypominając sobie dawną dyscyplinę. Wracały nowe wspomnienia. Cienie rozłożystych dębów kurczyły się, a wraz z nimi pomiędzy pnie umykały wszelkie nocne stworzenia. Jedynie zbłąkany lis na moment zatrzymał się na środku drogi, aby spojrzeć na Rycerza. Wszak obydwaj byli samotnymi wędrowcami i chyba dlatego lis szczeptał ku człowiekowi porozumiewawczo, po czym zniknął w gęstwinie.

Niedługo potem na horyzoncie pojawiły się ciemne smugi dymu, zwiastując ludzkie osiedle. Rycerz znał to miasteczko, położone okrakiem na rzece, utrzymujące się z połowu ryb oraz opłat za jedyny w okolicy prom. To była bogata okolica, miała własną komorę celną, dwie parafie, nieco kamiennych budynków i tylko ostatni najazd zdziczałych ludzi przekreślił piękne plany otoczenia wioski solidnym murem. Być może teraz stałoby tutaj miasteczko z prawem składu oraz kolorowymi liberiami naciągniętymi na wychudłe szkielety strażników. Zamiast tego na obrzeżach wypalonych domów siedział herold, klikon oraz handlarz mięsem w jednej osobie, czyli żebrak: zaropiały staruch z ciałem pokrytym głębokimi ranami, które w nienaturalny sposób zarastały nową tkanką. W błocie leżały miseczka z kilkoma monetami i drewniany pieńek z wbitym weń tasakiem.

– Łaskawy pan potrzebuje ciała? – Głos żebraka pasował wybornie do jego aparycji. Suchy, trzaskający jak gałąź w ogniu. – Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie zapłacić kilkoma palcami! Khe, he, he!

Rycerz skinął głową i wrzucił do miseczki dwa srebrne denary, po czym wskazał palcem na prawą dłoń żebraka.

– Łaskawy pan! Dobry wybór, wasza miłość, nie zawiedziecie się. Prawi ludzie są zawsze w cenie! – Zachwycony łachmaniarz położył prawą dłoń na pieńku i bez zmruczenia oka uniósł tasak do ciosu.

Jednym wprawnym uderzeniem ostrze odłupało nadgarstek od przedramienia. Żebrak z wyciem i płaczem rzucił się na ziemię, a Rycerz podniósł odciętą dłoń i zawiesił ją obok sakiewki, aby nieco ociekła z krwi. Przygotowany na wszystkie wydatki Krzyżowiec wkroczył pomiędzy wypalone budynki, rozglądając się po ruinach. W niektórych mieszkali jeszcze ludzie albo to, co z nich pozostało: chudziutkie szkielety o brązowej skórze, tak ciasno opiętej na mięśniach, iż można było policzyć poszczególne ścięgna biegnące pod jej pergaminową powierzchnią. Oczy zapadnięte głęboko, świecące się resztką woli życia, oddzielającej rozumne istoty od zdziczałych potworów krążących po bezdrożach. Te upiorne postaci snuły się po ruinach, groteskowo podkurczając dłonie, czasami podnosząc coś z ziemi i wkładając znaleźisko do ust. Na dźwięk kroków kurczyły się, zasłaniając odruchowo głowy. Inne z rezygnacją rzucały się w pył, drapiąc połamanymi palcami ziemię. Kilka silniejszych osobników wodziło z żarłoczną zazdrością za Rycerzem, obnażając zęby. Nie pociągały ich pieniądze ani świeżo odcięta dłoń przy jego boku, nawet nie miecz oraz pancerz.

Blask oczodołów przyciągał spojrzenie.

To było jedyne, czego te postaci pożyły bardziej niż srebra. W oczodołach Krzyżowca wciąż płonął ogień życia, chociaż słaby i wąty. Rycerz nadal mógł odczuwać namiętności czy ból; mógł współczuć albo polubić jakąś rzecz, jeżeli przypadłaby mu do gustu. Być może nawet był w stanie kochać lub nienawidzić. Pod tą umierającą skorupą czaił się w pełni żywy człowiek. Pogorzelnicy niczego tak bardzo nie pożydali, jak odebrać mu ten ogień. Bali się jednak śmiertelności ostrza u jego boku, więc obserwowali go w milczeniu, nie zdobywając się na atak.

Na niewielkim pagórku stał przysadzisty kościół o archaicznym kształcie. Była to niegdyś zwykła

rotunda, jednak z biegiem czasu obrosła ona w coraz to nowe absydy do tego stopnia, iż przypominała porośnięty cystami pień. Wokół kościoła rozciągał się spłacheć cmentarnej ziemi, a tuż obok znajdowała się komora celna. Nieco dalej wznosił się drugi kościół o strzelistych kształtach, wsparty na rozlicznych przyporach, jakby obdarzony dziesiątkami nóg. Pomędzy tymi trzema najważniejszymi budynkami w mieście przycupnęły niskie domy o kamiennych ścianach, pokryte szerniałymi dachówkami.

Pomimo wypalonych domostw miasteczko zdawało się podnosić z upadku. Niektóre ruiny zostały już oczyszczone, a bandy uzbrojonych wyrostków ciskały kamieniami w nagich pogorzalców, odpędzając ich od placu budowy. Nietknięci przez pożar mieszkańcy mieli rozdęte kształty oraz opuchnięte stawy, jakby pod skórą gromadziły się woda lub osocze. Niektórzy z nich byli pokryci ogromnymi bąblami pozostawionymi przez szalejący ogień. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety mieli rzadkie blond włosy rosnące kępkami na ich głowach oraz wodniste spojrzenie, ramiona wąskie, w mowie zaś irytującą wysoką nutę.

Skapo odziana kobieta o rozlazłych kształtach i wylupiastych oczach natychmiast zbliżyła się do Rycerza, eksponując swoje wdzięki.

– Witaj, piękny nieznajomy – zaczęła z zawodową wprawą. – Nie chciałbyś spędzić upojnej nocy niezupełnie za darmo?

Krzyżowiec zignorował tę istotę.

– Biedaczysko, nie możesz mówić? – Ton niewiasty nabrał posmaku kpiącego współczucia. – Ale reszta ciała wciąż twarda jak twój miecz?

Rycerz z błyskiem w oczodole odtrącił kobietą dłoń zmierzającą ku niemu.

– No dalej, nie daj się prosić – warknęła kurtyzana już z wyraźnym rozdrażnieniem. – Co ci to szkodzi, a ja chociaż złożę nowe jajeczka. Głupi jesteś czy co? Nie wiesz, co zrobić z babą?

Krzyżowiec położył dłoń na rękojeści miecza. Brzeszczot zazgrzytał ponuro, domagając się krwi. Jedno słowo dzieliło teraz wioskę od nowego rozlewu krwi. Ludzie na placu zamilkli, niepewni dalszych wydarzeń. Jedno opętać się od pogorzalców kijem, co innego stawać naprzeciwko zbrojnego, którego nawet śmierć się wyrzekła. Krzyżowiec ruszył bez słowa dalej, nie niepokojony już przez kurtyzanę, która umknęła na powrót do swego legowiska z gracją ropuchy. Niewiele dalej napotkał księdza, zwabionego obawą przed dobytym żelazem. Rycerz przeżegnał się i skłonił głowę, czując, iż tak zwykł czynić w dawniejszym życiu.

– Witaj, synu – wybełkotał ksiądz, posturą nieróżniący się znacznie od niepysznej kurtyzany. W żart próbował obrócić to zajście, lecz sam był biały ze strachu. – Widzę, żeś wywołał gniew większy od piekielnych ogni. Niech Pan cię zbawi od ich uścisku.

Rycerz wskazał na krzyż wyszyty na swej opończy.

– Rozumiem, błogosławieństwo – odparł kapłan, kiwając opuchłą głową. Z wyraźną ulgą witał myśl, iż uniknięto rozlewu krwi. – Święty Aleksy, opiekunie wędrujących, prowadź tę niemą duszę bezpiecznie od wszelkiego zamętu tam, gdzie zazna tylko radości. Niechaj święty Julian zawsze kroczy przed tobą, aby drzwi domostw stały przed tobą otworem, i niech święty Jerzy doda sił twemu ramieniu, amen.

Pożegnawszy kapłana, Rycerz ruszył dylowaną drogą prowadzącą przez cuchnące bagniska w kierunku promu. Wysokie trawy maskowały nagie sylwety opuchłych kobiet, składających właśnie w lepkiej mazi jajeczka, z których niedługo wygrzebią się małe larwy. Jeżeli owe szkraby będą miały dość szczęścia, urosną na tyle, aby zostać przyjętymi przez mieszkańców wsi jako jedne z nich.

Ponad rzeką panował niemalże kompletny spokój. Brudne zielone wody zdawały się stać w miejscu, nie poruszały się nawet rosnące opodal brzegu wodorosty. Na błotnistej plaży siedziało kilku rybaków, którzy mozolnie cerowali swoje sieci. Prom kiwał się pośrodku zastygłego nurtu, kołysząc sennie grubym powozem służącym do przeciągania barki pomiędzy brzegami.

Rycerz zatrzymał się przy końcu drogi, zapadając się po kostki w błocie. Rybacy spojrzeli na niego

bez wyraźnego zainteresowania, po czym pochylił opuchłe karki nad sieciami. Krzyżowiec uniósł odciętą dłoń kupioną w wiosce, zwracając uwagę przewoźnika. Ów odległy kuzyn Charona napiął ramiona i powoli dźwignął prom z bezruchu, przesuwając go ku brzegowi. Ustaliwszy opłatę na trzy palce, Rycerz wkroczył na pokład. Był jedynym pasażerem, toteż usiadł na pęczku drewna i wlepił spojrzenie w pokład.

– Wiecie, że w tych wodach mieszka leśna bogini? – Przewoźnik spojrzał na swego patrona. – Ano tak. Piękna niewiasta o wężowym ogonie i wielkim apetycie na mężczyzn. Wyglądacie na krzyżowca, a ona się z jednym z was związała. Chociaż być może to był jej syn... – Charon zaparł się o deski pokładu i pociągnął za linę. – Tak, tak – podjął wątek, chociaż Rycerz nawet gestem o to nie prosił. – To był jej syn. Meluzyna było jej na imię, tej boginicy. Mieszka ona w tych wodach i strzeże ich przed złymi ludźmi. Tych oplata swym ogonem i wciąga pod wodę. Niektórzy mówią, że usta zamyka nieszczęśnikom namiętym pocałunkiem. Nie najgorszy sposób na śmierć. – Starzec zaśmiał się sucho, co przyprawiło go o atak krwawego kaszlu, jednak wcale nie zepsuło mu humoru. – Mówię o tym, ponieważ i wy wyglądacie na krzyżowca. W każdym razie Meluzyna zakochała się w hrabim Zygfyrdzie, który miał włości koło Luxemburga. Nimfa omotała go w ciągu dnia, jak mówią, a następnie została jego żoną. Jeden tylko warunek postawiła Meluzyna swemu mężowi: aby nigdy nie podglądał jej w kąpiel. Inni mówią, że chodziło o soboty, ale co oni mogą wiedzieć? Oczywiście, że chodziło Meluzynie o podglądanie jej krągłości. Khe, he, he. – Ponowny atak wesołości nieomal zwałił przewoźnika na kolana. Odzyskawszy siły oraz otarłszy wargi z krwi, podjął swoją opowieść: – Pewnie się głowisz, dlaczego ci to mówię! Złapałem to ciekawskie spojrzenie – zawołał Charon, przyglądając się nieruchomemu Rycerzowi. – Złamanie bowiem słowa danego Meluzynie sprowadziło na cały ród nieszczęsnego hrabiego wieczystą klątwę. A wystarczyło tylko pójść obłąpić sąsiadkę, zamiast podglądać żonę wbrew jej woli. Hrabia Zygfyrd zobaczył żonę taką, jaka była: z ogonem węża. Uriens, albo Gwidon, ich syn, był sławetnym krzyżowcem, który przez swoją głupotę sprowadził wiele nieszczęść na Królestwo Ziemi Świętej. Niektórzy sądzą, że to przez klątwę Meluzyny, ale to głupcy. Gwidon był pozbawionym kręgosłupa popychadłem bez krzty charakteru. Nie trzeba mu było magii, aby ukręcić sobie powrót na szyję.

Prom wsunął się na mieliznę, szorując brzuchem po kamienistym dnie. Krzyżowiec wskazał palcem na rozmokłą drogę wyrastającą wprost z mętnego nurtu, a wiodącą pomiędzy pniami bukowego zagajnika.

– No, panie rycerzu, tutaj trzeba wam wysiąść – oznajmił przewoźnik, wspierając się na sękatym kiju. – Jeżeli pójdziecie tędy, dojdziecie do brukowanego gościńca, a nim do Awinionu.

Krzyżowiec ruszył naprzód, ale rychło zatrzymał go suchy skrzek przewoźnika. Stary mężczyzna przebiegł kilka kroków, doganiając Rycerza i rozbryzgując na boki krople błota.

– Weźcie ze sobą to. – Wcisnął w dłonie Krzyżowca ludzką czaszkę z oczodołami zasłoniętymi morskimi muszelkami oraz niebieskim woskiem. – To rzecz dobra dla pielgrzyma, nie dla przewoźnika. Oby przyniosła ci nieco więcej szczęścia niż poprzedniemu właścicielowi. No, a teraz szczęśliwej drogi wam życzę.

Do zmroku Rycerz maszerował wytrwale pomiędzy opuszczonymi przez życie wioskami oraz uprawnymi polami. Zaraza obfite zebrała tutaj żniwo, uderzając tak nagle, iż niektórzy zmarli wciąż stali przy pługach. Wypalone przez gorączkę truchła wznosiły się ponad zgniłym ugorem, obsiadłe przez czarnopióre ptaszyska, nie pozwalając zapomnieć o kruchości ludzkiego życia.

Noc spędził pod ziemią, jak zwierzę zagrzebawszy się pod fundamentami kapliczki ku czci świętego Mikołaja. Po starannym wytrzepaniu grudek gleby spomiędzy oczek kolczugi Krzyżowiec skierował kroki ku Awinionowi, gdzie zmierzał bez wytchnienia aż do południa, do czasu aż natknął się na starożytną fontannę stojącą pośrodku zarośniętej trawskim ruiny. Rycerz zbliżył się do marmurowej misy, zwieńczonej figurką małego bożka ściskającego dzban. Niegdyś z otworu amfory wypływała strumieniem chłodna woda, jednak teraz misa fontanny zaśmiecona była liśćmi oraz grudkami ziemi. Przez moment

oglądał roześmiane oblicze młodego bożka, po czym zanurzył dłoń w liściach i uniósł ją do ust, jakby miał w niej wodę. Odruchowo przełknął powietrze i otarł spękane wargi wierzchem dłoni. Uczyniwszy to, ruszył w dalszą drogę ku niezbyt odległemu miastu. W powietrzu dał się już wyczuć charakterystyczny zapach ludzkiego osiedla, którego nie można było pomylić z żadną naturalną wonią.

Rycerz usiadł na połamanych kolumnach wieńczących pagórek, z którego mógł obserwować wielotysięcznego węża, zawodzącego i płaczącego, z głową posypaną popiołem oraz łuskami dłoni złożonych do modlitwy.

Awinion nie trwał w biernym oczekiwaniu na Wielkanoc, wychodził jej naprzeciw, gnąc się w ukłonach i błaganiach w pokutnej procesji, odprawianej przez hrabiego tych ziem, Rajmunda, który wraz z całym duchowieństwem i lwią częścią mieszkańców okrążał miasto.

Na czele pochodu kroczyło trzech prezbiterów oraz biskup, tworząc gadzi łeb i śpiewając błagalne hymny. Za nimi, w otoczeniu ubranych w szorstkie szaty dworzan, maszerował hrabia, dźwigając na plecach szczerozłoty relikwiarz. Łatwo było poznać Rajmunda. Chociaż okrywała go włosienica, na barkach lśniły pancerne naramienniki – symbol hrabiowskiej władzy. Dworzanie Rajmunda nieśli obok niego także regalia oraz miecz należący do pana Awinionu. Za hrabią maszerowali jego rycerze w białych tunikach, z mieczami zawieszonymi u karków na pętłach z drapiącego sznura. Ostatnia czwórka niosła zwinięte sztandary Rajmunda, wyprzedzając o kilka kroków wóz z relikwiami. Ten złożony był z żywych kryminalistów, którzy z radością oddali swoje doczesne ciała, aby stworzyć relikwiarz godzin pokutnej celebracji. Z ramion powstały osie, koła zaś obracały się wokół obtartych do krwi nadgarstków. Powyginane kończyny tworzyły dyszle, a skazani na śmierć w akcie łaski odgrywali rolę apostołów. Pomiędzy figurami pierwszych uczniów Zbawiciela spoczywały relikwiarze umieszczone na postumentach z ludzkich rąk. Tuż za wozem maszerował tłum innych ludzi, mieszkańców zarówno miasta, jak i okolicznych wsi. Ich wołania oraz modlitwy wypełniały powietrze żalną kakofonią, którą zapewne słyszano wysoko, pomiędzy deszczowymi chmurami.

Rycerz spojrział na stadko gęsi pasące się niedaleko połamanej kolumnady. Procesja zatrzymała się właśnie pod jedną z miejskich wież, aby paść na kolana i zanosić swoje prośby. Wyglądało na to, że trudno będzie tego dnia uzyskać audiencję u hrabiego. Krzyżowiec obrócił głowę z powrotem na gęsi, które teraz biegały wesoło wokół jego nóg. Ponoć te ptaki znały tajemnice przedwiecznych bogów, którzy pokryli ich pióra symbolami odpędzającymi wodę, przez co gęsi mogły godzinami pływać i nurkować. Wciąż używa się gęsich piór jako instrumentu do pisania, ponieważ moc starożytnych glifów jeszcze nie zbladła.

Niedługo ta właściwość miała zostać poddana próbie, ponieważ ciemne chmury wisały nad Awinionem. Grzmoty poczęły zagłuszać procesję, która przywitała burzę jak objawienie. Silniejsze podmuchy wiatru przyginały drzewa ku ziemi, porywając drobne przedmioty oraz kawałki ubrań, jednak biskup stał wyprostowany, wznosząc pastorał i wygłaszając płomiennie kazanie. Hrabia Rajmund padł na kolana, składając relikwiarz u stóp kapłana, który począł gromkim głosem wyrzucać świętym szczątkom ich winy.

Przez wiatr słychać było jedynie strzępki słów, jednak Rycerz zrozumiał, iż biskup winił świętego za brak wstawiennictwa w czasie zarazy i teraz publicznie go zawstydział. Za karę relikwia miały spocząć w błocie, wielkim poniżeniu, żeby każdy mógł zobaczyć to upokorzenie. Biskup teraz wymieniał wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na Awinion w ostatnich miesiącach, a diakoni podawali sobie jego słowa, powtarzając je niczym echo wzdłuż procesji. Dla podkreślenia wagi chwili kapłan podźwignął z klęczek hrabiego Rajmunda i położył na jego ramionach futrzany płaszcz, dworzanie zaś przystroili jego skronie koroną. W oczach biskupa hrabia, grzesznik oraz świecki wódz zastępów niesfornych rycerzy, był teraz pokorniejszy niż święty, który nie wywiązał się ze swych obowiązków. Kapłan wskazał na gniewne niebo, przecinane błyskawicami, aby wołać, że Natura również wyraża swój osąd nad niefrasobliwym świętym. Tłum chłonął słowa duchownego z nadzieją. Może teraz dzuma opuści mury miasta?

Wraz z absolucją relikwii wygłoszonej przez biskupa z niebios lunęły strugi deszczu. Mieszkańcy Awinionu powitali je z dzikim piskiem radości. Oto jest ulewa, która zmyje chorobę z ich skóry i obmyje mury ich ukochanego miasta. Dostyc już konania z gorączki, plucia krwią oraz drapania czarnych krost na całym ciele. Teraz mogło być już tylko lepiej. Awiniończycy pragnęli w to wierzyć i dali się ponieść świętemu podnieceniu. W końcu co im pozostało? Na zarazę nie znali lekarstwa, a jedyne, co mogli uczynić, to modlić się i liczyć na lepsze jutro.

Jak do tej pory bez skutku.

Mieszczanie rozbiegli się po polach otaczających miasto, w ekstazie obmywając swe ciała. Nawet z odległości wielu kroków widać było porośnięte ciemnymi plamami ciała, opuchnięte szyje, pachy oraz pachwiny. Rycerz uśmiechnął się blado; w końcu jego ciało było już wyschnięte na wiór. Choroba się go nie miała, skoro węzły chłonne już dawno strawiło pustynne słońce, a serce przebił stalowy cień.

Po raz pierwszy od długiego czasu Rycerz zaśmiał się, chociaż jego wypalone gardło pozwoliło jedynie na zgrzytliwy charkot.

*

Hrabia Rajmund przyjął Krzyżowca dopiero nazajutrz, po sumie, ofiarowując mu kilka momentów pomiędzy przybyciem z katedry a kąpielą w ziołach. Tak jak wielu mieszkańców Awinionu, ich władca również nosił znamię czarnej śmierci, jednakże Rajmund starannie ukrywał ten fakt przed swymi poddanymi. Szyję okrywał szalem i nigdy nie wychodził bez pełnego odzienia. Z wyjątkiem nadwornego medyka z Italii nikt nie wiedział o jego chorobie. Teraz hrabia z niecierpliwością oczekiwał na moment, kiedy będzie mógł zanurzyć się w lodowatej kąpieli, która chociaż przelotnie ugasi gorączkę.

Nikomui nieznany Krzyżowiec, nieco zgarbiony, stał przed Rajmundem, nie pozwalając mu udać się do swych komnat. Zrozumiałe było więc rozdrażnienie władcy Awinionu, kiedy na dodatek okazało się, że przybysz nie potrafi wydusić z siebie nawet słowa. Przez kilka chwil hrabia zaciskał pięści ze złości, próbując znaleźć sposób, aby wyrzucić Rycerza za próg, nie tracąc przy tym twarzy w oczach dworzan. Nie był potworem, jednakże w tej chwili czuł tylko falę gorączki oraz szczerą niechęć do tego przybłedy o wyglądzie zabalsamowanych zwłok. Dopiero kiedy Rycerz wskazał palcem na czerwony krzyż naszyty na tunice, Rajmund zrozumiał powód, dla którego nadal siedział teraz na swym tronie, raz po raz wstrząsany nawrotami gorączki oraz słabości, zamiast oddać się w ręce medyka.

– Krucjata? Krucjata?! – Hrabia wybuchnął szyderyczym śmiechem. – Nikt już nie zwołuje rycerstwa na krucjatę, mój uwędzony przyjacielu. Ostatnia obrabowała Francję z jej władcy, skarbcza oraz chęci do walki. Zważ na me słowa: teraz każdy, kto rusza przeciwko wrogom papieża, nazywa się krzyżowcem. Bez względu na to, czy przelewa krew Saracena, Greka, Franka czy Italczyka. Prędzej zejść z tego świata, niż wspomogę ludzi takich jak Szymon z Montfort, który spalił i posypał solą moją piękną Prowansję. Czy taka odpowiedź cię satysfakcjonuje, dobry rycerzu naszego Pana i Zbawiciela?

Krzyżowiec zaprzeczył ruchem dłoni.

– Cóż zatem chcesz wiedzieć? – rzucił Rajmund, ocierając rozpalone czoło białą chustką. Coraz bardziej był zirytowany tą jałową pantomimą. – Udaj się do Outremer, gdzie tacy jak ty jeszcze trzymają skrawek ziemi, niegdyś zwanej Królestwem Jerozolimskim, i tam oddaj swój miecz w ręce króla Amalryka albo jego trędowatego syna. Może jego bardziej ucieszy twój widok niż mnie, pokornego hrabiego Awinionu. – Hrabia Rajmund zamilkł na chwilę, sparaliżowany bólem pękającego wrzodu. – Poszukaj krucjaty w klasztorze – podjął po chwili tonem jeszcze ostrzejszym, ze szczękami zaciśniętymi z bólu. – Może modlitwy zabiorą cię przed Pańskie oblicze. Albo wyjdź po zmroku do dzielnicy biedoty. Tam nawet bez opłaty wbiją ci nóż między żebra i będziesz mógł spotkać po śmierci wszystkich krzyżowców. Zatem, dobry panie, uczyn mi tę łaskę, mnie, niegodnemu, i odejść w pokój z mych ziem. Rzuć się z urwiska, aby uwolnić mnie od swej chwalebnej obecności, na którą nawet król nie byłby

gotów bez postu i spowiedzi.

Krzyżowiec skłonił się nisko, po czym opuścił hrabiowskie palatium, zanurzając się w labirynt uliczek Awinionu.

W słoneczny dzień i w lepszych czasach miasto byłoby klejnotem tych ziem: rozłożone nad zyciodajnym łonem rzeki, strzeżone przez kamienną wieżę na niewielkiej wysepce pośrodku nurtu, a wkoło wzgórze omiatane łagodnym morskim wiatrem, porośnięte gajami cytrusowymi oraz szmaragdowymi lasami. Niejeden wędrowiec zginął w tych okolicach tylko dlatego, że uwiodły go gościnność ludzi, piękno dziewcząt z wiankami wawrzynu na skroniach czy wesoła muzyka trubadurów. Owi wędrowcy ginęli dla świata, pozostając tutaj do końca życia.

Obecnie Awinion przywodził na myśl siedlisko upiorów.

Jego prawdziwą władczynią, chociaż bez hrabiowskiej korony, była śmierć wędrująca po ulicach w poszukiwaniu nowych ofiar. W krok za nią postępował jej orszak złożony z najemnych grabarzy, którzy za kawałek chleba albo dłoń wisielca gotowi byli chować zmarłych. Wyczerpani mieszkańcy mniej bali się tych odrażających typów, o których krążyły najgorsze plotki, niż widma zarazy, toteż bez mrugnięcia okiem opłacali kanibali, aby pozbyli się ciał ich ukochanych.

Po ulicach krążyli także morowi lekarze w swych długich płaszczach oraz ptasich obliczach. Matki chowały przed nimi pociechy, ponieważ medycy przyjmowali zapłatę nie w złocie, ale w żywym inwentarzu. Dzieci były ich ulubionymi podarkami, na które łypali swymi pozbawionymi źrenic ślepiami, klekocąc przy tym długimi dziobami. Co działo się z odebranymi rodzinom podlotkami? Ponoć morowi lekarze kryli się w orlich gniazdach, za wysokimi murami gdzieś w górach, skąd przybywali tylko w czasach chorób oraz śmierci.

W mieście pozostało też niemało ludzi, którzy nie lękali się zarazy i postanowili chronić swój dobytek. Te wychudłe widma o opuchniętych szyjach starały się żyć normalnie, nie zważając na czarne krosty pokrywające ich ciała oraz śmiertelny odór zalegający ponad miastem. Wiele domów stało opuszczonych i zrabowanych, chociaż ciała ich właścicieli wciąż spoczywały w środku jako uczta dla szcurków i larw. O tych nieszczęśnikach zapomnieli wszyscy z wyjątkiem kilku księży, którzy starali się odnaleźć każdą zagubioną duszę ze swej owczarni, aby złożyć ją w święconej ziemi. Czasami nawet kostucha wyrozumiale wstrzymywała dłoń, pozwalając kapłanom udzielić ostatniego namaszczenia.

Dwa dni potężnych ulew sprawiły, że całe miasto pokryło się warstwą gęstego śluzu, błota, śmieci, resztek jedzenia oraz ludzkich szczątków wypłukanych z opuszczonych domów. Awinion stał się cmentarzem o żółtych krzyżach oraz kamiennych murach, za którymi dogorywały setki ludzi. Maszerując tymi ulicami, Rycerz musiał mieć się na baczności, ponieważ zaraza naznaczała ciało, ale także i umysł. Ogarnięci szaleństwem choroby potrafili rozdrapać krosty aż do gołego mięsa, wybierając śmierć z własnej ręki ponad tortury zesłane przez morowe powietrze.

Krzyżowiec przystanął na moment, obserwując, jak kupiec, odziany w futrzany płaszcz o czerwonej niegdyś barwie, odganiał zapaloną pochodnię kilku żebraków. Bankier stał na progu dwupiętrowej kamienicy, ciskając na głowy kłozardów najplugawsze z przekleństw i rozdając razy płonącym bierwionem. Po chwili szamotaniny jeden z żebraków stanął w płomieniach, wyjąc niczym piekielna dusza. Łapczywy ogień szybko strawił jego odzienie, po czym zaatakował pozostałych łachmaniarzy. Żywe pochodnie z krzykiem rozbiegły się na wszystkie strony, a po chwili padały martwe w szlamie ulicy. Jeden z nieszczęśników rzucił się na oniemiałego kupca, wpychając go do przedpokoju. Z wnętrza domu buchnął żywy ogień o jasnej barwie, pożerając futra oraz pergaminy. W ciągu kilku sekund cały parter ogarnęły ryczące płomienie i śmiało zaczęły się wspinać na piętro. Stamtąd, zza zamkniętych okiennic, odezwały się kobiece krzyki oraz kwilenie dziecka, jednakże miłosierny ogień oszczędził im katuszy i zdusił ich szybko. A może to matka wolała na swoje sumienie wziąć grzech zabójstwa, aby oszczędzić potomstwu całopalenia?

Rycerz wzruszył ramionami, omijając szerokim łukiem płonący dom oraz szerniałe szczątki ludzi,

drgające jeszcze pod skorupą spalenizny i błota. Przy bramie zatrzymał go brudny mężczyzna, łapiąc za podartą opanoczoną rękę. Wyglądał na nietkniętego przez zarazę oraz szaleństwo, mimo to w jego oczach jarzył się chorobliwy blask. Na rękę trzymał śpiące niemowlę.

– Panie, mój panie, łaskawy – zaskomlał żebrak, padając na kolana. – Miej litość, błagam, na miłosierdzie Pana, zabierz stąd mojego syna. Zaklinam cię, panie, choćby na sługę go weź, na pomywacza albo stajennego! Wszystko, tylko go stąd zabierz!

Rycerz cofnął się o pół kroku. Przez długą chwilę wpatrywał się w nędzarza, jakby pierwszy raz oglądał ludzką istotę. Do pustej czaszki Krzyżowca zaczynały napływać kolejne krople wspomnień. Głos, ten czerw, namawiał do miłosierdzia. Powoli, przymuszany obcą siłą, Rycerz wyrzucił z sakiewki kilka sztuk srebra, po czym umknął jak niepyszny. Tolerował głos w swej głowie jedynie jako przewodnika, prowadzącego go na pole bitwy, ale nie miał zamiaru korzyć się przed nim jak sługa.

Ruszył szybkim krokiem na drugi brzeg Rodanu, stąpając po ogromnym moście świętego Benedykta. Ten prosty pasterz własnymi rękoma wznosił filary, na których oparł kamienne łuki, sięgające ponad wodami życiodajnej rzeki. Kiedy oddał ostatnie tchnienie, został pochowany w kaplicy na moście, gdzie każdy przechodzień mógł podziwiać jego potężny szkielet. Niezwykły był to relikwiarz, sarkofag z czarnego wapienia wysoki na dwadzieścia stóp, obejmujący masywne szczątki świętego. Krzyżowiec nieswojo czuł się pod martwym spojrzeniem siłacza. Odniósł wrażenie, że puste oczodoły Benedykta mogą być odarte z mięsa, lecz wcale nie są martwe.

Po drugiej stronie rzeki, strzegąc wejścia na most, wznosił się zamek króla Filipa. Złowroga forteca, łypiąca dziesiątkami wąskich oczu na wszelkich podróżnych pokonujących Rodan. Wokół jej murów nie rosła żadna roślina, nawet najlichsza trawa obawiała się wyrosnąć na zgniłej ziemi otaczającej zamek. Nie było tutaj załogi czy choćby służby, a mimo to nikt nie był w stanie przekroczyć rzeki bez wiedzy króla Francji.

Wiele lat temu król Filip, chcąc trzymać pod kontrolą rezydujących w Awinionie papieży, własnoręcznie wyhodował twierdzę, nazwaną od jego imienia Wieżą Filipa. Z biegiem lat wieża rozrastała się, karmiona szczerze przez swego pana, i za tę opiekę odpłacała wiernością godną Rolanda. Ludzi zawsze można przekupić albo zastraszyć, ale kamień pozostaje głuchy na wszelkie prośby, klątwy i groźby. Trwa niezłomnie na posterunku, pozostawiając po sobie jedynie wypalone ciała. Może tylko święty Benedykt, drzemający w sarkofagu ponad wodami Rodanu, potrafiłby ujarzmić tę bestię o wielu ramionach i żrenicach.

Krzyżowiec był zdumiony, iż znał te wszystkie nazwy, odległe dzieje, chociaż wcale nie podejrzewał u siebie takich zdolności. Jakby widok raz dostrzeżonych obrazów uwalniał z łańcuchów kolejne wspomnienia, rzucając światło na własną przeszłość. Był już raz w Awinionie, zbrojnie, walczył na moście, kiedy do wody runęła znaczna jego część. Cztery łuki osunęły się w paszczę Rodanu wraz z setkami ludzi zwartych w zacieklej walce. Rzeka spłynęła wtedy ciałami, bój trwał nawet w wodzie, między tonącymi. Rycerz potrząsnął głową, opędzając się od lodowatego wspomnienia. Wtedy już był martwy i nie groziło mu utonięcie. Bez skrępowań wciągał innych pod powierzchnię wody.

Ale to było dawno, zanim udał się do klasztornej celi, w innym życiu. Teraz zaś wędrował na południe i wschód.

*

Przed zachodem słońca dotarł do niewielkiej wioski, wciśniętej w górską dolinę tuż pod przełęczą prowadzącą w góry. Jej granice wyznaczały dwa okorowane pnie, tworzące bramę ponad kamiennym progiem. Na zboczach pasły się stada owiec, pod czujnym okiem pasterzy oraz ich ogarów.

Miejscowi obserwowali Rycerza z odległości, opierając się na sękatych kijach. Jeden z pasterzy położył nawet dłoń na łożu masywnej kuszy przewieszanej przez ramię. Pasterskie psy podniosły z ziemi

czarne cielska, spoglądając to na swoich właścicieli, to na maszerującego dnem doliny człowieka. Kiedy Krzyżowiec przekroczył kamienny próg bramy, pasterze stracili zainteresowanie przybyszem i wrócili do owiec, rozmawiając między sobą, psy zaś rozbiegły się w poszukiwaniu sekretów, które tylko czworonogi są w stanie odnaleźć.

Okolica zdawała się odosobniona i nietknięta przez zarazę, co, zważywszy na odległość od Awinionu, nie było skromnym osiągnięciem. Ludzie nie mieli żadnych widocznych deformacji, ich twarze były rumiane, choć szczupłe. Brakowało tutaj stosów ciał, płonących jasnym ogniem w nadziei na wypalenie zarazy, i słodkawego odoru rozkładu. Pomimo tego przysiółek był ponurym miejscem, wypełnionym groźbą wobec obcych. Rycerz domyślał się, w jaki sposób wieś uniknęła chorób. Mieszkańcy ukąszeniem bełtu powalali każdego chorego uciekiniera z bezpiecznej odległości. Zadżumione ciała pochłaniały zaś góry, karmiąc nimi swe plugawe potomstwo zamknięte w skalnych kazamatach przed dotykem słońca.

Wieś wzniesiono dokoła kamiennej kapliczki o przysadzistych murach i gontowym dachu. Kręgiem wokół niej stały chaty. Spomiędzy strzech wypełzały siwe pasemka dymu, opadając ku kamieniom i ścieląc się nisko jak chorobliwy opar.

Czując na sobie spojrzenia nieprzychylnych i często nieludzkich oczu, Krzyżowiec wkroczył do kaplicy. Wnętrze było chłodne i ciemne, gęsto zastawione ławami z sosnowego drewna. Tuż po przekroczeniu kamiennego progu w nozdrza uderzała ciężka woń żywicy, kadzidła, sadzy oraz łojowych świec. Chociaż fasadę kaplicy wzniesiono ze skromnych kamieni, wewnątrz przystrojono białym marmurem. Antyczne kolumny wspierały cyzelowane belki, zabrane z rozpadających się świątyń starożytnych. Strop pokrywały pokaleczone twarze marmurowych posągów, teraz szerniały od dymu. W kaplicy nie było miejsca, którego nie obejmowały martwe oczy dawnych bóstw oraz cesarzy. Ponad ołtarzem, w bogato rzeźbionym relikwiarzu, spoczywały kości ogromnego psa, otoczone tuzinem drewnianych figurek.

Rycerz uklęknął przed obliczem Ukrzyżowanego, powodowany starym nawykiem, o którym mięśnie jeszcze nie do końca zapomniały. On sam nie miał chęci zginać karku przed żadnym człowiekiem czy rzeźbą, jednak głos nie chciał pozostawić go w spokoju. Nakazywał klękać, modlić się oraz prosić o przewodnictwo świętych. Krzyżowiec nie ufał wszelkiemu robactwu sącącemu jad wprost do jego ucha.

Wiele lat temu jego życie odmienił inny głos, najpierw niesłyszalny, z czasem coraz mocniejszy, i doprowadził go w końcu do złożenia ślubów dotyczących wyprawy krzyżowej. Z początku łatwo było ów podszept obowiązkowi zignorować, ale w istocie to on kierował wolą Rycerza z niezrównaną wprawą. Podsuwał mu zgoła trywialne myśli, z pozoru niepowiązane ze sobą, a następnie niczym wprawny kreślarz połączył te samotne punkty wspólną linią. Nie sposób już wtedy było się opierać. Pragnienie rycerskiej wyprawy z małego ziarna wykiełkowało potężnie, nabierając odporności na wszelkie argumenty.

Teraz, po trudach krucjaty, po latach w klasztornej celi, Rycerz wciąż nie mógł udać się na wieczny odpoczynek. Głos mu nie pozwalał, i to głos zupełnie inny niż poprzednio. Znacznie mu bliższy, zdający się dobrze znać wszelkie jego wspomnienia i zachcianki. Lepiej niżby Krzyżowiec sobie tego życzył. Jednak póki ten uciążliwy przewodnik prowadził go na nowe pole bitwy, gotów był go zdzierzyć. Później go wydłubie z kości, ciśnie na ziemię i rozdepcze na miazgę obcasem buta.

Rycerz dźwignął się z klęczek, opuszczając ciemne wnętrze kaplicy, żegnany przez setki marmurowych oczu pozbawionych źrenic. Słuchając podszeptów głosu, ruszył ku przełęczu i opuścił zabudowania wioski. Przed zapadnięciem zmroku chciał dotrzeć jak najwyżej i tam znaleźć odpowiednie miejsce na nocleg. Na moment jeszcze, zanim wioska zniknęła za przełamaniami terenu, Rycerz zawiesił wzrok na skupisku ludzkich domów, szybko ginących na tle ciemniejącej doliny.

Co sprawiało, że ta wioska była inna od pozostałych? Nietknięta przez zarazę, z mieszkańcami

wolnymi od deformacji, które nawiedziły świat po upadku Rzymu. Jakie siły były w stanie uchronić tę skromną gminę, jeżeli największe miasta wymierały pod gnijącym dotykiem śmierci?

Niektórzy uważali nadejście chorób za karę z niebios, na którą ludzie zasłużyli sobie solennie grzesznym życiem. Bardziej sceptyczni nadmieniali, że nawet świętobliwi mnisi padali porażeni morowymi strzałami, toteż marna to kara, która sięga niewinnych. Kolejni natomiast widzieli w czarnej śmierci dzieło mrocznej magii, stworzonej na odległych stepach Pontu i Siedmiorzecza, a być może dalej na wschodzie. Tam, jeżeli wierzyć opowieściom przekazywanym przy karczemnym stole, zostały wygnane wiedźmy z dzikich plemion Estów. Czarownice te zamieszkały na bezbrzeżnym stepie, gdzie zawarły pakt z demonami podziemnego świata. Z ich grzesznego związku narodziło się przerażające potomstwo o krzywych nogach i płaskich obliczach. Mawiano, że ich stopy są zbyt słabe, aby dźwigać ciężar ludzkiego ciała, toteż od małego sadzano ich na końskim grzbiecie. Od krainy diabelskich ojców nazywa się ich Tartarami. Czaszki Tartarów są wydłużone, twarze pocięte bliznami tak dalece, iż pozbawieni są zarostu. Kiedy umiera ich wódz, kaleczą swe oblicza, aby uczcić go krwawymi łzami. Po ojcach odziedziczyli wrodzony brak litości oraz miłosierdzia, po matkach zaś – czarną moc magii. To właśnie w najazdach Tartarów upatrywali niektórzy źródła zarazy oraz innych nieszczęść.

Jaki sekret skrywały te spadziste dachy, jeżeli mogły oprzeć się takiemu diabelstwu? Mogła to być zasługa jedynie odległości, w jakiej ta dolina znajdowała się od ognisk wszelkich chorób? Może to sumienna bezwzględność górali, którzy każdego chorego przeszywali bełtami ze swych kusz? Skąd jednak wiedzieli, jak odróżnić zarażonych od zdrowych przybyszów? Czy podpowiadały im to ogromne psy o niemal ludzkim spojrzeniu? A może to tylko pozór, za którym skrywał się jakiś mroczniejszy sekret?

Nie potrafiąc odnaleźć odpowiedzi na żadne z tych pytań, Rycerz ruszył ku szczytowi przełęczy w poszukiwaniu schronienia na noc. Nie chciał prosić o gościnę w wiosce; tknięty złym przeczuciem wolał spędzić ciemne godziny w dziczy. Jednakże musiał szybko znaleźć dla siebie głęboką norę, z której nic go nie wyciągnie pazurami. To, co wpełzało z mrocznych kawern ukrytych pod szczytami, bez trudu mogłoby rozszarpać jego pancerz, kości oraz ciało. Gdy znalazł przepastną jamę pod granitowym blokiem, wpełzł do wnętrza, zamykając otwór kamiennymi odłamkami. Liczył na swoje szczęście i z obnażonym mieczem gotów był na odpoczynek.

Budzi się nagle, wyrwany ze smolistych odmętów koszmarnym rykiem odbijającym się echem w jego uszach. Dłoń zaciska się odruchowo na rękojeści miecza. Gdzieś powyżej, ponad głową, chrzęszczą kamienie. Coś węszy, powoli wciągając powietrze, aby wypuścić je ze świstem pomiędzy zębami. Każdy z tych oddechów trwa wieczność, dając pojęcie o posturze drapieżnika. Kreatura kilka razy trze pazurami kamienie zakrywające kryjówkę Rycerza, ale szybko traci zainteresowanie zdobyczą. Z oddali dobiega przeciągły skowyt, na który drapieżnik odpowiada z całą mocą. Świszczący wdech poprzedza ryk, od którego drżą nawet wiekowe głazy. Rycerz zakrywa uszy, kuli się i wiję w szaleństwie strachu. Bije rękoma w ściany swej kryjówki, tak bowiem nienawistny to dźwięk.

Wobec tego nienazwanego terroru staje się ofiarą.

Trwa w napięciu całe godziny, oczekując na atak, póki zmęczenie nie bierze góry nad paniką.

O świcie wygramolił się ze swego legowiska.

Niewiele zaznał odpoczynku tej nocy, przeszywający ryk bestii bowiem nieustannie towarzyszył jego myślom. Teraz, pod dotknięciem różanopalcej Jutrzenki, po ciemności nocy pozostały jedynie cienie w skalnych szczelinach oraz przedziwna biała chmura, rozciągnięta po niebie niczym paszcza gotowa połknąć słońce.

Krzyżowiec przez długą chwilę obserwował podejście pod przełęcz, nie chcąc spotkać żadnego nocnego marudera, który dopiero teraz wracał ku swemu leżu. Czasami, tak jak morze, ciemność pozostawiała coś między nocą i dniem. Ogromne ciała żyjących mar, dogorywających w świetle dnia, trawione żywym ogniem. Jedynie wypalony kontur dawał pojęcie o ich wielkości oraz sile. Widywano je tylko z oddali, jak kończyły swój żywot w jezorach ognia. Z bliska nie oglądał ich nikt, gdyż samo ich

spojrzenie obdzierało człowieka ze zmysłów. Nie miały imion, nie opowiadano o nich legend, nie szukano ich gniazd; świat drżał przed nimi, kryjąc się po zmierzchu, licząc, że ominie go spojrzenie wcielonego amoku.

Nie dostrzegłszy żadnego ruchu, Rycerz ruszył ku przełęczy. Biegła tutaj ledwo widoczna ścieżka, zapewne wydeptana przez dzikie zwierzęta. Przyjmując ją za dobry znak, Krzyżowiec śmiało podążył nią w gardziel wąskiej doliny. Jeżeli tylko głos nie prowadził go na zatracenie, była to najkrótsza droga wiodąca nad brzegi Padu oraz Arno, gdzie o pieniądze było równie łatwo co o nóż wbity między łopatki. Tam skłócone miasta ścierały się ze sobą w wojennych zapasach, aby kolejnego roku obejmować się czule i knuć przeciwko sąsiadom. Nie było lepszego miejsca na zdobycie garści pięknego srebra, którego brząk Rycerz wielce lubił. Przez moment wspomniawszy żebraka, któremu wbrew swej woli ofiarował pieniądze. Monety, które zapewne stracił wraz z życiem swoim oraz dziecka, kiedy inni żebracy dostrzegli błysk srebra w jego dłoni. Rycerz zastanawiał się, czy najpierw dziki tłum rozszarpał niemowlę, czy ojca, ale jednym ruchem głowy odgonił te płonne myśli.

Należało pokonać góry, wznoszące się wkoło skalnym labiryntem przełęczy oraz szczytów. Maszerował szybko, uważnie omijając wszelkie szczeliny, w których drzemać mogły bezimienne nocne drapieżniki. Przed zachodem słońca musiał pokonać jak największą odległość, licząc, że nic nie podąży jego śladem. Póki wąska ścieżynka prowadziła pod jego stopami, mógł kroczyć szybko i bez większych obaw, jednakże teraz drogę zastąpił mu skalisty piarg, szeroki na dwieście stóp. Po obydwu stronach doliny wznosiły się strome ściany, obejmujące dolinę w ciasnym uścisku. Rycerz zmierzył urwisko z wyzywającym błyskiem w oczodołach i postawił kilka niepewnych kroków po osuwisku. Nie chcąc ryzykować upadku, opadł na kolana jak zwierzę. Dalej pełził niemalże na czworakach, chwytając się co większych kamieni. Chciał jak najszybciej pokonać zdradliwy piarg, który w każdej chwili groził lawiną i niechybnym pogrzebem pod całunem gładów.

Agonia trwałaby godzinami.

Ku jego wściekłości była to najkrótsza droga na górskie siodło rozpięte pomiędzy dwoma szczytami, zdawałoby się, tuż nad jego głową. Jediną alternatywę stanowiła wspinaczka po skalnym licu, ale niosła ryzyko śmiertelnego upadku z wysokości. Powrotu na podgórze i marszu wybrzeżem Rycerz nie brał pod uwagę. Obawiał się, że panowie Prowansji nie wybaczyli mu jeszcze dawnych czynów i chętnie osadziliby go w zakratowanej celi albo z miejsca i bez zamieszania oddali katu.

Nie chcąc zawrócić, czołgał się wytrwale przez dwie godziny, gotowy udowodnić głosowi w swej głowie, iż nie ugnie się przed żadnym wyzwaniem. Kiedy wreszcie dotarł na szczyt przełęczy, ręce miał pocięte do żywego mięsa, kolczuga zaś wbijała mu się w ciało mimo bawełnianego kaftana, który nosił pod pancerzem. Wysięk opłacił się; Krzyżowiec stał teraz, zgarbiony od wysiłku, na przełęczy, spoglądając na swą dalszą drogę.

Roztaczał się stąd oszałamiający pejzaż górskich szczytów o koronach z zimowego lodu, wciąż zalegającego na skalistych skroniach. Nieco niżej w słońcu grzały się kamienne masywy, podtrzymujące najwyższe turnie, palcami kamiennych żeber sięgające do zacienionych dolin. W tych objęciach, pośród stromych kamiennych ścian, połyskiwała ciemna toń górskiego jeziora

Ignorując piękno otoczenia, Rycerz oderwał kilka pasów tkaniny z oponczy, aby obwiązać rany. Czekala go wyczerpująca wędrówka przez góry, gdzie nikt nie przybędzie mu z odsieczą, nawet gdyby mógł i potrafił. Tutaj wciąż kwitło dzikie życie, odgrodzone od ludzkich siedzib kamiennymi stokami. Człowiek był tylko gościem, niemile widzianym intruzem, którego przetrwanie zależało od kaprysu Natury oraz jej dzieci, które wędrowały ukrytymi dolinami.

Chociaż Rycerza nikt nie zaliczyłby już do grona żywych, ta przeprawa wciąż była dlań śmiertelnie niebezpieczna. Jeżeli rozerwać by jego członki albo spalić je, zmiażdżyć czy pociąć, zginąłby na miejscu jak każdy śmiertelnik, a niebezpieczeństwa te rychło mógł spotkać na swojej drodze. Mimo tego Krzyżowiec wolał podjąć to ryzyko niż podążyć z pozoru bezpieczniejszą drogą dokoła gór: czy to

morskim wybrzeżem, czy przez Wschodnią Marchię Cesarstwa Niemiec. Najłatwiej zaś byłoby powrócić do klasztornej celi, pozwalając, aby zmysły zgniły do końca w nabożnej ciszy, ale Rycerz na dobre zapalił się do myśli o powrocie na pole bitwy. Choćby miał przypłacić tę próbę swym martwym życiem, musiał powrócić pod mury Jeruzalem. Cudem wszak jest Ziemia Święta.

To właśnie oddzielało jego i jemu podobnych od innych ludzi. Nie martwe ciało i puste oczodoły – te nosiło na sobie wielu – tylko pustka spojrzenia. Nawet pozbawione oczu oblicze zdradzało, iż ten człowiek nie potrafiłby już żyć pośród innych, orząc ziemię czy obracając monetą. Jego milczenie, wyobcowanie i apatia sprawiały, że Rycerz był w stanie odnaleźć się tylko pośród swych braci oraz siostr, na polu walki. W bitewnym zgiełku, które na początku uczyniło z niego takie straszny.

Zapewne dlatego Krzyżowiec w ogóle poddał się nakazowi głosu, cicho szepczącego do jego ucha, aby ponownie wyruszyć na szlak. Szlak, który zawiedzie go z powrotem pod rozwinięte proporce rycerstwa Outremer. Był już tak dalece okaleczony, iż nie był w stanie istnieć bez miecza w dłoni, i nawet jeżeli świat obróciłby się na lepsze, zniknęłyby wojny i choroby, on pozostałby wypalony do szczytu. Wpatrywałby się przed siebie pustym wzrokiem, czekając na śmierć albo niszcząc wszystko, co przypominałoby mu o piekle, z którego się wyłonił.

Teraz jednak Rycerz miał przed sobą długą drogę. Najpierw musiał zejść z wysokości przełęczy. Nie zwlekając dłużej, ruszył pomiędzy ogromne głazy, które odpadły od wysokich turni i u ich podnóży utworzyły niezwykły, kamienny ogród. Rycerz kroczył ostrożnie, bokiem stawiając stopy, by nie wywołać lawiny bądź nie przebudzić drzemiących pod jego stopami koszmarów. Omijał szczeliny, trzymając się z daleka od sypkiego żwiru oraz płatów zmrożonego śniegu. Dzięki instynktowi wybierał najlepszą ścieżkę. Niedługo potem znalazł szybszą drogę w kierunku bijącej chłodem doliny. Spod kosodrzewiny, śniegu oraz cienkiej warstwy gleby wyłaniało się potężne żebro, opadające łagodnie ku strumieniowi płynącemu poniżej. Kościec ziemi, spękany i połamany, stanowił dla Krzyżowca wybawienie od nieustannego lawirowania pomiędzy osuwiskami oraz chybotliwymi odłamkami. Wdrapawszy się na żebro, Rycerz ruszył długim krokiem, kierując się w dół. Niedługo później zanurzył dłonie w lodowatej strudze wody, nagradzając siebie krótkim odpoczynkiem.

Zebrawszy tyle sił, ile jeszcze pozostało w zgłodniałym ciele, zaczął iść z biegiem strumienia, chociaż już wyraźnie wolniej i z mniejszą pewnością siebie. Był wygłodniały. Chwila oddechu przy strumieniu wystarczyła, aby jego martwe ciało ogarnęło znużenie, które teraz nie chciało go opuścić. Rycerz nie pamiętał, kiedy jadł cokolwiek: to musiało być jeszcze w klasztorze, w czasie tych nielicznych okazji, kiedy mnisi się posilali. Nigdy jednak nie zaspokoił w pełni swego głodu, bo braciszki karmili go chlebem, a nie żarem i węglami.

Krzyżowiec bezwiednie oblizwał spalone wargi językiem, usiłując przypomnieć sobie smak ostatniego posiłku. Na próżno. Jego wieloletni pobyt w klasztorze zlewał się w jeden obraz: kamienna cęła oświetlana przez blade światło niezliczonych poranków oraz ukryta w ciemnościach przez tyleż nocy. Nie było tam smaku, w jakim mógł rozsmakować się jego szerniały język. Tylko puste obrazy, spęczniałe od lat spędzonych w odosobnieniu.

Zgarbiony i głodny Rycerz maszerował obok strumienia, od czasu do czasu rozbryzgując wodę podeszwą buta. Teren wokół strugi był niemalże płaski, jedynie delikatnie pochylony w kierunku koryta potoku, jednakże to wystarczało, aby przyprawić Krzyżowca o nową troskę. Jego marsz był nierówny, utykał, a prawa stopa po kilku godzinach trudnego marszu paliła przy każdym kroku. Oczekiwanie na to krótkie ukłucie bólu wyolbrzymiało je; jego nieuchronność i powtarzalność zamieniały każdy krok w torturę.

Lewa stopa dotyka ziemi, a ból znika. Prawa wysuwa się naprzód. Rycerz łudzi się, iż tym razem cierpienie nie powróci. Prawa stopa dotyka ziemi, ciężar ciała przesuwają się. Jeszcze ułamek chwili i błyskawica bólu przeszywa ciało Krzyżowca, przyprawiając go o bolesny grymas niezadowolenia, który szybko nie zniknie z jego oblicza. Raz jeszcze: lewa noga wysuwa się naprzód i dotyka ziemi. Tym

razem mężczyzna uderza czubkiem buta o mały kamień, który wpada do strumienia. Może to dobry znak?

Rycerz przebywa jeszcze kilka kroków, zanim następuje obolała stopą na kamień i leci w lodowaty strumień. Zrywa się z wściekłością, gotów rozszarpać na kawałki wszystko, co tylko znajdzie się w zasięgu jego rąk. Prawa stopa zgina się z ohydny trzaskiem, a Krzyżowiec ponownie upada w kamieniste koryto.

Z wypalonego gardła dobywa się stłumiony ryk wściekłości. Pięści biją w wodę, aż rozpalony wzrok Rycerza pada na podłużny kamień leżący na dnie. Chwyta go, zaciska palce z całą mocą, próbując go udusić. Wykrzywione w grymasie wargi powtarzają bezgłośnie jedno słowo. Żądza mordy wypełnia oczodoły. Oparzone palce wpijają się w twardą skałę, chcąc wyrwać życie z przeciwnika.

Z czasem szaleństwo mija.

Ciężko dysząc, Rycerz wyczołgał się z wody. Prawa stopa wlokła się za nim, zupełnie bezwładna, wysadzona z panewki. Krzyżowiec spojrzał dokoła, ukrywając na moment twarz w dłoniach. Gdzieś w oddali kopyta uderzyły o kamienie, a echo niosło ze sobą beczenie górskich kozic. Przez chwilę mężczyzna siedział w kompletnym bezruchu, po czym odetchnął kilka razy, a jego oblicze przybrało poprzedni, apatyczny wyraz.

Z chrzęstem wepchnął swoją stopę na właściwie miejsce, po czym ruszył w dalszą drogę. Nie miał najmniejszej ochoty, aby cokolwiek spowalniało go w wędrówce. Krok za krokiem parł naprzód w nieco lepszym nastroju. Prawa stopa już nie paliła, kiedy stawiał ją na ziemi. Teraz cierpiała cały czas, lecz do bólu Rycerz gotów był przywyknąć. Odkrył przed sobą kolejny fragment własnego, poszatkowanego charakteru: cierpienie było mu całkiem miłe.

Okolo mili w dół biegu strumienia teren zaczął opadać: najpierw łagodnie, później coraz wyraźniej. Pomniejsze strugi wody spływały z podziemnych źródeł, dołączając do rodzeństwa płynącego dnem doliny. Nie minęło wiele czasu, a Rycerz szedł już obok szumiącej górskiej rzeki sunącej z rykiem przez kamienne stopnie. Śmiało pokonywał przełamania rzeki, skacząc z głazu na głaz. Noga wciąż mu doskwierała, jednakże teraz ból wydawał się odleglejszy. Nie był słabszy, lecz zmysły Rycerza zdążyły już otepnieć od nieustannego cierpienia.

Im niżej schodził Krzyżowiec, tym głośniejszy i rwący stawał się nurt rzeki, aż wreszcie uszy wypełniał mu ogłuszający ryk wody. Chociaż lodowata bryza przyprawiała go o dreszcz zimna, wolał trzymać się tej drogi. Miał pod dostatkiem wody, która nie potrafiła zaspokoić jego głodu, lecz wypełniała resztki żołądka, dając uludę posiłku.

Zbliżał się wieczór, szybko przynosząc ze sobą wydłużone cienie, zalewające górskie doliny. Na nizinach słońce miało jeszcze gościć przez kilka godzin, jednak skalny labirynt zazdrośnie odbierał życiodajne promienie. Płonąca tarcza zbliżała się powoli ku trójkątnej piramidzie masywnego szczytu, rzucającego złowrogi cień na całą dolinę. Rycerzowi zdawało się, że lada moment słońce osiadzie na skalnej iglicy, aby pozostać tam już na zawsze, bezruchem przynosząc śmierć wszystkiemu, co żyje.

Z zamyślenia wyrwał go podmuch wiatru. Najpierw poczuł go na plecach. Ciepły i łagodny dech pchał chmury ze wschodu na zachód, w kierunku obwiedzionych ciemnym konturem turniom. Rycerz zmarszczył oblicze, wyteżając wzrok. Coś poruszało się ponad zachodnimi szczytami, oddechem ściągając ku sobie wiatry i chmury. Po niebie przewalił się odległy ryk zgłodniałego drapieżnika, rozświetlając je błyskawicą. W ciągu krótkich chwil zza gór wyrósł czarny masyw burzowego wału. Łapczywa ciemność przesłoniła słońce, przywołując nad dolinę przedwczesną noc. Choćby nawet wydarzył się cud i burza rozplynęłaby się bez śladu, słońca by już tam nie było. Zniknęło, zdjęte strachem przed pierwotnym żywiołem, pozostawiając swoje dzieci na pastwę ciemności.

Rycerz potoczył dokoła czujnym spojrzeniem, odnajdując się na nowo w upiornej dolinie. Umierające światło słońca szybko zniknęło, ustępując miejsca jaskrawym błyskom piorunów, rozcinających co chwila nieboskłon. Łagodny wiatr zamienił się w szalejącą wichurę, gotową ruszyć z posad nawet najstarsze głazy. Gdzieś w oddali, w górze doliny, z grzmotem i hukami od skalnego lica

oderwała się lawina. Po chwili kolejny ryk przetoczył się pomiędzy szczytami; tymrazem nie był to odgłos zbliżającej się burzy.

Krzyżowiec ruszył biegiem w dół rzeki. Nie chciał teraz, po zmroku, szukać odpowiedniej rozpadliny, w którą mógłby się wcisnąć. Obawiał się, że wraz z dogodną kryjówką odnalazłby również jej gospodarza. Poprzez wycie wiatru do jego uszu dobiegł przeciągły skowyt zakończony wysoką nutą.

Błyskawica rozpałała dolinę, zalewając ją ostrym światłem. Mgnienie oka później ogłuszający trzask pioruna przyćmił nawałnicę. Krzyżowiec zamarł w bezruchu. Kolejny błysk, tym razem bliżej. Trzeci grom uderzył w niedaleki szczyt, krzesząc fontannę iskier. W serii błysków Rycerz dostrzegł coś przed sobą: ciemną sylwetkę. Początkowo uznał to za ogromny głaz, jednak głazy nie poruszają się pomiędzy uderzeniami piorunów. Nie w górę zbocza i nie skokami.

Mrok ponownie spowił okolicę.

Rycerz sięgnął powoli ku rękojeści miecza. Już miał wyszarpnąć swego wiernego towarzysza walki, kiedy opuszkami palców dotknął czegoś twardego i kulistego. Czaszka Pielgrzyma, ofiarowana mu przez przewoźnika na rzece. Chwycił gorejącą kość, która natychmiast rozpałała się żywym ogniem. Cisnął jasnym pociskiem przed siebie, samemu skacząc w spieniony nurt rzeki. Ciężar kolczugi pociągnął go na dno, a nad nim zamknął się sarkofag z czarnej wody. Teraz pozostawała mu tylko nadzieja, że gorejąca czaszka odciągnie uwagę nocnych drapieżników aż do świtu.

Pod wodą panował spokój, jakiego nie znał świat po drugiej stronie powierzchni. Szum rwącego nurtu był jednostajny. Dawał ułudę bezpieczeństwa oraz odrobinę nadziei, iż nic nie naruszy tego sanktuarium. Odgłosy nawałnicy, burzy oraz tego, co kroczyło ponad wodami, były tak ciche, jakby dochodziły z oddali. Jakby nic złego nie mogło się wydarzyć, a pancerne i zbrojne drapieżniki nie były w stanie pokonać tej płynnej bariery, odgradzającej ich ofiarę od śmierci.

Godziny płynęły powoli, w przeciwieństwie do rzeki, która przybrała na sile po gwałtownym deszczu. Spoczywając w bezruchu na dnie, Rycerz z cierpliwością Hioba znosił lodowatą niedolę. Kiedy wreszcie burza przycichła, a księżyc oświetlił srebrnym blaskiem dolinę, Krzyżowiec odważył się wyjrzeć nad powierzchnię wody. Wkoło panował złudny spokój, zachęcający do wydostania się na ciepły i suchy brzeg. Dla zmokłego do kości Rycerza była to potężna pokusa. Wilgoć, uczucie bycia mokrym, płyn przelewający się przez nozdrza, zatoki i usta były nie do zniesienia, niczym tortura. Powoli wizja rozszarpania na kawałki i pożarcia żywcem stawała się kuszącym wyborem wobec spędzenia w wodzie choćby jeszcze jednej chwili.

Przez ciało Rycerza przebiegło drzenie.

Nagle ogarnęła go niepowstrzymana chęć, aby wstać i zacząć biec, inaczej oni go znajdą. Palce prawej dłoni zafalowały w nieskoordynowanym skurczu. W piersi pojawił się ucisk, jakby ktoś oparł się na niej kolaniem. Z trudem opanował chęć roztrzaskania się o kamienie. Cała jego postać zwinęła się w konwulsjach, czółgając się ku brzegowi. Już ten ochłap człowieka miał się zerwać do biegu, byle dalej od wodnego więzienia, kiedy rozum na moment wziął górę. Krzyżowiec zastygł w bezruchu, a następnie wczółgał się, bardzo powoli, na powrót do wody.

Ciemności nie były puste. Sama bliskość nocnych drapieżników niemalże pomieszała resztki zmysłów Rycerza. Zdołał im oprzeć się tylko dlatego, iż z wielkiej odległości dochodziło wycie. Na moment tylko ich wielobarwne ślepie musiały prześlizgnąć się po jego postaci, rażąc go szaleństwem. Resztę nocy spędził uczipiony kamieni sterczących z dna, walcząc z silnym prądem. Jednak i tym razem Fortuna uśmiechnęła się do niego.

Przetrwał.

O świcie wypęłzył na brzeg jak zwierzę, ciągnąc brzuch oraz nogi po żwirze. Był kompletnie wyczerpany, a przed sobą miał cały dzień marszu. Dolina była spokojna, jakby zawstydzona swym nocnym gniewem. Z odległości dochodziło beczenie kozic, co Rycerz potraktował jako dobry omen. Jeżeli one czuły się bezpiecznie, to i on mógł ruszyć w drogę, chociaż nie zdoła pokonywać górskich

szczytów z równą gracją. Z trudem zrobił kilka kroków.

Czaszka Pielgrzyma leżała bez szwanku na szerniałej od ognia skale, ubyło jedynie nieco wosku z oczodołów. Zebrawszy swoją ruchomość, Rycerz podjął przerwana podróż, licząc na to, że dzisiejszą noc spędzi w bezpieczniejszej okolicy.

Pomimo zmęczenia żwawo kuśtykał z biegiem rzeki. Kilkaset kroków dalej odnalazł szkielet jakiegoś stworzenia, wklinowany pomiędzy głązy. Kości były wbite w wąską szczelinę uderzeniem nadludzkiej siły, zapewne przez wezbrane wody rzeki w czasie roztopów. Rycerz spojrzął przez ramię, w kierunku ośnieżonych szczytów, wiedząc, iż może czekać go podobny los. Wyszarpnął najdłuższą kość i podpierając się nią jak laską, ruszył dalej.

Kolejne mile wędrówki mijały powoli. Ponad głową Rycerza płynęły chmury, pchane zimnym wiatrem, on zaś zatrzymywał się z rzadka, aby obejrzeć ich lot, próbując dociec nadchodzącej pogody. Czynił tak raczej z przyzwyczajenia niż z konieczności; na aurę nie miał żadnego wpływu, a kolejna noc w tych górach była niepotrzebnym kuszeniem losu. Zwłaszcza że ten, jak do tej pory, okazywał się aż nadto szczodry. Nadużycie jego cierpliwości oznaczało gniew bogini Fortuny, a żadna siła nie mogłaby już ocalić Rycerza, jeżeli jego tropem podążyłaby wzgardzona kobieta.

Pomny tej myśli Krzyżowiec maszerował wytrwale, krzywiąc się w duchu na podobieństwo uśmiechu. Z pewnością byłby to widok godny uwiecznienia w trubadurskich wersetach. Byłby tam samotny rycerz, którego nieodwzajemnionym uczuciem obdarowała sama Fortuna. Ona próbuje go zwabić w swe ramiona, wydobywając go nawet z największych tarapatów, on jednak ją kompletnie ignoruje, przypisując powodzenie swojej sile. Wreszcie, aby historia miała piękny morał, samolubny wojownik ginie przez swoją dumę, z ręki innego, który docenił wdzięki Fortuny. Później kochankowie mogą bez przeszkód w sypialni uprawiać najrozkoszniejszą z winnic, zbierając słodkie owoce ku uciechu słuchających.

Kuśtykający Rycerz pokręcił głową, unosząc kącik poparzonych ust. W jego przypadku pieśń byłaby znacznie krótsza. Zginąłby, miejscem jego pochówku stałoby się martwe pustkowie, a jako grabarze zjawilyby się dzikie psy. W końcu cóż to za bohater bez widowni, która swym uznaniem zamieni heroiczny czyn w legendę? Bez niej nawet największe dokonanie zostaje szybko zapomniane i umiera wraz z herosem. Świat pełen był zapomnianych czempionów, opowieści zaś były pełne romantycznych bohaterów, którzy potrafili jedynie rzec kilka słów i tragicznie zginąć, najczęściej przez własną głupotę.

Chociaż Krzyżowiec nie dostrzegał zmiany, podróż pod przewodnictwem głosu mu służyła. Powoli jego zmysły uwalniały się z mroków klasztornej celi i wyostrzały. Były jak cień rzucany na ścianę jaskini, tym wyraźniejszy, im bliżej znajdowało się światło. Nie wiedział, jaką drogą zaprowadzi go do Jeruzalem podszept czerwia, ale w tej materii zdawał się kompletnie na głos; w istocie niewiele go obchodziło, jakie krainy przyjdzie mu zdeptać. Jeżeli było tam miejsce dla wojennego rzemieślnika oraz sowita zapłata, będzie kontent.

Nie dla niego rycerskie porywy ducha, on wiedział, że to chlubne miano wyrastało wprost z korzenia ludzkiego okrucieństwa. Nie było nic więcej niż prawda, a tą prawdą była wojna. Teraz natomiast liczyło się tylko to, iż maszerował, choć mozolnie, ku swemu przeznaczeniu. Miał cel, jak mniemał ukryty przed poruczeniami głosu. Kiedyś, w poprzednim życiu, mógł ruszyć na krucjatę ze szczerej chęci pomocy chrześcijanom ze Wschodu, ale teraz śmierć wybawiła go od brzemienia dobrych intencji. Te dawno zgniły w klasztornej celi, pozostawiając jedynie drapieżną skorupę. Teraz musiał brnąć naprzód, uciekając przed kolejną nocą pośród niegościnnnych szczytów.

Skaliste góry tutaj opadały coraz niżej, zamieniając śnieżne kaptury na spiczaste korony świerków. Podążając z biegiem rzeki, Rycerz wkroczył do zacisznego zagajnika, pomiędzy forpocztę ogromnych lasów porastających pofalowane wzgórza rozciągające się w cieniu potężnych kuzynów. Z opadłych gałęzi postawił mały szałas pod świerkowym pnem, w którym skulił się na posłaniu z jedliny. Złożywszy głowę na kolanach, nasłuchiwał głosów dochodzących z ciemności. Powietrze było tutaj spokojne, mimo

dmącego wiatru. Pomiędzy drzewami przesunęły się ciemne sylwety jeleni. Zwierzęta unosiły co chwila dumne głowy zwieńczone rozłożystym porożem. Z samcami wędrowały łanie wraz oraz ich potomstwo, znanymi sobie ścieżkami do wodopoju. Przeszły ledwie kilka kroków od kryjówki Rycerza, nie spostrzegając jego obecności. On zaś obserwował je w bezruchu, biorąc ich obecność za znak przychylności losu. Skoro łanie nie lękają się prowadzić swych dzieci w to miejsce, to i on może tutaj odpocząć bez obaw. Zanim pogrążył się w pozbawionych marzeń odmętach snu, zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo brakowało mu tej nieskrępowanej wolności.

*

Obudził go słoneczny, acz lodowaty poranek.

Złote promienie wpadały przez gałęzie, padając na jego twarz, rozgrzewając ciało oraz umysł. Rycerz rozebrał swój szalas, rozrzucając jego pozostałości tak, aby nikt nie rozpoznał miejsca, w którym spędził noc. Uczyniwszy to, podjął wędrowkę, odrzucając kościaną laskę; pozostawił za plecami rzekę oraz wysokie góry, skierował się na południowy wschód.

Tutaj skały pokryte były cienkim płaszczem ziemi, po którym stopy biegły z nową lekkością. Zapach żywicy przydał wędrowcowi sił, a łyk rześkiej wody odegnał zmęczenie. Ponad głową Rycerza dał lodowaty wiatr, pchając przed sobą zwały ciemnych chmur. Co kilka chwil powietrze zamierało w bezruchu, aby znów, jakby wypuszczone z płuc olbrzyma, pochylić drzewa ku ziemi. Wtedy uszy Krzyżowca wypełniał szum podobny do tego, który przynosi ze sobą fala przyboju. Spoglądając ku niebu, pomiędzy koronami drzew, można było ulec złudzeniu, iż przestwór zastąpiły morskie odmęty. Skłębione chmury były falami przetaczającymi się nad dnem porośniętym świerkami oraz buczyną.

Ta refleksja towarzyszyła Rycerzowi, aż odnalazł zarośniętą drogę, która poprowadziła go wzdłuż stoku, omijając źródliskowy lej strumienia. Tutaj rosły już w przeważającej części wiekowe buki, o pniach poznaczonych bliznami otwartych oczu. Ze spokojem obserwowały one egzystencję pomniejszych istot, których istnienie wydawało im się tak krótkie, iż niewarte uwagi. Z rzadka tylko drzewa opuszczały swoje miejsce, pozostawiając po sobie głębokie leje w leśnej głuszy. Gdzie zmierzały, tego nie wiedział nikt. Podróżnicy wspominali, iż wędrowały one po zmroku, głębokimi głosami nawołując pobratymców, a ich słowa unosił ze sobą nocny wiatr.

Chociaż bezustanne spojrzenie dziesiątków nieprzychylnych oczu niezbyt przypadło Rycerzowi do serca, droga prowadziła go w pożądanym kierunku. W prześwitach między drzewami dostrzegał już leżącą w oddali krainę Lombardów, a za nią, zakryte welonem mgły, rozciągały się zielone równiny Padu. Miły był to widok dla Rycerza, wkraczał bowiem do krainy, gdzie zawadiacy najpodlejszego sortu mogli znaleźć sakiewkę leżącą na ulicy, jeżeli wcześniej pchnęli nożem jej właściciela. Rycerz upatrywał w tym miejscu łatwej okazji do uszczknięcia ułamka tego bogactwa. Wszystko to, aby wyruszyć na wielce pobożną pielgrzymkę do Grobu Pańskiego.

Leśna droga opuszczała las przez zieloną bramę bukowych gałęzi, prowadząc Rycerza na rozległą polanę. Z powodów nieznanых Krzyżowcowi na północ od gór świat wciąż trwał na progu zimy i wiosny, tutaj zaś panował przyjemny sierpień. Wysoka żółta trawa sięgała biodra, ciężkie owoce jeżyny nieomal dotykały ziemi, a powietrze przesycone było przyjemną wonią lata. Wspaniała odmiana po chorobliwych terenach wokół Awinionu, jednak Rycerz wiedział, że ta radość nie potrwa długo. Nawet tak zaciszne i ustronne miejsca jak górskie stoki skrywają swoje mroczne oblicze. Iluż to ludzi zaginęło bez wieści pomiędzy szczytami oraz dolinami? Jeżeli po latach ktoś odnalazł zmasakrowane szkielety, wrzucił do dołu i opatrzył modlitwą, to można było mówić o wielkim szczęściu. Częściej owe doczesne szczątki pozostawały w górach, z rzadka dzielących się swymi sekretami.

Mniej więcej w połowie polany rosła kępa krzewów oraz chwastów wokół kilku jabłoni. Rycerz przyjrzał się drzewom, zrywając mały zielony owoc. Nie mógł on zaspokoić jego głodu, Krzyżowiec nie

poczuł nawet smaku zwęglonym językiem, mimo tego starym odruchem ugryzł jabłko. Niedaleko drzew wzrastały wysokie pokrzywy, pochylając parzące łodygi na wietrze. Rycerz potoczył wzrokiem dokoła, raz jeszcze przyglądając się polanie. Zasłonił oczodoły dłonią, w groteskowy sposób naśladowując przymknięcie powiek, po czym znów spojrzął na otwartą przestrzeń. Skarlałe jabłonie, bujnie rosnące pokrzywy, nienaturalnie równe przełamania terenu, siedząca na gałęzi sroka, dziko rosnące kępy zbóż...

Krzyżowiec wszedł między pokrzywy, rozgarniając je poparzoną dłonią. Szybko jego stopa natrafiła na zbutwiałą belkę, przykrytą kobiercem trawy. Tuż obok spoczywał przeżarty rdzą garnek, z którego uciekła brązowa jaszczurka, gdy tylko dostrzegła intruza. Nieco dalej ziemia zapadała się w miejscu, gdzie niegdyś znajdowała się piwniczka. Tylko kilka obrobionych kamieni zdradzało przeszłość tego niewielkiego leja. Rycerz padł na kolana, odkopując rumowisko rękoma. Z chciwym błyskiem w oczodołach odrzucał kamienie na bok. Marne jednak skarby odnalazł: same gliniane odłamki garnków, zmiażdżone przed wieloma laty przez sklepienie walącej się piwnicy.

Opodal natrafił na ruiny chaty, których nie dostrzegł wcześniej zza kurtyny wysokiej trawy. Przekroczył próg, trącając końcówką buta cynowy kubek. Na pierwszy rzut oka nie było w tym rumowisku niczego godnego uwagi, jedynie połamane belki, krzesła, fragmenty półek oraz łoża, a także wszelkie domowe sprzęty zniszczone przez czas. Rycerz odgarnął kilka belek w poszukiwaniu łupów, licząc na uśmiech szczęścia. Tym razem jednak zamiast złota odnalazł stos pożółkłych kości, wrzucony niedbale do drewnianej skrzynki. Obok stała wyszczerbiona ludzka czaszka. Krzyżowiec obejrzał dokładnie kości, znajdując na nich ślady noża oraz zębów, znacznie mniejszych od wilczych. Ponadto niektóre z nich miały obcięte końce oraz przypieczone krawędzie, jakby ktoś podzielił je tasakiem na pieczeń. Wizja człowieka pożerającego innego człowieka wielu przywiodłaby do mdłości oraz wymiotów, jednakże Rycerz pamiętał dobrze oblężenie Ma'arratan-Numan w czasie pierwszej z krucjat. Nie zapomniał jeszcze tamtego głodu ani tego, co wtedy uczynił wraz z kompanami, aby go zaspokoić.

Krzyżowiec powrócił na drogę, nie zastanawiając się już nad swym odkryciem. Nie było to dla niego zaskoczeniem, iż przywiedzeni do ostateczności przez zarazę ludzie są śmiertelnie niebezpieczni, zupełnie jak dzikie zwierzęta. Każda katastrofa w historii ludzkości zdawała się mieć własny panteon bohaterów oraz nikczemnych dusz, których zalety i wady tym jaśniej było widać, im dotkliwszy nastawał kataklizm.

Dziś to zaraza oraz rozkład toczyły ród Adama.

Jednakże to tych gładkich i niedotkniętych przez spalenie należało się wystrzegać po dwakroć. Jakie obrzydliwe pakta zawarli ci ludzie, których nieczyste siły chroniły przed takim losem? Mówiono, że oddają oni ofiarę z ciała i krwi zamordowanych niewiniątek oraz dziewic, sprzedają swoją duszę, spożywają ludzkie serca, oddają kult pogańskim demonom i dopuszczają się rozpusty ze zwierzętami, kupczą cudzym życiem, jako zastaw biorąc lata czyjegoś życia.

Czy to ich rzeczywiście chroniło przed zepsuciem, czy to tylko ludzka zawiść tworzyła potwory z własnych braci, którym los nie zesłał tylu nieszczęść? Człowiek szybki jest do obwinienia Boga o swoje niepowodzenia, kiedy łatwo można znaleźć ludzką przyczynę jego kłopotów.

Daleko więc sięga zepsucie ludzkiego rodu.

Może prawdą jest, że zaraza nie ma z tym nic wspólnego, lecz jedynym złem obecnym są chimeryczne zakusy ludzkiej duszy? Inne czasy wcale nie będą szczęśliwsze, bo wciąż żywy będzie korzeń wszelkiego zła – ułomność człowieka.

Jałowe spory Rycerza z głosem trwały do popołudnia, kiedy Krzyżowiec dotarł na pozbawioną drzew kopułę szczytu, skąd mógł rozejrzeć się po okolicy. Ku jego zadowoleniu górski grzbiet, za którego przewodem podążał, wiódł ku szerokiej dolinie, gdzie dało się dostrzec ślady ludzkiej bytności. Mężczyzna podejrzewał nawet, że schodząc w dół zbocza, napotka pasterzy albo ich gospodarstwa. Mając zamiar iść tak długo, aż opadnie kompletnie z sił, ruszył z wietrznego szczytu, ponownie zagłębiając się w las. Nie uszedł nawet mili, kiedy do jego nozdrzy dotarł zapach dymu. Nie zaniepokoiło

go to, nie zaprzętał sobie tym głowy, poczytując dym za zwiastun rychłego dotarcia do ludzkich osiedli. Nie pomylił się i kiedy las ustąpił miejsca rozległej hali, dostrzegł dymiące ruiny kilku chat.

Tym sposobem Rycerz dotarł na powrót do cywilizacji.

Przez wciąż żarzące się zgliszcza ruszył ostrożnie ku zabudowaniom. Na razie nie chciał dobywać miecza. Z doświadczenia wiedział, że widok człowieka z ostrzem w dłoni budzi w innych ludziach agresję i przyciąga rozliczne nieszczęścia, takie jak strzały, oszczepy oraz bełty. Ufając raczej w swoje szczęście oraz moc kolczugi, Rycerz wkroczył pomiędzy dymiące chaty. Pośród budynków, na ziemi i w nieładzie, leżały szerniałe truchła zwierząt oraz ludzi. Zabitym brakowało dłoni, obciętych z zawodową wprawą w nadgarstku. Nieruchome twarze spoglądały na Rycerza spomiędzy traw, powykrzywiane przez strach, ból oraz cierpienie. Krzyżowiec przestąpił ponad odrąbaną nogą, ignorując woń spalenizny. Wiele widział już podobnych obejść, dotkniętych przez wojennego boga, toteż miast obrzydzenia czy strachu poczuł rodzaj ulgi. Takie miejsca były jego domem i tak jak w domowym zaciszu ktoś zawsze czekał w progu.

Zza węgła spalonej chaty wyłonił się barczysty zbrojny, odziany w kolczugę oraz dzwonowaty hełm zakrywający całą twarz, z wyjątkiem okrągłych otworów na oczy. Te błyszcząły jak ogień. W jego rękę spoczywała naciągnięta kusza.

– Wszelki duch Pana Boga chwali – odezwał się zbrojny. Głos miał całkiem miły, podszyty szczerością. – Kim jesteś i skąd przybywasz?

Rycerz uniósł otwartą dłoń na powitanie, a następnie wskazał na czerwony krzyż na swej tunice.

– Krzyżowiec? – odrzekł zbrojny, nieco zaskoczony. Przez moment milczał, ale nie opuścił kuszy. – Nie jesteście przypadkiem jednym ze zbirów od Torgolione? Nie chcielibyśmy tego.

Rycerz pokręcił głową.

– Słowo honoru? W takim razie nie uchybiam gościnności. – Zbrojny skłonił się dwornie, otoczony wypalonymi domami. – Nazywam się Azzo Nicotera z Cremony, wolny sierżant w służbie pani Fortuny, który przybył do tej krainy w poszukiwaniu jej łask i jak widzisz wkoło, znajduje ich mnogość.

Krzyżowiec odpowiedział ukłonem. Dotknął palcem gardła, a następnie pokręcił głową.

– Niemowa? Nie kłopotz się o to, przyjacielu. – Azzo machnął ręką. – Zapraszam do mego ogniska na posiłek. Z pewnością służba Bogu na piechotę zaostrza apetyt.

Zaprowadził przybysza poza obręb wioski, gdzie dymiło niemalże wypalone ognisko. Wokół niego leżały koce, garnki oraz końskie juki, wypchane po brzegi zrabowanymi z wioski dobrami. Rzeczą najbardziej jednak przykuwającą uwagę Krzyżowca były ławki oraz słupki do wiązania zwierząt wzniesione z ludzkich ciał. Kilka rozsiodłanych rumaków, przywiązanych do białego po pas w ziemię mężczyzny, skubało trawę. Przy ogniu siedział jeszcze jeden zbrojny, rozparty na szerokim tronie ze szczątków obydwu płci, z wielkim hełmem spoczywającym na kolanach, jednak nawet nie spojrzał ku przybyszom. Odrąbane kończyny stanowiły podnóżki oraz podłokietniki, a głowy tworzyły krąg wokół paleniska. Wszystkim jednak brakowało dłoni, które zapewne stanowiły łup grabieżców.

– Zapraszam. – Azzo wskazał dłonią jedno z siedzisk, sam zaś opadł na ławkę obok już siedzącego zbrojnego.

Krzyżowiec dopiero teraz dostrzegł, iż jego gospodarz ma zrośnięte palce lewej ręki.

– Oto przywódca naszej małej kompanii, Roger d’Melfi – rzekł Azzo, trącając siedzącego obok zbrojnego, do tej pory milcząco wpatrującego się w ogień. – Niestety dobry rycerz d’Melfi miał nieprzyjemność spotkać się wczoraj z kostuchą, przez co opuścił ten padół rozpaczy na rzecz figlowania w piekle z diabolicami.

Sierżant zaśmiał się zupełnie szczerze, obejmując martwego kompana o twarzy zmiażdżonej wieloma uderzeniami maczugi. Krzyżowiec sięgnął do ogniska po garść wiśniowego żaru i pożarł go z chrzęstem. Wreszcie poczuł w ustach swojski smak śmierci, spalenizny oraz ruin. Ten smak przywracał mu nadwątlone siły lepiej niż jakiegokolwiek chleb czy wino.

– Powiedz, mój milczący przyjacielu – zaczął Azzo, kierując lśniące spojrzenie na Rycerza – nie powodzi wam się najlepiej. Bez konia, bez giermka, wygłodniały jak stado wilków, nawet bez kupki żaru, którą moglibyście zjeść.

Krzyżowiec skinął głową. Nie było sensu unosić się dumą, kiedy sierżant mówił prawdę.

– Ślub wyprawy krzyżowej to chwalebny zamysł, ale dosyć drogi, jeżeli pamięć mnie nie myli. Wenecjanie dalej uważają, że najważniejsze dla dobra krucjaty jest oskubanie każdego pielgrzyma do gołej rzyci, złamanie kilku paktów oraz zrabowanie jakiegoś miasta – ciągnął dalej Nicotera, kręcąc palcem w powietrzu, jakby nawijał nań nitkę. – Co byś rzekł na taką oto ofertę? W zamian za kilka dni twego czasu, powiedzmy, że byłby to okres zawieszonyj powinności wobec twej krucjaty, otrzymałbyś udział w łupach świętej pamięci pana d’Melfi.

Krzyżowiec uśmiechnął się, czując, że los ponownie zesłał mu swe dary. Czerw pod jego czaszką zachnął się, niemalże jak człowiek.

– Zatrzymałbyś oczywiście jego rumaka i rząd – dodał Azzo, wskazując kciukiem na kasztanowego konia pasącego się opodal. – W zamian zająłbyś miejsce pana Rogera w czasie naszego małego rajdu, a swoją nagrodę odebrałbyś na granicy tokańskich ziem, gdzie zapewne rozstalibyśmy się, jako że moja kompania zmierza ku Florencji. Czy taka oferta przypada ci do gustu?

Rycerz zgodził się ruchem głowy. Kierunek wyprawy był dla niego szczęśliwy, a perspektywa łupów, które wspomogą go w podróży, stanowiła potężną pokusę. Co więcej, będzie mógł nareszcie pozbawić kogoś życia. Nie było ważne, komu miał służyć albo kogo miał zgładzić, aby otrzymać swą nagrodę. Świat był pełen ludzi gotowych sypnąć srebrem dla najemników, byle tylko ich zamierzenia dobiegły szczęśliwego końca. Oni, ludzie sprzedający swój morderczy fach, byli jak padlinożerne ptaki, a tych nikt nie oskarża, kiedy zasiadają do żerowania. Należy raczej winić ich pracodawców; przynajmniej tak usprawiedliwiał w tej chwili Krzyżowiec swoje postępowanie.

– Wybornie! – Azzo klasnął w dłonie. – Ruszemy ze świtem i zagarniemy stada owiec. Nie dziw się, przyjacielu, tutaj stada są warte poważne pieniądze. Miejskie republiki posyłają niemałe siły, aby wydrzeć je przeciwnikom. Ładną sumkę zdobędziemy na tych kudłatych czworonogach...

Nicotera ściągnął normański hełm, ukazując swoje odrażające oblicze. Skóra sierżanta miała odcień cynamonu, przecinały ją czerwone pręgi. Wargi odsłaniały dwa złote zęby, błyskające pomiędzy szerniałymi kłami. Na ten widok Rycerz pokiwał głową, rozumiejąc, dlaczego jego nowy kompan preferował hełm z zasłoną twarzy.

– Diabelska gęba – powiedział Nicotera, łowiąc błyski w oczodołach Krzyżowca. – To całkiem zabawne, nie uważasz? Widząc ciebie, z twoją trupią maską, nikt nie sięgnie po kamień, a mnie chcieli zatłuc tuż po narodzinach. Mówili wtedy, że moja matka pokładała się z diabłem, a ja jestem opętany przez siły ciemności. Zabobonny plebs gotów jest zrzucić winę na każdego, kto wygląda choćby odrobinę inaczej. – Italczyk prychnął z rozdrażnieniem, aby po chwili zachichotać. – Być może byli bliżej prawdy, niż się zdaje.

Krzyżowiec słuchał słów Azzo, nie przywiązując do nich specjalnej wagi. Żuł rozpalone węgle, rozniecając w sobie żar życia. Z każdym ruchem żuchwy czuł się coraz bardziej ludzki. Powracały do niego, chociaż powoli, wspomnienia uczuć tak często opiewane w trubadurskich pieśniach. Nienawiść, miłość, pożądanie i miłosierdzie. Wreszcie nieco lepiej rozumiał otaczających go ludzi, ich namiętne zrywy oraz wykalkulowaną furję, odmierzaną kroplami trucizny wpadającej do kielicha. Nowo odkryte uczucia, chociaż płynęły jeszcze wąską strugą, przystroiły świat w wiele nowych, barwnych odczuć: w pożądliwy błysk złota, chłodną pewność władzy, uniesienie bitewnego szału, kuszący uśmiech karminowych ust, szelest jedwabiu ocierającego się o nagą skórę.

Rycerz mimowolnie zadrżał od tych wspomnień. Były to tylko pojedyncze obrazy, ale były one tak sugestywne i pełne emocji, iż niemal czuł w ustach ich smak. Jeżeli ta garść zblakłych chwil, tych jesiennych liści przeszłości, miała taką siłę, to jakież katusze cierpieli ludzie w pełni czujący? Musieli

tracić zmysły pod naporem tyłuż emocji, uciech oraz doznań. Nie lepiej pędzić żywot wypalonej skorupy, która stanowi jedynie cień dawnej egzystencji, jednak mieć pewność, że będzie to cień spokojny?

Pochwalony jest więc umysł zbyt mały na porywy uczuć i wątpliwości. Czyż Pismo nie mówi, iż to do ubogich w duchu będzie należeć Królestwo Niebieskie?

Zbyt łatwa ta wymówka zdawała się dla głosu, wciąż drążącego myśli Rycerza niczym czerw w padlinie. Laury i uznanie zdobywa ten, który podejmuje trudne przedsięwzięcia właśnie dlatego, że są trudne. Nikt nie nazywa człowieka bystrym po tym, jak wypatrzył górę, albo szczególnie zręcznym po krótkiej przejażdżce na grzbiecie oswojonego konia. To trudności oraz walka ze słabością czynią ludzi wielkimi.

– Nad czym tak dumacie, panie rycerzu? – odezwał się Nicotera, kawałkiem szmatki polerując sztych miecza. – Ach, tępak ze mnie. Jak możesz odpowiedzieć, jeżeli twoje wargi nie ścierpią słów? Wybaczcie. W zamian mogę opowiedzieć wam krótką, acz wielce pouczającą opowieść o grabarzu, pięknej dziewczynie, ludzkiej zawiści oraz potędze miłości. – Nie czekając na zgodę, Azzo rozsiadł się wygodniej, położył nogi na odciętej głowie kobiety o anielskiej twarzy i zaczął deklamować: – Nie tak całkiem dawno temu w murach Florencji żył sobie młody grabarz imieniem Kosma, który po ojcu odziedziczył łopatę oraz nazwisko Florentini. Trafnie to nazwisko pasowało do miasta, w którym zamieszkiwał, oraz do charakteru młodzieńca, uwielbiał on bowiem kwiaty, co wielce zjednywało mu uwagę najpiękniejszych różyczek Florencji. Chociaż Kosma był urodziwy, silny i dwornie się wystawiał, a ubierał się ze smakiem, dziewczęta nie garnęły się w jego ramiona. Póki zabawiał je rozmową i obdarowywał kwiatami, mrugały do niego zalotnie, podwijały suknie, niby to przypadkiem. Sami zresztą wiecie, jak te diabllice potrafią się przymilać, jeżeli ktoś im wpadnie w oko. W każdym razie Kosma nie miał szczęścia w amorach. Kiedy ptaszynki dowiadywały się o jego zawódzie, przestawiały zlatywać ku jego gniazdku, nie dopuszczając Kosmy pod swoje piórka. Tak więc nasz młody grabarz, z powodu swego wielce pożytecznego zawodu, nie mógł znaleźć damy chętnej do ślubu. Smuciło go to, gdyż wizyty u kurtyzany imieniem Lukrecja powoli wywoływały u niego niestosowną chęć poślubienia owej kobiety o pięknej aparycji, lecz towarzyskiej z zawodu oraz lubieżnej z charakteru. Trzeba prawdę jednak oddać Lukrecji, iż nie była to jedna z tych tanich ladacznic zamieszkujących na piętrze jakiegoś czeladnika od wyrobu świec. Lukrecja była damą, tyle że na sprzedaż. Z tej niedoli Kosmę wyzwoliła słodka białogłowa imieniem Filomena. Jej obycie przewyższało urodę, która z kolei przyćmiewała jej rówieśnice. Kiedy młodzieniec zobaczył jej jasne włosy upięte złotą wstążką i białe lico, strzała Amora wybiła z jego głowy wizyty u Lukrecji na rzecz świeżej jak rosa Filomeny. Filomena była córką bankiera Nicollo Octavianiego, który sprowadził się do Florencji z Rzymu po kolejnych starciach Gibelinów i Gwelfów. Ale to nieważne teraz, grunt, że Filomena była piękną i apetyczną młódką z równie apetycznym posagiem. Na dodatek wcale nie przeszkadzało jej makabryczne zajęcie Kosmy, toteż parka naszych gołąbeczków gruchała w zgodnym rytmie miłosnych zalotów. – Azzo na moment przerwał. Pociągnął solidny łyk z bukłaka. – Moje porównania nie są zbyt dobre, prawda? – spytał, ocierając dłonią wydatne wargi. – Drugi Boccaccio ze mnie nie wyrośnie.

Rycerz machnął ręką, każąc mu kontynuować. W istocie niewiele obchodziła go ta opowieść.

– Tak więc Kosma i Filomena mieli się ku sobie tak mocno, iż najpierw wpadli sobie w ramiona, a następnie nieokiełznana namiętność wepchnęła ich do łożnicy. Wdzięki Filomeny mimo jej młodego wieku były już w pełni dojrzałe i gotowe na pieszczoty małżeńskiego stanu. Kosma w swym uniesieniu mógł chwycić w dłonie jej twarde jak kość słoniowa piersi i wsłuchiwać się w słodki głos lubej, która co chwila szeptała jego imię. Do miłosnego dzieła kochankowie brali się z zapalem tej nocy wiele razy, aż zaprzestali uciech ze względu na stan swego łoża. Wtedy to przenieśli się w inne miejsca, by dokonywać zbożnego dzieła w innej pozycji. Filomena miała jeszcze jednego wielbiciela, który nie mógł znieść konkurenta i postanowił wkroczyć pomiędzy kochanków. Był to jakiś młodziak, imienia teraz nie pomnę, chyba jakiś Pazzi czy Scozzi. Jeden z takich, co nie znoszą odmowy i mają na tyle wpływowych

krewnych, że wszystko im ujdzie na sucho. Może to był ktoś z Medicich? Nieistotne. Otóż zebrawszy kilku kolegów, porwał on Filomenę i chciał zmusić do uległości. Ona jednak wierna pozostawała swemu Kosmie, przez co wielki gniew w porywaczu wyzwoliła, więc wydał ją na żer swym kamratom, osobiście pozbawiając ją najpierw życia oraz czci. Na tym jednak nie koniec występków tego szubrawca. Kazał poszatkować nagie ciało Filomeny i podrzucić pod drzwi Kosmy. Młodzieniec w rozpaczy nieomal postradał zmysły. Pochował ukochaną, lecz nie mógł się mścić, morderca należał bowiem do rodziny panującej we Florencji. Przez wiele dni Kosma unikał ludzi, wypuszczając się jedynie na cmentarz, gdzie chował zmarłych. Jak po lecie kwiaty usychają, tak usechł biedny Kosma. Jednak po zimie nadchodzi wiosna i nowe życie. Kosma ponownie odwiedził kurtyzanę Lukrecję i w jej ramionach odnalazł prawdziwą miłość, od której odrywali się jedynie na pogrzeby, w których Kosma musiał uczestniczyć. Florencja nie miała jeszcze tak uśmiechniętego grabarza, bo każdy byłby radosny, gdyby w domu czekała nadobna Lukrecja odziana jedynie w prześwitujący jedwab, wywołujący zazdrość sąsiadów oraz ich żon. Tak oto potęga miłości przeważyła nad ludzką niegodziwością.

Gospodarz skończył opowieść, gdy już zmierzchało. Do obozu powróciło kilku mężczyzn uzbrojonych w kusze i włócznie. Usiedli wokoło ogniska, wymieniając z Azzo kilka cichych zdań w okaleczonym północnoitalskim. Nicotera wskazał na Krzyżowca i wyjaśnił, już na głos, ich wcześniejsze ustalenia. Sześciu najemników przyjęło tę informację dosyć obojętnie, byli w stanie ścierpieć samego diabła w towarzystwie tak długo, jak wysokość ich nagrody pozostanie bez zmiany. Najwyraźniej nie zdecydowali jeszcze, jak podzielić majątek martwego przywódcy, toteż żaden z nich nie wyrażał sprzeciwu. W głębi serca zapewne liczyli już dodatkowe zyski, ale nic straconego, zawsze można temu przybłędzie wbić nóż w plecy już po rajdzie.

Rycerz nie dał niczego po sobie poznać. Truizmem zdawało się dla niego stwierdzenie, aby nie ufać tego typu osobnikom. Nie byli to konni wojownicy zebrani z okolicznych ziem ani *nobiles*, którzy równego sobie wezmą do honorowej niewoli. Sądząc z ospowatych twarzy oraz zgnilizny trawiącej ich ciała, byli to ludzie najpodlejszego sortu. Ot, kilku rolników albo kłusowników, którym dano możliwość zarobienia fortuny za rozbój w biały dzień. Tacy jak oni nie brali jeńców, nie dawali łaski. Pomyśleć tylko, jak mogłaby wyglądać wojna, jeżeli by zebrać sto tysięcy albo milion takich kreatur, dać im oręż, a potem puścić jak szarańczę na świat.

Wojna bez granic. Wojna totalna.

Rycerz odsunął od siebie tę myśl, której nie potrafił objąć umysłem. Była zbyt wielka, zbyt obca dla jego rzeczywistości. Wyjątkowo w tej chwili Krzyżowiec zgadzał się z głosem w całej rozciągłości, że lepsza jest wierność starym zwyczajom, przystrajaniem w nowe szaty co kilka pokoleń, niż wywracanie świata do góry nogami z bronią w ręku.

Rycerz potrząsnął głową, chcąc przegnać chmurę nowych myśli, jakie wyzwolił w nim pochłonięty żar. Musiał przygotować swój pancerz na jutrzejszy dzień. Trzeba go oczyścić w piasku, hełm wypolerować, sprawdzić wszystkie paski podtrzymujące go na głowie. Czy jutro czeka ich walka? Na śmierć i życie? Czy przemkną jak burza, wydzierając stado z rąk pasterzy? Jeżeli będzie walczyć i zabijać, to czy nie stanie się takim samym człowiekiem, jak siedzący naprzeciwko najemnicy? Jak te ospowate, ponure, trawione zepsuciem i śmiercią worki mięsa?

Od nadmiaru myśli rozbolała go głowa. Dziwna dolegliwość dla cienia martwej istoty, jaką był Rycerz. To głos nakazywał mu posłuszeństwo. Czy widział przyszłość i prowadził Krzyżowca po wąskiej nitce przyczyn i skutków, aż do jej niewidocznego końca? Czy Rycerz był tylko naczyniem dla czerwia, który skona, gdy on wypełni swoje zadanie?

Myśl o buncie przeciwko czerwiowi była naturalna dla budzącego się umysłu Rycerza. Spodziewał się jednak bólu i sprzeciwu. Ostrego smagnięcia batem, które przywoła go do porządku wobec tej istoty żerującej na jego mózgu. Nic się takiego nie stało. Głowa pulsowała jedynie delikatnym bólem.

Głos milczał.

Skąd taka uległość w stworze, który przez tyle lat sęczył mu do ucha myśl o wielkiej wyprawie na Wschód? Ileż się wtedy nasłuchał o nazwach, których nie znał, a które mimo tego podsycaly głód wędrówki. Czarny Las w krainie Serbów i tajemnicze ziemie greckiego basileusa, gdzie sklepienie świątyń podtrzymują sześciokrzydłe serafy.

Pytania bez odpowiedzi zalewały teraz umysł Rycerza wezbraną falą. Jego własne myśli natomiast pozostawały zamglone i słabe, brakowało mu słów, aby zwalczyć ten problem. Nauka wpajana weń za młodu pozostawała w uśpieniu właśnie w tej chwili, kiedy potrzebował jej najbardziej. Nie potrafił przywołać niczego z długich dni spędzonych nad pismami świętego Augustyna, Awicenny, Awerroesa czy Szkota Eriugeny. Potrafił wyrecytować pod sklepieniem czaszki ich imiona i nic więcej. Wiedział, że przeżył tamte chwile, a gdzieś w pamięci ma wyrytą wiedzę tych ludzi. Gdzieś blisko i zarazem poza zasięgiem.

Niemożliwość dotarcia do tych nauk obudziła inne uczucie. Gniew. Czysty płomyk rozświetlający jego jaźń pięknym i ostrym światłem. Wobec gniewu wiele problemów jawiło się jako bardzo proste. Wystarczyło jedynie poddać się uczuciu, po czym spłonąć jak pochodnia wściekłości, pochłaniająca z łącznością całą świat.

Jedno spojrzenie na nowych kompanów wystarczyło, aby wyczytać zdradę w ich oczach. Oni nie pozwolą mu żyć. Zbyt łatwą jest dla nich ofiarą i zbyt łatwo przyjdzie im wystrzelić bełt z kuszy w jego plecy.

Czy to podszept głosu, czy myśl Rycerza?

Najemnicy rozmawiali między sobą, żartując i pochłaniając chleb oraz kiełbasę. Wino lało się po podbródkach. Mlaskanie smagało zmysły Krzyżowca jak bat. Kawałki jedzenia spadały z ust najemników na ziemię, tuż obok ludzkich szczątków, na których zasiadali. Cały czas gadali, coraz głośniej i głośniej. Odgłosy tej obrzydliwej uczy, oblizywania paluchów, ciamkania, żucia, bekania dudniły w głowie Rycerza jak taran. Nie mógł już tego znieść, musiał znaleźć chociaż odrobinę godności, kruszynę ukrytego sensu i dwuznaczności.

To przecież nie mogło być wszystko, taka egzystencja.

Banda obżerających się prostaków, siedzących na ciałach ludzi, których zabili kilkanaście godzin wcześniej. Jedyne drapieżny instynkt każący zabić brata, zgwałcić siostrę, okaleczyć dziecko tylko po to, aby ucztować na ich zwłokach? Tylko dla pieniędzy? Gdyby był jakiś inny powód, ten listek figowy, głos godności, który zbudowałyby tamę na rzece instynktu. Rozpalone spojrzenie Rycerza padło na okrwawioną maczugę spoczywającą u boku jednego z najemników; kolejne na zmasakrowaną twarz Rogera d'Melfi, który wciąż ścisnął w dłoniach swój wielki hełm, nietknięty przez ciosy.

W jednej chwili Krzyżowiec ujrzał prawdę, oświetloną płomieniem jego gniewu. To nie wieśniacy zabili Rogera d'Melfi, ale jego towarzysze. Zapewne chcieli odebrać mu łupy, jego zbroję albo zamknąć mu usta, które sprzeciwiały się atakowi na wioskę. Być może d'Melfi przybył tutaj, aby ich powstrzymać, oni zaś usadzili go dla zabawy na tronie, kpiąc z godności i honoru, których nie znali i którymi gardzili. Wszystko, na co padł teraz wzrok Krzyżowca, potwierdzało jego domysł, a każdy szczegół wołał o surowy wyrok na zbrodniarzach. Azzo Nicotera w trakcie swej opowieści niemal sam się przyznał, że to on i jego kamraci porwali Filomenę. To oni gwałcili jej zwłoki i porabiali je później na części.

W migoczącym świetle ogniska twarz dobrego rycerza Rogera zdawała się ożywać. Wargi poruszały się powoli, bezgłośnie powtarzając jedno słowo:

– Zemsta, zemsta, zemsta...

Najemnicy zamarli nagle, nasłuchując.

– Co to było, ten pisk, słyszeliście?

– Jakiś zwierz.

– Sowa rusza na polowanie – mruknął Nicotera.

Po chwili towarzystwo rozbrzmiało na nowo gwarem docinków oraz żartów. Tylko Rycerz siedział

w bezruchu, pojmując swoją rolę w tym przedstawieniu. Miał zastąpić zamordowanego Rogera d’Melfi, a ta myśl wywołała u niego sardoniczny uśmiech. Przecież najemnicy też chcieli, aby wystąpił w tej roli. Chcieli go wykorzystać, a następnie zamordować i obrabować. Ale ta hałstra nie podejrzewała, że Krzyżowiec odegra swoją rolę zupełnie inaczej. Nie będzie Rogerem d’Melfi łagodnym, naiwnym i martwym, ale Rogerem mściwym, z ostrzem w dłoni wymierzającym sprawiedliwość.

Dobywa miecza jednym ruchem ręki i skacze naprzód, przez pomarańczową kurtynę ognia. Nie czuje żaru ogniska, nie liczy się ból. Końcówka miecza mknie po łuku, rozcinając gardło jednego z najemników. Ostrze drży, ale już dosięga drugiego zbira i rozrywa mu szyję.

Krzyżowiec unosi miecz nad głowę, wymierzając potężny cios trzeciemu najemnikowi, który zasłania się rękoma. Klinga obcina mu obydwie nadgarstki, zanim miażdży czaszkę, rozbijając ją na połowy. Siedzący obok mężczyzna ginie zaraz potem, z barkiem rozciętym do mostka.

Azzo Nicotera zrywa się na równe nogi. Dłonią chwyta tasak, na diabłą mordę wpycha hełm. Umyka kilka kroków, ale zawraca, by walczyć. Ognisko syczy, zalane wąpłami żylastego mężczyzny o twarzy szczura.

Pozostali już tylko oni.

Krzyżowiec chwyta płonące polano, z ogniem i mieczem idąc ku najemnikowi. Azzo krzyczy w złości:

– Ty czorcie, zdrajco, synu kurwy! I ja ciebie jak druha do kompanii przyjąłem i nakarmiłem...

Rycerz nie słucha, nie waha się. Uderza na najemnika, ale ten zastawia się szerokim jelcem tasaka. Krzyżowiec nie czeka na kontrę. Wbija polano w hełm Azzo, sypiąc mu skrami w oczy. Italczyk krzyczy, pada na kolana, błaga o litość. Ręce składa do modlitwy, licząc na miłosierdzie, ale Rycerz opiera już sztych o jego gardło. Miecz przebija skórę, rozcina tchawicę, ze zgrzytem ociera się o kręgosłup i wychodzi karkiem. Z ostatnim westchnieniem Azzo Nicotera osuwa się martwy na trawę.

Krzyżowiec wyciągnął z ogniska wypatroszone ciało i rozdmuchał troskliwie żar. Dorzucił nieco świerkowych patyków, które z trzaskiem i sykiem spłonęły w objęciach płomieni. Rycerz widział w tym odradzającym się ogniu samego siebie, niegdyś raptownie zgaszonego, teraz ponownie nabierającego blasku. Tak samo jak ten ogień, wciąż był mały i słaby, bezradny wobec mroku własnego umysłu oraz nieprzychylnego świata, ale przy odrobinie szczęścia mógł jeszcze zapalić horyzont.

Krzyżowiec przykrył ogień kilkoma kawałkami kory, z wierzchu kładąc kilka gałęzi grubych jak palce. Teraz ogień był już bezpieczny, a Rycerz mógł bez obaw usiąść obok i spoglądać w rozedrgany kalejdoskop płomieni. Liczył na wdzięczność żywiołu, który odpłaci mu częścią swej wiedzy. Ogień, podobnie jak jego rodzeństwo, jest przedwieczny. Należy do pierwszych stworzeń Boga, który zaklął jego fragmenty w innych rzeczach. Jest ogień w słońcu na niebie, jest ogień w drewnie, gdy to płonie, jest w żelazie i krzemieniu, gdy wypadają z nich iskry. Ogień daje światło, które oddziela noc od dnia, chroni i oczyszcza człowieka przed złem. Czyż połykanie żaru nie wskrzesza ognia jego własnego życia?

Rycerz obserwował, jak pomarańczowe języki sięgają po większą zdobycz, budząc ukryty w drewnie żar. Przez krótki moment zastanawiał się, czy ten ogień, na który teraz patrzy, jest tym samym, który rozdmuchał po skończonej walce. Po świerkowych patykach został jedynie biały popiół. Czy ten syczący i parszający iskrami płomień, tańczący teraz na bukowym polanie, jest tym samym, który wyskoczył z zalanego krwią żaru?

Myśli Rycerza przeskoczyły nagle na inny temat, dla budzących się zmysłów o wiele bardziej apetyczny.

Dlaczego zabił tych ludzi?

Rycerz z dziecięcą ciekawością i dociekliwością dorosłego zaczął roztrząsać owo pytanie, wyrażone pojedynczym, nieco zaskoczonym słowem.

Dlaczego?

Dlaczego pomimo obietnicy łupów zaatakował ich bez powodu?

W pierwszej kolejności można by odpowiedzieć, iż Rycerz mścił się za śmierć innego *milites* z rąk ludzi najpodlejszego sortu. Albo został bezimiennym obrońcą biednej Filomeny, która tak tragicznie skończyła. Jednakże to usprawiedliwienie, choć piękne, nie wytrzymało starcia z prawdą. Krzyżowiec był gotów najpierw przyłączyć się do najemników dla zysku, dopiero później skierował na nich swój gniew.

Mogła być to jednak zasługa wspomnień, przywiedzionych przez spożywanie żaru, oraz machinacje głosu, który osaczył go z każdej strony. Osoba, którą był Rycerz w przeszłości, wciąż była obca człowiekowi siedzącemu teraz przy ognisku. Krzyżowiec wciąż nie mógł się pogodzić z faktem, że te wspomnienia, które oglądał w umyśle, należały do niego. Kim był dawniej? Czyimi ustami przemawiał głos, łotra czy bohatera?

Najemnicy musieli zginąć, ponieważ byli gotowi odpłacić mu tą samą monetą, kiedy tylko przestałby być użyteczny. Wspaniałe tłumaczenie, które szybko zgasło wobec kolejnego kontrargumentu: zdrada najemników istniała tylko jako domysł. Nie było pewności.

Opowieść Nicotery mogła się okazać po prostu fikcją, nieprawdą.

Koniec końców Krzyżowiec nie doszedł przyczyn rozlewu krwi. Być może było to zabicie morderców, którzy mogli zgładzić jeszcze wiele ludzkich istnień; a może po prostu Rycerza irytowało ich mlaskanie i bekanie. Krzyżowiec odkopał w hałdzie wspomnień sentencję; nie pamiętał już, czy przeczytał ją u któregoś z nieżyjących myślicieli, czy usłyszał od kogoś. Było to bez znaczenia.

„Kiedy nienawidzę rzeczy dobrych, jestem potępiony jako łajdak i skazany. Kiedy nienawidzę rzeczy złych, jestem usprawiedliwiony jako bohater i nagrodzony”.

Po chwili w umyśle Rycerza zapaliła się jeszcze jedna iskra. Po cóż długie usprawiedliwienia, kiedy można przyznać wprost, iż po prostu kochał rozlew krwi?

*

Obudził go warkot dwóch lisków, które bawiły się wesoło, obgryzając wciąż zdumioną twarz Azzo Nicotery. Krzyżowiec przypatrywał się zwierzętom, nieomal zapominając o piętnie zarazy, które odcisnęło się na wszystkich krainach. Wszystko było chore, skażone, chrome i okaleczone. Cóż to za miejsce, w którym widok żywego trupa nie porusza już nikogo? Pozornie gładkie oblicza skrywały śmiertelne guzy oraz kości zjedzone przez pasożyty rodem z piekła, a każdy oddech niósł śmierć.

Jednakże nawet teraz ludzie nie odwrócili się od zdrady, wojny, spisku, nie porzucili też wiary. Sztandar Oriflamme ścierał się z wizerunkiem świętego Jerzego na zadżumionych polach Normandii, nie bacząc na bezmiar cierpienia wywołanego przez zarazę. Alemania pogrążona była w chaosie, od kiedy ostatni z potomków Fryderyka Rudobrodego położył głowę pod topór Andegaweńskiej Żmii. Spiski rosły na każdym dworze, sztyletem oraz trucizną torując drogę nowym aktorom na przepastnej scenie dziejów.

Czy to w ogóle był objaw zepsucia, czy też zwykłej natury człowieka?

Rycerz wstał, otrzepując się z popiołu oraz kawałków trawy, które utkwiliły pomiędzy pierścieniami kolczugi. Potrząsnął głową, chcąc uciszyć głos, który od chwili przebudzenia zatruwał mu dzień. Spłoszone liski zniknęły w wysokiej trawie, uważnie obserwując człowieka. Ten jednak nie zwracał na nie uwagi, zajęty był siodłaniem konia oraz zbieraniem monet od zabitych najemników.

W ciągu jednego wieczora Rycerz stał się posiadaczem niemałej fortuny. Przebiegłość, nieodłączna siostra ostrożności, nakazywała mu jednak wstrzeźliwość w doborze nowego bogactwa. Któż wie, jakie przekleństwa zostały wypowiedziane, kiedy najemnicy dokonywali krwawego rabunku. Do Rycerza przemawiały także bardziej przyziemne argumenty: nie chciał zwracać na siebie zbyt wiele uwagi. Po cóż ryzykować, że ktoś rozpozna jakąś rodzinną błyskotkę i zacznie zadawać zbyt wiele pytań? Usłuchał tej myśli i nawet nie tknął pierścieni ani innych kosztowności. Odcięte dłonie również pozostawił w spokoju, widząc na własne oczy karę, jaka spływała na tych, co nieprawnie podnieśli rękę na innych.

Wyjątkiem były dłonie tych, których Rycerz sam pozbawił życia. Ta nagroda należała do niego. Niemniej cenna od ludzkich trofeów oraz monet była sztabka żelaznego krzesiwa, którą nosił jeden z najemników w sakiewce z delikatnej skóry.

Ruiny wioski Krzyżowiec opuścił konno, dosiadając brązowego ogiera Rogera d'Melfi. Przy siodle, na modłę Orientu, zawiesił miecz zamordowanego wojownika, plecy zaś ochronił jego tarczą, zdobną w wizerunek węża połykającego człowieka. Sakiewka przy boku ciążyła przyjemnie anonimowym złotem, które tak skutecznie opętywało niemal każdego. Czternaście dłoni, starannie osuszonych nad ogniskiem z krwi, zwisało teraz obok Czaszki Pielgrzyma.

Szlak wiódł na południe, poranek był piękny, a w powietrzu wciąż unosił się zapach krwi oraz spalenizny.

Wkrótce Krzyżowiec napotkał stada owiec oraz ich uzbrojonych strażników, pasterzy wyglądających bardziej jak członkowie wolnych kompanii najemników. U ich stóp spoczywały bestie, które niegdyś były psami. Pokolenia starannie selekcjonowanych osobników zmieniły te owczarki w krępe, pokryte długą sierścią góry mięśni. Na kwadratowych pyskach zaciskały się metalowe kagańce, które można było zwolnić, przesuwając jeden tylko trzpień. Czarne oczy bez białek dało się dostrzec jedynie między ruchem powiek. Rycerz pozdrowił pasterzy gestem dłoni.

Któż wie, jak potoczyłaby się walka z tymi psimi bestiami, jeżeli wytrwałby u boku Azzo Nicotery. Próżne to jednak myśli, bo z tego niebezpieczeństwa udało mu się wyjść bez szwanku, a nawet z zyskiem, kosztem ledwo jednej zdrady. Dobry to omen, zwłaszcza teraz, kiedy zmierzał ku Toskanii, gdzie łatwo było sprzedać wszelkie skrupuły za garść florenów.

ROZDZIAŁ II

Trakt wiódł na południe, ku dawnym ziemiom hrabiny Małgorzaty, teraz rozdartych na kawałki przez łapczywe miasta-państwa. Toskańskie wzgórza były świadkiem bezustannych walk o ziemię, za którą w innym kraju nikt nie przelewałby krwi. Tutaj każdy sad, każde pole i każde stado było celem niezliczonych wypraw rycerzy oraz najemników, którzy ze straszliwą rutyną spotykali się na zwyczajowych polach bitew. Miasta gotowe były nie tylko monetą łożyć na zaciężne wojska, ale tym sprzedajnym kapitanom oddawały dowodzenie nad całymi siłami, jakie mogły zebrać. Kupieckie rady czyniły tak, aby żaden z mieszkańców miasta nie zyskał zbyt wielkiej władzy nad swymi ziomkami. Większy był strach w owych miastach przed rządami jednej osoby niż przed rywalami, toteż działania wojenne toczono zawsze opieszale, nie pragnąc nawet całkowitej klęski wrogów.

Wjeżdżając na Białe Pola, Krzyżowiec wiedział, że niedługo dotrze nad brzegi ludzkiej nienawiści; nad rzekę Arno. Jak okiem sięgnąć, na wzgórzach i w dolinach zalegał biały pył, pokrywający upiornym dywanem całą okolicę. Spoczywały tu kości zabitych żołnierzy, zmielone na pył przez buty i kopyta toczących kolejne bitwy w imieniu kupieckich rodów. Gdziekolwiek, niczym martwe krzewy, z białej gleby wystawały ludzkie i zwierzęce szczątki, utrzymywane w pionie przez drzewce włócznie. Sunąc pośród tego kościanego ogrodu, Krzyżowiec nie mógł dopatrzeć się choćby sztuki miecza lub pancernej blachy pozostawionej na żer upływowi czasu. Te były zbyt cenne, aby je porzucić na polu bitwy: w przeciwieństwie do ludzi, którzy nieśli je do boju i dokonali tutaj żywota.

Rycerz przyłożył dłoń do czoła, osłaniając oczodoły przed blaskiem słońca, który tutaj nabrał barwy złota. Ku niemu, wzniesając tumany białego pyłu, kłusował tuzin konnych pod sztandarem Florencji. Patrol nie zwrócił wielkiej uwagi na Krzyżowca, zaszczycając go jedynie krótkim pozdrowieniem. On natomiast przyjrzał się uważnie jadącemu na czele najemnikowi, który mógłby dla wprawnego rzeźbiarza stać się modelem, ucieleśniającym w jednej osobie ducha tego zawodu.

Był to mężczyzna, który na karku dźwigał niemal pięćdziesiąt wiosen, o twarzy obdarzonej władczyimi rysami, z mocno zarysowanym podbródkiem i o lśniącym spojrzeniu, błyskającym spod salady o szerokim okapie. Zakuty był od stóp po czubek głowy w płytową uprząż całkiem pozbawioną ozdób, co jeszcze bardziej wzmagало bijący od niego rycerski majestat. Lewa dłoń pewnie prowadziła wierzchowca, prawa zaś dzierżyła kapitańską buławę. Za tym człowiekiem ludzie gotowi byli pójść w ogień, głębiny morza i dolinę mieczy, wszystko to za jedno spojrzenie uznania kapitana o twarzy rzymskiego konsula.

Jego pracodawcy doskonale zdawali sobie sprawę z wartości takich ludzi i sownie opłacali swojego kapitana, aby toczył jak najdłuższą wojnę, która jednak nie miała przynieść rozstrzygnięcia. Głos w głowie Krzyżowca uznał, że to idea szpetna, bardziej nawet okaleczająca ludzi niż trąd. To nie była walka, którą da się uzasadnić nawet najlichszym argumentem. Daleko temu było do sprawiedliwej wojny, za którą tak gorliwie opowiadał się święty Augustyn; co więcej, nawet konflikty, które potępił ów wielki myśliciel, zdawały się rozsądniejszym działaniem niż ta krwawa zaraza tocząca północ Italii. Gdyby chociaż cel stanowiło zmiżdżenie przeciwnika i zajęcie jego ziem raz na zawsze, ta wojna dawno

dobiegłaby końca. Bogate miejskie komuny stać było na wynajęcie armii wraz z machinami oblężniczymi mogącymi skruszyć mury Spoleto, Ankony czy Padwy. Jednak zajęcie i odbudowa drugiego miasta to niepewna inwestycja. Bezpieczniej było co roku kontynuować ten morderczy kram, podtrzymując popyt na śmierć.

Dla Rycerza tu właśnie tkwiła różnica w wojnach toczonych pomiędzy królestwami, nawet z Saracenami, a procederem uprawianym przez miejskie rady. Można było na nich dobrze zarobić. Oni kupczyli wojnę. Nie mogło być tutaj mowy o papieskim czy cesarskim sądzie bądź jakiegokolwiek zwierzchności. To wywołało onegdaj jedynie nową falę walk i dało kupieckim rodom jeszcze jeden powód do konfiskaty mienia swych wrogów. Dla miast-państw wojna stanowiła po prostu dobry interes, gdzie wszystko było na sprzedaż, największe straty zaś to koszt żołądu bądź kontrybucja w obliczu klęski. Życie najemników nie było warte zbyt wiele. Łatwo ich wyposażyć i zastąpić, a co ważniejsze, walczyli za ludzi z miast. Miejski młodzik mógł brać udział w udawanych turniejach, bić się z rówieśnikami, ale pożałowania godnym zajęciem byłaby dla niego prawdziwa wojna. Na całe szczęście można znaleźć wielu, którzy zginą za niego w błocie, aby jurny chłopak mógł przechwalać się męstwem w obecności dziewcząt.

Mimo uwielbienia złotego i srebrnego pieniądza Krzyżowiec nie pałał zbyt miłością do kupców oraz ich miast, jednak boleśnie zdawał sobie sprawę z faktu, iż potrzebował ich funduszy na rejs do Outremer. Bankierzy oraz kupcy byli organiczną częścią tego samego ładu co rycerze, duchowni czy rolnicy. Wszak czy ci sami ludzie nie wzniesli najwspanialszych katedr, których wieże, pnące się ku niebu, ogłaszały chwałę Pana? Kupiecka wiara może i była płytka jak groby, w których składano ich żołnierzy, jednak czy nie lepiej jest uznać tę iluzję i rozkoszować się świadomością wspólnoty?

Myśl o katedrach nie pojawiła się znikąd. Ze szczytu wzgórza, wystającego ponad pszenicznymi polami, wyrastała Florencja. Miasto kwiatów wyrastające z zatrutego strumienia ludzkiej zawiści, nazywanego rzeką Arno. Ponad murami, górując nad pomarańczowymi oraz czerwonymi dachówkami, wznosiła się ona. Katedra pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny, opiekunki kwiatów oraz patronki Florencji, która przejęła ową trudną służbę z rąk świętej Reparaty, męczennicy.

Niełatwo było kochać przebiegłych Florentczyków, toteż wybór Matki Boskiej na opiekunkę tokańskich murów wydawał się Rycerzowi wielce właściwy. Tylko Święta Dziewica miała na tyle łask oraz cierpliwości, aby sprostać temu zadaniu. Uśmiechając się z własnego konceptu, Krzyżowiec popędził konia ku bramie San Miniato, gotów zmierzyć się z ulicami, które w jego mniemaniu były znacznie groźniejsze od pustkowi Syrii. Przehandlowawszy dwie dłonie oraz siedem palców prawej ręki za wikt i opierunek w zajeździe niedaleko bramy, Rycerz ruszył ku potężnemu mostowi Rubaconte.

Przechodząc ponad ciemną tonią Arno, oparł się o kamienną balustradę, gdy oglądał dziewięć masywnych łuków, na których wspierał się most. Później przeniósł wzrok ku północnemu brzegowi. W popołudniowym słońcu miasto zdawało się płonąć, z wysokimi wieżami zwieńczonymi aureolą złota oraz ulicami wypełnionymi pomarańczowym blaskiem. Krzyżowiec opuścił głowę, spoglądając w nurt Arno, czarną jak smoła strugę, która leniwie opływała przypory mostu. Z wysokości chodnika woda wyglądała na gładką powierzchnię, której ład zburzyły ciśnięte w jej nurt filary florenckich przepraw. Im dłużej Rycerz wpatrywał się w wody Arno, tym więcej ruchu dostrzegał w toni. W ciemniej głębi mieszkwały siły, które z chęcią zacisnęłyby pazury na karku Rycerza, gdyby tylko mogły go dosięgnąć ze swego dominium. Smukłe ciała niewiele różniły się barwą od otaczających je wód i tylko gdy zrywały się do nagłego ruchu, wprawne oko mogło je dostrzec. Przywodziły na myśl węże, lecz zdradzały także bliskie pokrewieństwo z ludzkim gatunkiem, zapewne w drodze plugawego zbliżenia. Florentczycy czerpali wodę z Arno oraz okolicznych studni od pokoleń, z wolna nabierając zaskakującej obrotowości, chciwości oraz mądrości, tak często przypisywanej węzom.

Z rozmyślań wyrwały go głośnie śmiechy oraz wiwaty grupy dzieci, które zatrzymały się niedaleko niego, aby ciskać kamieniami w ludzkie zwłoki niesione nurtem ku Ponte Vecchio, Staremu Mostowi.

Krzyżowiec przeniósł ogniki oczodołów na rozkładające się szczątki starszego mężczyzny, sunące powoli w objęciach rzeki. Rycerz bezwolnie dotknął górnej wargi językiem, zdając sobie sprawę, że umorusane ziemią dzieciaki musiały wykopać zwłoki starca z grobu, aby dla uciechy puścić je z biegiem rzeki. Po chwili cała ta hałastrza pomknęła w ślad za ciałem, zbierając po drodze nową amunicję. Krzyżowiec pokręcił głową, po czym opuścił most Rubaconte i ruszył w gąszcz florenckich ulic, kierując się ku Pałacowi Vecchio.

Ulice te były przerażające i dziwne dla nowo przybyłego.

Przechodnie nosili się fantazyjnie, z polotem oraz wyczuciem smaku, które nie spotykały się ze zrozumieniem u obcych, a jednocześnie powodując ich zazdrość. Mężczyźni mieli szerokie koszule z bufiastymi, pociętymi rękawami o wielu kolorach, co podkreślało ich siłę, a obcisłe spodnie oraz kalesony uwydatniały męskość. Kobiety okrywały ciała nie mniej kolorowymi sukniami, których wycięcia odsłaniały dokładnie tyle, ile chciały odkryć ich właścicielki. Biżuteria, drogie kamienie oplecione złotem i srebrem, połyskiwała w słońcu i oznajmiała wartość ich właścicieli. Wymyślne fryzury konkurowały o laur najpowabniejszej, od wysokich wież wzmocnionych diademami, po naturalne kaskady obleczone kością słoniową. Narzuty i płaszcze falowały w rytm kroków jak okryta kwiatami łąka, trącona ciepłym wiatrem. Środek wybrukowanej ulicy należał do piękna i młodości, ubogim oraz szarym pozostawiając jedynie przemyskanie na tle ścian oraz zawistne spojrzenia.

Krzyżowiec w swej obszarpanej przez saraceńskie szable tunice czuł się tutaj obco, chociaż przeczuwał, że odwiedził kiedyś to miejsce. Wiedział, że pod tą maską wiecznego wesela i zabawy kryło się zepsucie; rozkład niedający się przykryć żadną warstwą perfum czy makijażu. Rycerz wyczuwał na ulicy gnilny odór rozkładającego się ludzkiego mięsa, strachu oraz szalejącej zarazy, a wszystko to doprawione wonią ludnego miasta: potu, kurzu, zepsutego jedzenia, dymu oraz spalizny.

Obecność Rycerza, tego padlinożernego kruka pośród kolorowego ptactwa Florencji, wywoływała zrozumiałe oburzenie. Krzyżowiec przyciągał pogardliwe spojrzenia młodzieńców oraz pełne politowania uśmiechy kobiet stukających o bruk wysokimi obcasami. On natomiast parł przez tę gęstwinę ludzi ku Pałacowi Vecchio, kierowany przez strzępy dawnych wspomnień, tym razem opierając się namowom głosu do opuszczenia tego miejsca. Bezustannie towarzyszyło mu natrętne przeświadczenie, iż podąży tropem człowieka, który przemierzył ten szlak dawno temu. Kogoś znacznie ważniejszego i większego niż on. Teraz Rycerz zmuszony był żyć w cieniu tego męża, doświadczając coraz częściej uczucia, jakiego doznają śniący ludzie o nad wyraz bujnej wyobraźni. Tym marzycielom nawet obce zupełnie miejsca jawią się dziwnie znajomymi, jakby odwiedzili je kiedyś w innym życiu, oglądali oczami nieznanymi wędrowców. Krzyżowiec jednak nie poddawał się iluzorycznym marzeniom i nie ufał sennym mirażom głosu. Doskonale wiedział, po co przybył do Florencji.

Targ Mięśny jak zawsze odbywał się w cieniu Starego Pałacu, przyciągając bogatych miriadami towarów. Za odpowiednią cenę w srebrze, miedzi, przyprawach lub innych dobrach na Targu Mięśnym można było nabyć dowolną ilość taniej siły roboczej bądź ludzkich szczątków. Ludzie z całej Toskanii ściągali ku Florencji, aby odwiedzić ten rozwrzeszczany i cuchnący ropą spektakl organizowany raz w miesiącu pod Pałacem Vecchio.

Biedni przybywali tu, aby zaoferować jedyny skarb, jaki posiadali, swoje ciała, które krajano na strzępy i sprzedawano zainteresowanym. Jeżeli takiemu biedakowi dopisało szczęście, mógł na targ przywieźć szczątki cudzych osób, samemu jedynie targując się o najlepszą cenę, bez obawy utraty dłoni czy stopy. Wyżej w hierarchii stali ci kupcy, którzy zapewniali dostawy towarów luksusowych, często na zamówienie. Dłonie złodziei, nasienie wisielców, Ręka Chwały czy płuca podpalacza były dla tych ludzi przedmiotami nieustającego zbytu oraz źródłem bogactwa. Niestety wraz z niezwykłymi mocami owych narządów w parze szła także ich cena, większość z tych artykułów musiała bowiem być świeża, aby spożytkować je właściwie. Często obok tych straganów stali dostawcy takich specjałów, łowcy ludzi, o wyglądzie niemalże zwierzęcym bądź okaleczeni ponad wszelką miarę, przypominający zmasakrowane

zwłoki. To oni włamywali się do biskupich grobowców, rabowali świeże mogiły skazańców i podążali za wykrwawiającymi się armiami w poszukiwaniu najciekawszych okazów. Specjaliści w tej dziedzinie organizowali nawet wyprawy do odległych ziem Palestyny, a nawet dalej, ku Transoxanii na wschodzie i ku Nubii na południu. Za ich usługi trzeba było już sypnąć złotem bądź kamieniami szlachetnymi.

Zupełnie inną grupę stanowili na targu wolni najmici, ludzie dostający nieco grosza za spełnianie wszelkich zachcianek swych nowych właścicieli. Chociaż niewolnictwo było zakazane, to nikt nie potrafił powstrzymać procederu kupowania i uzależniania od siebie ludzi, który w obiegu opinii nazywano „dawaniem chleba”. Za marny grosz ludzie gotowi byli znosić baty, upokorzenia, rozpustę, głód, ból, a to wszystko z rąk ludzi niewiele od nich bogatszych, którzy chcieli podkreślić swoją pozycję pieniędzmi. Nowobogaccy bez ustanku obnosili się z bogactwem, wynajmowali całe zastępy biedaków jako służbę, którą potem katowali, a następnego dnia ruszali na mszę i wyścigi konne. Byli przy tym święcie przekonani, iż to właśnie oni stanowili elitę społeczeństwa. Owi wolni najmici nieraz musieli ciężko pracować za dnia, aby po zmroku zamieniać się w osoby do towarzystwa za nieco jedzenia oraz kilka miedzianych płacideł.

Na targu można było dostać człowieka na własność, oczywiście nie jako niewolnika, lecz w ramach handlowej umowy spisanej w trzech kopiach, na użytek kupującego, pośrednika oraz rodziny człowieka, który zostawał sprzedany. Jako iż prawo zakazywało zniewalania wolnych ludzi, żywy towar był odstępowany jedynie w drodze usługi handlowej. Na przykład wolno było kupić człowieka pod warunkiem, że w ciągu tygodnia zostanie zamęczony na śmierć; dłuższe przetrzymywanie takiego człeka było karane na drodze prawnej i niezgodne z warunkami umowy.

Od tego rodzaju kramów Rycerz wolał trzymać się z daleka, samemu szukając szczęścia pomiędzy najemnymi ostrzami, którzy na swój chleb zarabiali rozlewaniem cudzej krwi. Krzyżowiec oparł się o pokrwawioną kolumnę pręgierza miejskiego, starając się ignorować odór krwi, wewnętrznego bólu i rozpacz rodziny, które musiały sprzedać tutaj kogoś ze swych bliskich. Nie chciał, aby na jego twarzy odmalowała się zbyt duża radość; dla niego odgłosy rzezi były wspomnieniem domu, dla tych nieszczęśliwych – brutalną koniecznością.

Niejedno uderzenie dzwonu przebrzmiało w powietrzu, zanim ktoś zwrócił uwagę na Rycerza, cierpliwie czekającego na chętnego pracodawcę. Krzyżowiec nie mógł już doczekać się momentu, w którym opuści spalony słońcem plac i nie będzie musiał ani chwili dłużej nań spoglądać. Czuł litość wobec wszystkich biednych, którzy za drobne monety oddawali swoje życie, starając się przetrwać nie tylko zarazę, ale i czynsze nakładane przez miejskich rajców. W równym stopniu pogardzał kupcami handlującymi mięsem ludzi, żywym i martwym, gdyż to oni żerowali jak sępy na głodnych oraz chorych. Nie mniej nienawidził w tej chwili najemnych zbirów, gotowych poderznąć gardło w poszukiwaniu złota oraz uznania pięknie odzianych zleceniodawców. Na końcu, tak samo jak innymi, gardził sobą, gdyż mimo szczytnego miana krzyżowca nie był w niczym lepszy od otaczającego go tłumu.

Dopiero pod wieczór, gdy miasto ożywało rytmem nocnych zabaw, do Rycerza zbliżył się bogato odziany mieszczanin o twarzy skrytej pod złoconą maską. Człowiek ten krążył wśród najemników od pewnego czasu, rozmawiając krótko z niektórymi, lecz najwyraźniej nie znalazł upatrzonego towaru. W szkarłatnym płaszczu, złotej masce i jedwabnym zawoju na głowie wyglądał doprawdy bajecznie na tle odpoczywających wojowników, wyciągniętych w niedbałych pozach na poduszkach, z kielichami wina w dłoniach. Ten obraz wydał się Rycerzowi znajomy, jednak nie przypominał innych wspomnień. Był nieruchomy, ze zblakłymi kolorami polichromii na wiekowym tynku. Nie był to jednak czas na rozmyślanie, gdyż zamaskowany patrycjusz najwyraźniej znalazł w Krzyżowcu okaz godny uwagi oraz pieniędzy.

– Witajcie, dobry rycerzu, niech Opatrzność ma was w opiece w czasie krucjaty.

Mieszczanin miał wysoki głos, chociaż nie były to piskliwy skrzek ani dychawiczne pianie podrostka. Bogaty płaszcz ukrywał posturę, jednak pewność w głosie zdradzała wytrawnego mówcę, co

nie dziwiło Rycerza, zważywszy na miejsce, w którym się znajdował.

Krzyżowiec skłonił się w odpowiedzi. Niezbyt nisko, wszak nie zapomniał, że chociaż był biednym pielgrzymem, to wciąż należał do stanu rycerskiego.

– Mniemam, żeście świeżo przybyli do miasta z odległych stron. – To było stwierdzenie, którego wymagała grzeczność. Obaj wiedzieli, dlaczego ta rozmowa w ogóle ma miejsce. Pierwszy chciał kogoś zgładzić za pomocą anonimowego miecza, ten drugi pragnął sakwy przedmówcy. Mimo to należało zachować zasady dobrego wychowania.

Rycerz przytaknął, wskazując dłonią ku północy.

– Powiedźże, dobry rycerzu, przyjełlibyście datek na poczet waszej pielgrzymki oraz skromną prośbę, abyście za moje zdrowie odmówili modlitwę przy Świętym Grobie? – zapytał mieszczanin bez cienia szykany czy ironii w głosie. Obserwujący tę scenę najemnicy wybuchnęli śmiechem i wzniesli toast ku czci króla Jerozolimy oraz kilka innych, zupełnie wulgarnych.

Rycerz zgodnie skinął głową, gotowy wysłuchać oferty.

– Wspaniale! – Patrycjusz klasnął w dłonie. – Nic tak nie raduje duszy jak pomoc w słusznej sprawie. Widząc was, mniemam, że nie tylko modłami, ale i mieczem potraficie wspomóc bliźniego, toteż do was kieruję moją skromną prośbę...

*

Noc była wyjątkowo zimna, jak zawsze we Florencji, jednak harcownikom krążącym po ulicach zgoła to nie przeszkadzało. W powietrzu unosiły się drobinki marznącego deszczu, zbyt lekkie, aby opaść jako krople, miotane wiatrem po ulicach i zaułkach miasta. Widać je było jak na dłoni, gdyż Florencja nigdy nie zaznała ciemności nocy. Gdy zachodziło słońce, ulice wypełniało zimne światło wydobywające się wprost z ulic oraz murów. Niezwykła iluminacja malowała mury feerią barw, czerwienią, fioletem, żółcią oraz błękitem, wydobywając z półmroku nowe oblicze tego miasta.

Było to oblicze posępne, pełne ostrych rysów, wyniosłych fasad i gęstych cieni. Przywodziło na myśl antyczne grobowce oświetlone chorobliwymi ogniami samego piekła. Po skąpanych w trupim świetle ulicach wędrowali maskaradnicy, wypełniając miasto śmiechem oraz śpiewem, który w labiryncie kamienic brzmiał niczym zawroscenie potępionych dusz.

Rycerz stał w cieniu, oparty o ścianę, obserwując pustą ulicę podświetloną fioletowym blaskiem. Z oddali dochodziły go zniekształcone nawoływania oraz krzyki. Nie był pewien, czy były to odgłosy radości, czy może coś jeszcze polowało tej nocy we Florencji. Krzyżowiec miał jedynie nadzieję, iż wszelkie siły nieczyste będą trzymać się z daleka od jego skrawka ciemności. Dość mu było niepokojących spostrzeżeń, gdy na brzegu Arno dostrzegł mokre ślady, jakby coś wypęzło z rzecznej toni. Któż wiedział, co skrywają maski tej nocy.

Florencja za dnia była pełna ludzi, słońca, krwi oraz złota, w nocy zaś wypełniały ją nienazwane odgłosy oraz to nienaturalne światło. Rycerz bez ustanku spoglądał po ciemnych prostokątach okien, niemalże czując na sobie spojrzenie schowanych w mroku oczu. Z małego otworu piwnicznego po drugiej stronie ulicy co jakiś czas wydobywał się obłoczek pary, zdradzając ukrytą tam istotę. Fioletowa aura pulsowała, ożywiając cienie, które zdawały się przemykać po dachach kamienic z cichym chrzęstem.

Mimo iż był martwy, Krzyżowiec czuł kłusający chłód na palcach, kurczowo zaciśniętych na rękojeści miecza. W takich miejscach łatwo było o zdradziecki nóż wbity w plecy z ukrycia. Nad miastem rozległ się wysoki pisk, który zgasł tak nagle i szybko, jak się pojawił. Ściana sąsiedniej kamienicy nabiegła krwawymi łzami.

Rycerz jednak nie zwracał uwagi na to zjawisko. Zza rogu wyłoniły się właśnie dwie ludzkie sylwetki, sczepione w namiętym pocałunku. Przekupiona kurtyzana z zalotnym chichotem prowadziła nieświadomą ofiarę coraz bliżej skrytego w cieniu zabójcy. Rycerz z napięciem obserwował każdy krok

kobiety, ciągnącej za sobą chwiejącego się od wina człowieka. Kurtyzana pomiędzy nachalnymi pocałunkami rozglądała się nerwowo, poszukując w fioletowym blasku swego wybawcy. Zagryzając wargi z odrazy do siebie, Rycerz skoczył na ofiarę.

Zaskoczony mężczyzna zatacza się od uderzenia, opada na kolano, dłonią wspiera się o bruk. Zaciśnięta pięść Krzyżowca uderza go w policzek. Trzask pękającej kości ginie w drugim uderzeniu. Mieszczanin pada na bruk, chwytając się za rozbitą twarz. Kurtyzana ze wstydem odwraca wzrok. Rycerz wbija kolano w gardło leżącego. Patrzy, jak młodzieńcze, jeszcze dziecięce oblicze krzywi się ze strachu. Mieszczanin wciąż walczy. Szarpie duszącą go postać, ale bez skutku. Nie może już złapać oddechu. Z ciała ulatują resztki sił. Krzyżowiec dla pewności miażdży krtań młodzieńca. Wstaje, kierując oczodoły na kurtyzanę.

Ją też przykazano zabić, ale jeszcze nie teraz. Nad mostem.

Chcąc zachować choćby cień człowieczeństwa, kobieta odmówiła nad ciałem modlitwę. Wraz z sakramentalnym „amen” rozplakała się, tuląc się do ramienia Krzyżowca. Gnani wstydem zbrodniarze umknęli w bladą poświatę florenckiej nocy. Obydwoje znali wymiar swej zbrodni. Żałowali młodzieńca, którego imienia nie znali; przeklinali srebro, którym zostali opłaceni, i żalowali siebie – pionków w grze.

Szli przed siebie, pełni wzgardy dla własnego czynu, szukając odrobiny zrozumienia. Obydwoje milczeli, nasłuchując, czy nie nadciąga za nimi pogoń, której skrycie pragnęli. Może wtedy byłoby łatwiej im stanąć przed obliczem Stwórcy. Jednak noc biegła swym rytmem, wypełniając ciemne niebo jęklwym śpiewem i niezrozumiałymi głosami błędzącymi wkoło. Rycerz przytulił kurtyzanę nieco mocniej, chcąc choć w ten sposób dodać jej otuchy. Ona uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Dla Krzyżowca nie było to pierwsze życie, które odebrał z zimną krwią, jednakże mord na bezbronny napawał go niesmakiem, przynajmniej przez pewien czas. Był przecież zawodowym wojownikiem, zabijanie było jego pracą, nieważne, czy nazywano ją heroiczną obroną bezbronych, czy bestialskim najazdem. Mimo to walka z kimś, kto nie może odpowiedzieć na atak, była nie tylko mało chwalebna, ale i pozbawiona satysfakcji. Rycerz wolałby rzucić się w wir wojny, będącej rodzajem niebezpiecznej gry, w której obydwie strony godzą się z ryzykiem, kiedy zasiadają do stołu. Jednak jak każda gra, nawet wojna miała zasady, których Krzyżowiec nie dostrzegał na ulicach Florencji.

Mord plamił sumienie żrącym znamieniem. Nie było to spełnienie rycerskich ideałów, które w starciu z brzęczącym złotem zamieniały się w nadętą farsę. Wielcy wojownicy tego świata potrafili zachować godność oraz inspirować prawością. Jednak on, zabójca opłacony florenckim złotem, nie był Wilhelmem Marszałkiem, Saladynem ani Cydem Walecznym. Głos był bezlitosny, a Rycerz nie znajdował słów na swoją obronę.

Krzyżowiec rozstał się z kurtyzaną bez słowa, niedaleko Starego Mostu, opodal grupy rozwrzeszczanych bachantek, pląsających ponad dymiącymi ochłapami mięsa. Szybkim krokiem przekroczył nurt Arno, zostawiając za sobą wyrzuty sumienia. Nikt przecież nie zmuszał go do przyjęcia tych judaszowych srebrników, którymi mieszczanie opłacali siepaczy. To były jego decyzja i jego wybór.

Na myśl o wstydzie Krzyżowiec wzruszył jedynie ramionami. Dość już uważał się nad swą ofiarą. W myślach przecież polecił tego młodego nieszczęśnika Bogu, kurtyzanie zaś wspaniałomyślnie darował życie. Zrobił wszystko, co musiał zrobić, a pełny trzos, pobrzękując wesoło przy pasie, wtórował tej myśli. Przecież nie przyjąłby tego zlecenia tylko po to, aby w ostatniej chwili poczuć nagły atak litości. Jego zleciodawca będzie musiał zaakceptować fakt, iż kurtyzana przeżyła. Jeżeli będzie chciał, wynajmie innego zbira, żeby pozbyć się świadka. Jego wola, ale o świcie Rycerz będzie już stał pod miejską bramą, czekając na jej otwarcie. Zapewne zanim patrycjusz skończy ubierać swe kolorowe szaty, on ujedzie kilka ładnych mil w kierunku równie sprzedajnej Wenecji.

Wszak kto mógłby mu zarzucić brak rzetelności? Leniwy mieszczanin, który własne spory rozwiązuje cudzymi rękoma w środku nocy?

Rycerz zaśmiał się po raz wtóry od opuszczenia klasztoru. Świętobliwi mnisi z pewnością ostro

złajaliby go za morderstwo i skazali na straszliwą pokutę. Jednak czy i oni byli wolni od grzechu? Przecież takich jak on, rycerzy, od małego wychowywano, wręcz hodowano, aby zabijali innych ludzi w zastępstwie za inne stany. Usprawiedliwienie zależało od litery prawa albo arbitrażu najznacniejszych person tego świata: biskupów, królów, papieża albo w dawnych dniach – cesarza. Nie prostemu Krzyżowcowi było dociekać, czy jego czyn był zły i czy zasługiwał na karę. Być może ów zaduszony młodzik był nikczemniejszym złoczyńcą niż on sam. Wtedy ze zdradzieckiego mordercy Rycerz stałby się ręką sprawiedliwości.

Wcale miła promocja.

Z pozornym spokojem ducha Krzyżowiec kroczył ulicami Florencji, wsłuchując się w szum wiatru niosącego z centrum zniekształcone głosy. Niektóre z nich mogły nawet należeć do ludzi. Po północy dotarł pod ciemne okna zajazdu, gdzie zostawił konia oraz bagaże. Łomotaniem kołatki obudził oberżystę, który nawet nie miał mu za złe nagłej pobudki. W świetle lampki oliwnej sprawdził jedynie, czy żywy trup stojący za wzmocnionymi drzwiami był jego klientem, a zobaczywszy znajome oczodoły jarzące się zza wizjera, wpuścił go do wnętrza. Szybko upewnił się, czy gość nie życzy sobie posiłku lub kąpieli; w tym zawodzie musiał w mgnieniu oka rozpoznawać nastroje oraz zachcianki kreatur odwiedzających jego przybytek. Reputacja liczyła się ponad wszystko, a konkurencja nigdy nie spała, jeżeli w grę wchodziło przejście cudzych klientów. Ku zadowoleniu oberżysty Krzyżowiec był spokojnym gościem, hojne płacącym ludzkimi palcami za wszelkie usługi. Taki stan rzeczy, chociaż przelotny, napawał szynkarza zadowoleniem. Spoglądał teraz na dobrego klienta tak, jak robią to zamożniejsi kupcy: z dłońmi na biodrach, z dumą oglądając swe inwestycje. Gdyby los zsyłał tylko takich spokojnych, martwych ludzi, oberżystałożyłby sowicie na msze dziękczynne i otworzył zakład pogrzebowy.

W głównej sali zajazdu wokół kominka spało kilku ludzi, szczelnie owiniętych w ubłocone oponcze. Szczątki wieczerzy rozrzucone dokoła zdradzały zmęczenie podróżnych, dla których wejście po schodach na piętro było już nadludzkim wysiłkiem. Krzyżowiec przestąpił nad skulonym w kłębek mnichem, który złożył głowę na poźółkłej czaszce. Duchowny jedynie chrapnął głośnie, kiedy Rycerz postawił stopę obok jego pozbawionych paznokci palców. Przy schodach, oparty o ścianę, drzemał niski mężczyzna, obejmujący kolana ramionami. Udawał, że śpi, jednak Rycerz z miejsca poznał podstęp. Oddech nieznanego był cichy i nienaturalnie równy.

Wszyscy ci ludzie nosili zamię czarnej śmierci. Umrą w ciągu kilku dni.

Krzyżowiec pokonał schody, wreszcie odgradzając się od florenckiej nocy grubymi drzwiami oraz wzmocnionymi okiennicami. Oberżysta zostawił koło progu żarnik z wciąż gorącymi węglami. Rycerz połknął dwie garście wiśniowego żaru, chciwie zlizując z metalowej powierzchni każdą iskrę i ogniastą drobinę. Nasyciwszy głód, odgarnął skraj cienkiej kołdry wypełnionej pierzem. Przez moment oglądał niezwykle cud czystego łóżka. Nieśmiało nacisnął dłonią na siennik.

Materac ugiął się kusząco.

Rycerz pokręcił głową i wcisnął się w kąt pokoju, gdzie zasnął, posłuszny wieloletniemu nawykowi nabytemu w klasztornej celi.

*

Wraz ze wschodem słońca Rycerz gotował się do opuszczenia Florencji, jednak już o tej porze ulice wypełniły się tysiącami twarzy. Kto żyw ruszał do swego cechu, rozkładał stoisko na progu kamienicy czy przygotowywał towar na sprzedaż. Niektórzy siodłali konie, szykując się do wyprawy przez okoliczne krainy, inni dopiero co opuszczali domostwa, żegnani czułymi słówkami towarzyszek nocy. Ponownie, po bladej nocy, Florencja wypełniła się jaskrawymi, pełnymi barwami, które upodabniały jej ulice do fantastycznego ogrodu. Temu obrazowi towarzyszył dźwięk obcasów stukających o bruk, młotów kowalskich, krosien, skrzypiących zawiasów, wbijanych gwoździ, ubijanej zaprawy oraz ludzkie głosy

każdej barwy i każdego tonu. Krzyki towarzyszyły upadkom, pierwszym ubitym interesom oraz tym nieszczęśnikom, których alkohol wciąż więził w objęciach nocy.

Obserwując ten spektakl z wysokości okna na piętrze, Rycerz zastanawiał się, jak wiele czasu minie, zanim odnajdą go ludzie anonimowego patrycjusza, aby wyeliminować ostatniego świadka zesłanocnego mordu. Z miejsca tłum nabrał groźniejszego wyglądu. Nietrudno było doszukać się w morzu twarzy tej jednej, która niby przypadkiem rozgląda się na boki z udawaną obojętnością. W takim stanie ducha, gdzie człowiek lęka się nawet własnego cienia, uliczny urwis albo terminator z cechu iglarzy staje się zaciekle wrogiem. Machnięciem ręki Krzyżowiec odpędził od siebie ponurą myśl, nie chcąc doszukiwać się w każdym przechodniu wroga. Nie był przecież Florentczykiem czy Genuńczykiem, żeby nienawidzić swych bliźnich z taką zajadłością.

Rycerz opuścił gościnne progi zajazdu, gotowy na nowo podjąć podróż na Wschód. Pieniądzy miał dość, żeby zaokrętować się na wenecką galerę kierującą się do przystani Jafy czy Saint Simeon, a postanowienie odwiedzenia Ziemi Świętej było równie silne co przed laty. Skrycie liczył na objawienie, w którym ujrzełby przeżyte kiedyś dni, gdyż tam musiał spoczywać ów czerw, który bezlitośnie gnał go na drugi koniec świata.

Kiedyś, w innym życiu, Rycerz złożył przysięgę, która przetrwała samą śmierć i nawet po tylu latach potrafiła pchnąć naprzód martwego Krzyżowca. Musiał pozostawić po sobie nieukończoną misję, wciąż domagającą się spełnienia. Dlatego pod czaszką wciąż słyszał głos, napomnienia z poprzedniej epoki, wypowiedane przez jego własne sumienie. Może za tym przewodnictwem uda się jeszcze dokonać czegoś dobrego?

Takie wytłumaczenie przypadało mu znacznie bardziej do gustu niż pusta egzystencja żywego trupa, już martwego, ale jeszcze zachowującego pozór życia, jak gasnący żar ogniska. Lepiej było nawet udawać, iż to przeznaczenie kusi go obietnicą chwały na polach Outremer, zamiast przyznać, że to wszystko tylko gasnący powidok dawnego życia. Jakże pozbawiona nadziei byłaby myśl, iż obecna egzystencja to jedynie pośmiertne konwulsje szlachetnego i odważnego Rycerza, a ta wędrówka jest tylko szyderczym wypaczeniem czynów godnych oraz chwalebnych. Tamten Rycerz, tamten żywy i czujący, ojciec oraz mąż, z pewnością nie zniżyłby się do morderstwa za garść monet. Krzyżowiec zazdrościł mu, zazdrościł samemu sobie sprzed lat, wiary w galanterię konnego szlachcica. Niedoskonałego człowieka, pragnącego dotknąć ideału.

W miarę gdy Krzyżowiec zbliżał się do miejskiej bramy, florencki gwar cichł, co było zjawiskiem rzadkim. Słysząc było zamiast niego szepty i lament. Zgromadzeni wokół ludzie szeptali między sobą, wymieniając się pytaniami oraz niepewnymi spojrzeniami. Niektórzy modlili się, padając na kolana, tak jak stali. Krzyżowiec z mozołem przedzierał się przez tłum, odsuwając mieszczan na boki, aż dotarł do epicentrum zamieszania.

Starszy mężczyzna o siwej brodzie klęczał pośrodku tłumy, płakał i złorzeczył na przemian w śpiewnym języku. Nie był to kloszard czy biedak, a cudzoziemiec ubrany w piękne brązowe szaty obszyte złotem. Oczy miał jednak zaczerwienione od łez, rękawy ubrudzone pyłem, włosy potargane. Mieszczanie patrzyli na starca ze współczuciem, jednak nikt nie odważył się podejść. Nawet miejska straż stała z boku, pozwalając na tę niezwykłą dla Florencji stratę srebrodajnego czasu.

Rycerz trącił ręką stojącego obok strażnika i wskazał na szlochającego.

– To Ladislao, dobry panie, kupiec z Węgier – odpowiedział niechętnie strażnik. – Właśnie dowiedział się, że hordy Tartarów pokonały armię króla Węgrów i zrównały z ziemią Pest. Tam mieszkała jego rodzina. Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie.

Rycerz uczynił znak krzyża, a kilka osób odrzekło półgłosem:

– A światłość wiekuista niechaj im świeci.

– Niech odpoczywają w pokoju wiecznym. – Słowa modlitwy przetoczyły się przez tłum, tym razem śmielej i z odrobiną szczerości.

Rycerz obrócił nieco głowę, tak jak czynią to zaciekawione ptaki, i przez chwilę jeszcze obserwował człowieka, któremu najazd dzikich nomadów odebrał to, co najcenniejsze. Węgier wypalał się w oczach, stawał się coraz bledszy, a jego ramiona nie przecinały już powietrza z wizgiem. Krzyżowiec z chorobliwą fascynacją obserwował, jak rozpacz niweczy tego człowieka, pozostawiając po sobie chlapiącą, zasmarkaną postać, która jeszcze kilka godzin wcześniej była szanowanym kupcem. Wychodząc z zajazdu, Rycerz pragnął objawienia, nadnaturalnego znaku wskazującego wyraźny cel jego włości. Czegoś, co nada powód do marszu; myśli, której będzie się trzymał w chwili zwątpienia, i zasady, wedle której będzie postępować. Do tej chwili jego wybory przyniosły niewiele dobrego, ale ten cudzoziemiec, złamany tragiczną wieścią, tchnął w Krzyżowca nowego ducha. Jak padlinożerca odnajdujący upodobanie w dogorywającej ofierze, tak Rycerz poczuł dreszcz podniecenia.

To było jego objawienie.

*

Pozostawiwszy za sobą mury Florencji, Krzyżowiec skierował się ku dawnemu egzarchatowi Rawenny oraz Wenecji, gdzie spodziewał się znaleźć podobnych sobie straceńców, szukających drogi do Outremer. Wierzchowiec świętej pamięci Rogera d’Melfi prowadził się dobrze, krok miał równy, chociaż daleko mu było do ogromnych, zawsze smoliście czarnych rumaków z Fryzji. Kasztanek bardzo szybko przywiązał się do nowego właściciela i wykonywał wszelkie polecenia tak, jak gdyby czytał w myślach jeźdźca. Jego jedyną wadą było to, że żył. Rycerz wiedział, iż pewnego dnia tego sympatycznego zwierzaka spotka coś złego i jedynym miłosiernym wyjściem będzie skrócenie jego męki. Poklepał kasztanka po karku. Do tego czasu miło będzie mieć towarzystwo.

Całkiem przyjemnie było jechać przez tokańskie ziemie, nie musząc przejmować się zbytnio hazardami życia. Zaraza Rycerzowi nie groziła, bieda wybawiała go od trosk o majątek pozostawiony w rękach żony, a szukanie córce dobrego męża nie przysparzało mu siwych włosów. Senior nie wymagał od niego gościny w czasie niespodziewanych wizyt, biskup nie groził klątwą za sznur kochanek ukrytych na dworze. Tak, życie w drodze miało swój nieodparty urok.

Rycerz spojrział na wypaloną winnicę, spływającą szerniałymi pasami w dół łagodnego zbocza. Gdzieś tam połyskiwały w słońcu ocalałe od ognia łodygi winorośli, niestrudzenie podejmując wędrówkę ku niebu. Na szczycie wzgórza stała kapliczka z wybitymi oknami i wyrwanymi z zawiasów drzwiami. Pomimo zniszczenia ktoś poruszył się w portalu, a chwilę później rozległ się dzwon, wzywający na modły. Przez kilka chwil wibrujący ton unosił się w powietrzu, zanim zamarł w oczekiwaniu na wiernych. Nikt jednak nie przybywał. Szpaki harcujące po winnicy w poszukiwaniu nasion oraz owoców kompletnie zignorowały duchownego, odprawiającego mszę dla upiórów.

Kilka stajni dalej Rycerz dostrzegł ciemne mury benedyktyńskiego opactwa górującego dumnie ponad kilkoma przysiółkami z wysokości skalnego urwiska. Krzyżowiec czuł wielki szacunek wobec mnichów, którzy ślubowali wyrzec się świata doczesnego i skupić na duchowej walce o zbawienie ludzkości. Oczywiście widywał opatów o posturze godnej Bachusa oraz sakwie pełnej złota, perorujących o ubóstwie Chrystusa. Podobnie razily go siarczyste kazania z ust mnichów, którzy dopiero co odstawili kochankę do celi, jednak mimo to Krzyżowiec wciąż darzył braci zakonnych respektem oraz sympatią. Powodem tego stanu rzeczy było wspomnienie z młodości, z tego dawnego życia, które wciąż tkwiło w jego pamięci.

Rzecz działa się w sławnym klasztorze imienia świętego Galla, gdzie Rycerz przebywał przez pewien okres. Stało się tak, że opatowi Notkerowi objawił się Nieprzyjaciół we własnej osobie i oznajmił o planach uprzykrzenia mnichom życia. Notker, jako człek świętobliwy, nie przeląkł się diabła i kazał mu iść precz. Kolejnej nocy szatan nawiedził klasztor, a znalazłszy opata przed ołtarzem, przemienił się w ogromnego ogara i zaatakował mnicha. Notker jednak nie zląkł się i zaczął okładać

szatana złotym pastorałem, który w klasztorze spoczywał jako relikwia. Pobity diabeł zniknął, kiedy opat złamał pastorał na jego plecach. Rycerz wkrótce opuścił mury Sankt Gallen, ale historia diabelskich zapasów nie skończyła się na tym. Niedługo później kusiciel opętał młodego mnicha imieniem Wollo, który rzucił się z dzwonnicy i skręcił kark. Opat Notker zdążył jednak udzielić namaszczenia Wollonowi, ratując jego duszę i ponownie zwyciężając diabła.

Około południa, w porze największego upału, Rycerz pozwolił odpocząć wierzchowcowi w cieniu starego gaju oliwnego. Było to ustronne miejsce na szczycie kamienistego wzgórza, z którego rozciągał się przyjemny widok na górzystą Toskanię. Wiekowe drzewa o pomarszczonej korze musiały pamiętać jeszcze dźwięk łacińskiej mowy oraz panowanie Cezarów nad Imperium Romanum.

Przechadzając się pod zielonym parasolem liści, Rycerz przyglądał się uważnie otaczającej go idylli. Tutaj dało się zapomnieć o czarnej śmierci, zdeformowanych ludziach, zwierzętach i roślinach. W powietrzu brak było ciężkiego odoru śmierci oraz chorób, z każdym zaś oddechem myśli Rycerza stawały się jaśniejsze. Krzyżowiec zerwał garść oliwek, które żuł bardzo powoli, nie chcąc do końca połamać zębów na twardych pestkach. Przez kilka chwil starał się sobie przypomnieć, jak smakują oliwki. Na próżno. Pamięć go zawodziła, a wypalony na węgiel język nie poznawał już smaków. Z braku zajęcia Krzyżowiec ułożył się pod jednym z drzew na kępie trawy i zakrył ramieniem pozbawione powiek oczodoły.

Chociaż popas nie zajął wiele czasu, pogoda zdążyła się całkowicie zmienić. Niebo zasnuły szare chmury, napęczniałe od deszczu, a całe ciepło utonęło w strugach wody. Rycerz z kwaśną miną zwlókł się z trawy i osiodłał konia.

Droga, którą do tej pory podróżował, szybko zamieniła się w błoto, w którym nogi tonęły po kostki. O jeździe wierzchem nie mogło być mowy bez narażania zwierzęcia na upadek czy złamanie pęciny. Krzyżowiec nie chciał bez powodu kusić losu. Czuł się odpowiedzialny za tego czworonoga. Ku swemu zdziwieniu potrafił zdobyć się na namiastkę czułości. Wcześniej, w ogarniętym dżumą Awinionie, oddał pieniądze z nawyku, bo tak należało zrobić, nie było w tym czynie choćby krzty miłosierdzia. Teraz już wiedział, iż to jego dawny charakter kazał mu dać tak bogatą i bezinteresowną jałmużnę. Tak by postąpił ten stary, żywy Rycerz, który był jego przeszłością.

To właśnie był ów tajemniczy czerw, głos podszeptujący martwemu rady, echo dawnego człowieka, coraz słabiej odbijające się wewnątrz jego czaszki, aż wreszcie zanikające pod naporem tego nowego życia po życiu.

Rycerz cicho, jakby wstydliwie, przyrzekł sobie, iż zostanie godnym następcą samego siebie. Kiedyś będzie lepszym człowiekiem – ale jeszcze nie teraz.

Mozolnie, wrywając każdy krok z lepkiego błota, brnął naprzód, prowadząc konia za uzdę. Po niecałej mili marszu był nie tylko przemoczony do ostatniej nitki, ale również pokryty do pasa marznącą breją. Koń dreptał za nim ze zwieszonym łbem, spijając krople płynące mu po nosie wartkim strumieniem. Czas stracił już całkiem znaczenie, a świat zniknął za gęstą zasłoną deszczu, pozostawiając Rycerza na tym małym skrawku błota, maszerującego bez końca w nieznanym kierunku.

Kiedy w mokrym powietrzu odezwały się ludzkie głosy, Krzyżowiec najpierw uznał je za iluzję, zwodzącą jego okaleczone zmysły. Jednak kasztanowy koń również zastrzygł uszami, a wkrótce szum deszczu zmieszał się ze słowami łacińskich chorałów. Niedługo potem na drodze zamajaczyły niewyraźne sylwetki nagich i półnagich ludzi, brnących powoli w głębokim błocie. Przy akompaniamencie psalmów blade ramiona wznosiły bicz oraz kije do ciosu, aby po chwili wymierzyć sobie bolesne ciosy. Biczownicy sunęli naprzód jak wychudzony zastęp upiorów, z oczyma rozpalonymi do białości przez ból oraz religijną ekstazę. Śmiertelnie wygłodzeni, porośnięci guzami, gnijący za życia pokutnicy zupełnie ignorowali deszcz oraz błoto. Wierzyli, że własnym cierpieniem otworzą sobie oraz innym drogę do raj. Być może Ojciec w niebiesiech, widząc tę ofiarę, odwróci zły los.

Setki biczowników minęły Rycerza ze śpiewem na ustach, chłostając się bez litości, wrywając

z pleców kawałki mięsa. Krew płynęła po ich ramionach, kapiała na błoto, które nabierało chorobliwej barwy. Niektórzy pokutnicy padali z wycieńczenia, a mimo to nie zaprzestawali modlitw oraz szeptania wersetów psalmów. Maszerujący biczownicy jednak nie zważali na swych braci i siostry, leżących w błocie. Wdeptywali ich w trzęsawisko, pozostawiając za sobą krwawy szlak oraz ludzkie ciała.

Rycerz musiał teraz maszerować w cuchnącej mazi, co kilkadziesiąt kroków czując pod butem ludzkie ciało, zmiażdżone setkami nóg. Gdzieniegdzie wystawały poskręcane członki, pocięte rzemieniami, drgające jeszcze w pośmiertnych konwulsjach. Kiedy już ucichł chór biczowników za plecami, z ulewy wyłonił się jeszcze jeden pokutnik, czołgający się w krwistym błocie. Co kilka metrów zatrzymywał się, aby wymierzyć sobie siarczyste uderzenie batem o dziewięciu rzemieniami. Cała postać oblepiona była błotem i tylko płonące białym ogniem oczy odcinały się od brudnej skorupy.

Na rozstajach dróg, do których Krzyżowiec dotarł pod wieczór, wisiał człowiek. W jego cieniu Rycerz zatrzymał się na moment, dumając, którądy jechać. Obydwa trakty, rozmokłe i skrwawione, nie przypadły mu do gustu. Równie dobrze mógł ruszyć wprost na wschód, przez podmokłe ostępy, i oszczędzić sobie wątpliwej przyjemności marszu drogą. Ufając w siłę swego ramienia, skierował konia ku bagnom.

Las na trzęsawiskach był nienaturalnie cichy. Nawet odgłos ulewy zdawał się przytłumiony przez gęste powietrze uwięzione pod koronami brzoź i grabów. Bagniska jakby zastygły w bezruchu, obserwując ofiarę. Kasztanek zarżał niespokojnie, wzdragając się przed wejściem w ten wilgotny grobowiec. Rycerz pogłaskał konia i ruszył naprzód, po wąskiej ścieżce, prowadząc zwierzę za sobą.

Przypominał sobie opowieści o upiorach zapalających na bagnach świece, zwabiających na zdradzieckie głębie nierozważnych wędrowców. Przeróżające stwory przemierzały szuwały wraz z duszami sprzed wieków, spod wody dochodziło bicie dzwonów, a niektórzy dodawali szeptem, że bagna skrywają jeszcze mroczniejsze sekrety. Nawet desperaci i rabusie niechętnie przebywali labirynt trzęsawisk, wyseppek oraz tajemniczych ścieżek, których nie wydeptały ludzkie stopy. Pokutne dusze chwytał strach.

Jednak w tej chwili bagna były spokojne. Deszcz nucił cichą melodię w koronach drzew, szumiąc łagodnie o niebezpieczeństwach podmokłego lasu. Rycerz dziękował w duchu Opatrzności za czuwanie nad jego duszą, ale mimo ostrzeżenia zagłębiał się coraz dalej w trzęsawisko. Chociaż nozdrza wypełniał mu fetor gnijącego drewna i bez ustanku brodził w mętnej wodzie, marsz był szybszy niż ślamazarne pełznięcie błotnistą drogą.

Póki słońce stało ponad horyzontem, nawigacja przez bajora nie sprawiała trudności. Raz tylko coś dużego otarło się o nogę Rycerza, kiedy ten forsował porośnięte rzęsą jezioro. Koń nie podzielał zapału i rżał niespokojnie, bijąc kopytami w mokrą ziemię. Coraz dłuższe cienie zwiastowały nadejście nocy, a wraz z nią wszystkich bagiennych stworzeń, które z racji swej natury nienawidziły słonecznego światła.

W ostatnich promieniach dnia Rycerz dotarł na niewielką wyspę, obrośniętą nagimi, martwymi drzewami. Przywiązawszy kasztanka do uschniętej topoli, obszedł teren, zbierając nieco spróchniałego drewna na rozpałkę. Było mokre od deszczu, ale Rycerz musiał rozniecić ogień. Większość nocnych istot wolała omijać płonące ognisko, podobnie zresztą jak dzikie zwierzęta. Z garściami próchna oraz brzożowej kory Rycerz usiadł opodal swego wierzchowca, po czym sięgnął ku miękkiej sakiewce zawieszanej na szyi. Koń uspokoił się i zaczął szukać czegoś do zjedzenia. Nie było tutaj trawy, był tylko brązowy kobierzec przemoczonych liści. Kasztanek z rezygnacją grzebał kopytem w ziemi, rzucając wyczekujące spojrzenia ku Rycerzowi, pochylonemu nad dymiącą kulą patyków i płomieni. Zarówno jeździec, jak i koń musieli głodować. Krzyżowiec nic chciał ryzykować spożycia węgla pochodzących z drzew, które od lat piły korzeniami zatrutą wodę bagien.

Wkrótce ognisko płonęło jasno pomimo wilgoci oraz deszczu. Krople z sykiem znikwały w paszczy ognia, łapczywie pożerającego kolejne gałęzie. Mając pewność, że ognisko nie zgaśnie zbyt szybko, Rycerz zbadał wyspę nieco dokładniej. Był to gliniasty pagórek ze ściętym czubkiem o średnicy około

trzydziestu kroków, wystający na jakieś dziewięć stóp ponad poziom bagna. Miejsce wyglądało na kompletnie opuszczone, co Krzyżowiec potraktował jako dobry znak. Na północnym brzegu wyspy, pod uschniętą wierzbą, został wzniesiony kamienny kopiec. Była to jedyna pozostałość po bytności ludzi na wyspie. Rycerz nie zaryzykował rozkopania znaleziska. To mogło sprowadzić nań tylko nieszczęście.

Deszcz padał do późnej nocy, bezskutecznie jednak próbując zdusić ognisko. Wreszcie niebiosa zamknęły upust wody i pomiędzy smolistymi chmurami zamigotały gwiazdy. Zimny wiatr zakołysał drzewami, niosąc ze sobą przeciągłe wycie jakiejś bagiennej kreatury. Koń zastrzygł uszami, gotując się do ucieczki, ale nawet na krok nie chciał opuścić chwiejnego kręgu światła padającego z ogniska. Rycerz spojrzął na szybko topniejący zapas gałęzi i zrozumiał, że nie starczy mu opału do świtu. Apetyt płomieni był nienasycony.

Bez wielkiego entuzjazmu Krzyżowiec opuścił ogniste schronienie i ruszył ku uschniętej wierzbie. Starannie ominął kamienny kopiec, po czym klnąc w myślach, chwycił za martwy konar. Trzask drewna poniósł się po bagnach z oszałamiającą siłą. Był jak uderzenie okutego tarana o zamkniętą bramę. Przez moment wszystkie dźwięki zgasły. Rycerz wiedział, że nie umknie to uwadze bagiennych mieszkańców. Jedna ułamana gałąź mogła uchodzić za całkiem naturalny odgłos, ale on potrzebował tych gałęzi znacznie więcej. Przez kilka chwil nasłuchiwał, a następnie wrócił do szukania opału. Szybko zgromadził solidną wiązkę drewna, z którą powrócił do ogniska.

Czując na spalonej skórze przyjemne ciepło, poczuł się bezpiecznie, jakby światło płomieni stanowiło zaporę nie do sforsowania. W tej chwili wierzył w to z całych sił, jednak ta wiara, jak każda, miała w sobie element niepewności oraz wątpliwości.

Wpatrując się w pomarańczowe języki płomieni, wijące się z węzowym sykiem wokół wilgotnych gałęzi, Rycerz wspomniawszy ostatnie ognisko, przy którym zasiadł. Było to na polanie w Lombardii, razem z najemnikami Azzo Nicotery, którym odebrał życie. Jako trofea tamtego dnia zabrał miecz oraz tarczę Rogera d'Melfi, a także jego konia. Teraz ściągnął z pleców jesionową osłonę z malowanym wizerunkiem węża, pożerającego człowieka. Zastukał w lekko wypukłe deski.

Kim był poprzedni posiadacz tarczy? Rycerskim wzorcem cnót czy najemnikiem pierwszego sortu? Czy te dwie opcje w ogóle się wykluczały? A może stanowiły jedynie dwa sposoby patrzenia na jedną osobę? Przecież nieraz w historii dochodziło do tego, że ludzie znienawidzeni w jednej krainie kilka mil dalej obrastali w piórka bohaterów. Gdzie leżała różnica? Czy w ogóle istniała?

Z zamyślenia wyrwał Rycerza jego kasztanowy rumak, parszający i drący kopytem ziemię. Koń wpatrywał się w coś na bagnach, coś, co kroczyło z miękkim pluskiem mąconej wody. Krzyżowiec zerwał się na równe nogi, chwytając odruchowo za imacz tarczy. Odgłos powolnych kroków zbliżał się do wysepki, doprowadzając konia do amoku. Gdyby nie mocne rzemienie, którymi był przywiązany do brzoźowego pnia, przerażony ogier umknąłby w panice.

Krzyżowiec dobył miecza, który rozpałił się wiśniowym żarem ogniska. W ciemności stalowa klinga była jak gorejąca pręga rozcinająca noc.

Wtedy Rycerz zobaczył oczy.

Najpierw uznał je za dwie gwiazdy, wiszące nisko ponad horyzontem, jednak rychło pojął pomyłkę. Kilkanaście kroków od niego sunęły dwa srebrzyste punkty, z rzadka gasnące pod zasłoną powieki. Chociaż obóz stał prawie dziesięć stóp nad powierzchnią bagna, srebrne oczy wisiały na tej samej wysokości, co oczodoły Rycerza. Koń wyrwał się i kwiczał, chcąc jak najszybciej uciec od tego przerażającego stwora, pokładając ufność w swych rącznych nogach. Przez kilka długich chwil stworzenie z bagien obserwowało tę dziwną anomalię, jaką był otwarty ogień, po czym zawróciło i zniknęło w ciemnościach nocy.

Poranek przyniósł ze sobą gęstą mgłę, powoli przelewającą się przez bagienny las. Chociaż godzina była wczesna, trzęsawiska pozostały pogrążone w półmroku i chłodzie. Rycerz obserwował, jak w czarnym kręgu ogniska dopalały się ostatnie kawałki gałęzi. Smętna strużyna dymu wiła się jak

umierające zwierzę, już zbyt słabe, aby przeżyć, a nie dość słabe, by skończyć. Skulonego nad ogniskiem Krzyżowca fascynowała ta agonia. Oczekiwał tego niezwykłego momentu, kiedy ostatnia cząstka ognia opuści szare popioły i uleci ku chmurom. Pochylając się coraz bardziej, Krzyżowiec niemal dotykał czaszką skwierczących patyków. Nagle strużyna dymu zafalowała, zwiłając się w spiralę; rysy patrzącego zastygły w napięciu. Powoli dotknął szerniałych popiołów.

Teraz był już pewien. Ognisko było martwe.

Wstał, spoglądając na zamglone bagna. Starł się zebrać wszystkie siły na zmagania z moczarami. Kiedy tuż przed świtem przestało padać, Krzyżowiec zdołał wreszcie wyschnąć i ogrzać swoje kości, a teraz musiał ponownie wejść do zimnego bagna, brodząc w mule oraz torfie. Przez kilka chwil Rycerz trwał w bezruchu, aż wreszcie, zupełnie bez entuzjazmu, wszedł do wody.

Jej dotyk przyprowadził martwe ciało o dreszcz. Pierwsze parę kroków po mulistym dnie było straszliwe. Sopy grzęzły w lepkiem szlamie, rozkładających się szczątkach, co jakiś czas napotykając coś twardszego pod podeszwą. Rycerz miał nadzieję, że są to jedynie kamienie albo zatopione pnie drzew, a nie pogrążone w letargu bagienne stworzenia. Spojrzał szybko przez ramię, obserwując kasztankę, który podzielał nastrój swego pana i brodził ze zwieszoną głową. Z pewnością nie było to najszcześniejsze zwierzę na świecie, jednak maszerowało spokojnie. Konie, podobnie jak inne zwierzęta, posiadały zmysły znacznie czujniejsze niż ludzie. Doskonale wyczuwały miejsca niebezpieczne czy nawiedzone, niektórzy nawet twierdzili, że widzą umarłych.

Na nic jednak zdawały się nawet najbystrzejsze oczy wobec gęstego oparu, unoszącego się ponad moczarami. Idąc po kolana w wodzie, Rycerz zastanawiał się, czy wciąż zmierzał na wschód. Bagna zawsze miały opinię miejsc zdradliwych, pełnych trzęsawisk mogących pochłonąć nieuważnego wędrowca. Nie brak było tutaj zwodniczych kęp trawy rosnących ponad zbiornikami torfu czy ścieżek zmieniających miejsce i zwodzących nieszczęśników na manowce. On natomiast musiał jeszcze borykać się z mgłą. Gdyby mógł przynajmniej dostrzec słońce i za jego przewodem zmierzać na wschód, byłby kontent. Niestety ciemna zapora chmur skutecznie więziła niemal całe światło. Mimo wczesnej pory na bagnach panował zmierzch.

Włokąc się od jednej trawiastej kępy do drugiej, unikając głębi oraz ruchomych piasków, Rycerz dotarł na porośniętą brzozią wyspę. Miejsce wyglądało jak po przejściu pożaru, pnie do wysokości kilkunastu łokci były osmalone i brakowało na nich gałęzi. Za to z wyżej położonych konarów zwisały wstęgi szarego puchu, podobnego do pajęczyny, sięgające niemal do ziemi. Poszarpana narośl falowała delikatnie na wietrze, wydzielając ostrą, drażniącą woń. Koń parsknął nerwowo.

Tknięty przecuciem oraz ostrzeżeniem wierzchowca Rycerz podniósł z ziemi garść przypalonych liści, po czym wrzucił je w zwisający puch. Pajęczyna natychmiast owinęła się wokół zdobyczy i błysnęła płomieniem. W kilka chwil liście zamieniły się w popiół, przylepiony do puchowych nitek. Obserwując zwęglone pozostałości opadające ku ziemi, Rycerz starał się sobie przypomnieć, czy wcześniej widział na bagnach taką diabelską narośl, czymkolwiek ona była. W tej mgle mógł minąć dziesiątki tych śmiertelnych sieci, nawet nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Od tej chwili czujnie rozglądał się po bagnach, szczególną uwagę zwracając na drzewa oraz siwe narośle na gałęziach. Ku swemu niezadowoleniu odkrył, że nawet pojedyncze topole rosnące pośrodku bagna potrafią być przystrojone tymi puchowymi zasłonami. Chociaż drzewa dobrze wskazywały pewny grunt, teraz Krzyżowiec starał się omijać je szerokim łukiem.

Niedługo potem odnalazł szczątki człowieka, który wykazał się mniejszą ostrożnością. Pomiedzy korzeniami brzozy leżał skurczony szkielet o ciemnej barwie, obciążony resztkami skóry oraz mięśni. Usta nieszczęśnika były szeroko otwarte, ręce zaś zdawały się do ostatniej chwili gasić płomienie. Wszystko to na próżno.

Odmówiwszy w myślach „Wieczne odpoczywanie”, Krzyżowiec przykrył ciało ziemią i ułożył na mogile krzyż z kamieni.

Starannie unikając gorejących pajęczyn, Rycerz musiał teraz forsować głębsze bajora i zdradliwe trzęsawiska. Przebycie choćby stu kroków kosztowało go niemało sił i zajmowało tyle czasu, ile pokonanie dziesięciokrotności tego dystansu po twardym gruncie. Co chwila zapadał się po kolana w łapczywej mazi, z której wygrzebywał się na kolanach. Raz bagno wciągnęło go aż po barki i tylko siłę końskich nóg zawdzięczał ocaleniu. Kasztanowy rumak z trudem wyciągnął Rycerza uczeplonego jego szyi.

Dalszy marsz robił się coraz uciążliwy. Rycerz był niemal cały pokryty błotem, które dostawszy się pod ubranie, ocierało go przy każdym ruchu. Chociaż martwy Krzyżowiec wiele przeszedł w obydwu swoich życiach, to uczucie należało do jednych z najgorszych. Ciągły chrzęst mułu, setki drobinek nieustannie drażniących skórę, ciężar kolczugi wpijający się w ramiona – to wszystko złamało dumę Rycerza. Przed samym sobą musiał przyznać, że należało iść drogą, a nie próbować prostować szlaki bagiennymi skrótami. Pokorne myśli, chociaż wielce pożyteczne w temperowaniu pychy, nie potrafiły wydostać Krzyżowca z trzęsawisk. Jediną radą było dalsze pełznięcie w błocie i znoju.

Taki stan rzeczy trwał jeszcze około mili, zanim Rycerz dotarł na skraj rozległego pola porośniętego poźółkłą trzcina. Pomiędzy bajorami stęchłej wody biegły wąskie ścieżki, wydeptane w czarnej ziemi. Z radością i ulgą Krzyżowiec przyjął tę odmianę losu. Na razie nie musiał lękać się gorejącej pajęczyny zwisającej z drzew oraz walczyć z trzęsawiskiem, a nawet mgła nieco zrzęda, pozwalając sięgnąć wzrokiem nieco dalej. Podniesiony nieco na duchu Rycerz powłókł się naprzód, podążając ścieżką. Od czasu do czasu zanurzał się w brudnych jeziorach, z których wychodził oblepiony rzęsą. Był już na tyle zmęczony, iż nie zwracał uwagi na chłód czy wilgoć. Liczyło się to, że woda wypłukiwała błoto i brud, uwalniając wędrowca przynajmniej od jednej niedogodności. Z wzrokiem wbitym pod nogi Rycerz policzył do stu, a potem do kolejnej setki.

Ta apatia nieomal doprowadziła go do zguby.

Już miał pokonać kolejne bajoro, kiedy poczuł szarpnięcie z tyłu. Koń zatrzymał się gwałtownie. Krzyżowiec w mgnieniu oka rozejrzał się wokół. Nic nie zwiastowało zagrożenia. Trzciny szumiały, ocierając się o siebie, a powietrze dalej cuchnęło rozłożonym drewnem. Dopiero po chwili Rycerz zorientował się, co mogło go spotkać.

Jezioro, które miał właśnie sforsować, różniło się znacznie od reszty bagien. Gdyby nie czujność rumaka, Krzyżowiec za późno zdałby sobie sprawę z pomyłki. Wydłużony, choć niezbyt szeroki staw wypełniony był krystalicznie czystą wodą. Nieruchoma tafla bez żadnej zmarszczki pozwalała spojrzeć głęboko pod powierzchnię wody, a mimo to nie dało się dostrzec dna. Brzegi były nagie, pozbawione roślinności, pokryte jasną ziemią, kompletnie różną od ciemnej gleby bagien.

Rycerz podniósł ubłocony kamień i wrzucił go w środek stawu. Z cichym pluskiem woda pochłonęła pocisk, który szybko zaczął tonąć. Błoto odpadło od kamienia i rozpuściło się bez śladu. Krzyżowiec obserwował, jak skalny odłamek zapada się coraz głębiej w wodnej otchłani, aż wreszcie znika. Zdumiało to Rycerza, ponieważ w tak przejrzystej toni kamień musiałby pokonać dziesiątki stóp, zanim dotknąłby dna. Ten zaś rozplynał się jak mgła na wietrze. Trawiony ciekawością Rycerz przez moment chciał znaleźć większy kamień i powtórzyć próbę, ale zaniechał tego pomysłu. Ponowne naruszenie tego niezwykłego stawu mogłoby przynieść pecha. I chociaż tyle pytań kłębiło się w czaszce Krzyżowca, postanowił po prostu znaleźć inną drogę.

Jaki był sekret tego niezwykłego jeziora, z pozoru pozbawionego dna? Czy jego wody leczyły rany i koili ból duszy, czy też uśmiercały wszystko? Jedinym sposobem było zawierzenie losu w ręce Boga i wypicie kilku łyków. Rycerz jednak nie był jeszcze gotowy na spotkanie ze Stwórcą, wiedząc dobrze, jaki wyrok zostanie wydany ponad jego duszą.

Od kiedy opuścił konwent, nie zachowywał się, jak na rycerza przystało. Bardziej przypominał najemnego zbira, który więcej myśli nad wymówkami dla własnych słabości niż o krucjatowych ślubach. Ten stary Rycerz, ten z poprzedniego życia, wiedziałby, co należy czynić. To cień jego starych nawyków

wysłał trupa w tę podróż, aby spełnić jeszcze jeden dobry uczynek. Brnąc w szlamie, Krzyżowiec obiecał sobie, iż dowie się, co to znaczy być rycerzem nie tylko z nazwy. Bo z pewnością było w tym więcej niż to, co czynił do tej pory.

Jakkolwiek wzniosłe i cnotliwe było to postanowienie, najpierw należało wydostać się z bagien. Po raz drugi tego dnia Krzyżowiec złapał się na dumaniu. Teraz wszystkie myśli powinien skupić na przetrwaniu tej lekkomyślnej wyprawy, a nie na snuciu wielkich planów na przyszłość. Te ostatnie musiały poczekać na lepsze czasy.

Chcąc spojrzeć po okolicy ponad morzem trzciny, Rycerz wdrapał się na koński grzbiet. Ku swej uldze, na horyzoncie, ponad białą kreską mgieł, dostrzegł szczyty zielonych wzgórz. Nie mogły być dalej niż pół dnia marszu, co natchnęło wędrowca nowymi siłami. Co więcej, niecałe sto kroków od miejsca, w którym stał, znajdował się długi nasyp porośnięty dzikimi brzożami. Krzyżowiec mógł się mylić, ale przypominał on starą drogę, którą dawno temu ludzie przemierzali trzęsawiska.

Rycerz zsunął się z końskiego grzbietu, po czym śmiało ruszył ku nasypowi. Omijając jeszcze jedno cuchnące bajoro, dotarł do podstawy nasypu i rozpoczął wspinaczkę. W porównaniu do wiecznej wilgotnych bagnisk szczyt starej drogi jawił się niczym rajski ogród. Chociaż rosące tu brzozy były poskręcane i pokryte naroślami, ich gałęzie były wolne od palącego puchu; ziemia nie była całkiem naga, a pokryta kępami trawy, co skwapliwie wykorzystał wygłodniały koń.

Rycerz pozwolił wierzchowcowi posilać się do woli, samemu wędrując wzdłuż nasypu i obserwując pola trzciny oraz czarne rozlewiska. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł myśleć o zapuszczeniu się w to miejsce. Tylko desperaci i szaleńcy... oraz ci, których przyciągała chęć wyjaśnienia tajemnic tego miejsca. Jakkolwiek kusząca wydawała się wizja odkrycia dawno zapomnianych skarbów, jakie skrywały bagna, Rycerz miał szczerą nadzieję, że oglądał ten widok po raz ostatni.

Nagły ruch przykuł jego uwagę. Coś biegło przez trzciny, rozchylając łodygi na boki. W przerwach między roślinnością migąła wyciągnięta w galopie łania. Rycerz przez kilka chwil obserwował, jak zwierzę mknie błotnistymi ścieżkami, instynktownie unikając niebezpieczeństw. Kiedy trzciny na powrót zamarły w bezruchu, Krzyżowiec wrócił do wierzchowca, który skrupulatnie oskubywał nasyp z całej trawy.

Rycerz poklepał konia po karku i poprawił popręg u siodła.

– Posłańcu...

Krzyżowiec wyprostował się w mgnieniu oka. Słaby szept dochodził z pnia spuchniętej brzozy. W pierwszym momencie uznał to za wymysł uszkodzonych zmysłów bądź zbłąkane wspomnienie, przemawiające niemal prawdziwym głosem. Jednakże wezwanie zostało powtórzone i wtedy Rycerz dostrzegł ludzkie oblicze.

Opasła narośl na drzewie była groteskowo wykrzywionym człowiekiem, nieomal kompletnie zrośniętym z pniem. Jego ciało pokryła kora, nogi zaś na stałe stopiły się z drzewem. Poskręcana gałąź, niegdyś ręka, uniosła się w geście powitania.

– Posłańcu, powiedzże, czy król Dezyderiusz wzywa nas wreszcie do swego boku?

Rycerz pokręcił głową, co wywołało smutek na wiekowej twarzy.

– Posłańcu, powiedzże, czy król Dezyderiusz zwyciężył już Karola Franka?

Raz jeszcze Krzyżowiec zaprzeczył. Zielone oczy drzewnego dziadka przygasły wraz z ciężkim westchnieniem. Przez jakiś czas milczał, zbierając resztki sił.

– Będziemy czekać dalej – wyrzekł wreszcie bolesnym tonem, ponownie przybierając kształt poskręcane go pnia.

Rycerz wpatrywał się w narośl, skrywającą w sobie tę udręczoną duszę, o której zapomniał świat. Jego spojrzenie przesunęło się po innych drzewach, równie poskręcanych i rozdętych. W tej chwili spalone i zmiażdżone gardło było dlań błogosławieństwem, ponieważ na jego sumieniu nie ciążył

obowiązek wyznania starcowi prawdy.

Wojna między Dezyderiuszem, królem Lombardii, a Karolem z rodu Karolingów należała już do zamierzchłej przeszłości. Po jej zakończeniu żelazna korona została złożona na skronie Pepina, syna Karola, a królestwo Lombardii dostało się pod panowanie Franków. Teraz zaś dawne ziemie Dezyderiusza rozdrapali samolubni mieszczenie. Na próżno ci ludzie, zamknięci w pniach drzew, oczekiwali przez dekady i stulecia na wezwanie swego króla. Po stokroć przekłeta niech będzie dusza, która wyjawi tę hiobową wieść. Rycerz wskoczył na siodło i zanim odjechał, pozdrowił brązowy zagajnik uniesioną dłonią.

Stara droga wiodła wprost przez bagna ku zalesionym wzgórzom. Jazda wierzchem była miłą odmianą po mozolnym marszu w błocie, którą doceniał zarówno jeździec, jak i koń. Zwierzę szło stępą z wysoko uniesioną głową, jakby chciało udowodnić właścicielowi, że moczary nic nie uszczknęły z jego bojowego ducha. Jednak ten niemalże radosny stan rzeczy nie trwał długo. Ołowiana skorupa chmur pociemniała, zwiastując nadejście nocy. Rycerz sięgnął po Czaszkę Pielgrzyma, która z miejsca rozpalila się ciepłym blaskiem. W jej świetle zbłąkany pątnik zawsze znajdował pewną drogę do celu. Pośród ciemniejących trzciny odezwał się szyderyczy rechot żab. Myśl o spędzeniu drugiej nocy na bagnach niezbyt przypadła do gustu Krzyżowcowi, zwłaszcza kiedy był tak blisko wzgórz. Ich ciemna linia wydawała się tak bliska – mila, może dwie i trzęsawiska pozostaną tylko wspomnieniem, coraz odleglejszym z każdym krokiem. Pomimo chęci jak najszybszego rozstania się z podmokłą krainą Rycerz nie odważył się popędzić kłusem. Ciemniej robiło się z każdą chwilą, a nasyp był pełen dziur i wykrotów. Krzyżowiec nie chciał, aby koń się potknął albo – broń Boże – stoczył się w dół zbocza prosto w jakieś bajoro. Jeżeli rumak złamałby nogę tutaj, Rycerz mógłby okazać mu miłosierdzie jedynie śmiertelnym ciosem.

W ciemności przed sobą Krzyżowiec dostrzegł pomarańczowy język ognia. Wstrzymał konia, uważnie obserwując nowe zjawisko. Nie wyglądało jak błędny ognik, kaganek umarłych wabiący nieostrożnych wędrowców w odmęty bagna. Rycerz był niemal pewien, że ktoś niedaleko rozniecił ognisko, aby spędzić noc w jego bezpiecznym blasku. Pomny ostatniego spotkania w dziczy, Krzyżowiec trzymał prawą dłoń blisko miecza, a lewą mocniej chwycił wodze.

W kręgu światła zgromadzonych było osiem postaci, siedzących i klęczących dookoła płonącego stosu kamieni. Każda z nich kiwała się we własnym rytmie, mamrocząc coś obgryzionymi do krwi ustami. Głowy o pustych oczodołach raz po raz unosiły się do nieba, aby po chwili opaść bezwładnie na barki. Okaleczone twarze bez nosów, bez uszu i warg nieustannie powtarzały modlitwy, kompletnie ignorując przybysza. Kamienny stos płonął samoistnie, nie potrzebując drewna czy innego paliwa, jakby ogień pochodził wprost z głębin ziemi.

Znajdując towarzystwo odpowiednim, Rycerz przywiązał konia do powalonego pnia, po czym rozsiadł wierzchowca. Wreszcie zagasił Czaszkę Pielgrzyma i usiadł przy płonących kamieniach.

Jak wspaniałe to uczucie, gdy po ciężkim dniu można wreszcie spocząć obok żywego ognia i rozkoszować się jego ciepłem. Trudno to opowiedzieć czy zapisać, trzeba dopiero przemarznąć, przemoknąć, zdrożonym zejść ze szlaku, aby w pełni docenić dar Prometeusza. Rycerz wyciągnął dłonie do ognia, czując falę pierwotnej przyjemności, która towarzyszyła ludziom od pierwszego brzasku, jaki ujrzeli po stworzeniu.

Ogień płonął w sercu każdego domu. Wokół niego zbierali się wędrowcy w zajazdach, ku niemu wyciągali ręce zbiegowie szukający azylu. Młoda para zabierała szerniałe polano z domowego ogniska, aby nim rozniecić płomień w swym nowym domu. Ogniem równano z ziemią wioski i kruszono mury zamków. Jego gorąc topił żelazo, z którego kuto pługi, siekiery oraz gwoździe. Wreszcie z jego pomocą odziewano wojowników w pancerną skórę, aby bronili swych domów przed cudzym płomieniem.

Płomień jest jak życie skazane na śmierć w momencie narodzin. Jego istnienie trwa ledwo mgnienie oka, a mimo tego przypisuje mu się miano wiecznego żywiołu. Pierwszy ognik ogarniający nieśmiało palenisko nie jest tym samym, który dogorywa na błędnym żarze w jego ostatniej chwili. Jeden z nich

jest troskliwie osłaniany przed wiatrem, karmiony brzożową korą oraz świerkowym chrustem; hartuje się go, aż gotów jest spełnić pokładane w nim oczekiwania. Ten drugi to widmo przeszłości, słabe i chwiejne, z trudem wędrujące po stygnących węglach. Dogorywający ogień nie wzbudza litości u ludzi, jest dla nich bezużyteczny, godny jedynie zdeptania. Najlepiej jednak go zostawić na pastwę wiatru i chłodu, aby skonał w samotności.

Rycerz spojrzął na swoje spalone dłonie, zastanawiając się, jak szybko wygaśnie płomień mieszkający w jego ciele. Teraz mógł tam pozostać jedynie ciemniejszy żar oraz malutki ognik, który zmieściłby się w dziecięcych dłoniach. Rycerz dogasał, podobnie jak świat wokół niego.

Wkrótce pozostaną tylko zimne popioły, okrywające kobiercem jednak pałace możnych, jak i chaty biedaków. To była tylko kwestia czasu. Wsłuchany w jękliwy śpiew swych towarzyszy, Krzyżowiec oparł głowę o kolana, czując na sobie lekki dotyk Morfeusza.

*

Ze snu wyrwał go niski pomruk toczący się przez niebo.

Rycerz podniósł głowę, z rezygnacją witając kolejny dzień pozbawiony słońca. Kamienny stos wygasł, chociaż ogień nie pozostawił po sobie żadnego śladu. Nawet pojedyncze źdźbło trawy nie zostało spalone czy choćby osmolone. Okaleczeni zniknęli w nocy. Wstali bez słowa czy rozkazu i ruszyli gdzieś przed siebie, rozpluwając się w ciemności. Krzyżowiec zastanawiał się, czy byli oni istotami z krwi oraz kości, czy może widmami dawnych dni. Jako upiory pozbawione wszelkich doznań żyłoby wewnątrz własnych wspomnień, snując opowieści o Imperium, nie odczuwając upływających lat. Żaden smak, dźwięk czy widok nie przesłaniałby raz zapamiętanych obrazów. Do dnia Sądu mogli spędzać chwile z ukochanymi, przywracając do życia mglistą iluzję dawnych czasów. Może taka egzystencja, chociaż jałowa, była radośniejsza od bezskutecznej walki z wszechobecną zarazą?

Chmury raz jeszcze zadrzały od ryku, który tym razem odezwał się niżej, a jego wibrujący ton powoli przechodził z rozdzierającego niebo gromu, ku groźnemu pomrukowi zamkniętej paszczy.

Słyszając ten krzyk, kasztanek nie chciał tkwić przywiązany do drzewa ani chwili dłużej. Tupął i machał głową, przynaglając Krzyżowca do dalszej drogi. Rycerz natomiast wstał nieśpiesznie, rozciągając kości. Nie lękał się szybujących w przestworze istot, a jego serce nie słabło na dźwięk ich okrutnego ryku. Wszak cokolwiek rodzi się i chodzi pod jasnym słońcem, da się odpędzić odwagą oraz mocnym ramieniem. Z boską pomocą można zachować przy tym własne życie.

Przysposobiwszy konia do drogi, Rycerz poczuł na twarzy ostre podmuchy chłodnego wiatru spływającego od strony gór. Bez żalu zostawił bagna za plecami i skierował wierzchowca ku zielonym kopułom wzgórz. W cieniu wiekowych buków powietrze było czyste od fetoru rozkładu zalegającego nad torfowiskiem. Tutaj można było dostrzec życie rozkwitające na brzegu strumienia. Po srebrnych i zielonych liściach spływały pierwsze krople słonecznego blasku, które przeciskały się w szczelinach pomiędzy chmurami. Wreszcie, kiedy wiatr rozerwał skorupę chmur, z błękitnego nieba opadł deszcz światła. Rycerz obserwował, jak las zalewa fala złocistych promieni, czując w duchu narastającą nadzieję. Podążając w górę strumienia, zastanawiał się, jak ten niezwykły spektakl piękna mógłby kiedykolwiek ulec chorobliwym bagniskom.

W pamięci pojawiła się scena.

Jasne pomieszczenie, a za pulpitem starszy człowiek o surowej twarzy, odziany w prostą tunikę. Wyglądał na ascetę, a jednak mówiono, że za młodu straszliwy był z niego rozpustnik. Mężczyzna wodził wzrokiem po pomieszczeniu pełnym ludzi, jakby szukał odpowiedzi na zadane pytanie. Chociaż sądząc z wyrazu twarzy, gotował się do ataku na osobę, która udzieli niezbyt przekonującej riposty. Nie doczekawszy się ochotnika, asceta uśmiechnął się delikatnie i powiedział:

– Piękno wspierają trzy filary: kształt, umiar oraz ład. Nieobecność jednego z nich jest wyraźnie

widoczna i zauważalna. Brak ładu skutkuje chaosem i zbędną zawiłością. Brak umiaru sprawia, że szybko tracimy z oczu główny wątek. Brak kształtu jest jak okręt pozbawiony wiosł sterowych oraz żagli – dryfuje bez celu.

– Mistrzu, ależ te trzy rzeczy to jedno i to samo – wypalił niecierpliwie młody człowiek o oliwkowej cerze. – Umiar w kształcie i ład w kształcie to jedno, bo ład to zachowanie umiaru!

– I tutaj masz swoją odpowiedź, Filipie – zwrócił się asceta do kogoś za plecami Rycerza. – Działanie piękne to takie, które nie zważa na praktyczne korzyści, poklask innych czy przyjemność, a jedynie na piękno samo w sobie. Uczynki takie rozpoznamy po ich szlachetności, prawości, prawdziwości. Są one dobre, a przez to i piękne. Uwodzą naszą duszę i skłaniają do dobrego postępowania. Nie może być jednego bez drugiego. Wszak jak można powiedzieć, że ktoś, kto postąpił dobrze i szlachetnie, jednocześnie nie czyni pięknie? Co zaś się tyczy istnienia...

Wspomnienie zacierało się tutaj w niewyraźny ciąg obrazów i słów. Surowy mężczyzna jeszcze długo rozprawiał o bycie, moralności, sztuce i Bogu. Wówczas ta mowa mocno zmęczyła Rycerza. Kilka godzin spędzonych na skomplikowanych dywagacjach, zupełnie abstrakcyjnych dla młodego człowieka, było trudną przeprawą. Obecnie taka rozmowa sprawiłaby Krzyżowcowi wielką przyjemność. Oczywiście gdyby tylko mógł wydusić ze spalonej krtani jakiegokolwiek słowo. Tyle miałby pytań do ascety, który tak pięknie mówił o absolucie oraz ideach... Razem może by doszli do tego, jak wiele piękna, prawości oraz szlachetności jest tak naprawdę w tym gnijącym świecie.

Jedno spojrzenie na wypełniony złotym i srebrnym światłem las ucięło wszelkie rozmyślenia o starych dziejach. Na cóż się zastanawiać nad pięknem absolutnym i moralną dzielnością, mając przed sobą takie чудо? Tym należy się cieszyć tu i teraz, a uczone rozmowy pozostawić na później. Jednak z perspektywy lat Rycerz musiał przyznać, że asceta dobrze wiedział, o czym mówi. Ten widok poruszał w jego duszy więcej niż jedną strunę.

Czując namiastkę zadowolenia, Krzyżowiec pozostawił na dnie pamięci ponure myśli o przeszłości i wygaśnięciu. Bez wątpienia wróca do niego w czasie długich, bezsennych nocy, żeby dręczyć go żalem, wyrzutami sumienia i bezsilnością. Ale to kiedyś. Teraz w powietrzu mieszał się szum strumienia oraz wesoły tryl jakiegoś śpiewającego ptaka. Krucha to radość, Rycerz wiedział to doskonale. Niewiele trzeba, aby las umilkł, stając się świadkiem krwawych zmagania swych mieszkańców. Kiedy już drapieżnik dopadnie ofiarę, puszcza równie szybko przybierze urokliwą maskę. Dla Krzyżowca to właśnie ta ciągła zmiana była najpiękniejsza; widział w niej odbicie całego świata.

Okolo południa, nie forsując nadto konia, Rycerz dotarł do źródła.

Z ziemi wylaniały się potężne płyty kamienia, leżące na sobie jak tablice pozostawione tutaj przez tytanów, a każda z nich była gruba jak pień drzewa. W środku tej formacji znajdowało się przejrzyste jeziorko, otoczone z trzech stron kamiennymi stopniami na podobieństwo amfiteatru. To z tego łona wypływał dziarski strumień, który kończył żywot w trujących trzewiach bagien.

Najpierw Rycerz nie chciał burzyć spokoju tego miejsca, ale w końcu poprowadził wierzchowca na skraj kamiennej płyty, która łagodnie zanurzała się w wodzie, tworząc brzeg. Sam nawet napił się, unosząc ręką wodę do ust, tak jak czynili wojownicy Gedeona tuż przed swym wielkim zwycięstwem. Już po pierwszym łyku poczuł przypływ nowej siły. Musiała smakować wybornie, z lekką nutką słodkiego miodu. Przynajmniej tak Rycerz wyobrażał sobie smak wody z tej ustronnej krynicy.

Koń nagle uniósł łeb i zastrzygł uszami.

Harmonia wiosennego dnia została przerwana przez narastające ujadanie oraz odgłosy konnego pościgu. Rycerz zerwał się na równe nogi, dobywając miecza. Srebrzysty sztych zakreślił w powietrzu szerokie koło i zastygł w oczekiwaniu na starcie.

Spomiędzy drzew wypadła naga kobieta o splątanych włosach. Stopy miała poranione od biegu, ciało zaś pokryte błotem i liśćmi. Z obłędem w oczach przypadła do stóp Rycerza, błagając o ratunek. Zanim Krzyżowiec zdołał choćby pomyśleć, czym okryć nieboraczkę, między pniami pojawił się wilk.

W ogromnym cielsku grały twarde mięśnie, pokryte sterczącą czarną sierścią. Zwierzę truchtem zbliżyło się do niewiasty, spoglądając na nią oczyma bez białek i tęczówek. Obnażone kły błysnęły w słońcu.

Rycerz rusza naprzód. Tnie w łeb monstrualnego stwora. Miecz zgrzyta o kość, rozłupując czaszkę na dwoje. Wilk zatacza się ciężko, próbuje odskoczyć na bok, ale pada bez sił, kalając źródło ciemną posoką. Krzyżowiec wbija miecz pomiędzy zwierzęce żebra. Sztych dosięga serca i łapy po raz ostatni drgają w spazmatycznym skurczu.

– Dzięki ci, panie! – wykrzyknęła kobieta, nieomal płacząc z radości. – Ale on już tu jedzie! Zaklinam was na wszystko: brońcie mnie!

Rycerz wsiadł na koński grzbiet, poprawił hełm i przypiął tarczę do lewego ramienia. Konno wyjechał naprzeciwko nowego przeciwnika, który zjawił się opodal źródła.

Czarny był jak noc, w agatowej kolczudze i tunice bez herbu. Na głowie spoczywał wielki hełm opatrzony skrzydłami białych piór. Prawica dzierżyła miecz, a druga dłoń prowadziła rosłego konia o barwie smoły. Ciemny kropierz okrywał zwierzę z wyjątkiem pyska i dymiących oczodołów. Koszmarny jeździec obrócił wąską szczelinę hełmu, spoglądając z góry na Krzyżowca.

– Odstąpże, nieszczęsny, od mej ofiary! – zawołał po łacinie.

W odpowiedzi Rycerz uniósł wyżej sztych miecza, mierząc w gardło piekielnego wysłannika.

– Głupcze, rozumu niespełna, tylko zgubę znajdziesz z mej ręki, a tej kobiety nie zdołasz ocalić. Odstąp.

Jednak Krzyżowiec nie miał zamiaru porzucić bezbronnej niewiasty na pastwę okrutnego losu. Z mieczem w dłoni gotów był dochodzić jej praw. Uderzył łydkami w boki kasztanka i runął do ataku. Czarny nie trwał w miejscu jak skała, lecz ściągnął wodze, zmuszając rumaka do galopu.

Tak rozpoczął się pojedynek, ku pociesze jednych, a zatraceniu innych.

Obydwaj wojownicy najeżdżają na siebie, tnąc i siekąc, szukając sposobności, jak wrazić ostrze w ciało przeciwnika. Ziemia tętni od uderzeń kopyt tak samo jak tarcza Krzyżowca, łupana na strzępy potężnymi uderzeniami czarnego. Ten trzyma miecz oburącz, na przemian blokuje i tnie ze złowieszczą gracją. Krzyżowiec nie pozostaje mu dłużny, wierzy w siłę swej tarczy, wbija miecz w bok piekielnego wysłannika. Ostrze ześlizguje się po karej kolczudze, rozcinając jedynie tunikę.

Jeźdźcy na moment odskakują od siebie, gotując się do kolejnego starcia. Mierzą się wzrokiem, mocniej zaciskając dłonie na rękojeściach mieczy. Przerazona kobieta na skraju źródła pada na kolana. Modli się żarliwie za swego obrońcę, próbując u Boga wybłagać mu zwycięstwo. Krzyżowiec jednak nie myśli teraz o Stwórcy, ale o śmiertelnym boju. Atakuje ponownie, zasłaniając oblicze porąbaną tarczą.

Dwaj rycerze na powrót ścierają się w zapasach, próbując strącić jeden drugiego z siodła. Pod druzgocącym uderzeniem czarnego tarcza Krzyżowca pęka na pół. Rycerz jednak ignoruje ból i tnie z całą mocą w skrzydlaty hełm. Iskry wzlatują w powietrze. Blacha gniewa się z chrzęstem, a wraz z nią pęka miecz Krzyżowca. W dłoni pozostaje tylko rękojeść oraz jelec, a już nadlatuje kolejne cięcie przeciwnika. Klinga czarnego osuwa się po hełmie, spada niżej, odrywając dwa palce lewej ręki, aż dosięga końskiej głowy, ucinając ucho.

Oślepiiony bólem kasztanek wrywa kilka kroków naprzód, ale szybko zbiera odwagę. Już go Krzyżowiec uspokaja i zwraca na powrót ku czarnemu. Tamten woła po raz trzeci:

– Odstąpże! Honor wasz jest zachowany, boście dzielnie stawali!

Kobieta skrywa twarz w dłoniach. Płacze, sądząc, że już stracona.

Rycerz jednak nie ma zamiaru się poddać, widzi, jak jego wróg chwieje się w siodle. Odrzuca resztki tarczy, klepie konia po zakrwawionym karku i dobywa drugiego miecza. Klinga Rogera d’Melfi pięknie lśni w słońcu, a Krzyżowiec po raz trzeci rusza do ataku.

Naciera z furią, oburącz dzierżąc długi brzeszczot. Żaden z rycerzy nie myśli o tym, aby ustąpić. Ciosem odpowiadają na cios, jednak to Krzyżowiec walczy zacieklej. Z czarnego ulatuje siła, a mimo to nie umyka. O krok się nie cofa, seria pchnięć próbując opędzić się od przeciwnika. Krzyżowiec zbija

klinę tamtego, tnąc teraz z ukosa, od dołu. Sztych uderza w hełm, a głowa przeciwnika odskakuje do tyłu, obnażając niebronione gardło. Nie zwlekając, Krzyżowiec ściąga miecz ku sobie i zadaje cios. Czarny jeździec opada bezwładnie w siodle, z głową odrzuconą do tyłu, nieomal kompletnie odrąbaną od ciała. Rozcięte gardło uśmiecha się szeroko. Smolisty rumak drobi w miejscu, wyraźnie rwąc się do dalszej walki, ale kolejne starcie nie następuje. Kobieta przy źródle szlocha teraz z radości, chociaż nie waży się podejść ku wybawcy.

Krzyżowiec zeskoczył z siodła, nie chcąc dłużej męczyć swego wiernego rumaka. Z troską popatrzył na uciętą ucho i krew spływającą po brązowej sierści. A jednak zwierzę zerkało na Rycerza dumnym okiem, godnie prezentując ranę. Krzyżowiec już miał poprowadzić konia do jeziora, kiedy ciało wilka ożyło. Drapieżnik jednym susem zerwał się na równe nogi i skoczył na przerażoną kobietę. Potężne kłapięcie kłów zmiażdżyło czaszkę, urywając krzyk.

Krzyżowiec poderwał się do biegu, ale drogę zagroził mu czarny rumak o gorejących oczach oraz jego upiorny jeździec.

– Odstąpże, dobry panie – rzekł czarny znużonym głosem. Po rozciętym gardle nie było nawet śladu.
– Nie walczmy po raz wtóry.

W poczuciu nagłej bezradności Krzyżowiec opuścił ramiona, nie potrafiąc zmusić ciała do kolejnego zrywu. Oczodoły mu przygasły, gdy patrzył, jak ogromny wilk pożera wąpzia bezbronnej niewiasty. Zakończywszy ucztę, bestia podbiegła do pańskiego strzemięcia, łaszcząc się jak szczenię.

– Nie frasujcie się jej losem, zasłużona bowiem to dla niej kara. Tak samo jak dla mnie – dodał posępnie czarny jeździec. – Wysłuchajcie mojej opowieści i wybaczcie pośpiech. Niedługo odjadę, a pragnę, aby wasze sumienie pozostało czyste. To jedyna przysługa, jaką mogę wam oddać. Zwałem się niegdyś Francesco Giustiani i wielcem tę niewiastę lubowałem. Ona, choć знаła moje uczucia, igrała ze mną, wystawiając mnie na wielkie męki. Z okrucieństwa szargała me zdrowie, majątek, a co gorsza, rycerski honor. Największą radość sprawiało jej przyjmowanie zalotów od innych na mych oczach. Korzystała z życia, mnie wystawiając na męki. Nie mogąc dłużej znieść wstydu i pogardy, odebrałem sobie życie tym oto mieczem, za co zostałem skazany na piekielne katusze. Niedługo potem i ona życie straciła w chorobie, a wyrok boski połączył nas w domenę czarta. Teraz ona ucieka przede mną naga, ja zaś mam na nią polować jak na zwierzę, którym uczyniła mnie za życia. Każdy dzień tamtych katuszy ma być rokiem tych straszliwych łowów. Patrzcie!

Rozszarpana na strzępy niewiasta powstała nietknięta, ze strachem oglądając swoje gładkie ciało. Nie czekając na pogoń, rzuciła się do ucieczki w dół zbocza, w stronę bagien. Jej śladem ruszył wilk, nieśpiesznie kłusując między drzewami.

– Żegnajcie, panie, oby dla was los był łaskawszy – powiedział Giustiani, zbierając wodze i ponownie ruszając na swe okrutne łowy.

Krzyżowiec poprowadził konia do źródła, gdzie obmył i opatrzył uciętą ucho zwierzęcia. Rana nie była groźna ani duża, ostrze gładko odcięło małżowinę, nie dotykając głowy. Mniej szczęśliwie wyszedł ze starcia Rycerz. Stracił niemal połowę lewej dłoni, wraz z serdecznym i małym palcem. Jedynym pocieszeniem był brak krwi ciekącej z rany, gdyż dawno zmieniła się w czerwony pył, zalegający na obumarłym ciele.

Przy źródle Krzyżowiec odpoczywał, aż słońce przechyliło się nieznacznie ku zachodowi. W tym czasie wyrwał z ciała wszystkie oczka kolczugi, które – wgniecione uderzeniami czarnego jeźdźcy – przebiły kaftan i wgryzły się w mięso. W rękojeści złamanego miecza wciąż można było osadzić nowe ostrze, toteż Krzyżowiec nie rozstawał się jeszcze ze swym wiernym orężem, lecz zawiesił go u siodła. Tarcza natomiast była kompletnie porąbana i nawet najbiegły rzemieślnik nie zdołałby jej ocalić. Rycerz pozostawił ją pod kopczykiem z kamieni, jako świadka tego niezwykłego pojedynku między umarłym a pokutną duszą.

Ruszając w dalszą drogę, wychwycił w powietrzu znajomą nutę. Metaliczne nawoływanie, powoli

sunące ponad koronami drzew. Odgłos odpędzający burze oraz nieczyste siły, ogłaszający pokój oraz nieszczęście. Jedyne spiżowe serce poświęconego dzwonu mogło wydobyć z siebie taki dźwięk. Chociaż Rycerz znał dwulicowość tego herolda, teraz chętnie ruszył za jego wołaniem. Im szybciej dotrze nad brzeg morza, tym szybciej ruszy ku Outremer. Nim przebrzmiało echo ostatniego uderzenia, Krzyżowiec natrafił na ścieżkę, która zaprowadziła go na skraj górskiej kotliny.

Pośrodku niej wyrastało kamienne miasteczko, podobne do kolonii grzybów porastających spróchniały pień. Domy stały blisko siebie, złączone ścianami, tworząc pojedynczą narośl na kamiennej ostrodze. U podnóży budynków lśniły jasne strumienie, spływające z licznych źródeł biorących początek gdzieś w górskich stokach. Jeden tylko most stał okraczając nad bystrą rzeką, na barkach niosąc drogę ku dolinie. Z wysokości, w blasku słońca, miejsce to sprawiało niezwykle wrażenie. Jakby porastające je wiekowe drzewa były jedynie młodniakiem, otaczającym o wiele szacowniejszy, kamienny gaj.

Miasteczko nie miało bram czy murów, jego granice wyznaczały opuszczone budynki przerośnięte zielenią oraz okna zasłane żółtym grzybem. Pełzące po murach zarodnie upiornie przypominały długie kończyny, powoli zaciskające się w morderczym uścisku. Mimo to ktoś przystroił niektóre z nich girlandami wiosennych kwiatów, jakby chorobliwy grzyb był częścią społeczności i brał udział w tajemnicy Śmierci, Zmartwychwstania oraz Wniebowstąpienia.

Mieszkańcy przyglądali się przybyszowi ciekawie, z pewną życzliwością, jaką zwykle darzy się pielgrzymów. Zaszuszonej damy pozdrowił go nawet serdecznym słowem. Ludzi tutaj nie tknęła czarna śmierć, a mimo to ich skóra była poznaczona brązowymi plamami. Wyglądali na kruchych. Jeżeli ich dotknąć, ślad dłoni pozostałby w nich odciśnięty jak w zgniłym drewnie. A jednak miasteczko tętniło życiem. Z domostw dochodził warkot krosien, kowalskie miechy dęły, przekleństwa żegnały niewypalone garnki. Oparty o ścianę koszykarz owijał butelki ażurowym opłotem. Zręcznie, jak pająk, nadawał gałązkom pożądany kształt, szczelnie otulając nimi zielonkawe szkło. Piękna niewiasta żegnała się z mężem w progu, zakładając mu na ramiona niebieski płaszcz. Grupa pasterzy raczyła się serem, siedząc na beczkach, pod rozpiętą na tyczkach tkaniną. Po ulicach biegały dzieci, hałasując terkotkami i wypełniając resztki ciszy nieznośnym jazgotem.

Pozostawiwszy konia na rynku, Rycerz skierował kroki do drzwi kościoła. Zwrócił uwagę na kamienny portal: dwa masywne łuki wypełnione drobnymi postaciami, wydobytymi z kamienia pewną ręką rzeźbiarza. Pierwszy z nich ukazywał śpiących żołnierzy, otaczających otwarty Grób Pański, co niezbyt dziwiło Krzyżowca. Drugie półkole, zewnętrzne, przedstawiało dwie grupy ścierających się wojowników. Po prawej stronie przedstawieni byli konni w spiczastych hełmach i z krągłymi tarczami. Naprzeciwko nich stali ciężkozbrojni jeźdźcy pod chrześcijańskimi sztandarami. Prowadził ich człowiek z biskupią mitrą na wielkim hełmie oraz z włócznią w dłoni.

Krzyżowiec pamiętał tego człowieka ze swej przeszłości. Poszarpane wspomnienia zbiegały się pod murami Antiochii w klarowny obraz, pełen głębi, kolorów oraz doznań. Wręcz można by raz jeszcze usłyszeć okrzyk, z jakim maszerowali do boju Łacinnicy, stając naprzeciwko Turków. Jakże prosty i naiwny wydawał się ten relief dla człowieka, który stał na tamtej równinie, rozgrzanej od słońca oraz krwi.

Brakowało wtedy koni, padłych z głodu bądź zjedzonych przez wyposzczonych ludzi. Szczęśliwi wybrańcy jechali do boju na mułach i osłach, z rzadka na jucznym koniu. Mało chwalebny widok, chociaż lepszy od maszerowania na własnych nogach pod osłoną tarczy w gradzie strzał. Człowiek w biskupiej mitrze odziany był znacznie skromniej, jak jeden z pielgrzymów, w rękę zaś ścisnął relikwiarz ze świeżo wykopany grotem włóczni, która przebiła bok ukrzyżowanego Chrystusa. Przynajmniej jeżeli wierzyć Normanom oraz ich dwulicowemu przywódcy Bohemundowi. Wielu krzyżowców widziało w cudownym odnalezieniu Świętej Włóczni jedynie wybieg, pozwalający cynicznemu wojownikowi z Tarentu zatrzymać dla siebie zdobyte miasto. Teraz jednak nikt już nie kwestionuje tego przeżartego rdzą żelastwa.

Chrześcijanie zatryumfowali tamtego dnia, chociaż Turkowie rzucili na nich nawet ogromne słońce z węzami zamiast nosa. Ademar z Puy, niosący przed sobą Świętą Włócznię, powiodł zastępy pielgrzymów do walki i z Bożą łaską zwyciężył, na chwałę Pana.

Jakkolwiek Rycerz szanował Ademara, zawsze uważał włócznię za liche oszustwo i przyprawianie Chrystusowi kolejnej brody. Nietrudno było wykorzystać potężny zapal krucjatowy na własny użytek. Wystarczyło go delikatnie skierować na właściwe tory, a Bohemund wiedział, jak tej sztuki dokonać. Czasami cała wiara, godność oraz honor są ledwie zabawką, pionkiem w rękę człowieka ambitnego, gotowego wykorzystać każdy sposób, aby osiągnąć swój cel. Chociaż nawet jeżeli był to czyn podły i kłamliwy, czyż wiara w relikwie nie natchnęła wówczas zagłodzonych wojowników do walki? Wtedy to czynowi podłemu i kłamliwemu należałoby przypisać ocalenie krucjaty. Cóż by na to odpowiedział surowy asceta, rozprawiający o pięknych czynach? Trupie oblicze Krzyżowca rozjaśnił cień rozbawienia, zgoła niepasujący do powagi poświęconej ziemi.

Nacisnął klamkę, uchylając ciężkie drzwi.

Dzień pozostał za progiem, ustępując miejsca nabożnej ciemności, niknącej nieco w blasku rzędów świec. Stojące powietrze wypełniał ciężki zapach wilgotnego mchu oraz kadzidła, mieszając się w osobliwych proporcjach. Ciemną posadzkę pokrywało cienkie lustro wody odbijające płomyki świec. Przy ołtarzu stojący tyłem do wiernych kapłan odprawiał nabożeństwo, recytując modlitwy w zepsutej łacinie. Zgromadzeni, przegniłe ciała o oczach pełnych życia, łagodnie powtarzali słowa księdza. Rycerz klęknął tuż za progiem, wsłuchując się w rytm nabożeństwa.

Zazdrościł tym ludziom i współczuł zarazem. Wiedli spokojne życie z dala od zawirowań wielkiej władzy, z pokolenia na pokolenie głębiej wrastając w toskańską ziemię. Dla człowieka pędzącego kolejne dni w siodle, podróżującego między odległymi krainami, taka sielanka wydawała się namiastką raj, pełnego drobnych radości oraz trosk Edenu, otoczonego górkami szczytami. Jednakże na jak długo takie życie przyćmiłoby głód przygody? Po ilu miesiącach spojrzenie coraz częściej wędrowałoby poza horyzont, kusząc dotarciem dalej niż kiedykolwiek? Uszy łąpczywie polowałyby na wszelkie wieści, niesione przez podróżnych z odległych miast, łowiąc z gwaru rozmów nazwy oraz imiona dobrze znane każdemu, kto raz zasmakował już światowego życia.

Tutaj budziło się w Rycerzu współczucie dla mieszkańców tego alpejskiego miasteczka. Kiedy nastawała susza, choroby ogarniały krainę, nadciągała pożoga wojny, mogli jedynie uciekać, porzuciwszy dobytek pokoleń, albo pozostać na miejscu, cierpliwie znosząc nieszczęście. Nie mieli zamków, własnej chorągwi, jedynie nadzieję, że walczący w ich obronie ludzie zwyciężą wroga i nigdy nie pojawią się w ustronnej dolinie. Niech jedynym znakiem istnienia świata będą plotki, wieści oraz sporadyczne wizyty książęcych dworzan odbierających podatki w płonach.

Ksiądz zakończył modlitwę śpiewnym tonem, a uwaga wiernych przeniosła się na pogrążoną w ciemności kazalnicę. Na ambonie siedziała jakaś rozdęta poczwara, której oczy dopiero teraz rozpały się czterema jasnymi punkcikami. Płomienie świec nabrały siły, dając więcej światła. Z wysokości kazalnicy spoglądała istota o dwóch ludzkich ciałach, stopionych ze sobą w jedną masę mięśni oraz kończyn. Biskup spojrział dwoma parami oczu po swej owczarni, a następnie przemówił:

– Bracia i siostry, dziś obchodzimy dzień świętego Jerzego, boskiego zapaśnika i patrona rycerzy. O jego łaskę winni zabiegać wszyscy ci, którzy stają naprzeciwko smoków wszelkiej natury. Każde wielkie przedsięwzięcie dobrze polecić świętemu Jerzemu, gdyż patrzy on przychylnie na odważnych i pobożnych. Święty Jerzy był trybunem za czasów Imperium Romanum, pochodził zaś z odległej Kapadocji. Wędrując poprzez Libię, ład po drugiej stronie morza, dotarł do miasta Silene. Król tych ziem pogrążony był w żałobie, ponieważ musiał oddać swą córkę na żer straszliwemu smokowi, który zasiedlił owe ziemie. Każda rodzina w mieście straciła już w ten sposób dziecię i teraz przyszła kolej na jedyną córkę sędziwego króla. Szlochał władca, ale lud miejski już siłą chciał odebrać mu córkę, toteż król w końcu po dobroci wydał księżniczkę jako ofiarę dla smoka. Zrządzeniem boskim Jerzy przybył do

miasta w tej właśnie chwili i obiecał zgładzić potwora. Ochrzcił króla, księżniczkę oraz ich poddanych, nakazał im życie cnotliwe, a następnie przysposobił się do starcia. Ledwo wyjechał poza bramę, uczynił znak krzyża, a zjawił się smok, którego Jerzy zabił za wstawiennictwem Pana. Ciało jaszczura obnoszono wkoło pól Silene na znak tego wielkiego zwycięstwa. – Biskup zamilkł, wciągając kilka chrapliwych oddechów. – Moi mili – podjął po chwili. – Ponownie nastają Dni Krzyżowe. Powrócą Robert Diabeł oraz jego hufce demonów i smoków, aby pożreć wasze plony. Módlcie się do świętego Jerzego, obnoście smocze szczątki wokół naszego miasta, a zaprawdę powiadam wam, nie zginiecie.

Krzyżowiec przeżegnał się i opuścił kościół. Miło by było pozostać w tym miejscu na dłużej, ale śluby wzywały go do drogi. Być może i jemu przypadną wielkie czyny w udziale, inne niż mord na zlecenie.

Przekroczywszy omszały most, ruszył w dół doliny, mając słońce za plecami. Bez pośpiechu jechał konno, mijając ponurych górali prowadzących za uzdy osiołki objuczone wiązkami suszu. Zarówno ludzie, jak i zwierzęta porośnięci byli żółtawym grzybem, tworzącym kuliste zarodnie przy szyi. Rycerz dumiał, czy ta infekcja oszczędzała przed czarną śmiercią, czy może stanowiła preludium do innego, jeszcze bardziej bolesnego zgonu. Z pewnością grzyb nie zapewniał nieśmiertelności. Ku miasteczku wspinał się teraz ciemnowłosy chłopak ciągnący kolorowy wózek. Pod cienką tkaniną widać było parę zgniłych ciał. Widząc Krzyżowca, podrostek przypadł do jego strzemienia, wypływając z siebie potok słów. Rycerz nie zrozumiał od razu, o co prosi, a właściwie błaga chłopak, gdyż ten mówił z trudnym do zrozumienia akcentem.

Panie. Rodzice. Zaraza. Boże. Duszami. Błagam. Cmentarnej. Zgodą. Chrystusa. Trumnę. Wspomóżcie.

Żałosny był to widok. Wątle ramiona, chudsze niż nadgarstki Rycerza, delikatnie obejmowały strzemie niczym relikwie. Zapłakana buzia, jeszcze dziecięca, a już naznaczona pustym spojrzeniem dorosłości. Łzy żłobiące głębokie bruzdy na brudnych policzkach, niknące w obręczy żółtej grzybni na barkach.

Jakże kruche jest to stworzenie, jak drżący ma głos. Jest tak słabe, iż wręcz nie zasługuje na naturalną śmierć. Lepiej je zabić tu i teraz, oszczędzając mu cierpienie długiego żywota bez rodziny oraz nadziei. Jakiż los czeka podrostka, który nawet nie ma osła, który pociągnąłby zwłoki rodziców na cmentarz? Jedno mocne kopnięcie, trzask kości, chwila bólu, a następnie wieczna radość w ramionach rodziców, przed obliczem Stwórcy. Czyż nie byłyby to czyn miłosierdzia?

Rycerz odczepił od pasa wszystkie dłonie, po czym zawiesił je na szyi chłopca. Do ręki wsunął mu jeszcze dwie srebrne monety i pogłaskał go po ciemnych włosach.

Dalsza podróż upływała w spokoju, przy wtórze wiatru oraz rzeki płynącej opodal drogi. Trakt czasami zapędzał się w las, porzucając wilgotne koryto rzeki, prowadząc Rycerza na słoneczne polany. Ognistej naturze Krzyżowca milej było jechać nieco bliżej płomienistego rydwanu Sola niż czuć lepką wilgoć grzybów i mchu.

Do zachodu słońca pokonał kolejne sześć mil, pozostawiając za sobą zielone szczyty i zbliżając się ku nizinie otaczającej dawną stolicę egzarchatu. Na horyzoncie migotała łuna odległego pożaru, wskazując kierunek dalszej drogi. Krwisty księżyc wędrował już po nieboskłonie, zwiastując nadejście sił nieczystych, co przyprawiało Krzyżowca o niemiły dreszcz. Nie był to czas przychylny dla ludzi – dni nowego siewu letnich zbóż. Zeszloroczne zapasy już zniknęły, zimowe plony jeszcze nie dojrzały, a zaraza łatwo mogła zniweczyć obydwa zbiory. W okresie Dni Krzyżowych pod czerwonym księżycem należało zachować wzmożoną czujność.

Droga prowadziła obok opuszczonej parafii. Przysadzisty kościół, zwieńczony pękniętą kopułą, pamiętał jeszcze czasy cesarzy oraz Teodoryka z Ostrogotów. W gasnącym, czerwonym blasku sprawiał przynębiające wrażenie. Obsypujące się mury, dzwonnica w ruinie, obalona bezlitosną ręką czasu. Pomnik dawnej epoki przebrzmiała od setek lat, a mimo to wokół starych budowli Zły niechętnie

unosił swój łeb.

Rycerz zjechał z drogi i pozostawił konia przed wejściem do kościoła, w obrębie starego muru, na poświęconym gruncie, samemu ruszając do wnętrza. Przekroczył zniszczony próg, unosząc nad głowę Czaszkę Pielgrzyma, która rozgorzała jaskrawym światłem. Wnętrze świątyni było zasłane gruzem oraz kamieniami, które spadły z pękniętego sufitu. Z fresków spoglądały na przybysza święci i władcy z odległej przeszłości. Niektórzy zdawały się poruszać, kiedy tylko Rycerz odwrócił od nich wzrok. Inne malowidła, odpadające już od ścian, wyglądały jak skropione ciemną posoką.

Pośrodku rumowiska stała chrzcielnica, wciąż pełna wody, nietknięta przez upływający czas. Wokół misy rosły niezapominajki o błękitnych kwiatkach, trzymając się cieniutkimi korzeniami szczelin w posadzce. Rycerz uklęknął przy chrzcielnicy, dotykając listków, upewniając się, że to, co widzi, nie jest ułudą. Ku jego zdumieniu niezapominajki były tak prawdziwe jak jego poparzona dłoń. Krzyżowiec zerwał kwiatek i wpiął go w tunikę, mając nadzieję, iż Opatrzność nie zapomni o nim, tak jak nie zapomniała ongiś o tej drobnej roślince.

Jedna z naw bocznych była kompletnie zrujnowana. Dach osunął się do wnętrza bazyliki, miażdżąc zgrabne łuki o portalach z czarnego i białego kamienia. Teraz pozostało jedynie rumowisko, po którym Rycerz wspiał się na pozostałości dawnej ściany, a stamtąd skoczył na dach. Stojąc na szczycie kopuły, spojrzął ku wschodowi. Granat nocnego nieba rzedł ponad horyzontem, przechodząc w błękit, podszyty krwawą łuną płonącego grodu.

Tak szalały ognie Rawenny, miasta stojącego na progu Dni Krzyżowych. Wokół murów ciągnął się labirynt płomiennych nici, tworzących gorejącą pajęczynę i oplatających całą równinę. Samo miasto również stało w ognistym kręgu, oddzielającym mieszkańców od sił nieczystych, które w tych dniach grasowały po ziemi w poszukiwaniu ofiary. Jeżeli gdziekolwiek można było użyć miecza w słusznej sprawie, to nie było na to lepszego miejsca oraz czasu.

W ogniu Rawenny, na jej gorejących ulicach, Rycerz zamierzał wypalić swe grzechy i znaleźć odkupienie.

ROZDZIAŁ III

Spędziwszy spokojną noc w murach opuszczonej bazyliki, Krzyżowiec wyruszył o świcie w wilgotnych oparach mgły. Niewiele czasu minęło, a już spoglądał z wysokości na wieniec uprawnych pól otaczających wiekowe miasto, rozłożone nad brzegiem morza, w ramionach bliźniaczych rzek Ronco i Montone; na zalesione wzgórza niknące powoli w łagodnej powierzchni równiny, przedzielonej szachownicą wzrastających zbóż; na czysty błękit nieba zstępujący ku miastu nieprzerwaną strugą, aż do powierzchni lazurowego morza. Całość zamknięta była pomiędzy zamkiem Brisighella, górującym na skalnym grzebieniu po prawej, a odległymi murami Bolonii z lewej.

Urzekający byłby to pejzaż, gdyby nie brukały go setki ciemnych słupów dymu wznoszących się ku niebu i jednocześnie litościwie zakrywających cierniową koronę bagien, które trzymały w ciasnym uścisku port Rawenny. Dawno już stolica cesarzy i egzarchów została doświadczona powodzią, która naniosiła gnijące błoto oraz to, co wzrastało w tym ohydny łonie. Inne miasta w okolicy obumarły w ciągu kilku zim, ale Rawenna nie poddawała się rozpacz. Trwała bez strachu tak, jak nad wioskami wznoszą się *rocca*, górskie gniazda wykute wprost z kości ziemi, do których garnęli się ludzie w czasach niepokoju. Cena przetrwania była ogromna. Wspaniałe niegdyś nabrzeże dogorywało, zarośnięte przez chciwe bagna. Ledwo jeden okręt mógł przemknąć przez wąski kanał łączący Rawennę z morzem. Niedługo port służący niegdyś wielkiemu Augustowi zniknie zupełnie, zamieniony w chorobliwe gniazdo koszmarów.

Nawet jadąc wierzchem, Rycerz czuł drżenie gruntu pod końskimi kopytami. To ziemia wiała się w bólach, z krzykiem pękających skał i krwią wulkanicznej magmy ciekącej po ciele. Pragnąc obdarować pożywieniem swe dzieci, Matka wszystkiego, co żyje, wydawała na świat nowy plon owoców oraz zbóż. W milczeniu Krzyżowiec słuchał jej błagań, które rozbrzmiewały gdzieś daleko pod kobiercem traw.

Jego matka też płakała przy porodzie. Siedziała później przy oknie, z twarzą ukrytą w dłoniach. Próbował ją pocieszyć, ale nie potrafił. Był jeszcze zbyt mały, żeby zrozumieć, że nie opłakiwała wtedy tylko siebie.

Droga ku Rawennie wiodła przez martwy las porastający ostatnie wysokie wzgórza przed zejściem na równinę. Stada czarnych wron obsiadły wyschnięte gałęzie, odpoczywając przed nocnym żerem, który o tej porze roku bywał wyjątkowo obfity. Ptactwo apatycznie spoglądało na Rycerza, nie kłopotując się nawet, żeby przenieść się na wyższe gałęzie, kiedy ten przejeżdżał obok. Kilkanaście kroków dalej, koło drogi, stał pal z przybitymi doń dziesiątkami wronich ciał. Jednak skrzydlaci padlinożercy zbyt nie przejmowali się losem swych braci oraz sióstr, cierpliwie czekając nadejścia nocy. Wkrótce i las pozostał za plecami Rycerza, wypuszczając go z martwych objęć na żyzną równinę, dymiącą setkami dogasających ogni.

Droga prowadziła teraz pośród zielonych łąk, ku przysiółkowi położonemu na skraju uprawnych pól. Było to skupisko kilku chat oraz pustych zagród dla owiec z szarego kamienia. Jako że kościół parafialny znajdował się we wsi oddalonej o kolejną milę, centrum sioła wyznaczała cembrowina studni pośrodku

klepiska. Dwie kobiety stały obok ujęcia wody, szepcząc między sobą. Kilku ślepych mężczyzn miażdżyło resztki zeszłorocznego ziarna na mąkę, mozolnie obracając żarna pod przewodnictwem jednookiego człowieka. Z jednego tylko komina unosiła się smuga dymu, reszta chat wyglądała na opuszczone, a mimo to rzeźnik zdawał się mieć ręce pełne roboty, gdyż zapach suszonego mięsa wydobywał się z wędzarni, przywołując na myśl Krzyżowcowi miłe czasy z zeszłego życia. Były w nim uczyty, tańce, piękne dziewczęta i czerwone niebo ponad orszakiem łowców. Po tylu latach obrazy te wydawały się wręcz nienaturalnie szczęśliwe w porównaniu do rażącej biedy przysiółka.

Wszyscy mieszkańcy utykali, bez względu na wiek, jakby jakaś choroba nie pozwalała im członkom na swobodny ruch. Pomimo szalejącej zarazy oraz widma Dni Krzyżowych nigdzie nie widać było posągów świętych, krzyży czy strażniczych ognisk. Najwyraźniej mieszkańcy potrafili oprzeć się nieszczęściom siłą własnej wiary. Zresztą ignorowali teraz Krzyżowca, chcąc zapewne, aby ten nie mieszał się do ich życia, odjechał i zostawił tę skromną miejscowość w spokoju. Rycerz rozumiał doskonale ich niechęć. Mógłby od nich zażądać jedzenia, rozrywki, córki, a oni musieliby poddać się jego woli albo chwycić za broń. Chociaż spalone trzewia Krzyżowca domagały się żaru, wolał ostawić ten przysiółek w spokoju i poprosić o gościnę w najbliższej parafii.

Mijał już ostatnią chatę, rozpadającą się rudę, kiedy z wnętrza doszedł go łoskot pośpiesznie przesuwanych mebli. W szparze pomiędzy framugą a drzwiami pojawiła się blada twarz. Chociaż kobieta była wychudzona, a strach dodawał jej lat, nic nie potrafiło zamazać urody jej trójkątnej twarzy, otoczonej smugą czarnych włosów. Widząc z bliska trupie oblicze Rycerza, niewiasta skrzywiła się z odrazą, ale szybko zdusiła to uczucie, wychodząc niepewnie na próg. Była to wysoka matrona o szarych oczach, które teraz spoglądały na Krzyżowca z mieszaniną obawy i wyzywającej dumy.

– Może z konia zejdzicie i w progi zawitacie – powiedziała najspokojniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć. – Zjecie, odpoczniecie, boście zdrożeni i koń nie mniej.

Nie była to dworska mowa, ale nie brzmiała chamsko czy niechlujnie. Krzyżowiec odmówił gestem dłoni, chcąc jeszcze przed zmrokiem dotrzeć do Rawenny. Kobieta rzuciła niepewne spojrzenie ku przysiółkowi. Nikt nie zwracał na nich uwagi, więc niewiasta zbliżyła się ku Rycerzowi równym krokiem.

– Panie, miło spędzicie chwile – rzekła nieco błagalnym tonem. – Zajdźcie, dla konia siano dam, nie pożałujecie.

Rycerz skierował na nią swoje oczodoły, a ona aż zatrzęsała się z obrzydzenia na myśl o dotknięciu palców poparzonego trupa. Krzyżowiec czuł jednak, że nie z błahego powodu kobieta nalega, aby wszedł do wnętrza. Zeskoczył z konia, wodze wiążąc do resztek ogrodzenia. Kasztanek parsknął przy tym ostrzegawczo, wyraźnie niepokojąc się postojem w tym miejscu. Ufny w jego zmysły Rycerz zachował czujność, wchodząc do izby przez niskie drzwi.

Chata była pogrążona w półmroku i nieładzie. Podłoga dziurawa, meble ułożone w stosy pod oknami w barykady, pod ścianami walały się porąbane siekierą drewniane posągi świętej Barbary oraz świętego Józefa. Ze stropu zwisały drewniane krzyżyki wszelkiej maści, od drewnianych po metalowe. Łoże i piec były stare, wysłużone. Wnętrze wyglądało tak, jakby ktoś zamknął niespełna rozumu osobę w opuszczonym lokum. Nie mogło to być dawno temu, bo w domu brak było jedzenia, a na lokatorce głód nie odcisnął jeszcze zbyt głębokiego piętna.

Zawarwszy drzwi, matrona padła na kolana przed Rycerzem, gotowa w każdej chwili ulec jego woli.

– Panie, wybac mi, kłamstwo o strawie rzekłam – wyznała, jednak w głosie nie słyszało się łez czy rezygnacji. – Wszystko ze mną zróbcie, ja z radością przystanę, ale zabierzcie mnie z tego miejsca, bo szatany mają tu moc.

Krzyżowiec nie mógł patrzeć na kobietę takiej dumy, która bez drżenia w głosie chciała ofiarować mu swoją godność. Mimo iż była niskiego urodzenia, wzbudzała u niego szacunek, jakim syn darzy swą rodzicielkę. Rycerz uniósł ją z klęczek i poprawił suknię na jej ramionach. Gestem wskazał na okno.

– Dobry panie, tam tylko zło chodzi. Giovanni, Iacopo, Andrea dawno zabici – wyrzekła niewiasta z zaciekłością. – Ale diabły wzięły ich twarze i... skóry. Zabrali też małą Albę! Kuśtykają w ich ciałach. Oni w nich mieszkają, urosli w nich, a ludzie wyplu... wypluwali wąpia, Boże uchwaj. Oni są już martwi!

Krzyżowiec pokiwał głową, kierując swój palec na okaleczone figury świętych.

– Wyrzucili je, żeby święci nam nie pomogli, ale je wyniosłam. Oni nie odważą się mnie najść, ale bez wody zginę. Panie, jedźmy, byle dalej, wszystko oddam, odpracuję. Sama nie ucieknę, dogonią mnie. Oni mi siostrę żywcem do wędzarni na mięso cisnęli. Krzyczała cały dzień o litość. – Matrona skryła twarz w dłoniach, wstydząc się słabości. – Błagam! Wszystko dam za to. Jedźmy, błagam!

Krzyżowiec wstał, gestem nakazując zostać kobiecie w domu.

– Gdzie idziecie, panie?

Odpowiedział, chwytając za rękojęść miecza.

W sercu przysiółka, przy studni, wciąż kręciła się para gładkich dziewcząt, nosząc wodę w spróchniałych wiadrach. Obydwie młódki utykały wyraźnie, ich usta poruszały się w rytm bezgłośnej rozmowy, jakby były bezwolnymi kukłami, nawykłymi tylko do jednej roli. Ślepi mężczyźni cierpliwie mełli zboże, które wsypywali do lnianych worków. Widząc nadciągającego Rycerza, jednooki człowiek o jowialnej twarzy, do tej pory doglądający ziomek, zatrzymał drobną dziewczynę z szyją obwiązaną błękitną chustką.

– Alba, kochana, podaj panu chleba, mięsa i piwa – rzekł miękko tonem. – Nie ociągaj się i bądź miła.

Dziewczyna skinęła głową, wchodząc do chaty.

Krzyżowiec podziękował gestem dłoni, czując ukłucie niepewności. Czy nazbyt rychło uwierzył samotnej kobiecie, która ukryła się w ruderze na skraju sioła? To, co mówiła, brzmiało wiarygodnie, jednak pomyłeńcy szczerze wierzą w swoje urojenia. Niejeden przecież człowiek, wywrzaskując swoje prorocтва, przedwcześnie zakończył życie, rozszarpany przez zabobonny motłoch lub pod uderzeniem katowskiego topora. Czy nie lepiej byłoby po prostu odjechać, nie zgłębiając sekretu tego małego, nic nieznaczącego sioła?

– Panie, darujcie nam wcześniejszą oschłość i zawitajcie w nasze progi. – Jednooki zaprosił Rycerza szerokim ruchem zaczerwienionej dłoni do wnętrza. – Skromne to miejsce, lecz hojnie rozdajemy nasze bogactwa.

Ostatni moment, aby wymknąć się z tej zupełnie niepotrzebnej sytuacji, minął. Krzyżowiec skłonił głowę i ruszył do środka, ważąc swoje wybory. Albo wkraczał do kryjówki diabłów, skąd anielskie hufce Michała Archanioła go nie wyratują w potrzebie, albo zje posiłek z piękną białogłową, której pomyłona sąsiadka czy krewna umiera właśnie z głodu w opuszczonej ruderze. Jakże zagmatwane bywają te najmniejsze sprawy...

Główna izba chaty nie była ani bogata, ani biedna. Wielki stół, przy którym krzątała się smukła Alba z miłym, dziwnie nieruchomym uśmiechem, dalej kulisty piec, w którym piekł się świeżutki chleb. Kufry oraz skrzynie w nogach szerokiego łoża, a pomiędzy kamienie ścian wbite kołki, na których zawieszono nożyce do runa, młotki, noże i inne narzędzia, tak potrzebne w codziennej pracy. Nigdzie jednak Rycerz nie zauważył krzyża. Wzruszył jednak ramionami; może wisiał nad wejściem, a on tego nie dostrzegł?

Krzyżowiec spoczął na ławie, przy stole, za plecami mając twardą ścianę. Alba postawiła przed nim gliniany kufel z piwem oraz talerz z chlebem, po czym zniknęła na zapleczu. Trzasnęły zamykane drzwi. Zapewne dziewczyna wyszła po mięso do suszarni. Tej samej, do której żywcem zawleczono siostrę kobiety. Rycerz wolał już maszerować po pas w bagnie niż siedzieć przy tym stole z wyślizganych desek.

Aby nie urazić uczuć nadobnej gospodyni, Krzyżowiec rozdarł świeży bochenek chleba na ćwierci. Drobiąc pieczywo między palcami, oprócz malutkich odłamków kamiennego żarna znalazł kilka czarnych

okrucichów, które wzbudziły jego ostrożność. Przez chwilę obracał ciemne drobinki, przypominające nieco przypalone ziarna. Może to on postradał zmysły. Przyjechał do tej krainy, aby odpokutować swe grzechy, a jedna wzmianka o opętaniu już zachęca go do mordy na bezbronnych wieśniakach. Zważywszy na to, z czyich ust padło to oskarżenie, Krzyżowiec poczuł smagnięcie palącego wstydu, iż tak łatwo zwątpił w ludzką gościnność. Jeżeli szalona kobiecina potrafiła go tak zbałamucić, to ktokolwiek sprytniejszy bez wielkiego trudu mógłby przekonać go do włożenia papieskiej tiary na głowę własnego konia.

Alba wróciła, utykając lekko na prawą nogę. Niosła na talerzu kilka płatów wysuszonego mięsa. Rycerz z wdzięcznością przyjął posiłek, chociaż wiedział, iż za kilka godzin zwróci go w okrutnych torsjach. Nie miał jednak zamiaru pozwolić, aby paranoja oraz strach przesłoniły mu ten akt ludzkiej szczodrości. Zwłaszcza że Alba była wdzięcznym obiektem do oglądania. Pełne usta, długa szyja podkreślona chustką, łabędzia pierś. Jedyne czerwony rumień wypełzał z rękawa sukienki, kalając blade jak marmur ramię. Ogień świętego Antoniego – tak zwano tę przypadłość.

Czy tamta kobieta mogła mówić prawdę?

Krzyżowiec przyciągnął dziewczynę do siebie, sadzając ją na kolanach. Alba nie oponowała, nawet nie zadrżała czy pisnęła z ekscytacji. Po prostu poddała się, zarzucając ramiona na szyję Rycerza. Jakże krucha zdawała się pod jego dotykiem. Krucha i martwa, z niezmiennym wyrazem twarzy oraz źrenicami, które nawet nie drgnęły. Jakby przez sen rozchyliła wargi do pocałunku, zupełnie nie czując, jak Krzyżowiec coraz mocniej zaciska dłoń na jej nadgarstku.

Żarna na zewnątrz obracały się ze zgrzytem.

Nie czuła bólu, jej serce nie biło, oczy były puste. To nie była Alba, tylko martwe ciało, pozbawiona życia skorupa. Lalka na sznurkach. Rycerz czule objął jej delikatną szyję, pod palcami czując skurcze czegoś obcego. Nieludzkiego.

Zadrżał z obrzydzenia, kiedy zimne wargi dotknęły jego ust.

Przytulił dziewczynę mocniej i szarpnął jej głowę w bok. Kręgosłup chrupnął cicho, jednak to nie powstrzymało białogłowy. Jej ciało wciąż trzymało Rycerza w ramionach, a usta szukały jego ust. Rzucił dziewczynę na podłogę, dobył miecza i wbił brzeszczot w brzuch Alby. Ostrze przeszło ciało na wylot i wbiło się w twarde deski.

Konająca nie krwawiła, zwinęła się jak umierający owad, w przerażającym dla ludzi przykurczu, po czym zamarła. Na jej twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień. Oczy wciąż wpatrywały się w sufit z tym samym sennym wyrazem. Jedyne z rozchylnych ust zamiast języka wyłaniał się czarny kłos grzybni. Rycerz wyciągnął miecz z ciała, czując falę słabości. Nie tak winien wyglądać rycerski żywot. Zamiast mierzenia się z kolejnymi horrorami tego świata powinien władać kilkoma wioskami, zbierać dziesięcinę, kłócić się z biskupem albo odwiedzać po zmroku piękne damy.

Żarna przed domem kręciły się spokojnie. Wciąż nikt niczego nie podejrzewał.

Wzrok Krzyżowca padł na szeroki nóż zawieszony na drewnianych kołkach, nad piecem do chleba. Chwila niemocy minęła tak nagle, jak się zjawiała. Pozostała tylko lodowata chęć wymierzenia sprawiedliwości oraz płomienna żądza odwetu.

Był rycerzem. Taka jego powinność.

Krzyżowiec zdjął ze ściany nóż do patroszenia owiec i pochylił się nad martwą, modląc się w duchu, aby nikt nie zaszedł go od tyłu, po czym rozplatał nożem jej brzuch. Ostrze łatwo poradziło sobie z tkaniną sukienki oraz delikatną skórą, odsłaniając straszliwą prawdę.

Pod skorupą uwodzicielskiej dziewczynki rósł czarny grzyb, oplatający jej kości oraz resztki mięśni. Pośrodku tej pajęczyny wisiał bezkształtny, skórzasty wór, porośnięty dziesiątkami kłosów, pręcików oraz purpurowych owocników, przywodzący na myśl poroniony płód. Ciało biednej Alby zostało zamienione w chodzącą zarodnię, a dziewczyna zatrutym pocałunkiem porażała nowe ofiary diabelskiego tworzywa. Jakże cierpieć musiała ta nieszczęsna, kiedy jej ciało zasnuwał grzyb, a przez gardło przebijały się ostre kłosa... Ileż radości oraz cierpień miało jeszcze ją spotkać, gdyby nie skonała, plując wątpiami?

Krzyżowiec mocniej zacisnął palce na rękojęści noża.

Drzwi chaty otwierają się z trzaskiem. Krzyżowiec wyłania się z wnętrza domu, wzrokiem szuka pierwszej ofiary. Jednooki już ku niemu rusza, ciągnie za ramię drugą dziewczynę. Nią również chce ugościć Rycerza. On jest już przy nich, a nóż wbija się w łono niewiasty. Ostrze tnie do góry, uwalnia duszę nieszczęsnej z tego więzienia. Jednooki chce coś powiedzieć, ale cios trafia go w zęby. Upada na klepisko z rozbitym, krwawiącym nosem, plując złamanymi siekaczami.

Rycerz patrzy na wijący się ze strachu ochłap – żywy ochłap. On jest zdrowy, nie ma w sobie grzyba. Jednooki skamle, ale już go Krzyżowiec ucisza kopnięciem. Jak karać człowieka, który taki los zgotował swym bliskim? On przecie celowo zarażał innych. Żarna kręcą się bez ustanku, wprawiane w ruch przez czwórkę bezmyślnych mężczyzn, dawno już opanowanych przez grzyba.

Krzyżowiec krzywi się i ciągnie po ziemi ofiarę. Jednooki szarpie się, na nic jednak się to nie zdaje. Rycerz chwyta jego dłoń i wpycha między kamienie żaren. Jednooki krzyczy i piszczy, aż ciało poddaje się. Nieprzytomnemu Krzyżowiec podcina gardło.

Kilka chwil później rzeź dobiega końca, a sprawiedliwości staje się zadość.

Dopiero około południa Rycerz skończył swoją ponurą posługę w tym bezimiennym przysiółku. W suszarni znalazł zwłoki dwóch kolejnych osób, z których wykrawano co najlepsze fragmenty mięsa na posiłek. Wszystkie ciała pochował w zbiorowej mogile, pod krzyżem z drewnianych belek, z daleka od budynków. Truchło jednookiego wyrzucił na łąki, gdzie mogły go rozszarpać wrony i psy. Pomodlił się do świętych, aby tego szubrawca spotkały piekielne męki po wsze czasy, Matce Bożej zaś polecił biedne dusze jego ofiar. Wreszcie, na samym końcu, podłożył ogień pod wszystkie chaty, nie chcąc, aby ktokolwiek zjadł choćby okrucz zarażonego chleba czy skrawek mięsa.

Niech ogień wypali tę zarazę, pozostawiając po sobie tylko białe popioły.

Pograżony w ponurych myślach Rycerz powrócił do chaty na obrzeżach sioła, gdzie czekała na niego matrona. Kobieta zgromadziła wszystko, co mogła, w małym tobołku, gotowa do drogi mimo wycieńczenia. Żadne uczucia nie malowały się na jej twarzy, kiedy spoglądała na swój dom w płomieniach. Nie zadała też żadnego pytania, po prostu czekała. Krzyżowiec poklepał kasztanka po karku, gestem nakazując niewieście, aby wdrapała się na rumaka.

– Panie! Nie mogłabym – zaprotestowała żywo matrona. – Nie na pańskich koniach się wozic. Dojdę do parafii u strzemienia.

Krzyżowiec wzruszył ramionami, ruszając ku Rawennie na własnych nogach, prowadząc wiernego rumaka za uzdę. Matrona maszerowała nieco z tyłu, w milczeniu, czasami tylko obracała się i patrzyła na kolumnę dymu pęczniejącą nad przysiółkiem. Wkoło unosiły się dziesiątki bliźniaczych smug, skrywając tragedię tej kobiety.

Rycerz współczuł jej. Zapewne całe życie spędziła w tym miejscu, nie oddalając się na więcej niż kilka staj od Rawenny. Życie upływało jej w rytmie wiosen, zasiewów, sianokosów oraz rokrocznych Dni Krzyżowych, kiedy to ludzie stawiali czoła demonom tego świata. Poznała rozkosz oraz ból miłości i macierzyństwa, radości, troski, nie brak było zapewne żadnego uczucia w jej sercu. Wszystko to tutaj, bez zmiany, zawsze z tym samym, ciasnym horyzontem nad głową. Jakże dziwacznie musiały brzmieć dla niej opowieści o dalekich krajach, gdzie pod innymi gwiazdami żyją ludzie czarni jak noc. Czy mogła objąć wyobraźnią żar pustyni, podmuch angielskiego wiatru albo dźwięk saraceńskiego śpiewu? Teraz to nieważne. Wszystko, co miała, spłonęło. Dom, bliscy, wspomnienia, jej życie zostało spopielone przez człowieka, dla którego był to jedynie bezimienny przysiółek, jeden z wielu, jakie odwiedził w swym życiu.

W milczeniu, maszerując między uprawnymi polami, dwójka podróżnych dotarła do pierwszych zabudowań wsi, otaczającej niski, murowany kościół wzniesiony z czerwonej cegły. Po obydwu stronach drogi stały krzyże oraz drewniane, mocno już nadpalone statuy świętych. Pośrodku błotnistej drogi żarzył się głęboki dół, wypełniony tłącymi się drwami. Powietrze gęste było od smolistego dymu, cuchnącego

łojem oraz palonymi kośćmi.

Tutaj Rycerz rozstał się z kobietą. Włożył jej w dłoń kilka monet, wskoczył na koński grzbiet i odjechał. Nie chciał patrzeć, jak przed nim klęka, żeby dziękować, całując jego dłonie. Tych pieniędzy chciał i tak się pozbyć, gdyż ciążyły mu jak ołów, nie dając zapomnieć o przelanej krwi. Nawet jeżeli mógłby swobodnie mówić, to jak wytłumaczyłby tak skwapliwą hojność? Jak przyznać się na głos do tylu mordów, skoro można czynić swą pokutę w ciszy? Dostyc miał jeszcze srebra, żeby dopłynąć do Outremer, a nadmiar waluty tylko kusił wizją przerwania podróży i pozostania w jakimś miejscu na dobre.

Jadąc kłusem, Krzyżowiec szybko pozostawił za sobą wieś bez nazwy, z jej małym kościółkiem, ponurymi twarzami mieszkańców oraz uprawnymi polami, które po zmroku zamrą w oczekiwaniu na ogień. Do zachodu słońca musiał dotrzeć w cień Rawenny, aby tej ostatniej nocy Dni Krzyżowych stanąć tam, gdzie najbardziej będą go potrzebować.

Nie chcąc tracić więcej czasu, zrezygnował z wizyty w niewielkim zamku, który strzegł okolicy ze szczytu wzgórza. Z pewnością załoga przyjąłaby go z otwartymi ramionami, ale Krzyżowiec postanowił, że dla niego przeznaczone zgoła inne pole bitwy. Zbyt łatwo by przyszło mu zachować resztki życia w tym miejscu.

Pokonał już lwią część trasy, kiedy dostrzegł, jak coś wypęła z młodych zbóż, po lewej stronie drogi. Najpierw uznał to za zwierzę, ale z bliska bardziej przypominało postać człowieka, a dokładniej jego górną część. Pozbawiony nóg korpus odziany w łachmany pełził przez drogę, wbijając koślawe palce w błoto. Krzyżowiec zatrzymał rumaka tuż nad wlokącym się po ziemi stworem. Ten podniósł głowę porośniętą kępami włosów oraz kilkorgiem oczu, pokrytych niemal zupełnie bielmem. Widząc Rycerza, obnażył w paszczy rzędy ludzkich zębów i strzyknął ciemną śliną pod nogi konia. Potwór machnął jeszcze sztywnym ramieniem, wiązką mięśni obrastającą drewniany kij, aby złapać i wgryźć się w pęciny rumaka.

Krzyżowiec pchnął kasztanka naprzód. Kopyto zamieniło pysk potwora w miazgę zębów i krwi. Przygwoździwszy stwora, ogier zaczął deptać go z furją, aż zamienił w kałużę roztluczonych wnętrzności, kości oraz członków, które narosły wokół drewnianego stracha na wróble. Rycerz poklepał kasztanka po karku, a zwierzę zarżało wesoło w odpowiedzi, raz jeszcze uderzając kopytem w błoto.

Droga prowadząca do bram Rawenny była pusta, więc Krzyżowiec jechał środkiem starego traktu, wyłożonego kamieniem jeszcze przez Rzymian. Przed nim wyrastały ciemne mury miasta oraz masywne baszty, na których płonęły już pierwsze ognie. Chociaż krwisty wieczór nie dobiegł jeszcze końca, czerwony księżyc wzbijał się ponad Rawenną, oznajmiając nadejście sił piekielnych. Kraina zamarła w bezruchu przed burzą.

Pod masywnym łukiem, w gardzieli rozwartej bramy, Krzyżowca zatrzymał zbrojny. Piękny miał na sobie pancerz z metalowych blach, po którym śmiało harcowały chybotliwe odbicia. W świetle pochodni jego pociągła twarz zdawała się płonąć wewnętrznym ogniem.

– Zawróć, nieznajomy, i powróć na Wniebowstąpienie – przemówił sierżant, zatykając kciuki za szeroki pas, na którym zwisał miecz oraz czekan. – Dni Krzyżowe są w mocy, nie widzicie barwy księżyca?

Rycerz zeskoczył z konia, z trzaskiem uderzając obcasami o bruk. Palcem dotknął rękojeści miecza i wskazał na pogrążone w mroku miasto, tuż za korytarzem bramy.

– Przybywacie walczyć, co? – Sierżant obrzucił Krzyżowca krytycznym spojrzeniem, okiem zawodowca szacując jego wartość. – Cóż, odmówić wam nie mogę, bo wasza to wola, ale tej nocy piekło zstąpi w te mury. Wołać chłopaka, który zajmie się waszą bestią, czy wolisz odjechać w zdrowiu?

Miasto dawnych cesarzy pogrążone było w ciszy oraz ciemności. Nikt nie miał na tyle odwagi, aby przerwać ciężki całun milczenia, który opadł na Rawennę. Chociaż w murach żyły tysiące dusz, a z krain przybyli tutaj rycerze i najemnicy oraz cała rzesza pątników, wszędzie panował spokój. Przemykające uliczkami grupki ludzi kuliły się wokół płomyków lampek, które w godzinie zmierzchu zdawały się tracić swój blask.

Krzyżowiec maszerował wraz z dwoma rycerzami z Anglii, kierując się w cień bazyliki świętego Witalisa pamiętającej jeszcze splendor Justyniana Wielkiego. *Bellissima San Vitale*, tak o niej z przejściem mówił ich przewodnik, młody chłopak cierpiący na suchoty. Pomiędzy uspionymi kamienicami jego chorobliwy kaszel brzmiał niemal jak bluźnierstwo. Niedługo zresztą przyjdzie mu z nim żyć, bo chłopak kasłał już krwią, a na szyi pęczniały czarne guzy.

W świetle lampki, na moment tylko, z mroku wyraźniej wyłaniały się ludzkie postaci. Pod ścianami uspionych domostw klęczeli pielgrzymi, odziani w podróżne szaty i płaszcze, pogrążeni w modlitwie lub cichej rozmowie. Przybyli do Rawenny z wiarą jako jedynym orężem przeciwko ognistej furii piekielnego marszałka. Mnisi wędrowali pomiędzy pątnikami, krzepiąc ich dobrym słowem, łykiem wody oraz kęsem chleba. Biskup bez twarzy przyciskał do piersi relikwiarz, trwożnie kreśląc w powietrzu znak krzyża. Miejska milicja w pozornym spokoju doglądała oręża. Rzędy ludzkich twarzy, kobiet i mężczyzn, jak szpaler rzeźb, pojawiały się i znikwały w słabym świetle. Te rysy zdradzały niepewność, oczekiwanie, niepokój. Wszyscy szeptem dodawali sobie otuchy.

Ciemna bryła San Vitale przypominała bardziej fortecę niż świątynię. Wielokątny bastion wiary, herold potęgi dawnego Imperium, wsparty na potężnych przyporach, rozlewał z wysokich okien ciepły blask, którego źródłem nie mogły być świece. Dodawał on siłę zgromadzonym wokoło bazyliki ludziom. Kapłani odpuszczali grzechy klęczącym rycerzom, udzielali ostatniego namaszczenia tym, których choroba mogła zabrać z równą chyżością co piekielne zastępy. Wszystko to działo się cicho, aby nie mącić tej nabożnej ciszy, od której aż wibrowało w uszach.

Krzyżowiec ruszył poprzez tłum ku wejściu do świątyni, chcąc chociaż raz spojrzeć na wnętrze sławnej na cały świat bazyliki. Z pochyloną głową przeszedł przez próg, czując na sobie oddech wiekowej budowli. Nozdrza wypełnił mu zapach kadzidła, świec oraz kwiatów, woń tak znajoma, nawet na krańcu świata. Rycerz uniósł oczodoły ku sklepieniu i zamarł w oniemieniu.

Ponad głową rozkwitał ośmiolistny kwiat, wsparty na barkach smukłych kolumn. Złotą kopułę otaczały wieńcem nawy, ginące w jasnym blasku, niemalże przesłaniającym wielokolorowe mozaiki, ułożone tak wysoko, jakby nigdy nie miało ich oglądać ludzkie oko. Mijają długie chwile, zanim szpetny Krzyżowiec choćby raz przesunie wzrokiem po wnętrzu, tak odmiennym od ciemnokrwistego świata, w którym żył. Tutaj wciąż istniało cesarstwo w pełni swego bogactwa oraz wyrafinowania.

Ze stuporu obudziło go odległe uderzenie dzwonu. Oszołomiony Rycerz powrócił w ciemną noc, teraz jakby jeszcze głębszą niż poprzednio. Powietrze drżało od kolejnego uderzenia dzwonu, tym razem bliższego. Ponad horyzontem pojawiły się błysk nadciągającej burzy i luna. Ostatni mieszkańcy miasta opuszczali ulice, żegnając swych obrońców i zamykając drzwi kamienic. Otwarte wrota San Vitale kusily tych, którzy chcieli się w swym postanowieniu.

Teraz pod bazyliką pozostali jedynie zbrojni oraz duchowni, gotowi poprowadzić wiernych w błagalnej procesji. W mroku zapłonęły płomyki pierwszych gromnic, wysokich woskowych świec, wyświęconych jeszcze w zimie, aby strzec ludzi przed złem oraz gwałtownymi burzami. Smocze truchło już spoczęło na pokaleczonych ramionach biczowników, którzy mimo niechęci ze strony biskupa dostąpili zaszczytu obnoszenia tego trofeum.

Bicie dzwonów narastało z każdą chwilą, niesione na skrzydłach niskiego pomruku nawałnicy. Ludzie padali na kolana, modląc się o ochronę przed nadciągającym złem. Ktoś zaintonował psalm, który natychmiast podchwyciło kilka głosów, nie zwracając uwagi na łamanie ciszy. Wychudzony pielgrzym powoli, jakby nikt nie miał go zauważyć, wycofał się w ciemność między kamienicami i umknął biegiem.

Czarne niebo nabrało barwy czerwieni.

Strach odbierał obrońcom Rawenny siły na długo przed pojawieniem się burzy ogniowej. Coraz gęstsze bicie dzwonów brzmiało już tysięcznym echem ponad bazyliką, łamiąc słabsze serca. Krzyżowiec stał z boku, pod murem San Vitale, obserwując, jak modlitwy i psalmy coraz częściej zagłuszają płacz oraz ostatnie słowa pocieszenia.

Gorący wiatr wpadł między budynki, ciskając w oczy pyłem uniesionym z ulic. Ktoś przeklął na głos złośliwy żywioł, który jednak nic nie robił sobie z wściekłości człowieka. Przerazony pątnik rzucił się pod drzwi kamienicy, błagając o schronienie. Nikt mu nie otwierał, gdyż mieszkańcy miasta więcej mieli rozumu i wiedzieli, że lepiej nie rzucać wyzwania diabłom. Krwiste niebo przeszła pierwsza błyskawica, która rzuciła na kolana nieomal wszystkich. Krzyki mieszały się z modlitwą, panika trwożliwych z odwagą tych, którzy stawiali do pionu nieudanych zapaśników Chrystusa.

Rycerz ze spokojem oczekiwał rozstrzygnięcia, gotowy zmierzyć się z piekłem, które wkrótce rozpęta się wokół niego. Żył dla bitewnego żaru i niestraszny był mu ogień. Wszak już raz zginął, pochłonięty przez ten żywioł. Teraz lubował się w tym cierpieniu.

Niewielu obecnych trwało z równą niezłomnością, nie wierząc, iż będzie im dane przetrwać ogniisty podmuch, lecz że zostaną żywymi duszami w martwych ciałach. Ludzie z niepokojem spoglądali na purpurowe chmury, raz po raz rozpalane ogniem błyskawic. Jeden z angielskich giermków wymiotował wieczersę, wspierając się o ścianę kamienicy.

– Nie lękaj się piekła – zawołał za nim jego pan, odziany w czerwoną tunikę na kolczym płaszczu. Miał mocny głos, który pasował do francuskiej mowy, popularnej pośród szlachty z Wysp. – Nie lękaj się piekła, ono jest puste! Wszystkie diabły są już tutaj!

Anglicy zaśmiali się jak jeden mąż, nawet wymiotujący giermek, chociaż wstrząsany torsjami, parsknął pod nosem. Rycerzowi przypadła do gustu ta wisielcza odwaga, chociaż kilku świętobliwych mnichów zgromiło ich wzrokiem. Jeden nawet zrugął ich za brak powagi w obliczu nadciągającego kataklizmu.

Kazanie przerwał wstrząs pod nogami. Dzwony były jak oszalałe, a niebo zajaśniało jak w dzień. Błyskawica uderzyła tuż za murami miasta z ogłuszającym rykiem. Angielski rycerz popatrzył na krwiste niebo, przyglądał węży i wdział spiczasty hełm. Krzyżowiec doceniał jego spokój oraz doświadczenie. Widać było, że on i jego kompania nie należeli do ludzi słabego serca.

Z nieba lunął deszcz tak nagle i z taką mocą, iż niektórzy ludzie w panice rzucili się na bruk, jakby ich oblano płonąca naftą. Pioruny były w ziemię, kładąc kres psalmom oraz modlitwom, miażdżąc do końca nadzieję w sercach. Rycerz spoglądał po procesji, która trwała niezłomnie w miejscu, gotowa obnieść smocze szczątki wokół miejskich murów. Biczownicy nie czuli wątpliwości, jedynie uderzenia deszczu oraz swych batogów, ich wierność była nieskończona. Jednak wielu innych, zwykłych ludzi musiało sobie zadawać pytanie, dlaczego stoją tutaj, oczekując na nadejście złego. Czy ich wiara naprawdę wystarczy? Czy ich poświęcenie cokolwiek zmieni? Każde uderzenie pioruna tylko powiększało wyrwę w ich odwadze, a jeszcze nie mieli nawet okazji zobaczyć przeciwnika, z którym przyjdzie im się zmierzyć.

Anglik musiał myśleć podobnie, z zawodową troską spoglądając na upadającą wiarę, bo wyszedł z cienia bazyliki i przemówił donośnym głosem, nie zważając na ogłuszające gromy:

– Czego się lękacie w tej godzinie, kiedy piekło na wasz próg przychodzi? Cóż ono może uczynić, jak tylko przegrać i oddać wam hołd? Nie zbruka was, nie skusi w tej godzinie żadną już nagrodą, bo stajecie tutaj wolni od grzechu, żołnierze Pańscy! Jeżeli przyjdzie wam życie oddać, polec na tym polu walki, to taka jest wola Ojca i nie nam jest ją sądzić czy w nią wątpić. Czas jednak dany nam do chwili wezwania przed jego oblicze, czas ten dany jest nam i wyście wybrali drogę chwały. Niech słabe serca odejdą teraz, z dala od naszej gromady, bo mniej was, lękliwych, to większy honor dla mych braci i sióstr, a tak nazwę każdego, kto tej nocy będzie u mego boku stać. Polegli staną w glorii przed hufcami

aniołów. Cześć i sława na ich widok zawołają zastępy niebieskie, a my, których los oszczędzi, zapamiętamy tę noc dobrze, bo ktokolwiek powie w dniach przyszłych: „Czyście byli razem z tymi, co stawali w Krzyżowe Dni przeciw wrogom?“, wy odpowiecie, dumnie swe rany niosąc: „Oto i my, niezłomna tarcza, co osłoni bezbronnych, i miecz, który opędzi was od zła”. Innym zostawcie tylko rozpacz i wstyd...

Nie skończył Anglik swej mowy, kiedy wiatr, deszcz i burza ucichły. Przez długą chwilę zapanowała cisza absolutna, której Rycerz nie pojmował. Wyspiarz dalej poruszał ustami, lecz żaden dźwięk nie rozbrzmiewał już w martwym powietrzu.

Nagły błysk, jak tysiąc słońc, rozpałił niebo żywym ogniem, oślepiając ludzi. Chmury zniknęły, deszcz wyparował w jednym momencie. Noc stała się dniem, a ulice rozgorzały płomieniem. Fala gorąca przetoczyła się z hukiem i rykiem ponad dachami, które stanęły w ogniu. Wszyscy ci, którzy zasłonili się przed tym błyskiem, spłonęli jak pochodnie, upadając na bruk jako wypalone szkielety. Ogień ogarnął też tych, którzy w tej chwili ulegli słabości i rzucili się do ucieczki ku portalowi bazyliki.

Dwa tuziny ciał dymiły na bruku, niektóre jeszcze czołgały się ku żyjącym, wyciągając do nich kikuty. Na ten widok Krzyżowiec wpadł między pokutników i mnichów, obcasem buta miażdżąc płonące szczątki. Martwi już byli ci ludzie, ale ich ciała gotowe były przyjąć w siebie mroczne duchy. Nie można było dać nieczystym siłom do nich dostępu. Niech rozpadną się w popiół. Ludzie nadstawiali krzyże i relikwie przeciw żywym trupom, tak niewiele różniącym się od Rycerza. Pośród tego chaosu na barkach biczowników drżały smocze szczątki, otoczone kordonem okaleczonych od batów ludzi. Ani oni, ani biskup, ani dzierżący gromnice kapłani nie mogli wspomóc wiernych, nie sprowadzając jeszcze większej klęski. Oto nadszedł sprawdzian ich wiary.

Ponad dachami płomienna zorza rozbłysnęła ze złością, wypluwając z ohydnej paszczy błyskawicę tak jasną, iż na moment oślepiła ona całe miasto. Ziemia zadrżała, wijąc się z bólu, a miasto na jej grzbiecie zadrżało. Ze ścian kamienic odpadły tynk oraz pojedyncze cegły. Grom złał się z ogłuszającym hukiem walących się murów. Nie było w mieście żywej duszy, która nie spojrziała z trwogą na kolumnę pyłu unoszącą się ponad dachami. Wargi bezgłośnie powtarzały słowa modlitwy, ludzie czynili znak krzyża, a biczownicy po dwakroć mocniej poczęli ofiarowywać swą krew. Przeciągły huk walącego się w gruzy budynku napawał serca ludzi trudną do opisanego słabością. Wiedzieli, że wydarzyło się coś bardzo złego, jednak łudzili się jeszcze nadzieją.

– Rycerze! – zawołał biskup słabym, wysokim głosem. Jego szata, mitra oraz twarz nosiły ślady ognia. – Idźcie na pomoc innym, dobywajcie ciała spod gruzów i chrońcie dusze przed Rudowłosym! Na nic mi tutaj wasze miecze, precz!

To rzekłszy, zaintonował Dawidowe psalmy i poprowadził zdziesiątkowaną procesję płonącymi ulicami.

Krzyżowcowi nie trzeba było takiego wezwania powtarzać po dwakroć. Biegiem ruszył poprzez ogień, które już żadnej krzywdy wyrządzić mu nie mogły. Ściany płomiennych kamienic drżały. Mijał zgorzałe, zwinięte od gorąca zwłoki, które zaścielały ulice Rawenny. Co chwila pod podeszwą buta trzaskały piszczel albo dłoń, obleczone jeszcze strzępem skóry. To jednak martwi, ich ciała na nowo powstaną w dniu Sądu, a Rycerz gnał na ratunek żywym. Na jego spotkanie toczył się tuman czerwonego pyłu, przesłaniając nawet ogień.

Zasłaniając oczodoły, Krzyżowiec wpadł w chmurę.

Jakże cichy wydawał się świat w jej wnętrzu; z każdym krokiem coraz bardziej odległy i nierealny. Czerwone błyski ponad głową ledwo przebijały przez pyliste sklepienie tej umarłej bazyliki. Po omacku Rycerz parł naprzód, potykając się o zdruzgotane dachówki, które ścieliły się coraz grubszą warstwą na ulicznym bruku. Szklane odłamki z chrzęstem rozpadały się pod twardym obcasem. Wszędzie pył i rosnąca sterta gruzu. Krzyżowiec wspiał się na ruiny i zaczął odgarniać zwały kamieni w poszukiwaniu tych, którzy mogli przetrwać katastrofę. Sam jeden pośród pylistej zamieci.

– *Ex nobis bellum!* – zdawał się krzyzczeć wiatr.

Krzyżowiec wytrwale kopał dalej, trzymając się z rozpaczą nadziei, że ktoś jeszcze żyje pod ruinami. Wokół niego pył niczym pogrzebowy kir zaścielał rumowisko. Mimo to Rycerz nie ustawał. Padał na gruz, nasłuchując, wyteżał barki, unosząc złamaną kolumnę, nie zważając na spadające z nieba ogniste drobiny. Pożar musiał sięgnąć biblioteki lub skryptorium, bo w pyłe wirowały zwęglone resztki pergaminu. Wtedy dostrzegł między cegłami rączkę.

Rycerz rzucił się na kolana, odrzucając na bok gruz, dobywając na powierzchnię małe ciało, tak potwornie zmasakrowane, iż nie był w stanie powiedzieć, do kogo należało. Uniósł delikatnie zwłoki, jak ojciec, chcący odnieść do łóżka dziecko, które za długo zasiedziało się w nocy i zasnęło, słuchając starych opowieści. Ułożył ciało na gruzie ruin, nie mając innego miejsca, i nakrył je własną tuniką. Miał nadzieję, że niezapominajka, którą ozdobił swą opończę, teraz pomoże tej duszyczce w drodze do raj.

– *Ex nobis bellum! Ex nobis bellum!* – wołał jakiś ochryply głos, maniackalnie powtarzając trzy słowa. – Z nas wojna! Z nas wojna!

Rycerz znał ten okrzyk, bitewne zawołanie piekielnych zastępów. Żaden śmiertelnik nie ważyłby się go wypowiedzieć. Tylko szatańskie szeregi Roberta Diabła niosły go, wraz ze smoczymi chorągwiemi, na zatracenie ludzkości. Gdziekolwiek kierował się ten hufiec, tam podążały śmierć, pożoga oraz gwałt. Krzyżowiec stanął na równe nogi, ogarnięty falą wściekłości, nie mniej gorącą od ogni płonących nad miastem. Ruszył w kierunku, z którego dochodził okrzyk. Im bliżej był, tym wyraźniejsze stawały się głosy ludzi oraz błagania o litość ich ofiar.

– Złam mu ramię! – Krzyk przedarł się przez pył. – Rozerwij go na dwoje!

– Przypal, okalecz tę śliczną buzię.

– Nudzi mnie żywy.

– Podziel się nią – warknęła drapieżnie postać, rysująca się coraz wyraźniej w czerwonym pyłe.

Rycerz już wspinał się na pogruchotane kolumny. Widział już wzniesienie złamanych łuków i cegieł. To z jego szczytu dochodziły te straszne odgłosy.

– Nie ma już w niej miejsca, wykop sobie inną.

– Proszę, nie... – pisnęła skulona na gruzach kobieta. Otaczało ją trzech piekielników w ludzkiej postaci. Wszyscy pancerni, chronieni od gorącego powietrza. Pełne hełmy zakrywały ich twarze, płytowe płaszcze sięgały kostek, u pasów trzymali szerokie tasaki oraz długie noże. Najwyższy z nich zabawiał się metalowym szpikulcem, którym co jakiś czas dźgał konającego księdza, do pasa zakopanego w rumowisku. Krzyżowiec dobył miecza.

– Doprawdy, nie wiem, panowie – stwierdził frywolnie ten najwyższy – jak ci męczennicy to znoszą. A wystarczy tylko trochę zbluźnić i będzie po wszystkim.

– Cicho! – syknął chrapliwie barczysty piekielnik. – Ktoś tu idzie, tam! Biegiem, zostaw ten ochłap.

Trzy postaci ruszyły ciężkim truchtem, znikając w dymie oraz pyłe, przy wtórze miażdżonych dachówek. Krzyżowiec wspiał się na pagórek o kilka chwil za późno, aby dopaść diablích żołnierzy. Umknęli bez kary, pozostawiając po sobie okaleczone i zbrukane ciała oraz jedną żyjącą tylko za sprawą chimerycznego charakteru diabłów. Jasnowłosa dziewczyna, pokryta krwią i pyłem, leżała na rumowisku, jakby bezruch mógł ją ocalić przed gwałtem oraz śmiercią.

– Proszę, nie – szepnęła na widok Rycerza. – Proszę...

– *Ex nobis bellum!* – zagrzmiały jeszcze nieodległe głosy. – Pal, niszcz, giń!

Jeszcze mógł ich dogonić, ale kiedy spojrzał na leżącą, dostrzegł, jak żar wiszący w powietrzu zaczyna trawić ciało dziewczyny. Nie z litości, ale na śmierć diabły pozostawiły tę biedaczkę, zbyt słabą, aby oprzeć się burzy ogniowej. Porzucając pościg, Rycerz uklęknął przy białogłowie i chwyciwszy ją mocno za rękę, począł się modlić za jej wybawienie.

– Proszę, nie idź – błagała, zaciskając powieki. – Nie chcę umierać sama.

Jakże teraz Krzyżowiec pragnął przemówić, dodać otuchy jakimś ciepłym słowem... Chociaż jego

martwe serce rwało się do walki, pozostał przy konającej.

– Mamo...

Z oddali dochodziły go odgłosy starcia, szcęk mieczy i perwersyjne okrzyki piekielników. Oni kochali gwałt oraz cierpienie, a on nie mógł teraz powstrzymać ich z mieczem w dłoni. Wkoło pojawiały się też nowe głosy, zapewne innych zbrojnych, którzy stawili się do śmiertelnych zapasów na ruinach bazyliki. Czy byli to obrońcy żywych, czy ich ciemężyciele, Krzyżowiec nie wiedział.

– Słabi stają do walki! – darł się jeden z czartów w bitewnym uniesieniu. Nie mogli być dalej niż dwadzieścia kroków.

Ognisty wiatr przepędzał już chmurę pyłu z ruin, ujawniając w pełnej krasie rumowisko. Smutny był to widok, gdyż w miejscu pradawnej bazyliki zwieńczonej piękną kopułą zalegały teraz zwały dymiącego gruzu. Na zgliszczach konały w męczarniach okaleczone postaci. Ci, na których zawaliły się mury, jak i pokonani wojownicy czuli teraz uderzenie ognistej zorzy. Wszyscy oni staną w płomieniach, ludzie oraz piekielnicy, gdyż płomienie niszczą wszystko na swojej drodze. O poległych mało kto dba, gdy na ruinach wciąż trwa walka, lecz diabelscy żołdacy oddali już pole. Od strony portu zjawił się zastęp pod wodzą pancernego biskupa. Rosły to truposz, którego nagą czaszkę osłaniał wysoki hełm z nałożoną nań mitrą. W dłoniach dzierżył lucereński młot, którym miażdżył tarcze piekielników.

– Za mną, bracia! – Jego krzyk był jak dźwięk trąby. – Pan z nami!

Rycerz z oddali obserwował, jak brat w śmierci okrywa się chwałą. Jednak nie mógł nawet na chwilę puścić niewieściej dłoni. Jasnowłosa kobieta straciła już przytomność i z trudem oddychała gorącym powietrzem. Rycerz ścisnął mocno jej dłoń, jakby siłą mięśni chciał utrzymać duszę w jej ciele. Z gorzkim poczuciem porażki Krzyżowiec trwał przy boku niewiasty, mając nadzieję, że dziewczyna przeżyje ten koszmar. Wtedy jego trud nie poszedłby na marne, zwłaszcza że odgłosy walki stawały się coraz słabsze i odleglejsze. Ominęło go to starcie, tym piękniejsze, iż na piekielnikach mógłby wyładować furię i zostać za to obwołany bohaterem.

Z tej bolesnej bezczynności wybawił go mnich, franciszkanin, o łagodnej twarzy otoczonej postrzępioną brodą. Starszy człowiek wędrował po ruinach, niosąc namaszczenie umierającym oraz modlitwę za dusze tych, którzy już odeszli przed oblicze Pana. W burym habicie wyglądał jak duch, którego nie ima się żelazo i płomień.

– Panie – powiedział, dotykając palcami ramienia Krzyżowca. – Zostawcie nam rannych. Wasz miecz bardziej przyda się w porcie. Biskup Neon zapędził tam wielu wrogów, myślę, że potrzebuje każdego wojownika.

Franciszkanin klęknął obok, delikatnie wysunął dłoń dziewczyny z uścisku Krzyżowca. Była zbrązowiała od żaru, lecz było to jedyne piętno, jakie ogień odcisnął na jej ciele. Mnich uczynił kciukiem na czole dziewczyny znak krzyża.

– Bogu niech będą dzięki, przeżyje – wyrzekł z cieniem uśmiechu w zmęczonym głosie. – Tobie także niech będą dzięki, ocaliłeś ją.

Rycerz dźwignął się z klęczek i po raz pierwszy mógł rozejrzeć się w pełni po okolicy.

Czerwone niebo, rozświetlone ognistą zorzą, wciąż wyglądało niczym rozwarta paszcza. Krzyżowiec stał teraz pośrodku ogromnego rumowiska, na truchle wiekowej bazyliki. Spomiędzy kamieni wypływały strużynki czarnego dymu, a pas cmentarnej zieleni teraz przysypany był odłamkami cegieł oraz dachówek. Rzędy krzyży wystawały nad gruzowisko. Ośmiokątne baptysterium, stojące od północnej strony, jakimś cudem ocalało i teraz górowało nad rumowiskiem na podobieństwo baszty.

Po ruinach krążyli teraz ludzie dobrej woli, uzbrojeni w łopaty, kije oraz kilofy, gotowi kopać w poszukiwaniu żywych. Pośród nich krążył jeden zbrojny, rycerz – sądząc z herbu, i zajmował się rozbijaniem na kawałki głów poległych piekielników za pomocą buzdycy. Był to niski mężczyzna, około czterdziestki, odziany w kolczy płaszcz oraz purpurowy *surcoat*^[1] zdobny w węża pożerającego człowieka. Niesforne kosmyki ciemnych włosów wystawały spod krawędzi pancernej łebki, lepiąc się

do czoła rycerza. Nieco zbyt szerokie usta sprawiały komiczne wrażenie, będąc w kontraście do głęboko osadzonych oczu. U jego boku zwiślał miecz bliźniaczo podobny do tego, który Rycerz miał przy sobie.

Krzyżowiec przyglądał się wojownikowi z ciekawością, zastanawiając się, czy los nie zetknął go właśnie z krewnym Rogera d'Melfi, po którym odziedziczył konia, tarczę oraz miecz. Herb na tunice nieznajomego wydawał się identyczny jak d'Melfiego. Czy tak wyglądał rycerz i najemnik, który zakończył żywot na lombardzkiej polanie, z twarzą zmiażdżoną uderzeniami maczugi?

Uważając na chwiejny gruz pod stopami, Krzyżowiec ruszył na spotkanie z niewysokim rycerzem. Nie zdołał jednak ująć kilku kroków, kiedy na rumowisku pojawił się zdyszany kapłan, młody wikary o delikatnych rysach, teraz ściągniętych przez strach i wysiłek. Na jego policzku ktoś wyciął nożem kilka ran, obficie krwawiących.

– Panie d'Melfi! – wydyszał duchowny. Ręce oparł na kolanach, z trudem łapiąc oddech. Krew z policzka kapała na grzyzy. – Panie d'Melfi, jeden z nich jest w baptysterium! Zabrał panienkę! Próbowałem jej bronić, ale on powiedział, żebym sprowadził mu jakiegoś wroga. Powiedział, że ją... Powiedział, żebym znalazł kogoś.

– Uspokój się, Carlo – burknął d'Melfi niezbyt przychylnym tonem, luzując rzemienie tarczy spoczywającej na jego plecach. – Głupiś, żeś próbował piekielnika wstrzymywać.

– Ależ panie... – zaprotestował wikary ze łzami w oczach.

– Tam się czai ten psubrat? – D'Melfi wskazał buzdycanem na ośmiokątny budynek przesłonięty smugą dymu.

Wikary kiwnął głową i już otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

– Dobrze – uciął italski rycerz, wykrzywiając gorzko wargi. – Tym razem lepiej będzie, jak biskup zapłaci za moje usługi. Idź i mu to powiedz. *Comprehendo?*

– Ależ panie, ja nie wiem gdzie...

– To idź i go znajdź – warknął d'Melfi i ruszył ku baptysterium, pozostawiając wikarego bliskiego łez.

Krzyżowcowi spodobała się myśl o walce, toteż udał się rażnym krokiem za Italczykiem i szybko się z nim zrównał. D'Melfi najpierw spojrział na Krzyżowca z irytacją, sądząc zapewne, że to wikary goni go, aby pożegnać go jakimś frazesem dla prostaczków. Widząc jednak trupie oblicze, na powrót przybrał pozę znudzonego i zirytowanego.

– W czym mogę pomóc, panie bracie? – zapytał obojętnie, na co Krzyżowiec wskazał palcem na coraz bliższe baptysterium. – Jeżeli chcecie mi towarzyszyć, to wasza wola, ale jedną sprawę stawiam jasno. – Głos Italczyka stwardniał. – Możecie zedrzeć z czarta skórę, zabrać kości i włosy. Trup mnie nie obchodzi, ale pieniędzmi od biskupa się nie dzielę, pojąłeś?

Rycerz skinął w odpowiedzi głową.

– Dobrze – powiedział d'Melfi już bardziej pojednawczym tonem. Po chwili dodał jeszcze: – Mało mówicie z natury czyście niemi? Nieistotne. Głupie pytanie.

W milczeniu wojownicy zeszli z resztek bazyliki, deptając po szczątkach bezgłowego posągu. Ceglane ściany baptysterium lśniły w ogniu płonących niebios, potęgując jeszcze wysokość wieży górującej ponad cmentarzyskiem.

Stanąwszy w portalu baptysterium, Krzyżowiec dobył miecza, sprawdzając, czy drzwi do wnętrza łatwo dają się uchylić. Nie były zaryglowane czy zatrzaśnięte, jedynie zawiasy nieco spęczniały od żaru.

– Ładne ostrze – rzucił d'Melfi, przyglądając się orężowi Rycerza. – Mój brat ma podobny, chociaż chciwa z niego łachudra i wcale nań nie zasługuje.

Krzyżowiec naparł barkiem na drzwi, wchodząc ostrożnie do baptysterium.

Wnętrze było czarne jak agat. Kolumny lśniły w czerwonym świetle pożogi, wpadającej przez łukowato sklepione okna. Kamienną posadzkę pokrywała cienka warstwa wody, która falowała przy każdym kroku. Filary kręgiem otaczały basen chrzcielny, teraz ukryty pod rozedrganą taflą wody, skrzącą

się setkami ogników. Pośrodku pomieszczenia, wsparty na jelcu długiego miecza, stał piekielnik okryty płytowym płaszczem. Ramiona opinała mu kolczuga z małych kółek, bardziej przypominających rybie łuski niż pancerz. Przystojna twarz o pociągłych północnych rysach bardziej pasowała do normńskiego księcia. Jasne oczy, wąski nos, usta blade, kontrastujące z czerwienią podgolonych włosów.

– Witam panów, Bóg z wami. – Miły baryton odbił się echem od ścian baptysterium. – Utopiłem już waszą dziewczkę w chrzcielnicy, co panowie na to?

Krzyżowiec jeszcze nigdy nie słyszał głosu tak przesiąkniętego fałszem oraz nikczemnością. Sam Nieprzyjaciel musiałby objawić się w we własnej osobie, aby przyćmić swego wysłannika w okrucieństwie. Każde słowo tej istoty sprawiało słuchaczom namacalny wręcz ból.

Piekielnik chwycił miecz w dłoń, zsuwając z pleców tarczę z wizerunkiem bestii.

– Panowie, będziemy tak stać całą noc? – Oczy smoka na tarczy zapłonęły ogniem. – Czy będziemy walczyć?

Rycerze ruszają powoli do starcia, obchodząc czarta z obydwu stron. Nie śpieszą się. Piekielnik nie mówi już nic. Ze skupieniem śledzi ruchy przeciwników, chociaż nie umie ukryć pewności siebie. Krzyżowiec rusza do ataku pierwszy, z cięciem sponad ramienia. Diabelski wojownik cofa się o krok, ale tam już czeka d’Melfi. Czart zasłania się tarczą, iskry sypią się na wodę. Rycerz nie zwleka, wychodzi naprzód z potężnym pchnięciem, od którego wysłannik piekiel umyka dwa kroki wstecz.

Piekielnik szybko odzyskuje rezon i naciera na Italczyka, sztychem miecza szukając jego nadgarstków. Krople wody tryskają we wszystkie strony w rytm walki. Krzyżowiec przychodzi w sukurs kompanowi, lecz demon opada na kolano, unika cięcia i wbija klingę w brzuch Rycerza. Krzyżowiec cofa się, porażony bólem, lecz stal nie może więcej zrobić martwemu. D’Melfi, widząc okazję, wymierza czartowi uderzenie w głowę, ale ten z gracją węża wywija się spod ciosu.

Italczyk nie czeka na atak, uderza okuciem tarczy, dokłada buzdyganem. Z furją zasypuje piekielnika gradem ciosów, łupiąc ogniste drzazgi i spychając czarta ku agatowej kolumnie. Krzyżowiec już biegnie na pomoc, chcąc przeszyć mieczem prawy, nieosłonięty tarczą bok przeciwnika.

Rudowłosa widzi pułapkę, zasłania się tarczą przed buzdyganem, lecz tym razem bestia na jej powierzchni ożywa i chwyta pazurami za oreż Italczyka. Czart wbija miecz w pierś zdumionego rycerza aż po jelec. Krzyżowiec nie patrzy na upadającego towarzysza, pchnięciem próbuje dosięgnąć piekielnika, lecz chybia o dłoń. Obydwaj teraz wymieniają ciosy, żaden jednak nie potrafi przewyciężyć drugiego. Krzyżowiec seria pchnięć wykluwa oczy smoka na tarczy rudowłosego, gasząc jego ogniste spojrzenie. Czart odskakuje kilka kroków i odrzuca tarczę, która opada z sykiem na posadzkę.

Konający d’Melfi rzezi upiornie z każdym oddechem. Na ustach ma krwistą pianę, a oczy wbił w płomienisty zarys okna.

Krzyżowiec mierzy wzrokiem czarta, gotując się do ostatniego starcia. Choćby miał tutaj postradać resztki życia, powali go. Diabelski wojownik rusza naprzód, atakując eleganckim sztychem. Rycerz cofa się, podejrzewając fintę. Na moment obydwaj zamierają w bezruchu, ale śmiertcionośne miecze szybko idą w ruch. Echo w baptysterium zamienia szcęk oreża w huk gromu. Czart zasłania głowę przed potężnym uderzeniem, i następnym. Widzi, jak Rycerz gotuje się do trzeciego ciosu, już ustawia miecz do kontry, aby zmusić Krzyżowca do obrony. Ten jednak nie dba o swoje życie. Trzecie cięcie, dokładnie takie samo jak poprzednie, opada na rudowłosą głowę. Miażdżona twarz wykrzywia się w groteskową maskę. Odłamki kości oraz mózgu wypływają przez szczerbę, a miecz wgryza się dalej. Oczy zapadają się do wnętrza czaszki, zuchwa odskakuje na boki, rozplątana na dwoje. Rudowłosa marszałek piekła opada powoli na posadzkę, ale jego ciało rozpływa się jak opar mgły, nie pozostawiając po sobie choćby śladu. Krzyżowiec wie, że powróci on za rok, głodny zemsty oraz nowych ofiar, tak samo gładki jak poprzednio.

Bez obecności piekielnej istoty baptysterium zmienia się w oczach. Wnętrze przyjmuje pierwotne kolory. Znika czarna woda, ujawniając wiekowe płyty z kamienia oraz wyłożony mozaiką basen

chrzcielny. Filary wspierają łuki wyłożone błękitem oraz złotem. Ponad głową Krzyżowca mieni się złocona kopuła. Na dnie pustego basenu leży drobna postać, ale Rycerz najpierw podchodzi do umierającego Italczyka.

D'Melfi z trudem łapie ostatnie oddechy, leży w kałuży własnej krwi. Twarz ma wykrzywioną z bólu i bladą. Jedna dłoń zasłania bezskutecznie ranę, druga wciąż przywiązana jest do tarczy. W oczach ma upiorny spokój ludzi, którzy znają swój los. Widząc zwycięskiego Rycerza, zdobywa się na grymas oraz namiastkę śmiechu, która wywołuje atak krwawego kaszlu. Z trudem próbuje jeszcze na coś wskazać, ale zamyka powieki po raz ostatni. Krzyżowiec układa ręce zmarłego na piersi, żałując, iż nie może u jego stóp złożyć czarciego truchła na znak tryumfu.

Drzwi baptysterium otwierają się z hukiem, wpuszczając do wnętrza czerwony ogień nocnego nieba. Jako pierwszy wpada martwy biskup, o kościanej twarzy, wspierając się na lucereńskim młocie. Mitra na jego hełmie zwisa żałośnie, porąbana na kawałki. Za pancernym świętym maszerują jego umarli myrmidoni, dla których wiara najczystsza to wiara bez pytań i wątpliwości. Z tyłu miga twarz Carla, młodego wikarego, dziko gestykulującego rękoma w powietrzu.

– Ona żyje – zagrzmiał biskup tonem, którym mógłby przerazić wielu. – Zabierzcie to dziecko na powrót do pałacu, dajcie jeść i pić.

Krzyżowiec spoglądał na tę krzątanicę z niecierpliwością. Ledwo jednego piekielnika ubił tej nocy, a obiecywał sobie, iż dzielnym zachowaniem zmaże swe winy. Jego skrwawiony miecz prosił o więcej posoki, a głód bitwy daleki był od zaspokojenia. Ignorując zamieszanie, ruszył do wyjścia, chcąc tej nocy zdobyć więcej chwały.

Nie uszedł jednak dwóch kroków, kiedy zatrzymał go biskup, wlepiając weń swoje nieruchome spojrzenie. Podał Rycerzowi do pocałowania sygnet, założony na rękawicę z grubej skóry. Krzyżowiec klęknął i dotknął pierścienia spalonymi wargami.

– Wszelki duch Pana Boga chwali – przemówił biskup. Jego zuchwa nie poruszała się, a mimo to słowa wydobywały się z nagiej czaszki. – Kim jesteś, abym wiedział, kogo należy nagrodzić za ofiarną służbę naszemu Stwórcy?

Rycerz wskazał na swoje zapadnięte gardło.

– Po dwakroć niech będą błogosławione usta, które nigdy nie wypływają bluźnierstwa i wątpliwości. – Duchowny uniósł kościane oblicze ku niebu. – Jam jest biskup Neon, strażnik tej grzesznej trzody owiec. Wiedz, milczący żołnierzu, że jestem rad z waszych czynów i nie pozwolę, aby pozostały bez nagrody.

Patrząc na tę nieruchomą czaszkę, która wyrażała nieugiętą wiarę fanatyka, Krzyżowiec zastanawiał się, czy nie wolałby, aby biskup jednak jak najszybciej o nim zapomniał.

– Porozmawiamy później, mój martwy bracie. Zbliży się świt, a z nim mój czas. – Neon obrócił się do swej gwardii. – Zaprowadźcie tego rycerza do pałacu. Podejmujcie go dobrze, bo wola Pańska przemawia przez to martwe ciało, wolne od zgnilizny grzechu.

Rycerz pochylił głowę, nie wiedząc, któremu uczuciu powinien się poddać. Z jednej strony naiwność oraz niezdrowa żarliwość wiary biskupa przyprawiały go o ironiczny uśmiech. Z drugiej strony jakże niegodnym czuł się tych pochwał, wiedząc, że Neon mówił o nim ze szczerego, choć martwego serca. Trwał więc na klęczkach, zasłaniając zmieszanie fałszywą pokorą.

*

Z wysokości okna gościnnego pokoju Rawenna przypominała dymiący cmentarz. Dzielnice pełne wypalonych budynków, pozbawionych dachów oraz ścian. Osmolone rumowiska, rozgarniane przez zgarbione postaci w poszukiwaniu żywych lub ich dobytku. Jeszcze błękit świtu nie przesłonił płomiennego nieba, a powieszono tuzin ludzi, którzy odważyli się szabrować ruiny. Ci, którzy ocaleli z walących się budynków oraz objęć płomieni, teraz błakali się po mieście w poszukiwaniu chleba.

Martwi za życia, wypaleni do kości, z oczyma na zawsze porażonymi przez ten płomienny koszmar. Na każdym skrzyżowaniu piętrzyły się stosy szerniałych szkieletów, oczekujące na powóz grabarza.

Krzyżowiec obserwował ten druzgocący obraz z biskupiej rezydencji, nietkniętej przez ogień nawet w najmniejszym stopniu. Marmur parapetu, na którym opierał łokcie, pozostał bład jak kość. Kamień był chłodny, a przecież kilkanaście kroków dalej płonęły jeszcze niektóre domy. Mimo ogni niektórzy ludzie wrócili już do codziennych zajęć, nie chcąc poddać się rozpacz.

Rycerz spojrział na wschód, gdzie wstawało życiodajne słońce przepędzające płomienie nocy. Tyle wydarzyło się w ciągu ostatniej doby... Ile razy podejmował decyzję w ułamku chwili, decydując o życiu i śmierci? Czy zarazonych czarnym grzybem ludzi dało się ocalić? Może nie powinien był spalać ich ciała i całego tego przysiółka? Mógł po prostu posłuchać tamtej kobiety, odjechać, wieść o tym miejscu zanieść do Rawenny, oddać sprawę pod rozwałę miejscowego władcy.

Zamiast tego sam osądził to miejsce.

Gdy patrzył wstecz na swoje czyny, nie mógł znaleźć gorszego sędziego. Tej ostatniej nocy, chociaż potykał się z czartem, walczył dla własnej chwały i poklasku. Jak Narcyz patrzył tylko na swoje odbicie, a dobro czynił mimochodem. Bo gdzie łatwiej o nimb Bożego rycerza, jak nie w Rawennie, w piecu Dni Krzyżowych? Gdyby kazano mu zabijać innych chrześcijan, a w zamian obiecano nieśmiertelną pamięć, jak szybko znalazłby usprawiedliwienie dla swoich mordów? Dlatego Jerozolima tak przemawiała do jego wyobraźni. Tyle pól bitew, tyle ludzi do ścięcia, a każde z tych zabójstw *a priori* usprawiedliwione jako walka z innowiercą.

Cóż to zresztą za myśl, żeby sumienie splamione krwią inną krwią zmywać?

Gorzkie były to rozważania dla Rycerza, który całe swoje życie spędził na polach śmiertelnej walki. Do tego go wychowano, taka jego dola; z mieczem w dłoni wybierać stronę sprawiedliwą, być wiernym oraz honorowym. Nikt jednak nie powiedział, jak należy żyć z tym brzemieniem. Zaakceptować, zapomnieć, poddać się desperacji? Zapewne postępować tak, jak Krzyżowiec czynił w poprzednim życiu.

Być niezłomną tarczą dla bezbronnych.

Być bezlitosnym mieczem dla grzeszników.

Służyć wiernie, a złego suwerena radą wspomóc, nie zdradzać.

Modlić się, aby ten, pod którego sztandarem służę, okazał się mniejszym łotrem niż jego przeciwnik.

Reszta spoczywa w rękach Boga.

Nie mniejszych zgryzot przyprawił mu jeszcze biskup Neon, a raczej jego nieugięta wola, aby wynagrodzić Krzyżowca za bohaterskie czyny. Chociaż samego świętego złożono do grobowca, gdzie miał spać do następnych Dni Krzyżowych, przybyli do Rycerza mieszczanie, zapytując, jakich zaszczytów i bogactw żąda dla siebie. Jakież było jego zdziwienie, kiedy ci ludzie, których z racji kupieckiej profesji nie cenił wysoko, zwracali się do niego z szacunkiem oraz uznaniem. On, człowiek bez życia oraz domu, miał w jedną noc stać się szanowanym obywatelem Rawenny, otrzymać zamek oraz własny hufiec rycerzy.

Nie umiając im wyjaśnić gestami myśli, napisał na kawałku pergaminu swą wolę; jego nawykła do oręza dłoń z trudem stawiała litery. Chciał tarczy, konia i miejsca na okręcie, który zawiezie go do Wenecji – i nic więcej. Mieszczanie z niejaką ulgą przyjęli jego odmowę, obiecując, iż przeznaczone dla niego kosztowności, pozostawione zgodnie z wolą biskupa Neona, oddadzą na odbudowę miasta. Rycerz nie wątpił w ich słowa; dla nich był to jedynie dobry interes, a pod płaszczykiem pomocy ubogim wspomagali zapewne własne inwestycje. Obydwie strony rozstały się zadowolone. Krzyżowiec nie musiał przyjmować honorów, których nie chciał i na które nie zasłużył, a mieszczanie zachowali złoto w swych sakiewkach.

Rycerz wyczekująco spojrział na wschodzące słońce, w myślach popędzając je do szybszej wędrówki po nieboskłonie. Chciał jak najprędzej znaleźć się poza murami Rawenny, która przestała go

interesować wraz z ucieczką ostatniego piekielnika. Oczywiście w mieście znalazłby okazję do walki, zapolował na grabieżców i rzeźmieszków, a może za kilka tygodni poprowadził wyprawę przeciwko wrogom Rawenny – to wszystko jednak trywialne dla niego. Głos tak długo karmił go pokusą największych rycerskich czynów, iż teraz rzeczywistość jawiła się w zblakłych barwach rozczarowania. Żadne miejsce, prócz wyczekanego Outremer, nie mogło spełnić oczekiwań.

Rycerz źle się czuł w tym bogato umeblowanym pokoju, pełnym pustych skrzyń oraz szaf. Nie miał co do nich włożyć. Nie nosił przy sobie drobiażków, które zwykle ludzie zabierają w drogę, aby czuć się jak u siebie nawet na obczyźnie. Można pan zabrałby bogate szaty, paski, buty, rękawice, nieco biżuterii w szkatułce z twardego drewna; na samym dnie kufra, po wielu milach podróży, znalazłby się grzebień, mały nożyk, pewnie tuba z piórami. Ta zawsze lądowała na samym spodzie, nieważne, gdzie by ją włożyć. Krzyżowiec zwykł je stawiać w pionie, zaklinowane między opasłymi księgami. Nigdy zresztą nie sprawił sobie porządnego kufra, z przegrodami na wszelkie sprzęty.

Teraz nie miał nic prócz tego, co na sobie. Niczym nie był w stanie wypełnić tej ogromnej, pustej przestrzeni patrycjuszowskiego pokoju. Spał tak samo jak w klasztornej celi, w kącie, na twardej podłodze. Jego jedynym odzieniem był pancerz, a domem było pole bitwy. Zupełnie nie pasował do tego miejsca, do spokojnego układania drobiażków na stoliku, portretu dzieci, listów ukochanej, całowanych tuż przed snem. Krzyżowiec zwrócił swe oczodoły na stół, wsparty na rzeźbionej nodze, i na dwa krzesła o wysokich, smukłych oparciach. Jak przy nim usiąść, nie rysując lakierowanego drewna oczkami kolczugi? Jasne ściany, delikatne draperie, futro na podłodze. Jak żyć w tej klatce?

Nagłe pukanie do drzwi wyrwało go z głębin myśli.

Do pokoju weszła niewysoka kobieta o brązowych włosach, niosąc na rękach spore zawiniątko, które złożyła na stole. Z jej twarzy biła pewność siebie, usta oraz oczy otaczała już siatka zmarszczek, chociaż niewiasta nie wyglądała na leciwą. Jej źrenice przykuwały całą uwagę. Małe, skurczone czarne punkciki w intensywnym błękicie tęczówki. W lewym oku źrenica była rozszczepiona na troje.

– Witajcie, panie. – Kobieta dygnęła wdzięcznie. – Nie sądzę, abyśmy mieli okazję porozmawiać wcześniej, ale chciałam wam podziękować za ratunek. To wy mnie ocaliliście z rąk czarta.

Rycerz skłonił głowę, starając się zamaskować niechęć do tego całego zamieszania. Przybył tutaj zabijać, nie przyjmować laury. Powtarzał to zdanie pod czaszką tak długo, iż straciło prawie cały sens.

– Wiele już o was krąży opowieści. Musi to was cieszyć – ciągnęła kobieta, uważnie przyglądając się Krzyżowcowi. – Mówią, żeście w pojedynkę przepędzili czarty z ruin bazyliki i odkopali mnóstwo ludzi. Ktoś nawet obnosił tunikę z krzyżem, wołając, iż wskrzesiła ona jego dziecko. Kto inny od samego biskupa Neona słyszał o waszych przewagach w baptysterium. Wikary Spolto twierdzi, żeście samego Roberta Diabła żelazem poznaczyli, a i w pałacu plotkują o waszej szczodrości. Mają was za świętego, który pielgrzymuje po naszym świecie, przynosząc cuda i zbawienie.

Rycerz z trudem powstrzymał się od ukrycia czaszki w dłoniach.

– Na litość, co wam się stało w rękę? – zapytała niewiasta ze szczerą troską. – Nikt wam tego nie opatrzył? Przecież to może się jadzić!

Krzyżowiec wzruszył ramionami, ale ujęły go te słowa. Nikt wcześniej nie pytał, czy może mu w czymś pomóc.

– Prawda, wam już zgnilizna nie szkodzi – powiedziała półgłosem kobieta, ale szybko odzyskała rezon i dodała: – Na pewno nie posłać służki po wodę?

Rycerz pokręcił głową, zachodząc w głowę, kim jest ta osoba. Dlaczego tak na niej zależało biskupowi Neonowi? On nie wyglądał na martwego, który szybko zdobywa uznanie dla płci pięknej.

– Trudno wam z tą sławą. – Źrenice kobiety nieco się rozszerzyły, a twarz nieco spoważniała. – Nie jesteście tym, za kogo was uważają, prawda? Mogę usiąść?

Zdumiony tym stwierdzeniem Krzyżowiec skinął głową i sam też zasiadł na krześle o wysokim oparciu, po drugiej stronie. Ileż lat minęło, od kiedy spoczął na takim siedzisku?

– Boli was to, że nawet w jednej setnej części nie dorównujecie własnej legendzie. – Niewiasta nie mówiła z ironią czy złośliwością, ale tak, jakby dobrze rozumiała swego rozmówcę. – Biskup Corelli wielce was chwalił za czyny pod San Vitale. Wielu słyszało już o martwym krzyżowcu, rycerzu zjawiającym się tam, gdzie trzeba największej odwagi. Za kilka tygodni całe miasto będzie was znać. Ludzie potrzebują tych opowieści jak wody, żeby zachować nadzieję, ale my przestajemy być dla nich ludźmi.

Kobieta na moment zawiesiła głos, patrząc na Rycerza, który gestem zachęcił ją, aby kontynuowała. Tak łatwo ujęła to, co bodło go w tej niezasłużonej chwale.

– Cały czas oczekują od nas nadludzkich wyczynów, sądenia sporów, błogosławienia noworodków i tego wszystkiego. A my jesteśmy tacy jak oni, tyle że bardziej przerażeni. Musimy decydować o innych tylko dlatego, że ktoś skanduje nasze imię. Niedługa stąd droga do świętości albo ukamienowania przez rozszalały tłum.

Krzyżowiec pokiwał głową, ciesząc się, że wreszcie może porozmawiać z kimś zupełnie normalnie. Jak dawniej. Zwykła rozmowa, narzekanie na świat dookoła, bez szaleństwa czy nagłości.

– Musimy udawać bohaterów z uśmiechem, żeby nikt niczego nie podejrzewał. Całe to przedstawienie... – Kobieta westchnęła ciężko. – Nie można przestać choćby na chwilę. Czasami mam tego dosyć, ty pewnie też.

Rycerz przytaknął, nawet nie bocząc się, że kobieta zwróciła się do niego tak bezpośrednio. Przypadło mu to nawet do serca. Poczł się nieco lepiej, jakby nawiązał pierwszą nić porozumienia z kimś, kto nie jest martwy.

– Namieszałam wam tylko w głowie, a nawet się nie przedstawiłam. Jestem Angela. Nie mam nazwiska, a wy nie możecie mówić, więc dobrana z nas para. – Kobieta zaśmiała się, czemu Rycerz chętnie by zawtórował, gdyby nie wypalone gardło. – Dobrze spotkać kogoś, kto nie traktuje cię jak relikwię czy inną ikonę. Mam kilka przyjaciółek tutaj, ale... ale zawsze jest ta rezerwa. Ta cześć i strach. Wszyscy słuchają tylko, czy właśnie nie mówię o przyszłości. Ledwo cokolwiek powiem o nowych budynkach, o rajcach, a one już mnie słuchają jak Pytii. Brakuje mi tylko skryby, żeby wszystko notował, no i biskupa, żeby pilnował mojej cnotliwości. – Angela spojrzała szybko na drzwi, jakby spodziewała się usłyszeć tam poruszenie podsłuchujących ludzi. Po chwili podjęła już cichszym tonem: – Zaczynam od środka, wybacz. Mogę mówić szczerze?

Rycerz skinął głową, zaintrygowany historią kobiety.

– Nie wiem nawet, skąd jestem, jakich miałam rodziców, bo przygarnęli mnie mnisi od świętego Benedykta. Znaleźli mnie, jak byłam maleńka, i wychowali dobrze. Zostałabym mniszka pewnie, ale gdy miałam kilka lat, aniołowie zaczęli przemawiać moimi ustami. Najpierw braciszkanie byli przerażeni, żem opętana, ale szybko przekonali się, że głosy, które słyszę, nie płyną od diabła. Wtedy mnie ochrztili jako Angelę. Posłanniczkę. Ileż było ze mną zamieszania! Biskupi przychodzili, nawet papieski legat. Wypytywali o wszystko, a ja byłam wciąż małą dziewczynką. Jak papież Kalikst odszedł, świeć Panie nad jego duszą, wszystko zaczęło się od nowa. Długie rozmowy, pytania o rzeczy, z których nawet nie zdawałam sobie sprawy. Wreszcie ostawili mnie w spokoju, uznając moje wizje. Od tego czasu mieszkam tutaj, przekazując słowa światłości, kiedy nawiedzają mnie aniołowie. Rzadko się to dzieje, a wszyscy chodzą wokół mnie, jakbym była świętym Janem. Czasami chciałabym uciec. Gdzieś daleko. Poznałabym ładnego chłopaka, żylibyśmy z dala od tego miasta, w małym domku na zboczu gór. Mielibyśmy gromadkę zdrowych dzieci i razem dożylibyśmy starości. – Oczy Angeli zaszkliły się nieco na tę myśl. – Ale moje miejsce jest tutaj. Muszę pomagać innym. Chyba zostanę sama, bo nikt nie odważy się poprosić o rękę osoby, która mówi z aniołami. Nieważne, co by się stało, zawsze już będę tą Angelą z Rawenny.

Zapadła smutna cisza. Nie umiejąc inaczej wyrazić współczucia, Rycerz chwycił dłoń kobiety, chcąc uściskiem dodać jej sił. Angela uśmiechnęła się, co pogłębiło zmarszczki na jej przedwcześnie

postarzałej twarzy.

– Dziękuję, żeś mnie wysłuchał – powiedziała cichutko, niemalże wstydliwie. – Dużo to dla mnie znaczy. Naprawdę jestem wdzięczna.

Rozmowa urwała się. Dłuższy moment tak siedzieli w milczeniu, doskonale rozumiejąc się bez słów. Dopiero gdy za oknem ktoś krzyknął, chyba domokrażca, Angela zadrżała i puściła dłoń Rycerza. Wstała z gracją, przez moment jeszcze dobierała w myślach słowa, zanim odezwała się ponownie:

– Kiedy stąd odejdziesz, już nigdy się nie zobaczymy.

Krzyżowiec również uniósł się z krzesła.

– Widziałam to już dawno temu, dlatego przygotowałam dla ciebie dary, które wspomogą cię w podróży. Dziękuję ci i za to, bo chociaż przez chwilę mogłam poczuć się jak dama obdarowująca swego czempiona. Prawie jak kobieta. – Angela otarła wilgotne oczy, po czym rozwinęła tkaninę, odsłaniając lśniąca kolczugę, uplecioną tak gęsto, iż zdawała się drgać pod najdelikatniejszym dotykiem. – Dla... dla mojego rycerza. Pancierz, który przyplłynął z Konstantynopola. Niech chroni go skutecznie. Oraz nóż rzymskiej kuźni, z gryfią głową z kości. Niech broni was dobrze. Mocny pas i wreszcie tunika, dzieło mych rąk, godna człowieka, który podejmuje największą z rycerskich wypraw, poszukiwanie Graala.

Krzyżowiec stał jak słup soli, starając przypomnieć sobie, co powinien uczynić w tej chwili. Zgiął kolano, klękając przed niewiastą, pchnięty nowym zupełnie uczuciem w martwym sercu: wdzięcznością.

– Lata czekałam na swojego czempiona i wreszcie go mam, przynajmniej na chwilę – powiedziała przez łzy Angela. – Muszę już iść. Niech Bóg ma cię w opiece.

Chwilę później Rycerz znów był sam, wciąż klęcząc z pustką w czaszce. Nie mógł i nawet nie próbował zrozumieć tego, co przed chwilą miało miejsce. Po tylu latach w klasztornej celi ktoś na niego czekał. Dla kogoś był kimś więcej niż chodzącym trupem, który zabijał ludzi. Niewiele obchodziło go to, czy był skrytą fantazją kobiety skazanej na samotny los, marzącej w bezsenne noce o zwykłym życiu. Stał się niespodziewanie czempionem, który miał poszukiwać najwyższego z objawień.

Spełnienie tej woli, obok pielgrzymki do Jerozolimy, od teraz znaczyło dla niego wszystko. Chociaż nie nawiedzali go aniołowie, czuł, że te dwie misje łączą się w nierozzerwalnym uścisku. Był Krzyżowcem w służbie Boga oraz Rycerzem w służbie dam. Lepsza to była motywacja do wędrówki niż nienasycony głód walki, nieustannie trawiący jego trzewia.

Przynajmniej na razie.

*

Jeszcze tego samego popołudnia, już u progu wieczora, Rycerz opuścił miejski pałac Rawenny, prowadzony przez sierżanta miejskiej milicji w stronę starego portu. Pysnie prezentował się Krzyżowiec, siedząc na swym kasztanowym koniu okrytym kropierzem w barwach miasta, w złocie i czerwieni. Mieszczanie ofiarowali bohaterowi nowy hełm o płaskim szczycie oraz zasłonę na twarz, a także dwie tarcze, głębokie siodło oraz jucznego konika o usposobieniu tak spokojnym, że zdawał się niemal martwy. Nie pożałowali także kilku cennych podarków, które Krzyżowiec przyjął raczej z grzeczności, chociaż oczodoły żywiej zapłonęły na widok kosztowności.

W takim to pięknym i lśniąącym rynsztunku, z krzyżem oraz Graalem na opończy, Rycerz jechał przez wypalone dzielnice miasta. Poczerniali od sadzy ludzie schodzili mu z drogi, przyciskając do piersi resztki swego dobytku. W ruinach domów pracowali kopacze o zwęglonych kończynach, wciąż wierząc, że pod warstwą gruzu mogą być żywi. Co chwila rozbrzmiewał okrzyk żałości, kiedy wydobywano na światło dnia ciała kolejnych ofiar. Z rzadka ktoś radował się z powodu odnalezienia bliskich.

Tutaj szalał jedynie ogień, żywiol bezmyślny, jednak sierżant prowadził Rycerza ku dzielnicy portowej, gdzie spadło najcięższe uderzenie piekielnej pięści. Ulica prowadząca ku nabrzeżu była mokra

od słonej wody, którą obmyto ją z krwi oraz popiołu. Pod zniszczonymi budynkami zalegało jeszcze czerwone błoto zmieszane z odłamkami cegieł oraz tynku. Gruz zepchnięto do bocznych uliczek, które teraz bezużyteczne były dla ocalałych. Ludność Rawenny dołożyła starań, aby uprzątnąć główne arterie miasta, co dawało Rycerzowi pojęcie o masakrze, jaka miała tu miejsce. Nie widać było na ulicy pogorzalców, tylko mnichów, kopaczy poznaczonych guzami zarazy, wielu grabarzy oraz kilku zbrojnych. W porównaniu do dzielnic spustoszonych przez pożar tutaj panowały cisza i spokój. Ludzie pracowali w milczącym skupieniu, jak na cmentarzu.

Od świtu dokładano starań, aby przywrócić miastu połączenie z obwarowanym portem. Bez niego Rawenna skazana była na powolne konanie, oddalona od życiodajnego Adriatyku ledwo o jedną, bagnistą milę. Nie było czasu do stracenia, gdyż na redzie stały galery zmierzające do Neapolu, Amalfi czy na Sycylię, a tamtejsi kupcy nie mieli miłosierdzia wobec kontrahentów, którzy nie dotrzymują terminów transakcji.

W upiornej maskaradzie życia ku nabrzeżu toczyły się wozy i wózki pełne różnorakiego towaru: świec, garnków, kowalskiego rękodzieła, serów. Wszystko to w kompanii handlarzy oraz tragarzy, którzy z pobladytymi twarzami patrzyli wprost przed siebie. Na boki nie rozglądał się nikt, kto nie chciał na zawsze zapamiętać, czym jest okrucieństwo szatana.

W bocznych uliczkach oprócz gruzu zalegały sterty nagich ciał, wrzuconych tam niedbale, jedno na drugie. Z tego martwego kopca powoli sączyły się ludzkie soki, wydzielając obrzydliwy fetor. W niektórych domach przez puste oczodoły okien dało się dostrzec powieszzone na hakach ciała, okrutnie zmaltretowane i poddane niewyobrażalnym gwałtom. Diabły na ruinach bazyliki nie miały zbyt wiele czasu na znęcanie się nad ofiarami. Tutaj, po zduszeniu oporu, nic nie powstrzymywało ich żądy. Kobiety, mężczyźni, starcy i młodzi – dla demonów nie było różnicy. Nieskrępowane wyuzdanie pozwalało im dopuszczać się czynów, które tylko najbardziej zdeprawowany człowiek doceni.

W wąskiej alejce zwisało ciało obdarte ze skóry, do góry nogami, przebite dziesiątkami bełtów. Jeżeli piekielnicy folgowali swym żądom, najpierw zabiwszy ofiarę, można było mówić o dobrym losie. Umierać, mając przed oczyma ich straszliwe oblicza, czując na sobie ich dech, obserwując te okropieństwa – to przerażający los. Rycerz dobrze pamiętał, jak wyglądała twarz diabła, którego łeb rozplątał na dwoje w baptysterium, jednak nie była to najzłośliwsza twarz nieprzyjaciela. Obliczem piekła nazywano twarze ich ofiar, zastygłe w przerażeniu oraz bólu, którym te potwory rozcinały policzki, przedrzeźniając ludzką wesołość.

Żadna wojna, wypowiedziana w gniewie przez monarchów, nie była tak okrutna. Piekielnicy nie pragnęli władzy, bogactwa, cudzej korony, satysfakcji honoru, a nawet nie patrzyli na wyznanie swych ofiar. Ich motywacją były upodlenie, dominacja oraz jak najokrutniejsze zdziesiątkowanie ludzkiego gatunku. Wojna absolutna.

Spoglądając na to, co pozostawiły czarty, Rycerzowi przypominały się wersety „Boskiej komedii” Dantego i piekielne męki opisane z taką dokładnością, iż ludzie byli przekonani, że Florentczyk naprawdę przebył czeluści podziemia. Przypadek sprawił, iż Alighieri swoje dzieło oraz życie zakończył w Rawennie, tak ciężko doświadczony przez los? Obserwując ściany zbudowane z ludzkich głów, domy, w których na podłogach spoczywały skóry zdarte z ludzi, a także ciała obojga płci o kręgosłupach złamanych od gwałtów, Dante nie musiał szukać daleko natchnienia. Widział te okropieństwa na własne oczy. Brodził w nich po kolana.

Krzyżowiec odwrócił oczodoły od tej grozy, kierując wzrok przed siebie. Warowna przystań pięknie lśniła w słońcu, przypominając, iż diabły raz na rok mogą próbować swych mocy, ale zawsze uchodzą pokonane. Na ludzi spadły czarna śmierć, czarcie najazdy, głód, w nocy polują na nich istoty bez imienia, morza i lądy zamieszkują duchy dawnych dni, ale człowiek zgina kark jedynie przed Stwórcą. Krzyżowiec miał niejasne przecucie, iż kiedy człowiek zapomni o tej pokorze, nic nie będzie go wstrzymywać przed wojną, która w okrucieństwie dorówna czartom.

W ciemnej gardzieli bramy portowej Rycerz pozostawił za sobą te ponure myśli. W nozdrzach czuł morską sól, przed nim kiwały się smukłe galery i pękate usserie^[2] gotowe do wypłynięcia przez wąską gardziel bagien. Czas biegł, pozostawiając po sobie prosty ślad, jak koła rydwanu na otwartym stepie. Nie dało się zawrócić jego biegu, żadną siłą. Wybrzeże Rawenny zdawało się istnieć jakby na potwierdzenie tych słów.

Potężny był to niegdyś port, o murowanym nabrzeżu, dającym schronienie dziesiątkom galer dawnego Rzymu. Classe, tak go zwali w antycznych czasach. Wzniesiony z rozkazu Augusta na lagunie, oddzielony od lądu wodą oraz bagnem, otoczony solidnym murem i dwoma basztami, mógł dać odpór atakującym hordom. Dawne to dzieje, lecz w poprzednim życiu Rycerz lubował się w historii i poznawaniu najdawniejszych korzeni wszelkich rzeczy.

Bagno, chroniące niegdyś rzymski port, teraz pochłaniało przystań, każdego roku coraz głębiej wciągając ją w czeluść. Rzymskie budowle powoli nikięły pod cuchnącą powierzchnią porośniętą rzęsą oraz trzcina. A jednak ludzie wciąż mieszkali w przechylonych budynkach, dobudowując kolejne piętra w daremnym wyścigu ku niebu.

Bruk w Classe był stary i wyślizgany. Podobnie jak całe miasteczko, sprawiał wrażenie niezmiernie zmęczonego, jak siwowłósy starzec, któremu kazano po latach stawić się do walki. Ludzie, blade mary podobne do marmurowych posągów, mieli w sobie wyniosłość dawnych dni, wzmocnioną przez fakt, iż na ulicach Classe nie ważył się zjawić choćby jeden czart.

Mimo późnej pory ulice wypełnione były tragarzami oraz marynarzami krzątającymi się między magazynami a dokami, przygotowującymi statki do wypłynięcia. W świetle latarni przewijały się setki postaci pracujących z wytrwałością mrówek, aby zdążyć przed wieczornym odpływem. Nawet konno, z przewodnikiem, trudno było przedzierać się przez tę ciżbę spoconych ciał ludzi, zwierząt, wozów oraz towarów. Krzyki w wielu językach mieszały się w gniewną paplaninę, która wcale nie pomagała tragarzom w pracy. Ponad ich głowami, ze skrzypieniem drewna i napiętymi linami, przesuwały się żurawie, długimi ramionami sięgając ku przycumowanym statkom.

Sierżant utorował sobie drogę do grupy marynarzy, a ci starali się okiełznać spłoszonego rumaka. Zwierzę lękało się wejścia do otwartego dwumasztowca, delikatnie kiwającego się na falach. Marynarze, spalone śródziemnomorskim słońcem osiłki, klnąc i załamując ręce, bezskutecznie próbowali zapędzić zwierzę do ładowni. Dopiero obecność kapitana, człowieka o twarzy pociętej wiatrem, solą oraz bliznami po ospie, przywróciła spokój przy rampie. Ten człowiek, odziany w karminową szatę oraz zawój na głowie, szybko zmotywował do pracy marynarzy, bez słowa unosząc wskazujący palec ku ciemniejącemu niebu. Jego podkomendni natychmiast zamilkli i zabrali się do roboty, wymieniając ukradkiem kilka groteskowych min oraz uśmiechów.

Sierżant zawołał kapitana, ale jego głos utonął w portowym gwarze. Dopiero po chwili zwrócił na siebie uwagę żeglarza, machając pergaminem opatrzonym pieczęcią miejskich rajców. Kapitan zszedł z pokładu na murowane nabrzeże, przywołał jednego z marynarzy z latarnią i przeczytał w milczeniu list. W trakcie lektury kilka razy spoglądał na Rycerza oraz jego dwa wierzchowce. Krzyżowiec domyślał się, jaki rozkaz otrzymał od rajców. Zabrać ze sobą pasażera oraz konie, zupełnie za darmo, do Wenecji. Kwaśne wieści dla każdego, kto wycenia w srebrze własny czas. Jednak dwumasztowiec stał pod barwami Rawenny, a kapitan nie mógł odmówić, rzucił tylko kilka komend, sam zaś wziął sierżanta na stronę.

Rycerz poklepał kasztanka po szyi, po czym zszedł z końskiego grzbietu. Niechętnie oddał wodze rumaka w stwardniałe od soli ręce marynarzy.

– Pan się nie martwi – powiedział jeden z nich, smagły młodzik o szerokiej twarzy, podobnej nieco do żaby. – My z koniowatymi do czynienia od lat mamy. Znamy się z nimi dobrze, prawda, jednouchy?

Niczym perski magik podsunął kasztankowi pod nos pomarszczone jabłko, zeszłoroczne, ale słodkie. Koń obwąchał podarunek, kiwnął Rycerzowi łbem i pożarł owoc. Dopiero to uświadomiło

Krzyżowcowi, że od nocy spędzonej w ruinach bazyliki nie pozwolił najeść się do syta wierzchowcowi. Mógł on skubnąć nieco trawy w przysiółku, ale w Rawennie, w stajniach miejskich pan wcale nie zatroszczył się o jego kwaterunek. Zbyt zajęty był poszukiwaniem krwawego boju o nieśmiertelną chwałę. Ciągłe zapominał, że on jest martwy, ale rumak wciąż potrzebuje paszy oraz troski.

Bez dalszych obiekcji pozwolił rozsiódłać kasztanka oraz jucznego konika i wprowadzić je pod pokład usserii. Czas był ku temu najwyższy, bo kapitan skończył już strofować sierżanta z powodu nadwerężonych zysków, zaufania, straconych pływów oraz sprzyjających wiatrów zaprzepaszczonych załadunkiem dodatkowych koni. Marynarze szybko zabezpieczyli wszystkie boksy, dołożyli siana do żłobów i chwycili za liny zamykające otwarty dotąd bok statku.

– No, panie rycerzu, zapraszam na pokład – rzucił kapitan, mijając Krzyżowca jak padlinożerny ptak. – Lepiej będzie, jak złapiemy trochę wiatru w te szmaty.

Rycerz wspiął się po trapie na pokład statku, czując dziwne mrowienie w martwym ciele. To wspomnienia pierwszej wyprawy do Ziemi Świętej ponownie odzywały się w jego czaszce. Wtedy też płynął przez Adriatyk, chociaż na pokładzie normańskiej galery, która roztrzaskała się u wybrzeży Peloponezu w czasie sztormu. Teraz kurs prowadził w przeciwnym od upragnionego kierunku, lecz Rycerz wreszcie czuł, że rozpoczyna swoją podróż na nowo.

Co prawda masywny dwumasztowiec nie mógł równać się z weneckimi okrętami albo z bizantyjskimi dromonami, jednak Krzyżowiec z ulgą dotykał rzeźbionych burt. Usseria służyła głównie do transportu koni oraz towarów, miała otwieraną burtę oraz wrodzoną ślamazarność wszelkich jednostek handlowych. Brak tu było miotaczy kamieni, balist, drużyny kuszników czy – daj Boże znów zobaczyć takie cudo – miotacza greckiego ognia. Serce statku było łagodne, temperament szczery, bo i w brzuchu musiał zdzierżyć stado zaniepokojonych rumaków, a na pokładzie ponurego kapitana. Jednak teraz usseria przeciągała się i skrzypiała, gotowa do drogi. Puszczone żagle złapały wiatr, a dziób powoli, nieśmiało, zaczął rozgarniać ciemną wodę.

Rycerz stanął na przedzie wraz z kapitanem oraz kilkoma marynarzami, którzy wypatrywali szeregu ogni prowadzących statki i okręty przez resztki dawnego akwenu. W wieczornym półmroku rysowały się ciemne sylwety porzuconych budynków, zapadniętych w bagnie po dach, dawnych murów, baszt. Cmentarzysko wygniłych kadłubów, zachowanych w torfie jako ponura obietnica dla żyjących w Classe ludzi. Bagna zdawały się mówić, iż ich czeka nie lepszy los, kiedy trujący szlam zaleje resztki portu. Na nic zdawały się kopane w pocie czoła kanały mające świeżą wodą zmyć te trupie trzęsawiska. One z lubością pochłaniały wszystko, co tylko wytworzył człowiek. Chociaż dotyk mokradeł, ich miazmaty powodowały powolną agonię płuc zarastających zarodnikami grzybów, po bagnie wędrowali ludzie. Trudno było ich nazwać synami Adama po kilku latach spędzonych jako latarnicy. Ich służbą było przemierzanie trzęsawisk, oświetlanie lampami granic tego śmiertcionośnego dominium. Kroczyli na szczudłach, zakuci w skórzane kombinezony, podobne do tych, jakie noszą ludzie konserwujący mosty. Latarnicy dzierżyli słynne lampy, których ognie podsycali latami własnego życia. Tymi płomieniami znaczyli miejsca niebezpieczne, mielizny, łąchy piasków oraz nieliczne bezpieczne ścieżki przez bagna. Z biegiem lat zrastali się z odzieniem, ze szczudłami oraz lampą, a kiedy czuli zbliżający się koniec, stawali w miejscach najgroźniejszych i tam konali. Trwały te upiorne latarnie, wciąż płonąc martwym ogniem na straży żywych. Ich płomyki znikwały dopiero wtedy, gdy bagna zupełnie wciągnęły szczątki pod powierzchnię. Ale rychło zjawiali się nowi latarnicy, tocząc daremny bój z rosnącymi połąciami trzęsawisk.

Dwumasztowiec sunął powoli, prowadzony przez pomarańczowe i błękitne ognie latarników, dzięki nim unikając wszelakich niebezpieczeństw. Chociaż zapadały kompletne ciemności, sternik pewnie kierował statkiem ku otwartemu morzu. Raz tylko z mroku wyłonił się dzierżący światło latarnik, stojący na malutkiej kępie traw pośrodku topieli, oznaczając niebezpieczną płyciznę. Zakrywająca twarz maska spoglądała na statek zza wybitych szklanych wizjerów rozświetlonych błękitnym blaskiem. W otwartej

klatce piersiowej spoczywała lampa, zbyt ciężka dla spróchniałych ramion. Latarnik martwym wzrokiem spoglądał na statek przesuający się z cichym szmerem u jego stóp. Czaszka wewnątrz hełmu obróciła się nieco, chcąc nieco lepiej przyjrzeć się zgromadzonym na pokładzie ludziom. Przeżarta pleśnią dłoń uniosła się w pozdrowieniu, jakby latarnik dostrzegał dawnego przyjaciela.

Minąwszy niebezpieczeństwo, usseria wymknęła się z paszczy bagien, pozostawiając za rufą umierający port.

^[1] Kurtka bez rękawów zakładana na zbroję; inaczej kasak [przyp. red.].

^[2] Statek żaglowy przeznaczony do transportu ludzi i koni, inaczej wrotowiec [przyp. red.].

ROZDZIAŁ IV

Dwudniowa podróż minęła Rycerzowi bez wielkich wydarzeń, które mogłyby dorównać brutalnemu rozmachowi Dni Krzyżowych. Miła to odmiana: zamiast ludnych ulic miasta zamienionych w rzeźnicze jatki Krzyżowiec mógł obserwować zielone wybrzeża, które z oddali zdawały się tak spokojne, jakby nie znały wojen.

Załoga, kolorowa zbieranina Italczyków, Sycylijczyków, dwóch muzułmanów z Lucery oraz jednego Czecha, z początku interesowała się przybyszem, w nadziei na niezwykle opowieści. Gdy dowiedzieli się, że Rycerz jest niemową, chętnie grali z nim w kości. Obstawiano skromne sumy złożone z drzazg, rybich ości oraz ludzkich palców, odciętych od ciał dryfujących przy brzegu. Będąc cierpliwym słuchaczem, Krzyżowiec poznał nieco lepiej fach, jakim trudnili się jego towarzysze podróży.

Papa, jak marynarze nazywali swego kapitana, zwiedził niemały kawałek świata. Raz nawet dotarł daleko poza Kair oraz morze, przez które z Egiptu uchodził Mojżesz. Żeglował od blisko trzydziestu lat i widział chyba wszystko, co dało się zobaczyć pośród spienionych fal. Był to zapewne powód jego zgorzknienia oraz oszczędności w słowach. Nikt z obecnej załogi nie służył pod surowym spojrzeniem Papy dłużej niż rok. Wszystko z powodu jakiegoś wypadku, po którym kapitan sam jeden doprowadził statek do portu na Malcie. Rycerz nie dowiedział się niczego więcej, bo i załoga milczała w tej materii, zapewne sama nie wiedząc wiele.

Drugiego dnia rejsu nastąpiło wydarzenie obfitujące w wiele śmiechu oraz radości dla załogi, gdyż z nieba, bez zapowiedzi, runęły martwe mewy. Marynarze, których imion Rycerz nie zapamiętał, zbierali martwe ptaki, a nawet skakali do wody, przywiązani do burt długimi linami. Kapitan spoglądał na całe zajście z boku, nie biorąc udziału w wesołym zbiegowisku. Krzyżowiec zaczynał rozumieć, dlaczego Papa tak surowo spoglądał na podkomendnych. Na ich ciałach dało się dostrzec pierwsze objawy zarazy.

Czy wiedzieli i w radości spędzali ostatnie dni? Chcieli oddać zarobki swym rodzinom? Może po prostu jeszcze nie zauważyli? Nieważne. Za kilka dni połowa z nich będzie martwa.

Statek nie zmierzał wprost do Wenecji, a do Mestre, miasta położonego na lądzie, i należącego do Republiki. Kapitan miał tam dostarczyć konie, które łatwo przyjdzie sprzedać lokalnym kupcom, gdyż pod murami miasteczka miał rozegrać się rycerski turniej. Krzyżowcowi przypadła do gustu ta wiadomość, gdyż wielu wojowników mogło ściągnąć do Mestre, aby wziąć udział w zmaganiach, a następnie wyruszyć do Ziemi Świętej. Bez wątplenia natrafi tam na kilka pokrewnych dusz, gotowych wyruszyć na Wschód.

Pewien już swej przyszłości, oparty o burtę, Rycerz oczekiwał z odrobiną niecierpliwości brzegów miasta.

Statek przybył do Mestre dzień po Wniebowstąpieniu, tuż przed zmrokiem, dzięki czemu udało się wprowadzić dwumasztowiec na kotwicowisko przed zamknięciem portu potężnym łańcuchem. Bez specjalnej grzeczności Papa kazał wyładować konie Rycerza jako pierwsze, zapewne po to, aby pozbyć się kłopotliwego pasażera jak najszybciej. Pożegnawszy się z załogą usserii, Krzyżowiec ruszył ku miasteczku, chcąc wejść w obręb murów jeszcze przed zawarciem bram.

Jakże odmienny nastrój panował w Mestre w porównaniu do nastroju tonącego w rozkładzie, marmurowego grobowca Classe! Tutaj ludzie mieli cerę ziemistą, jakby ołowianą, włosy ciemne, rzadko bez pasm siwizny. Kupcy nosili się dumnie jak pawie, wszystko omiatając taksującym wzrokiem. Mieli rzymskie rysy, nosy długie, oczy osadzone w głębi czaszki, błyskające drapieżnym intelektem. Niewielu ich było w tłumie tragarzy, żeglarzy, skrybów oraz drobnych handlarzy, ale kupcy Wenecji, Republiki Świętego Marka, nie byli ludźmi pośledniego sortu. Inni obchodzili ich z szacunkiem, unikając wchodzenia pod nogi tym odzianym w szaty i togi bogaczom, którzy mogli bez trudu wykupić niewielkie miasto.

Rycerz nie lubił ani Wenecji, ani jej mieszkańców, chociaż sam nie rozumiał dlaczego. Zapewne odpowiedź kryła się w poprzednim życiu Krzyżowca, ale teraz nie pora na takie rozmyślania. Był wieczór, on jechał konno ku nieznanemu miastu. Lepiej było zachować czujność, zwłaszcza że ulice oraz kanały Wenecji spływały krwią nie rzadziej niż w innych republikach.

Bez wielkiego entuzjazmu Krzyżowiec przekroczył portową bramę i ku swemu zdumieniu dostrzegł tutaj znajome herby. Nie potrafiłby ich nazwać z imienia oraz zawołania, ale czuł, iż nie raz, nie dwa już widział te barwy. Wiele kamienic przystrojonych było w szerokie sztandary, nad ich drzwiami zaś zawieszono drewniane tarcze z wymalowanymi herbami. Rzędy rycerskich chorągwi spływały ze ścian zajazdów, oznaczając miejsce postoju poszczególnych panów, nawet całych drużyn, które zjechały na to wydarzenie z daleka. Pomiędzy mieszczanami wiele było twarzy z dalekich stron, giermków, paziów, służby podążającej za możnymi, którzy przybywali na turnieje w otoczeniu licznych orszaków.

Rycerz musiał przejechać całe miasto, wzbudzając zainteresowanie wielu, zanim znalazł zajazd gotowy przyjąć pod swój dach jeszcze jednego gościa oraz jego wierzchowce. Krzyżowiec zapłacił za wikt i opierunek w starej wieży mieszkalnej, której właścicielka zgodziła się zakwaterować kolejnego wojownika. Stateczna wdowa, około czterdziestu lat, odziana niczym Mojra, zaprowadziła go do wieży rycerskiej stojącej nieopodal jej kamienicy. Przechodząc przez małe podwórze, obok studni, kobieta przykazała jeszcze czerpiącym wodę stajennym, aby zajęli się zwierzętami Krzyżowca.

Rycerz przekroczył próg jadalnej komnaty, niosąc wszystkie swoje ruchomości na ramieniu. Sala była mniejsza, niż można by się spodziewać. Grube mury oraz długi stół, stojący na środku, sprawiały, że wnętrze zdawało się ciasne i małe. Na ścianach wisiały liczne czaszki jeleni, niedźwiedzi oraz zajęcy, tworząc kościany wieniec wokół kamiennego kominka, teraz wygaszonego. Wychodzoną podłogę zakrywały futra, zapewne trofea pana domu, który sądząc z czerni noszonej przez gospodynię, nie rezydował już pośród żywych.

Kobieta miała twarz jakby z kamienia, o twardych, ostrych rysach i wąskich wargach, skłonnych raczej do grymasu niż uśmiechu. Obrzuciła Rycerza spojrzeniem szarych oczu, z których można było wyczytać, że matrona raczej nie pałała wielką miłością do herbowych.

– No, pokażcie swoją twarz – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Widząc zaś martwe oblicze Krzyżowca, dodała kompletnie neutralnym tonem: – Ach, truposz.

Te dwa słowa, nawet gdyby wypowiedziano je z całym jadem oraz zaciekłością piekieł, nie mogłyby mieć bardziej złośliwego brzmienia. Wystudiowana wyższość, lekko uniesiona głowa, zmrużone oczy i zupełnie bezbarwny tembr głosu, który nie znosił zapewne żadnego człowieka na ziemi. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby jak najszybciej chciała wrócić do zacisza swojej kamienicy.

– Wasz pokój jest na drugim piętrze. Po wodę schodźcie na podwórze, nie do piwnicy. Śniadanie przyniesie wam ktoś po świcie, tutaj macie klucze. Nie hałasujcie, nie nanieście błota, kobiet i tak nie sprosticie z tą buźką. Jak wychodzicie, to dobrze zawrzyjcie drzwi. Pytania? Nie? Dobrej nocy.

Wdowa wyszła z wieży, zatraskując drzwi, a następnie obracając klucz w zamku. Nawet gdyby chciał, Krzyżowiec nie zdołałby zaprotestować, toteż stał nieruchomo, z kluczami w poparzonej dłoni. Zresztą o wiele lepiej było nie wchodzić w drogę tej kobiecie, której charakter zapewne przewyższał odwagą niejednego męża. Można by kłócić się, proces wytoczyć, żądać satysfakcji, ale jakież efekt by

przyniósł taki protest? Ileż pogardliwych uwag z ust wdowy by popłynęło na kogoś, kto o kilka słów zaczyna grozić bezbronnej kobiecie. Oczywiście wdowa nie była pozbawiona przyjaciół. Zapewne należała do gildii, jej dzieci zostały wydane za potomków bogatych domów, ona zaś, jak pajęczycza, kontrolowała sieci z wyborną wprawą. Krzyżowiec żywił przekonanie, całkiem realne, że spór między błędnym rycerzem a lokalną matroną skończyłby się tragicznie dla tego pierwszego.

Spojrzał raz jeszcze na drzwi wieży, zastanawiając się, czy mąż jego dobrodziejki gospodyni umarł naturalną śmiercią, po czym ruszył wilgotną klatką schodową, oplatającą kolejne kondygnacje. W świetle kilku dogasających lamp Krzyżowiec wspiał się na drugie piętro, na ramionach niosąc sakwy, którymi obdarowali go mieszczanie z Rawenny. Mimo niedogodności samotnej wędrowni Rycerz nie chciałby podróżować z giermkim, zwłaszcza żywym. Zbyt odmienni wydawali się oni w jego oczodołach, gadatliwi i nieustannie zabiegający o uwagę.

Wsunął klucz do zamka i podważył zapadkę. Wielokątna komnata była pogrążona w półmroku, z jakimś marnym ogarkiem rzucającym ledwo snop blasku. Drewniane okiennice zawarto, z kamiennego wylotu powietrza w ścianie ciągnęło chłodem, a meble widziały lepsze czasy. Nie było to z pewnością wnętrze biedne, bo wyłożone futrami, z gobelinami okrywającymi ściany, ale zdawało się zaniedbane. Rycerz położył juki na ciemnym blacie stołu, obok nich hełm. Po raz wtóry uważnie obejrzał wielokątne pomieszczenie, jakby spodziewał się dostrzec jakiś nowy szczegół. Szerokie łóżce, z gałkami w rogach, wąskie okna, stara szafa oraz kufry, przyśrubowane do podłogi. Wszystko wyglądało normalnie, a nawet w jakiś sposób przytulnie. Jeżeli cała wieża przedstawiała się w ten sposób, nieco troski mogło przywrócić jej dawny splendor. Dlaczego więc budowla sprawiała wrażenie pozostawionej własnemu losowi?

Nie umiając skupić myśli, Krzyżowiec podszedł do wylotu powietrza, który winien wpuszczać do komnaty ciepło, gdyby na parterze, w głównej sali, rozpalono ogień. Teraz z kamiennego otworu wypływał jedynie odgłos głośnego chrapania, dochodzący z pierwszego piętra.

Rycerz zdjął z grzbietu tunikę oraz kolczugę, nie chcąc brudzić tak wspaniałych darów swoim klasztorным nawykiem spania na kamieniach. Odłożył pancerną skórę na łóżce, przeniósł tu również hełm oraz obydwie tarcze. Złożył je tak, jak składano niegdyś grobowe dary dla pogańskich wojowników.

W komnacie panował już niemal kompletny mrok, a mimo to Krzyżowiec albo wiercił się na krześle, albo krążył po pokoju, dudniąc obcasami o podłogę. Otworzył okna we wschodniej ścianie, chcąc, aby pierwsze promienie świtu obudziły go ze snu, jednak nie zwinął się jeszcze w kłębek na podłodze. Coś nie pozwalało mu zasnąć, jakaś drzazga niepewności. W chłodnym powietrzu unosiły się woń kurzu, delikatny zapach świeżego błota oraz strachu. Cisza była niemalże idealna, poruszana jedynie odległym echem odgłosów nocnego życia miasteczka. Nie było tutaj upiornego śpiewu florenckich ulic ani martwej duchoty bagien, wręcz przeciwnie. Mestre spała spokojnie, strzeżona przez równy stukot butów miejskiej milicji.

Czy wdowa mściła się na rycerskiej wieży?

Pytanie pojawiło się nagle, jak uderzenie pioruna z jasnego nieba, rozpalając myśli Rycerza gwałtownym płomieniem domysłów.

W tym wnętrzu musiało być zamknięte wszystko, czym gardziła ta kobieta. Ludzie niewychowani, nieokrziesani w oczach wyniosłej, zapatrzonej w siebie mieszczki. Trofea myśliwskie, grube mury, strzelnice, ciasne i zimne komnaty. Każda z tych rzeczy obca niewieściemu sercu, nawykłemu do mieszczańskiego przepychu oraz wygody. Dla takiej damy poniżej wszelkiej godności były polowania, turnieje, wojenne rzemiosło, trudy wyprawy za króla i honor.

– To wszystko takie brutalne i niepotrzebne, wy i te wasze cuchnące konie. – Rycerz niemalże słyszał jej głos. – Nie możecie zająć się czymś pożytecznym?

Jej mąż musiał uwielbiać rycerskie przygody, czego ona nigdy nie mogła mu wybaczyć. Zapewne czekała tylko dnia, kiedy odejdzie z tego świata, aby być wolna od tego uwłaczającego widoku. Teraz po

mężu pozostała tylko ta wieża, pełna zniechęconych rzeczy oraz ludzi. Pozostawiła ją więc na pastwę czasu, powoli gnijącą, aż na starość, z radością na zasuszonej twarzy, będzie mogła spojrzeć na ruiny.

Krzyżowiec potrząsnął głową, przeganiając ten jałowy bieg myśli. Prowadził donikąd, dając jedynie namiastkę ukojenia własnej dumy, draśniętej słowami wdowy. Ta kobieta przecież straciła męża. Jej tragedia nie powinna mu służyć za wymówkę, a tym bardziej za sposób na zabicie czasu. Nie powinien przecież tak surowo jej osądzać tylko dlatego, że nie podejmowała go za nogi niczym Zbawiciela. Przez takie myśli odebrał kiedyś życie człowiekowi oraz jego towarzyszom. Nie powinien dawać im posłuchu po raz wtóry.

Spojrzał na dogasający ogarek, zawieszony w żelaznym imaczu. Niepokój jednak nie malał, a wręcz narastał z każdą chwilą. Jakiś szczegół wciąż nie pozwalał zasnąć. Myśli Krzyżowca ponownie powróciły do wdowy. To ziarno niepokoju leżało tuż, tuż, było niemalże namacalne, już miał uchwycić jego brzmienie, ale wciąż się wymykało.

Wreszcie ostatnia drobina żaru umarła, pogrążając komnatę w kompletnych ciemnościach. Tylko cichy szmer powietrza przypominał o uchylonych okiennicach, przez które napływały do wnętrza chłodne poddmuchy wiatru.

Nie chcąc siedzieć beczynnym, Rycerz rozpałił Czaszkę Pielgrzyma, a ta w ułamku chwili przeszła mrok fosforowym blaskiem. Krzyżowiec przypasał nóż, zabrał ze stołu klucze i opuścił komnatę. Skoro nie mógł usnąć, to zrobi chociaż jedną pożyteczną rzecz i przyniesie wody ze studni. Ma zamiar wziąć udział w turnieju, więc musi wymyć tarcze na błysk, a te przez podróż statkiem przybrudziły się nieco. Rycerz podejrzewał, że przy mocniejszej fali otarły się o nie jakieś nieczystości. Pancierz lśnił jak nowy, hełm także, ale z brudną opoką wstyd pokazać się publicznie. Jeżeli będzie odrapana od uderzeń i ciosów, to nic, dobrze świadczy to o waleczności właściciela. Umazana przyniesie tylko hańbę oraz śmiech.

Krzyżowiec zszedł do głównej sali i wtedy coś go tknęło. To ziarno niepokoju uczepliło się go właśnie tutaj, kiedy słuchał pouczeń wdowy. Tutaj tkwiła ta drzazga. Czy to było coś w jej głosie? Kilka warunków, komplement o jego poparzonej czaszce, nie zabłocić podłogi. Słuszna to uwaga, bo i z futra ciężko wymywa się nieczystości.

Rycerz przeszedł salę w szerz, wsłuchując się w skrzywienie starych desek. Niektóre z nich były niemal całkiem wygniłe od spodu i ugiwały się pod ciężarem buta. Te miejsca przykryto futrami i zamaskowano ciemne plamy przed wzrokiem gości. Dlaczego ich nie wymieniono? Co jeszcze powiedziała wdowa?

Nakazywała zamykać drzwi od wieży na klucz i czerpać wodę ze studni na podwórzu, a nie z piwnicy. Krzyżowiec uczeplił się tej myśli, czując, że zbliża się o krok ku rozwiązaniu tej zagadki, która zapewne miała jakieś trywialne wyjaśnienie. Dla rozrywki chciał jednak dojść do sedna sprawy. Może wtedy zmęczenie weźmie górę nad niepokojem i wreszcie usnie snem sprawiedliwego.

Przyświecając sobie ostrym światłem Czaszki Pielgrzyma, Rycerz obejrzał ściany komnaty. Przecież wszystkie twierdze musiały mieć własne zapasy wody, cysterny, studnie czy dukty wodne. Nieważna była tu ich wielkość, nawet rycerskie wieże wznoszone w miastach miały własne studnie, starannie osadzone w głębokich fundamentach, niedostępne dla szturmujących.

Wcześniej Rycerz niezbyt uważnie obejrzał salę jadalną i umknął mu starannie zamurowany portal, wiodący zapewne do piwnicy. Z wielką wprawą kamieniarz zawarł te drzwi, dobierając budulec tak, aby nie różnił się od ścian komnaty. Nowe pytania pojawiały się pod czaszką Krzyżowca z prędkością stalowych bełtów.

Studnia przecież nie mogła być zatruta, jeżeli woda w ujęciu na podwórku, kilka kroków od wieży, była zdatna do picia. Stajenni przecież czerpali z niej wodę, zanim wdowa kazała im oporządzić nowe konie w stajni. Czy była zawalona? Ale taniej i szybciej byłoby odgruzować stary szyb niż kopać nowy. Żaden szanujący się kupiec nie trwonilby pieniędzy na taką fanaberię jak nowa studnia, zwłaszcza że

praca to żmudna i czasochłonna, a wdowa nie wyglądała na trzpiotkę o tak sangwicznym usposobieniu. Z pewnością nie brakowało jej odwagi, lecz taka niefrasobliwość u bogatej mieszczi?

Rycerz wzruszył ramionami, godząc się z porażką. Aby rzucić więcej światła na tę sprawę, musiałby zwrócić się o wyjaśnienia do właścicielki, a nie był pewien, czy sam święty Jerzy miałby na to dosyć odwagi. Wdowa zdawała się znacznie groźniejszym adwersarzem niż smok, toteż w tym przypadku bardziej pomocna byłaby święta Marta, która samojedna ujarzmiła ogromnego stwora imieniem Tarasque. Rycerz postanowił ostawić tajemnice w spokoju i udać się wreszcie po wodę do studni.

Drzwi wieży zgrzytnęły ciężko, wypuszczając Krzyżowca w objęcia nocy. Rycerz zawarł za sobą wejście, zamierzając z nagłym domysłem, tkwiącym dosłownie w jego palcach.

Na cóż zamykać drzwi do wieży na klucz, jeżeli komnaty na kolejnych piętrach posiadały własne zamki oraz równie solidne drzwi? Czy była to zwykła ostrożność w obawie przed złodziejami? Jednak cóż za łup mogli zdobyć w otwartej wieży? Kilka czaszek oraz futer. Jeżeli trofea myśliwskie miałyby dla wdowy taką wartość, nie pozostawiłaby ich w takim stanie w niszczej wieży.

Nie, znów zły trop. To normalne, że w mieście każde drzwi mają zamki. Mimo to Rycerz czuł, że znowu otarł się o wyjaśnienie tej małej tajemnicy, ale ponownie musiał od niej odstąpić ze wzruszeniem ramion. Zaśmiał się nawet, spróbował raczej. Jutro miał stawić się na polu turniejowej chwały, a zamiast spać, po nocy badał zamurowane drzwi, jakby za nimi miał odnaleźć relikwie samego Zbawiciela.

Stanął wreszcie nad studnią w zupełnie już dobrym nastroju. Odłożył Czaszkę Pielgrzyma na cembrowinę i przywiązał do powroza drewniany kubełek. Nie chcąc hałasować ponad miarę, opuścił powoli wiadro kilkoma obrotami kołowrotu w szyb studni. Lina nieco zwiotczała, kiedy cebrzyk dotknął lustra wody.

Sznur napiął się nagle, po chwili raz jeszcze, jakby ktoś pociągnął zań z dołu. Rycerz napał na korbę, dobywając wiadro na powierzchnię. Kubeł był zupełnie pusty, nawet dno nie nabiegło wilgocią. Jedynie na ścianie uwalanej szlamem ktoś wyskrobał jedno słowo po łacinie.

Save.

Ratuj.

Krzyżowiec zamarł w bezruchu, przez moment wążąc swą odwagę. Z Czaszką Pielgrzyma w dłoni bardzo powoli przechylił się ponad cembrowiną, zaglądając w czeluść studni. Murowany szyb sięgał dobre dziesięć stóp w głąb ziemi, zanim docierał do nieruchomej tafli wody. Nieco ponad ciemnym zwierciadłem ział niewielki otwór, nie większy od głowy, z którego dochodził cichy chrobot, jakby paznokci drapiących o kamienie.

Zapominając naraz o wszelkiej ostrożności, Rycerz opuścił linę i z Czaszką w dłoni zsunął się w gardziel studni. Szyb był ciasny, tak wąski, iż gdyby upaść tutaj głową w dół, człowiek nie zdołałby się obrócić i niechybnie utonąłby w tym grobowcu. Pełen najgorszych przeczuć Krzyżowiec zaparł się kolanami o śliskie ściany, niepewnie zbliżając się do otworu. W ciemności, za powybijanymi kamieniami, poruszyła się ludzka twarz. Potwornie okaleczona, bez oczu i nosa, zarośnięta szlamem i strupami, ale bez wątplenia ludzka. Wychudzony korpus mężczyzny drgnął, czując na twarzy ostre promienie światła. Z otworu wyłoniło się wątłe ramię, kikut ze sterczącą kością, i próbowało dosięgnąć Krzyżowca.

– Ratuj, ratuj – szeptało gnijące truchło słabym głosem. – On śpi, nie widzi, nie słyszy. Zabij. Ratuj.

Rycerz zaczął odrywać naruszone kamienie z brzegów otworu, nie bacząc na nic. Szept zmasakrowanego truposza nie ustawał, raz po raz powtarzało się błaganie o pomoc. Poszerzywszy otwór, Krzyżowiec dostrzegł rozerwane na pół ciało, ciągnące za sobą wnętrzności przez ciasny tunel, niknący gdzieś w ciemności. Chcąc ulżyć biedakowi, Rycerz nabrał wody w dłoń i podsunął pod rozbite wargi konającego. Rozszarpany człowiek zlizął wilgoć z ręki, po czym zebrał dosyć sił, aby wyczołgać się na skraj dziury.

– Na powierzchni – wyrzeźbił – umrzeć.

Zanim Rycerz zdołał zrobić cokolwiek, aby spełnić ostatnią wolę truposza, tamten wyzionął ducha. Zwiesił się bezwładnie, kikutem dotykając tafli wody. Krzyżowiec w myślach polecił Bogu tę odważną duszę, po czym wydobył okaleczone zwłoki z tunelu i przywiązał je do studziennego sznura. Jakże lekkie były te szczątki, ledwo odłamki ciała, jeszcze ciepłe, drgające w ramionach Rycerza jak nieutulone dziecko.

Zanim jednak przyjdzie czas powrotu na powierzchnię, Krzyżowiec czuł, że musi spełnić jeszcze jedną powinność. Z nożem w prawej dłoni, a z Czaszką w lewej wcisnął się do otworu, z trudem mieszcząc się w tunelu. W głowie miał pustkę i nie mącił jej nawet ogłuszający wrzask prerażenia, który powinien mu towarzyszyć. Nie myślał już o strachu przed pogrzebaniem żywcem czy o szlamie oblepiającym jego ciało. Czołgał się naprzód, nie mogąc już cofnąć się nawet o cal. Puste ciało, bez pulsu i oddechu, torowało sobie drogę przez tkankę ziemi, wbijając łokcie w wilgotną glebę.

Podkop liczył nie więcej niż kilka kroków, ale pokonanie jego długości wymagało woli godnej Rolanda. Krzyżowiec ledwo posuwał się do przodu, jednak kiedy dostrzegł kamienne fundamenty, przebite rękoma rozerwanego na połowy truposza, poczuł nowe siły. Z niewypowiedzianą ulgą wyczołgał się z tunelu, pozostawiając za sobą upiorną przeprawę.

W jasnym świetle Czaszki dostrzegł wielokątne pomieszczenie o murowanych ścianach, wypełnione zetłalymi zapasami, z kamienną cembrowiną studni pośrodku. Wszystko to pokryte było jedwabistą siecią, tworzącą bielejący i opasły kokon. W jego wnętrzu drzemał ogromny stwór, podobny do larwy ćmy, lecz wielkością dorównujący kopijniczemu rumakowi. Pod splotem lepkiej wydzieliny pulsowały segmenty gąsienicy, promieniując bladym ognikiem umarłych. W jednym miejscu kokon był rozerwany, a cielsko larwy było uszkodzone. To stąd wyrwał się truposz, w wąpiach stwora pozostawiając pół swego ciała, teraz już przerośniętego organami tego obrzydlistwa. Obok zięjącej rany na chitynowym pancerzu czerwia spoczywały resztki innych ludzi. Niektórzy byli niemal w całości już pochłonięci przez poczwagę, pozostali do pasa. Wszyscy byli już martwi. Pozostały po nich jedynie puste worki mięsa, stanowiące paszę dla ohydnej larwy.

Krzyżowiec spojrzął ponad ramieniem na wybity w litym fundamencie tunel, którym jego brat w śmierci wy dostał się na wolność. Lata tłuczenia własnymi kośćmi o kamień, niewyobrażalny ból, poświęcenie i wysiłek, wszystko po to, aby wyzwolić dusze swych pobratymców z tej chitynowej skorupy.

Rycerz przystawił Czaszkę do jedwabnego kokonu, obserwując, jak białe płomienie obejmują cielsko poczwary, a ta pod wpływem gorąca zaczyna wić się w agonii. Krzyżowiec stanął pod ścianą piwnicy, cierpliwie czekając, aż larwa opadnie z sił i podda się łapczywemu pożarowi, wypalającemu w jej bokach głębokie bruzdy. Stwór umierał w milczeniu, chociaż gdyby mógł, zapewne wypełniłby podziemie ogłuszającym wrzaskiem. Bez drżenia mięśni Rycerz spoglądał na ten gorejący spektakl. Czerw jeszcze przez chwilę pełzał wkoło, zanim znieruchomiał na wieki jako szerniały szkielet. Krzyżowiec rozbił te szczątki na pył, nie chcąc, aby z truchła pozostało choćby ziarno.

Nie mając innej drogi powrotu na powierzchnię, Rycerz znów wczołgał się do ciasnego tunelu. Chociaż poszerzył go już swym ciałem, tym razem przepelnienie tych kilku kroków ciągnęło się w nieskończoność. W świetle Czaszki Pielgrzyma upragniony otwór zdawał się wciąż zbyt odległy. Utknąć tutaj i szernąć, będąc powoli miażdżonym przez ciężar ziemi napierający bez ustanku na plecy. Straszny to los, a jedyny pewny sposób na jego uniknięcie to pełnienie powoli ku wyzwoleniu.

Cal za calem Rycerz czołgał się przez gardziel tunelu, aż dotarł do ściany studni, z takim trudem wybitej przez połamane kości człowieka. Jego szczątki, połowa rozerwanego ciała, wciąż zwisały na studziennym sznurze, kiwając się ponad taflą wody. Krzyżowiec wyrzucił Czaszkę Pielgrzyma za krawędź cembrowiny, sam zaś wspiął się po linie i wy dostał z kamiennej sztolni na podwórce.

Wycieńczony padł na ziemię, czując pod policzkiem wydeptaną ziemię podwórca. Przez kilka

długich chwil leżał bez ruchu, zbierając resztki sił, które ulatywały z niego. Z nieba spadły pierwsze krople deszczu, parując z sykiem na Czaszce Pielgrzyma. Krzyżowiec wpatrywał się martwymi oczodołami w gorejącą kość. Walczył ze słabością, nie pozwalał sobie zasnąć; w myślach uporczywie trzymał się marnego płomyka swego istnienia.

Ramię Krzyżowca powoli pełzło ku Czaszce, aż wreszcie musnęło palcami jasną aureolę płomieni otaczającą relikwie. To przydało Rycerzowi sił. Dotyk ognia oraz deszczu pozwolił mu dźwignąć się z błota, najpierw na klęczki, później na równe nogi. Słabość minęła bez śladu.

Krzyżowiec zgasił Czaszkę Pielgrzyma i ruszył do wieży, chcąc spocząć chociaż na kilka godzin na kamiennej podłodze. Uchylił już drzwi, kiedy zatrzymał się nagle z błyskiem w oczodołach. Starannie wytarł buty z błota oraz gliny, pomny pouczeń wdowy. Wystarczy jej pół zgniłego ciała w studni oraz popielne pobojowisko pod podłogą wieży jako zapłata za słabe maniery. Nie ma powodu, aby jeszcze zanieść podłogi brudem. Z mściwą satysfakcją Rycerz oczyścił buty z pedantyczną starannością, dzięki czemu nie zostawił po sobie ani drobin błota.

*

Obudził się nagle, z ciemnej otchłani snu bez marzeń, równo ze świtem wędrującym po podłodze. Wstał z kamieni, przeciągając się z chrzęstem. Umył się, przysposobił do opuszczenia na zawsze murów wieży. Choćby miał stać kolejną noc w deszczu, pod murami miasta, lepsze to niż przebywanie w gościnie czarnej wdowy.

Opuścił Mestre, kierując konia ku morzu namiotów otaczających drewnianą trybunę, górującą ponad polem walki. Tutaj mu się lżej jechało; duma rosła na widok łopoczących na wietrze proporców możnych panów. Rycerze już gotowali się do turniejowych zmagania, piaskując kolczugi i polerując ostrza. Gdzieś już stał łupała drewno w znajomym rytmie walki. Tutaj winien spędzić noc Krzyżowiec, wśród braci w orężu.

Miły i piękny był to poranek. Rzeźki po nocnym deszczu oraz jasny, wypełniony światłem, jakże odmienny widok od gnijącej Rawenny. Chociaż teraz, kiedy Dni Krzyżowe odeszły w przeszłość, Angela cieszy się równie uroczym porankiem... Spoglądając ponad morzem ruin, Krzyżowiec szybko odegnał od siebie te myśli. Na cóż do nich wracać?

Za stalową maską hełmu, w siodle, z mieczem u boku czuł się w swoim żywiole. Przed nim zmagania o sławę oraz chwałę, krótki moment zapomnienia przed powrotem do potwornej rzeczywistości. Rycerz słyszał o ludziach, którzy uśmiechali się tylko na turniejach, całe życie pędzili zaś ukryci za obojętnym grymasem, nawet gdy odbierali życie. Trzeba nacieszyć się kolorami, zachwyconymi damami, pełnymi uznania spojrzzeniami kolegów oraz tłumem skandującym twe imię; wszystko to chociaż raz, zanim senior powoła cię do służby, gdzie twoje życie skończy pierwszy lepszy kusznik.

Rycerz jechał główną aleją obozowiska, obserwując beztroskie rozmowy poprzedzające turniejowe starcie. Zawodnicy sposobili się w najlepsze odzienia, nieraz fantazyjne, a czasami wręcz oburzające. Jeden z rycerzy Cesarstwa Niemieckiego wciągnął na kolczugę dziewczęcą sukienkę, a na hełmie usadził pukle jasnych włosów. Budziło to salwy śmiechu u mężczyzn i dam oraz teatralne oburzenie u duchownych, którzy próbowali odwieść rycerzy od zmagania. Grozili potępieniem oraz diabłem wlekącym dusze w czeluście piekła.

Nikt ich nie słuchał.

– Hej, dobry panie! – zawołał ku Krzyżowcowi mocny głos. – Nowy herb widzę na waszej piersi, pozwólcie na chwilę, jeżeli łaska.

Rycerz zatrzymał konia przed dużym, krągłym namiotem opatrzonym proporcami wojsk krzyżowych oraz Wenecji. Za stołem z ciemnego drewna, na okutym kufrze podróżnym, siedział barczysty mężczyzna. Ciemne włosy opadały falą na smoczą skórę, zdobiącą barki rycerza. Twarz miał spaloną od słońca,

podobnie oczy. Na piersi, okrytej białą tuniką, pysznił się czerwony krzyż krucjaty. Obok siedział wysoki, szpakowaty patrycjusz, obserwujący Rycerza sponad sterty papierów.

– Dobry rycerzu, nie marzy wam się chwała po stokroć większa od tej, jaką da wam nawet cesarz? – zapytał czarnowłosy. – Może bardziej przemówi do was wizja zmierzenia się z najbitniejszym ludem zaraz po Frankach? Jak będą na was patrzeć w domu, kiedy wrócicie w rodzinne strony ze smoczą łuską na ramionach? Miecze porośnięte różanym krzewem, walka ramię w ramię z templariuszami oraz zakonem joannitów, spotkanie z legendami rycerskich pieśni. Grób Pański, wieczne zbawienie i wojna w obronie chrześcijaństwa. Jak ci się to uśmiecha, żołnierzu? Wybierzecie się pod moim sztandarem do Outremer?

Rycerz zsunął hełm na ramiona, spoglądając z wysokości siodła na ciemnowłosego krzyżowca.

– Widzę, żeście już zasmakowali w pustynnym słońcu. – Rozmówca zaśmiał się. – Nie cknijcie wam się, żeby raz jeszcze zobaczyć białe mury Jeruzalem? Przydadzą nam się doświadczeni rycerze, z twardym sumieniem, którzy potrafią utrzymać linię w boju i wykonać nawet najśmielszy rozkaz. Republika zapewnia nam okręty, cena nie jest wysoka, a im więcej starych wiarusów, tym weselej, prawda?

Krzyżowiec skinął głową, odpiął sakwę od pasa i rzucił pełną srebra na stół. Mógłby odliczyć stosowną sumę, targować się o kilka monet albo krzywić na obecność Wenecji, która zawsze dążyła do wygrywania własnych bitew cudzymi rękoma. Ale za dużo z tym zachodu. Miał jeszcze niemało złota z Rawenny, aby wyposażyć własną kompanię albo wykupić kawałek lenna. Po cóż się martwić pieniędzmi, skoro jego jedynym celem było właśnie dostanie się do Outremer? Łaskawość boska zesłała mu tę okazję i prowadziła ku Palestynie pewną drogą. Reszta nie miała znaczenia.

– Witamy na pokładzie. – Czarnowłosy rycerz zważył w dłoni sakiewkę, po czym oddał ją patrycjuszowi, który zapisał coś na swej liście. – Ruszamy pojutrze do Saint-Jean-d'Acres, może do tego czasu dołączysz do naszej małej drużyny na turniej? Kilku młodych chce wygrać w boju pieniądze na przewóz, zamiast brać kredyt. Może pomożesz Guilhemowi ich poprowadzić do bitki i zobaczymy, z jakiej gliny są ulepieni? Służba zajmie się luzakami i rzeczami.

Krzyżowiec zgodził się ruchem głowy, po czym zostawił w depozycie bagaże i wszystko to, czego nie potrzebował na turniejowym polu. Nieśpiesznie ruszył na grzbiecie kasztanka ku trybunie wyrastającej ponad namioty obozowiska.

Wreszcie, po tylu dniach podróży i niedoli, Krzyżowiec trafił do miejsca, którego nigdy nie powinien był opuszczać. Żył dla wojny o Ziemię Świętą. Nie znał innego sposobu istnienia niż wykrawanie samego siebie mieczem z tła innych ludzi. Jakże głupi i próżny był przed śmiercią, jeżeli próbował sprzeciwić się wyraźnemu nakazowi boskiego przeznaczenia i szukać ukojenia w klasztorze!

Chociaż w głębi duszy czuł niepokój, zasłonił go szybko ukontentowaniem. Jakże straszne byłyby dzieje jego wędrówki, jeżeli by kierowały nim jedynie ulotne zachcianki czy przyziemne potrzeby. Teraz miał już kolejne usprawiedliwienie, które mógł dodać do zapory przeciwko wyrzutom sumienia.

– Ulrich! Ulrich nadciąga! Liechtenstein! – Nagła radość opanowała skraj obozowiska i wraz z kolorowym orszakiem kierowała się obozową aleją ku trybunie.

Rycerz obrócił konia, chcąc przyjrzeć się nowemu zjawisku, a było czemu się przyglądać, bo oto nadciągała z głębin czasu starożytna bogini.

Pierwej kroczyło czterech paziów w bieli, na ręku nieśli bukiety wiosennych kwiatków, które rozrzucali na boki. Za nimi szedł giermek z oswojonym łabędziem, którego łeb błyskał czerwienią, skrzydła zaś złotem oraz błękitem. Zwierzęciu towarzyszyli miecznik oraz grająca na piszczałce dziewczyna. Dalej, pod baldachimem niesionym przez czwórkę rycerzy, jechała na śnieżnym rumaku niezwykle postać.

Długie włosy spływały jej na ramiona, okryte narzutą z ptasich piór. W prawej dłoni dzierżyła pochodnię rozpalonej miłości, drugą pozdrawiała wdzięcznie zgromadzonych w obozie ludzi. Twarz

miała wąską, choć o mocnych rysach. Oczy jasne, pierś wydatna, usta pełne, jedynie cień zarostu psuł iluzję kobiecości.

– Dobrzy rycerze! – zawołała postać zupełnie męskim głosem. – Jam jest bogini miłości Wenus i przybyłam wprost z morza, gdzie zrodziła mnie morska piana, abym wezwała do pojedynku najdzielniejszych mężów! Każdy, który złamie lancę o moją tarczę, otrzyma szczerozłoty pierścień dla wybranki. Kto z was ma dosyć odwagi, aby stanąć naprzeciwko mego uroczego orszaku? Moje boginki nie gryzą za mocno, może oprócz Pejto.

– Ulrich! – wołali chórem rycerze, giermkowie, a nawet niektóre kobiety, zagłuszając kompletnie duchownych. – W służbie dam! Liechtenstein!

Czoło orszaku minęło Krzyżowca; za Wenus jechała ciężkozbrojna drużyna rycerzy, strojnych w jasne szaty. Były tu Igraszki, Charyty oraz Gracje, bóstwa małżeństwa, porywu namiętności oraz nieodwzajemnionego uczucia. Wszystkie odziane w pancerne płaszcze, z hełmami zdobnymi w gołębice – ulubione ptaki Wenus. Pochód zamykała władczyni podszeptów i namowy miłosnej Pejto, rosły mężczyzna o długiej brodzie splecionej w warkocz. Krzyżowiec skrzywił się w uśmiechu; nie przypominał sobie, by grecka boginka była pełnej krwi Normanem.

Rycerz pozwolił, aby ten wyjątkowy korowód minął go, a następnie powoli, we własnym rytmie, ruszył ku trybunie, skąd damy oraz wielmoże obserwować będą wojenne gonitwy.

Poniżej widowni ogrodzono czworobok, około sto na pięćdziesiąt kroków, na którym rozstrzygano konkurencje o turniejowe laury. Mimo wczesnej pory na widowni oraz na udeptanej ziemi nie brakowało ludzi. Toczoło pierwsze pojedynki, zarówno na miecze, jak i bez oręża; na razie ścierano się jedynie dla rozrywki i wprawy. Pozostali uczestnicy zajmowali się rynsztunkiem, wierzchowcami bądź poszukiwali godnych siebie adwersarzy przy Drzewie Chwały. Na gałęziach wiekowego dębu zawieszono herbowe tarcze, w które uderzano, oznajmiając wyzwanie.

Opodal placu boju oraz trybuny wokół proporców łopoczących na wietrze skupiały się turniejowe kompanie, szykujące się do *mêlée*, pozorowanej bitwy całych drużyn. Niebezpieczna to dyscyplina, w której każdy chciał brać udział, chociaż nie każdy miał dosyć odwagi. Wiele ryzykowano w takim starciu, gdzie śmierć i kalectwo nie rzadziej się trafiały niż w czasie prawdziwej walki. Utrata konia, zbroi czy majątku była zarówno nieodpartą pokusą, jak i przyczyną upadku wielu rycerzy, którzy przegrawszy, do domu wracali na mule, a czasami na własnych nogach.

Jadąc wzdłuż szpaleru chorągwi, Krzyżowiec obserwował uważnie zebranych ludzi. Nie brak tu było rycerzy oraz giermków, nieraz starszych i bardziej obytych w świecie niż ich panowie. Dla nich turniej był okazją do zdobycia pieniędzy, z których opłaciliby własne pasowanie. Tłumnie ściągali także możnowładcy, którzy spośród wolnych lanc turniejowych rycerzy mieli zamiar wybrać nowych żołnierzy. Wraz z mężami, braćmi oraz ojcami na turniej przybyły także i piękne damy, o których względy toczono nie mniej zażarte boje niż o srebro i chwałę. Krzyżowiec minął rycerza w zieleni, którego na złotym łańcuchu prowadziła małżonka przy wtórze ogólnej wesołości obecnych.

Gdzie zabawa, tam i trubadurzy, żonglerzy oraz pieśniarze, umilający chwile oczekiwania gładkimi wersami, uszczypliwymi wierszykami; często ci ścierali się we własnym turnieju. Wtedy to musieli na oczekaniu w odpowiedzi na rymowane obelgi i ataki przeciwnika odpowiadać równie szybko, ku uciesze tłumów. Nie mniejszą te zawody przykuwały uwagę jak walki na lance, a chyba większą wesołość wśród publiczności wzbudzały.

Na takim festynie nie brakowało także mieszczan oraz prostych ludzi z okolicznych wsi; wolni od obowiązków, mogli do woli zagrzewać do walki faworytów, na których postawili srebro. Tłum gromadził się, gotowy obserwować zmagania; tłum kolorowy, rozedrgany od głosów i radosnego oczekiwania na wielkie widowisko.

Tak wiele zachodu, aby oderwać się na moment od rzeczywistości.

Krzyżowiec zatrzymał się obok proporca z naszytym czerwonym krzyżem, niewątpliwie w dobrej

wierze, choć niezbyt równo. Na trawie, w słońcu, spoczywał tuzin zbrojnych w swobodnych pozach. Jedni leżeli z głowami na siodłach, inni opierali plecy o bele siana, które szczypały pasące się konie. Wszyscy niemal byli ludźmi młodymi, o twarzach ledwo naznaczonych przez męskość. Tylko dwóch nosiło zarost. Rozmawiali z pasją o turnieju, naradzając się, na których walkach mają szansę zarobić, których zaś unikać. Czerepy mieli gładko zgolone, przez co ich głowy zdawały się groteskowo małe w stosunku do pancerzy oraz tunik okrywających ich po kolana.

Rycerz zeskoczył na trawę, rozsiodłał kasztanka, po czym pozwolił mu paść się z resztą koni należących do krzyżowców. Najstarszy wiekiem rycerz, o pociętej twarzy i złamanym nosie, uniósł się na łokciach na widok nowo przybyłego.

– Naganiacz zgarnął kolejnego wiarusa? – zapytał. – Siadaj, bracie, i nabierz sił, zanim trzeba będzie tę dzieciarnię prowadzić do walki.

Jeden z młodych, chudy o kwadratowej szczęce, już miał zaprotestować, ale jedno spojrzenie starego żołnierza wstrzymało go w miejscu. Najwyraźniej Weteran zdołał już wyrobić sobie pozycję w niesfornym stadzie.

Krzyżowiec usiadł na ziemi, z siodłem pod plecami. Hełm oraz tarczę ułożył obok siebie, podobnie miecz. Już samo przebywanie pośród swoich sprawiało mu przyjemność. Odzyskanie poczucia przynależności było równie miłe jak dotyk słońca na jego poparzonej skórze. Rycerz obrócił puste jamy oczodołów na grupkę młodych wojowników, którzy właśnie ubierali dwóch spośród swego grona w płytowe płaszcze. Wyglądało na to, iż dzielili między sobą ten skarb wedle potrzeb.

Zgrana to była gromadka, zapewne wcześniej trudniąca się turniejowymi zmaganiem albo rabunkiem. Krzyżowiec znał w przeszłości wielu takich podlotków, młodszych synów rycerzy, dla których nie starczyło ojcowskiego majątku. Ich bracia dziedziczyli zamki albo uczyli się w seminarium, oni dostawali jedynie miecz oraz nazwisko, a fortunę musieli zdobyć własnymi rękoma, daleko od rodzinnego domu. Chociaż ich herby przedstawiały orły oraz lwy, oni byli ledwo pisklakami i kociętami, które wyrzucone z gniazda, musiały same zadbać o siebie w tym świecie. Wyrzutki, dzieci z nieprawego łoża, sieroty, uciekinierzy i poszukiwacze przygód. Tylko drapieżna ambicja mogła ich ocalić od zapomnienia, a tej im nie zbywało.

– Pons, Gau, dajcie im popalić – powiedział chłopak z kwadratową szczęką, klepiąc po ramionach swych kompanów. – Dużo od was zależy, ale mieczem robicie jak nikt. Nie bójcie się przyjąć ciosu na pancerz i wytłuczcie z nich trochę srebra.

Najstarszy z nich, nie licząc Weterana, mógł mieć dwadzieścia lat.

Krzyżowiec zakrył oczodoły dłonią i zanim zdążył się nad tym zastanowić, zapadł w lepkie objęcia snu. Z początku wisiał, jak każdej nocy, w smolistych odmętach bez marzeń. Jednak powoli pod czaszką pojawiła się jasna drobina, za którą posypało się jeszcze kilka okruchów wiersza.

„Poprzez morski błękit fal,
Od dalekich krain łak,
Gdzie portowa błyska stal
I rodzinnych kolor wstąg,
Tutaj wreszcie koniec dróg,
Kres to trudów, koniec trwóg,
Łaski dał mi zaznać Bóg,
Bym ojczyznę ujrzeć mógł...”

Krzyżowiec uniósł głowę, oczodołami poszukując trubadura, który śpiewał przed chwilą o powrocie do domu ze zdradliwych morskich szlaków. Czy był to sen, pierwszy od dawna, czy realny człęk, z ciała i kości? Ponad krzykami tłumów, rzeniem koni oraz szczękiem oręza unosiły się pojedyncze nuty i strofy,

jednak w pobliżu brak było tego przyjemnego głosu. Zamiast tego, jako smutne memento dla turniejowych zmagani, przed szpalerem drużynowych chorągwi toczyła się dwukółka zaprzężona w osiołka. Skrzypiący wózek zostawiał za sobą szlak ciepłej krwi wypływającej z porąbanych zwłok.

Siedzący obok młodzi krzyżowcy patrzyli na ciało w milczeniu, pobledli. Niedługo oni mogli zająć miejsce w powozie grabarza, który zawiezie ich pod cmentarne mury. Gorzej nawet, celny cios może pozbawić ich kończyny albo pozostawi ich w paraliżu. Los to straszniejszy od śmierci w oczach młodych, życie o kulach jako żebrak, bez nadziei na lepszy los.

– Chyba wam ochota do bitki nie odeszła? – Weteran zaśmiał się. – Blizny dodają uroku w oczach niewiast.

Młodzi nie odpowiedzieli. Każdy z osobna na swój sposób zdradzał niepokój. Szczurowaty chłopak o twarzy pełnej czerwonych krost skubał krawędź tuniki, a siedzący obok tyczkowany rudzielec bębnił palcami po tarczy. Któryś z młodszych rycerzy wciąż wpatrywał się w jadący wózek, oczy miał szkliste, pełne łez. Chyba po raz pierwszy widział śmierć z tak bliska.

– Chłopaki wracają, Jezu, wyglądają jak gówno. – Młody z kwadratową szczęką uniósł się z ziemi. – Co się stało?

Pons i Gau wspierali się na sobie, hełmy mieli odrzucone na plecy, pikowane czepki na głowach czerwone od krwi. Szli, niezbyt pewni swych nóg.

– Tak jak powiedziałeś, nie baliśmy się przyjmować ciosów na pancerz – powiedział Pons. – Chyba mi obili wszystkie żebra.

– Ale mamy... mamy... mamy... mamy pieniądze – wysapał Gau. – Wody.

Przybyłych natychmiast wyzwolono z płytowych płaszczy oraz kolczug, po czym położono na trawie. Pons był obity, zapewne maczugą, tak dalece, iż jego ciało pokrywały żółte i sine wybroczyny. Nad drugim, żylastym Gau, Weteran pochylił się z zatroskanym wyrazem na sfatygowanej twarzy.

– Ma złamane żebra, ale płuca całe. Szczęściarz – mruknął stary wiarus.

Rycerz nawet nie drgnął. Nie miał jak im pomóc, niewiele mógł powiedzieć dobrego, nie był także greckim medykiem, który potrafił otwierać i zamykać ciało za pomocą noża. Po cóż robić zbędny tłum. Jeżeli temu chudzielcowi złamane kości nie przebiły wątpi, to wylize się z tego. Jeżeli ma pecha, to skona w męczarniach.

– Niewiele mu teraz pomogę. Gau, ty dzisiaj już nie walczysz – stwierdził kategorycznie Weteran, gestem uciszając protest. – Dobrze się sprawiliście, ale w *mêlée* nic po was. Wezmą was do niewoli, zabiorą, coście wygrali, zbroję, ubranie i gołą dupą powitacie ojczyznę Chrystusa.

Ponad obozem przetoczyło się wezwanie do boju, oznajmione jasnym głosem trąbki.

– Dobra, zbiórka panowie. Czas się ubrać i pójść do pracy. – Weteran wskazał głową w kierunku pola walki. – Macie szczęście, dzieciaki, bo zobaczycie w walce prawdziwe legendy.

Gau oraz Pons mruknęli coś z zawodem.

– Nie narzekać. Wy macie szczęście, bo nie będziecie z nimi walczyć.

Krzyżowiec osiodłał swego wiernego kasztanka, nasunął hełm na głowę i czekał, aż jego nowi towarzysze przysposobią się do walki. Bez wcześniejszego zapału młodzi zaczęli wciągać na siebie kolczugi oraz grube kaftany. Porąbane, zbryzgane krwią płaszcze płytowe znalazły dwóch kolejnych nosicieli. Rudowłosy chłopak z wprawą poprawiał kolegom rzemienie pancerzy oraz tarcze, nieustannie mrużąc coś pod nosem. Niezbyt obiecująco wyglądała ta zbieranina młodzieńców, dzieci jeszcze, w za dużych hełmach opadających na oczy. Weteran złowił to spojrzenie, wskoczył na grzbiet karego konia fryzyjskiego i podjechał do Rycerza.

– Nie martw się o nich. Twarda to zbieranina – zapewnił. – Kijem nie ubijesz.

Krzyżowiec wzruszył ramionami w odpowiedzi. Za kilka chwil czynem potwierdzą te słowa albo zmyją je łzami oraz krwią.

Długi korowód konnych oraz pieszych ruszył powoli, krok za krokiem, ku polu zmagani. Każdą lancę,

prowadzoną przez znacznego herbowego, zapowiadał herold maszerujący u strzemięcia seniora.

– Hrabia Worcester pan Thomas Mallory wraz z kompanią.

Brawa powitały wjeżdżających na arenę Anglików, jak jeden mąż odzianych w czerwień i złoto. Krzyżowiec spojrział zza hełmu na publiczność, na te rozentuzjasmowane figurki, które w jego oczodołach zdawały się pozbawione twarzy. Bezoki tłum, a widzący; skandujący mimo braku ust, falujący przy kolejnych nazwiskach oznajmianych donośnymi głosami.

– Wolfram von Östreich, Bernardo Colleoni, Alessandro Torgolione, Henryk Probus, Wenus, bogini miłości, Guilhem de Islé!

Weteran pchnął konia naprzód, prowadząc swych kompanów w burzę oklasków.

W najwyższej loży, jak antyczni imperatorzy spoglądający na gladiatorów, zasiadały damy oraz panowie, oczekując widowiska. Któryś z cesarskich rycerzy podjechał pod trybunę, pozwalając, aby jedna z kobiet przywiązała mu do hełmu błękitną chustę. Pomiędzy kilkoma konnymi trwały jeszcze rozmowy pośrodku areny, zanim drużyny, podzielone na dwie strony, szykowały się do starcia.

– Było to pierwszego dnia lipca, lat po narodzinach Pana tysiąc dziewięćdziesiąt i osiem, kiedy baronowie krucjaty stanęli pod Doryleum – z trybuny rozległ się mocny, wręcz nienaturalnie donośny głos. – Hufiec z Lotaryngii i Prowansji został otoczony przez króla tureckiego Kilidż Arslana, lecz na pomoc przybyli dzielny Bohemund Sycylijczyk i papieski legat Ademar z Puy. Razem stoczyli walną bitwę, którą teraz macie zaszczyt oglądać.

Krzyżowiec prychnął na poły rozbawiony, na poły dotknięty do martwego. Osobiście stawał pośród walczących w tamten lipcowy dzień, pośrodku dawnej domeny basileusów z Konstantynopola i w jego pamięci, choć poszatkowanej, starcie wyglądało zgoła inaczej. Stali w kotlinie, otoczeni zarówno przez góry, jak i Turków, pod osłoną tarcz, cierpliwie znosząc ulewę ciemnopiórych strzał. Nie mieli wody i zbyt wiele nadziei na odsiecz.

Teraz było miłe, wiosenne popołudnie. Naprzeciwko siebie stało może stu zbrojnych i wody było w bród. Śmiesznie mała była ta bitwa, nie tak mordercza, a i adwersarze wyglądali bardziej znajomo niż tureccy nomadzi. Rycerz jednak nie tęsknił za horrorem tamtej prawdziwej bitwy. Dostyc okropieństw się już naoglądał w dotychczasowej podróży, a przez chwilę przyjemnie było żyć tylko romantyczną wizją wojny, dwornych ukłonów, ze szczyptą tylko krwi i śmierci. Jeszcze wróci na prawdziwe pole walki, w błoto krwi oraz wnętrzości; teraz mógł sobie pozwolić na nieco fantazji.

Spojrzał na swych sojuszników, zapamiętując, komu miał oszczędzić ciosów. Niewiele obchodziło go, u czyjego boku miał walczyć, a nawet turniejowa chwała była mu zbędna. Dla niego była to okazja do walki, a ta myśl nie opuszczała go nawet na chwilę; czasami tylko znikąca pod falami innych myśli, ale nigdy na długo. Urodził się rycerzem, wychował się rycerzem, inni oczekiwali od niego bycia rycerzem; był Rycerzem.

Rozbrzmiewa wysoka nuta trąbki.

Naprzeciwko widzi kompanię Wenus. Z nimi chce się mierzyć.

Dwie pancerne formacje ruszają na siebie w zgiełku metalu oraz okrzyków tłumu. Z trybun każdy śledzi swojego faworyta, krzyczy jego imię.

Krzyżowiec wyrывa naprzód, tarczą zasłania bok, sztych miecza tnie powietrze. Z naprzeciwnika jedzie cesarski, kropierz w czerni i złocie faluje w rytm końskim kopyt. Wokół ruszają się inne sylwety, ale Rycerz widzi tylko cesarskiego, jego wzniesiony miecz i szczelinę hełmu, za nią błękit oczu. Miecz Niemca opada, trafia w tarczę. Krzyżowiec uderza ułamek chwili później sztychem w bok cesarskiego. Ostrze ześlizguje się po kolczudze tamtego.

Obydwa ciosy zlewają się w jedno. Konni mijają się w biegu.

Wkoło trzask łamanych tarcz i lanc, krzyk oraz zwierzęcy pisk.

Krzyżowiec wpada na Anglika w czerwieni. Kręcą się wokół siebie, coraz bliżej z każdym końskim krokiem. Cios za ciosem opada na wyspiarza. Złoty lew na jego hełmie pada odrąbany, ale miecz Rycerza

już odbija się od tarczy Anglika. Krzyżowiec tnie teraz z barku w przerwy w pancernych płytach na ramionach przeciwnika. Anglik zasłania się tarczą i daje koniowi ostrogę. Ciemne zwierzę wyspiarza odskakuje kilka kroków.

Krzyżowiec nie czeka biernie na powrót Anglika. Jest tuż za nim, bijąc tarczą w jego hełm. Raz, drugi, Anglik jeszcze na oślep tnie mieczem, trzeci cios ogłusza go, spod przyłbicy cieknie krew. Tak go zostawia Rycerz, szukając nowego przeciwnika.

Z zaskoczenia doskakuje do Krzyżowca konny cesarski. Ten sam czy inny, bez znaczenia. Rycerz kuli się za tarczą, kolanami obraca konia, mieczem opędza się od napastnika. Po chwili już ciosy padają w równym rytmie, a Krzyżowiec walczy gładko. Cesarski jednak nie odpuszcza; zwierają się tarczami, próbując siłę swych ramion. Miażdżone drewno stęka, miecze na razie milczą. Przez chwilę tylko muskuły pracują, ale równej są siły. Rycerze na moment tylko rozjeżdżają się, zaraz potem jadą strzemię w strzemię, cios na tarczę łapie cesarski, odpowiada sztychem, zbitym przez Krzyżowca.

Złączeni w tej walce mkną przez pole walki coraz szybciej. Rycerz unosi miecz wysoko, cesarski unosi sztych, ale cios nie następuje. Krzyżowiec wbija miecz w siodło, za łydką, i przecina strzemię. Niemiec chwieje się na końskim grzbiecie, uderzenie rękojeścią miecza wytrąca go z równowagi. Opada w pył areny i ginie w obłoku kurzu. Rycerz, zamiast brać wroga w niewolę, zatrzymuje się i spogląda dokoła.

Walka jeszcze trwa, ale siła zawodników stoi już przy barierkach; mają dosyć jeńców i nie chcą dalej ryzykować. Tuzin jeszcze widać pojedynków; strącony z siodła cesarski mimo upadku walczy dalej z pieszym Italczykiem. Wygrywa i bierze go w niewolę.

Nikt jednak nie ma tylu pojmanych co orszak bogini Wenus, który już świętuje wiktorię.

Krzyżowiec spina konia, nie chcąc odejść z tego pola walki bez satysfakcji. Mógłby już mieć dwóch rycerzy na swej łasce, ale jemu do głowy nie uderza srebro z okupu. Galopem zajeżdża ku Ulrichowi, jego wskazuje palcem – jego oraz lance.

– Dajcie drewno! – woła Ulrich. Nasuwa na głowę wielki hełm, zwieńczony figurą bogini Wenus.

Na moment zapada cisza, potem tłum wybucha wielką radością.

– Gomitwa – słyhać krzyki. – Gomitwa na ostre! Usuńcie się na boki!

Ulrich oraz Krzyżowiec z namaszczeniem, stępa, jadą na kilkadziesiąt kroków od siebie. Nawracają powoli, oddają salut ku trybunie. Niżej zwycięzcy i pokonani obserwują ich z napięciem.

Ruszają ku sobie równocześnie. Konie rączo mkną, spod kopyt tryskają grudy ziemi, lance chylą się coraz niżej. Jeszcze dwadzieścia jardów ich dzieli, dziesięć.

– W służbie dam! – woła Ulrich.

Pięć.

Groty biją o tarcze z siłą pioruna, ale niczyje drzewce nie pęka. Obydwaj się chwieją, ale Ulrich zaraz odzyskuje rezon, unosi ramiona, wzniesając burzę oklasków. Krzyżowiec przez moment jedzie naprzód. Staje. Wbija lance w arenę i poprawia imacze tarczy. Tarcza z Rawenny mocno staje, nie pęka.

Do drugiego złożenia Rycerz rusza równie pewny swego. Mkną na siebie jak wściekłe niebieskie bolidy, żaden nie odstąpi z własnej woli. Krzyżowiec czuje bitewny amok, niech ogień i błyskawica rozedrą powietrze, niech zgorzeje niebo, a on nie odda pola; złamie to drewno.

Dwadzieścia.

– W służbie dam – wzbija się okrzyk z gardeł odzianych w biel rycerzy.

– Graal! – odpowiada Weteran. – Graal i krzyż!

Tłum podejmuje obydwaj zawołania.

Dziesięć.

Ulrich daje ostrogę z boku, koń skacze w prawo, a lśniący grot lancy mierzy w nieosłoniętą tarczą bok Krzyżowca. Rycerz skręca się, kładzie bokiem, wisi tuż nad ziemią, ale unika ciosu. Z trudem podciąga się na koński grzbiet, a tłum wiwatuje. Ale to dwa złożenia bez złamanej lancy i teraz

Krzyżowiec musi tego dokonać, jeżeli nie, pójdzie z pola jako jeniec Ulricha.

Do ostatniego starcia podjechali nieco bliżej siebie. Mierzą się wzrokiem zza stalowych blach. Wciąż panuje cisza, ale naraz rumaki skaczą naprzód i wszystko na nowo tonie w hałasie setek gardeł. Tłum nie zniesie już milczenia, krzyczy zawołania obydwu rycerzy. Krzyczy rosły Norman z orszaku Ulricha, krzyczą Weteran i Thomas Mallory, któremu Rycerz ściął lwa z hełmu, wołają Italczyk Torgolione i Probus z dalekiej Polski; krzyczy każdy niemal, kto obserwuje arenę. Tylko na najwyższej łoży jest cicho, ale tam palce wpijają się w drewno tronów.

Krzyżowiec mocno zaparł nogi w strzemiona, opoka ukośnie, lanca w ostry kąt.

Blisko.

Bliżej.

Cisza.

Grot wgryza się w tarcze, drzewca gną się i łamią na setki drzazg.

Ulrich unosi nad głowę złamaną lancę, po chwili złamane drewno prezentuje publiczności Krzyżowiec, galopując tuż przy ogrodzeniu.

Gromki okrzyk radości rozlega się naraz, dobywając się z gardeł prostych i możliwych zarazem. Na ten moment Rycerz z Graalem i krzyżem na piersi był bohaterem dla wszystkich. Miło było słyszeć radość pod nieboskłonem, wciąż noszącym blizny Dni Krzyżowych; czyż jest dźwięk, który pewniej niż ten odpędza Złego?

– Nie wstyd łamać kopie z takim mocarzem – zawołał Ulrich, jadąc ku Rycerzowi z hełmem odrzuconym na plecy. – Sprostaliście wyzwaniu i zgodnie z obietnicą należy wam się nagroda. Danego słowa nie cofam, ale teraz ja wam rzucę wyzwanie. Towarzyszcie nam u stołu.

*

Wieczorem, pod rozciągniętym płótnem wielkiego namiotu, przy zastawionych stołach, zebrali się zaproszeni przez Ulricha goście. Sława turniejowego ekscentryka sięgała daleko poza granice jego posiadłości, a nawet poza władztwo cesarza. Większość rycerstwa, ogrom mieszczan, a nawet kmieci rozpoznawało czerwień, złoto i błękit jego herbu. Jeszcze sławniejszy był Ulrich pośród płci pięknej, która mocniej i namiętniej kochała strofy oraz obecność niemieckiego minezingera. Krzyżowca nie dziwiła przy stole obecność rycerzy, dam oraz weneckich synów z kupieckich rodów, którzy z uwielbieniem spoglądali ku wysokiemu siedzeniu, gdzie niczym na tronie zasiadał Ulrich.

Krzyżowca jako gościa specjalnego posadzono po prawej, tuż przy miejscu Ulricha, skąd mógłby konwersować z każdą osobą zasiadającą u stołów, ustawionych w kształt podkowy. Rzecz oczywista, iż Rycerz nie mógł skorzystać z tego zaszczytu, co jednak wcale nie umniejszało zazdrości tych, którzy chcieli zająć jego krzesło. Zamiast toczyć dysputy, jak większość już zgromadzonych, Krzyżowiec dołączył do cichej grupki ludzi, obserwując równych sobie bądź przysłuchując się rozmowom starszych i bardziej szanowanych.

Przy stole panowała wesoła atmosfera, pełna śmiechu oraz anegdotek, a zaproszeni czuli się swobodnie. Chociaż zostali usadzeni wedle ustalonej hierarchii, nikt nie wydawał się pokrzywdzony czy urażony miejscem na Ulrichowej wieczerzy. Oczywiście najznacniejsze osoby zasiadały przy najwyższym stole, wraz z von Liechtensteinem, kolejni goście zaś przy dwóch niższych stołach, prostopadle ustawionych względem gospodarza uczyty. Po drugiej stronie krzątała się służba, przynosząc talerze, puchary oraz srebrne półmiski, oszczędzając siedzącym ciągłego przesuwania się i szturchnięć łokciami.

Czując zapachy potraw, Krzyżowiec zmarszczył resztki poparzonej twarzy. Rozpoznawał dym, woń ziół i pieczonego mięsa nie dlatego, iż pamiętał ich smak w ustach, ale z powodu rzemiosła, jakim się parał z takim oddaniem. Dym towarzyszył każdemu oblężeniu, tymianek czy laurowy liść nieraz już

Rycerz zdeptał w czasie długich marszów, czasami nawet wieszał w namiocie pęk ziół, aby odpędzić morowe powietrze, a mięso przypalał regularnie nad wolnym ogniem, bez różnicy, czy była to jego strawa, czy oporny jeniec.

Podanie potraw ucięło wszelkie rozmowy. Italczyki palili się do gwarzenia, jednak teraz przy stole zapanowały angielskie maniery. Subtelne spojrzenia, służba odczytująca drobne gesty jeźdźców, szelest ubrań oraz szcęk noży zastąpiły wypowiedziane naprędce słowa. Mężów i damy usadzono na przemian, z jednym tylko pucharem, który dzielili między sobą na czas uczy. Jakież to widowisko było dla martwego Krzyżowca, który obserwował z wysokości swego tronu uczucia wyrażone tym osobistym gestem. Małżonkowie, kochankowie, obcy ludzie siedzący obok siebie brali udział w tej delikatnej grze, nie mogąc uciec przed dotykami dłoni oraz przed spojrzeniami. Hańba na duszę, która uchłwała się od usługiwania siedzącej obok damie; przy stole bez trudu można było postradać dobrą reputację zdobytą na polu walki.

Rycerz, jako gość honorowy, służył nadobnej bogini Wenus, która była całkiem zaradną niewiastą jak na zaprawionego w walce wojownika. Krzyżowiec ze spokojem mógł chwycić w okaleczoną lewą dłoń nóż i rozkrawać na sztuki czarną bryłę węgla, niegdyś będącą kaczką. Przez wypalone żebra przebłyskiwały czerwone bryły życiodajnego ognia. Krzyżowiec z chrzęstem odłamał skrzydło, które żuł tak długo, aż w ustach pozostał jedynie suchy pył zwęglonych kości, mięsa i skóry. Spojrzał na dwa puste siedziska obok siebie, a następnie przeniósł oczodoły na powrót ku uczującym.

Sielanką wydał mu się ten obraz. Budził wspomnienia dawnego życia, pytania bez odpowiedzi oraz gryzące sumienie, bez ustanku dopytujące o głębszy sens jego wędrówki. Rycerz odpędzał je od siebie, miażdżąc żuchwą kolejny kęs. Donikąd prowadziły go długie rozmyślania, pozostawiały tylko po sobie wstyd i odrazę do samego siebie. Jedną tylko prawdą rządziła jego losem, a tą prawdą była wojna. Nieważne, jakie czyny wypełniały rycerski żywot, czasami nawet były to czyny chwalebne i piękne, ale wszystkie bez wyjątku wyrastały z tego krwawego korzenia.

Minęły dwa kwadransy cichej wieczery, której rytm wyznaczały chrobot noży o zastawę oraz cichy szelest wypełnianych pucharów. Co jakiś czas Krzyżowiec podawał czarę Ulrichowi, który przyjmował ją z uśmiechem, ciągnąc swoją maskaradę w kobiecych sukniach. Dopiero przy deserze angielskie maniery ustąpiły, za zgodą Ulricha, południowemu temperamentowi swobodnych rozmów.

Z miejsca wykorzystał to młody Wenecjanin, który od pewnego czasu kręcił się i wiercił, chcąc zadać pytania sławnemu minezingerowi. Jego towarzysza uczy nie miała tego za złe, gdyż sama była więcej niż ciekawa Ulricha, który z powodu swej urody przyciągał kobiece spojrzenia. Widząc okazję, Wenecjanin uprzedził wszystkich chętnych i wypalił młodzieńczym głosem:

– Czy to wszystko, co o panu mówią, to prawda?

Pytanie podziało jak smagnięcie bata ponad głowami zgromadzonych, którzy zwrócili się, na ogół rozbawieni, w stronę chłopaka. Barczysty Norman, bogini Pejto, nawet parsknął tak szyderczym śmiechem, iż odarłby z pewności siebie starszych i mocniejszych ludzi. Zanim jednak ktokolwiek zdołałby skarcić Wenecjanina, Ulrich ruszył do odpowiedzi równie chętnie jak do starcia na lance, ku uciesze tłumu.

– Co dokładnie masz na myśli? – zapytał uprzejmie lubieżnym głosem. – Czy naprawdę jestem Wenus, bogini miłości? Możesz się sam przekonać, jeżeli starczy ci odwagi, piękny wojowniku.

Krzyżowiec oparł głowę na dłoni, a łokieć na stole, z rozbawieniem obserwując reakcję młodego patrycjusza. Ten spłonął chorobliwym rumieńcem, który sięgnął szczytu jego chudej twarzy. Wszyscy bez wyjątku patrzyli na niego, ale on nie zrejterował, odparł cios, chociaż słabo, ze ściśniętym gardłem.

– Nie, proszę pana. Mam na myśli pańskie przygody, o których śpiewają nawet w Wenecji. O tych pojedynkach i eskapadach.

– To wszystko prawda – odparł Ulrich z szyderczą chępliwością, którą publiczność z miejsca przejrzała. Von Liechtenstein uniósł prawą dłoń. – Raz nawet odrąbałem tę oto prawicę, aby dowieść

wierności mojej damie. Następnie musiałem wyskoczyć do fosy z okna jej sypialni, gdzie pod mostem zwodzonym czekałem do rana z nagimi zwierzętami, a dwóch pacholków szczało na moją głowę.

Fala wesołości przetoczyła się po namiocie. Mężczyźni śmiali się otwarcie, damy ukrywały chichot w dłoni lub ramieniu siedzącego obok. Widząc zmieszanie Wenecjanina, Ulrich nie pastwił się dalej nad zbyt łatwą ofiarą, nie mając w tym wielkiego upodobania.

– Poeci mają nawyk wyolbrzymiania zasług – powiedział już zwykłym głosem. – Taki zawód. Opowiedzieć o czymś całkiem normalnym tak, abyś widział w tym rękę Boga. Trochę jak duchowni, ale poeci są całkiem tani w utrzymaniu i nie piszą do biskupa skarg.

– Nie boi ich się pan?

– Poetów czy duchownych? – von Liechtenstein zaśmiał się. – Obydwa to stworzenia niegodne zaufania. Jeden mówi o miłości do bliźniego, a wkrada się do małżeńskiego łóżka po zmroku... Cofnijmy to. Obydwaj tak robią, ale musimy im wybaczać, w końcu to też stworzenia boskie. Kto by nam dostarczał zabawy i śmiechu, gdyby Noe nie zlitował się nad tą parą?

Ogólna wesołość rządziła już niepodzielnie w namiocie, kiedy do wnętrza wsunęła się para ludzi. Wysoki mężczyzna w poważnym wieku, o twarzy ostrej, włosach ciemnych i przyprószonych siwizną na piersi niósł herb, tarczę przedzieloną w pion, na połowy żółtą i zieloną. Na tym tle stał dumny lew, w kolorze czerwieni, wspięty na tylnych łapach. U boku rycerza stała dama, żona bez wątpienia, w sukni szkarłatnej, zdobnej w złote nici. Bogaty czepiec spoczywał na jej czole, podkreślając trójkątną twarz, a zakrywając niemal całkowicie jasne włosy. Młodsza była od swego partnera o trzy dekady, ale nie wyglądała na nieszczęśliwą, wręcz przeciwnie, promieniowała radością u boku męża.

– Żebym zrudział! – zawołał Ulrich, zrywając się z miejsca. – Hrabia i hrabina Pembroke w moich skromnych progach?

Von Liechtenstein ruszył ku nowo przybyłym krokiem tak lekkim, iż można by go wziąć za kobietę w męskiej skórze.

– Co to za nowa pantomima? – zapytał Pembroke szorstkim głosem, kręcąc głową z niedowierzaniem na widok Ulricha, który dygnął przed nim z godnością księżnej.

– Słońce moje, czy powinnam być zazdrosna o twoją oblubienicę? – zainteresowała się hrabina z kiepsko ukrywanym uśmiechem. – Gust z biegiem lat masz coraz gorszy. Dawniej za tobą uganiały się wszystkie damy, a teraz tylko mężczyźni w sukienkach.

– Nie pocałujesz dłoni bogini miłosnych uniesień? – dodał Ulrich, ku jeszcze większej radości zgromadzonych. – Jam jest Wenus, moja łaska spływa na wszystkie serca, żwawiej bijące na widok...

– Już. Dobrze. Piękna Wenus, błagam o wybaczenie. – Z namaszczeniem Pembroke cmoknął Wenus w dłoń, po czym chwycił Ulricha w ramiona. – Jak się trzymasz, ty niepoprawny wierszokleto? Kilka twoich kupletów dotarło nawet do Irlandii. Tych słabszych, muszę dodać, bo resztę utopiłem osobiście w Calais.

– Usiądźcie, zjedzcie. – Von Liechtenstein wskazał na puste siedziska u wysokiego stołu, po czym zwrócił się do reszty gości. – Toast za hrabiego Pembroke'a Wilhelma oraz za jego piękną małżonkę, hrabinę Pembroke Izabellę de Clare.

Krzyżowiec uniósł kielich wraz z innymi, ale nie przytknął go do warg. Miecz Roberta Diabła przeszył mu trzewia i tym otworem wino snadnie by wypłynęło, co z pewnością nie należało do najlepszych manier przy stole. Ulrich posadził nowych gości, z którymi od razu zaczął swobodnie rozmawiać ponad kielichem wina.

– Nie myślałem, że zastanę cię w Republice – powiedział Pembroke, podając żonie czarę. – Co byś powiedział na kilka przyjacielskich złożań, nowe blizny oraz złamany nos?

– Rozczaruje cię – odparł Ulrich z błyskiem w oku. – Wybywam rano, skoro świt. Mam taki mały, przyjemny sposób na podróżowanie. Rozumiesz, żeby umilić sobie czas przed tym, jak zaraza sprawi, że zwymiotuję własnymi wątpiami.

– To musi być coś wyjątkowego, jeżeli nie chcesz usiedzieć w jednym miejscu kilku dni.

– Ogłosiłem wszem wobec, że bogini Wenus wyłoni się z morza u wybrzeży Wenecji i zmierzać będzie ku granicom cesarstwa, do krainy Czechów. – Von Liechtenstein sięgnął po kandyzowane morele. – Każdy będzie mógł rzucić wyzwanie mnie lub mojemu orszakowi, a szczęśliwcowi, który złamie kopię o moją tarczę, ofiaruję pierścień dla damy jego serca. Przegrani będą musieli się wykupić, żeby moja kiesa zbytnio nie ucierpiała na tym przedsięwzięciu. Nawet nie wiesz, ile kosztują damskie szaty.

– Wiem. – Wilhelm zmrużył porozumiewawczo oczy. – Całą tę eskapadę planujesz odbyć w przebraniu?

– Zgadza się i zachęcam wszystkich do stawienia się w równie fantazyjnej formie – przytaknął Ulrich. – Taki styl podróży ma wiele zalet, ale w kościele pełnym kobiet trudno jest się skupić na modłach.

– Do ubogich duchem należy Królestwo Niebieskie, a ty jesteś najuboższym z żebraków – odpowiedział Pembroke tonem świętobliwym. – Powiedz no, nikt ci nie robi przykrości z tej przebieranki?

– Księża patrzą krzywo i straszą diabłem, jak zawsze. – Ulrich wzruszył ramionami, wydymając jednocześnie usta. – Są jeszcze ci, którzy boczą się na mnie w imieniu drzew.

Wilhelm uniósł brwi, a i Rycerz zaczął pilniej nasłuchiwać.

– Znajdują się tacy, co uważają, że na turniejowe kopie wycinam zbyt wiele drzew i niszczę piękno mojej krainy – wyjaśnił Niemiec. – Nie dworuję sobie teraz. To prawda.

Krzyżowiec pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ulrichu, potrzebujemy twej rady – zawołał wesoło szpakowaty Italczyk Torgolione. – Sprawa jest ważka i wymaga twego osądu. Roztrząsamy w naszym małym gronie, któż ma cięższy żywot. Dama czy mąż?

– W istocie sprawa to niemałej wagi. – Von Liechtenstein wstał, w dłoni trzymając kielich wina. Kiedy cała uwaga skupiła się na nim, podjął wątek: – Łatwo by uznać, że kobieta, spędzająca swe życie w domowym zaciszu, pędzi dni we względnym pokoju. Niektórzy z was wierzą bez zastrzeżeń w pisma Augustyna i Tomasza, świętych mężów, których umysły z taką łatwością przenikają zawilóści wiary.

Ulrich zawiesił na moment głos, zmoczył usta w kielichu i powiódł wzrokiem po zgromadzonych w namiocie twarzach. Wszyscy oczekiwali w pogodnym milczeniu.

– Wielcy to mężowie, ale na kobietach słabo się znali. Tomasz w szczególności, zważywszy na to, iż musiano mu zbudować specjalny pulpit, żeby pomieścić całą jego wielkość. – Von Liechtenstein poklepał się po brzuchu, co wywołało salwę śmiechu. – Mężczyznom przypada chwała bitwy, imię zapisane przez kronikarzy na kolejne wieki; z mieczem w dłoni wycinają sobie królestwa, sięgają po zaszczyty oraz bogactwo. Trudna to droga, przyznam, śmiertelnie niebezpieczna, ale jeżeli na odwadze nie zbywa śmiałkowi, to swoje talenty może łatwo pomnożyć.

Dama natomiast pędzi żywot ukryty, pełen zasad oraz pokus. Któż rządzi zamkiem, gdy mąż rusza na wyprawę, a odrobiny chwały z tego nie posiada? Któż służy mężowi radą, dba o domowe ognisko, dzieci poucza? Któż w istocie rządzi domem, jak nie dama? Nie ma z tego chwały prócz tej, jakiej dodają niewieście poeci albo kochankowie, którzy własny hołd oddają kobietom.

Goście słuchali uważniej, czując teraz, iż Ulrich nie kpi i nie szydzi już, ale mówi z serca.

– Jaką byśmy mieli poezję bez kobiet, jakże smutna byłaby „Pieśń nad Pieśniami”, jeżeli wyrwać z niej obraz kochanków? W czyim imieniu walczyliby rycerze na turniejowym polu? Gdzie by rwało się młode serce, jak nie ku oblubienicy? To kobieca delikatność, tak łatwo umykająca umysłowi kronikarza, ich siła oraz wdzięk sprawiają, iż my, panowie, stajemy się lepszymi ludźmi. Zważcie, iż uszlachetnienie może przyjść jedynie z góry, od lepszych. Dlatego to rycerz uczy giermka, ksiązę czyni rycerzy, a król – księżętą. Prosty już stąd wniosek, ale szukajmy dalej. Czyż kobiety nie są jak mnisi, którzy wyrzekają się wielu dogodności w imię cichej służby, tyleż godnej podziwu, co niedocenianej przez wielu? A iluż to

mnichów rodzi dzieci, karmi je własną piersią i gotowych jest za swe potomstwo oddać życie? Jeden tylko Adam dał początek Ewie, ale bez bólu, we śnie, dzięki boskiej interwencji. Nas wszystkich, jak tutaj siedzimy, żartujemy i rozmawiamy, zrodziły matki, a nie bez cierpienia im to przyszło. Dlatego w tym sporze opowiem się za kobietami. W służbie dam powinni być rycerze, seniorom oddając posłuch, kobietom zaś serce. Zresztą obowiązek to miły oraz zbożny, a najlepiej wypełniany po zmroku. Wtedy można lepiej go objąć i zasmakować w jego słodyczy.

Mowa Ulricha przypadła wszystkim do gustu, nie wywołała sprzeciwu, a temat miłosnych uciech wypełnił powietrze pospołu z aromatem miodu, wina oraz wnoszonych ciast i słodyczy. Krzyżowiec z obojętnością chłonał tę atmosferę, która choć przyjazna, była mu zupełnie obca. Tę część istnienia pozostawił za sobą w momencie, kiedy jego szerniałe serce zatrzymało się na zawsze.

Wstał od stołu, skłonił się zebranym, po czym opuścił jasne wnętrze namiotu, witając czułe objęcia nocy. Na palcu miło ciążył złoty pierścień, dany mu przez Ulricha, a nad głową rozciągał się jasny kobierzec gwiazd. Nad wschodnim horyzontem migał jasny punkt Psiej Gwiazdy. Krzyżowiec ruszył ku niskim wzgórzom, które wyrastały niedaleko miasta. Wspinając się po stoku, śliskim i porośniętym trawą, liczył dni, które dzieliły go od gorących piasków Outremer.

Dwa tygodnie z okładem już wędrował, stawiając czoła wynaturzeniom zesłanych przez Złego na ten udręczony padół. Tyleż mu jeszcze pozostało wędrówki przed sobą. Tym razem po zdradliwym przestworze dawnego Mare Nostrum, pod którego powierzchnią czaiły się istoty pamiętające czasy dawnych idoli Akkadu i Babilonu. Niebezpieczna będzie to przeprawa, prowadząca śladem Tytusa płynącego na spotkanie Bereniki w odległej Judei. Tak jak i dawny cesarz, on również ruszał ku swej oblubienicy.

Ze szczytu wzgórza rozciągał się wspaniały widok na tafłę morza, odbijającego blask tysiąca gwiazd, na oświetlony lampami port, przy którym kotwiczyły smukłodziobe galery. Te już niedługo miały go ponieść naprzód, tnąc fale, łapiąc w żagle oddech Eola.

Wkrótce.

ROZDZIAŁ V

Świt nastał chłodem i słońcem, wzywając walczących do kolejnych zmagania na turniejowym polu. Krzyżowiec jednak nie szukał przewag tego dnia, zaspokoiwszy głód walki na czas jakiś. Nie doglądał nawet młodej kompanii, która pod okiem Weterana ponownie stawała na ubitej ziemi, licząc na to, iż determinacją oraz werwą zdobędzie srebro na podróż do Królestwa Jerozolimskiego.

Jej los niewiele obchodził Rycerza. W jego oczodołach byli to tylko pionki, tak samo zresztą jak on, które rzuca się w paszczę mieczy oraz włóczni. Ta gromada dzieci musiała się jeszcze wiele nauczyć o żołnierskim życiu, a trudny to nauczyciel. Najpierw każe dawać odpowiedzi, później dopiero uczy, jak winno się prawidłowo czynić. Jeszcze tego poranka od ran zmarł Gau, żyłasty, wysoki chłopak z Prowansji, który walczył na miecze poprzedniego dnia. Towarzysze z trudem radzili sobie z jego śmiercią. Z ledwością unosili się na powierzchni zdrowych zmysłów, jak topielec pogrążający się co chwila w ciemnej otchłani, by z trudem złapać kolejny oddech. Gau odchodził długo, niemalże do końca zachowując klarowność myśli mimo bólu. Młody rycerz wytrwale trzymał się życia, zanim dusza uleciała spomiędzy strzaskanych kości. Krzyżowiec opuścił przeto turniejowy obóz, nie chcąc słuchać przykrej ciszy, jaka zapanowała w kompanii.

Zatrzymał się u wrót lichej kapliczki pod wezwaniem świętej Katarzyny, usadzonej w cieniu leciwego drzewa oliwnego; być może tak starego, jak sama męczennica. Stąd Krzyżowiec miał miły widok na Mestre, jej mury oraz wieże. Wzrokiem z łatwością obejmował obóz turniejowy, uprawne pola, jabłkowe sady i strumienie, ujęte w mocne karby tam oraz młynów. Zmysły łapały barwę nieba, zapach roślinnych soków, nawoływania ludzi, śpiew ptaków.

Wszystko to na nic.

Krzyżowiec stał jak nieszczęsna żona Lota, zupełnie bez celu. Do tej chwili pchały go naprzód konieczność, obowiązek, chciwość, wiara i pożądlivy głód walki. Teraz, przez cały jeden dzień, mógł zapomnieć o tych kajdanach, swobodnie decydując o tym, jak wykorzystać nieoczekiwany dar od losu. Zdawałoby się to łatwe, dziecinna igraszka. Nic nie robić, odpoczynku zaznać albo rzucić się w towarzyski wir rozmów, biegać, skakać, śpiewać, Bogu dziękować, kochać, całować. Żyć, aby nie żałować później straconych dni.

Ale on był martwy.

Poza misją Krzyżowiec nie widział celu w istnieniu. Był, więc naturalnie musiał toczyć bój; odbierać innym życie, gasząc ogień ich oczu uderzeniem miecza. Tam, poza granice powinności, gdzie wolna wola dawała ludziom możliwość wyboru, Rycerz nie miał zamiaru się zapuszczać. Nie było tam nic, co by przemawiało do jego gustu. Pusta przestrzeń jeno, którą można zapełnić własnymi decyzjami, dziełami wyobraźni czy uczuciami wobec innych. Niezdolny do tego Krzyżowiec po prostu stał, z wzrokiem wbitym naprzód.

Czekał kolejnego dnia, gdzie jasny już będzie dalszy cel: droga ku Outremer.

Godziny miną. Słońce przetoczy się ze wschodu na zachód. Czas skruszy wszystko, jeden dzień oczekiwania zniknie w potężnych żarnach, które odesłały w zapomnienie niezliczone już ludy. Powoli,

jednostajnym ruchem, słońce wspięło się po wschodnim firmamencie ku zenitowi, skąd już zwawiej ruszyło ku zachodowi. Cienie wydłużyły się, pracujący na polach kmiecie zniknęli w trwodze przed nocą. W ciemniejącym świecie pojawiły się drżące ogniki ludzkich światła, nędznie imitujące życiodajne płomienie słońca. Na niebie pozostał tylko srebrny krąg księżyca, surowym blaskiem zalewając krainy. Nawet tutaj, u murów Mestre, nieopodal Wenecji, żywy był strach ludzi przed tym, co wędruje po zmroku. Kruche jest życie człowieka w starciu z tymi siłami.

Krzyżowiec ruszył ku Mestre, mijając cienie postaci, dla których nie było już innej pory jak noc.

W bezpiecznych objęciach portowego muru nikt nie przerywał pracy z powodu zmierzchu. Podobnie jak w Classe, Rycerz musiał przepychać się przez tłum tragarzy, żeglarzy oraz nadzorców, czujnym okiem oraz nahajką popędzających ludzi do cięższej pracy. W ciżbie nie brakowało oficerów oraz żołnierzy, zarówno wolnych najemników, jak i noszących barwy Wenecji. Przy świetle lamp oraz pochodni doglądali oni transportu rozmontowanych machin oblężniczych, które w ślimaczym tempie pełżyły ku nabrzeżu. Zaintrygowany Krzyżowiec przyglądał się arkubalistom oraz trebuszom, których potężne organy pchano, ciągnięto na linach i na które żołnierze oraz tragarze klęli bez ustanku.

Przy nabrzeżu stały potężne okręty wojenne Republiki, zajmując całą długość kotwicowiska, odpychając mniejsze, kupieckie stateczki od portowych żurawi. Ich masywne kształty ginęły w mroku, nadając im monstrualny wygląd morskich zwierząt, które przemocą zakłęto w drewno. Galery kiwały się delikatnie na fali, co kilka chwil łyskając okuciami taranów. W oczodołach Krzyżowca okręty zdawały się niecierpliwić, oczekując na moment wyzwolenia swych żagli i wiosła, aby ponieść naprzód swe złowieszcze posłannictwo.

Rzedły mroki nocy, rozplływając się w różowym brzasku, pozwalając dostrzec na masztach proporce Republiki oraz biel i czerwień flag krzyżowców. Kościelne dzwony biły na pierwszą tego dnia mszę, przeszywając mokry chłód poranka. Niebo było szare, pęczniejące od deszczowych chmur, ale wiatr wiejący od Alp wróżył pomyślnie dla żeglarzy. Coraz mniej było tragarzy w porcie, ubywało mieszkańców oraz wałęsających się bez celu zwierząt. Teraz portem zawładnęła zbrojna brać, którą trzymali w ryzach sierżanci oraz możniejsi rycerze, przygotowując ich do wejścia na pokład. Ogromna była to zbieranina, kolorowa, ponura i zaspana, niezbyt radośnie witająca bury świt. Krzyżowiec ruszył przez tysięczny tłum w poszukiwaniu ciemnowłosego rycerza, któremu opłacił swój transport do Outremer.

Byli tu krzepcy górale z Alp, krzepcy i zarośnięci, wsparci na straszliwych siekierach i włóczniach; byli piesi najemnicy z italskich miast oraz przedni kusznicy z Genui, krzywo patrzący na swych kolegów z Tolosy, z którymi bez ustanku gardłowali o jakości kusz. Na uboczu stali muzułmanie z Lucery, biegiem w łuku i zdyscyplinowaniem przewyższający wielu tu zgromadzonych żołnierzy; najwyraźniej kiedy w grę wchodziła twarda moneta, krzyżowcem stawał się nawet innowierca. Rycerstwa nie brakowało ze wszystkich okolicznych krain, zarówno bogatych i konnych, jak i biednych, których nie odróżniłoby się na pierwszy rzut oka od pospolitego marudera.

Uwagę Krzyżowca jednak przykuło pięć setek Anglików, którzy na swych pancerzach nosili krzyże świętego Jerzego. Byli wśród nich łucznicy z Walii noszący zielone lamelki oraz tuniki, których barwa pozwalała im zniknąć w gęstwinie drzew i krzewów. Przy nich stali rycerze, zakuci od stóp do głów w metalowe płyty, lekkozbrojni harcownicy oraz włócznicy z północnych granic królestwa Lancasterów. Każdy z nich nosił na szyi bliźniacze ślady po wypalonych węzłach chłonnych, ich oczy zdawały się być wypełnione zgniłą krwią. Wszyscy ci ludzie przeżyli dotyk zarazy, a już uodpornieni na jej działanie byli wysyłani do walki na zadzumionych polach Normandii. Teraz, półmartwi, szukali zarobku jako wolna kompania najemników w Italii, wiecznie spragnionej zacieężnej krwi. Wszak dobry to żołnierz, który przejdzie bez szwanku tam, gdzie zdrowy będzie się wzdragał choćby zbliżyć.

– Tutaj! – zawołał Weteran w mowie Franków, machając ręką ku Rycerzowi z pokładu wysokiej usserii.

Krzyżowiec ruszył ku pękatemu statkowi, z żalem patrząc na wojenne galery Wenecji. Na ich grzbiecie wolałby ruszyć do bitwy, a nie gnieść się obok końskich boksów. Jednak nie jego to wybór. W kilku susach pokonał trap i wreszcie stanął na pokładzie.

Na deku panowała gorączkowa atmosfera przygotowań. Żeglarze uwijali się jak w ukropie, sprawdzając olinowanie oraz takielunek, doglądając zwierząt zamkniętych w czeluściach ładowni; zliczali paszę, smołowali burty, wylewali wodę z zęzy. Nie w smak im był nadmiar zalegających wszędzie krzyżowców. Ich dobytek oraz zapasy szczelnie wypełniały pozostałą wolną przestrzeń na statku. Nawet górny pokład, narażony na fale oraz wiatr, zastawiony był beczkami, zwiniętymi belami sukna, kuframi i skrzyniami, a także ludźmi, którzy nie znalazłszy miejsca pod pokładem, tutaj przygotowali swoje posłania. Jakieś zaradne dusze rozwiesiły pomiędzy masztami grubą linę, na której rozpostarto płótno namiotu, tworząc prowizoryczne schronienie dla zgromadzonych na pokładzie żołnierzy.

– Obawiam się, że noce będą długie i mokre – powiedział Weteran, siadając na podróznym kufrze i opierając dłoń o jeden z odciągów biegnących ku żaglom. – Nie ma po co się pchać na dół. Tłok i smród.

Krzyżowiec oparł się o sterburtę. W chłodzie poranka coraz wyraźniej dało się wyczuć oczekiwanie. Nie tylko ludzie i zwierzęta odczuwali to drzenie. Żagle okrętów wyrwały się marynarzom, stery same obierały kurs na otwarte wody. Cumy napinały się raz po raz, z trudem utrzymując statki przy brzegu. Podmuchy wiatru marszczyły szarą toń. Woda rozbijała się z pluskiem o drewno kadłubów.

Rzucono cumy i pierwsza z galer oderwała się od nabrzeża. Najpierw niepewnie, ale naraz puszczono żagle, wbito wiosła w morze i okręt wyrwał przed siebie. Śladem bielejącego kilwateru podążyły pozostałe galery, strzegąc stada pękatych transportowców. Statki sunęły na wschód, ku ciemnej chmurze ptactwa, gromadzącego się ponad wyjściem z weneckiego portu. Zgromadzeni na pokładzie żołnierze wskazywali tę skrzydlatą ciżbę, pytali marynarzy. Ci nic nie odpowiadali albo doradzali cierpliwość, bo właśnie tam kierowały się okręty na spotkanie z wenecką flotą.

Po godzinie pojawiło się pierwsze ciało.

Sine, wzdęte i gnijące, pożarte w połowie przez morskie stworzenia.

Wkrótce powietrze wypełnił ogłuszający wrzask ptactwa, statki zaś wpłynęły na wody zasłane ludzkimi szczątkami. Były ich setki. Porażone zarazą, zdeformowane, wyprane z wszelkiej barwy przez morską wodę, stanowiły żerowisko dla niezliczonych mew. Zgromadzeni na transportowcach krzyżowcy wpatrywali się w milczeniu w ciała, po których płynęły okręty. Ludzie odwracali wzrok od tego ponurego widoku, zwłaszcza iż płynące przodem galery miażdżyły truchła uderzeniami wioseł, pozostawiając w kilwaterze wnętrzości oraz oderwane kończyny. Wiele miast nic nie robiło z ciałami, Wenecjanie wyrzucali je do kanałów, wiedząc, że morze je w końcu zabierze.

Rycerz stał na dziobie, ignorując zupełnie tę nową potworność. Jego myśli były skupione na ciemnych sylwetach galer, które wypływały z Wenecji pod barwami Republiki Świętego Marka. Cała flota liczyła teraz blisko sto jednostek, płynących w oszałamiającym porządku na południe i wschód. Las masztów oraz żagli ponad martwym morzem.

Wątpliwością napawał Krzyżowca ten widok. Nigdy do końca nie ufał kupcom i mieszczanom, do pracy lichwiarzy odczuwał wstręt, do tego jednak ograniczała się jego awersja. Wobec wszystkiego, co wypełzało z Wenecji, podchodził jak do węża. Ciemne były umysły dożów, którzy jeżeli wierzyć plotkom, niewiele wspólnego mieli ze zwykłymi śmiertelnikami. Bezlitosne to istoty, nieznające innego honoru jak ten, który nakazuje im zdrady oraz szubrawe czyny.

Nic za darmo nie czyniła Wenecja wobec braci w wierze, gotowa na wszystko, żeby tylko zaspokoić swój apetyt. Krzyżowiec pamiętał dobrze, jak wyglądała pomoc, jakiej udzieliła Republika w odbijaniu nadmorskich miast Outremer z rąk muzułmanów. Najemnicy łupili magazyny z kosztownych towarów

i mordowali setki bezbronnych po tym, jak armie krzyżowe przyjęły kapitulację od obrońców. Nikt jednak nie ważył się unieść ręki na Republikę. Zbyt wielu możnych wisiało w pajęczynie długów oraz kredytów, którą z taką pieczołowitością tkali dożowie, ukryci w pałacu nad brzegiem weneckiej laguny.

Wiedząc to, Krzyżowiec zastanawiał się, dlaczego Wenecja wysłała w morze taką siłę ludzi. Przecież wojowników do Ziemi Świętej mogły być dwie albo trzy setki, a te można by upchnąć na pół tuzina statków. Po cóż więc najemnicy, maszyny oblężnicze oraz wojenna flota, gotowa zetrzeć na drzazgi wrogie okręty? Czyżby płynęli oni do Królestwa Jerozolimy nie po to, aby walczyć z Saracenami, ale żeby toczyć uliczne boje z innymi republikami o handlowe szlaki?

Rycerz spojrział wstecz, ponad ramieniem, na zgromadzonych na pokładzie ludzi. Żołnierzy Pana, którzy pozostawili za sobą wszystko, co mieli, aby tylko stanąć na piachu, którego dotykały podeszwy Zbawiciela. Wiara, chciwość, bieda, obowiązek, ucieczka przed prawem – to nosili w sobie ci ludzie, jednak ich losem kierowała już Republika. Bez niej droga do Outremer byłaby dla nich znacznie dłuższa i groźniejsza.

Krzyżowiec na powrót wrócił do kontemplacji morskich fal. Cóż mógł więcej uczynić? Odwrócić wzrok, udawać, iż wszystko biegnie po jego myśli, i czekać, aż na horyzoncie pojawi się Wieża Much, strzegąca portu starożytnej Akki. Na razie jednak musiał czekać.

Trwał tak aż do zmroku, wpatrując się w ciemniejący ląd, wzdłuż którego posuwała się flota. Zza pleców czasami dochodziły go strzęp rozmowy, kasłanie czy torsje tych, którzy nie nawykli do kołysania. Co jakiś czas za burtę wyrzucano martwe zwłoki, spalone gorączką czarnej śmierci. Wraz z zapadnięciem ciemności na okrętach rozgorzały jasne punkty lamp, które pojawiły się u dziobów, ruf oraz masztów. Pod czaszą gwiazd tlił się ten korowód, jakby widmowe miasto sunęło po wodach Adriatyku. Miękki plusk wioseł, skrzywienie drewna, łopot żagli i niewyraźne okrzyki niosły się w przestworze nocy.

Krzyżowiec spoglądał na drżącą powierzchnię morza, czując pod stopami tętno usserii. Niewielu wiedziało, w jaki sposób statki Wenecji z taką gracją znajdowały właściwe szlaki, nawet pośród zdradliwych skał i sztormów. Był to sekret zachowany z dawnych czasów, sztuka Fenicji, zdobyta w boju przez potężny Rzym. Pogańskie ryty w drewnie szybko zostały podchwyczone przez chrześcijan, których galery zapanowały na Mare Nostrum. Rycerz wiedział, iż jednostki, które wychodziły ze starych stoczni Rzymu, nie były do końca nieożywione.

Kiedy nastał świt, flotylla wciąż parła naprzód, z brzegiem Istrii po lewej burcie. Deszczowy był to dzień i zmusił płynących na pokładzie krzyżowców do skrycia się pod rozpostartym między masztami płótnem. Tam żuli w ponurych nastrojach śniadanie, spoglądając z zazdrością na zielone brzegi. Ciche rozmowy ginęły w bębnieniu deszczu, zresztą niewielu żołnierzy miało chęć na rozmowy. Ktoś tylko co jakiś czas zaczepiał marynarzy, pytając o ziemie, koło których płynęli.

Na pokładzie wszyscy byli mokrzy i zziębnięci, mimo grubych ubrań, którymi się okryli. Skuleni, drżący, żalony widok przedstawiali ci wojownicy Pana, a był to zaledwie drugi dzień podróży. Choć zebrani tutaj nie byli ludźmi słabego ciała czy ducha, godziny spędzone na chłodnym pokładzie potrafiły wysać siły nawet z najtwardszych. Długa to miała być podróż, do odległej krainy, gdzie zmierzyć się przyjdzie z walecznymi Saracenami. Teraz, gdy opadła pierwsza fala zapału, gdy spowszedniały długie godziny siedzenia na beczkach i pakach, żołnierze zaczęli tęsknić za domem. Nie było przecież odwrotu od tej decyzji, chyba że jaki śmiałek rzuci się wpław ku zielonym brzegom i na własnych nogach powróci do ojczyzny.

Rycerz stał samotnie na dziobie, nie przejmując się zbytnio przykrą aurą. Utkwił oczodoły w brzegach Istrii, nie pojmując, dlaczego flota Wenecji obrała właśnie ten szlak, gdzie prądy morskie w zgoła przeciwnym kierunku będą płynąć. Snadziej przecież było ruszyć na południe, ku Tarentowi, a następnie obrać kurs na wschód. Dlaczego więc Wenecja, znana z miłości do każdego bizanta czy denara, postawiła na dłuższą i droższą trasę?

Krzyżowiec wspomniał na moment słoneczny Tarent, jego kamienne uliczki oraz egzotyczną,

orientalną atmosferę panującą w krainie normańskich królów. Pamiętał także Bohemunda z Tarentu, jednego z baronów pierwszej krucjaty. Tego samego, który tak skwapliwie wykorzystał zapal wiernych i wyzyskał go do zdobycia Księstwa Antiochii. Sławna pośród mieszkańców Okcydentu była ambicja Normanów, a przystojny i silny Bohemund zdawał się jej ucieleśnieniem. Ten przebiegły człowiek nie zrobiłby niczego, jeżeli nie widział w tym zysku, Krzyżowiec zaś wiedział z własnego doświadczenia, iż intrygi Bohemunda bywały złożone, ryzyko bawiło go jak dobre wino, ale nie był człowiekiem podejmującym działanie bez widoku na sowitą nagrodę. Rycerz właśnie u jego boku wyruszył lata temu ku Jeruzalem, walcząc pod sztandarem księcia Tarentu w zażartej bitwie pod Doryleum. Od niego uczył się lisiej chytryści, która teraz nie pozwalała mu z ufnością spoglądać na flotę Wenecji. Chociaż nie było żadnego dowodu na poparcie tych myśli, Krzyżowiec wiedział już, że ta wyprawa niewiele ma wspólnego z walką o Ziemię Świętą. Był to jedynie listek figowy, zakrywający intencje Republiki. Pytanie nie brzmiało, czy albo kiedy Wenecja zasłoni się krzyżem dla zysku, ale gdzie.

Rycerz spojrział na skrzydlatego lwa dumnie prężącego się na weneckich sztandarach. Jego oczodoły zapłonęły przez chwilę mocniejszym blaskiem, w sercu zaś powoli krzepło nowe postanowienie. Musiał teraz tylko cierpliwie czekać na okazję.

*

Po południu deszcz ustał, a niebo odrzuciło szary całun. Flota mknęła teraz po przezroczystych wodach Dalmacji. Ledwo słońce wychyliło się zza chmur, nastrój na pokładzie uległ poprawie. Krzyżowcy teraz rozkoszowali się każdym promyczkiem i mogli wreszcie wysuszyć mokre odzienie. Wielu z nich stało przy burtach, wskazując sobie palcami coraz to dziwniejsze stworzenia, które zamieszkiwały po drugiej stronie wodnego lustra. Moc ludzi także wychynęła spod pokładu, chcąc odetchnąć świeżym powietrzem. Ktoś nawet dobył lutni i zagrał kilka miłych dla ucha melodii.

Z taką obojętnością, z jaką znosił deszcz oraz chłód, Rycerz ignorował tę nagłą wesołość. Jego uwagę przykuwał morski szlak, którym zdążała flota, w drodze ku swemu przeznaczeniu. Rajem zdawała się Dalmacja, w której z przejrzystych wód wyrastały białe brzegi wapiennych skał. Nagość tych kości okrywał szmaragdowy płaszcz drzew oraz krzewów, łagodnie kiwający się na wietrze. Pod lustrem wody, na jasnych kamieniach, wzrastały fantastyczne konstrukcje z wielobarwnych koralu będących schronieniem dla setek poddanych Neptuna. Mieszkańcom zachodnich i północnych krajów niemożliwe wydawały się węzowidła, jeżowce oraz pełzające w kamienistym dnie strzykwki; kolorem przykuwały ich uwagę skorpeny, kształtem zaś mureny oraz karapy. Każde z tych istnień rozbudzało ich wyobraźnię oraz języki, jednak wszyscy zamilkli, gdy przy dnie pojawił się szary grzbiet rekina. Potężny drapieжник sunął nieśpiesznie w całym swym majestacie, unosząc obłoczki piasku ruchami ogona. Od czubka nosa po koniec spiczastej płetwy liczył ponad piętnaście stóp, połowę długości statku, pod którego dnem właśnie przepłynął.

Krzyżowiec, chociaż obserwował rekina z niemałą fascynacją, po chwili powrócił do swych myśli, których nie rozświetlił najmniejszy promyczek słońca. Rycerz rozpoznawał wyspy, które jak rzędy umocnień odgradzały Dalmację od morza. Zdeptał je niegdyś, bez mała wszystkie, w poszukiwaniu uciekinierki przed prawem, którą miał odprowadzić przed oblicze sprawiedliwości. Wszystko to za kilka michałów, złotych monet z wizerunkiem zapomnianego już cesarza z Konstantynopola. Z gniewnym pomrukiem, pierwszym chyba dźwiękiem, jaki wydał od wypłynięcia, Krzyżowiec zgasił te wspomnienia. Nie potrzebował ich teraz, ważne były nazwy wysp, w których gęstwinę wpływała teraz gromada weneckich korabi.

Nie była to droga ku Jeruzalem, co do tego Rycerz nie miał wątpliwości. Na cóż manewrować pomiędzy ostrymi koralowcami i zdradliwymi mieliznami, których bez liku czyhało na przepływające obok statki? Nawet dla wybornych jednostek starego Rzymu manewrowanie w gasnących godzinach

wieczora było trudnym wyzwaniem. Ta podstępna gęstwina mogła z łatwością rozerwać drewniane poszycie statków, a załogę rzucić na pastwę wszystkiego, co pływa, pełza, czołga się i wędruje pod lustrem wody.

Wraz z zapadającym zmrokiem coraz ciemniejsze myśli zaczynały nurtować Rycerza. Z nową odrazą spoglądał na dziesiątki okrętów płynących niemal burta w burtę między wyspami archipelagu. Morze czerwieniło się od promieni zachodzącego słońca; zdawało się płonąć żywym ogniem, drgającym od każdego uderzenia wiosła. Krzyżowiec żałował szczerze, iż z nieba nie zstąpi teraz słup płomieni, który zamieni całą flotę w biały popiół. Jednak wśród weneckiej Sodomy i Gomory musiało znajdować się dziesięciu sprawiedliwych, przez wzgląd na których Bóg nie zesłał jeszcze zasłużonej kary.

Flota zatrzymała się u zachodnich brzegów wyspy Ugljan. Galery powiązano ze sobą, a pomiędzy pokładami przerzucono kładki, zabezpieczając w ten sposób wojenne okręty przed nagłym sztormem. USSerie, ustawione w linię, wypuszczały na plażę zarówno zwierzęta, jak i spragnionych ruchu ludzi, z radością witających odmianę losu. Dwudniowa beczynność oraz nudności sprawiły, iż nawykli do twardego lądu pod stopami wojacy z werwą rozbijali namioty na brzegu wyspy. Żaden z krzyżowców nie chciał spędzić kolejnej nocy na mokrym pokładzie albo pod nim, w lepkiem zaduchu zamkniętej ładowni, pełnej ludzi oraz koni. Nawet prowizoryczny obóz, stawiany naprędce w ostatnich chwilach dnia, był dla takiej perspektywy wart trudu.

Rycerz nie kłopotał się o miejsce do snu. Miast tego upewnił się, że jego rumak w dobrej kondycji przetrwał rejs. Uważnie obejrzał kasztanka, jego pęciny oraz kopyta i ruszył w głąb wyspy.

Ożywcze powietrze wionęło spomiędzy gęstwiny skarłałych dębów oraz cyprysów. Nozdrza wypełniał aromat mitry oraz mięty, rosnących dziko na całej wyspie. Krzyżowiec szedł powoli, co jakiś czas napotykał kolczaste krzewy, jednak nie chciał jeszcze zapalać Czaszki Pielgrzyma. Oczodoły przywykały już do światła księżycowego i coraz łatwiej stawiało się Rycerzowi stopy. Gorejąca kość mogłaby przyciągnąć niechcianą uwagę, zwłaszcza iż po zmroku wiele istot zaczynało krążyć po takich odludziach w poszukiwaniu żeru. Mimo to Krzyżowiec rażno parł naprzód. Wkrótce opuścił las, wkraczając w wysokie trawy porastające stok wapiennego wzgórza. Na jego szczycie rosła kępa wawrzynu, co Rycerz potraktował jako dobry omen. Drzewa, z których zbierano laurowe liście, rosły w miejscach, gdzie skonali wielcy bohaterowie tej ziemi, teraz zapomniani. Z trzaskiem miażdżonych pod butami łodyg oraz obsypujących się wapiennych drzazg Krzyżowiec stanął na szczycie wzgórza.

Nie ślepy traf prowadził go w to miejsce. Rycerz pamiętał je dobrze i wyraźnie, tak samo jak wąski pas wody, który oddzielał wschodnie brzegi Ugljan od stałego lądu. Tam, pod drugiej stronie przesmyku, gorzały światła Jadery, niepodległego miasta, które podobnie jak Genua czy Amalfi trudniło się handlem. Pięknym zapamiętał to miejsce Krzyżowiec, ludzie tam mieszkali gościnni oraz pobożni, a powodzenie dawnego polowania przydawało wspomnieniom uroku.

Zanim Rycerz zeskoczył ze szczytu skały, omiół uważnie spojrzeniem ciemne drzewa, otaczające polanę cienistym murem. Wkoło panowała cisza, jednak mogła być to tylko cienka zasłona skrywająca koszmar. W takich miejscach lubowały się gryfy, a to zwierzęta zażarcie broniące swych rewirów przed obcymi. Nie dostrzegłszy żadnego niebezpieczeństwa, Krzyżowiec ruszył tą samą drogą z powrotem ku obozującej armii.

Na zachodnim brzegu płonęły już ogniska, wyrzucając fontanny iskier, które po chwili znikwały w ciemnościach. Rycerz zatrzymał się na skraju lasu i przypatrywał się namiotom, które niczym pasożyty wyrosły na wybrzeżu. Tysiące ludzi, setki namiotów i dziesiątki gorejących stosów, a gdzieś wśród nich znajdował się przywódca tej fałszywej krucjaty. Nie był to czarnowłosy krzyżowiec, noszący smoczą łuskę na ramionach, lecz naganiacz, pasterski kundel. Krzyżowiec szukał wzrokiem namiotu weneckiego admirała, a ponury rozbłysk w oczodołach oznajmił sukces tych łowów. W pewnym oddaleniu od obozowych ognisk stał rozłożysty namiot, przypominający rotundę o wielu absydach. Na jego ścianach złotą nicią wyhaftowano potężny herb Republiki. Tam spoczywał judasz, którego należy uciszyć i udusić.

Jednak Krzyżowiec nie miał zamiaru ferować wyroku bez pewności. Krążył po obozie, słuchał rozmów, gestami zadawał pytania, obserwował kazanie przeciwko schizmatykom z cesarstwa Greków; uważnie nadstawiał uszu, kiedy najemnicy łagodzą obawy innych przed atakiem na miasto braci w wierze. Podśluchiwał z ciemności, aż wreszcie pozostał w niej tylko on oraz mroczny zamysł, powołany do życia w wytwornych komnatach Pałacu Dożów.

Nie do Aszkelonu i nie do Akki płynęła ta flota, lecz do Jadery, aby Wenecji podporządkować handlowego rywala. Nie w imię wiary, lecz dla mamony walczyła Republika, fałszywie obiecując pomoc krzyżowcom w Outremer. Najemnicy mieli wziąć Jaderę pod pretekstem walki ze wschodnią schizmą, a zdobywszy miasto, bez trudu można by rzucić monetą, aby kilka stateczków pchnąć z krzyżowcami ku Orientowi. Łatwo będzie o taką łaskę, kiedy Wenecja pozyska dla siebie kolejny skrawek ładu, z którego dalej będzie snuć swoją pajęczynę handlu i lichwy. Papieża postawi już przed faktem dokonanym, Republika ofiaruje mu pokorne przeprosiny oraz trzodę nowych wiernych, którzy powrócili na łono Kościoła. Następca świętego Piotra niczego nie uczyni, bez sił zostanie, aby zmusić Wenecję do posłuszeństwa. Ta zasłoni się żarliwością krzyżowców i cały skandal potoczy się po jej myśli.

Gniewem zapalał Krzyżowiec na ten plan i co rychlej odnalazł swego konia, osiodłał go i wyprowadził poza obóz. Ukrył go w cyprysowym zagajniku, pozostawiając przy nim zbroję, tarczę, hełm oraz miecz; zostawił na sobie jedynie odzienie oraz nóż. Powierzywszy zwierzę świętemu Franciszkowi, powrócił do obozowiska i w gęstym mroku czekał naprzeciwko namiotu weneckiego admirała na stosowną chwilę.

Ta nastąpiła po północy, kiedy sen morzy człowieka z największą siłą, a w ciemności jarzą się jedynie wiśniowe kręgi dogasających ogni. Przed namiotem admirała stał jeden tylko strażnik, którego zmęczenie doganiało w nierównym wyścigu. Ziewając, próbował odpędzić od siebie natarczywego Morfeusza i wpatrywał się w ogień lampki, zawieszanej ponad wejściem do namiotu.

Wtem na karku czuje chłodny dreszcz, który z miejsca go budzi.

Ramiona Krzyżowca owijają się wokół jego szyi, dusząc w zarodku krzyk o pomoc. Szarpnięcie w tył obala go na kolana. Rycerz dławi strażnika, aż ten pada bez zmysłów na rozścielony przed namiotem dywan. Krzyżowiec układa wojownika pośpiesznie, by wyglądało, jakby ten zasnął z wysiłku, chociaż zaciej byłoby mu rozciąć gardło. Zanurza się we wnętrzu namiotu. Idzie cicho jak kot, z dłonią na kości słoniowej noża danego mu przez wieszczkę z Rawenny. Błyskawica wątpliwości przemyka mu pod czaszką: czy godzi się taki czyn? Pytanie znika szybko: to właśnie on musi go wypełnić. Czyni kolejny krok; nóż mile ciąży w jego dłoni. Wnętrze namiotu przedzielone jest na kilka pomieszczeń pasami grubych tkanin, w mniejszych śpi służba, w bogatszych rodzina. Rycerz jednak sunie tam, gdzie jeszcze pali się ogień. Dłonią odgarnia zasłonę i zamiera w bezruchu.

Przy niewielkim pulpicie, na krześle, plecami do wejścia, siedzi starszy mężczyzna. Pisze listy w świetle kilku świec, unosi kielich do ust, pije łyk, po czym wraca do pracy. Otacza go splendor: kufry zawarte ciężkimi kłódkami, luksusowe szaty zwisające na wieszakach, bogata zbroja stoi koło łoża. Tej nocy na nic się nie zdadzą te przewagi.

Krzyżowiec idzie cicho, jednym ruchem zasłania admirałowi usta i wbija klingę poniżej żeber. Powtarza cios raz i drugi. Mężczyzna szarpie się, ale wiotczeje natychmiast. Krew cieknie z jego ran na niebieski dywan, barwi go czerwoną plamą. Rycerz chwytą szal leżący na łożu i wiąże go na podobieństwo wisielczej liny wkoło karku zaszytowanego. Bez obrzydzenia chwytą żuchwę admirała i ciągnie ku dołowi. Kość pęka, a Krzyżowiec wycina z ust węzowy, rozdwojony przy końcu język. Pozostawia go w kielichu z winem.

Zgotowawszy śmierć godną dla judasza, Rycerz przebiega wzrokiem pisma admirała, zdobne w lakową pieczęć z herbem Wenecji. Niezdrowy uśmiech wykrzywia mu twarz, a listy skwapliwie gromadzi w jedną stertę. W pośpiechu szuka w namiocie sakwy, jednak czas go nagli. Nie chcąc polec w tak haniebnym miejscu, rusza ku wyjściu z namiotu, ściskając w dłoniach zdradzieckie listy.

Przekracza zdławionego strażnika i znika w mroku.

Idzie powoli, nie wybudzając nikogo ze snu. Z trudem nakazuje sobie spokój, swobodne kroki, a nie raptowną ucieczkę ku krawędzi lasu. Każde poruszenie, podmuch wiatru czy niespokojny oddech zdaje się zwiastować mu klęskę. Lada moment ktoś się obudzi, zawoła na alarm i ruszy w pościg za uciekinierem. Rycerza nie ukryje wtedy mrok czy zamieszanie, a pogoń bez trudu odnajdzie go pośród drzew, jakby czyn, którego się dopuścił, naznaczył go jaśniejącym w ciemni piętnem.

Krzyżowiec zatrzymał się nagle, słysząc za sobą ciężkie kroki. W jednej chwili usiadł przy najbliższym palenisku, wkoło którego spało kilka ciemnych postaci. Leżący obok mężczyzna mlasnął cicho, podrapał się pod kocem i obrócił na drugi bok. Po chwili znów oddychał długo, chrapliwie, pogrążony w sennych marzeniach. Kiedy odgłos kroków rozbrzmiewał już tylko słabym chrzęstem kamyków, ginącym w szumie wody, Rycerz wstał. Śpiący przy ogniskach i w namiotach ludzie wciąż byli nieświadomi ohydnej zdrady, jaka miała tu miejsce, oraz odwetu, który zrodziła ona na własne zatracenie.

Krzyżowiec dotarł szybko pod ciemne gałęzie cyprysów, gdzie przystanął na kilka chwil, uważnie nasłuchując odgłosów nocy. Wkoło panowała absolutna cisza, jakby wszelkie życie wstrzymywało dech, obserwując ucieczkę tej poparzonej maskary. Rycerz raz jeszcze spojrzął ku obozowisku, z żalem opuszczając szeregi armii krzyżowej. To, co sprawiło, iż wiele lat temu ruszył na kraniec świata do walki w obronie wiary, teraz jedynie nabijało kiesę przebiegłych łyczków. Kolejne zaś pokolenia wszystkich krzyżowców okrzykną mianem wyrodných zdrajców, nie kłopotując się nawet próbą zrozumienia.

Zostawiając rozmyślenia na inny czas, Krzyżowiec ruszył dalej, niemal po omacku znajdując przed sobą drogę. Zastygł jak posąg, kiedy nad głową huknął nocny ptak, ale wstrzymało go to jedynie na moment. Bez dalszych trudności odnalazł swego rumaka, odział się w pancerz, miecz na powrót przypasał do boku, po czym chwycił wodze i skierował się ku wschodniemu brzegowi wyspy.

Z gorzką ironią zdał sobie sprawę, iż poprzednim razem, gdy nocą wędrował po tych wyspach, to on był łowcą. Teraz umykał, przystając co chwila, aby znaleźć najdogodniejszą ścieżkę albo zatrzeć ślady kopyt. Nasłuchiwał pogoni, nie wając się rozpalić Czaszki Pielgrzyma, aby nie przykuwać niczyjego wzroku. Z każdym mięśniem napiętym do skoku przemykał przez las, z daleka obchodząc plamy księżycowego blasku, jakby i one należały do bezimienných stworzeń nocy.

Czy tak wyglądały tygodnie morderczej gry, kiedy to on polował na swoją ofiarę, tropiąc każdy jej ruch, łowiąc w powietrzu zapach jej strachu oraz rozpacz? Czy ona również dopuściła się zbrodni, aby powstrzymać większe zło, a przyszło jej zapłacić najwyższą cenę? Może była jedynie nikczemnym ochłapem mięsa, żerującym na słabszych i uciekającym w popłochu, kiedy w okolicy pojawiał się ktoś mocniejszy?

Kim ona wtedy była?

Kim teraz jest on?

Przedarł się z trudem przez cierniste zarośla, łamiąc z trzaskiem gałęzie, aby żaden kolec nie zranił jego rumaka. Ostatnia to była przeszkoda przed zejściem na kamienistą plażę i Krzyżowiec nie zamierzał szukać okrężnej drogi na brzeg. Plaża pełna była ruchu, jakby wszystkie kamienie ożyły nagle, wędrując z chrzęstem chitynowych pancerzy. Kraby umykały na boki pod butami Rycerza i podkutymi kopytami jego wierzchowca, rozstępując się jak wody przed wzniesionymi ramionami Mojżesza.

Tutaj już kończył się ląd, krok dalej i Krzyżowiec zanurzyłby się w czystych wodach Adriatyku. Dokładnie przed nim jarzyły się światła Jadery, malutkie drobinki jasności, które miały teraz prowadzić go na drugą stronę cieśniny. Rycerz owinał zdobyte pisma i dokumenty w tunikę, a pakunek ten wsunął pod ogłowie kasztanka – jedyne chyba miejsce, gdzie mogły uchować się przed wodą w czasie przeprawy. Zwierzę popatrzyło na swego pana, jakby rozumiejąc, co za chwilę miało nastąpić. Wpław chcieli pokonać przesmyk, rzucając wyzwanie nienazwanym drapieźnikom, które zamieszkiwały te wody. Sama myśl o tych potworach, dla których człowiek znalazł słowa, zniechęciłaby już wielu do tej przeprawy. Rycerz gotów był jednak zaryzykować starcie z jadowitymi meduzami i smukłymi rekinami,

aby ostrzec mieszkańców Jadery przed wenecką intrygą.

„Księga Psalmów” chwaliła Pana oraz jego dzieła, zamieszkujące głębiny mórz, sławiące Jego imię samą swoją obecnością. Wspominając te słowa, Rycerz niemalże nabrał pewności, iż Dawid mógł być dzielnym mężem i królem, ale nigdy chyba nie miał okazji pokonać nocą wód, w których roіło się od chwalebnych dzieł Stwórcy.

Zanim wątpliwości zdołały wypuścić swoje ohydne macki, Krzyżowiec ruszył naprzód, wchodząc do chłodnej wody. Koń parsknął niemalże po ludzku, ale bez wahania podążył za człowiekiem w ciemną toń.

Spokojna była ta noc, morze było gładkie, ledwie zmarszczone przez ruch fal. Niebo mieniło się tysiącem gwiazd krążących wokół dążącego ku pełni księżycowi. Po przepłynięciu stu kroków obawa o pogoń kompletnie opuściła Rycerza. Tylko człek obdarzony sokolim okiem mógłby dosięgnąć go z brzegu lotnym bełtem. Nie to jednak było troską Krzyżowca, wszak jego plecy okrywał kolczy pancerz, który chociaż ciągnął go ku głębi, pozwalał wytrwać w obliczu wrogiego strzelca.

Rycerz płynął na boku, z ręką na końskim siodle. Powolny to sposób, ale pewny dla obciążonego człowieka, zwłaszcza gdy trzeba pokonać znaczny dystans. W tempie ślimaka jednak posuwał się po ciemnej powierzchni morza, nie mogąc dostrzec niczego, co skrywała toń. Lecz nocne drapieźniki z głębin bez trudu mogły dostrzec ciemne sylwetki na jasnym tle nieba. Dla ich ślepi nawet ciemne godziny przedświt były klarowne, a ich szczęki gotowe do rozerwania ciała na strzępy.

Krzyżowiec nie mógł swobodnie wypatrywać zagrożeń, hełm oraz ciemności skutecznie ograniczały jego zmysły, a on nie ważył się oderwać wzroku od światełków Jadery. Chociaż zdawały się one tkwić w miejscu, Rycerz nie ustawał w wysiłku i przedzierał się dalej przez aksamitną toń. Jeżeli zatrzyma się, by ulżyć mięśniom w wysiłku, nieubłagana siła pociągnie go na dno, gdzie spocznie na wieki. Za późno było na następne myśli i powrót na wyspę. Chociaż miecz, pancerz oraz mokry kaftan zdawały się ważyć niczym ołów, Krzyżowiec wciąż trzymał się na powierzchni, sunąc mozolnie ku stałemu lądowi.

Gdzieś niedaleko rozległ się wysoki dźwięk nawoływania, któremu rychło odpowiedziało kilka podobnych. Coś wyrzuciło w niebo fontannę wody, która opadła z pluskiem do morza. Rycerz czuł poruszenie toni, kiedy minął go zanurzony pod powierzchnią stwór. Kolosalna musiała to być kreatura, równa tej, która połknąwszy Jonasza, poniosła go ku brzegom Syrii. Jeden z tych kolosów, mogących w gniewie wyrzucić i zmiażdżyć nawet największy statek.

Krzyżowcowi jednak nie było dane skorzystać z łaski Pańskiej, aby dotrzeć do Jadery. Liczyć mógł tylko na siłę własnych członków oraz nieustępliwość kasztanowego ogiera, który bez skargi pomagał mu w przeprawie. Woda raz po raz zalewała twarz Rycerza, wlewając się za stalową maskę hełmu i gasząc ogniki jego oczu. Z coraz większym wysiłkiem przychodziła mu walka z żywiołem, w każdej zaś chwili czuł, jakby napięte mięśnie miały zaraz rozerwać się na połowy w trzasku oślepiającego bólu. Kiedy tylko docierał do tej granicy, mimo cierpienia znajdował dość determinacji, aby wykonać jeszcze kilka ruchów. Po krótkiej chwili jego ramiona i nogi ponownie słabły, a umysł w otumanieniu pragnął już końca tej tortury; po części dlatego, aby od nowa mógł poczuć własne cierpienie. W tym podobny był do biczowników.

Długie były godziny tej przeprawy, ale coraz bliżej jarzyły się światła Jadery, a niebo powoli jaśniało pod dotykiem Jutrzenki. Prąd wody co prawda znosił Rycerza z kursu, jednak pchał go ku zbawiennemu brzegowi. Już fale łamią się na płyciźnie, wlewając się na piaszczystą plażę. Kasztanek pod kopytami czuje kamienie i staje mocniej na nogach, ciągnąc za sobą Krzyżowca. Mimo wyczerpania Rycerz wchodzi na plażę wyprostowany, zapadając się w mokry piach po kostki. Omija jeszcze kolczastą kulę jeżowca, po czym siada na kępie wydmowej trawy.

Chwila wytchnienia smakowała cudownie, jednak chłód poranka przenikał do szpiku kości. Dreszcze wstrząsały ciałem Rycerza, nie pozwalając mu zebrać myśli. Mógłby czekać na piaszczystej wydmie na świt, aż słońce wleje nieco życiodajnego ciepła w jego poparzone ciało, jednak podjęta misja

nie pozwalała mu na spoczynek. Krzyżowiec wstał i uporządkował konia, który do tej chwili skubał kępy zieleni. Poprawił popręg oraz ogłowie, upewnił się, czy zawinięte w tunikę dokumenty nie zostały zniszczone przez wodę. Kilka arkuszy zmokło zupełnie, a tusz rozmazał się przy narożnikach, ale najcięższe dowody wobec Wenecji pozostały nietknięte.

Prowadząc konia za uzdę, Krzyżowiec ruszył przez wydmy ku lśniącym w świetle poranka murom Jadery.

Po opuszczeniu dębowego zagajnika, oddzielającego zielonym pasem wybrzeże od głębokiego łądu, Krzyżowiec wkroczył na opuszczone pole uprawne. Rosnące tutaj zboże pozarastało chwastami, których nikt od dawna nie wrywał. Gdzieniegdzie leżały porzucone narzędzia i tylko samotny strach na wróble, powiewając szmacianymi ramionami, obserwował ten zapomniany łąn. Rycerz szedł powoli ku kamiennym ścianom zabudowań, czujnym spojrzeniem obrzucając sięgające pasa odrosty zielonych łądyg. Widział w czasie Dni Krzyżowych, jakie potworności mogą pełzać przy ziemi w takich miejscach. Dla spokoju ducha Rycerz wysunął miecz z pochwy.

Sioło było martwe.

Kurniki oraz stodoły stały otwarte, puste i opuszczone. W powietrzu unosił się zapach gnijącego mięsa, kału oraz murszejącego drewna. Odór czarnej śmierci. Kiedy Rycerz wkroczył między kamienne domy, nie miał już wątpliwości, iż tylko zmarli mogli odwiedzać to miejsce. Straszliwa cisza zalegała pospołu z gęstym mrokiem pod ciemnymi dachówkami.

Krzyżowiec spojrzął przez jedno z okiem do wnętrza, dostrzegając pomieszczenie tak schludne, że można by ulec złudzeniu, iż za chwilę do izby wejdzie smukła dziewczyna, na ręku niosąc świeżo upieczony chleb. Śpiewać będzie wesoło o rozkoszy miłości, ciemnymi oczyma wyjrzy na zewnątrz i pomacha do sąsiadów. Widząc obcego, wcale nie splonie wstydliwym rumieńcem, ale śmiało zaprosi go bliżej. Ułame mu kawałek chleba i doprawi go najśłodszym uśmiechem. W śpiewnej mowie nawet nieznanne słowa brzmieć będą pięknie, a obcy bez trudu zrozumie ich sens.

Jednak pokój był martwy. Tak samo martwa była dziewczyna. Martwe było dziecko leżące w kołysce. Martwi byli ich rodzice i martwy był ten dom. Czarna śmierć nie oszczędziła nikogo.

Rycerz przez długą chwilę nie mógł oderwać wzroku od tego widoku, aż wreszcie kasztanek za jego plecami zarżał ponaglająco, machając łbem ku siodłu. Krzyżowiec zadrżał, jakby został nagle wybudzony z głębokiego snu, i z wdzięcznością poklepał konia po chrapach. Delikatnie podciągnął się na grzbiet wierzchowca, zawiniątko z listami składając za łękiem siodła. Rumak uderzył kopytem w suchą ziemię, po czym dziarsko ruszył naprzód wydeptaną między polami dróżką.

Do murów Jadery Krzyżowiec dotarł jeszcze przed południem.

Brama miejska była otwarta, osadzona w masywnym murze między dwoma basztami. Most zwodzony łączył wyspę, na której ulokowało się miasto, ze stałym łądem, rozpięty nad szeroką fosą. Na umocnieniach brakowało drewnianych hurdydycji oraz machin wojennych, gotowych razić pociskami oblegających wrogów. W gardzieli bramy stał ledwo jeden strażnik, raczej beztrosko spoglądający ku przybyszowi spod pancernego ronda hełmu. Z miasta wyjeżdżała grupa konnych, eskortująca kilka zadaszonych wozów zaprzężonych w czwórki mułów. Rycerz minął karawanę, po czym zbliżył się ku strażnikowi. Ten rzucił kilka zwięzłych zdań na powitanie, jednak mimo przyjaznego tonu Krzyżowiec nie rozumiał ani słowa. Odwinął dokumenty z tuniki i podał całą ryzę papierów oraz pergaminów zaskoczonemu gwardziście.

Mężczyzna przebiegł wzrokiem po literach, poruszając przy tym bezgłośnie ustami. Po chwili zadał kilka szybkich pytań, ale widząc brak reakcji ze strony Rycerza, zawołał ku swym kompanom. Szybko powstało zbiegowisko mieszczan oraz zbrojnych, którzy przekazywali sobie dokumenty z rąk do rąk, coraz zwawiej gestykulując i podnosząc głosy.

Krzyżowiec zawrócił konia, po czym ruszył drogą, którą przybył do miasta. Milę wcześniej minął rozwidlenie dróg, które prowadziło ku wschodowi, przez góry, ku domenie królów Bośni, a później

Serbii. Tamteży postanowił ruszyć, przez surowe bałkańskie krainy aż do granic możnego państwa Greków, które wciąż mówiło o sobie: cesarstwo Rzymian.

– Neznahomy! – usłyszał Krzyżowiec za swymi plecami, lecz wzruszył tylko ramionami i jechał dalej, przed siebie. – Neznahomy!

Na cóż mu było angażować się w tę sprawę po raz wtóry? Siła jednego ramienia na niewiele się zda, gdy Wenecja stanie pod murami Jadery, ta zaś bez trudu odeprze szturm, wiedząc o nadchodzącym ataku. Dosyć mają czasu waleczni Chorwaci na przygotowanie miasta do boju, a gdy zjawią się na horyzoncie galery Republiki, powitają ich zawarty łańcuchem port oraz nawała kamiennych pocisków.

Rycerz trzymał w ręku tunikę, pod palcami czując splot grubych nici. Każdą z nich wplotła dłoń wieszczki z Rawenny, ona zaś ofiarowała to okrycie jemu. Czy widziała, za sprawą Pana, nadchodzące dni? A może to tęsknota za zwykłym życiem podsunęła jej myśl o podarunku. Dla Krzyżowca nie miało to znaczenia. Oczodołami chłonał wizerunek złotej czary, Kielicha Cieśli, z którego Chrystus pił w czasie Ostatniej Wieczerzy. Później zebrano do niego krew z Jego boku, rozdartego przez setnika Kasjusza, zanim przyjął imię Longina. Przez lata poszukiwał go bezowocnie Parsifal, a teraz jemu miała przypaść w udziale ta rycerska wyprawa? Jemu, mordercy i zdrajcy, którego nawet śmierć się wyparła? Czyżby Angela z Rawenny widziała więcej, niż wyjawiała mu w trakcie ich przelotnego spotkania?

Na skrzyżowaniu dróg Rycerz skręcił w lewo, ku wyżynie, zostawiając za plecami wody Adriatyku, wyspę Ugljan, wenecką flotę oraz niemalże wszystkie dary, jakie ofiarowali mu ludzie z Rawenny. Najbardziej bolała utrata kosztowności oraz złota, wobec których miał Krzyżowiec wcale imponujące plany. Bez nich trudniej będzie o zdobycie... Jednak to już przeszłość. Pozostało mu jedynie to, co miał na sobie lub przy siodle.

Droga biegła poprzez sioła i wsie, otaczające Jaderę od strony lądu, powoli wznosząc się wraz z upływem mil. Ta okolica także nosiła piętno zarazy, jednak ludzie nie poddali się tutaj całkowicie i wciąż trzymali się życia. Pola uprawne oraz sady były małe, ale zadbane. Nie brakowało nawet murków z białego wapienia, które znaczyły granice poszczególnych działek. Charakterystyczny odór zarazy mieszał się z wonią świeżo skoszonych łądyg, ziół, bzu oraz zwierzęcego nawozu i palonego drewna. Życie oraz śmierć mieszały się w gorącym powietrzu, nagrzanym przez wysoko stojące słońce.

Miejscowi skryli się przed upałem w swych domostwach. Czekali na chłodniejsze godziny dnia, oddając się odpoczynkowi albo lekkim pracom w obejściu. Rycerz widział ich z oddali, jak wyłaniali się z cienia, aby zniknąć w stodole lub lesie. Nikt natomiast nie ważył się wyjść na uprawne pola w tę najgorętszą godzinę dnia.

Jedna tylko postać krążyła pośród wzrastającego zboża, gładząc dłonią kłosa. Odziana w biel młoda kobieta. Czarne włosy falowały w nieładzie, kiedy od strony gór spływał chłodniejszy podmuch wiatru. Dziewczyna szła bosą, wielkimi oczyma wypatrując kogoś albo czegoś pomiędzy uprawnymi łanami. Zauważywszy Rycerza, ruszyła ku niemu z lekkością mgły, zdając się ledwie dotykać ziemi drobnymi stopami. Krzyżowiec wstrzymał rumaka, przypatrując się nadobnej młódce, która już była tuż, tuż.

– Dobry konik – powiedziała czarnowłosa dziewczyna, głaszcząc zwierzę po chrapach. Kasztanek chciał cofnąć się o krok, ale ostatecznie pozwolił na pieszczoty. – Szkoda, że nie mam dla ciebie jabłuszka.

Rycerz poczuł na skórze niemiłe drzenie. Słyszał urzekający, tęskny głos nieznajomej, lecz nie widział, aby jej usta się poruszały. Nie znał miejscowego języka, a mimo to rozumiał wszystko z doskonałą klarownością.

– Czy mogę z tobą pojechać? – zapytała dziewczyna, spoglądając z nadzieją w ciemne oczodoły Rycerza. – Ludzie tutaj mnie nie chcą i przeganiają każdego dnia. Wszędzie będzie mi lepiej niż tu.

Krzyżowiec spojrzał na oszałamiającą urodę młodej kobiety, na pełne usta i delikatną twarz, za której uśmiech mężczyźni walczyliby do śmierci. Nie umknęła jego spojrzeniu kształtna szyja oraz młoda, jeszcze rosnąca pierś. Oczy zamyślane, lekko przymglone, jakby rozmarzone po namiętym pocałunku.

Wszystko to jednak bladło wobec spostrzeżenia, które Rycerz poczynił na samym początku. Dziewczyna nie rzucała cienia.

Krzyżowiec podał rękę młódce, pomagając jej wskoczyć na siodło i usiąść przed nim.

– Dzięki ci po stokroć – ucieszyła się dziewczyna, obejmując Rycerza zgrabnymi ramionami. – Nie wiem, jak ci dziękować.

Krzyżowiec pchnął rumaka do łagodnego stępa, nie chcąc czynić dyskomfortu swej towarzysze podróży. Zastanawiał się również, cóż powinien uczynić z przytuloną doń południcą. Dziewczyna nie należała już do świata żywych, odeszła z niego w młodym wieku, być może tuż przed ślubem. Teraz ta pokutna dusza krążyła w najgorętszych godzinach dnia, nie wiedząc jeszcze, cóż ma czynić w tym życiu po śmierci. Niektóre południce bywały złośliwe, porywały dzieci i sprowadzały zamęt na okolicę, inne zaś służyły radą oraz pomagały łączyć młodych ludzi w miłosnym uścisku. Każda z nich miała na usługach siły, które przerażały zwykłych śmiertelników, napawając ich lękiem przed żarem stojącego w zenicie słońca.

– Jesteś bardzo skryty – powiedziała dziewczyna smutnym głosem. – Mam nadzieję, że nie z mojej winy.

Rycerz pokręcił głową w odpowiedzi.

W milczeniu jechali dalej, opuszczając służebne wioski Jadery i zmierzając ku ciemnym lasom porastającym wyżynę. Pewną wesołość wzbudziła w Rycerzu ta sytuacja. Wszak martwy martwej pomagał, a okolica przez długie dni będzie żyć opowieściami o dniu, kiedy upiór wskoczył na rycerskie siodło. Kim zostanie Krzyżowiec w tych gawędach: zwiastunem wojny czy może posłańcem nieba?

Droga zwęziła się w ścieżkę, której używali pasterze wypasający stada na górskich halach. Prowadziła ona ku wierzchowi długiego grzbietu, pośród pól wysokich, żółkłych traw. Co jakiś czas z wiatrem dochodziło tutaj beczenie owiec oraz szczekanie pasterskich psów. Południca, z dziecięcą ciekawością, kręciła głową, oglądając otaczający ją świat. Zapewne po śmierci nigdy nie opuściła swej wioski, w której krótko pędziła ziemski żywot.

– Pięknie tutaj – powiedziała wreszcie. – Wszystko jest tak odległe i wielkie, można by iść tygodniami, świat wcale się nie skończy, prawda?

Rycerz przytaknął.

– Dużo podróżujesz i pewnie widziałeś mnóstwo ładnych miejsc. – Dziewczyna westchnęła tęsknie. – Też chciałabym zobaczyć to, co ty.

Krzyżowiec skrzywił się pod maską hełmu, dziękując Opatrzności za stalową blachę skrywającą mu twarz. Cóż by pomyślała południca o swoim dobrodzieju, gdyby spojrzała w głąb jego wspomnień? Wypełniały je obrazy straszliwe, pozbawione choćby krztyny piękna i subtelności. Wszystkie odmalowane były z bezlitosną ostrością oraz kolorami, które nie pozwalały odwrócić od nich myśli. Hipnotyzowały brutalnością, która zdawała się nie mieć końca, malowały poszatkwane wspomnienia Krzyżowca czerwienią ludzkiej krwi. Gdzieś daleko pod nimi, pod stertami pociętych ciał, mogły leżeć resztki starego życia. Ale głęboko należałoby drążyć w obrzydliwej materii, aby odszukać coś, co i tak już nie miało znaczenia dla martwego Rycerza.

Milczeniem więc zbył te słowa, obserwując nieznaną sobie krainę.

Z wysokości obejmował wzrokiem odległe masywy gór, które niczym rzędy zębów tworzyły skalny grzebień biegnący z południa ku północy i zachodowi. Niektóre z tych szczytów pokryte były zielenią, na innych natomiast nagie skały odbijały słoneczny blask. U ich podnóża rozciągały się ciemne doliny upstrzone lazurowymi taflami jezior oraz wiekowe lasy żywiące nienazwane przez człowieka istoty. Ponad morzem zieleni wyrastały kamienne iglice, pozostałości zwiędłych dawno turni. Na ich szczytach wznosiły się jasne mury klasztorów oraz zamków, strzegąc okolicznych osad i miasteczek. Pomędzy nimi, u stóp wszystkich skalnych kolosów oraz szczytów, wiły się zielonkawe cielska rzek, toczące się ku brzegom morza.

Jadąc grzbietem i mijając położone w dolinie wsie, Krzyżowiec dotarł do płasko ściętego szczytu, otoczonego rozbitym murem z kamieni. Ponad nim wznosiły się ruiny opuszczonego kościoła. Szeroka fasada, ciemny portal zwieńczony łukiem, bliźniacze wieże na bokach, rozsypujące się teraz w stopy gruzu, przerastające z wolną roślinnością.

– Tu był kiedyś klasztor – powiedziała dziewczyna. – Ciekawe, dlaczego wierni go opuścili. Zajrzemy do wnętrza?

Rycerz zgodził się, widząc w tym miłą odmianę w swej wędrówce. Prawda, śpieszno mu było do Jeruzalem, ale moment spędzony tutaj dla ukontentowania południcy mógł mu oszczędzić przykrości. Nie chciał lekkomyślnie narazić się na gniew upiora, kiedy nie miał w rękę święconej wody. Kasztanka pozostawił opodal muru, dając zwierzęciu odpocząć. Koń jednak parsknął z niepokojem, spoglądając ku bielejącej postaci dziewczyny, która zaglądała ciekawie do wnętrza ruiny. Rycerz dostrzegł to, poklepał rumaka po karku, po czym dołączył do południcy z Czaszką Pielgrzyma w dłoni.

Wnętrze starego kościoła było wilgotne i chłodne. W świetle płomienia filary dzielące nawy rzucały ostre cienie na pokryte freskami mury. Krzyżowiec widział podobne ruiny w Italii, pozostałości po szczęśliwych czasach Imperium, które obejmowało wszystkie chrześcijańskie krainy. Po tylu wiekach nie uchowały się tutaj ławy, posągi czy ikonostas. Jedynie kamienna sztaba ołtarza wznosiła się na tle wypukłej ściany absydy. Mimo to Rycerz uklęknął i przeżegnał się. Kiedy klęczał, ponad jego głową rozległ się świst. Coś trąciło go w ramię, jak bat przecinając powietrze. Krzyżowiec spojrzał na boki, zaniepokojona południca rozglądała się niepewnie dokoła.

Jeden z fresków na ścianie, święty Jan, poruszył się i rwąc na strzępy swą postać, zaczął unosić ramię. Chociaż z jego ran natychmiast popłynęła ciemna posoka, Ewangelista wskazał palcem ku ciemnemu sklepieniu kościoła.

Rycerz natychmiast wstał, dobywając miecza. Rozpaloną Czaszkę Pielgrzyma wzniosł nad głowę, wydobywając z mroku zagubiony koszmar nocy.

– Boże! – jęknęła dziewczyna, osuwając się na ołtarz.

Na suficie siedział ogromny pajęczak. Odwłok jak u kleszcza, pokryty chitynową płytą. Pysk zbrojny w pary szczypiec oraz kłów, które nieustannie poruszały się w oczekiwaniu na żer. Kolczaste nogi utrzymywały monstrum pod sklepieniem, a para biczowatych czułków omiatała teraz wnętrze w poszukiwaniu intruzów. Ślepa i głucha uropyga powoli zeszła po ścianie, zagradzając ofierze ucieczkę w światło dnia.

Rycerz obserwował, jak ten pomiot, zwyrodniałe potomstwo skorpiona i pajaka, opada na podłogę kościoła ze złowieszczym łoskotem. Stał samotnie naprzeciwko tego ohydztwa, a jego myśli skamieniały w jedno postanowienie.

Chronić dziewczynę.

Czulki smagnęły go po hełmie, a monstrum podeszło o krok obok. Szerokie szczypcy otwarły się, dotykając obydwu ścian kościoła naraz, gotowe pochwyć wszystko, co tylko wyłowi z ciemności jedyny zmysł uropygi: dotyk.

Krzyżowiec nie zwleka. Idzie bez strachu, wprost ku złowieszczej paszczy. Kuli się, aby ponad głową ciskały się bicz potwornych czułków. Jeden tylko widzi sposób na zwyciężenie tej maskary, a jest to stanie tak blisko jej cielska, iż bezużyteczne będą wszystkie jej kolce i zęby. Uropyga niepewnie posuwa się naprzód i cofa się, a Krzyżowiec zastyga w bezruchu. Krok za krokiem zaczynają tańczyć. Za wszelką cenę unika Rycerz starcia, w którym niechybnie zginie. Jeden zły ruch kosztować go będzie resztki życia.

Krzyżowiec przesuwając się ku ścianie kościoła, jest ledwo jard od rozwartych szczypców, ale nie może teraz myśleć o nich. Bierze zamach i rzuca Czaszką Pielgrzyma w łeb uropygi. Ta drży w zaskoczeniu i atakuje z furią widmowego przeciwnika. Z trzaskiem, w ułamku chwili, zamykają się kleszcze na pustym powietrzu.

Na tę chwilę czeka Rycerz. Biegiem rzuca się ku potworowi. Z rozbiegu skacze na jego grzbiet, mieczem tnie dwa razy. Każdy cios odrywa czułki uropygi od korpusu. Ta rzuca się jak wściekła, strąca z siebie Krzyżowca, który upada ciężko za nią, tuż przy progu. Z odwłoku kreatury tryska cuchnąca ciecz, która jak kwas wgryza się w mięso Rycerza. Kilka kropel przedostało się pod hełm, przygotowując o katusze, ale on już wstaje. Mógłby teraz uciec na zewnątrz, w bezpieczne światło dnia. Po cóż miałby ryzykować, aby chronić widmową niewiastę?

Uropyga kuli się, nie mogąc otrząsnąć się z cierpienia. Na oślep miota szczypcami, chcąc zadusić i zmiażdżyć wroga, który tak wielkie zadał jej rany. Wciąż jest śmiertelnie niebezpieczna, ale bez czułek, drgających jeszcze na podłodze, gryzie w złości filary, nie odróżniając mięsa od kamieni.

Krzyżowiec czeka, nie dając się ponieść bitewnemu uniesieniu. Jeden cios musi jeszcze zadać. Pomiędzy chitynowe płyty, chroniące jej łeb. Powoli idzie Rycerz, miecz chwyciwszy oburącz. Czaszka Pielgrzyma toczy się po całym wnętrzu, trącana przez szalejące w amoku kończyny stwora.

W chwiejnym świetle łatwo o pomyłkę, gdy z ciemności nagle wypadną mordercze kolce uropygi, więc Krzyżowiec podchodzi ostrożnie. Nagle zrywa się do biegu. Skacze w bok, unikając zakończonego ostrzem odnóża. Jest coraz bliżej, lecz teraz wściekłość dodaje piekielnemu skorpionowi werwy. Teraz jest najbardziej niebezpieczny, gdy walczy o życie na skraju swego legowiska.

Uropyga czuje jego ruchy, atakuje, ale zbyt późno. Rycerz ciska się na boki, toczy po ziemi, nie pozwalając złapać się w morderczy uścisk, który wyciśnie z niego całe życie. Ślepa maskara opada z sił, z łowcy stając się zwierzyną.

Rycerz wbiega po nasadzie szczypców i z całą mocą wbija miecz w łeb potwora. Skorpion wije się, ale niczym już nie może dosięgnąć swego pogromcy. W bezgłośnej agonii osuwa się na posadzkę. Jeszcze przez długą chwilę podkurczone odnóża będą drgać w spazmach, a kleszcze otwierać i zamykać, jakby w truchle palił się wciąż ognik życia.

Krzyżowiec wyszarpnął miecz z ciała i podjął Czaszkę Pielgrzyma. Krótkie to było starcie, ale siły już wracały do niego, zdawałoby się, jeszcze liczniejsze niż wcześniej.

Południca wychynęła zza ołtarza, podbiegła do Rycerza i przytuliła się mocno do niego. Nic nie mówiła, ale gest ten mówił o wiele więcej niż puste słowa. Naraz Krzyżowca przestały palić żrące rany, a miast tego poczuł niemalże obcą mu dumę. Mógł uciec od tej walki, nie stawać w obronie upiora, ale wybrał ryzyko. Tak jak wołał Ulrich von Liechtenstein: w służbie dam. Nie oglądając się na koszmarne ciało, drżące jeszcze w mroku, opuścili ruiny kościoła.

Kasztanek zarżał radośnie, widząc swego pana w dobrej kondycji. Przykłusował po łące i zatrzymał się przy rozbitych murach opactwa. Nie chcąc spędzić ani chwili dłużej w tym miejscu, Krzyżowiec posadził dziewczynę na siodle, a sam ruszył obok, z dłonią na końskim ogłowie.

– Czy na świecie jest ich więcej? – zapytała południca, spoglądając ponad ramieniem na wymarłą świątynię. Czarne włosy zafalowały. – Takich stworów?

Rycerz przytaknął z ociąganiem. Niemiła to wiedza, ale po cóż kłamać, jeżeli prawda z łatwością niesie swój ohydny łeb, nie zważając na bezsilne słowa: to niemożliwe.

– Dobrze więc, że są ludzie, którzy z nimi walczą – dodała młódka z naiwnością, która musiała jej pozostać po poprzednim życiu. Umarła młodo i nie zasmakowała goryczy życia, nieuchronnie przenikającej dni dorosłości. W jej oczach świat wciąż mógł być piękny, nieskomplikowany, wyzuty z hipokryzji oraz dwulicowości.

Jakże podłe wydawało się Rycerzowi, iż wielu ganiło taką naiwność, kiedy tylu ludzi oddawało życie za namiastkę lepszego świata. On sam przecież niegdyś ruszył na krucjatę w wierze, iż będzie nieść pomoc braciom i siostram w Lewancie i pomoże odzyskać kraje należące do cesarza Greków. Za lepszy świat poszedł walczyć u boku Normanów, ale szybko nauczył się pod sztandarem Bohemunda, w jaki sposób naprawdę biegną koleje życia. Przynajmniej tak starał się myśleć: iż stanął w szeregu tej wyprawy dla większego dobra.

Krzyżowiec maszerował, torując ścieżkę pośród wysokich traw porastających wyżynę. Słońce za plecami wydłużało cienie Rycerza oraz konia, które padały na falujący lekko łąn. Południca milczała, zapewne uświadamiając sobie z wolna swój los. Była martwym upiorem, strzępem dawnej osoby, pozostawionym na tym świecie w celu, którego jeszcze w pełni nie pojmowała. Jej ciemne oczy nie odrywały się od cienistej sylwetki konia, który na grzbiecie niósł jedynie puste siodło.

Gorzka to wieść dla tak pięknej istoty.

– Zniknę wraz ze słońcem – powiedziała wreszcie.

Krzyżowiec zatrzymał się i pomógł dziewczynie zsiąść pomiędzy trawy. Ciało zjawy powoli traciło ostre kształty, rozmywało się niczym mgielny opar.

– Czas na mnie. – Południca uśmiechnęła się delikatnie, po czym ruszyła przez trawy. Z każdym krokiem była coraz mniej wyraźna, aż wreszcie pozostał po niej tylko strzęp jasnego dymu, niknący między źdźbłami.

Krzyżowiec wskoczył na siodło, popychając konia do żywego stępa. Jeszcze na zachodzie gorzała łuna słońca, kiedy wschodnia sfera już oblekła się w granatową barwę, zdobną w konstelacje srebrnych gwiazd. On zaś chciał przed zapadnięciem kompletnych ciemności dojechać do ciemnej linii drzew, rozciągającej się nie dalej niż milę przed nim.

Rozstanie z południcą zostawiło w jego ustach smak popiołu. Widziała w nim człowieka, jakim on z pewnością nie był. Przejechał palcami po tunice, napotykając kilka wypalonych dziur, śladów po stoczonych niedawno walce. Był stworem, który dla rozlewu krwi oraz kosztowności gotów był rozerwać na strzępy każdego. Niewiele w tym różnił się od uropygi, której życie odebrał w ruinach kościoła. Właśnie tak postąpił na ulicach Florencji, dusząc młodego chłopaka tylko dlatego, iż otrzymał za to nieco twardej monety.

Na to wspomnienie Krzyżowiec skrzywił się z niesmakiem. Odrazę poczuł do własnych poparzonych dłoni. Jednak tak jak niegdyś z tyłu czaszki odezwał się cichy sprzeciw. Nie był to głos, który prowadził go dawniej, ale były to jego własne myśli. Teraz to one stały mu się drogowskazem na drodze ku Outremer.

Czyż od tamtych dni nic się nie zmieniło? Prawda, nie pędził żywota świętego eremity, do tego nigdy by nie zdołał siebie zmusić, jednak mniej już lubował się w brzęku srebrnych i złotych monet. Nie nalegał na hojne dary mieszczan z Rawenny, chociaż były mu w smak. Koniec końców wyrzekł się ich, kiedy uciekł spod zdradzieckich sztandarów Wenecji, by ostrzec mieszkańców Jadery. Głód walki nieustannie pchał go naprzód, lecz teraz w dobrej sprawie chciał oddać swoje zbrojne ramię. Mógł uciec od Dni Krzyżowych, zamknięty w bezpiecznych murach świątyni, wytrwać przy Wenecji dla zysku, a południcę przepędzić, nie ryzykując życia w śmiertelnych zapasach z pajęczym koszmarem. Łatwo by pędzić żywot bez przemocy, raz po raz umykając przed konfrontacją, przyzwalając na pleniące się wokół zło. Jednak to droga tchórzostwa, nie pokory. Rycerz nie umiałby przybrać fałszywej maski człowieka, który łagodnością wymawia się od walki, jeżeli może do niej stanąć z potrzeby serca oraz w sprawiedliwej obronie.

Kiedy dotarł pod ciemne korony drzew, gotów był w spokoju ducha odpocząć po długim dniu. Wszak zeszłej nocy podjął trud przeprawy do Jadery, a od tamtej chwili niewiele dawał sobie wytchnienia. Konia rozsiodłał i puścił wolno, aby ten pasł się i spał w spokoju. Ze strony kasztanka nie obawiał się Krzyżowiec zdrady. Razem wiele przygód doświadczyli, więc nie chciał swego czworonogiego przyjaciela pętać. Jeżeli by niebezpieczeństwo zaszło, lepiej dla kasztanka, by mógł swobodnie biec i stanąć do walki niż skonać z łbem przywiązany do jakiegoś pniaka.

Krzyżowiec rozniecił ogień, po czym z siodłem pod głową zapadł w smolistą otchłań snu.

Obudził się tuż przed świtem, ognikami oczodołów lustrując otoczenie.

Ciemne pnie odcinały się delikatnie na tle nieba, które dopiero z wolna traciło nocne barwy. Stojący przy ogniu kasztanek uniósł głowę, nasłuchując świergotu porannego ptactwa. Wkoło panowało zwykłe poruszenie, towarzyszące każdej przemianie nocy w dzień, budzące się do życia owady, odległy ryk niedźwiedzia, trzask gałęzi pod kopytami jeleni.

Rycerz wstał powoli, otrzepując tunikę z liści.

Przeszedł kilka kroków dla rozprostowania kości, spoglądając co jakiś czas przez liście na jaśniejące niebo. Coś w powietrzu przyprawiło go o dreszcz. Nie podobał mu się ten szary świt, chociaż nie potrafił ustalić przyczyny swego niepokoju. Być może dlatego, iż nic złego nie spotkało go w ciemnych godzinach nocy? Wszak spokojny odpoczynek z rzadka był mu dany w czasie jego wędrówki. Krzyżowiec usiadł przy ognisku, palcami wygrzebując z popiołu drzazgi żaru. Mijały kolejne chwile, a on miał powoli węgle w ustach, chłonąc ich życiodajne ciepło.

Las pojaśniał, a na ściółce położyły się drgające cienie tysięcy liści. Kopuła zieleni unosiła się wysoko ponad ziemią, wsparta na masywnych filarach dębowych pni. U ich stóp rozciągał się dywan mchów, porastający kamienie oraz powalone drzewa; kobierzec tym gęstszy, im dalej sięgnąć wzrokiem od krawędzi lasu. Rycerz spoglądał, jak słońce wydobywa z ciemności tę żywą katedrę, z witrażami zieleni i sklepieniem konarów. Nie mógł jednak całego poranka spędzić w miejscu, oporządził więc kasztanka, osiodłał go, po czym ruszył, trzymając słońce w lewym oczodole.

Żwawo kroczył wierzchowiec po miękkiej glebie, instynktownie unikając wykrotów oraz śliskich kamieni. Mech tłumiał uderzenia podkutych kopyt, jakby celowo chciał zachować nabożną ciszę wypełniającą las. Wszak stare to było miejsce, pełne drzew pamiętających czasy, kiedy młody był jeszcze Babilon i młoda była Assyria. Każdy z tych pni skrywał w sobie własne sekrety, w ukryciu przed światem. Tajemne słowa, jakich człowiek nie powinien nigdy poznać, szepty podziemia, wysrane przez korzenie sięgające głęboko w trzewia ziemi. Jeżeli by stanąć w kompletnym bezruchu, być może uda się posłyszeć ich odległe echo.

Do południa Rycerz jechał bez odpoczynku, mijając kamieniste szczyty leśnych wzniesień. Chociaż dochodziły go piski oraz pomruki mieszkańców puszczy, nie dostrzegł żadnego ruchu w gęstwinie. Ptaki skryte były wysoko w koronach, a po innych zwierzętach pozostały jedynie ślady oraz wąskie ścieżki, które od dawna nie widziały ludzkich stóp. Kiedy słońce wzniosło się najwyżej, Krzyżowiec zatrzymał się na skraju potoku, popuszczając wodze rumakowi, który zanurzył chrapy w wodzie.

Wiatr poruszył drzewami, niosąc ze sobą cichy szelest liści. Koń uniósł łeb, równocześnie z Rycerzem spoglądając ku łagodnemu stokowi otaczającemu ruczaj. Pomiędzy pniami siedł ogromny kot; futro miał orzechowe, nakrapiane czernią. Spiczaste uszy drgały bezustannie, łowiąc wszelkie dźwięki. Ryś zatrzymał się, kierując na Krzyżowca brodate oblicze. Szlachetne oczy zwierzęcia zwięziły się, a pazury nieco mocniej wbiły w ściółkę. Drapieżnik obserwował z pewnym zainteresowaniem Krzyżowca, po czym skoczył w bok i zniknął między drzewami.

Rycerz nabrał wodzy w garść, kierując wierzchowca na południe, gdzie teren zdawał się łagodnie opadać ku dolinie. Wraz z wędrówką słońca na zachód las rozbrzmiewał coraz to nowymi dźwiękami. Wiele z nich w uszach Krzyżowca było złowieszczych, jak nawoływania wilków, innych zaś nie umiał nazwać. Po spotkaniu z piekielnym skorpionem w ruinach, wcale niedaleko leżących od lasu, Rycerz wolał trzymać dłoń na rękojeści miecza.

Zapadał już zmierzch, kiedy Krzyżowiec napotkał ziejącą w zboczu góry pieczarę, kamienną paszczę, dość obszerną, aby zmieścić w niej konia oraz palenisko. Jaskinia nie była zbyt długa, a co ważniejsze, wyglądała na niezamieszkałą. Dla Rycerza było to wyborne miejsce. Dostyc znalazł w okolicy opadłego drewna, aby żywić ogień, dzięki czemu nie musiał dotykać żywych drzew. Gdyby nie to, noc spędziłby przy chłodnym blasku Czaszki Pielgrzyma, gdyż nie odważyłby się skrzywdzić antycznego lasu.

Mając zapas opału, przygotował także kilka zaostrzonych pali, którymi zagroził wejście do jaskini. Wszystkie te prace skończył równo ze zmierzchem, szybko zapadającym w labiryncie drzew. Kasztanek, chociaż z początku niechętny jaskini, teraz stał grzecznie w jej gardzieli, nie chcąc opuszczać bezpiecznej kryjówki. Rozniecenie ognia zajęło Rycerzowi nieco więcej czasu, niżby chciał, gdyż drewno było wilgotne, ale wreszcie przywołał swego najmoźniejszego sojusznika.

Powoli płynęły godziny nocy. Ogień palił się spokojnie, choć zmokły opał dawał sporo białego dymu, który przez jakiś czas snuł się po jaskini. Krzyżowiec liczył w myślach do stu, po czym zginał jeden z palców u dłoni i zaczynał od nowa. Kiedy obydwie pięści miał już zaciśnięte, dorzucał nieco drewna do ognia. Zapadał przy tym w krótkie drzemki, z których budził się, gdy tylko głowa opadła mu na piersi.

Właśnie się ocknął, uniósł spojrzenie ku czarnemu otworowi jaskini, kiedy dostrzegł sześcioro ślepi. Niebieskie punkciki mrugnęły naraz, po czym ukryty w ciemności stwór oddalił się w głąb lasu.

Tej nocy Rycerz nie zaznał już odpoczynku.

Kiedy tylko nastał świt, a pod zielone sklepienie liści wdarło się dosyć światła, Krzyżowiec ruszył pośpiesznie w dalszą podróż. Samotnie czuł się, wyjątkowo kruchy wobec nieokiełznanej siły Natury. Wszak Bóg stworzył ją wcześniej niż człowieka, jakby chcąc podpowiedzieć swemu ukochanemu dziełu, że bez Natury ludzki ród skona, ale bez rodu Adama świat obejdzie się w zupełnym porządku. Rycerz był tego faktu więcej niż świadom.

Teren tutaj wciąż opadał, jednak coraz słabiej i łagodniej. Przez ściółkę coraz częściej przebijały się omszałe skały, pomiędzy którymi wierzchowiec nie mógł iść z poprzednią chyżością. Rycerz dopiero po chwili zorientował się, iż zbyt regularne kształty przybierają te kamienie. Jechał po polu zapomnianych krzyży, po omszałych grobach przerośniętych korzeniami drzew.

Przeżegnał się, nim za plecami zostawił to miejsce.

Słońce wstąpiło już na zachodnie stoki nieba, kiedy Rycerz dostrzegł pierwsze znaki świadczące o niedawnej obecności ludzi. Najpierw były to proste szalasy oraz czarne kręgi wypalonych ognisk, później zaś ścieżki poznaczone podeszwami butów odcisniętych w błocie. Las robił się tutaj gęstszy, z młodszymi drzewami pnącymi się ku niebu. Tutaj widać już było wykroty pozostawione po wyrębie oraz setki drobnych odłamków i drzazg, jakie znaczą miejsce pracy drwala.

Znalazłszy drogę, którą zwożono drewno, Rycerz opuścił wiekową puszcę i jechał teraz bukowym młodniakiem. Gęste zarośla oraz krzewy przesłaniały mu wszelki widok, ale powietrze robiło się coraz lżejsze, pełne wigoru i wolne od ciężkiego oddechu wiekowych drzew. Droga prowadziła w dół zbocza, głęboko wcinając się w stok, i przypominała tutaj raczej wyschnięte koryto potoku niż trakt. Rycerz zeskoczył na ziemię i prowadził konia tą stromizną, unikając obluzowanych kamieni, na których bez trudu można połamać nogi.

Przesieka zawiodła go wierzchem górskiego żebra, ku szerokiej dolinie wyżłobionej przez nieustępliwą rzekę. Lśniący zielenią nurt wyciął w twardych skałach wijące się koryto, którego zakręty zdobiły nagie łby kamiennych szczytów. Rzadki już las coraz mocniej ustępował otwartym przestrzeniom, na których pasły się stada bydła. Droga na tyle już złagodniała, iż Rycerz na powrót mógł jechać w siodle, mijając grupki górali, którzy wspinali się różnym krokiem w przeciwnym kierunku.

Byli to krzepko zbudowani ludzie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, o ciemnych włosach i oczach, w których błyskały bez ustanku iskry dumy. Nosy mieli wydatne, o szerokich nozdrzach, podobnych do tych, jakie mają zwykle istoty obdarzone wybornym węchem. Nosili się dumnie, przyodziani w białe koszule i zdobnie wyszywane spodnie. Nie mniej piękne były suknie kobiet. W czasie marszu wspierali się na kijach bądź długich toporzyskach, zwieńczonych żeleźcami toporków. Rycerz uniósł dłoń na powitanie, górale odpowiedzieli skromnym skinieniem głów, raczej z grzeczności niż z prawdziwego szacunku.

Bez kolejnych przygód dotarł już Krzyżowiec na dno doliny, gdzie dyłowaną drogą podążył na

wschód. Kierunek ten w połowie go tylko zadowalał, lecz na południu płynęła szeroka rzeka o bystrym nurcie, której Rycerz nie chciał forsować. Z pewnością nie okazałoby się to trudniejsze od rzucenia się przez morze ku Jaderze, lecz rozważniej było odnaleźć most lub prom. Wszak nie była to bezludna okolica; wodnymi traktami łatwiej spławiać urobek drewna czy plonów. Rycerz przeto jechał drogą, która szerokim łukiem odbiegła od brzegów rzeki, prowadząc obok wioski zbieraczy asfaltu.

Czarne było jezioro, wypełnione tą gęstą cieczą, z której wyrastały rzędy drewnianych pali, na ich barkach zaś spoczywały chaty. Były one złączone ze sobą ścianami, tworząc zamkniętą społeczność, komunikującą się z lądem przez długi most. Mieszkańcy tego miejsca byli chudymi stworami, pokrytymi czarnymi płatami asfaltu oraz gruzlastymi naroślami. W ustach żuli bryłki bitumenu, plując co jakiś czas szerniącą śliną. Pracowali wytrwale, nurkowali w jeziorze albo okuwali kilofami asfaltowe bryły, wydobywając to bogactwo ziemi. Następnie rozbijali je na drobne fragmenty drewnianymi kafarami i gotowali w kotłach, nadając im płynną postać, oddzielając zaś odłamki innych skał. Beczki asfaltu kupowali liczni ludzie, jednak największe zainteresowanie wykazywały stocznie, w których tym spoiwem łączono kadłuby statków.

Rycerz widział już podobne wioski w przeszłości. Zawsze dumał, czy mieszkające na jeziorach bituminu istoty były ludźmi, czy stworami zrodzonymi wprost z ciemnych głębin, które przyjęły kształty oraz obyczaje człowieka. Nie zatrzymał się jednak, aby poszukać odpowiedzi na to pytanie. Zbliżał się wieczór, a on chciał pokonać jak najwięcej mil przed zachodem słońca. Tutaj, gdzie szlak wytyczały mu drogi oraz ludzkie osiedla, gotów był jechać lub iść przez całą noc, wytrwale zmierzając ku Jeruzalem.

Jeszcze nim nadciągnęły ciemności, Krzyżowiec zajechał do bogatej wsi rozłożonej na zboczu doliny. Białe były tu ściany domów, ułożonych na kamiennych tarasach. Przysadzista bryła kościoła nie miała wież, lecz nadrabiała ten brak potężną absydą oraz szerokimi nawami. Pomiędzy uliczkami panowało wielkie poruszenie i chyba wszyscy mieszkańcy wylegli na zewnątrz w wesołej atmosferze. Płonęły ogniska, w powietrzu niósł się tęskny dźwięk smyczków oraz lir, a korowody tańczących mieniły się mnogością barw. Bawili się wszyscy pospołu, dorośli oraz dzieci, nawet duchowni, a herbowi bez wstydu trzymali się za ręce z mieszkańcami wsi.

Krzyżowiec minął wieś, chociaż widział nad brzegiem rzeki przystanie oraz zbite z bali tratwy, którymi mógłby się przeprawić na drugi brzeg. Nie chciał przerywać wesołej atmosfery tak przykrą prośbą, zwłaszcza iż znana mu była z opowieści słowiańska gościnność. Raz postawiwszy stopę w tej wiosce, musiałby wziąć udział w zabawie aż do świtu, zanim pozwolono by mu choćby pomyśleć o wyjeździe. Wielu nierozważnych przeceniało swoje siły i sądziło, iż dosyć mają wytrwałości, aby sprostać temu wyzwaniu. Rycerz minął szybko wieś, nim ktokolwiek zdołał go przywołać do wspólnego stołu. Takich zaproszeń nie godziło się odrzucać, więc kłusem ruszył kasztanek, unosząc Krzyżowca daleko od tego niebezpieczeństwa.

Miła jednakże była myśl, iż pomimo koszmaru czarnej śmierci ludzie nie poddali się rozpacz. Chociaż całe krainy padały pod spojrzeniem kostuchy, oni dalej gotowi byli żyć. Znikały sioła, wsie i miasta, wypalone do szczytu chorobą, ale człowiek nadal miał dosyć odwagi, aby kochać, śmiać się i patrzeć w przyszłość, chociaż sam stał nad płytkim grobem. Przynajmniej przez te krótkie chwile, zanim okrutny los nie popchnie go naprzód.

Księżyc na dobre zapanował na niebie, prowadząc za sobą orszak gwiazd, zanim Rycerz napotkał kamienny łuk mostu rozciągnięty nad rzeką. Po drugiej stronie, na kamiennej ostrodze, wznosiła się obronna wieża strzegąca traktu.

Chociaż na przeprawie nie widać było nikogo, kasztanek nie chciał wejść na bruk. Robił bokami, rżał i cofał się, machając głową. Krzyżowiec zeskoczył z siodła, w dłoni dzierżąc rozpaloną Czaszkę Pielgrzyma, po czym ruszył ostrożnym krokiem ku przeciwnemu brzegowi. Nic jednak nie ujawniło swej obecności, nic nie zjawilo się w kręgu białego światła. Rycerz bez trudności przeszedł całą długość przeprawy, a następnie wrócił do swego rumaka. Pogłaskał go po karku i poprowadził środkiem mostu na

drugą stronę. Nim wierzchowiec dotarł na stały ląd, cały był już zlany zimnym potem. Kiedy schodzili z przeprawy, Krzyżowiec usłyszał za plecami stukot jeszcze jednej pary kopyt.

Obrócił się szybko, lecz nie dostrzegł nikogo.

Nie mając chęci na poznanie tajemnic tego mostu, Rycerz wskoczył z powrotem na siodło i pchnął kasztanka łydkami. Ten, nawet bez zachęty, ruszył kłusem, byle dalej od opętanej przeprawy. Droga obiegała kamienne stoki urwiska, z którego szczytu spoglądały ciemne ślepia wieży. W srebrnym świetle księżycy mury wieżycy lśniły niczym kość. Chociaż stołb wydawał się martwy, Krzyżowiec był pewien, iż zza murów śledzą go niejedne oczy.

Tutaj już czuć było chłód, spływający z górskich szczytów i niosący ze sobą wieści ze wschodu. Coraz wyżej pięła się droga, przecinając wsie oraz posiadłości możnych, pola oraz hale, coraz częściej zanurzając się w mrokach drzew. Kopyta rozbryzgiwały wodne strugi, które spływały ze szczytów i przecinały gościniec. W świetle Czaszki Pielgrzyma migwały ślepia nocnych zwierząt, umykających na widok niosącego ogień jeźdźca.

Po północy Krzyżowiec dotarł na szeroką przełęcz, która rozciągała się pomiędzy dwoma zalesionymi szczytami, na tle nieba przypominającymi kurhany z wbitymi w nie setkami włóczni. Przesmyku strzegł wysoki zamek o fundamentach wyciętych w żywej skale. Spiczaste dachy okrywające wieże sięgały wyżej niż najwyższe sosny i świerki, inne umocnienia zaś nie ustępowały im w posturze. Cytadelę otaczało podgrodzie, samo również otoczone murem oraz suchą fosą. Niczym karły wyglądali żołnierze, którzy strzegli zewnętrznego muru z pochodniami w ręku; te z kolei kruche zdawały się wobec górującego nad nimi zamku. Biada temu, kto zechce siłą sforsować tę przełęcz.

Jak cień przemknął Rycerz obok warowni, czując na policzkach ukąszenie mrozu. Chociaż na nizinie wiosna mogła już roztaczać wdzięki, pomiędzy turniami wciąż panowała bezlitosna zima. Nie leżał tutaj śnieg, ale ziemia wciąż była twarda, a rośliny nie odważyły się jeszcze wypuścić nowych pędów, w obawie przed ziąbem.

Im dalej Krzyżowiec będzie się posuwać w głąb lądu, tym sroższym warunkom miał stawić czoła. Słyszał opowieści rycerzy z Lotaryngii, którzy przez Bałkany zmierzali ku Konstantynopolowi w czasie pierwszej z krucjat. Mówili o górskich przełęczach, które więcej żyć zabrały niż oblężenie Nikei, o bezludnych dolinach pełnych kości i o ludziach mogących przemieniać się w wilki. Pory roku odmiennym torem płynęły w tych krainach. Prym wiodła zima, która dopiero przed świętym Janem pozwalała wiośnie wydobyć spod ziemi stłamszone rośliny. Lato chłodne, swobodnie przechodzące w jesień, której kres znaczyły Zaduszki.

Później nastawały tylko ciemne miesiące mrozu.

Jadąc gościńcem schodzącym z przełęczcy w cień ogromnej, trójgłowej góry, Rycerz zastanawiał się, czy słusznie uczynił, wybierając tę właśnie drogę. Nie znał tych krajów, języka i obyczajów. Może rozsądniej było zawrócić i raz jeszcze spróbować morskich szlaków? Niewielkie miał pojęcie o koronie Bośni czy Serbii, wiedział jedynie tyle, że ludzie zamieszkujący te krainy są ponad wszelką miarę wytrwali, za nic mają chłód. Słyszał także wiele plotek o czarnoksiężnikach, upiorach żywiących się krwią i heretyckich klasztorach, skrytych pomiędzy odludnymi szczytami. Ile z nich było prawdą, tego nie wiedział, jednak widział już na świecie dosyć, aby z niefrasobliwością podejść do tych wieści.

Na wschodzie, ponad granią trójgłowego masywu, zajaśniał różowy promień, kładąc się na poszarpanych chmurach. Dolina wciąż była ciemna, jednak ciszę przerwało beczenie owiec. Po chwili dołączyły do niego ujadanie pasterskich psów oraz nawoływania ludzi. Świt przeganiał mrok nocy, wyławiał z nich kształty, nadawał barwy oraz cienie. Grupy owiec krążyły po dolinie, skubiąc pożółkłą trawę, pomiędzy nimi krążyły owczarki, posłusznie trzymające się u boku zwalistych sylwetek ludzi. Pasterze z ciekawością przyglądali się Rycerzowi, jednak żaden z tych zakutych w futra kolosów nie przemówił jako pierwszy. Dopiero teraz Krzyżowiec dojrzał, iż mierzyli oni ponad sześć stóp wzrostu^[1]. Gołymi pięściami zapewne umieliby ubić wołu albo rozerwać człowieka na połowy. Rycerz pozdrowił

ich, kierując się w dół doliny, która tracąc niewiele wysokości, okrążała trójgłowy szczyt od południa.

Przed nim otwierała się skalna brama prowadząca w serce gór. Stąd wyraźnie widać już było ośnieżone turnie Serbii, których szczyty ginęły w sinych chmurach, rozświetlanych fioletowymi błyskawicami. Ten burzowy wał stanowił granicę, za którą szalało lodowe piekło oraz wiatr. Najkrótsza zarazem to droga ku cesarstwu Greków: przeciąć góry zamiast mozolnie podróżować z wyspy na wyspę, licząc na przychylną pogodę oraz dobrą wolę kapitanów. Gniew morza nie mniejszy jest przecież od lodowatej furii gór; w odmętach mórz równie łatwo postradać życie.

Długo wazył swoją decyzję Rycerz, czując na ciele gniewne podmuchy burzy. Mógł tak trwać jeszcze długo, aż w kamień by się obrócił wraz z koniem, na zawsze spoglądając na drogę, której nie odważył się podjąć. Wreszcie jednak drgnął, mocniej oparł stopę w strzemieniu i ruszył w burzę.

^[1] Ponad 180 cm [przyp. red.].

ROZDZIAŁ VI

Wiatr ciskał gradem i deszczem w Rycerza, próbując zmieść go z ubitej drogi. Ten jednak, w strugach wody, nie był gotów ulec żywiołom. Szedł przodem, konia prowadząc za sobą. Obwiązał kasztankowi głowę tuniką, aby żaden odłamek lodu nie wybił zwierzęciu oczu. Koń bez wielkiego entuzjazmu kroczył na oślep, ale zaufanie, jakim darzył swego pana, przewyciężało obawę.

W ukośnych strugach deszczu niewiele było widać prócz zaniedbanego gościńca, w którym dziury po wyrwanych kamieniach wypełniało błoto. Poprzedzające gromy błyskawice na moment ujawniały wypalone ruiny wsi wzdłuż drogi. Rzędy niegdysiejszych domów straszyły teraz rzędami pustych okien i rozbitych fundamentów. Na ścianach widać było namalowane wapnem krzyże, oznaczające miejsca dotknięte zarazą.

Szpaler białych krzyży jaśniał w każdej błyskawicy.

Kilka kroków od drogi stał kościół ze śladami sadzy wokół okien. Drewniany dach zawalił się do środka, jednak Rycerz zszedł z gościńca i brnąc po kostki w błocie, dotarł do drzwi zrujnowanej świątyni. Bez trudu wysadził zwęgloną bramę z zawiasów.

Wnętrze pokryte było warstwą ciemnego szlamu oraz szczątków, których nie spalił do końca ogień. Mimo dziurawego dachu kamienne ściany chroniły przed gradem i podmuchami wiatru i były zapewne najlepszym miejscem do odpoczynku w promieniu mil. Rycerz odrzucił kilka belek oraz zniszczonych łąw, robiąc dosyć miejsca, aby wprowadzić do wnętrza rumaka. Rozpalaniem ognia nawet się nie kłopotał. Wszystko wkoło było nasiąknięte wodą tak dalece, iż nawet dotyk palców wyciskał płyn z drewna. Krzyżowiec siedział na powalonych filarach z kamienia, wsłuchując się w szalejący nad głową wiatr.

Nie wiedział, czy za chmurami wisi jeszcze słońce, czy nastąpiła już noc. Jedyne, co mógł zrobić, to poczekać na zmianę pogody i liczyć oczywiście, że coś takiego w ogóle nastąpi. Do tego czasu starał się zaznać nieco snu, oparty o szerniałą ścianę.

Kiedy furia burzy osłabła, a grad przestał wpadać przez zniszczony dach, Rycerz wyszedł na próg kościoła z Czaszką Pielgrzyma w ręku. Deszcz wciąż padał, ale zdawał się jedynie przyjemną mżawką w porównaniu do marznącej, zacinającej nawałnicy. Krzyżowiec wyprowadził konia z ruin, zdjął tunikę z jego oczu i ruszył w dalszą drogę.

Mogła to być noc, chociaż Rycerz nie miał żadnej pewności. Wkoło było równie ciemno jak poprzednio, toteż jechał z gorejącą kością w dłoni. Poza miejscami oświetlanymi białym snopem światła z oczodołów Czaszki nie sposób było odróżnić kamieni albo drzew od ruin budynków. Czasami na drodze leżał jakiś niewyraźny kształt, wdeptany w błoto tak głęboko, iż z trudem można by orzec jego gatunek.

Wkrótce zrobiło się chłodniej, a zamiast deszczu zaczął padać śnieg. Biały całun okrywał wszystko, co przestało się ruszać i walczyć o życie. Spokojnie teraz wyglądał krajobraz, usłany zaspami skrywającymi wszelką szpetotę. Chociaż piękny był to widok, Rycerzowi nie przypadła do gustu ta odmiana. Podkowy kasztanka co kilka kroków natrafiały na zamarznęte kałuże i łamały z trzaskiem lód.

Jeżeli pod śniegiem ziałaby głębsza wyrwa, koń łatwo mógłby uszkodzić nogę. Trudno też było trzymać się drogi, kiedy wszystko, co widać przed sobą, to krąg śnieżnej bieli w białym świetle.

Mróz przybierał na sile, coraz mocniej wbijając zęby w ciało Krzyżowca. Z pyska wierzchowca buchały jasne opary, które natychmiast znikwały pomiędzy wirującymi płatkami śniegu. Nie mogąc znieść temperatury w bezruchu, Rycerz zeskoczył w śnieg, by marszem zagrześć zmarzłe kończyny. Choć serce w jego piersi nie biło od lat, mróz wciąż mógł zgasić ogień życia, jaki tlił się jeszcze w poparzonym ciele.

Po kilkuset krokach z ciemności wyłoniło się drzewo, młoda brzoza, a po chwili jeszcze kilka jej podobnych. Najwyraźniej Krzyżowiec mocno zboczył z gościńca, gdyż przed sobą miał równą ścianę pni oraz bezlistnych gałęzi. Mógł wrócić po własnych śladach i szukać po omacku miejsca, w którym zbłądził; cóż by mu przyszło z tego, skoro nie wiedział nawet, czy znajdzie tam jakiegokolwiek schronienie?

Strata to sił, zwłaszcza przy tej aurze.

Miast tego, póki jeszcze palce nie zgrabiały mu do reszty, Rycerz zerwał z brzozy kilka garści łuszczącej się kory i rozniecił ogień, który podsycił małymi gałązkami. Kiedy płomienie zgłodniały, Krzyżowiec zdobył obłamane konary oraz zalegające pod śniegiem pnie. W trakcie tych poszukiwań znalazł także zamrożone na kość ciało zakutego w płytową zbroję żołnierza. Zostawił je w spokoju. Ludzkie ciała nie były najlepszym opałem, chociaż niezgorsza byłaby z truposza ławka. Zbyt wiele jednak zachodu i trudu trzeba by włożyć w przesunięcie go, ponieważ przymarzł wyprutymi wnętrznościami do ziemi na dobre.

Krzyżowiec rozsiadł konia, po czym usiadł przy ogniu, radując się z jego ciepła. Śnieg wkoło stopniał, a on i wierzchowiec tkwili pośród mroźnej zimy, całkiem ignorując jej awanse. Wkoło narastały wydmy białego puchu, a Rycerz nasłuchiwał szelestu śniegu opadającego z nieba oraz trzasku drzew, które pękały od bezlitosnego mrozu. Czasami z ciemności dochodził go przenikliwy wrzask, niemalże ludzki. Czy ktoś wołał o pomoc, czy to tylko wiatr, przeciskając się pomiędzy skałami, wywoływał ów dźwięk?

Mijały tak ciemne godziny, jedna bliźniaczo podobna do drugiej, ale noc musiała wreszcie ustąpić. Mróz zelżał, a ponad wschodnim horyzontem pojawił się wątki blask. Słabe i małe było słońce tej krainy, a przynajmniej takie zdawało się za sinymi chmurami. Nawet oczodołów nie trzeba było zakrywać, patrząc wprost na jego blask. Mimo to dobrze było spojrzeć na okolicę w świetle dnia, chociaż widok nie niósł zbyt wiele otuchy.

Zasnuta bielą dolina zdawała się kompletnie bezлюдna. Spod śniegu wystawały jedynie nagie pnie drzew oraz wiecznie zielone szpalery sosen i świerków porastających zbocza gór. Wszystko inne było do szczętu zasypane, a tylko drobne zmarszczki pozwalały domyślać się, co skrywał mroźny puch. Pechowy wędrowiec mógł jechać godzinami po zamrożonej rzece, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy do czasu, aż ukryty pod śniegiem lód ustąpi i pochłonie go topiel. Rycerz jednak dostrzegł promyk nadziei. Ponad żebrem, które wcinało się w dolinę, unosiła się struga szarego dymu, ledwo odcinająca się na tle nieba. Ogień, a przeto ludzie zamieszkiwali za zakrętem doliny.

Krzyżowiec osiadł konia i już miał wskoczyć na jego grzbiet, kiedy nad głową usłyszał trzask, jakiego nigdy jeszcze nie zaznał. Skierował wzrok ku szczytom, dostrzegając, jak zalegający tam śnieg oderwał się i pędzi niczym sztormowa fala w dół zbocza, wprost ku niemu. Zamarł z przerażenia, wiedząc, iż nie prześcignie białej chmury, która opadała coraz prędzej z rykiem. Przeżegnać się tylko zdołał, zanim śnieżny puch zalepił mu oczodoły, a uderzenie ścięło go z nóg.

Żywioł miotał nim jak gałganem, ciskając we wszystkie strony, tłukąc bryłami lodu i kamieniami. Rycerz starał się osłonić ramionami głowę, ale ciemność trzymała go z siłą imadła, raz po raz próbując wyłamać kości ze stawów. Wreszcie lawina skończyła bawić się swoją ofiarą i cisnęła nią o twarde lice głazu. Tu pozostawiła ją w spokoju, aby zamarzała w jej trzewiach.

Ledwie żyw, Krzyżowiec próbował poruszyć kończynami, ale bez skutku. Śnieg miażdżył go

o kamienne kowadło, wyciskając z każdą chwilą życiodajne ciepło, jakie tliło się jeszcze w martwym ciele.

On jednak wciąż walczył.

Nie mogąc ruszyć ramionami, dłońmi uczynił sobie nieco przestrzeni. Następnie uwolnił łokcie oraz barki. Drżał z zimna, poparzone mięso przymarzało do hełmu, ale Rycerz wytrwale drążył ciemność, aż pod palcami poczuł Czaszkę Pielgrzyma. Rozpalił ją, chcąc zimnym ogniem stopić otaczający go śnieg. Światło przywróciło mu nieco sił, dosyć, aby odkopać własne nogi, w których już tracił czucie. Wreszcie mógł podciągnąć ku sobie skostniałe kończyny, oprzeć się na kamieniu i drążyć tunel ku powierzchni. Z mozołem, jak kret, parł naprzód, stopa za stopą, aż wreszcie przebił dłonią wieko śnieżnego mauzoleum i wyczołgał się na wolność.

Natychmiast opadł w puch, niemalże zasypiając w jego ciepłych objęciach. Szybko jednak zmysły mu wróciły. Musiał się ruszać, zanim skuje go mróz, z którego objęć wyzwoli go dopiero wiosna. Niepewny swych nóg, wstał powoli i powiodł wzrokiem po pobojowisku, szukając pośród bieli rumaka.

Dostrzegł go, leżącego daleko poza zwałami świeżego puchu, który lawina rzuciła w dolinę.

Nie ruszał się.

Zapominając o bólu i chłodzie, Krzyżowiec zerwał się do biegu, ale od razu zapadł się po pas w śniegu. Mógł tylko pełznąć powoli, z oczodołami utkwionymi w ciele przyjaciela. Torturą był dla niego każdy moment, a z ledwością posuwał się naprzód. Rychło natomiast powrócił do Rycerza ból, przesywający jego ciało palącymi igłami. Krzyżowiec nie ulegał ani cierpieniu, ani podszeptowi, który kusił go rozkoszną chwilą odpoczynku, i kiedy tylko poczuł, że zamrznięty śnieg utrzyma jego ciężar, pokuśtykał do leżącego konia.

Zwierzę jeszcze oddychało, choć płytko.

Kasztanek próbował unieść głowę na powitanie, ale rozerwane mięśnie tylko drgnęły, zanim koń opadł z sił. Rycerz upadł obok na kolana, dłonią gładząc miękkie chrapy rumaka. Koń spoglądał ku niemu bez bólu czy wyrzutu, jakby chciał zapewnić, że za chwilę wstanie i dalej poniesie go w świat. Że to tylko przelotna słabość, która za moment minie. To przecież nic, takie rany i obite boki oraz kilka bolących miejsc, fraszka.

Rycerz spojrział na zgruchotany grzbiet kasztanka, wiedząc, iż jego chwile są już policzone. Żadna siła, prócz boskiej, nie mogła połączyć na powrót rozerwanych mięśni oraz kości. Jedną natomiast przysługę Krzyżowiec wciąż mógł oddać przyjacielowi. Szczęknął wysuwany z pochwy miecz, ale Rycerz wahał się wciąż, patrząc w oczy zwierzęcia. Może jest jeszcze nadzieja?

Łudził się, wcale nie odsuwając końca, a tylko przydając cierpień konającemu rumakowi. Wiedział, co musi zrobić; uciekanie przed tym było płonne. Rycerz stanął nad leżącym wierzchowcem, brzeszczot wymierzył dobrze, bez drżenia, z zawodową wprawą. Cios zgasił ostatnią drobinę życia kasztanowego konia, który zadrżał po raz ostatni i zmarł. Krew płynęła z rany tylko przez chwilę, natychmiast zamarzając w lodowatym powietrzu.

Krzyżowiec stał tak, kompletnie porażony i zdruzgotany. W milczeniu próbował zatamować targające nim uczucia, ale na to nie miał dosyć sił. Gdyby mógł, krzyczałby, ale tego już od dawna nie potrafił uczynić. Nie sądził, iż tak mocno przywiązał się do tego stworzenia swoim martwym sercem. Tyle razem zdeptali mil, stawali do walki, nie umykając nawet przed upiorami; a teraz Rycerz nie mógł nawet pochować wiernego towarzysza, aby padlinożercy nie rozwłóczyli jego szczątków po tej obcej dolinie.

Krzyżowiec pogłaskał jeszcze ciemną grzywę, zanim obrócił się ku odległym dymom i ruszył naprzód.

Maszerował twardo, miażdżąc pod nogami śnieg. Nie obracał głowy, bojąc się, iż nie starczy mu sił, aby oderwać wzrok od martwego konia. Tyle żyć odebrał do tego dnia, iż z trudem przychodziło mu zachowanie rzetelnej rachuby. Zawsze byli to jednak obcy, którzy nic albo niewiele dla niego znaczyli.

Dla tych czynów łatwo było znaleźć usprawiedliwienie i nabrać stosownego dystansu.

Tym razem było inaczej.

W poczuciu winy kontynuował Krzyżowiec swoją wyprawę, z nienawiścią spoglądając na ośnieżone szczyty, które zesłały na niego tę niedolę. Podobną złość czuł wobec samego siebie, gdyż to on wybrał zimową drogę, a ta srożej zażądała daniny za wkroczenie w górzystą domenę.

Rycerz wciąż szedł zaśnieżoną doliną, w przenikliwym mrozie, kierując się ku gęstwinie świerków, która wyłaniała się zza zakrętu doliny. Pomiędzy drzewami było nieco cieplej, a lepiej by rzec, iż mróz nieco mniej kęsał po twarzy i dłoniach. Na śniegu widać było ścieżki wydeptane rozszczępionymi kopytami jeleni oraz dzików. Czasami udawało się dostrzec Krzyżowcowi w gęstwinie ruch i opadający śnieg, trącony przez jakiegoś mieszkańca lasu. Po pewnym czasie Rycerz odnalazł leśny trakt, prowadzący wąską przesieką ku brzegom zamarznętego jeziora.

Dojrzał na drugim brzegu niską chatę o spadzistym dachu, który wystawał spod śniegu. Maszerując skrajem lodowej pokrywy, Rycerz szybko dotarł do koliby, odkopał wejście i wpadł do wnętrza z Czaszką Pielgrzyma. Pojedyncza izba pozostawiona była w porządku. Stół czysty, siedziska ustawione pod ścianą. Na szerokim zapiecku leżał koc, a na poddasze prowadziła drabina z okorowanego pnia. Zwyczajem ludzi gór przy palenisku leżała wiązka drewna oraz rozpałki, z której łatwo było wskrzesić ogień. Krzyżowiec zawarł za sobą drzwi i rozniecił płomień. Szybko pożywił się młodym żarem; uzupełnił zapas drewna, po czym opuścił to przyjazne sanktuarium.

Słusznym tempem ruszył przez las, czujnie nadstawiając uszu, nasłuchując, czy w pobliżu nie ma ludzkich osiedli. Domyślał się, że o tej porze roku tylko drwale lub myśliwi gotowi byli zapuszczać się w mroźne doliny, a ci zwykle doskonale znali teren i mogli go zaprowadzić do najbliższej osady lub miasta.

Szybko nawet udało się Rycerzowi znaleźć ślady futrzanych butów, za przewodnictwem których chętnie podążył. Wydeptana w śniegu ścieżka poprowadziła go przez kilka polan ku stokom doliny, lecz tam urywała się nagle. Krzyżowiec skrzywił się na widok czarnej sztuczki i obrócił, aby wrócić po własnych śladach. Te jednak zmieniły już miejsce, tworząc płataninę odbitych w śniegu butów oraz zwierzęcych łap. Ze złością Rycerz ruszył w kierunku, z którego – jak sądził – przybył, odgarniając sprzed twarzy iglaste gałęzie.

Nie uszedł dwudziestu kroków, kiedy wypadł na krągłą polanę, której środek wyznaczał kamienny ostaniec. Śnieżna pokrywa była tutaj nienaruszona. Przeklinając w myślach złe лихо, Rycerz przeciął polanę, spoglądając ponuro na zachmurzone, ciemniejące szybko niebo. Przedarłszy się przez zaśnieżony młodniak, dostrzegł swoje ślady, które głęboką bruzdą znaczyły śnieg. Radość jednak nie trwała długo, gdyż wędrując tą ścieżką, Rycerz dotarł pod samotne drzewo, pod bezlistny dąb stojący na łagodnym pagórku. Z jego gałęzi zwisały rzędem kawałki starych sznurów, zetlałych już od kołowrotu pór roku.

Ponad głową Krzyżowca zaszumiał wiatr. Czubki świerków pochylały się łagodnie, strącając śnieżne czapy. Rycerz sięgnął po Czaszkę Pielgrzyma, unosząc nad głowę światło i rozglądając się dokoła. Wiedział, że w gęstwinie czai się upiór, który najwyraźniej wielkie upodobanie znajdował w mieszanu mu kroków. Nie znał imienia tego skarania boskiego, chociaż słyszał niegdyś od starego Polaka o bełtach, które czyniły podobnie. Niewidzialne były to szkodniki, żyjące pod kamieniami, wodzące ludzi na zatracenie.

Krzyżowiec oparł dłoń na rękojeści miecza. Nie było lepszego lekarstwa na duchy jak zimne żelazo, z łatwością odpędzające złe moce. Rycerz zrobił jeszcze kilka kroków, bezradnie z pozoru kręcąc głową. Nie miał chęci na igraszki widma; gniew gotował się w nim, gdyż zmarnował ostatnie jasne chwile dnia przez tę istotę. Teraz on narzuci własne zasady i niech Bóg ma ducha w opiece.

Krzyżowiec obrócił się, a widząc w świetle Czaszki, iż jego ślady zniknęły, przeszedł na skraj lasu, udając zagubienie. Tym razem usłyszał cichy dech, jakby delikatny podmuch powietrza, który zbliżył się ku jego plecom. Z mściwym uśmiechem Rycerz uczynił jeszcze jeden krok. Bełt nie mógłby odmówić

sobie zmazania i tego śladu.

Krzyżowiec jednym ruchem dobywa miecza, z obrotem, do tyłu, prowadzi cięcie. W ostrym świetle Czaszki końcówka ostrza mknie przez powietrze. Nagle z pustej przestrzeni tryska czarna krew, układając się w półkole na śniegu, naśladując ruch żelaznej klingi. Krzyk wzbija się ponad las; wiatr uderza mocniej, gnie drzewa, ale już cisza powraca do doliny.

Rycerz wytarł miecz o gałęzie, z zadowoleniem spoglądając na rozlaną krew. Pierwszy to odwet, jaki wziął za śmierć swego wierzchowca, a miał nadzieję, że niebiosy ześlą mu więcej karków do wyszczerbienia.

*

Noc była spokojna, mroźna do kości, ale gwiazdy i księżyc przyświecały jasno Rycerzowi, który wędrował na południe, za plecami mając Gwiazdę Północy. Chociaż zmęczenie mocno dawało mu się we znaki, chłód wysysał ciepło, a stopy miał nieomal zamarznięte, Krzyżowiec nie ustawał, mozolnie stawiając nogę za nogą.

Pomiędzy drzewami, na wysokości stoku, mignął odległy ognek. Rycerz poczuł nadzieję, delikatnie szumiącą w jego głowie niczym dzwoneczki. Liczył na to, iż kierował się wreszcie ku jakiejś wsi lub stаницy, strzegącej tego odludzia. Po prawdzie dosyć miał już śniegu, ale zima jeszcze nie miała zamiaru go wypuszczać ze swych krain. Droga zdawała się nie mieć końca, a Krzyżowiec nie miał pewności, czy w ogóle się zaczęła.

Pamiętał, jak u początku swej wyprawy tak często dumał nad kondycją ludzkiego rodu albo kłócił się z głosem o moralne zasady, jakimi powinien się kierować. Teraz nie marnowałyby sił na takie czcze rozważania. Skupiał się tylko na tym, aby nie upaść w śnieg.

Z trudem przychodził mu dalszy marsz. Każdy krok był ogromnym wysiłkiem dla skostniałych nóg. Co kilka chwil wędrowiec omiatał zmęczonym wzrokiem zalany srebrnym światłem las, po czym pozwalał opaść głowie na pierś. Mróz okrył hełm Rycerza skorupą lodu oraz szronu, która powoli zarastała wizjery. Ognik na stoku góry stopniowo przybliżał się, a szczyty przesuwwały się za plecy Krzyżowca, ale marna była to pociecha. Wciąż znajdował się całe mile od kuszącego światła. Godziny minęłyby, zanim dotarłby do źródła. Setki, tysiące kroków do zrobienia, kiedy dotarcie do najbliższego drzewa przychodziło mu tak opornie.

Kiedy po raz kolejny pochylił głowę w zmęczeniu, jego uszy pochwyciły jasny szum dzwoneczków. Najpierw uznał je za wymysł skołatanego umysłu, lecz nie, zmysły nie płatały mu figli. Rycerz uniósł głowę i zamarł w niedowierzaniu. Przed nim, między drzewami, żarzył się krąg ogniska. Stąd dobywały się dymy, które widział nad ranem. Nie zwiodła go na manowce Opatrzność. Rad, iż nie będzie musiał własnoręcznie rozniecać ognia, Krzyżowiec dopadł do paleniska, wyciągając dłonie po życiodajny żar.

Z węgli strzeliły jasne płomienie, a światło zalało polanę, wydobywając z ciemności ludzką postać siedzącą na pniaku. Była to niewiasta, ale daleko jej było do delikatnego piękna dworskich dam. Ona ubrana była jak na pole walki, z kolczym pancerzem wystającym spod czerwonej tuniki. Na kolanie trzymała hełm z nosalem i bębniła palcami po jego stalowych żebrach. Lodowate oczy spoglądały na Rycerza z zawodem i politowaniem. Oblicze miała beczasowe: skórę gładką, ale oczy zdradzały mądrość przychodzącą z wiekiem, a włosy były siwej barwy.

– Niezbyt chwalebny widok sobą przedstawicie – rzekła w mowie Franków. Jej głos nawet nie próbował skryć uczuć, jakie już zdradziły oczy. – Ledwie powłóczący nogami, tak głodny, że zapomina o manierach. Kilku palców wam brakuje, zjedliście je, czy obcięli wam za kradzież?

Krzyżowiec wyprostował się jak smagnięty biczem. W pierwszym odruchu chciał mieczem wypłazować impertynencką nieznajomą. Tak by postąpił dawniej, teraz jednak gotów był powstrzymać swój gniew, a chociaż plecy paliły go od marszu, skłonił się dwornie. Dobyć ostrza może przecież

w każdej chwili.

– Tarczy wam brak – stwierdziła oględnym tonem kobieta. – To znak zajęczego serca, które umyka z pola walki, porzucając towarzyszy. Odpowiedzcie. Czy jesteście tchórzem? Wyglądacie jak chuchro, które łatwo odpędzić butem. Jak psa.

Krzyżowiec zaprzeczył, kręcąc głową. Nie miał zamiaru dać się sprowokować takimi słowami.

– Pewni jesteście swojej odwagi? – Niewiasta wstała, dłoń złożywszy na rubinem zdobionej rękojeści miecza. – Ostatni, który tak twierdził, okazał się niegodny i własną ręką ukarałam go za to kłamstwo. Tchórze na niewiele się zdadzą, kiedy Graal wezwie ich na próbę.

Naraz przypomniał sobie Rycerz słowa, jakimi obdarzyła go Angela z Rawenny. W istocie jej widzenia dar był prawdziwy, jeżeli biała gołębica przyniosła jej wieści z twierdzy, gdzie pod strażą spoczywał ukryty Kielich Chrystusa. Krzyżowiec przyklęknął i pochylił głowę.

– Widzę, żeście już pojęli. Jam jest Orgeluz, żona Gawana, poddana króla Graala Parsifala, z którego woli nadaję wam to zadanie na próbę. W dolinie tej, ku południu, stoi twierdza, dojrzycie ją, kiedy tylko opuścicie las. W tych murach załagał się Clinschor, raz już wygnany, a terror oraz zepsucie siejący w tej obcej krainie. Tutaj skrył się przed zasłużoną karą, a na twoje barki składam wymierzenie mu wyroku, jaki uznacie za stosowny. Jeżeli podołacie tej próbie, spotkamy się ponownie. Jeżeli.

Dama w czerwieni nałożyła hełm na siwe skronie i zniknęła w ciemności. Śnieg zaskrzypiał pod jej butami, a z mroku dobiegł Rycerza szmer dzwonek oraz łomot końskich kopyt, grzmocących w zamrzniętą ziemię.

Krzyżowiec usiadł przy ogniu, układając w czaszce to, co przed chwilą usłyszał. Jako że słabo mu to szło bez posiłku, wypełnił usta żarem. Z miejsca oczodoły zapłonęły jaśniej, dalej przebijając noc. Myśli popłynęły chryzą nurtem, ale niewiele poruszenia w nim wywołały. Rycerz zaakceptował ze spokojem wyzwanie, jakie rzuciła mu czerwona dama. Naturalnie mu się to zdawało; wszak tyle już niespodziewanych spotkań doświadczył na szlaku, iż wezwanie Graala przyjął bez nadmiernego podniecenia. Dawno zapomniana radość, raz obudzona słowami Orgeluzy, nie chciała jednak zagasnąć kompletnie. Paliła się skromnym, purpurowym ognikiem w jego oczodołach. Tak długo szukał celu swego życia, innego niż wędrówka ku kolejnej bitwie, iż nie potrafił przywyknąć do tego uczucia. Dziwną dla niego było nowością.

Pochłaniając całe garście żaru, Rycerz skierował swój umysł na zupełnie inne tory. Noc była późna, lecz warto by skorzystać z jej osłony, aby w ciemności zakraść się do warowni. Siły szybko wracały w martwe ciało, więcej nawet, żywszy teraz czuł się Krzyżowiec. Żadnego nie miał na to dowodu, ale czarnoksiężnika Clinschora obwiniał o wywołanie lawiny, która odebrała mu przyjaciela. Z pewnością leżało to w jego mocy, a skoro Rycerza uczyniono sędzią i katem, to doda winnemu kilka razy z głębi swego szerniałego serca. Pokrzepiony, zarówno żarem, jak i powierzoną mu misją, Rycerz poprawił miecz u pasa, po czym ruszył na spotkanie własnego przeznaczenia.

*

Droga ku zamkowi prowadziła skrajem grani, wcinając się w zbocze góry. Chociaż zakryta była świeżym śniegiem, nawet w nocy bez trudu można było dostrzec wykutą w skale ścieżkę. Rycerz szedł ostrożnie, ramieniem dotykając górskiej ściany, jak najdalej trzymając się od krawędzi. W tym miejscu nawet drobne osunięcie śniegu mogło porwać go w dolinę, rozciągającą się pięćset kroków poniżej.

Twierdza nie była ogromną budowlą, ledwie kamienną stanicą, otoczoną niepełnym kręgiem muru, gdyż plecami przylegała do niemalże pionowego zbocza góry. Siła tego miejsca wynikała z faktu, iż dolina rozszczepiała swój bieg na dwoje, a niedostępna wieża spoglądała czujnie na wszystkie drogi, jakie biegły u jej stóp. Takie miejsca, nawet ze szczątkową załogą, mogły dać odpór dziesięciokrotnej przewadze wroga, a zagrożone były jedynie zdradą lub głodem.

Zachodzący księżyc sprzyjał Rycerzowi, gdyż oświeślał stanicę jasnym blaskiem, drogę zaś do niej prowadzącą skrywał w ciemnościach przedświt. Wyborna to pora na podchody, nie ma bardziej odpowiadającej godziny dla wszelkich skrytych zamiarów. Śpiący pogrążeni są w najgłębszym śnie, czuwającym najciężej jest wytrwać i zachować czujność zmysłów. Tej przewagi, choć niezbyt pięknej, chciał użyć Krzyżowiec do zaskoczenia nowych wrogów.

Zatrzymał się na granicy księżycowego światła, obserwując lico kamiennego muru oraz zawartą bramę. Nietrudna do sforsowania była ta przeszkoda, połamane zęby krenelażu sięgały ledwo kilka stóp ponad głowę Rycerza. Sama ściana nie była też w najlepszym stanie; dawno nieremontowana, więc teraz wypadały z niej całe rzędy kamieni, tworząc u podstawy kupy gruzu. Najbardziej cieszyła jednak Krzyżowca pycha ukrywającego się w środku łotra. Na murze nie widać było żadnego strażnika, a światło paliło się jedynie na dwóch najwyższych piętrach wieży. Wąskie okna na poziomie ziemi oraz pierwszej kondygnacji pozostawały ciemne jak noc.

Rycerz podbiegł do muru i zamarł tam na moment. Nie słysząc niczego prócz wiatru oraz mrozu, wczepił palce w mur, wspinając się ku blankom. Lodowate były kamienie w dotyku, ale na ból Rycerz teraz nie zwracał najmniejszej uwagi. Mimo pancerza oraz znużenia długą wędrówką bez trudu sforsował mur i skrył się w jego cieniu, już po drugiej stronie, obserwując kolejną przeszkodę.

Między murem i wejściem do wieży, w litej skale, została wykuta fosa. Szeroka na dobre trzy jardy wyrwa w kamieniu była prawie niemożliwa do przeskoczenia, a upadek w jej otchłań groził niechybnym zgonem. Lecz ponownie dała o sobie znać pycha Clinschora, gdyż nad uskokiem leżał zwodzony most. Zbyt wielką pokładał czarnoksiężnik wiarę w odludny charakter stanic, surową zimę oraz szalejącą zarazę.

Most jednak okazał się dziurawy, a deski były stare i spróchniałe. Uważnie kroczył Rycerz, nasłuchując skrzypienia drewna pod butem, nie chcąc spocząć jako połamane ścierwo na dnie fosy. Jeżeli by przyszło mu pokonywać w pośpiechu tę oblodzoną kładkę, niechybnie runąłby w przepaść. Teraz jednak miał czas i metodycznie przekraczał wybite w drewnie otwory i mimo podmuchów wiatru stanął w portalu, naprzeciwko okutych metalem drzwi.

Tak jak Piotr, którzy trzy razy zaparł się Pana, nim kogut oznajmił poranek, tak i Rycerzowi po trzykroć sprzyjała niefrasobliwość jego przeciwnika. Chociaż wejście do wieży zawarte było na klamkę, to zamek do szczętu zamarzył i stał się tak kruchy, iż kilkoma szarpnięciami Rycerz oderwał uchwyt. Po drugiej stronie drzwi klamka opadła z łoskotem na podłogę, a Krzyżowiec szybko naparł na bramę i dostał się do wnętrza.

Korytarz był pozbawiony światła, a w mroźnym powietrzu unosił się odór zepsutego mięsa, ropy oraz kwaśny zapach octu. Rycerz powoli wy dobył miecz z pochwy, wpatrując się bezskutecznie w gęsty mrok. Mógł posuwać się po omacku, zdając się na łut szczęścia i zaskoczenie swych adwersarzy, albo dobyć Czaszki Pielgrzyma, zaprzepaszczając skrytość.

Ostre, białe światło Czaszki przegnało ciemność, pozwalając Rycerzowi dostrzec nagi korytarz, okryty zgniłymi resztkami gobelinów. Po lewej dłoni miał wejście do stróżówki, gdzie wpadł od razu, spodziewając się tam choćby zamarzniętego ciała strażnika, ale prócz wykrzywionego kołowrotu unoszącego most nic tutaj nie znalazł. Naprzeciwko, za drzwiami, w dawnej kuchni, złożono dziesiątki ciał, zarówno ludzkich, jak i zwierzęcych. Wszystkie one były powykrzywiane w sposób, który zdradzał śmierć w okrutnych męczarniach. Oczy wybałuszone, pyski oraz usta otwarte do krzyku, wargi zmiażdżone przez szorstkie kneble, ramiona wykręcone, czasami połamane. Na drewnianych kołkach zwisały wnętrzności, starannie posegregowane wedle rodzaju oraz wielkości. Krzyżowiec wycofał się z kuchni, mocniej zaciskając dłoń na rękojeści miecza. Wiedział już jedno: sędzią będzie surowym, katem zaś bezlitosnym.

Nie spotkawszy na parterze żywej duszy, Rycerz zakradł się ku dębowym schodom prowadzącym ku górze, na piętro. Już postawił nogę na pierwszym z wyslizganych stopni, kiedy spostrzegł kłapę

w podłodze, niechybnie skrywającą zejście do podziemnego zbiornika. Nie chcąc pozostawiać za sobą żadnych niesprawdzonych pomieszczeń, chwycił za sznur i szarpnął zań kilka razy, uchylając w końcu właz.

Kamienne stopnie były śliskie, pokryte warstwą ciemnego lodu, połyskującego w świetle Czaszki. Rycerz schodził powoli, unikając nadeptania na rozsypane po stopniach ludzkie zęby oraz paznokcie. Niski korytarz powiódł go na skraj wykutej w skale cysterny, w której zwykło się trzymać pitną wodę dla garnizonu stancy. Ta wypełniona była ciemną masą, smołą chyba, z której wystawały kolejne szczątki. Dziwnie wyglądały te ciała, przywodziły na myśl potomstwo, jakie mógłby zrodzić człowiek, jeżeli parzyłby się ze zwierzęciem. Ludzkie korpusy z obciętymi kolanami, do których przybito kości oraz kopyta. Czaszki bez twarzy, rozszczepione żuchwy, kości z resztkami ścięgien. Wszystko to martwe i wrzucone do tego śmietnika po tym, jak straciło wartość dla oprawcy. Krzyżowiec uważnie przyjrzał się wystającym ze smoły istotom. Niektóre jeszcze żyły, kiedy ciśnięto je w lepkaż maż. Jedna z nich, smukły korpus młodzieńca o krowiej czasce zamiast głowy, prawie dotarł do krawędzi cysterny. Na czarnej powierzchni wciąż było widać ślady palców oraz pęcherze powietrza, skrywające ostatnie tchnienie tych nieszczęsnych dusz.

Rycerz wstał, rozumiejąc, dlaczego niektórzy umknęli z tego miejsca, lękając się tego, co skrywały kolejne piętra. Kiedy inni mogli paść tutaj na kolana, wymiotować, przeklinać i pytać Boga o przyczynę, on wrócił spokojnie na parter i ruszył ku szczytowi wieży. Teraz już nie było sposobu, aby ktokolwiek mógł mu się wymknąć z rąk. Zamiar w jego czasce był prosty i miły jego wojowniczej duszy: oczyścić ogniem oraz żelazem to miejsce aż po dach.

Pierwsze piętro, niegdyś zbrojownia, zostało teraz przemienione w skład zupełnie innych przedmiotów. Na stołach zalegały narzędzia, podobne do tych, jakich używają cieśle lub kowale. Młotki o drewnianych bijakach, kołki, strugi oraz dłuta, obcęgi i śruby. Pod ścianami piętrzyły się stosy pociętych kości, szpiku oraz resztek, które odrzucił piekielny rzemieślnik. Pod jednym z okien, jaśniejącym już blaskiem świtu, w otoczeniu wygasłych świec stał pusty stół o poplamionej powierzchni. Ciemne krople nie zamarły jeszcze do końca i powoli spływały po deskach. Rycerz zgasił Czaszkę Pielgrzyma i zawiesił ją u boku. Z piętra powyżej spływał mętny blask ognia. Jeżeli do tej pory nikt nie zorientował się w jego obecności, on nie miał zamiaru wyprowadzać Clinschora z błędu. Bardzo powoli, aby kolczuga nie zdradziła jego ruchów zbyt rychło, Krzyżowiec wspiął się na kolejne piętro.

Zdawało się, że wchodzi do wody. Powietrze było tutaj ciepłe, gęste od zapachu octu, kału oraz płonących świec z łożu. Wyłożona futrami oraz skórami pracownia była miejscem, gdzie opętany człowiek folgował swoim potrzebom. Na półkach stały słoje z organami oraz fluidami, których pochodzenia Rycerz mógł się jedynie domyślać. Ponad paleniskiem, w spizowej kadzi, coś poruszało małą ręką. Krzyżowiec wsunął się w blask świec, spoglądając na zniekształconego homunkulusa rosnącego w otoczeniu gotującego się nawozu oraz cuchnących płynów. Dorosły zdawał się ten mały człowieczek, a nie miał więcej jak łokieć wzrostu. Oczy miał puste, pozbawione blasku; patrzyły na Rycerza błagalnie. Usta poruszały się z pozoru bezgłośnie, ale kiedy przybyły pochylił się nad kadzią, posłyszał bodaj najstraszliwsze słowa w swym życiu po życiu:

– Zabij mnie. Proszę. Zabij mnie. Nie chciałem żyć. On mnie stworzył. Zabij mnie. Czuję tylko ból. Zabij mnie. Proszę. Proszę. Proszę. Proszę. Proszę. Proszę. Proszę.

Krzyżowiec zadrzał, słysząc to nieustanne błaganie. Poczł współczucie i żal wobec tego sztucznego życia, udającego ludzkie istnienie. Stworzone z pychy człowieka, pozszywane z fragmentów dusz, jakie złapał Clinschor. Jednym ciosem Rycerz posłał homunkulusa przed oblicze Ojca, wyzwając go z potwornego żywota. Uniósł wzrok na belki sufitu, podtrzymujące ostatnią kondygnację stancy. Tam był sprawca tego niewytłumaczalnego cierpienia. Czarnoksiężnik. Nekromanta. Naczynie Szatana i jego ludzka dłoń. Rycerz schował nóż, a dobył miecza. Cokolwiek zobaczy za chwilę, cokolwiek usłyszy, nie będzie mógł się wahać. Musi wejść po schodach i zabić potwora.

Najwyższe piętro mogło być dawniej kaplicą, ale teraz zostało splugawione. Setki płonących kości pod ścianami oświetlały rzędy pulpity i spoczywających na nich opasłych ksiąg. Na kamiennej sztabie tkwił kadłub człowieka, bez ramion i głowy, o wzdętym brzuchu, pod skórą którego pulsował jakiś nieświęty twór. Przy nim, dzierżąc nóż, stała ludzka postać odziana w czerni, z twarzą zakrytą srebrną maską, przybitą wprost do czaszki. Metalowe oblicze miało zasznurowane usta, a oczy za nią pobłyskiwały nieludzko.

To ledwo był sługa. Ten, który mordował i oprawiał wszystkie żywe istoty, jakie wpadły w jego ręce. Najpierw jego istnieniu należało położyć kres, zanim użyje on swoich ramion przeciw Rycerzowi.

Clinschor dawno już przestał być człowiekiem. Kończyny miał długie, wychudłe, blade jak rybi brzuch. Twarz jego była opuchła, jakby pod skórą toczyła go zgnilizna, nos miał zapadnięty, oczodoły puste, pełne potłuczonego szkła. Czarnoksiężnik okrywał swą odpychającą postać odzieniem z pozszywanych gobelinów, których piękno zbrukał bezpowrotnie. Zasiadał na tronie dawniej należącym do kapitana garnizonu, patrząc, jak jego służalczy ożywieniec rozcina napęczniałe ciało i wyciąga z niego drżący pęk narządów, włosów oraz zębów.

– I tak oto, tworząc życie – syknął nekromanta – zabiłem Boga.

Rycerz skacze naprzód, mieczem uderza w czarnego ożywienia. Utrąca mu obydwie dłonie, ścina też wynaturzenie, które ginie w ciszy. Krzyżowiec obala ukrytą za srebrem postać, chwyta jej maskę i zaczyna tłuc o podłogę. Raz. Drugi. Trzeci. Bije, aż z pękniętej czaszki wypływa zgniły mózg, od dawna już martwy. Spojrzenie Clinschora zachodzi krwią. Zbite szkło wypływa wraz z czerwonymi łzami po policzkach i skapuje na kamienie.

– Za wcześnie na mnie – bełkocze czarnoksiężnik. – Za wcześnie, ale już niedługo słońce tej epoki zajdzie na wieki, będzie świecić jedynie umarłym, a żywi rozpalą nową, własną gwiazdę. Armatnim prochem, który skruszy mury dawnych czasów i rozpęta wojny straszniejsze od czarnej śmierci. Widziałem to, Bóg um...

Cios miecza rozrywa na kawałki twarz Clinschora; unosi się i opada, niwecząc wszelkie życie, jakie jeszcze zamieszkiwało we łbie nekromanty. Rycerz depcze opuchnięty, fałszywy język tego potwora; spod obcasa tryska krew oraz larwy much.

Krzyżowiec zamiera w bezruchu, dokonawszy sprawiedliwego czynu. Zasłania oczodoły ręką, jakby chciał zmazać to, co widział w tym miejscu. Tę potworność uczynioną ręką człowieka, kreatury, dla której nie istniały już żadne granice czy prawa.

*

Rażno zapłonęła zgromadzona w podziemiach smoła, szybko ogarniając drewniane belkowanie. Czarny słup dymu spowił wieżę, gorącym pogrzebowego stosu zamieniając w popiół księgi Clinschora oraz jego plugawą wiedzę.

Rycerz obserwował z daleka, jak stacja obraca się w gruz, a lawina śniegu przykrywa dymiące zgłiszczca niczym pogrzebowy całun. Wciąż miał w nozdrzach gorzki zapach tego miejsca, a pod sklepieniem czaszki wciąż odzywały się echem słowa nekromanty.

Ponury byłby to świat, w którym wzbudzona czarnym prochem wojna równie ponure żniwo zbierałaby jak czarna śmierć. Zaraza to przecie choroba, której jednak żaden człowiek nie stworzył ani nie wypuścił na świat. Chociaż wielu różnorako tłumaczyło jej pochodzenie, to nie można było żadnego śmiertelnika wskazać jako winnego jej kreacji. Pozbawiony nadziei byłby to świat, gdzie kataklizmy tego rozmiaru wychodziłyby spod ręki ludzi, o umysłach tak zgniłych, iż żadne zasady, prócz własnych, nie będą ich obowiązywać.

Ale to tylko jeden pomylenie, a nie herold smutnej przyszłości. Świat wedle jego słów już nigdy nie powstanie, bo i te ziarna pogrzebał Rycerz pod śniegiem oraz skałą. Prawdziwy był tylko ten świat –

wielki, pełen niewytłumaczalnego, gdzie święty i grzesznik służą sobie nawzajem, a każdy krok może objawić człowiekowi sekrety, o jakich nigdy nie ważył się pomyśleć. Nie brakowało tu łotrów, szaleńców i złych ludzi, którzy uciskali innych, sprawując nad nimi władzę, ale zawsze pozostawała nadzieja, że osiągnie ich sprawiedliwa pomsta. Jeżeli nie w tym świecie, to w następnym. Marna to pociecha dla tych, którzy najcięższą ponieśli stratę, bo i zmarłych ona do życia nie wróci. Ale po śmierci, gdy dusza oddzieli się już od ciała, a z serca opadnie ból, pozostaną jedynie radość oraz życie wieczne.

Tamten świat, pełen armatniego prochu i wielkich wojen, nigdy nie nastanie.

Rycerz drgnął, czując, jak mróz ogarnia na powrót jego ciało. Czas najwyższy otrząsnąć się z ponurych myśli i podjąć dalej pielgrzymkę ku Złotej Bramie Jeruzalem.

Ruszył więc naprzód, torując sobie drogę w głębokim śniegu. Zdawał sobie sprawę, iż chwalebne czyny mogą być zachowane w pieśniach po wsze czasy, lecz ich bohatera może spotkać koniec w najbardziej pospolity sposób. Wolałby uniknąć tego losu, gdyż jego sumienie jeszcze niegotowe było na spotkanie ze Stwórcą. W czyścicu by spędził najbliższe dekady, może i stulecia, pokutując za swoje grzechy w długim korowodzie dusz. Nie dla niego było klepanie pacierzy oraz śpiewanie psalmów na cześć Pana, nie ku temu skłaniały się jego talenty. Swojej pokuty Rycerz chciał szukać w oczyszczającym ogniu walki, a pragnienie to mogło się ziścić tylko wtedy, jeżeli opuściłby wreszcie te bezładne doliny.

Krzyżowiec wybrał wschodnie rozwidlenie doliny, gdzie teren stromiej opadał w dół. Nieco mniej dokuczliwa była tu aura, a śnieg był bardziej zbity i wilgotny. Po długich godzinach brnięcia w sykim puchu, jaki zalegał wyżej w dolinie, teraz nieomal bez wysiłku pokonywał kolejne mile. Ciężkie myśli pozostawił za sobą; jak zawsze one wrócą jeszcze, aby ścigać go i kąsać w godzinie zwątpienia. Póki jednak przed nim droga oraz zadanie, mógł odrzucić na bok rozmyślanie, a skupić się na wędrówce. Uciekał przed samym sobą i na razie jeszcze wyprzedzał żal. Miał szczerą nadzieję, że kiedy dopadnie go to lustrzane odbicie, zlepione z gorzkiego poczucia winy oraz wstydu, będzie to jego ostatnia chwila.

Po południu dostrzegł dymy miasta, które stało u złączenia pięciu dolin, tak jak dłoń łączy piątkę palców. Kamienny mur oblekał spiczaste dachy kamienic, kopuły świątyń oraz wieżę ratusza, niczym w ramionach ściskając dwa lub trzy tysiące dusz. Wcale nie mała liczba, jeżeli wzrokiem objąć ośnieżone szczyty, sięgające ku ciemniejszemu niebu. Dłuższe kroki zaczął stawiać Krzyżowiec, chcąc dotrzeć pod bramy jeszcze przed ich zawarciem na noc. Wszak po zmroku straż może go nie wpuścić i trudno będzie się jej dziwić. Wiele istot nieproszonych mogłoby przekroczyć świętą linię miejskich murów, jeżeli by je nieopatrznie zaprosić.

Im niżej z wysokości zstępował Rycerz, tym cieńsza była pokrywa śniegu, teraz sięgająca mu zaledwie do połowy łydki. Nawet dało się wychwycić słaby szmer wody płynącej ku nizinie. W powietrzu brzmiały echo siekier uderzających o pnie drzew, nawoływania ludzi oraz rzenie pociągowych koni, które ciągnęły urobek. Poza murami miasta, na spiętrzonych tamach rzeki, stał tartak, którego piły wypełniały dolinę metalicznym jazgotem. Ostatnie były to godziny pracy i ku bramom zmierzały już ciemne sylwetki ludzi. Coraz więcej światła pojawiało się w oknach, a dzwony kościołów wzywały na nieszpory.

Do wrót miasta Rycerz dotarł wraz z ostatnią grupką drwali, która wracała z siekierami na plecach przy wtórze miłych rozmów. Wszyscy oni byli krzepkimi mężczyznami, a przynajmniej tacy się zdawali, o rumianej od mrozu cerze oraz drapieżnych jak u wilka oczach. Mocna biła od nich woń świeżo ściętego drewna, żywicy, a także mchu oraz ziemi.

Otulony płaszczem strażnik uchylił małą furtkę i wpuścił w obręb murów drwali oraz idącego na końcu grupy Rycerza. Na widok nieznanego natychmiast zadał dziesiątki pytań, które wyrzucał z siebie tak prędko, iż zlewały się w jeden ciąg słów. Krzyżowiec na gesty próbował przekazać, iż ani jednej litery nawet nie pojął, ale bez skutku. Jeden z drwali wrócił ku bramie, po czym zaczął mówić bardzo wolno i wyraźnie, jakby to miało pomóc Rycerzowi poznać wszystkie tajniki mowy Serbów. Strażnik wreszcie strzelił palcami i zaczął mówić łamaną greką, na którą Krzyżowiec zareagował skinieniem

głowy.

– Nieznajom, z daleka przybywasz?

Krzyżowiec wskazał ramieniem ku północy.

– Z Bośni? – Widząc jednak, że Rycerz jeszcze szerszym ruchem wskazuje odległe krainy, stróż zaczął dopytywać dalej: – Od Kroatów? Italczyków? Od Niemca? Z Frankonii?

Pokiwał Krzyżowiec na potwierdzenie, co wzbudziło u dwójki Serbów błysk zaciekawienia. Jeszcze większe zainteresowanie wywołało poparzone oblicze, ale mężczyźni z zawodem przyjęli fakt, iż Rycerz nie potrafił mówić. Cóż by to był za wieczór, spędzony w ciepłym domu z rodziną oraz przyjaciółmi, kiedy przybysz z dalekich stron opowiadałby o odległej Francji albo o krainach, jakie widział w swoich podróżach...

Mimo to Stefan, drwal, nie zapomniał o gościnności i zaprosił Krzyżowca w swoje progi. Brodatemu Serbowi nie przeszkadzało wcale, iż Rycerz niczego nie rozumiał. Prowadząc go ku swemu domostwu, bez ustanku mówił mocnym głosem śpiewne słowa, które chociaż miłe dla ucha, wprawiały Krzyżowca w delikatny stupor. Wszak niczego nie wiedział o zwyczajach, jakie panowały w tej krainie, a w niczym nie chciał uchybić gospodarzowi. Na polu walki Rycerz nie odczuwał takich wątpliwości, zawsze wiedząc, co czynić, teraz jednak był zupełnie bezbronny. Śmieszne zdawało mu się to zmieszanie, gdyż tego samego dnia wspinał się po stopniach wieży Clinschora, a jednak większy niepokój czuł, kiedy Stefan otwarł przed nim drzwi do swego domu.

Rycerz pochylił głowę i wkroczył do wnętrza, czując na czaszce wspaniałe ciepło domowego ogniska. Główna izba oświetlona była pojedynczym kagankiem, który wisiał ponad stołem, rzucając krąg migotliwego światła. Z boku, od pieca, dochodziły trzask palonego drewna oraz woń świeżego chleba. Na belkach wisiały pęki ususzonych ziół oraz garnce okryte szarą tkaniną. To, co jednak urzekło Krzyżowca ponad wszystko, to biały obrus położony na blacie oraz przygotowana kolacja. Zwykły gest dla kogoś, kto na co dzień obcuje z bliskimi, ale dla wędrowca, który zwykł spać pod gołym niebem lub oparty o pień, ten widok był świętością.

– Djana! – zawołał Stefan, po czym dodał coś, czego Rycerz już nie był w stanie pojąć.

Z sąsiedniego pokoju wyłoniła się jasnowłosa kobieta, z zaskoczeniem spoglądając na gościa, ale tylko przez krótką chwilę. Szybko przyniosła drugi talerz, kamienny, wodę oraz garniec pełen słodkiego zapachu. Usadziła Rycerza przy stole, przed nim postawiła kubek wody oraz tak rozkosznie pachnący latem garniec. Rozniosła się od niego woń owoców i kwiatnych płatków.

– Slatko – powiedziała, wskazując na leżącą obok łyżkę.

– Slatko – zachęcił Stefan, siadając naprzeciwko.

Bez ociągania Krzyżowiec nabrał łyżką nieco konfitury, po czym wsunął ją do ust. Nie czuł jej smaku, ale pokiwał głową i starał się uśmiechnąć, wyobrażając sobie, iż slatko ma smak tak wyborny, jak zapach.

Pozostała część wieczora upłynęła Rycerzowi na trudnej walce z językiem, którego wcale nie rozumiał, oraz gościnnością Serbów, którzy chcieli okazać wędrowcowi tyle życzliwości, ile tylko mogli. Powoli, ale w miłej atmosferze, Krzyżowiec odmówił posiłku na rzecz żaru, co przyszło dosyć prosto, gospodarze bowiem i tutaj mieli styczność z ludźmi o jego aparycji. Wyzwaniem było przerwienie ponad barierą mowy pragnienia, iż najlepszym miejscem dla niego jest podłoga, nie zaś małżeńskie łóżko. Jednakże, zapewne za wstawiennictwem świętego Judy Tadeusza, patrona spraw beznadziejnych, Krzyżowiec w końcu dopiął swego i w przyjacielskiej atmosferze udało mu się uciec od komfortu łóżka. Uznawszy go zapewne za mnicha w pancernej skórze, Serbowie ulegli jego namowom, a po kolacji udali się na spoczynek.

Rycerz pozostał w izbie sam, kładąc się na twardych kamieniach. Pas oraz hełm złożył obok, pod ławą, i wpatrywał się w pomarańczową kreskę światła, która przez szczelinę w piecu tańczyła na suficie. Dumał nad własną wiarą, która tak rzadko w nim odżywała. Modlił się rzadko, prawie wcale; niewiele

myśli poświęcał sprawom duchowym, chociaż niezachwianie gotów był bronić krzyża przed niewiernymi. Może nie była to wiara, ale usprawiedliwienie głodu walki? Listek figowy, nie innego rodzaju jak ten, którego Wenecja gotowa była użyć do poparcia wojny z handlowym rywalem? Jednak to ubodło go do martwego. Nie chciał przecież, aby w tak łatwy sposób ktoś inny zasłaniał się wiarą dla własnych celów, sam zaś mógł czynić dokładnie tak samo. Czyżby bał się konkurencji, czy też oburzenie to płynęło ze szczerego serca, chociaż martwego i z natury nieskorego do wylewności?

Pobożne rozmyślanie szybko znużyło Krzyżowca. Zasnął, leżąc na plecach, ręce krzyżując na piersi, w sposób, w jaki śpią zmarli wykuci na kamiennych sarkofagach.

Obudził go zapach mchu oraz poruszonej ziemi. Dziwna wydała mu się ta woń, wszak nie czuł jej wcześniej, kiedy wchodził do domu. Niezbyt najpierw się przejął, póki nie dosłyszał chrobotania o wejściowe drzwi. Dłoń Rycerza z miejsca powędrowała do noża. Zdawało mu się, że coś podważyło skobel i wsunęło się do wnętrza. Leżącego na podłodze Krzyżowca dobiegła fala lodowatego powietrza, którą ucięły zamykane drzwi. Spodziewał się ciężkich kroków Stefana lub jego żony, ale oboje spali głęboko w pokoju obok.

Przez smugę księżycowego światła przebiegł malutki gryzoń, cichutko szcękając pazurkami o podłogę i węsząc za drobinkami jedzenia. Rycerz czuwał niespokojnie, chociaż nic już nie mąciło nocnego spokoju. Czy były to jedynie złudzenia pogrążonego we śnie umysłu? Może to długa wędrówka odcisnęła na nim niezmywalne piętno człowieka, który nie jest już w stanie zaznać spokoju nawet w czterech ścianach przyjaznego domu? Nie każdy przecież cień kryje upiory. Mimo tego Krzyżowiec trzymał nóż blisko i nie zaznał już snu tej nocy. Trwał w pełnym napięciu oczekiwaniu, gotowy w każdej chwili ruszyć do walki, ale nikt nie wołał pomocy. Śpiący obok wiercili się nieco, Stefan oddychał chrapliwie przez kilka chwil.

Tak dotrwał Rycerz do ciemnej godziny przedświt. Nie mogąc dłużej zdzierżyć tej bezczynności, wstał i przypasał miecz. Hełm nasunął na czaszkę, znacznie spokojniej czując się pod jego stalową skorupą. Jakże nienaturalnie czuł się bez tego ciężaru! Małżeństwo spało jeszcze głębokim snem, toteż Rycerz postanowił ich nie budzić, po prawdzie nieco lękając się pożegnania. Tego nawet obawiał się bardziej od wszelkich stworów, jakie krążą po krainach świata. Nie dla niego były pielesze oraz domowe ognisko; nie potrafili by przetrwać w tym miejscu nawet kilku tygodni bez spoglądania z murów miasta ku horyzontowi. Nie było pod jego czaszką zrozumienia dla spokojnego życia. Mimo to doceniał gościnę Stefana i Djany. Pozostawił na stole złoty pierścień, który wygrał od Ulricha von Liechtensteina. Damie serca nakazywał oddać go zbrojny poeta, ale droga Rycerza nie prowadziła poprzez różane ogrody, gdzie taki dar mógłby przypieczętować miłosne zaloty.

Rycerz pochłonął jeszcze garść żaru z pieca, dorzucił nieco drew i cicho, niczym zmora, opuścił dom.

Choć pora była wczesna, miasto już budziło się do życia. Zza murów kościoła dochodził chór śpiewających duchownych, ponad którymi szybował piękny, wysoki głos, jakby pierwszy zwiastun nowego dnia. Zdejmowano łańcuchy, którymi na noc grodzono ulice, pojawiali się ciężko odziani ludzie, zmierzający zaspanym krokiem ku swym obowiązkom. Urobek niektórych, źródło ich dochodów, znajdował się daleko poza kamiennymi murami. Byli wśród nich traperzy i drwale, spędzający nieraz długie tygodnie w dziczy, górnicy soli oraz zbrojni, których obowiązkiem było przecieranie najżywniejszych dla miasta szlaków.

Rycerz skierował się ku wschodniej bramie i opuścił gród, którego nazwy nie zdołał poznać. Dopiero tutaj, poza kręgiem domów oraz murów, mróz uderzył w niego z pełną mocą, na powrót wbijając swoje kły w każdy fragment jego ciała. Krzyżowiec nieświadomie tęsknił za tym uczuciem, choć ledwo jedną noc spędził pod dachem. Z otwartym niebem nad głową oraz milami chrześzczącymi pod obcasami butów czuł się nieco bliższy szczęścia. Przed nim, a ponad poszarpanymi szczytami, unosiło się słońce, ścieląc mu złotym światłem drogę naprzód. Maszerował równo po zasypnym gościńcu, czując pod

śniegiem drewnianą nawierzchnię drogi. Szeroka dolina, a raczej wyżyna, pełna była domów, które dostrzec można, tylko śledząc unoszące się smużki dymu.

Mijali Rycerza różni ludzie tego dnia, zwiastując niechybnie, iż w słusznym kierunku ruszył. Kupcy, najemni robotnicy, duchowni oraz wszędobylscy grabarze, których w żadnym zakątku świata nie mogło zabraknąć. O zarazie przypominał ptasi łeb morowego lekarza, który zmierzał w przeciwną stronę niż Krzyżowiec. Nie dziwiła Rycerza obecność tego wynaturzenia nawet w mroźnych dolinach Serbii. Czarna śmierć nie oszczędzała nikogo, a przecież żadnych dzieci nie widział Krzyżowiec w mieście; dom Stefana i Djany był dojmująco pusty, z pewnością nie z powodu zaniedbania małżeńskiego obowiązku.

Droga wiodła pomiędzy otoczonymi częstokołem osiedlami oraz bezlistnymi jeszcze sadami, które cierpliwie oczekiwały na wiosenną odwilż. Życie trwało tutaj przyczajone, acz nigdy do końca wymarłe. W cieniu zamku serbskie rycerstwo, pomimo zimy, wcale nie zapominało o chwalebny sporcie i urządziło turniej na modłę Okcydentu. Niektórzy z walczących byli odziani w pancerne uprząże, podobne do tych, jakie wdziewali na siebie *milites* z Anglii czy Cesarstwa Niemieckiego; inni natomiast chronili się pod lamelkowymi płaszczami oraz spiczastymi hełmami o szerokim rondzie. Ciekawość wzbudzili w Rycerzu owi bracia w orężu, jednak mimo chęci skrzyżowania z nimi mieczy nie zatrzymał się na długo. Z podobnymi uczuciami ominął mury miasta, którego cytadela wznosiła się na wyspie otoczonej rozdwojonym biegiem rzeki. Z jej biegiem właśnie podążył Rycerz.

Przed zmierzchem dotarł do wypalonego klasztoru wznoszącego się na wzgórzu ponad lasem krzyży znaczących cmentarne ziemie. Wspiął się po tych zaspach, omijając ciemne dziury świeżo rozkopanych grobów. Ściany klasztoru niegdyś były pełne koloru, otynkowane i przyozdobione twarzami świętych oraz obrazami z Pisma. Teraz pozostały tylko zdeformowane kształty, okaleczone przez ogień twarze, wciąż ze współczuciem patrzące na ludzi. Rycerz przekroczył bramę, wspinając się po rumowisku i spoglądając na zawalone budynki, na wpół skryte pod śniegiem. Miłe było to miejsce jego martwemu sercu. Pachniało spalenizną oraz śmiercią, co wielce przypadło mu do gustu. Niewiele osób z własnej woli spędziłoby noc w takich ruinach, bojąc się duchów, które mogły powracać na to pogorzelsko. Krzyżowiec nie lękał się jednak widm dawnych eremitów; nie straszniejsze z nich powstają upiory niż po innych śmiertelnikach, a przyjaźniejsze nawet, skore raczej do figli, rady oraz antałka wina. Odkopawszy sobie wejście do jednej z klasztornych cel, Rycerz zawarł się w niej jak w grobowcu i spędził noc zupełnie bezpieczny od wszelkiego zamętu.

Ze smolistej otchłani snu wyrwało go ujadanie psów.

Krzyżowiec rozniecił Czaszkę Pielgrzyma, aby upewnić się, czy ciemność przed oczodołami kończy się zgruchotaną ścianą, czy ciągnie się znacznie dalej, w głąb jego czarnych snów. Prawdę jednak widział przed oczyma, o ile cokolwiek dało się tak określić w tym świecie niedoskonałych odbić na ścianie jaskini. Rycerz odkopał się spod gruzu, wpełzając w szarugę przedświt. Zwabiony psim ujadaniem wyszedł na mury i spojrzął na rozciągający się poniżej cmentarz.

Pomiędzy krzyżami krążyły nisko pochylone sylwety stworzeń, jakich Krzyżowiec jeszcze nie widział. Nogi jak u konia, zakończone kopytami, owłosiony korpus o zapadniętych bokach i skórze przylepionej do żeber; dłonie z pazurami, które z łatwością radziły sobie z zamarznąłą glebą oraz drewnem trumien; łeb psa, ze spiczastymi uszami, ale z jednym tylko okiem pośrodku czoła, błyskającym zielenią oraz błękitem. Spomiędzy warg migały stalowe kły, miażdżąc bez wysiłku kości, pożerając ciała pochowanych tu ludzi. Kilkanaście tych stworzeń między grobami poszukiwało posiłku.

Rycerz nie miał zamiaru pozwolić, aby psiogłowcy bezkarnie plądrowali miejsce pochówku. Uniósł z korony muru obły kamień i cisnął nim w najbliższego stwora. Psiogłowiec zawył z bólu, podwinął ogon, po czym umknął kilka susów w dół zbocza. Krzyżowiec chwycił kolejny pocisk, wymierzając zdezorientowanym padlinożercom bolesne razy. Jeden z nich zawył przeciągle, obnażył lśniące zęby i ruszył ku Rycerzowi, ale ten celnym kamieniem trafił wprost w jego paszczę, zmuszając go do ucieczki. Niewiele czasu zajęło mu kompletne zapanowanie nad zboczem cmentarnego wzgórza. Nie czekając

długo, ruszył dalej, odpędzając kolejnych psiogłowców, którzy umykali z wyciem do swych podziemnych tuneli. Widząc to, Krzyżowiec zeskoczył z barykady i dopadł wejścia do psiej nory.

Na kolanach musiałby się nią przedzierać, głęboko pod powierzchnią ziemi, ponownie walcząc z uczuciem, które towarzyszyło mu w tunelu w podziemiach rycerskiej wieży w Mestre. Chęć przygody jednak była silniejsza od strachu, więc z gorejącą Czaszką Pielgrzyma w lewej dłoni, a nożem w prawej Rycerz zanurzył się w podziemia. Przed sobą słyszał żalosne skuczenie psiogłowców, którzy umykali przed nim byle dalej. On zaś deptał im po piętach, czując w nozdrzach odór mokrego futra oraz zwierzęcego strachu. Może i miały one zęby z metalu, lecz to on niósł ze sobą jasne światło, jakiego ich pojedyncze ślepie nie były w stanie znieść.

W wydrapanych jamach po bokach psiogłowcy pozostawiali ogryzione kości oraz błyszczące przedmioty, w których najwyraźniej gustowali. Rycerz obejrzał je tylko pobieżnie, gdyż jedyne, czego lękał się teraz, to odważniejszego ogara, który zaczajony w takiej odnodze zaatakowałby go od tyłu. Parł więc tunelem wzmocnionym kamieniami, sam nie do końca wiedząc, czego właściwie szuka w tym miejscu. Czy był to głód walki, a może chęć zobaczenia czegoś więcej, dalej i intensywniej niż dotąd?

Tunel poprowadził go do rozległej kawerny, wspartej na kamiennych kolumnach, otulonych twardą gliną. Choć nie było to wewnątrz tak wysokie jak mury Sainte-Chapelle, to okazało się nie mniej imponujące, bo wzniesione psimi łapami. Rycerz mógł tutaj stanąć wyprostowany, z dobytym mieczem w prawicy i światłem w okaleczonej lewej dłoni. Zaintrygowany ruszył między kolumnami, bezustannie wypatrując napastników. Cicho jednak było wkoło, a psiogłowcy unikali walki. Pozostawili po sobie stosy klejnotów, które wydobywali z głębin ziemi, oraz kilkoro szczeniaków, zbyt młodych, aby uciekać, a dla których zabrakło miejsca w matczynej paszczy. Małe, ślepe i słabe, pełzające po ubitej ziemi tuż obok drogocennych kamieni, skamlały cicho za rodzicami. Rycerz powiódł wzrokiem dookoła, a w ciemności dostrzegł pojedynczy ogień psiego oka. To była matka. Na całym świecie spojrzenie rodzicielki, która ze strachem patrzy na swoje potomstwo w niebezpieczeństwie, jednakie jest dla ludzi oraz zwierząt.

Rycerz przez moment jeszcze patrzył na bogactwo, o jakie mogli zabiegać moi, gdyby tylko wiedzieli o jego istnieniu. Przywołał myśl, że sam święty Krzysztof, patron podróżnych, był wszakże psiogłowcem. Niemądrze byłoby wywoływać gniew tak znacznej figury, Nosiciela Chrystusa, kiedy przed nim jeszcze tak długa droga. Mimo to chciwość nie opuściła tak łatwo serca Rycerza. Nikomu krzywdy nie uczyni, jeżeli zabierze kilka klejnotów. Mała to strata dla psiogłowców, a wielka pomoc dla niego w jego świętej misji. Czyż nie są to stworzenia Pana, które chwalą Go w każdej chwili swego istnienia? Powinny go wspomóc z własnej woli, zapaśnika Chrystusowego, rycerza krzyżowego na misji.

Oko w ciemności podkradło się bliżej, ale na widok Rycerza chowającego miecz do pochwy cofnęło się znów w strachu. Szczeniaki zakwiliły głośniejsze, domagając się mleka oraz ciepła matczynego ciała. Krzyżowiec zawrócił, kręcąc głową na swój głód wrażeń. Żaden psiogłowiec nie podązał jego śladem i bez trudu powrócił Rycerz na powierzchnię, nieomal żałując swego gniewu oraz ciśniętych kamieni. Czyż można winić padlinożercę za to, że jest tym, czym się urodził i był całe życie?

W chłodnym świecie ruszył Krzyżowiec na wschód, pogrążony w ponurych myślach. Chociaż słusznie postąpił, nie sprowadzając więcej nieszczęść na psiogłowców niż strach, to ten krótki epizod zmusił go do pochylenia się nad swoją wędrówką. Od kiedy wstąpił do tych krain, których tylko nazwy znał, szedł po omacku. Nie rozumiał języka, nazwy miast były mu obce, tak samo jako on sam dla mieszkańców tych ziem. Każdy dzień pełen był dziesiątków tysięcy kroków, które niosły go przed siebie, chociaż Rycerz nie był w stanie powiedzieć, czy był chociaż o milę bliżej Jerozolimy. Kolejne mijane wioski, miasta, zamki oraz ludzkie twarze żadnych nie poruszały wspomnień w jego umyśle, były nowe i świeże, a przez to puste. Po tylu dniach mozolnej wędrówki spoglądał na to wszystko zmęczonym wzrokiem, po czym wbijał oczodoły na powrót w brudny śnieg pod nogami. Urok podróży dawno już zwiertzał, pozostawiając po sobie jedynie uczucie ciągłego zmęczenia, przetykane tylko krótkimi

momentami podniecenia. Może dlatego zapuścił się w jaskinie psiogłowców? Aby na moment zapomnieć o bolesnym marszu i jego monotonnym rytmie?

Konno łatwiej byłoby znieść drogę, zwłaszcza iż milczące towarzystwo kasztanka nie miało znaczenia dla Rycerza. Dopiero kiedy zabrakło wernego rumaka, Krzyżowiec zrozumiał, jak miła jest sama obecność kompana, z którym dzieli się wszelkie trudy wyprawy. Od wzgórz Lombardii przecież towarzyszył mu ten dzielny koń, którego szczątki w czasie roztopów rozwłóczyły dzikie zwierzęta po górskiej dolinie. Nie będzie dla niego pomnika czy chwały, grobowca z białego marmuru i złota. Zostaną tylko wspomnienia zamknięte pod czaszką martwego Krzyżowca, a kiedy ten odejdzie do niebytu, wszystko zniknie. Czas kruszy wszystko.

Ciężko przychodziło zachować Rycerzowi dawną butę wobec nieubłaganych mil, które jeszcze między nim a upragnionym Outremer. Powinien być silny, śmiały, młody duchem oraz zapałem. On jednak czuł się tylko stary, stary i zmęczony. Nie nachodziła go bynajmniej myśl o rezygnacji z wyprawy, o powrocie do klasztoru gdzieś we Francji. Wszak jak wrócić z miejsca, które tak było mu obce, jak nie po własnych śladach? Krzyżowiec najmniejszej ochoty nie miał na chodzenie po górskich dolinach i przełęczach raz jeszcze, tym razem na własnych nogach, i mijanie truchła swego konika.

Nie, rezygnacja teraz byłaby aktem tchórzliwym i haniebnym. Tego Rycerz by nie zniósł; nie dotykał myślą takiej decyzji, a każdego, kto w jego obecności by na głos to wypowiedział, oblałby płazem miecza. Teraz jednak z większą pokorą szedł, spoglądając co jakiś czas przed siebie, ku górskiej przełęczy. Ten widok wcale mu do gustu nie przypadł, lecz nie widział innego wyboru, jak zapomnieć o palących od wysiłku mięśniach i bez narzekania iść dalej.

Zwodniczo blisko zdawała się ta nowa przeszkoda.

Mile zostawiał za sobą Krzyżowiec, a przełęcz ledwo co rosła w oczodołach. Dopiero gdy porastające jej zbocza lasy zaczęły nabierać kształtu, Rycerz dostrzegł, iż ma przed sobą nieomal pionową ścianę, której nie przecinała żadna ubita droga. Od przeszło dwóch mil maszerował po wrzosowisku jak w transie. Spojrzał za siebie, na długi łańcuch śladów odcisniętych w bieli, później na strome zbocze, raz jeszcze wstecz, po czym ruszył w jedynym akceptowalnym dlań kierunku. Wbił stopy oraz dłonie w twarde, zbity śnieg i zaczął wspinać się.

Gęsto rosły tutaj świerki, dzięki temu Rycerz mógł czepiać się ich pni; dawały nie tylko oparcie, ale i złudne poczucie bezpieczeństwa w razie upadku. Stok był na tyle nachylony, iż spadłby na sam dół zbocza z kompletnie pogruhotanym szkieletem. Jeżeli by nawet przetrwał upadek, musiałby czołgać się mozolnie ku najbliższemu osiedlu, aby przez długie miesiące dochodzić do zdrowia, licząc na to, iż wszystkie kostki zrosną się dobrze. Krzyżowiec wolał jednak dłużej o tym nie myśleć, gdy buty ślizgały się po lodzie. Lepiej było skupić się na uniknięciu tego fałszywego kroku.

W połowie drogi Rycerz oparł się o pachnący żywicą pień, dając moment wytchnienia ciału. Martwe było, ale wciąż podatne na znużenie, a niektóre rany, jakie żywi by zaleczyli z czasem, na nim pozostałyby do końca dni. Wpatrywał się w górujące ponad nim zbocze, zdając sobie sprawę i z tego, iż osuniecie się śniegu tutaj zmiażdżyłoby go. Postanowił za wszelką cenę nie dać górze satysfakcji i co rychlej wspiąć się na szczyt. Dostyc miał już zimy, chłodu i jej bezlitosnych objęć. Podziwiał ludzi, którzy żyli w tych surowych krajach, ale on było stworzeniem pustynnym, daleko wypchniętym poza swoją domenę. Bez dalszych przerw, czołgając się ostrożnie, czepiając każdego korzenia, dotarł na szczyt.

Stąd wreszcie dostrzegł znajomy obraz. Jeżeli pamięć go nie zwodziła, a złośliwe duchy nie stawiały miraży przed oczodołami, w oddali stała Serdica, stolica kraju Bułgarów. Krzyżowiec nigdy osobiście nie zawędrował do królestwa Kruma i Kaloyana, ale wiele o nim słyszał, przebywając w Konstantynopolu.

Pomimo zadowolenia z tego odkrycia Rycerz nie chwalił dnia przed zachodem słońca. Ten niedługo miał nastać, a Krzyżowiec wciąż pozostawał na grzbiecie stromego grzbietu, mając przed sobą dziesiątki mil, zanim znajdzie się w pobliżu Serdicy. Przyjdzie mu maszerować między lasami oraz jeziorami, które

dawały początek lśniącym witkom rzek. Najpierw jednak musiał znaleźć bezpieczną drogę w dół, a ta o wiele zdradliwsza była niż wspinaczka. Długo chodził po szczycie, próbując wypatrzeć miejsce, gdzie najłagodniej opadał teren. Nie było to proste, skoro pod zdradliwą skorupą śniegu czał się lód.

Krzyżowiec zaczął schodzić korytem potoku, stawiając powoli kroki po kamienistym dnie. Natura wyźłobiła tutaj szereg stopni, z których woda opadała serią kaskad oraz wodospadów. Łatwiej było iść tędy mimo płatów lodu, gdyż kamieniste dno nieco lepiej trzymało stopy Rycerza niż śliska trawa skryta pod zbitym śniegiem. Łyżką dziegciu były kamienne spiętrzenia, z których musiał zeskakiwać albo po których musiał pełzać jak pająk, po omacku szukając nogą kolejnego oparcia. Mozolna to była wędrówka, znacznie dłuższa od wspinaczki ku szczytowi, lecz wreszcie Rycerz mógł stanąć na równym terenie i pomaszerować ku Serdicy.

Odnalazł także gościniec, który szeroką pętlą omijał strome żebro, a tutaj powracał, przebłyskując spomiędzy łąt śniegu. Powietrze było cieplejsze, na kałużach widniała tylko cienka warstwa lodu. Ślady koni, wozów oraz ludzi potwierdzały nie tylko właściwy kierunek dla Rycerza, ale zwiastowały rychłe nadejście wiosny. Nie pierwsze były to jej zwiastuny, gdyż z bieli śniegu wydobywały się na świat jasne główki przebiśniegów oraz fioletowe płatki krokusów. Woń również była już wiosenna. Spod czystej skorupy zimy wydostawało się już powoli nowe życie, świeże, wzrastające z gnijących resztek poprzedniego roku. Wraz z młodą zielenią traw, kwiatów oraz drzewnych pąków na świat obnażone zostały wszystkie ciała oraz zbrodnie, jakie ukrywały mroźne miesiące. Pasterze kóz lubili tę porę, gdyż zwierzęta te pochłaniały wszystko, co tylko trafiło w ich poziome źrenice. Na mleko potrafiły strawić mięso, trawę, kości, liście oraz tkaninę.

Krzyżowiec szybko odkrył także inny aspekt wiosennych roztopów, o którym już nie pamiętał. Po jednej zaledwie mili marszu do łądek sięgała mu lepka, brązowa maź, która zalegała gościniec. O zmroku Rycerz dotarł do granicy lasu, porośniętego nagimi jeszcze bukami oraz grabami. Pomiędzy konarami przebijały się promienie księżyca, którego twarz stała w pełni. Po niebie pełży rozmyte obłoki ciągnące się od horyzontu ku góróm, niczym ciemne smugi pozostawione włosiem pędzla. Z mlaskaniem błota pod butami Krzyżowiec szedł naprzód, czując na skórze wilgoć, jakiej nie było w mroźnych dolinach Bośni oraz Serbii.

Mimo iż wkoło panował pokój, a w ciszy odzywały się jedynie sowy oraz lisy, Rycerz miał nieustanne wrażenie, iż nie jest sam na błotnistym gościńcu. Zmieniające się światło, drżące w podmuchach wiatru, sprawiało, iż czuł się odrobinę niespokojnie. Chociaż spoglądał przez ramię, na ukośne promienie księżyca przecinające drogę, nic nie dostrzegał. Tylko to uczucie, że w kąciku oczodołu, w cieniu drzewa coś jest i patrzyło wprost na niego. Mimowolnie przyśpieszył kroku. Nie ze strachu, raczej z chęci wywabienia w blade światło tego, co kryło się w mroku. Mogły być to jedynie figiel zmysłów, fobia przed ciemnością albo paranoja, która nieraz ratowała go z opresji. Ufał instynktowi, a dreszcz spływający lodowatą strugą po karku zwykł budzić jego czujność. Teraz jednak coraz ciężiej przychodziło mu spojrzenie za siebie, mimo wszystko czując obawę przed tym, co mógł dostrzec. Cień, masywny i nienazwany, z wieloma czerwonymi ślepiami w rozwartej paszczy?

Z oddali dobiegł go nagle potężny ryk bestii, który niczym piorun rozdarł spokój nocy. Rycerz zamarł na ułamek chwili, omiótł okolicę wzrokiem, dłoń zaciskając na chłodnej rękojeści miecza. Spodziewał się niemal, iż spomiędzy drzew wypadnie szarżujący drapieżnik, lecz krzyki ludzi oraz jazgot zwierząt dochodziły go z odległości. Ruszył biegiem, rozchlapując błoto. Przedzierał się przez zarośla, gałęzie smagały go po hełmie i ramionach, czasami ostrym kolcem wyszarpując nitki z tuniki albo kawałek mięsa z dłoni.

Na brzegu jeziora, w jasnym świetle ognisk, panował chaos.

Wpół odziani ludzie biegali z krzykiem na ustach, każdy w innym kierunku. Niektórzy chwyтали za kije, inni kulili się pod drabiniastymi wozami oraz powozami. Kilku leżało nieruchomo na ziemi, z twarzami w błocie, śpiąc snem wiecznym. Spłoszone zwierzęta dawno już umknęły prócz tych, które

wciąż uwiązane były do drzew. Konie oraz muły były kopytami w ziemię, starając się rozerwać skórzane pasy, które trzymały je w miejscu. Czując zapach krwi oraz drapieżnika, szalały ze strachu i toczyły białą pianę z pysków. Jeden osioł nie zdołał uciec przed ponurym losem i teraz czołgał się w błocie z oderwanym zadem. Tylko siłą przednich kopyt ciągnął ciało oraz wąpła, rozciągnięte za nim w krwistą masę. Krótka trwała jego agonía, bo z ciemności skoczył na niego drapieżnik, łamiąc mu kark. Sześć miał nóg, każda z nich zakończona była tępyimi pazurami z rozpiętą pomiędzy nimi błoną. Ociekające wodą futro, lśniące jak u foki, okrywało jego boki. Ogon krótki, szeroki oraz łeb, rogaty, z pyskiem czarnym od krwi i paszczą, pełną psich kłów. Stwór rozszarpał osła, pożerając co najlepsze części, a następnie zwrócił oczy ku przywiązanym do drzewa zwierzętom.

– Bukavac! – krzyknął ktoś z boku.

Krzyżowiec nie zatrzymuje się, biegnie dalej. Obok jednego z wozów stoi włócznia, którą chwytając w locie. Nie mieczem będzie walczyć z tym wodnym turem, ciężko by go podejść z tą igłą, nie wspominając o przebiciu grubej skóry. Rycerz zastępuje drogę potworowi, który gniewnym warkotem próbuje przegonić człowieka ze swej ścieżki. Ten jednak nie ustępuje i wymierza cios wprost w zakrwawiony nos. Żelazny grot wbija się w miękką tkankę, przyprawiając stwora o atak furii. Rycerz nieomal traci włócznię, ale wyrywa ją z ciała na czas, przyciągając do boku. Bukavac skacze naprzód, chcąc samym impetem zmiażdżyć wroga. Krzyżowiec nie stoi biernie, rzuca się na bok, w błoto. Staje natychmiast, ale upada skoszony uderzeniem ogona. Potwór bez namysłu zawraca i gna na obalonego człowieka. Rycerz nadstawia włócznię, której potwór nie dostrzega i nabiega na grot, wrażając go sobie głęboko w pierś. Drzewca pękają, a wibrujący ryk po raz kolejny rozlega się pod niebem, ogłuszając Krzyżowca.

W ciszy zrywa się Rycerz na równe nogi i sięga po miecz. Daleko jest do końca tej walki, a Bukavac opada nisko na łapy i z nienawiścią wbija pomarańczowe spojrzenie w Krzyżowca. Ten cofa się powoli, nie chcąc zachwiać się przypadkiem ku ognisku. W krąg światła chce zwabić potwora, w oczy sypnąć iskrami. Wtem dostrzega ruch nad grzbietem stwora. To napadnięci ludzie skradają się ku drapieżnikowi, w dłoniach ściskając siekiery oraz kije. Bukavac nie jest jednak głuchy, w przeciwieństwie do porażonych jego rykiem ludzi. Doskonale słyszy pułapkę i obraca się w mgnieniu oka. Skacze na ludzi, w błoto wgniata dwóch z nich, druzgocąc kości; pozostali uciekają z krzykiem.

Krzyżowiec nie czeka, widząc w tym swoją okazję. Sięga lewą dłonią po rozpalone polano, biegiem rusza ku obróconemu stworowi. Bukavac zwraca ku niemu wykrzywiony w nienawiści pysk, ale zamyka oczy, gdy płomienie trafiają go w łeb. Oślepiiony gniewem i ogniem skacze naprzód, bierze Rycerza na rogi, chcąc rozbić go o najbliższe drzewo. Krzyżowiec wypuszcza miecz, chwytając poroże stworzenia, i kierując się szalonym odruchem, wskakuje na kark wodnego tura. Teraz mocniej go ściska za rogi, ciągnie łeb do tyłu. Bukavac miota się w każdą stronę, chce zrzucić natręta z grzbietu, łapami chce go sięgnąć, lecz na nic to wszystko. Rycerz bije go piętami w boki, zmuszając do galopu, a pogrążony w amoku stwór coraz szybciej mknie ku brzegowi jeziora, z którego się wyłonił. Krzyżowiec widzi to, ale nie puszcza poroża do ostatniej chwili. Dopiero gdy Bukavac skacze ku głębinie, w tym przelotnym momencie gdy zawodzi siła ciężkości, Rycerz skacze w bok.

Z pluskiem wpada Krzyżowiec do wody, bokiem, na kamieniste dno. Nie chcąc pozostawać w wodzie ani chwili dłużej, biegiem rzuca się do brzegu, gdzie dociera już bezpiecznie. Sześciopiętny tur znika w głębi, pozostawiając po sobie krwawe pobojuwisko oraz jęki konających. Poobijany i mokry Rycerz znajduje leżący w błocie miecz, po czym siada przy ogniu, na podróźnej skrzyni.

W spokoju oczyścił z brudu swój oręż, ignorując panujące wkoło zamieszanie. Niezbyt był biegły w opatrywaniu ludzkich ran, znacznie bardziej lubował się w ich zadawaniu. Więcej złęgo mógł teraz uczynić rannym; nimi już zajmowali się ocaleli. Kim byli? Tęgo Krzyżowiec nie wiedział, a nie miał nawet chęci się dowiadywać. Ktoś mógłby potraktować to jako bezinteresowny akt bohaterstwa, a milczący wybawca, nawet nie wspominając słowem o nagrodzie, utwierdziłby go tylko w tym

przekonaniu. Rycerz wiedział, że prawda nie była aż tak heroiczna. Ku jego zadowoleniu nikt go nie zaczepiał, nikt nie chciał o nic pytać. Dołożył więc do ognia połamane drzewce włóczni oraz rękę, oderwaną od czyjś ciała. Teraz mógł w spokoju grzać się przy jasnych płomieniach, oczekując momentu, w którym zakosztuje gorejącego żaru.

Ocalali ludzie najwyraźniej mniej lękali się o pozostawiony nad jeziorem towar niż o własne życie, przesunęli się bowiem z rannymi z dala od brzegów jeziora, pewnie bojąc się powrotu sześcionogiego potwora. Rycerz był pewien, że nie zgładził wodnego tura, a jedynie zranił go, niezbyt dotkliwie zresztą. Nie widział ani kropli jego krwi. Tylko posoka ludzi oraz ich zwierząt znaczyła plażę w jasnym świetle księżycy, jedyną zaś poruszającą się pomiędzy kamieniami istotą była mysz, która zlizywała krew jęczyzkiem. Krzyżowiec uśmiechnął się pod hełmem na ten widok; śmieszny mu się zdawał, chociaż bez wyraźnego powodu.

Długie godziny nocy mijały Rycerzowi na czuwaniu i krótkich okresach zaćmienia, nie dłuższych niż kilka oddechów, w czasie których ramiona i głowa opadały mu nisko. Przed świtem wybudził go ulotny szmer dzwoneczków, niosący się pośród nocy z prawie niematerialnym echem. Natychmiast podniósł głowę, spoglądając na zasnutą bielą jezioro. U brzegu, pośród mlecznego oparu, na grzbiecie jasnego konia siedział bogato odziany mężczyzna. Czerwona szata lśniła delikatnie, wyszywana srebrną oraz złotą nicią; przy rycerskim pasie zwisał miecz, zdobny rubinem bliźniaczo podobnym do tego, jaki miała Orgeluz. Oblicze nieznanego było surowe, pociągłe, dosyć młode, co kontrastowało z powagą oczu oraz długimi siwymi włosami, które trzymał pod srebrną opaską.

– Rycerzu! – zawołał w *langues d'oïl*^[1]. – Zbliżcie się do mnie.

Poznając majestat tego człowieka, Krzyżowiec ruszył ku brzegowi, nieco jednak wahając się, czy może z taką samą łatwością stąpać po wodach. Mimo jego obawy toń nie pochłonęła go, pozwalając Rycerzowi zbliżyć się do widmowego jeźdźca.

– Jestem Gawan, poddany króla Graala – przedstawił się nieznanemu, skłaniając głowę. – Widzę, żeście nie tylko próbę nadaną przez hrabinę przetrwali, ale i po rycersku postępujecie, ratując ludzi przed niebezpieczeństwem.

Krzyżowiec klęknął w odpowiedzi na kolano. Pomimo nabożnej atmosfery otaczającej strażnika Graala nie potrafił oderwać oczu od ciemnej głębin, z której lada moment mógł wystrzelić Bukavac.

– Wybaczcie mojej żonie twarde słowa. – Gawan odchrząknął i już nieco mniej oficjalnym tonem podjął: – Jej to służba, aby sprawdzać tych, których imię wyszeptał Graal. Są to wszystko dusze silne, ale też kruche. Pozwól, że pokażę ci skrawek losu, jaki może stać się twoim udziałem. Powstań.

Rycerz uniósł wzrok, ale nie stał już na powierzchni bałkańskiego jeziora, lecz pośród zielonego pola kurhanów. Kopce ułożone były w długą aleję, a szczyt każdego z nich wieńczył wbity weń miecz. Gawan pchnął swego wierzchowca do łagodnego stępa, za którym Krzyżowiec mógł bez trudu nadążyć. Czuł się, jakby czas zawrócił swój bieg, a on ponownie był giermkim, który zawsze trwał u strzemięcia seniora.

– Tutaj spoczywają najznacniejsi bracia, jacy zjawili się w służbie Graala. – Gawan wskazał ramieniem na porośniętą trawą kurhany. – Wszyscy oni zginęli w walce, żaden ze starości. Graal bowiem jest tarczą i schronieniem, daje życie wieczne tym, którzy z czystym sercem zjawiają się u jego boku. On leczy nas, my zaś bronimy jego czystości, niosąc jego posłannictwo ludziom dobrej woli. Wszak człowiek jest pokarmem Boga, którego czci, On zaś daje nam samego siebie jako chleb i wino.

Chociaż Krzyżowiec z czcią słuchał tego, co mówił Gawan, bo materia to zbożna, to więcej uwagi skupiał na największym z kopców, zamykającym grobową aleję. Jego stoki miast kwiatów oraz trawy porastały miecze; pochwycił to spojrzenie Gawan.

– Tam śpi król wszystkich Bretonów, oczekując dnia, w którym jego kraj będzie w największej z potrzeb: wtedy powróci. Jego pierwsi towarzysze pozostawili swój oręż w hołdzie, a i my pozostawiamy tu ostrza. Wspólna to mogiła tych, po których nic prócz miecza nie pozostało. Jeżeli

postępować będziesz jak na rycerza przystało, i ty będziesz mógł swój miecz złożyć u stóp Artura, aby ruszyć przy jego boku, kiedy nadejdzie wezwanie.

Gawan poprowadził Krzyżowca ku brzegom lazurowego jeziora, pośrodku którego, na wyspie, wzniesiono altanę z jasnego drewna.

– Tutaj właśnie spoczywa – powiedział Gawan, zatrzymując konia już w wodzie, pozwalając falom lizać pęciny rumaka. – Widzisz, jak lśni w jego dłoni?

Rycerz zwrócił oczodoły ku altanie, lecz nie był w stanie dostrzec nic. Żadnego ruchu, postaci, nawet drżenia powietrza. Czegokolwiek kazał mu wypatrywać Gawan, to albo nie istniało, albo całkowicie było ukryte przed jego wzrokiem. Trwał tak Krzyżowiec, czując niepewność, bo żadnej tutaj przewagi nie da mu siła ramienia i ostry miecz.

– Straszne grzechy muszą ciążyć na twoim sumieniu, skoro ani orszaku, ani jego ołtarza nie widzisz – powiedział w końcu Gawan, nie okazując gniewu czy rozczarowania. – Żaden nie jest dosyć czysty, aby go z miejsca dojrzeć pośród innych. Ale tylko niewierni oraz ludzie strasznych czynów są tak zaślepieni, iż niczego nie spostrzegają. Widzę, że już we właściwym kierunku zmierzacie, cnotą coraz snadniej zwalczając pokusy, lecz dawna krew wciąż płami wasze ręce. Do Ziemi Świętej idziecie, a zagna to pielgrzymka i widzę, że dobrze wam służy. Z pewnością tam znajdziecie swoje odkupienie. Kiedy tak się stanie, wezwiemy cię do boku króla Graala. Teraz jednak...

*

Rycerz stał na kamienistej plaży, z ciemnościami nocy ponad głową, wpatrując się w ciemną toń, którą zamieszkiwał Bukavac. Długo bez ruchu stał, roztrząsając słowa, jakie usłyszał od Gawana. Czyśćcem była mu ta podróż, lecz czy mógłby się spodziewać czegokolwiek innego za swoje czyny? Sam jednak wątpił, czy nawet najsrozsza pokuta zmaże to, co uczynił, i przyniesie mu ulgę. Nie wstaną z martwych ci, których życie odebrał w gniewie i dla zysku. Jak zabiegać o wybaczenie za czyny, które zwykle się przypisywać sługom Szatana? Bóg był miłosierny, lecz w piekle Rycerz spotkałby wiele znajomych postaci, do dnia Sądu i na tysiąc kolejnych lat skazanych na wieczne męki. Taką samą drogą potępienia sam niegdyś postępował, więc czy cokolwiek, co uczyni, zmieni wyrok Ojca nad jego duszą? Nawet jeżeli służyć będzie Graalowi, niewiele może to pomóc w ostatecznym rozrachunku jego dni.

Krzyżowiec wzruszył po chwili ramionami na pośmiertne męki.

Wiele trudu będą musieli sobie zadać oprawcy, aby skatować go bardziej, niż uczyniła to ta podróż. Jeżeli nawet całymi dniami będą go torturować, najstraszliwsze zadając cierpienia, to przecież nie będą mogli już go więcej zranić. Nie odbiorą mu życia, bo i to dawno stracił, ból zaś w końcu zblaknie i przywyknie Krzyżowiec do jego obecności. Nic nie będą mu mogli uczynić, czego już raz nie zaznał.

Świt zastał Rycerza w drodze, maszerującego wzgórzami, które otaczały łukiem kamiennych ramion Serdicy. Z ich wysokości Rycerz mógł objąć wzrokiem rozległą siedzibę bułgarskiej korony. Dawne rzymskie mury stanowiły cytadelę; masywne baszty strzegły pałacu oraz kościoła pod wezwaniem świętej męczennicy Sophii, od której miasto przybrało drugie imię, coraz częściej używane przez mieszkańców. Poza murami rozciągało się morze kamiennych i drewnianych domów, wyrastających na siatce dawnych ulic, wytyczonych jeszcze przez Rzymian. Z kominów odlewni wydobywały się kolumny ciężkiego, ciemnego dymu, iskry oraz popioły. Gdyby po śmierci mieszkańcowi Serdicy otworzyć płuca, można by znaleźć w nich tę ciemną obwódkę węgla oraz złota. Sławne to było miasto z obfitości w drogocennych żyłach, skrytych w okolicznych górach.

Krzyżowiec widział także kopalnie: ogromne wyrwy w skalistych zboczach, przywodzące na myśl ślady pozostawione przez uderzenia ogromnego topora. W nich czaiła się pajęczyna rusztowań oraz ciemnych wyjść z chodników, w których znikali górnicy. Na ich ramionach, we krwi oraz oczach spoczywało największe bogactwo Bułgarii – złoto. Bezcenni byli to ludzie, jak ogary tropiący kwarcowe

skąły lśniącym wzrokiem. Nie dziwiło więc Rycerza, że kopalnie złota umocnione były nie gorzej niż sama stolica. Z kwadratowych wież spoglądali bez ustanku ludzie o ptasich proporcjach ciała, których ogromne źrenice wspaniale odnajdywały cel dla łuków. Krzyżowiec poznał ich kiedyś bliżej i nie był chętny do odświeżania tej znajomości.

Dziś Rycerzowi nie dane było zawinąć do Serdicy, a słuszniej by rzec, iż nie chciał nadkładać drogi, mimo pokusy zobaczenia sławnego miasta. Wiele słyszał o wilczych plemionach, które rekrutowali na swoje usługi bałkańscy możnowładcy, i chciałby je zobaczyć, a nawet poszukać z nimi zwady; również potężne huty żelaza oraz złota były czymś, o czym jedynie wiedział z ust podróżnych, a co pobudzało jego wyobraźnię. Nowe krainy warte były zobaczenia, lecz ostatnie dni dały Rycerzowi zupełnie nową perspektywę, z jakiej spoglądał na swą podróż. Nie wiedział, ile czasu pozostało mu, zanim płomyk życia zgaśnie na zawsze.

Od bagien Toskanii nie czuł na sobie smagnięcia bezlitosnego czasu. To życie po życiu przecież wygaśnie, prędzej czy później, tak samo jak każdy ogień. W każdej chwili podmuch losu mógł odebrać mu szansę na odkupienie lub – co gorsza – mógł pozostawić go słabym i okaleczonym, bez dotychczasowej siły oraz sprawności. Pozostałby tylko zgrzybiały starzec, zgięty pod brzemieniem lat, dla którego można żywić jedynie współczucie. Drapieżniki nie umierają z godnością; bezzębne i zbyt słabe, aby polować, zostawiane są na śmierć albo spotyka je zguba ze strony młodszych rywali. Nie miał Krzyżowiec domu innego jak pole bitwy, a rodziną byli mu przygodni towarzysze broni. Kiedy minie ten pożyczony czas opadnie w piach poparzone truchło i nigdy już nie wstanie. Jedyne sposoby na odwołanie tego losu oraz surowego wyroku przed obliczem Ojca to ukorzenie się przed Graalem, który obdarzy go życiem wiecznym. Wspaniała byłaby to ucieczka przed karą za gniew i rozlaną krew.

Szybko przychodziło Rycerzowi pokonywanie staj przez dawną Mezję. Drogi były zadbane, a przeprawy przez liczne rzeki utrzymane w porządku. Nawet po zmroku na gościńcach można było spotkać kupców wędrujących między stolicą Bułgarii a siedzibą basileusa w Konstantynopolu. Te dwa kraje złączone ze sobą były na dobre i na złe, dzieląc wspólną historię wojny oraz przyjaźni. Jak wszystkie państwa otaczające cesarstwo, tak i Bułgaria tworzyła z miastem Konstantyna nierozzerwalną całość, chociaż nieraz była to całość wstrząsana wojną oraz podejrzliwością. Jednak żaden król Serbii, władca Mezji, Syrii, a nawet odlegli Frankowie nie wyobrażaliby sobie świata bez cesarza zasiadającego na mechanicznym tronie w blachernejskim pałacu. Mogliby zająć jego miejsce, ale rozbić w pył myśl o Imperium? Tego nikt sobie nie wyobrażał.

Rzymska droga, Via Militaris, kierowała się tutaj ku Cesarskiej Przełęczy, przy której poległa armia Bazylego Macedończyka, drugiego tego imienia. Jego próba podboju Bułgarii tragicznie zakończyła się w tym miejscu, u stóp potężnej fortecy, która nie uchroniła jego wojsk od wściekłego ataku Bułgarów. Niewiele brakło, aby sam basileus dostał się do niewoli, lecz niezłomność charakteru oraz chyżość koni poniosły go w głąb Tracji. Krzyżowiec wspinał się teraz tą samą drogą, pechową dla cesarza, a będącą grobem jego żołnierzy. Po obydwu stronach drogi, lśniące mdłym blaskiem próchna, w ciemnościach nocy fosforyzowały szczątki tysięcy ciał. Kamieniste zbocze usłane było czaszkami oraz żebrami, rozrzuconymi pośród głazów, tworząc naturalne ossuarium. Trupim blaskiem okryty był stok, jednak nawet w śmierci żołnierze Bazylego nie ustawiali w służbie; w świetle ich kości załoga twierdzy bez trudu mogła obserwować każdego, kto chciał przekroczyć przełęcz.

Krzyżowiec bez niepokoju wszedł w cień kamiennych murów. Potęga tchnęła z tych umocnień, duma Imperium, która nie pozwalała Rzymowi zejść z areny dziejów. Wszak oto była jej wschodnia część, która nie poddała się fali Gotów, Wandali i Hunów. Rzym upadł, ale nie Imperium, wciąż stojące na straży swych granic mocą okutych w łuskowe pancerze żołnierzy bez oczu i tchu, pod którymi nie ma niczego prócz cesarskiej woli pchającej ich naprzód. Nieprzekupni, nieżywi i wierni stali ci żołnierze, strzegąc najbardziej narażonych na atak granic Imperium. Rycerz minął kilku żołnierzy garnizonu, zupełnie zwykłych, jeżeli nie liczyć śladów przebytej dzumy, grzejących się przy żarniku. Miejscowi to byli

ludzie, odziani w kolczugi, ze spiczastymi hełmami o płaskim rondzie. Za nimi, w dwóch wnękach w tunelu bramy, stały żywe zbroje, najbieglejsi wojownicy Imperium, których nie bez przyczyny zwano *Optimatoi* – Najlepszymi.

Kiedy Rycerz opuścił mury fortocy, stał już w domenie basileusa, a jego oczodoły napotkały boginkę Eos, która budziła do życia poranną zorzę. Szczęście uśmiechnęło się w końcu do Bazylego Macedończyka, bo zwyciężył w końcu Bułgarów, przywracając Mezję pod skrzydła Imperium. Stało się to w bitwie pod Kleidion, gdzie srogą powziął zemstę na Bułgarach, oślepiając jeńców, pozostawiając im jedynie jednookich przewodników, którzy mieli ich prowadzić do władcy Bułgarów. Widząc ich, serce króla Samuela zawiodło i dwa dni później przestało bić całkowicie. Do teraz Bułgaria pozostaje pod władztwem Imperium, dotkliwie potraktowana ślepotą za bunt. Mimo tego brutalnego aktu Bazyl mądrze rządził Mezją, nie biorąc dalszego, bezmyślnego odwetu na krainie.

Historia ta dawała Krzyżowcowi promyk nadziei. Czyż on nie był powstańcem przeciwko prawom ludzkim i boskim, który dotkliwie potraktowany, teraz gotów był służyć większemu dobru?

Nowy dzień budził się nad Imperium, oświetlając pofalowane wzgórza, rozpływające się w równinie porośniętej lasami oraz rzędami osad i miasteczek. Każde z nich lśniło jak perła, nanizana na sznur rzymskich dróg, arterii Imperium, prowadzących nieodmiennie ku najwspanialszemu klejnotowi Mare Nostrum.

^[1] Podgrupa dialektów romańskich [przyp. red.].

ROZDZIAŁ VII

Mury Konstantynopola widać było już z daleka jako białą ścianę górującą ponad zielenią uprawy oraz sadów. Powiedzieć o nich, iż były potężne, to rzec kłamstwo i nieprawdę. Nawet jeżeliby postawić obok kamienne lica Château Gaillard oraz Krak des Chevaliers, karłami zdawałyby się one wobec fortyfikacji Teodozjusza, jakimi oblekł on Konstantynopol. Miejsce to było antyczne i znane z dawna przez Symplegady, między którymi przemknęła Argo, wioząc Jazona oraz jego towarzyszy ku brzegom Kolchidy. Złote runo większą przyniosło sławę Argonautom niż Byzasowi jego przenikliwość. Jednak patrząc na rosnące z każdym krokiem mury, to jemu Krzyżowiec gotów był przyznać pierwszeństwo przed załogą antycznych herosów.

Mila jeszcze dzieliła Rycerza od bram Konstantynopola, ale na licznych drogach prowadzących do jego bram już panował tłok. Szerokimi drogami ku miastu ściągali nie tylko kupcy oraz żołnierze, ale i rzemieślnicy, sztukmistrzowie, najemni robotnicy i podróżnicy; prócz nich jeszcze cała rzesza połykaczy ognia, rolników, pielgrzymów, urzędników i włóczęgów. Wszystko to podróżowało na własnych nogach lub wierzchem, na grzbietach wszystkich znanych człowiekowi zwierząt. Ciżba ludzi oraz zwierząt była wielobarwna i posługiwała się mnóstwem języków. Prócz łaciny i greki do uszu Krzyżowca dobiegała śpiewna mowa Bułgarów oraz Serbów; obecni w tłumie byli Rusini, Frankowie, Anglowie oraz przybysze z Nawarry i Sycylii. Towarzyszyło im skrzypienie drewnianych powozów, ryk zwierząt, klekot podków oraz szelest tysięcy stóp, raz po raz uderzających o bruk lub ziemiste pobocze. Ludzie wszystkich wyznań byli tu obecni, ze skórą spaloną słońcem na brąz, jak i o cerze jasnej jak śnieg, a Rycerz nie wszedł nawet do miasta. Jakaż różnorodność musiała panować w przesławnym Złotym Rogu, zamkniętym ogromnym łańcuchem porcie Konstantynopola?

Zaduch wisiał w majowym powietrzu, ale miły był on Krzyżowcowi. Bliźniaczy to zapach do tego w czasie wojennej kampanii: pot ludzi oraz zwierząt, woń świeżego drewna, skóry i znoszonej tkaniny. Odległy powiew wojny, który tylko żołnierskie nozdrza wylapywały w niecierpliwym oczekiwaniu. Im bliżej jednak było do brzegów Propontydy, tym chłodniejsze stawało się powietrze. Morska bryza oraz ciężki, słodkawy zapach miasta wlewały się w głąb łądu. Niezwykły był ten dech, unikalny jak sam Konstantynopol, zwłaszcza dla tych, którzy po raz pierwszy mieli zaszczyt ujrzeć jego mury i wzgórze. Nie było grodu w całym Okcydencie, który mógłby równać się ze stolicą basileusów. Przed zarazą mówiło się, iż milion dusz znajdowało schronienie w murach Teodozjusza, a ich znakomita postura nie zadawała fałszu tym opowieściom. Nawet teraz, gdy czarna śmierć ogarnęła świat, Konstantynopol dwadzieścia razy ludniejszy był od miast Zachodu. To z metropoliami Orientu przychodziło mu się mierzyć, w sile umysłu oraz wojennych przewagach: z Mosulem, Damaszkiem i Bagdadem. Niezdobyty do tej chwili stał Konstantynopol, tarczą będąc dla całego chrześcijaństwa.

Ku szczytowi wzgórze piął się Rycerz, pośród cmentarnych krzyży, które zalegały na stoku, ku Bramie Charisiusa. Aby przejść do miasta przez rozwarte wrota okutych skrzydeł, najpierw musiał pokonać fosę po zwodzonym moście oraz furtę niskiego muru: pierwsze z przeszkód, które przychodziło napotkać lekkomyślnemu agresorowi. Dalej, jeżeli udało im się tutaj dotrzeć, napastnicy staliby na

otwartej przestrzeni, na której razić ich mogli strzelcy z obydwu linii murów. Znacznymi siłami musieliby szturmować te umocnienia agresorzy, aby złamać zewnętrzny mur tylko po to, aby bez żadnej ochrony wystawić się na ostrzał z wewnętrznej i najmocniejszej linii umocnień Imperium.

Biegiem przychodzi więc najeźdźcy pokonać peribolos, otwartą przestrzeń między murami, aby bezsilnie stanąć pod cyklopowym murem wzmocnionym dziesiątkami baszt i obsadzonego bitnym garnizonem. Monstrualne wieże górowały ponad murami, sięgając blankami na wysokość blisko setki stóp. Na ich grzbietach gotowe były powstać najcięższe z wojennych machin, które z wysokości, niezagrożone, mogły ostrzeliwać oblegających. Z okien lały się rozpalona smoła, a strzelnice bluzgałyby ogniem, po którym pozostałby jedynie szary popiół kości. Same zaś mury kryły w swoich trzewiach chodniki, którymi obrońcy mogli się dostać w mgnieniu oka na zagrożone odcinki. Żywe to były umocnienia, obłaskawione przez Rzymian, którzy przez całe stulecia dbali o ich kondycję. Rzadko budziły się one ze snu, ale kiedy nastawał ten czas, nikt nie mógł złamać zakłętej w wapieniu potęgi.

Krzyżowiec cieszył się, iż nie stawał tutaj jako wróg. Miast tego wkroczył do metropolii, czując, jak przebiega go dreszcz witający wszystkich przybyszów. To wola cesarza przeszywała wszystko, co znajdowało się w zasięgu jego purpurowego wzroku, a ten sięgał daleko. Ciałem było mu Imperium, oczyma były heliografy oraz ciemne rzędy strzelnic, pięściami zaś katafrakci i ognionośne dromony.

Rycerz chętnie by zatrzymał się na wzgórzu, aby oczodoły nasycić panoramą miasta, lecz tłum porwał go w dół szerokiej alei, pomiędzy arkady domów i sklepów. Ci spośród tłumu, którzy pierwszy raz widzieli rozmach królowej miast, kręcili nieustannie głowami, dostrzegając coraz to nowe dziwa przerastające ich wyobrażenia. Jedna rzecz to słyszeć o wspaniałościach dalekich krain, ale zobaczyć nawet najskromniejsze z nich na własne oczy to już zupełnie inna materia. Konstantynopol zaś był wielki, godzien cesarskiego tronu, który z dumą dźwigał na ramionach. W oczach ludzi nawykłych do skromnych grodów północy tutejsze ulice, liczne świątynie pełne cudownych relikwii, bazyliki i pałace zdawały się nigdy nie kończyć. Sama aleja Mese, którą teraz wędrował Rycerz, była tak szeroka, iż strzemię w strzemię mogły tutaj jechać dwie dziesiątki konnych, a jeszcze by zostało miejsca po bokach. Tędy wszak kroczyły najważniejsze dla Imperium pochody oraz procesje.

Nie było to jednak martwe miejsce, cmentarzysko dawnych czasów, które przybywa się oglądać w nabożnym milczeniu. Wręcz przeciwnie: domokrażcy, licząc na hojność przybyszów, sprzedawali butelki wina, chleb oraz wędliny z wózków; przekupki dyskutowały zawzięcie nad straganami ryb, świeżo złowionych w Propontydzie, a mieszkańcy pokonywali ulice z wrodzoną pewnością siebie. Na straganach i w sklepach można było zaspokoić głód, zarówno na miejscu, jak i na wynos. Bez trudu przychodził zakup, nawet bez znajomości języka, pieczonej wieprzowiny, korzennego piwa albo wydrążonych jarzyn faszerowanych jasnym serem. Zapach oliwy i egzotycznych przypraw walczył o lepsze z wystawionymi na sprzedaż rybami, a chętny mógł zdobyć tutaj nawet mięso drapieżnych rekinów. Ciastka, kandyzowane owoce, słodkie wina; nieustanny trwał tutaj karnawał zapachów, zmieniający się wraz z porami roku, mieniający się co wiosna nowym życiem. Fasady sklepów kusily wystawami; kupić można w nich było dzieła z odległych krain oraz nie mniej wspaniałe cacka wychodzące spod sprawnych palców cesarskich poddanych. Więcej tu było doznań, niż pochwycić mogły okaleczone zmysły Rycerza.

Jakże kontrastowało to wszystko z bliznami wyburzonych budynków, jakie pozostawiała po sobie zaraza! Mimo bogactwa nikt nie był w stanie uciec przed strzałami Apollina, które wzniecały nowe ogniska dżumy. Bogaty czy biedny, do każdego pukała kostucha, zapraszając do wspólnego tańca. W tłumie przemykali medycy, ludzie w żałobie i pokasłujący cicho przechodnie: niechybne znaki obecności śmierci, która rychło mogła wyciągnąć wychudłe palce po wszystkie dusze tego miasta.

Czym jednak była choroba wobec nieustającego tętna życia?

Wędrując z nurtem tłumu, Krzyżowiec minął wzgórze, gdzie za szpalerem zielonych koron wznosiły się mury kościoła pod wezwaniem Świętych Apostołów. Chociaż Rycerz bywał już nad Bosforem, wciąż

w zadziwienie wprawiało go miasto Konstantyna. Rzecz nie w tym, jak wielkie i imponujące były tutaj budynki, ale w tym, jak normalnie toczyło się tutaj życie.

Rycerz przesuwiał oczodołami po murach szpitali oraz licznych kościołów, z których każdy niemal domem był dla cudem słynącej ikony lub relikwii. Maszerował przez place zwieńczone marmurowymi kolumnami, z których każda rzeźbiona była na kształt drewnianego słupa, z oddanymi w kamieniu bliznami po obciętych gałęziach. Długi cień rzucał tetrapylon, czterostronna brama, rozpinająca łuki nad skrzyżowaniem, tuż obok świątyni pod wezwaniem Czterdziestu Męczenników. Nic to jednak wobec ścian Forum Konstantyna – kręgu ceglanych ścian otaczających marmurowy plac, którego środek wyznaczała kolumna z purpurowego kamienia. Na jej szczycie, z wysokości blisko stu pięćdziesięciu stóp, spoglądał na swoje miasto sam Konstantyn, z głową otoczoną słonecznym nimbem.

Cuda więc za cudami następowały w tym miejscu i zdawać się mogło, iż nie jest to królestwo z tego świata; normalne było jednak pod tą skorupą – ze swymi dzielnicami biedoty oraz rozpusty, z rzeźmieszkami oraz bandytami na urzędniczych stołkach, którzy zręcznie kryli się przed karzącym spojrzeniem swego władcy. W cieniu Wielkiego Nimfeum, pod wodnymi kaskadami, kwitła taka sama miłość jak we wszystkich innych krainach. Na placykach pełno było dzieci wypełniających powietrze rozgardiaszem oraz poruszeniem. Mieszkańcy miasta nie chodzili wiecznie w aureoli świętości. Zwykli byli, zgarbieni, naznaczeni zarazą, skrzywieni życiem, czasami do samego bruku, gdzie na jałmużnę czekali okaleczeni żebracy.

Krzyżowiec lubił ten kontrast, nie wiedząc, czy miły jest mu ten ludzki pierwiastek pośród majestatu, czy ponury konflikt, jaki zawsze toczył podskórnie miasto. Jeszcze bardziej cieszył go fakt, iż w Konstantynopolu wiele można było osiągnąć, jeżeli tylko miało się dosyć odwagi, aby zanurzyć się w odurzającą mieszankę bogactwa, splendoru oraz śmiertelnej rywalizacji. Tutaj biedak mógł stać się strategosem, dziecko z prowincji – zaufanym dworu, przybysz z dalekich krajów – kapitanem straży, kurtyzana zaś mogła sięgnąć po cesarskie regalia. Wiecznie spragnione było nowej krwi to miasto, dając w zamian sen o chwale i sławie, a czasami nawet spełniając tę obietnicę.

Wspinając się ku dawnemu akropolowi, Rycerz nie mógł umknąć przed myślą, iż innymi barwami zostało wymalowane Imperium na płótnie świata. Wielki to zamysł: jedno państwo dla wielu ludów. Dante Alighieri za najdoskonalszy uważał właśnie ten rodzaj monarchii, w którym wojownicze zapędy baronów i królów osadzał w miejscu cesarz, pierwszy sługa państwa, strażnik praw ludzkich. Choć bez ustanku granice Bizancjum były atakowane przez przeciwników, którym nienawistna była wizja wspólnego Imperium, dumnie stała Królowa Miast ponad Bosforem, strzegąc swych poddanych. Nauka oraz wiara kwitły pospołu w tym miejscu, pod czujnym spojrzeniem dwugłowego orła Imperium. Purpurowy cień jego skrzydeł dawał ludziom bezpieczeństwo, autorytet cesarskiego tronu zaś sięgał nawet do bitnych plemion nomadów.

Krzyżowiec szedł pośród tłumu, tuż obok hipodromu, gdzie rozgrywano ukochany sport miasta: wyścigi rydwanów. Prestiżem cieszyły się te zawody, a drużyny wystawiające zawodników dzierżyły w ręku niemałą władzę. Czasami za lejce chwycił sam cesarz, ryzykując zdrowie i życie dla rozrywki swych poddanych. Zdarzało się, iż woźnice ginęli pod kołami i kopytami, lecz hipodrom nie widział większego rozlewu krwi jak podczas powstania Nike. Rebelia zakończyła się w starciu z żelazną wolą cesarzowej Teodory. Spłonęli prowodyrzy na bieżni stadionu lub skonali, kiedy ulicami miasta przetoczyła się fala ciężkozbrojnej jazdy.

Rycerz zatrzymał się na rozległym placu, do którego przylegał Wielki Pałac oraz hipodrom. Piękne to klejnoty, lecz równać się nie mogły z koroną, jaka zdołała skronie królowej miast.

Tutaj wznosiła swe mury Hagia Sofia, kościół Mądrości Bożej i widomy znak, iż łaską tą wciąż cieszyło się Imperium. Nie było w świecie drugiej takiej budowli, ale dla Krzyżowca ten kościół był wyjątkowy z jeszcze jednego powodu. Raz tylko znalazł się pod niebiańską kopułą, która zdawała się wisieć na niebie bez żadnej podpory, ale nigdy już nie odważy się na ten czyn ponownie. Hagia Sofia

napawała go atawistycznym przerażeniem, jakiego rzadko miał okazję zakosztować. Pamiętał, jak wybiegł wtedy w przerażeniu na świeże powietrze i upadł na bruk, z trudem łapiąc oddech. Nawet teraz, po tylu latach, po śmierci, wciąż jeszcze czuł na plecach wzrok sześcioskrzydłych Serafinów, które unosiły się w mistycznym półmroku. Przekraczając próg, człowiek zanurzał się w innym świecie; zostawiał za sobą ciało i krew, naprzód idąc tylko duszą. Stojąc tam, mógł poczuć na policzku oddech Boga.

Krzyżowiec zdrzął, wydobywając się z otchłani wspomnień. Głęboka była to woda i lodowata, ale szybko otrząsnął się ze stuporu. W słońcu lśniły czerwone mury i ciemna kopuła potężnej świątyni, otwartymi wrotami zachęcającej do wejścia. Rycerz rzadko odstępował od wyzwania, ale nawet teraz, w majowym słońcu i w środku dnia, nie ważył się przekroczyć progu Mądrości Bożej.

Ruszył miast tego przez akropol, obok kościoła pod wezwaniem świętej Ireny, ku Złotemu Rogowi, gdzie w licznych zatokach schronienie znajdowały setki statków. Lasem zdawały się ich maszty w oczodołach Rycerza, gdy schodził ze wzgórza ku Strategionowi. Stary był to rynek, o niemałym znaczeniu, leżący niedaleko portowych zatok oraz posterunków handlowych należących do kupieckich republik. Tutaj dobijano wielkich targów, obracając wszelkim towarem, jaki przybywał do miasta z szerokiego świata. Na Strategionie kończył się handlowy szlak dla kupców z Italii, Gruzji, Trapezuntu, Aleksandrii oraz wielu jeszcze portów i miast. Jeżeli aleja Mese skrzyła się bogactwem dobytku, to nadbrzeżne dzielnice, choć mniej przykuwające wzrok, warte były po dziesięćkroć więcej.

Pośród magazynów i cuchnących smołą oraz klejem doków szukał Krzyżowiec statku, który poniósłby go na południe. Bez skutku, bo ludzie tutaj zbyt zajęci byli interesami, aby na migi próbować porozumieć się z przybyszem z dalekich stron. Tutaj bez ustanku trwał handel – drewnem, rudą, belami tkanin oraz całymi ładowniami żywności. Rycerz nie był ani piękną kobietą, ani wykształconym eunuchem, a jedynie siepaczem, jakich liczone tu na setki, toteż nie przykuwał niczyjej uwagi. Nawet stary żebrak z wypalonymi oczodołami, bez nosa i języka, zdawał się lepiej znajdować ścieżki w porcie niż on. Rycerz zdawał sobie sprawę z tego, iż Frankowie nie cieszyli się tutaj zbyt dobrą opinią. W czasie krucjat ich nastawienie wobec Imperium często graniczyło z otwartą wrogością, a Krzyżowiec nie miał przy sobie ani krzty pieniędzy, aby skupić na sobie przychylniejsze spojrzenia.

Po godzinach bezowocnych poszukiwaniach usiadł na kamiennym murku, obserwując Proosphorion, kotwicowisko oraz przystań najbliższą położoną łańcucha, który zamykał Złoty Róg przed napastnikami. Po drugiej stronie zatoki wznosiła się Galata, osada handlowa Genui, oświetlona jasno pośród zapadających ciemności. Mimo późnej pory Konstantynopol wcale nie zapadał w sen. Wielkie miasta z rzadka zaznają spokoju po zmroku i gród Byzasa nie był wyjątkiem, a raczej najlepszym tego potwierdzeniem. Chłodniejsza pora sprzyjała spacerom i zabawom, ale nie dla znużonego drogą Rycerza.

Siedział bezmyślnie, wpatrując się w coraz ciemniejsze sylwetki kołyszących się na wodzie statków. Dobięły go wesołe rozmowy Waregów, dla których wizyta w Miklagardzie, jak zwali oni Konstantynopol, była owocna. Łatwo by zabić zamroczonych winem Normanów, zagrabić dobytek i szybko opuścić Bosfor morzem. Na duszy Krzyżowca dosyć już ciążyło grzechów, aby zasłużyć sobie z okładem na wieczne potępienie. Kilka kolejnych odebranych żywotów nie zrobi już wielkiej różnicy w tłumie zabitych przez Rycerza ludzi. Za zrabowane dobra można by łatwo opłacić podróż do Akki, a stamtąd już blisko do Jerozolimy i odpuszczenia grzechów. We Florencji przecież nie wzbraniał się przed podobnym mordem. Konstantynopol nie był święty, podobnie jak Krzyżowiec, a grzechem większym będzie niedokończenie tego, co raz się rozpoczęło. Wszak na nic cały trud podróży, jeżeli przyjdzie mu utknąć tutaj na tygodnie albo miesiące w jałowym oczekiwaniu. Prosta to dla niego rzecz od tyłu podkraść się do ofiary i ciosem w tył głowy pozbawić ją zmysłów.

Rycerz oparł się o ścianę. Potrzebował teraz snu; niech obudzi go świt i wtedy będzie roztrząsać, co przyniesie mu nowy dzień.

Łańcuch Złotego Rogu opuszczono o świcie, kiedy posterunki z wież dały znak, iż cieśnina wolna jest od wroga. Do tej chwili żaden okręt nie miał prawa opuścić zatoki. Zdarzały się próby ucieczki, a tytuł najślawniejszej i – co ważniejsze – udanej należał do Haralda Hardrada. Legendą owiany był ten ostatni z Wikingów, kapitan wareskiej gwardii oraz towarzysz George’a Maniakesa i Wiliama Żelaznorękiego, jednego z dwunastu żądnych chwały synów Tankreda de Hauteville’a. Harald wymknął się ze Złotego Rogu w sposób jednakowo odważny, jak szalony. Rozpędzić kazał wioślarzom swój okręt, w ostatniej chwili wszyscy wojownicy pobiegli na rufę, dzięki czemu dziób wyłonił się z wody, a kadłub prześlizgnął się po łańcuchu zamykającym Złoty Róg. Krzyżowiec uśmiechnął się pod hełmem na wspomnienie srogiego Haralda. Porywczy był to człek, nieznoszący sprzeciwu. Doskonale rozumiał wojenne rzemiosło, a przy tym miał chytrą łisa. On z pewnością nie tkwiłby beczynnie, a zaraz by przystąpił do realizacji jednego ze swych przebiegłych forteli. Inna sprawa, że postawny był to mężczyzna, ponoć budzący pożądanie w sercu samej cesarzowej.

Na kamieniach ulicy, tuż przy stopach Rycerza, usiadła mewa. Nic się nie bała ludzi przechodzących w szarym świetle poranka. Odskakiwała kilka kroków, po czym wracała do Krzyżowca, przypatrując mu się w ptasiej manierze i obracając łebek. Po chwili zaczęła dziobać własną pierś, aż wykuła dziurę do serca, które natychmiast wyrwała. Rycerz patrzył spokojnie, jak ptak odebrał sobie życie, po czym ruszył na poszukiwanie szczęścia na brzegu Złotego Rogu.

Podobnie jednak jak dnia poprzedniego nie znalazł szczęścia w kwestii żeglugi ku Outremer. Bez wynagrodzenia żaden szyper nie chciał martwić się kolejnym pasażerem, do tego uzbrojonym cudzoziemcem. Mimowolnie Rycerz stał się czujnym obserwatorem życia w Konstantynopolu, starając się w ten sposób skrócić godziny oczekiwania; a kto wie, może i na ulicy znajdzie się kilka zagubionych monet?

Pomiędzy kwartałami należącymi do kupieckich republik panowała zwykła wrogość. Od czasu do czasu Wenecjanie wszczynali bójki ze swymi rywalami z Amalfi, co zwykle kończyło się kilkoma siniakami czy blizną po uderzeniu kamienia. Wszystkie spory między kupieckimi miastami milkły natychmiast, kiedy w pobliżu pojawiał się patrol miejskiej milicji. Stały pod dwóch stronach uliczki grupy dyszących, poszarpanych ludzi, niby przyjaźnie machając ku sobie i czekając tylko, aż odziani w biel strażnicy znikną za rogiem pałacu rodu Botaniatesów.

Na balkonie owej posiadłości stała piękność, odziana w karminową suknię, która w powiewach wiatru ściśle przylegała do jej kształtów. Kobieta z rozbawieniem obserwowała bójkę, rozmawiając w mowie Ormian ze swoją towarzyszką. Tej jednak nie dostrzegł Rycerz, bo za plecami już zostawił to zamieszanie, kierując się ku stokom blachernejskiego wzgórza.

Na ulicę upadł wyrzucony z domu nagi człowiek, a za nim poleciały torba pełna lśniących narzędzi oraz ubranie. Najwyraźniej medyk zbyt dokładnie badał żonę, kiedy mąż wrócił do domu. Nieco dalej grabarz przenosił na wózek ciała nieszczęśników, których truchła w całości porośła białą pleśń. Opodal bazyliki świętego Mikołaja o naturę Chrystusa kłóciło się dwóch starszych ludzi, ale uwagę przechodniów przykuła trupa akrobatów, a zwłaszcza zonglujący nożami karzeł.

Krzyżowiec, choć nie znosił dobrze beczynności, doceniał możliwość spokojnego odpoczynku. Wreszcie nie musiał całych dni spędzać na forsownym marszu, mierząc siły z przeciwnościami aury, terenu czy złośliwego losu. Dobrze było spędzić kilka chwil, nie ryzykując głowy w paszczy kolejnego niebezpieczeństwa. Tylko w opowieściach o bohaterach przygoda trwa cały czas, nieprzerwana trywialną potrzebą odpoczynku, a opowiadający w kilku słowach zamyka dziesiątki pokonanych staj oraz mil. Nudna to rzecz dla słuchaczy, bo oni łakną tylko czynów wielkich, a te przecież trafiają się rzadko, przedzielone całymi dekadami życia. Rycerz pamiętał przecież, ile miesięcy trwała krucjata, która odbiła z rąk niewiernych Jerozolimę. Lata spędzili pierwsi krzyżowcy w drodze, aby dziś pieśniarze

wspominali ledwo o kilku bitwach oraz oblężeniach, jakby nic pomiędzy nimi się działo. Przewrotna była myśl, iż to właśnie te długie tygodnie marszu, w deszczu i palącym słońcu, zapamiętał najbardziej. Brak wody, płacz dzieci, dźwięk upadającego w pył ciała i świst strzał, zwiastujący turecki atak. Krótka wydaje się historia, kiedy patrzy się na nią z przyszłości, znając jej zakończenie. Łatwo wtedy wyrokować i krytykować, ale ilu z tych sądzących stanęło pod Doryleum czy Antiochią?

Wracał już Rycerz spod łaskami słynącego kościoła w Blachernach, kiedy pod bramą Neoriona, wychodzącą na przystań, dostrzegł intrygującą postać. Był to mężczyzna około czterdziestu wiosen, spalony słońcem brunet o jasnych, niemalże nienaturalnie błękitnych oczach. Odziany bogato, w powłóczyście szaty, a na palcach dłoni migały szczerozłote pierścienie. Świeżo musiał przybić do portu, ale nie było po nim widać choćby uncji zagubienia. Sprawiał wrażenie światowca, pasma siwizny w starannie utrefionej brodzie wskazywały zarazem na doświadczenie i szyk. Jego śladem podążał niezwykle kram.

Łowcą był ten ogorzały mężczyzna, jego ofiarami natomiast wszelkie przedmioty rzadkie czy luksusowe. W jego posiadaniu znajdowały się relikwiarze ze strusich jaj, kości męczenników, włosy świętych, jad żmii, łuski krokodyla oraz wiele innych ruchomości, których Krzyżowiec w tej chwili nie rozpoznawał. Z pewnością w skrzyniach były głowy fantastycznych stworów, słoje z octem, w którym spoczywały wypreparowane organy oraz pomniejsze okazy. Nie brakowało na wozach klekotu szkła, jakie okrywało eliksiry oraz trunki, równie antyczne co otaczające Konstantynopol mury.

Krzyżowiec przyglądał się temu ładunkowi z zaciekawieniem oraz nutą zazdrości o całe to bogactwo. Czyż on nie spotkał na swej drodze tylu niezwykłości, iż na wiele żyć by ich wystarczyło? On mógłby pławić się w złocie i srebrze, gdyby tylko zbierał trofea po każdym pokonanym przeciwniku. Zgromadziłby wtedy niemałą kolekcję, którą sprytem oraz fałszerstwem powiększyłby do imponujących rozmiarów. Jakie poruszenia wywołałyby uwięziona w butli południca albo zęby psiogłowców, sprzedawane po sztuce srebra za kiel? Obwoziłyby ze sobą homunkulusa, nie patrząc na jego cierpienia, spragnionej rzadkości publice pokazywałyby ludzi przerośniętych od środka czarnymi zarodnikami grzybów. Mógłby Krzyżowiec z pielgrzymki uczynić dochodowe przedsięwzięcie, jeżeli tylko by odłożył w cień litość i czynił wedle własnego uznania.

Na takich rozmyślaniach minął mu wieczór.

Do tej chwili jedynym osiągnięciem Rycerza było zdobycie kilku węgli z żarnika należącego do robotników smołujących kadłuby dromonów w dokach. Przechadzał się więc w chłodzie nadchodzącej nocy, żując bryły spalonego drewna i szukając miejsca na spędzenie ciemnych godzin. Nie chciał zanurzać się w życiu nocnym Konstantynopola. Nie uśmiechało się mu spotkanie z upojonym winem tłumem, szukającym tylko ciemnego zaułka, aby dać upust swym lubieżnym żądzom. Ta część jego charakteru zupełnie już obumarła, pozostawiając po sobie niezrozumienie dla obłąpujących się w cieniu postaci. Obrzydzeniem napawały go dźwięki miłości i pożądania.

Opodal kwartału należącego do Genui Krzyżowiec odnalazł cichy dom o zawartych oknach i z białym krzyżem, wymalowanym wapnem na drzwiach. Zaraza panowała w tych progach, co zapewne wyjaśniało, dlaczego sąsiednie domy były w ruinie. Martwemu dzuma już nie groziła, więc w świetle Czaszki Pielgrzyma wkroczył Rycerz do wnętrza. Może jakieś kosztowności pozostały dla cmentarnej hieny?

Wnętrze cuchnęło śmiercią. Jeszcze świeża i lepka.

Korytarze oraz pokoje zbryzgane były krwią oraz wąpłami przylepionymi do ścian, sufitów i mebli. Pod butem Rycerza pękła gałka oczna, nerwem wciąż przyczepiona do kościanego odłamka czaszki. Choroba dosłownie rozerwała zarażonych na strzępy, lecz dla Krzyżowca zwykły to widok. Obojętnie przekroczył smugę jelit, zakończoną rozerwaną rurą przełyku, po czym znalazł względnie suchy ką. Spoczął w nim na noc.

Chociaż spokojnym i cichym zdawał się dom, kiedy Rycerz wchodził w jego ceglane ściany, nie był

pusty. Coś biegło po wnętrzu, chrobocąc pazurkami i popiskując cicho. Krzyżowiec, zanim usnął, zachodził w głowę, czy w Konstantynopolu żyją równie krwiożercze gryzonie jak te, które widział na brzegu bałkańskiego jeziora.

*

Budził się powoli z głębokiego snu.

Jego tunika pokryta była krwawymi odciskami dłoni, na szyi zaś wyczuł otwartą ranę. Dwa palce mógł wsunąć do swego gardła, dotykając wypalanej krtani oraz zwęglonego języka. Najpierw zapalał gniewem, ale szybko znalazł jaśniejszą stronę sytuacji.

Mógł przecież zginąć.

Niemalże wesoły Rycerz przetrząsnął dom w poszukiwaniu jakichkolwiek przydatnych mu drobiazgów, ale nie znalazł nic, co z łatwością mógłby zabrać ze sobą. O ataku krwiopijcy nie myślał, bo i nic mu taka zmora nie mogła uczynić. Zapewne sparzyła się ogniem, jaki wypełniał jego ciało, przez co rozerwała mu skórę na gardle. Normalnie znacznie ostrożniejsze były nocne duchy, nawet żywego człowieka starając się pozostawić w dobrym zdrowiu, nie wysysając z niego zbyt wiele życiodajnych soków.

Na zewnątrz padało. Deszcz szumiał jednostajnym rytmem, rozbijając się o dachówki kamienicy, spływając po ulicach i niknąc w kratkach kanalizacji lub dołach chłonnych. Niebo zasnuć było aż po horyzont szarą błoną chmur, wiatr zaś ledwo miał siły, aby poruszać chorągiewkami na wieżach i masztach okrętów.

Nie była to wymarzona pogoda, ale mimo to Rycerz rozpoczął kolejny dzień poszukiwań w portowych dystryktach, licząc, iż ktoś okaże mu wreszcie nieco miłosierdzia. Nie musiałby polegać na ludzkiej cnotce, gdyby sam nie pokierował się nią w Serbii i nie ostawił tam swej złotej obrączki, którą wygrał od Ulricha von Liechtensteina. Teraz nieoceniona byłaby pomoc żywego kruszcu, lecz Rycerz czym prędzej odsunął od siebie tę myśl. Tylko w rozdrażnienie mogła go wprowadzić, a łatwo by wtedy uległ prostej chęci odbicia strat na najbliższej ofierze, którą mógłby bez konsekwencji zgładzić.

Zamiast tego rozważał potajemne wejście na jakiś statek, gdzie skryłby się na czas rejsu, ale szybko odrzucił ten pomysł. W razie wykrycia zdany byłby na łaskę załogi i kapitana, podobnie zresztą jak tutaj; różnica polegała na tym, iż nikt go z miasta nie wyrzuci do morza, na pokładzie zaś może dojść do rozlewu krwi, co tylko przysporzy mu trosk. W pojedynkę trudno by Rycerzowi prowadzić statek, nie wspominając o tym, iż załoga może łącznie go roznieść na kawałki i w strzępach rzucić na pożarcie mieszkańcom morza.

Krzyżowiec niezbyt chętnie gotów był przystać na taki los, toteż cierpliwie obserwował nabrzeże, oczodołami poszukując statku, który mógł zmierzać na południe. Dla zabicia czasu lustrował tłum, który gromadził się w porcie. Ludzi zniekształconych, bezrękich, kalekich i o stawach wykrzywionych chorobą. Tych, których tkanka gniła za życia, albo spalonych do kości przez ogniste poddmuchy. Bez przeszkód mieszała się ci nieszczęśnicy z ciżbą z pozorów nietkniętą przez los. Nawet sławni medycy cesarstwa, w pachnących octem i eterem salach szpitali, nie byli w stanie pomóc im wszystkim; mogli wyciąć martwą tkankę, sprawić nowy nos albo zęby, odjąć ciśnienie z mózgu albo upuścić zgniłej krwi, ale żaden z nich nie potrafił wyrugować ze świata przyczyn tych okrutnych chorób. Codziennością były one dla rodu Adama, lecz nie były w stanie powstrzymać go od nieustannego wzrostu, zarówno w cnotce, jak i w grzechu.

Przemokły był Krzyżowiec do suchej nitki. Zastanawiał się ponuro, jak wiele staj dzieliło go od Jeruzalem, jeżeli ruszyłby na własnych nogach przez Kapadocję i Armenię, docierając do księstwa Antiochii od północy. Kierunki pamiętał jeszcze z czasów krucjaty; ale było to zarazem wspomnienie, które wstrzymywało go przed ponownym podjęciem tej drogi. U jej początków jego serce biło, czuło,

drgało w porывach wiary; co jednak cenniejsze, tęskniło za rodziną pozostawioną setki mil za plecami. U kresu wędrówki pozostało z niego jedynie wypalone truchło, niebezpieczne dla wszystkich i agresywne jak zwierzę. Ciemna była to ścieżka, usłana grzechem oraz wyniszczonymi ciałami, jakie pozostawił po sobie ten krwawiący pochód. Nigdy później nie udało się pokonać krzyżowcom tej drogi; zbrojne hufce idące na pomoc Outremer znikwały bez wieści i tylko pojedynczy rycerze docierali do Ziemi Świętej, niosąc przerażające opowieści. Morzem prowadził najbezpieczniejszy szlak.

Rycerzowi udało się wreszcie odnaleźć swego przewodnika w osobie kapitana handlowego jednomasztowca, zajmującego się przewozem drobnych towarów u wybrzeży Jonii. Ogorzały od słońca oraz wiatru był to mężczyzna, około pięćdziesięciu lat liczący, łysy, z odstającymi uszami i opadniętymi kącikami oczu. Chociaż był Angielczykiem, biegle posługiwał się mową Greków; głos miał twardy, nieco nosowy, a pocięte bliznami usta skrywał pod ciemną brodą. Mimo aparycji przywódcy ulicznego gangu okazał nieco zrozumienia dla Krzyżowca i zgodził się zabrać go na Cypr, pod warunkiem iż Rycerz sumiennie odpracuje tę przysługę.

Zgodził się Krzyżowiec na te warunki, bo zbrzydła mu już bezczynność, a lepiej będzie zwijać żagle i napierać na liny niż siedzieć w deszczu w oczekiwaniu lepszej okazji. Tę postanowił mocno schwycić w poparzone dłonie, a jeżeli przyjdzie potrzeba, bo ledwo kilka osób liczyła załoga statku z wyrzeźbioną na dziobie gęsi, rozprawi się z nią. W deszczu przyszło Rycerzowi wnosić na pokład pachnące żywicą skrzynie, ale zraniona duma niewielką była ceną za perspektywę zbliżenia się do upragnionego z dawna celu pielgrzymki. Około południa Gaska, jak nazywał ją pieszczotliwie szyper, wyruszyła powoli z przystani Neoriona, przepłynęła ponad łańcuchem Złotego Rogu i ruszyła w gardziel Bosforu.

W strugach deszczu pięknie wyglądało miasto Konstantyna, może nawet więcej uroku wtedy miało niż w spływającym z nieba upale. Ulewa niosła ze sobą świeżość oraz nadzieję na zmycie zakrzepłej krwi i kurzu zalegającego ulice. Krzyżowiec, na razie bezczynny, obserwował, jak za rufą zostają wapienne mury Konstantynopola oraz ciemna kopuła Mądrości Bożej, wystająca ponad ciemne od wilgoci dachy.

Ślizgając się lekko po falach, Gaska wpłynęła na wody Propontydy. Gładko i szybko przychodziło stateczkowi pokonywać kolejne mile, zwłaszcza iż wiatr dopisywał, wiejąc znad Morza Czarnego. W przeciwnym kierunku wlokły się głęboko zanurzone jednostki, kołyszące się bezsilnie na falach, niemalże stojące w miejscu. Ten ostatni króciutki odcinek żeglugi miał im zająć godziny, a nawet dni.

Rycerzowi, przyuczonemu do morskiego fachu przez baty Haralda Hardrady, zrećcznie szła pomoc na pokładzie. Mimo deszczu statek bez obaw wobec fal mknął naprzód, aż dotarł do wyspy Marmara. Miejsce to bogate było w złoża przedniego marmuru, co dawało nazwę nie tylko samej wyspie, ale i całemu akwenowi, który antyczni zwali Propontydą, a współcześni morzem Marmara. Szyper jednak nie dał komendy przybicia do brzegu, skorzystać chciał z przychylnych wiatrów i w nocy pokonać Dardanele. Wzbudziło to pewne obawy wśród części załogi, lecz spojrzenie kapitana, którego za plecami ludzie nazywali Sępem, wystarczyło, aby zdusić w zarodku myśli o sprzeciwie. Krzyżowiec spoglądał zza zasłony hełmu na topniejącą odwagę grupki marynarzy, niemalże licząc na jakieś nagłe wydarzenie, bójkę chociaż, aby poczuć pod pięściami cudze ciało. Mógł postępować zgodnie z niepisanym rycerskim kodeksem, ale jeżeli nikt nie może ugasić w nim palącej potrzeby walki, to Rycerz nie zamierzał wyrzec się tych krwawych myśli, które zastępowały mu oddech.

Im ciemniejsze było niebo, tym węższa jawiła się gardziel dardaneelskiej cieśniny, a szyper tym pewniej trzymał ster. Ten łysy człowiek o wytatuowanej potylicy zdawał się coraz lepiej widzieć po zmroku, jego oczy zaś lśniły jak u kota. Rycerz stał w pobliżu, oczekując jego rozkazów, nie chcąc żadnym sposobem uchylić się od danego przyrzeczenia. Lepiej było już płynąć powoli naprzód, dłonie zaciskając na szorstkich zwojach lin, niż czekać w nieskończoność na kamiennym nabrzeżu Konstantynopola. Piękne to miasto i wiele w nim było do zobaczenia, ale nie dla cudów tego świata wyruszył Krzyżowiec z zatęchłej celi.

Około księżycowego zenitu dotarła Gaska na wąski pas wody oddzielający od siebie Abydos oraz Sestos, gdzie rozegrała się tragedia dwójki nieutulonych kochanków. Tutaj utonął Leander płynący wpływ do damy swego serca Hero. Widząc zwłoki lubego w topieli, rzuciła się ona w rozpacz z wieży, która wskazywać winna kochankowi drogę w nocy, lecz światło na niej zagasło w porywie wiatru. Być może to jedynie ruch powietrza oraz deszczu, lecz Rycerzowi zdawało się, że w ciemności wciąż unosi się lament Hero wzywającej ukochanego. Fale w tym miejscu również zdawały się nacierać na siebie z większym zapałem, jakby rękoma były dwojga nieszczęśników, rozdzielonych tak brutalnie przez Fatum.

Mimo ciemnej pory Gaska bez trwogi przecinała pieniaące się grzbiety fal, wciąż łapiąc w żagiel podmuchy Boreasza. Szyper bez trudu kierował statkiem, z pewnością tak wielką, jakby palcem wiódł po wodzie. Trwożliwe dusze pośród załogi okrzepły w zaufaniu wobec swego kapitana i bez żadnych przeszkód za rufą pozostały najgroźniejsze skały oraz mielizny Dardaneli.

Rycerzowi przypadły godziny nocnej wachty, lecz nie przeszkadzało mu to w zupełności. Prócz szypra na pokładzie nie było wówczas nikogo, bo reszta załogi drzemała w trzewiach Gaski, a Krzyżowiec mógł stać na dziobie, obejmując jej smukłą szyję. Niewiele mógł wypatrzeć w mroku, czasami tylko łowił ogniki lamp, jakie płonęły na dziobach i rufach szybujących poprzez morze statków. Zdarzyło się i tak, iż Szyper napierał na ster, zmuszając Gaskę do skrętu, aby wyminąć ukryty w ciemności okręt. Czynił to z tak wielką pewnością siebie i precyzją ruchów, iż Rycerz mógł usłyszeć szmer wiosła ukrytej w mroku galery. O poranku Krzyżowiec został zmieniony na dziobie przez niewysokiego, żylastego Greka o zadziornym charakterze, nieustająco narzekającego na wszystko, na co tylko spojrzął; tym razem były to jakieś szkodniki, które pogryzły go po szyi. Stało się to w momencie, gdy Gaska mijala jasne mury Kaliopolis, oświetlone pierwszymi smugami słońca przebijającymi się przez szare chmury.

Dzień płynął dalej bez żadnych wypadków czy nieprzyjemności. Za burtą przesuwały się brzegi Troady, gdzie stał niegdyś sławetny Ilion, o którym ludzie wciąż pamiętali mimo upływu lat. Nieśpiesznie mijaly te godziny spokojnego rejsu, tyleż przecież trudu oszczędzającego Rycerzowi. Mógł podobną drogę pokonywać na własnych nogach, wśród zarazy oraz przez miejsca, gdzie słońce było jedynie gościem, i to nieproszonym. Tutaj, z dala od wybrzeża, uciec można było przed odorem czarnej śmierci, wszechobecnym całunem zalegającym ponad lądem. Wydawałoby się, że na wodzie człowiek jest bezpieczniejszy i nie dosięgną go istoty zamieszkujące bezświetlne pieczary oraz odludne doliny.

Krzyżowiec spojrział na pozornie spokojną taflę morza, pod którą kłębiły się ławice srebrzystych ryb. Niewiele były łaskawsze szerokie wody od lądu. W ich głębinach, tuż przy dnie, legowiska wiły stwory bez trudu mogące rozbić nawet zwinne galery Wenecji. Opowieści krążyły o kreaturach tak wielkich, iż brano je za wyspy, ku zgubie ludzi, którzy popełnili tę ostatnią pomyłkę w życiu. Morskie dziwadła wabiły żeglarzy na mieliznę głosem, wyciągały z głębin jadowite dzioby i wciągały statki w topiel długimi mackami. Wszystko to nic, bo nawet najroślejsza szkarada kryła swój łeb, kiedy wodny przestwór burzył się, a wysokie fale rozbijały kadłuby o skały tak, jak o kamienie druzgoce się skorupkę jajka. Bezlitosny jest żywioł nawet wobec własnych dzieci, które wyrzuca na brzeg, aby tam skonały, dusząc się pod ciężarem swych ciał.

O zmroku, gdy fioletowe cienie zasnuły już Jonię, morzu oddano pierwszą ofiarę. Wysokiego Traka, Georga, którego dopadła zaraza i pożarła w sposób, jaki musiał przypaść w udziale jedynie grzesznikom. Jego ciało wypełniło się krwią z pękniętych narządów wewnętrznych, a z nią wydostały się pasożyty zalegające w wątpiach mężczyzny. Mimo owinięcia w płótno zwłoki cały czas drgały od skrętów larw i czerwi, które z wściekłością próbowały znaleźć nowego żywiciela. Po zmówieniu krótkiej modlitwy za spokój Georga, wypchnięto bosakami jego ciało za burtę.

W ponurych nastrojach udała się załoga na spoczynek, po kilka razy sprawdzając swoje hamaki. Mały Grek, na którego wołali Kogut, podniesionym głosem trajkotał o tym, iż poprzedniej nocy pokąsało go robactwo, jakie musiało wypełznąć z ciała Georga. Dopiero rychła obietnica wyrzucenia go za burtę

uciszyła krzykacza i pozwoliła nadejść nocnej ciszy. Sam pozostał Krzyżowiec na pokładzie, z dźwignią steru w dłoni. Szyper rozpoznał w nim wprawnego żeglarza, więc pozwolił mu bez dozoru prowadzić Gąskę po wodach, sam zaś mógł zaznać kilku chwil snu. Noc była jasna, niemal tak jak dzień, a wody nie były wzburzone czy niebezpieczne. Kurs nietrudno przychodziło utrzymać Rycerzowi, gdy kierował się na południe, z Gwiazdą Północy za plecami.

Wiele lat minęło, od kiedy Krzyżowiec po raz ostatni mógł nawigować po morskim przestworze, ale szybko wróciła mu pewność ruchów oraz biegłość w rozpoznawaniu języka wodnych szlaków. Po mili albo dwóch, co trudno było orzec w mroku, całkiem swobodnie już kierował Gąską, płynąc zakosami, aby w żagiel łapać więcej wiatru. Tak dalece skupił się na powierzonym zadaniu, iż z początku nie dostrzegł szarorudej myszki, z czarną pręgą przez grzbiet, która siedziała na pokładzie, wlepiając w niego oczka. Gryzoń przemknął po deskach i zręcznie wspiął się na rękajeść steru, chcąc z bliska przyjrzeć się Krzyżowcowi. Zwierzę miało przypalone wąsiki i poraniony pyszczek, ale było ruchliwe, nieustannie ruszało noskiem, łowiąc z nocnego powietrza niewyczuwalne dla ludzi zapachy.

Mysz towarzyszyła Rycerzowi aż do świtu, kiedy zniknęła pomiędzy szczelinami pokładu, zanim szyper wychynął ze swego legowiska i objął wzrokiem ciemny wał chmur na horyzoncie. W długim płaszczu, sztywnym od słonej wody, w istocie przypominał padlinożernego ptaka. Krzyżowcowi przez czaszkę przebiegła myśl, iż poprzedni kapitan, z którym płynął, podobnie sprawiał wrażenie. Brodaty Anglik wolnym krokiem obszedł cały pokład, zatrzymał się przy dziobie, złożył ręce za plecami i przez kilka chwil kiwał się z palców na pięty. W końcu zluzował Rycerza przy sterze, pozwalając mu udać się na spoczynek. Krzyżowiec znalazł pod pokładem miły kątek, między pachnącymi żywicą skrzyniami a klepkami burty. Wcisnął się tam jak pajak, podciągając pod siebie kończyny.

Spał głęboko, aż obudziło go trącenie czubkiem buta w goleń.

– Wstawaj, żołnierzu – powiedział szyper chrapliwym głosem. – Mamy zastosowanie dla twoich talentów.

Z miejsca odeszły od Rycerza senne opary, stanął na równe nogi, natychmiast wbiegając na pokład.

Było popołudnie, chłodne i pochmurne. Gąska stała u brzegu niewielkiej wyspy, kiwając się na falach. Załoga wpatrywała się w zarośla, które tworzyły zieloną barierę, oddzielającą skalistą plażę od lądu. Pomiędzy kruchymi gałązkami krzewów oraz skarłałych sosen, oblizując kamienie i skubiąc trawę, wędrowało kilka dzikich krów. Chude to były zwierzęta, o zapadniętych bokach, nawykłe do skromnego życia na wyspie, ale ich widok dawał marynarzom nadzieję na zatopienie zębów w wołowej pieczeni.

– Żołnierzu, widzisz te cielaki? – Szyper wskazał kościstym palcem na rogaciznę. – Chłopcy mają ochotę na świeże mięso, a te tutaj same pchają się pod nóż. Kogut się tym zajmie, a ty i Ju pójdziecie w głąb wyspy. Cielaki wyglądają na bezpieczne, ale jeżeli ktoś tu żyje, to go sprowadźcie. Nie będzie nikt mówić, że go zostawił z niczym.

Rycerz skinął głową, po czym zeskoczył do wody, wpław docierając na plażę. Bez trudu utorował drogę przez zdrewniałe zarośla, rozgarniając na boki pistacje oraz igły cisu. Idący jego śladem Ju zerwał kilka garści orzechów i chrupał je powoli, rozglądając się uważnie na boki. Smukły był to Grek, podobny do marmurowych posągów, o kręconych ciemnych włosach, barkach szerokich, a oczach wyciętych w kształt migdału.

– Żołnierzu – zagadnął Ju po kilku chwilach – to prawda, co mówią o starych krzyżowcach? O tym, że są martwi i żywią się ogniem?

Rycerz wstrzymał marsz, zdjął z czaszki hełm i wlepił w Greka spojrzenie gorejących oczodołów, aby ten mógł sobie dobrze zapamiętać ten widok.

– Wyglądasz, jakby rodzice was z ognia kilofem wyciągali – stwierdził oględny tonem Ju, wciąż żując pistacje. – Dzieci muszą cię uwielbiać.

Krzyżowiec wzruszył ramionami w odpowiedzi, na powrót zakrywając oblicze stalową blachą. Marynarza mógłby jednym ciosem powalić na żwir i trawę, a winę zrzucić na tubylców albo wściekłe

zwierzę – bez różnicy. Nie miał jednak zamiaru ryzykować porzucenie na wyspie, bez nadziei na szybki ratunek ze strony innego statku. Jeżeli miałyby skonać tu, samojeden, tylko po to, aby nauczyć moresu jakiegoś kędzierzawego chłystka, to gotów był znacznie więcej jeszcze epitetów puścić płazem. Rzecz oczywista, iż tą samą płaszczyzną miecza dotkliwy wzięłyby odwet na Greku.

– No, bez gniewu, to tylko żarty – rzucił Ju, klepiąc Krzyżowca po ramieniu i ruszając przodem. – Znajdźmy tych dzikich pasterzy z Wyspy Rozkoszy.

Wyspa okazała się jałowa i pusta, w większej części pokryta suchą roślinnością. Zalegająca na skałach warstwa popiołu, zmieszana ze żwirem oraz chrustem, przypominała o pożarze, jaki musiał ogarnąć ten skrawek lądu wcale niedawno. Kilkaset kroków w głąb Rycerz napotkał wypalony pień starego cisu, rozszczepiony uderzeniem pioruna. Martwe drzewo wciąż żarzyło się od płonącego wewnątrz ognia, a między pęknięciami kory gorzała schwytna błyskawica. Piorun wściekle miotał się, obijając się o ściany więzienia i pomrukując co chwila, gotowy wstrząsnąć powietrzem. Obydwaj mężczyźni zbliżyli się ku drzewu wiedzeni ciekawością, bo zjawisko to było równie rzadkie co piorunowce, czyli kamienie, jakie rodziły się, gdy błyskawica godziła w ziemię.

– Gorący – mruknął Ju, przykładając dłoń do poczerńiałej kory cisu. Natychmiast jego twarz rozjaśnił nowy koncept i zwrócił się do Rycerza: – Hej, spróbuj go wyciągnąć.

Krzyżowcowi nie należało tego dwa razy powtarzać. Po prawdzie sam miał chęć sprawdzić, czy poparzone dłonie dosyć będą miały mocy, aby dźwżyć Zeusowy oręż. Wsunął palce w spękane drewno, złapał jaśniejącą smugę i wydobył ją na światło dnia. Ju patrzył z napięciem, ale szybko uśmiechnął się, kręcąc głową w niedowierzaniu na błyskawicę pulsującą w poparzonej dłoni Krzyżowca. Rycerz nie miał gdzie ukryć takiego skarbu, toteż uczynił jedyną rzecz, jaka przyszła mu na myśl w tym momencie. Wziął potężny zamach i cisnął piorunem wprost w brzuchy chmur, które sunęły po nieboskłonie.

Jasniebieska włócznia pomknęła wzwyż, pozostawiając po sobie syk powietrza i narastający pomruk, który przerodził się w grom. Jasny błysk rozjaśnił niebo, zlewając się w jedno z ogłuszającym hukiem. Krzewy przygięły się do ziemi. Po chwili zraniona chmura zaczęła broczyć deszczem z rany.

– Też muszę taką mieć. Taką rękę – powiedział Ju głosem pęczniejącym od ekscytacji oraz radości. – I polować na pioruny.

Pozostała część wyspy zdawała się kompletnie opustoszała, wydeptane zaś ścieżki nosiły ślady kopyt dzikiego bydła, zapewne porzuconego tutaj wiele lat temu. Rycerz już miał zawrócić, nie widząc tutaj żadnych śladów obecności ludzi, kiedy jego oczodołom ukazała się pieczara wybita w litej skale i przypominająca powstałą od uderzeń tarana bramę. Niedaleko była grota od plaży, słychać było tutaj szum rozbijającej się o skały wody, toteż Ju ruszył ku wybrzeżu, pozostawiając Krzyżowcowi sprawdzenie jaskini.

Z Czaszką Pielgrzyma w dłoni Rycerz wkroczył do wnętrza, szybko odnajdując ślady ucztowania. Wały się tutaj porzucone resztki wołu, obgryzione starannie do kości, oraz kilka pogruchotanych glinianych skorup. Nieco dalej leżała czwórka powykręcanych w agonii postaci na posłaniu z czerwonawej mazi oraz popiołów. Miały one zapadnięte twarze, krwawe wybroczyny z uszu i oczu, a z rozchylonych warg wypływały resztki języków, dziąseł oraz podniebienia, rozpuszczonych w cuchnącą miazgę. Krzyżowiec trącił jedno truchło końcem buta, czym natychmiast rozerwał rozmokłą skórę, pozwalając wylać się z brzucha gęstej cieczy, niegdyś będącej wątpiami żyjącego człowieka. Wyglądali jak owady złowione przez pajaka w sieć. Najpierw zatrute, później zaś rozpuszczone jadem, dzięki czemu drapieżnik mógł pożywić się ulubioną papką, zostawiając za sobą jedynie puste skorupy chitynowych pancerzyków. Brak jednak tutaj było śladów takiego stwora, a ciała zdawały się leżeć tak, jak padły w ostatnich chwilach bolesnego amoku.

Za plecami Rycerza rozległ się odgłos biegnącego człowieka. Z miejsca Krzyżowiec dobył miecza, lecz u wejścia jaskini pojawiła się jedynie znajoma sylwetka kędzierzawego Greka. Zdyszany był od biegu i zmoczony po ramiona, ale szybko złapał oddech.

– Jest tam całkiem świeży wrak i mnóstwo kości – wyrzucił z siebie. – Co znalazłeś w...

Na widok rozkładających się resztek Grekiem zaczęły wstrząsać torsje. Żeglarz wybiegł z grotu i padł na kolana, zmożony nagłym atakiem. Rycerz podążył nieśpiesznie za nim, podnosząc ze skalnej podłogi krowią kość, na której wyraźne były ślady ludzkich zębów. Tę podstawił pod nos Grekowi, wskazując palcem na makabryczne znalezisko w pieczarze. Ju, mimo słabości, od razu pojął myśl Krzyżowca i natychmiast stanął na nogi. Lotem błyskawicy pomknął ku plaży, gdzie zakotwiczona była Gaska.

Rycerz podążył za nim, ale nie śpiesząc się zanadto.

Kogut był jedynym członkiem załogi, który zakosztował w przeklętym miesiącu dzikich krów. Teraz siedział na brzegu, z płaczem słuchając tego, co miał mu do powiedzenia Ju. Mały Grek czuł już na sobie gorejące smagnięcie gorączki, pierwszym będącym dla niego zwiastunem śmierci. Mimo to szyper gotów był dać mu szansę, licząc na siłę zadziornego marynarza, i pozwolił mu wrócić na pokład. Kogut niemalże rzucił mu się do stóp, całując buty, ale szyper tylko postawił go na nogi, każąc mu natychmiast wracać na statek i rozwijać żagiel. Nagrodą dla Rycerza oraz Ju było nieco cieplejsze spojrzenie morskiego wygi, które wymienili już na deskach Gąski.

Z pewną dozą żalu spoglądał Krzyżowiec na wyspę, niknącą powoli za rufą statku. Niezbyt zaprzętała go los Koguta, samotnie stojącego przy burcie, milczącego i kompletnie oklapłego; miłe było natomiast wspomnienie dzierżenia w prawicy gorejącego pioruna. Deszcz opadający z niebios był jego dziełem, a przez krótką chwilę mógł poczuć się czymś więcej niż tylko wyschniętym truposzem zakutym w pancerz, z kilkoma myślami uwięzionymi pod czaszką. Wciąż czuł na ciele ożywczy dreszcz, jaki promieniował z błyskawicy, a niebiański był to ogień, niemający rywala w świecie ludzi. Nawet białe płomienie huty Konstantynopola były ledwo dziecięcym pochlebstwem dla nieokiełznanej siły żywiołu, jaki bez trudu rozszczepiał w ułamku chwili najtwardsze ze skał.

O zmierzchu ponownie zbudziły się mocniejsze wiatry, pchając śmieiej Gaskę po ciemniejącym morzu. Kogut nikł w oczach, mimo tego starał się zachować resztki godności, bez ustanku żartując. Udawał, że nie widzi pozostałych członków załogi, trzymających się na dystans, unikających jego dotyku oraz oddechu. Otaczającym go ludziom trudno było znieść ten dziwaczny monolog, przerywany spazmami oraz bolesnymi jękami, który przerodził się w spowiedź całego życia. Mimochodem Rycerz słuchał o rodzinie Nikefora, bo takie imię dostał Kogut przy chrzcie, biednych rybakach z wyspy Kos; o młodzieńczych porywach miłości, niepowodzeniach, o służbie w armii i dzieciach, których już marynarz nigdy nie zobaczy. Tego Kogut żałował najbardziej, bo gromadka pociech uwielbiała powroty ojca z morza; zawsze przywoził im podarunki z odległych krajów. Pływał potem z najstarszymi synami na ryby, żeby do późnej nocy opowiadać o swych przygodach. Odysem był w ich oczach, Jazonem i nieustraszonym Belizariuszem.

Koniec tej opowieści nastąpił z atakiem krwawego kaszlu, który obalił Greka na pokład. Z płaczem mężczyzna wypluł własny język oraz migdałki, paznokciami drapiąc z bóleści twarde dek. Nie było nadziei.

Szyper podał Rycerzowi ciesielski toporek i wskazał podbródkiem na konającego człowieka. Cios łaski; wzięcie na własne barki grzechu zabójstwa, aby ulżyć w cierpieniu tym, których rany daleko wykroczyły poza wszelką pomoc. Taki był rozkaz szypra, a Krzyżowiec nie zamierzał się przed nim uchylać. Kiedy kapitan skończył udzielać namaszczenia konającemu, powołując się na miłosierdzie Ojca, Rycerz jednym ciosem zmiażdżył kark Nikefora i wyrzucił ciało za burtę. Morze chciwie pochłonęło ciało, po którym pozostała jedynie plama krwi na ciemniejącej fali.

Ponura zapanowała cisza na pokładzie. Nikt nie rozmawiał i nie śmiał się już głośno. Z braku zajęcia Krzyżowiec wrócił ku swej szczelinie pod pokładem, gdzie podjął przerwany odpoczynek. Chociaż czuwał raczej, niż spał, nikt nie przeszkadzał mu aż do przedświt, kiedy przyszło mu przejąć służbę z rąk nocnej wachty.

Poranek wstawał jasny i ciepły, łagodnie budząc swym blaskiem świat z mroków nocy. Wyspy rzucały długie cienie na błękit morza, tworząc na niej drżący miraż niestworzonych krain po drugiej stronie wodnej tafli. Po jaśniejącym niebie żeglowały ogromne chmury o łagodnych kształtach, powoli wzrastające od słonecznego ciepła.

Ileż to już widział świtów Rycerz w swej wędrówce? Próbował je zliczyć, ale podróż zlewała mu się w długą smugę zmieszanych kolorów, przerywanych nagłymi bryzgami czerwieni i brutalności. Chociaż piękna była to pora dnia, w oczodołach Krzyżowca straciła cały urok. Zbyt wiele już jałowych dni, zarówno za życia, jak i po śmierci, które nic ze sobą nie niosły prócz mozolnego pokonywania kolejnych mil w drodze ku odległym krainom.

Coraz cieplej robiło się z upływem godzin. Duchota zapanowała na morzu, nie rozpraszały jej nawet mocne podmuchy wiatru. Łagodne baranki chmur zaczynały piąć się ku słońcu, nabierając coraz ciemniejszej barwy. Sine robiły się z gniewu, pomrukując z cicha obietnicą burzy. Nie był to dobry zwiastun, a szyper nieco dalej wypuścił się w morze, unikając malutkich wysepek, gdzie zwykli czaić się piraci. Nie było w pobliżu żadnego lądu, przy którym można by znaleźć schronienie przed nadchodzącą nawałnicą, a od wybrzeża dzieliło Gąskę wiele mil. Na otwartych wodach przyjdzie się zmierzyć stateczkowi z nadchodzącym sztormem. Wszystkie luźne paki oraz skrzynie ciasniej przywiązano do belkowania, żagiel zrzucono, zastępując go mniejszym płótnem o podwójnej grubości i mocniejszym splocie. Wylano gromadzącą się w zębie wodę, osobiste drobiazgi wepchnięto głęboko w szczeliny między ładunkiem; wreszcie, sprawdzwszy cały statek, oczekiwano nadejścia sztormu. Niektórzy drzemali, inni tkwili na pokładzie i wpatrywali się w ciemniejące niebo.

Wiatr dał ku wysokiemu wałowi burzowych chmur, który wyciągał daleko swój rozwiany welon, jakby chcąc pochłonąć cały świat niczym ogromna fala deszczu i błyskawic. Rycerz stał przy dziobie, czując pod hełmem oddech nawałnicy. Nie chciał pozbywać się swej pancерnej skóry; trudniej będzie go wodzie wyrzucić za burtę, jeżeli ciężarem kolczugi i wszystkich swych ruchomości przykuje się do pokładu. Na podorędziu trzymał także pętlę z mocnym węzłem, którym w chwili potrzeby gotów byłby uwiązać się do burt albo masztu. Jeżeli zaś jego grobem stanie się domena Neptuna, to nie znajdzie lepszego całunu pogrzebowego niż własna opończa i kolczy płaszcz.

Blask dnia konał w objęciach burzy, a błękit nieba pozostał już daleko za rufą. Dziób Gąski ciął fale, wyrzucając w powietrze fontanny wody, niezłomnie płynąc wprost w ścianę deszczu. Krople uderzyły z łomotem w pokład, siekąc z bezlitosną siłą po twarzach i dłoniach. Podmuchy wiatru szarpały żaglem, chcąc oderwać go od rei, ale liny dobrze trzymały, wytrzymując pierwsze zetknięcie z wściekłym żywiołem.

Statek wspiał się na grzbiet spienionej fali, aby po chwili ruszyć w dół wodnego stoku, niczym taran przebijając się przez kolejne grzywacze. Raz po raz morze zalewało pokład Gąski, chcąc wciągnąć w głębie stojących na deskach ludzi. Na razie nikt nie poddał się tym uderzeniom. Rycerz stał pewnie przy dziobie, wypatrując zagrożeń, przy maszcie klęczał Ju wraz z jeszcze jednym marynarzem, przy sterze zaś trwał niewzruszony szyper, pewnie prowadząc Gąskę przez sztorm.

Nawałnica przybrała na sile wraz z pojawieniem się błyskawic. Raziły one z furją spienione morze, które wyciągało ku chmurom spienione palce fal. Tak gęsto biły pioruny, iż burzowe ciemności zamieniły się w upiorny dzień, wypełniony powidokiem kolejnych świetlistych filarów. Zastygłe pomiędzy rozbłyskami morze ryczało dziko, chcąc zagłuszyć trzask gromów, jaki raz po raz wstrząsał niebem.

W jednym z błysków Rycerz dostrzegł inny okręt; smukłą galerę Wenecji o połamanych żaglach i wiosłach, przegrywającą właśnie swoje zapasy z morzem. Jej kadłub uniósł się na fali, ale zawiódł już ster, a galera osuwała się bokiem ku dolinie. Przykrywała ją góra wody, lecz oto cud: okręt wciąż walczył, obracał się powoli dziobem ku kolejnemu grzywaczowi. Na kilka chwil Krzyżowiec stracił z oczodołów galerę, kiedy Gąska przeszła dziobem spienione korony fal. Mimo huku i oślepiającego blasku piorunów udało mu się ponownie wyłuskać uszkodzony okręt, wciąż obecny pomiędzy

ścierającymi się grzbietami szalejącego morza. Wtem morze zawyło ze zdwojoną siłą, burza zaś przycichła ze strachu. Miażdżąc inne fale, ku galerze wystrzeliła ciemna ściana wody, mknąc w poprzek wiatru i pozostałych grzywaczy. Zdawała się żywą istotą, ogarniętym szalem ucieleśnieniem siły żywiołu, bez trudu łamiącym zasady, jakim podlegał świat. Kiedy runęła na galerę, nie było nadziei dla okrętu, aby wydostał się spod tego uderzenia. Pozostały tylko białe wiry oraz jęk wiatru.

Gąska zachwiała się od siły, z jaką potworna fala pochłonięła swe rodzeństwo, ale czujne zmysły szypra poprowadziły statek bezpieczną ścieżką, nie pozwalając morzu schwytać kolejnej ofiary. Kapitan zawołał ku marynarzom przy maszcie, każąc im zrzucić reję i przywiązać ją do pokładu. Rycerz poczekał, aż kolejna fala obmyje pokład, po czym dołączył do żeglarzy, pomagając im unieruchomić belkę na sztywno, wzdłuż linii stępki. Obwiązał swą pętlę wokół masztu, gotowy powierzyć jej życie po śmierci, i schwytał w poparzone dłonie mokre żagle.

Statek wpadł w dolinę, lecz zanim zdołał przebić się przez biały szczyt, dzika fala runęła na pokład z obezwładniającą siłą. Rycerz upadł na deski, ale pętla zacisnęła się mocno, trzymając go przy maszcie. Uczepiony nogi Krzyżowca, sunąc po śliskim deku, trzymał się Ju. Oczywiście miał spokojne, włosy przylepione do twarzy i już stawał na nogi, aby uwiązać ostatnie luźne fragmenty olinowania. Trzeciego marynarza pochłonięła wielka głębia.

– Pod pokład i klepać pacierze do świętego Elma! – krzyknął szyper stalowym głosem. – Ale nie ty, żołnierzu. Jeżeliś... – Uderzenie wody przerwało mu ma moment. – Jeżeliś taki jak Jonasz, to zaraz sam skoczysz w te fale!

Rycerz uniósł dwa palce, kierując wierzch dłoni ku Anglikowi, na co ten zaśmiał się chrapliwie.

– To rozumiem! – zawołał kapitan, przywołując go gestem ręki. – Potrzebuję cię przy sterze!

Trzymając się poręczy burty, Krzyżowiec dotarł do dźwigni steru. Tam zarzucił swoją linę na poler, obok bliźniaczego węzła, jakim szyper zabezpieczał siebie przed wpadnięciem w paszczę żywiołu.

– Prosto na falę, zawsze – rzucił Anglik, bardziej chyba do siebie niż do Rycerza.

Gąska dzielnie stawała wobec burzy, za nic mając pioruny i deszcz. Nawet wielometrowe grzywacze brała z gracją i pewnością siebie, jakby wiedziała, iż żadna siła nie jest w stanie jej zagrozić. Morze zdawało się nagle osłabłe wobec chyżego stateczku; wiatr przycichł, krople zaś opadały z mniejszą siłą niż dotychczas.

Nie był to jednak koniec burzy, a jedynie głęboki wdech.

Woda poczęła osuwać się spod dzioba Gąski. W świetle błyskawic Rycerz dostrzegł biały wał mknący ponad miotającym się dziko morzem. Nie była to fala, ale oderwana od niej piana waląca się z nagłym gradem i zwiastująca nadejście potwora. Krzyżowiec zacisnął dłonie na drgającym sterze, czując, jak przez pokład przebiega niespokojny dreszcz.

– Gail! – Szyper nasunął na głowę pikowany kaptur, zasłaniając twarz przed uderzeniami lodu.

W świetle błyskawic objawiła się największa morska zmora. Wyższa niż maszty największych okrętów, szeroka, niemalże pionowa ściana wody. Z grzotem mknęła naprzód, gotowa zmieść wszystko, cokolwiek tylko stanie na jej drodze. Gąska już mknęła w dół, ku monstualnej dolinie, pomiędzy pniami błyskawic. Rycerz nie mógł oderwać wzroku od bielejącego szczytu, żywo przypominającego mu serbskie doliny, gdzie opadła go śnieżna lawina. Teraz ponura historia zatoczyła koło i Krzyżowiec ponownie stał, bezsilnie, oczekując na uderzenie żywiołu. Szyper klęczał, a jego słowa ginęły w szumie morza. Gąska wspinała się w górę fali, chcąc umknąć z doliny, zanim spieniony szczyt runie ku niej z całą mocą.

Nagle świat zniknął w ciemnościach, pozostawiając po sobie tylko ryk sztormu. Gdzieś ponad głową Rycerza z trzaskiem i hukiem fala przełamała się, a kiedy niebo zapłonęło przelotnie kolejną błyskawicą, Krzyżowiec zobaczył tylko mknącą ku niemu ścianę wody.

Tym razem nie poczuł uderzenia. Jedynie ból.

W uszach słyszał krzyk setek głosów uwięzionych w trzewiach potwornej fali. Pod hełm, do ust,

przez rozdarte gardło do wnętrza ciała wlewał się żywioł, wyduszając z Krzyżowca życiodajny ogień. Ogarnął go chłód przepływających obok dusz, a każda zdawała się czepiać go palcami, chcąc pociągnąć za sobą w odmęt. Mocno trzymał się jednak Rycerz swego żywota, a jeszcze mocniej steru. Nie czuł już pod nogami desek pokładu; mógł unosić się w wodnym przestworze albo stracić kończyny w otchłani żywiołu. Nic to jednak, jeżeli tylko statek będzie ustawiony wprost na falę.

Opadł w końcu na deski, a kolana ugięły się pod nim. Wsparł się jednym ramieniem, drugą dłoń trzymając wciąż na sterowej dźwigni. Uniósł wzrok na nietknięty maszt, gorejący u szczytu, a niespalający się w ogniu. Fala przecież z łatwością zgruchotałaby ten drobny patyczek, ale oto stał zupełnie bez szwanku. Wkoło burza wciąż szalała z nie mniejszą furją, ale Gaska zdawała się płynąć po znacznie spokojniejszych wodach, prowadzona przez ognie świętego Elma.

Szyper stanął na równe nogi, chociaż krew ciekła mu z pociętej twarzy, a jedno ramię zwisało bezwładnie wzdłuż boku.

– No – powiedział w końcu, ocierając oczy z wody i krwi – z daleka wydawała się większa.

Długo jeszcze przyszło płynąć Gąsce po wzburzonym morzu, ale już pod żaglem. Sztorm wytracał już siły. Wyczerpane morze coraz niższe fale rzucało pod brzuch statku, zupełnie tracąc wigor. Ognista aureola masztu zniknęła dopiero, kiedy na niebo powróciły srebrne gwiazdy oraz księżyc. Po martwych falach sunęła teraz Gaska, kilwaterem rozcinając pobojuwisko, jakie pozostało po sztormie: ciche i upiornie spokojne.

Statek, chociaż zdawał się nienaruszony, był w złym stanie. Wiele desek spękało lub zostało zmiażdżonych, a woda sączyła się przez szczeliny. Przy spokojnym morzu niewielki był to problem. Żwawo można było pozbyć się nadmiaru wody, a załoga zasmołowała lnianymi opatrunkami burty na tyle, na ile pozwalały jej skrzynie z ładunkiem. Jednak każda mocniejsza fala, nie wspominając już o sztormowych grzywaczach, sprawiłaby, iż Gaska rozpadłaby się na drzazgi. Gdy brakło troskliwych ogni świętego Elma, szyper nie miał zamiaru rzucać bezsensownego wyzwania morzu i zeglował niedaleko brzegu, aby dać załodze choćby cień szansy na ratunek.

Długo wschodziło słońce tego dnia, nie śpiesząc się zanadto, aby rozjaśnić nocne niebo. Trwało poza horyzontem, pozwalając dostrzec jedynie czerwony skraj swego gorejącego pióropusza. Krzyżowiec długo obserwował ten dziwaczny świt, kiedy do jego nozdrzy dobiegł ciężki zapach spalenizny. To, co brał do tej chwili za pasma długich chmur, było w istocie dymem unoszącym się nad płonącym miastem. Słońce dopiero wstawało, przyćmiewając fałszywą gwiazdę i ukazując zasłane ciemnymi oparami niebo.

Rycerz wciągnął raz jeszcze resztkami nosa znajomą woń zniszczenia, której nie mógł zakosztować od Dni Krzyżowych. Wreszcie był coraz bliżej celu i bitewnych pól! Ożywcza była to myśl, znajdować się już u kresu swej wędrówki, lecz pod podeszwami butów wciąż trzeszczały deski statku, a nie Ziemia Święta. Rycerz udał się pod pokład, ustępując miejsca świeżej zmianie. Na wyrost było to określenie, bo wśród załogi nie było już ludzi wypoczętych i wyspanych, a jedynie ci, którzy mieli przed sobą wachtę na pokładzie albo właśnie ją kończyli, aby przejąć obowiązki łatania przecieków w trzewiach Gąski.

Po godzinach mozolnego wylewania wody z zęzy, zbijania uszkodzonych skrzyń i przesuwania ładunku, aby można było odnaleźć wszystkie uszkodzenia kadłuba, Krzyżowiec zapadł w głęboki sen.

Ledwo ogarnęła go ciemność, ktoś zaczął potrząsać jego ramieniem, brutalnie wyrывая go z objęć Morfeusza. Rycerz zerwał się na obolałe nogi, wciąż pamiętające uderzenia sztormu, gotowy wydłubać oczy osobie, która nie pozwalała mu spać. Złość jednak opadła z niego szybko, bo pochylający się nad nim Ju miał poważny wyraz twarzy.

– Na górę, szybko – powiedział tylko, zanim wybiegł po drewnianych stopniach na pokład.

Krzyżowiec dotknął okaleczoną dłońią wszystkich swych ruchomości, po czym ruszył śladem Greka.

Powietrze było gorące, ciężkie od dymu i pyłu, a niebo zasnuwane chmurami, które mieszały się z czarnymi kłębowcami dymu unoszącymi się nisko nad czubkami licznych masztów. Kilkanaście galer oraz smukłych dromonów cesarstwa stało tutaj na kotwicy, a między nimi kiwały się sennie jednostki handlowe i transportowe o zrzuconych żaglach. Między pokładami ułożono chodniki, dzięki którym można było bez trudu dostać się nawet z odległych jednostek na suchy ląd. Teraz i Gaska dołączyła do tej koralowej rafy, cumami umocowana do knag i pachołków stojącej obok dwurzędowej galery.

Brzeg tutaj był suchy, pełen skał, pokryty warstwą czerwonego pyłu, który tworzył na wodzie lepką błonę. Na lądzie, w ruinach wypalonego portu, znajdował się obóz wojska, otoczony czworobokiem wałów z ziemi, skały i resztek zburzonych budynków. Sucha fosa, strzegąca całej długości umocnień, wypełniona była zaostrzonymi kołkami, przed nią zaś lśniły tysiące kolczatek – czworonogich kolców, tak ze sobą skuty i skręconych, iż zawsze któryś ze szpikulców mierzył w niebo. Różnie nazywano je na świecie, z łaciny calcitrapą, czosnką albo kurzą stopką; od wieków jedno było ich zastosowanie: utrudnianie życia atakującym. I nic nie zapowiadało, aby cokolwiek groziło ich popularności.

Za umocnieniami tłum ludzi krzątał się przy ogniskach, opalając zaostrome pale, gotując i odpoczywając na rozłożonych kocach. Wielu tam było zbrojnych, strzegących korony wału oraz trzymających wartę na zrujnowanych przedmieściach, które niegdyś wznosiły się w tym miejscu. Nawet z morza Rycerz dostrzegał umocnione domostwa, tworzące ciąg posterunków wzdłuż szerokiej alei, która niegdyś łączyła port z miejskimi murami. Tą wąską szyją, przez obóz ku zakotwiczonym statkom, zmierzała mozolnym krokiem długa kolumna uchodźców – mieszkańców tych ziem, którzy musieli porzucić cały dobytek i uciekać przed falą najeźdźców. Maszerowali na tle dymiącego miasta, schodząc łagodnym stokiem, zaśmieconą aleją, pomiędzy ruinami swego dawnego życia.

Szyper wrócił z pokładu dwurzędowca w towarzystwie brodatego oficera cesarskiej armii, odzianego w lamelkowy pancerz oraz niegdyś biały płaszcz. Jedno oko miał zaślepione opatrunkiem, drugie natomiast było przerośnięte purpurowymi żyłkami, jakie miał każdy, kto używał własnych zmysłów cesarzowi.

– Panowie, nasza Gaska właśnie weszła w skład imperialnej eskadry transportowej – oznajmił szyper swoim zwykłym, stalowym głosem. Za nic miał sobie szwy na twarzy oraz ból złamanej ręki uwiązanej na płóciennym temblaku. – Turkowie wdzierają się coraz głębiej ze swoimi najazdami, dlatego cesarz kazał wywieźć stąd mieszkańców. To nasze zadanie i tyle musimy wiedzieć. Bierzemy pod pokład tyłu ludzi, ilu tylko się zmieści, zabieramy ich na Cypr i wracamy tu, aż skończą się pasażerowie. Albo ta łajba rozpadnie się na kawałki i pójdziemy na dno. – Szyper przeniósł wzrok na Krzyżowca. – Do czasu przybycia odsieczki potrzebują tutaj każdego miecza – powiedział w ojczyściej mowie, po angielsku, tak aby nikt prócz Rycerza go nie zrozumiał. – Mają tutaj kilku najemników z naszych stron, więc będziesz się czuć jak w domu. Jeżeli dotrwasz odsieczki, szukaj nas w porcie. Bóg z tobą.

Krzyżowiec wymienił mocny uścisk dłoni z szyprem, później z załogą Gaski, po czym ruszył za oficerem, kręcąc głową nad swoim losem. Bliskość Outremer była mu torturą; pewnikiem stał już u brzegów Cylicji, a tutaj los cisnął go tak przebiegle w objęcia walki, dla której wyruszył z odległej Francji. Wszak bronić będzie chrześcijan przed najazdem niewiernych. Wszystko było tym, czego szukał od tak dawna, jedynie w innym miejscu. Wywołało to pod hełmem grymas kwaśnego uśmiechu. Ani w pełni gniewem, ani radością nie mógł się unieść w tym momencie Krzyżowiec. Słyszał niegdyś powiedzenie, iż najtrudniejszy jest pierwszy krok; on jednak przekonany był, że to u kresu wędrówki oczekują na człowieka największe wyzwania.

Oficer poprowadził Rycerza pokładami galer ku brzegowi. Ich deki były niemalże puste, utrzymane w porządku, gotowe do wypłynięcia, jeżeli zaszłaby taka potrzeba. Zgrupowane obok statki handlowe i transportowe ugięły się pod ciężarem uchodźców, którzy próbowali znaleźć dla siebie kawałek wolnego pokładu. Nic prawie ze sobą ci ludzie nie brali, kilka tobołków i to, co mieli na sobie. Starcy,

dzieci, kobiety, całe rodziny opuszczają domostwa, uciekając przed Turkiem. Ci, którzy byli już na pokładach lub pod nimi, mogli nazwać siebie szczęściarzami, bo już niedługo znajdą się poza zasięgiem śmiercionośnych łuków niewiernych.

Krzyżowiec zszedł na pokryty pyłem brzeg, podążając za jednookim Grekiem między namiotami i koczującymi uciekinierami. Tu i ówdzie w ziemię wbite były czarnopióre drzewca strzał, przypominające o nieustannych atakach konnych nomadów. Dopiero teraz Rycerz zobaczył, jak niewielu jest w obozie zbrojnych, może dwie setki, wobec tysięcy cywili, jakich przychodziło im bronić; przecież cała aleja, aż do miejskich bram, wypełniona była ludźmi. Jeżeli doszłoby do szturm, rzeź byłaby niewyobrażalna, a morze nabrałoby barwy krwi.

– Tutaj. – Oficer wskazał na podziurawiony od strzał namiot, pokryty czerwonym pyłem oraz kilkoma ciemnymi plamami. Nad wejściem wisiała pocięta tarcza z wizerunkiem trzech złotych koron na błękitnym polu. Barwy króla Artura. – Guilhem de Islé jest teraz wam kapitanem, zapłatę otrzymacie podług zasług. Jeżeli dożyjemy odsieczy.

Krzyżowiec uśmiechnął się, słysząc znajome nazwisko, uchylił połę namiotu i wszedł do wnętrza.

Na derkach, pod kolczugami i tarczami, leżało pięciu rycerzy z Okcydentu, drżąc wokół dogasającego ognia. Jednym z nich był Weteran, pozostałą czwórkę pamiętał Rycerz z turnieju w Mestre. Mocno przerzedzona kompania otoczona była pękami włóczni, oszczepami i obfitością wszelkiego oręża, wyładowanego zapewne z cesarskich galer. Nie brakowało tu kusz oraz bełtów, a nawet pancerzy i spiczastych hełmów, podobnych do tych, jakich używali kawalerzyści cesarstwa.

– Witaj, przybyszu, jam jest Artur – powiedział sennym głosem Weteran. – A to moi rycerze Okrągłego Stołu. Panowie Lancelot, Tristan, Bedivere i Bohort. Słyszałem, żeście nowym kompanem, więc uroczyste nadaję wam imię...

Guilhem uniósł głowę, odgarnął niesforne, siwiejące włosy z pociętej twarzy i przyjrzał się Krzyżowcowi. Zaśmiał się nagle, szczerze, wydostając się spod pancernego okrycia.

– Nie może być – powiedział, wstając. – Niech mnie obedrą ze skóry i ugotują w oleju, jeżeli nie jesteś widmem.

Rycerz pokręcił głową, zdejmując hełm i odsłaniając czaszkę.

– Panowie, wstawać. – Weteran trącił butem ramię młodzieńca o mocnej, niemalże kwadratowej zuchwie. – Lancelot, ruchy, nie szukamy już Graala. On znalazł nas.

Zaspana kompania powoli obudziła się, nie rozumiejąc całego zamieszania, ale szybko ożywiła się na widok znajomej postaci Krzyżowca. Może i nie zadzierzgnęli w Mestre więzi, ale w dalekim kraju, z widmem śmierci nad głową, raz widziany człowiek urasta nagle do rangi brata. Wymieniwszy uściski dłoni, usiedli w szóstkę wokół paleniska, rzucając w żar tureckie strzały, które szybko zajęły się ogniem. Weteran sięgnął po bukłak, pociągnął kilka łyków i podał go wkoło. Odchrząknawszy, zaczął opowiadać Rycerzowi o tym, jak trafili oni do obozu cesarskich sił.

O świcie w obozie weneckiej armii na wyspie Ugljan gruchnęły dwie wieści, jedna bardziej makabryczna od drugiej. Admirala Polo odnaleziono martwego we własnym namiocie, a wiele z kompromitujących republikę dokumentów zniknęło bez śladu. Z miejsca oskarżono o zdradę najemników z Genui, co niemalże doprowadziło do rozlewu krwi. Morale dodatkowo osłabło, kiedy krzyżowcy dowiedzieli się o prawdziwym celu wyprawy, jakim była Jadera. Wielu z nich to wcale nie przeszkadzało, iż walczyć będą z braćmi w wierze, ale wszyscy zaczęli tracić zaufanie wobec Wenecji.

Następnego dnia, kiedy wysłano galery z posłańcami do Wenecji, w obozie zapanował względny spokój. Inżynierowie republiki zaczęli wznosić na pokładach okrętów wieże oblężnicze, beluardy oraz maszyny miotające. Większość niechętnych Wenecji została przekupiona lub zastraszona, ale zaufanie raz nadszarpnięte z trudem przychodziło ponownie. Zwłaszcza iż po zmroku pojawili się harcownicy z JADERY i podłożyli ogień pod lasem otaczającym obóz.

– Tego byłodla nas za wiele – wyjaśnił Guilhem, sięgając ponownie po bukłak. – Była nas setka,

może więcej, to postanowiliśmy odpłacić Wenecji pięknym za nadobne i pożyczylimy od nich jedną galerę. Bez pozwolenia, ale mogą nam to dopisać do rachunków. Liczykrupy zawzione.

Umknąwszy pogoni, uciekinierzy objęli kurs na Cypr. Ci, którzy zmierzali do Outremer, mogli stamtąd bez trudu już dotrzeć do Akki, Aszkelonu czy Saint Simeon. Pozostali mieli zamiar nająć nieco wioślarzy i podchwycić łupieżczy zawód piratów, napadających statki pod banderą Republiki Wenecji.

Krzyżowiec zastanawiał się, czy galera, którą pochłonał sztorm, nie była tą samą, o której wspominał Weteran. Nie dał po sobie jednak niczego poznać, tylko sięgnął po garść żaru i wsłuchał się na powrót w opowieść.

Przybiwszy do cypryjskiego brzegu, tylko czterech młodych rycerzy podążyło za Weteranem. Dla przezwyciężenia złego losu przybrali wtedy butną nazwę kompanii Artura oraz herby bohaterów Okrągłego Stołu. Tak oto Guilhem de Islé stał się królem Arturem, młodzieniec o wydatnej żuchwie Lancelotem, rudowłosy chudzielec Tristanem, ospowaty i krępy chłopak Bediverem, a najmłodszy z nich, szczurowaty gołowąs – Bohortem. Mieli oni już ruszać do Jeruzalem, kiedy eskadra cesarskich okrętów wojennych na wyspie otrzymała rozpaczliwe wezwanie z Cylicji.

– Sprawa wydała się słuszna, więc zabraliśmy się z Grekami i oto jesteśmy tutaj, śpiąc z pancerzami zamiast miękkich pierzyn, bo Turek lubuje się w uprzykrzaniu nam życia. – Weteran bawił się strzałą, rozgrzewając do czerwoności jej grot. – Mało tutaj splendoru. Nie mamy koni, a na łuki nie mamy co mierzyć się z Turkami czy Grekami, dlatego mamy te tutaj maleństwa. – Guilhem skierował wiśniowy od ognia grot na zbiór kusz oraz setki bełtów, które walały się w nieładzie pod ścianą namiotu. – Niezbyt to po rycersku, ale ci koniarze nie widzą nic zdrożnego w strzelaniu do bezbronnych, więc my polujemy na nich z kusz. – Weteran zamilkł, ale dodał po chwili: – Śmieszne, wszystko tutaj miało kiedyś swoje nazwy. Miasto, droga portowa, przystań, poszczególne domy albo pałace. Teraz są tylko Twierdza, Aleja, Obóz i Port. Nic więcej, jakby wojna wymazała całą przeszłość tego miejsca.

Kompania siedziała dalej w milczeniu. Rycerz widział, że wojna mocnym piętnem odcisnęła się już na tych młodych ludziach. Znał dobrze to puste spojrzenie, utkwione gdzieś w dalekim punkcie, poza widzialnym horyzontem. Przywykną albo postradają zmysły i odbiorą sobie życie.

Poły namiotu uchyliły się, do wnętrza wpadła jedynie zwiężła komenda:

– Frankowie do twierdzy!

Bez entuzjazmu przyjęli ten rozkaz młodzi, spoglądając po towarzyszach broni ponurym wzrokiem. Wiedzieli już, czym smakuje prawdziwe starcie.

Krzyżowiec nasunął na głowę hełm, a także dobrał sobie niebieską tarczę o kroju łyzy i lekko wypukłej powierzchni. Przyasał obok noża skórzany zasobnik z bełtami o ostrych szpicach, a na ramię zarzucił kuszę o cięciwie napinanej za pomocą dźwigni. Nie przepadał za strzeleckim orężem, twarzą w twarz wolał stawać, z bliska zadając każdy cios, ale nie zamierzał w tym względzie być wybredny.

Wszak to był jego powrót do domu, na pole bitwy, a zły to syn, który po długiej nieobecności w rodzinnych progach zaczyna tak grymasić.

Weteran narzucił na grzbiet kolczugę oraz lamelkową kamizelkę, głowę skrywając pod wielkim hełmem. Lancelot i Tristan okryli się płaszczami płytowymi, które pamiętały jeszcze turniej w Mestre, a pozostała dwójka na długie kolczugi wciągnęła ponadto pikowane kaftany, jakich używali cesarscy piechurzy.

Gotowi do drogi, ruszyli w szóstkę przez zatłoczony obóz, jeden za drugim pomiędzy lichymi namiotami uchodźców. Niektórzy patrzyli na nich z nadzieją, ale większość ludzi pogrążona była w apatii, kompletnie przygnieciona tą klęską. Nie dosyć nieszczęść już spadło na świat? Zaraza, głód, a teraz jeszcze hordy Turków, ogniem odbierające im dom. W obozie brakowało wszystkiego: wody, jedzenia, czystego odzienia, a także poczucia bezpieczeństwa. Szalały choroby, powietrze cuchnęło kałem i brudem, a co gorsza – zwątpieniem, na którym wzrastała panika. Jak ta garstka zbrojnych mogła zapewnić ochronę takiej rzeszy ludzi? Mimo bohaterskiej postawy cesarskiej armii ludzie, których mieli

chronić, umierali na ich oczach.

Rycerz patrzył zza stalowej maski hełmu na ten obraz, po stokroć okrutniejszy od piekielnych kręgów. Tam przecież trafiają tylko grzesznicy, ludzie, którzy solennie zasłużyli sobie na męki po dzień Sądu. Nie było tam przypadkowych dusz. Wojna była inna. Brała pod swoje skrzydła wszystkich, bez cienia litości ogarniając życia cnotliwych i występnych: tych żyjących spokojnie oraz tych oczekujących tylko wezwania na bitewne pole.

Szeroka aleja, niegdyś urokliwy marmurowy deptak, teraz stanowiła widok godny najgłębszego współczucia. Otaczały ją ruiny sklepów oraz bogatych arkad, imitujących splendor Mese w Konstantynopolu. W zrujnowanych budynkach, na krawężnikach i na spękanych od ognia płytach siedzieli ludzie, kuląc się wokół lichych ogni. Wkoło panowało trwożliwe napięcie i tylko stłumionymi szeptami porozumiewali się dawni mieszkańcy tych budowli. Odziani w brudne, znoszone odzienia, zdawali się widmami dawno minionej epoki; po części tak właśnie było. Uchodźcy byli wyrwani ze swego życia, które płonęło, zanieczyszczając niebo czarnymi wyziewami. Nie mieli już przeszłości, niewiadoma była ich przyszłość, a teraźniejszość ograniczała się do strachliwej wegetacji na ruinach.

Tylko maluchy zachowywały się tak, jak zawsze czynią dzieci: bawiły się i zagłębiały z ciekawością w każdy kąt. Zbyt młode i naiwne były jeszcze, aby zrozumieć, co tak naprawdę dzieje się wokół nich. To zło było poza ich zrozumieniem, a ich rodzice czynili, co tylko w ludzkiej mocy, aby nic nie zburzyło tej bariery. Wtedy pociechy zapomną z łatwością i może nigdy nie będą świadome, jaki huragan śmierci oraz zniszczenia przyszło im przetrwać.

Wiele było ciemnych plam na marmurowych płytach alei, pozostałych po ofiarach tureckich strzał. Zgromadzeni tutaj ludzie nie mieli gdzie się ukryć przed niespodziewanymi atakami, mogli jedynie zasłaniać głowy ramionami lub własnym ciałem chronić ukochanych. W cieniu wypalonych arkad stało młode małżeństwo, wsparte na sobie, trzymając na rękach najcięższe brzemię: malutką trumnę zbitą z połamanych deszczulek.

W milczeniu maszerowała szóstka rycerzy, łoskotem pancerzy oraz równym krokiem nadając alei odrobinę życia oraz ulotną nadzieję. Szli uzbrojeni i wyprostowani, przykuwając spojrzenia uchodźców. Sześciu ich było, ale na ich widok ludzie unosili głowy, szeptali bezgłośnie pozdrowienia, a nawet próbowali ofiarować im nieco wody albo gotowi byli oddać resztki kosztowności, jakie udało im się ocalić z płomieni. Wielkie było to poświęcenie, nie mniejsze niż cesarskich medyków, którzy zamienili jedną ze stojących świątyń na szpital. Bezskutecznie walczyli lekarze ze śmiercią, starając się wyrwać z jej objęć kolejne dusze. Zbyt wielu było tu rannych, chorych i głodnych, aby cokolwiek mogli zdziałać medycy. Wciąż oglądali nowe otchłanie rozpacz, patrząc na rosnące sterty ciał na podwórku świątyni.

Niedaleko kościelnego portalu Krzyżowiec dostrzegł sędziwą kobietę, mogącą z powodzeniem być samą kostuchą. Wysoka, owinięta czarną szatą, odsłaniającą jedynie twarz oraz dłonie. Oblicze długie, pocięte głębokimi zmarszczkami, wąskie usta i głęboko osadzone oczy, spoglądające spokojnie na rozgrywającą się wokół tragedię. W kościstych dłoniach trzymała bukiet uschniętych kwiatów, których pomarszczone czarne liście kształtem przypominały pęk ludzkich czaszek. Kobieta skinęła głową Rycerzowi, po czym wolnym krokiem ruszyła ku szpitalowi.

Krzyżowiec wszedł w cień chmur oraz dymu, jaki zalegał ponad miastem. Tutaj panował bezustanny półmrok, wypełniony odorem spalenizny i drobinami popiołu unoszącymi się w powietrzu. Kiedy Rycerz przekroczył tunel bramy, znalazł się ponownie w rozgrzanym piecu Dni Krzyżowych. Wkoło panował suchy gorąc; pył z rozbitych cegieł mieszał się ze zwęglonymi szczątkami ludzi oraz zwierząt, rozsypujących się przy dotyku. Ludzie słusznie umykali z tego miejsca, bo mieszkała tu tylko ognista zguba oraz kres wszystkiego, co im drogie. Rycerz jednak był jak ćma szybująca wprost w płomienie, nie potrafił oprzeć się fascynacji, jaką wywoływała wojna.

Za bramą czekał na Weterana cesarski piechur, okryty popielnym płaszczem włócznik, który poprowadził szóstkę rycerzy przez labirynt gruzów oraz wypalonych resztek miasta. Ich nowym

posterunkiem była kwadratowa wieża, wznosząca zębatą koronę blankowania nad północnymi wrotami twierdzy. Jej siostra stała po drugiej stronie umocnionej bramy, złączona z bliźniaczką pępownią krytego chodnika. Na szczycie obydwu wieżyc powiewały sztandary Imperium – dwugłowy orzeł w złocie i czerwieni.

Z wysokości pięćdziesięciu stóp można było objąć wzrokiem nie tylko zgorzałe miasto, ale i zębate szczyty Taurusu, przez które niegdyś przedarli się pierwsi krzyżowcy. Prócz bramy, rycerze mieli utrzymać również odcinek muru, jaki dzielił ich od smukłej wieży znajdującej się sto kroków dalej. Chociaż same umocnienia zostały dodatkowo wzniesione za pomocą hurdycji, a baszta była bogato uposażona w narzędzia wojny, to była ich jedynie szóstka.

Krzyżowiec nie zamierzał tracić nadziei. Turkowie byli konnymi nomadami, nie mieli dużej wprawy w obleganiu miast, a rzymskie fortyfikacje sprawiały, iż jeden obrońca wart był przynajmniej dziesięciu atakujących. W żywych trzewiach wieży nieustannie płonął ogień, utrzymując w stanie wrzenia oleistą krew twierdzy. Prócz tego arsenał zawalony był glinianymi skorupami pełnymi ognia greckiego, a w fosie, pod powierzchnią brudnej wody, mieszkał jad, gotowy w boleściach odebrać każde życie. Na sąsiedniej baszcie oczekiwał trebuszet, przygotowany do ciskania kamiennymi pociskami na setki kroków.

Rycerz spoglądał pomiędzy blankowaniem na migoczące w odległości świetliki tureckiego obozowiska, zaciskając palce na kamiennym parapecie. Jakaż buta musiała kierować tymi nomadami, jeżeli gotowi byli przybywać ze stepów Azji, aby niszczyć pradawne Imperium, które ośrodkiem było wiedzy oraz rozumu pośród zmieniających się wieków? Pytanie to zostało bez odpowiedzi, bo do zmroku żaden przeciwnik nie pojawił się w zasięgu wzroku, aby wygładzić myśli Krzyżowca. Noc, chociaż niespokojna i pełna napięcia, upłynęła bez szturmów na północną bramę. Od strony alei natomiast, przez ciemność oraz dym, dochodziły do uszu Rycerza zniekształcone krzyki oraz płacz. Być może tysiące uchodźców właśnie gnano w jasyr lub wycinano w pień, zrywając tym samym jedyne połączenie między obozem a twierdzą.

Niewiele czasu było na ponure myśli, bo o brzasku do szturmów ruszył klin tureckich piechurów. Jak mrówki wyglądali, mozoląc się przez dymiące resztki winnic, pchając drogą zadaszony taran. Widząc to, Rycerz przyniósł na szczyt wieży kule z ogniem Greków oraz żarnik, z którego wyjadał co smakowitsze bryły węgla. Niestety jego młodzi towarzysze broni nie wykazywali tyle spokoju i krążyli jak zamknięte w klatce zwierzęta, spoglądając ku nadchodzącemu przeciwnikowi. Dopiero obecność Weterana, do tej chwili zajętego w siostrzanej wieży, przywróciła dyscyplinę.

– Co tu się wyprawia? – rzucił niemalże wesołym głosem, stawiając na parapecie wielki hełm. – Rozstawić na murze olej i trzymać go gorącym, oszczepy na stanowiska. Panowie, co z wami?

– Zastanawiam się, czy zdołamy ich wszystkich wygubić – odpowiedział nerwowo Bohort, starając się w żart obrócić przerażenie. – Tak wielu ich idzie.

– Nie przejmuj się zabijaniem. – Weteran trzasnął go pancerną rękawicą w ramię. – Na twoim miejscu martwiłbym się umieraniem. Z tym to nawet ja mam problem.

– Bardzo śmieszne – jęknął na odchodnym Bohort, znikając w klatce schodowej wieży. Po chwili dobiegł Krzyżowca odgłos torsji oraz wymiotów, po którym nastąpił atak spazmatycznego szlochu.

Turkowie zbliżali się powoli, jakby chcąc swym powolnym marszem podkreślić nieustępliwość, z jaką zaatakują mury. W rzeczywistości nie mogli iść szybciej, gdyż wiedli ze sobą taran. Kilkuset konnych ruszyło wokół murów, wzniesając tumany pyłu, zapewne po to, aby nie pozwolić obrońcom zebrać sił w jednym tylko miejscu; mogli też jechać na obóz, aby wstrzymać wszelką odsiecz na tyle długo, aż taran wyrzuci z zawiasów bramę twierdzy. W oczodołach Rycerza Turkowie niewiele się zmienili, od kiedy spotkał się z nimi pod Doryleum. Nosili długie szaty, strzegące ich od pyłu i nocnych chłódów. Niektórym starczały one za całą ochronę, inni wdziewali pikowane kaftany lub kolczugi. Głowy otulali zawojami bądź czapkami z materiałowym albo futrzanym otokiem. Tarcze mieli krągłe i lekkie,

a zamiast mieczy posługiwali się krótkimi szablami; wielu niosło też łuk oraz strzały, do których Turkowie zdradzali naturalny talent.

Bitny to przeciwnik.

Kiedy fala ludzi zbliżyła się na trzy setki kroków, trebuszet na sąsiedniej wieży ożył. Długim ramieniem przeciął powietrze, wysoko ciskając głaz wielkości cielaka. Rycerz z uwagą śledził lot kamienia, który coraz żwawiej mknął ku ziemi, aż wpadł między szeregi Turków, zostawiając po sobie krwawą szczerbę w ich liniach. Nomadzi umykali na boki, byle dalej od toczącego się głazu, a obrońcy wiwatowali głośno, chwając imię Pana.

Z krzykiem rusza do przodu fala tureckich łuczników, wznieca przy tym niemałą kurzawę. Prawie pod same mury muszą biec, aby sięgnąć ukrytych za murami obrońców. Rycerz uśmiecha się tylko i podrzuca do ramienia kuszę. Nie trzeba nawet mierzyć. Naciska na dźwignię spustu, a bełt mknie z sykiem ponad ziemią Cylicji i przebija brzuch Turka w błękitnej szacie. Krzyżowiec nie czeka, napina kuszę po raz wtóry, przed orzechem kładzie bełt, celuje i odbiera kolejne życie. Z murów sypią się strzały oraz pociski, ale kiedy nomadzi unoszą łuki, o kamienie uderza fala stalowych grotów. Nie patrzy Rycerz, gdzie są jego kompani, a wyrzuca bełt za bełtem. Kryje się za murem, przechodzi kilka kroków dalej i z nowego stanowiska nęka Turczyzna.

Jedna strzała uderza go w ramię, lecz nie przebija gęstego splotu kolczugi, darowanej mu przez anioła Rawenny. Pociski Krzyżowca bez trudu przeszywają tureckie pancerze, a nawet tarcze. Potężny to oręż, choć na każdy bełt zręczny nomada odpowiada czterema, pięcioma albo sześcioma strzałami. Pod tą osłoną taran sunie naprzód i dociera pod bramę. Już okuta żelazem belka kiwa się pod grubym dachem, którego nie przebije zwykła kusza. Bije taran w kutą kratę, która wzbrania mu dostępu do bramy, a z umocnień sypią się kamienie.

Rycerz odrzuca kuszę i chwytą w dłoń kuliste skorupy wypełnione łatwopalną cieczą. Zapala od żarnika ich lonty. Łuk zatacza granat, by jasnym ogniem rozbłysnąć pod kołami tarana. Z wnętrza wypadają podpaleni ludzie, a łuczniczy mierzą w Krzyżowca, lecz on się nie lęka ich grotów. Dwa kolejne pociski wyrzuca, zanim kryje się za krenelażem. Wrzaski bólu unoszą się pod zadymione niebo, ale nikt w tej walce nie będzie dawać pardonu.

Imperium nie trwa w bojaźni.

Trebuszet raz jeszcze wyrzuca w powietrze swój śmiertelny ładunek. Tym razem to płonąca kula z gliny, wypełniona płynnym ogniem. Niebezpieczny to pocisk dla służących maszynie, lecz mknie już po niebie niczym ludzką ręką dobytą kometa. Kiedy wpada w tłum pod murami, fala żaru ogarnia w jednym momencie tuziny postaci.

Rycerz ciska w taran kolejnymi granatami, nie pozwalając przeciwnikowi na powrót obsadzić go ludźmi. Turkowie ofiarnie polewają ogień wodą, lecz próżny to trud. Płomień trzeszczy i prycha, pluje iskrami, za nic mając wysiłki ludzi. Krzyżowiec sięga po kuszę, naciąga cięciwę i już ma nacisnąć spust, gdy strzała trafia go w hełm, wprost w szczelinę wizjera. Uderzenie obala go na kamienną podłogę. Widmo bólu nawiedza go przelotnie, kiedy Rycerz ułamuje drzewce, wrywa grot z czaszki razem z kilkoma odłamkami kości. Nic to dla niego. Na powrót płonie widmowy blask w oczodole, zrywa się na równe nogi Krzyżowiec z kuszą przy ramieniu. Kolejnego Turka obala celnym bełtem. Dwie kolejne strzały uderzają Krzyżowca w pierś, lecz ponownie chroni go stalowa skóra. Nie ma czasu na wrywanie ich z pancerza, bo bez ustanku kusza miota następnymi pociskami.

Taran jest już jedynie kupą popiołu i czarnego węgla, okrytego kobiercem ciała.

– Artur, Bedivere! – woła Lancelot z muru poniżej. Wskazuje palcem na drabiny, które nieśli ze sobą Turkowie. – Do mnie, bracia!

Krzyżowiec rusza biegiem po schodach, w rękę ściska napiętą kuszę. W przelocie widzi Bohorta, leżącego na plecach z trzema strzałami w twarzy i gardle. Nie pomoże już mu najlepszy nawet medyk cesarstwa lub Arabii. Rycerz zbiega na poziom murów i wypada na chodnik, tuż obok Weterana.

Nie wszystkie drabiny są dosyć wysokie, aby sięgnąć ponad umocnienia i pozwolić napastnikom wdrzeć się na mury, ale nomadzi próbują swego szczęścia.

Na dach hurdydycji wspina się już pierwszy Turek; ma płaską twarz oraz pociągłe oczy stepowego łowcy. Krzyżowiec unosi kuszę i pozwala, aby bełt przebił czaszkę na wylot, ciągnąc za sobą nitkę krwi oraz mózgu. Po martwym ciele wspina się kolejny przeciwnik, ze zręcznością kota skacze na Rycerza, ale Krzyżowiec bierze zamach kuszą i uderzeniem ciska nomada pod swoje nogi. Drugi cios rozbija na kawałki zarówno oręż, jak i czaszkę Turka na setki fragmentów.

Weteran bosakiem odpycha drabinę od muru, a ta, z krzykiem uczepionych jej ludzi, opada w pył, połamana na kawałki.

Rycerz upada nagle na chodnik muru, kiedy skacze na niego Turek, któremu udało się przeskoczyć z drabiny na dach hurdydycji. Nożem sięga do gardła Krzyżowca, ale ten uderza głową w tył, hełmem miażdżąc twarz napastnika i oślepiając go na krótki moment. To wystarcza Rycerzowi. Skręca się i chwytając napastnika za ramię. Ciska Turka z wysokości muru na dymiące ruiny miasta. Mężczyzna szamoce się w locie, po czym uderza o ziemię, wzniecając chmurę pyłu.

Krzyżowiec biegiem rusza na pomoc Lancelotowi i Bediverowi, którzy własnymi ciałami zastawiają Turkom wejście na mury. Na miecze walczą z wchodzącymi po drabinach wojownikami, sami ugodzeni przynajmniej tuzinem strzał. Rycerz chwytając w biegu kocioł z wrzącym olejem. Uniesienie bitewne dodaje mu sił i już staje ponad drabiną, z rozmachem wylewając gorący olej na twarz pierwszego z nomadów. Oblicze Turka natychmiast pokrywa się bąblami, a w oczach ścina się biało. Z piskiem agonii odpadają od drabiny kolejne postaci i wpadają do fosy. Krzyżowiec odrzuca kocioł, a ten toczy się z hukiem po murze. Lancelot i Bedivere odpychają drabinę, która osuwa się wzdłuż ściany i kończy swój upadek w fosie, tuż obok ciała rudowłosego Tristana.

Koniec to szturm.

Odparci na każdym odcinku Turkowie wycofują się przy wtórze bicia ogromnych bębnow. Bez drabin oraz tarana nie mogą liczyć na zdobycie murów czy złamanie bramy. Pozostawiają po sobie dwie setki zabitych współplemieńców i wracają do obozu przez spaloną równinę. Sztandary cesarstwa, chociaż poznaczone bliznami strzał, wciąż łopoczą dumnie z wysokości baszt.

*

Kiedy ucichł szcęk oręża i ulotnił się już bitewny amok, do głosu zaczęły dochodzić inne uczucia. Turecki książę przyjechał pod bramę twierdzy ze skromnym orszakiem, gotowy do rozmów z jednookim kapitanem cesarskiej armii, który dowodził tym odcinkiem murów.

Rycerz obserwował to spotkanie ze szczytu wieży, wsparty o parapet. Turek odziany był w lamelkowy pancerz, na którego powierzchni tańczyły złote błyski słońca, a na głowie miał smukły hełm z napoliczkami, zwieńczony kitą długich włosów z końskiego ogona. Siodło jego było bogate, rumak pod nim pierwszego sortu, zupełnie biały. Naprzeciwko wyjechał mu na karym wierzchowcu kapitan, z barkami okrytymi purpurowym płaszczem oraz w jasnej opończy okrywającej kolczugę.

Negocjacje nie trwały długo. Zawieszenie broni miało być w mocy do południa następnego dnia, aby dać czas na odpowiedni pochówek poległych w bitwie. Zwrócono Turkom wszystkie ciała, jakie pozostały w obrębie murów, a nawet dano kilka bosaków, aby wyłowili kompanów ze śmiercionośnej fosy. Do zmroku pod umocnieniami nie pozostały żadne szczątki, a tylko ciemne plamy oraz porozrzucane po przedpolu strzały i bełty zdradzały dramatyczny przebieg wydarzeń.

Na skromnym cmentarzu, przy ocalałym kościółku pod wezwaniem świętego Mikołaja, odbyło się ostatnie pożegnanie Bohorta oraz Tristana. Złożono ich w trumnach zbitych z koryt dla świń, twarze przykryto tarczami i zasypano suchą ziemią, przy wtórze psalmów śpiewanych przez dwóch armeńskich kapłanów. Na tyle starczyło sił pozostałym przy życiu rycerzom, zanim legli do snu na miejskich murach.

Stojąc na najwyższym piętrze baszty, Krzyżowiec zastanawiał się, co powiedzą o tych dwóch grobach nadchodzące pokolenia. Jak długo przetrwa pamięć o dwóch cudzoziemcach, którzy oddali swoje życie za cesarstwo, broniąc go przed najazdem Turków? Czy ktokolwiek odróżni ich skromne pochówki z tłumu płytkich dołów, jakie kopano w czasie zarazy? Być może za kilka wieków nikogo już nie będzie obchodzić to miejsce.

Turkowie dotrzykali słowa danego przez ich księcia i nie pojawili się pod murami twierdzy aż do kolejnego dnia. O świcie przyprowadzili pod bramę kilku jeńców, których puścili w ramach dobrej woli; przynieśli także wezwanie do poddania się garnizonu, w zamian za bezpieczne opuszczenie tych ziem. Jednooki kapitan odrzucił tę propozycję, ale nie omieszkał przy tym wymienić kurtuazyjnych gestów z tureckim wodzem.

Koło południa pod mury przybyło kilku znamienitych wojowników stepu, aby poszukać godnych siebie adwersarzy do pojedynku na miecze oraz szable. Chociaż wielu gotowych było wyjść im naprzeciw, z Krzyżowcem na czele, to furty pozostały zawarte. Przy tak miażdżącej przewadze liczb po stronie Turków głupotą byłoby szafować w takiej chwili bezcennym zasobem – życiem obrońców.

Tym samym rozpoczęło się właściwe oblężenie, które jak wiele mu podobnych, było zawodami raczej w wytrwałości oraz przebiegłości niż w sprawności oręża.

Oblegający zmagali się z brakiem żywności dla koni oraz ogromnej hordy. Na wypalanej równinie trudno było także o drewno, nie tylko na opał w czasie chłodnych nocy, ale i do budowy nowych drabin oraz taranów. Nie było wśród Turków sprawnych saperów czy cieśli, którzy wznieśliby dla nich oblężnicze beluardy czy kafary, toteż musieli liczyć na to, iż wobec głodu i pragnienia ukorzy się twierdza. Bez machin mogli jedynie dopilnować, aby nikt nie opuszczał linii umocnień w poszukiwaniu posiłku, i wysyłać furazerów do coraz odleglejszych ziem.

Po drugiej stronie murów liczono zaś na rychłą odsiecz, a dzięki obecności cesarskiej floty zaopatrzenie docierało do obozu stałym, chociaż wątłym strumieniem. Wyżywić przychodziło nie tylko walczących, ale i rzeszę cywilów, których armia miała wszakże chronić. Czarna śmierć i inne choroby, bez względu na strony konfliktu, rasę czy kraj pochodzenia zbierały obfite żniwo pośród ludzkiego gatunku.

Zakleszczone były te dwie armie: zbyt słabe, aby złamać przeciwnika, i za silne, aby zrezygnować z dalszej walki.

Nastały teraz długie godziny bezczynności, wlokące się niemiłosiernie pod szarym sklepieniem chmur. Jak kropla smoły płynął czas, ciągnąc za sobą słońce oraz księżyc po ciemnym niebie.

– Przeżyliśmy, ale zginiemy – powtarzał Weteran wesołym głosem, przechadzając się po murach, doglądając stanu umocnień albo odwiedzając załogi sąsiednich wież.

Mimo ran Bedivere wiele czasu spędzał na grobach poległych kompanów, modląc się za ich dusze. Rycerz słyszał, jak chłopak przeprosza na głos rodziców Bohorta, którym przyrzekł opiekę nad młodszym kolegą. Błagał ich o wybaczenie przez całe godziny, co w niewytłumaczalny sposób dawało mu siłę do dalszego życia. Coraz bledszy robił się Bedivere, jak upiór, lecz poważniejszy, zostawiając w grobie kolegi swoje dzieciństwo. Lancelota rzadko było widać poza posterunkiem.

Krzyżowiec trzymał straż ponad nocnymi godzinami, przechadzając się po fortyfikacjach w towarzystwie pręgowanej myszy. Gryzoń pojawiał się jedynie w księżycowe noce i zdawał się całkiem przyjaźnie nastawiony. Rycerz próbował przypomnieć sobie, kiedy po raz pierwszy zobaczył to zwierzątko, które zawsze zjawiało się wraz z delikatną wonią lasu oraz mchu, ale szybko porzucił te rozważania. Czujności wszystkich zmysłów potrzebował, aby dostrzec wroga na zalanej mrokiem równinie. Stamtąd dochodziły odgłosy miękkich kroków oraz pochrząkiwania dzikich zwierząt, wykopujących z popiołu i kurzu swoje pożywienie. Ciemności wyolbrzymiały te dźwięki, pobudzając wyobraźnię, kreując fantastyczne stwory wędrujące po nocnych pobojujowiskach. Czy dorównywały te wyobrażenia bezimiennym cieniem, jakie zamieszkiwały noc, czy też je przewyższały, tego nie wiedział

nikt.

Upłynęły tak cztery długie dni. Spokojne z pozoru, podszyte strachem przed nagłym szturmem. Turkowie czasami podjeżdżali w pełnym galopie pod same mury, aby wypuścić kilka strzał w stronę obrońców. Czynili tak chyba dla przegnania nudy, bo takim działaniem nie przydawali wiele frasunku garnizonowi. Był to rodzaj śmiertelnej gry i sprawdzianu odwagi. Dlatego kiedy Rycerz ubił konia pod jednym z nomadów, pozwolił oddalić się jeźdźcowi bez dalszej szkody.

O brzasku piątego dnia Turkowie odstąpili, kiedy ich zwiadowcy dostrzegli na morzu armadę cesarskich okrętów sunącą wzdłuż armeńskiego wybrzeża pod pełnymi żaglami. Wielka radość zapanowała na murach twierdzy. Krzyżowiec mógł już dostrzec, pomiędzy rzednącymi dymami wygasającego miasta, jak z obozu wyruszają do twierdzy świeże oddziały. Wraz z cesarską odsieczą nad ruinami pojawiło się w pełnej krasie słońce, zalewając promieniami złota wypalone zgliszcza. W jego blasku wspaniale prezentowały się setki żołnierzy Imperium, którzy przejmowali trud obrony murów z rąk wyczerpanego garnizonu.

Zdawszy służbę na ręce ogorzałego sierżanta, Krzyżowiec ruszył zaśmieconymi ulicami ku wybrzeżu. Wraz z nim do obozu wracali Weteran oraz dwójka pozostałych przy życiu rycerzy.

Upiornie wyglądały teraz opuszczone domy, wypalone okna oraz drzwi, zawalone dachy i zdruzgotane dachówki. Śmiertelny bezruch zaległ w tych murach, nawet najdrobniejsze zwierzę nie zakłócało spokoju tego cmentarzyska. Odgłos kroków ginął tutaj szybko, a rycerze milczeli, każdy pogrążony w swoich myślach. Krzyżowiec nawet nie próbował dochodzić tego, co może zaprzętać głowy towarzyszy broni. Ich to sprawa; on czuł tylko dumę płynącą z utrzymania tego posterunku chrześcijaństwa i z odparcia innowierców. Z chęcią pozostałby tutaj, aby wraz z cesarską armią pognać Turków. Wszak to oni przybywali w cudze granice i łupili je, pałac domy oraz ludzi. Być może należałoby im odpłacić ich własną monetą.

Rycerz przekroczył łuk południowej bramy, czując na czasce ożywczy dech morza. Marmurowa aleja była pusta. Aż do umocnionego obozu nie widać było ani jednego człowieka, żywego lub martwego. Puste oczodoły domów spoglądały teraz na rycerzy z wyrzutem, jakby ich winiąc za kataklizm tureckiej napaści. Rycerz nie wiedział, jaki jest los uchodźców, i nie chciał zbytnio tego dociekać, bojąc się poznać prawdę. Opoдал kościoła, gdzie znajdował się naprędce założony szpital, na belce wystającej na wysokości drugiej kondygnacji, wisiał jeden z medyków. Na szyi miał zaciśniętą pętlę, pod jego nogami zaś leżał bukiet czarnych kwiatów o zeschniętych liściach, tak żywo przypominających ludzkie czaszki. Czy było to dzieło nomadów, czy rozpaczy, Krzyżowiec nie umiał rozsądzić.

W obozie wciąż była moc ludzi, ale brakowało śladów po uchodźcach. W równych szeregach stały teraz namioty, palikami wyznaczono między nimi ścieżki, a przed niektórymi wejściami czekali służący zapowiadający gości. Pojawiły się także konie oraz zwierzęta pociągowe, dzięki którym sile łatwiej będzie uprzętnąć to, co pozostało z miasta. Na wybrzeżu leżały także rozmontowane maszyny wojenne, skorpiony i mangonele, które niedługo staną na basztach twierdzy.

Poszarpany namiot Guilhema de Islé stał tam, gdzie blisko tydzień temu, chociaż jakaś pomocna dusza poprawiła odciążki oraz śledzie. Kompania wsunęła się do wnętrza, a na przełamanie milczenia Weteran sięgnął po butelkę wina, ukrytą troskliwie pod szyszakiem cesarskiej piechoty. Wspomnił zmarłych, ale też perspektywę łatwej służby u boku cesarskiej armii. Teraz bez większego trudu można było u jej boku zbić nieco monety, a nawet zdobyć tytuły z rąk cesarskich namiestników. Później, gdy nieco więcej monet zadzwoni w kiesie, będzie można dopełnić krucjatowych ślubów. Tak mówił Weteran, nie bez racji, przekonując swych młodych kompanów.

Ponad wejściem wciąż wisiała pocięta tarcza z herbem Artura, co zatrzymało na chwilę Krzyżowca przed namiotem. Zabawny wydał się Rycerzowi ten widok, kiedy wspomniawszy, iż tygodnie temu własnymi oczodołami spoglądał na grobowiec króla wszystkich Brytów. Żywa była jego legenda, mówiąca o chwale oraz odwadze, o braterstwie broni oraz wielkich czynach. Długo jeszcze będą krążyć po

świecie te wersy, inspirując kolejne pokolenia słuchaczy.

Oby nigdy nie zaginęły rycerski honor i oddanie.

Krzyżowiec zatrzymał myśli na tym ostatnim słowie, dotykając okaleczoną dłoń wyszytego na tunice krzyża. Winien jest dokończyć to, co zaczął głos w jego czaszce. Tamten człowiek nie ugiął się pod brzemieniem ślubów, jakie złożył w Clermont, u stóp papieża Urbana. Z oddaniem wypełnił swoje przyrzeczenie, na ołtarzu składając własne życie w ofierze. Czy Rycerz mógł powiedzieć o sobie coś podobnego?

Ruszył zatem do portu, spojrzeniem przesuwając po zakotwiczonych tu okrętach. Mrowie ich było, on szukał jednego małego stateczku, który malutką łupiną zdawał się przy cesarskich galerach. Małą trzymał w sercu nadzieję, iż ją znajdzie pośród gęstwiny masztów oraz takielunku, ale nie chciał szukać jeszcze innej drogi przez morze ani ruszać na piechotę przez Cylicję i Antiochię do Jeruzalem. Dlaczegoż szyper miałby czekać na niego, dla obcego wstrzymywać swój rejs, bez którego nie zarobi na chleb? Nie było ku temu żadnego powodu, prócz danego przez Anglika słowa. A jednak – u boku ogniomiotnej dromony stała Gąska.

Spojrzał jeszcze za plecy Rycerz, uśmiechając się nieco na myśl o Weteranie oraz kompanii, ale już ruszył zwawym krokiem przez złączone ze sobą kadłuby galer. Wszystko, czego potrzebował, miał przecież na sobie. Nie było sensu czekać ani chwili, kiedy zbawienie duszy z tak bliska wołało ku niemu. Po raz pierwszy od długiego czasu szczęście dodawało lekkości jego krokom, nieomal unosząc go do biegu.

Gąska kiwała się lekko na fali.

Mimo niedawno przebytego sztormu jej kadłuba nie szpeciły już długie pęknięcia, które zdawały się zrastać jak skóra na żywej istocie. Rycerz pogłaskał deski statku, który tak dzielnie stawił czoła gniewnemu żywiołowi. Kiedy tak stał, palcami muskając drewno, na deku pojawił się Ju. Grek chrupał nieśpiesznie pomarszczone jabłko, a zobaczywszy Krzyżowca, obrócił się do kogoś na pokładzie, po czym wyrzekł ze śmiertelną powagą:

– Panie kapitanie, widzę tutaj jakąś lądową łajzę. Jest uzbrojona i maca pański statek.

Obok żeglarza pojawiła się wysoka postać szypra. Zgruchotane ramię wciąż tkwiło na temblaku, ale pokaleczona twarz goiła się szybko, posmarowana ciemną maścią.

– No proszę, mieliśmy wczoraj wypłynąć, ale Ju cały czas płakał za tobą, tośmy czekali – powiedział Anglik, uśmiechając się pod brodą. – Widzę, żeś cały i zdrowy, chociaż wciąż niezbyt zamożny. Obiecałem, że dowiozę cię na Cypr, ale obrazisz się, jeżeli zamiast tego popłyniemy wprost do Aszkelonu?

Krzyżowiec natychmiast przystał na propozycję, wchodząc na pokład. Żałował, iż nie ma czym odpłacić szyprowi za jego hojność. Wielki był to dla niego uśmiech Fortuny, bo Aszkelon leżał na wybrzeżu Królestwa Jerozolimy, niedaleko już od świętego miasta. Ledwo kilka dni, może tydzień był Krzyżowiec od kresu swej podróży.

– W Limassol dosięgły nas wieści, że Saladyn maszeruje z Egiptu na Jerozolimę, a król Baldwin zbiera swoje siły w Aszkelonie – powiedział szyper, ściskając dłoń Rycerza. – Wieziemy tam nieco zapasów, żebyś nie myślał, że specjalnie dla ciebie się fatygujemy taki szmat wody. Jeżeli dopiszą nam wiatry, dotrzemy tam przed Saracenami.

*

Dopiero w pierwszych godzinach popołudnia wydano pozwolenie, aby Gąska odrzuciła cumy i wyruszyła ku morskemu przestworowi. Przyjemnie było Rycerzowi znów poczuć pod nogami łagodne kołysanie, a w dłoniach dzierżyć liny podczas rozwijania trójkątnego żagla. Chociaż w mieście Krzyżowiec pozostawiał dzielnych towarzyszy broni, nie żałował swojej decyzji i nie spoglądał ponad ramieniem na

armeńskie wybrzeże.

Stał na dziobie, obok rzeźbionej w drewnie gęsiej głowy, wpatrując się w spokojny lazur wody. Przed nim najkrótsza droga ku Ziemi Świętej: miejsca, gdzie róże oplatają miecze krzyżowców, aniołowie stąpają pośród śmiertelników, a wszelkie grzechy można zmazać żarliwymi modłami u Grobu Pańskiego.

ROZDZIAŁ VIII

Przystań Aszkelonu była prosta, pozbawiona falochronu, który strzegłby zakotwiczonych jednostek. Statki cumowały wprost do kamiennego nabrzeża, objętego ramionami miejskich umocnień. Starożytne mury od niezliczonych stuleci spoglądały ze szczytu wzgórza opadającego stromą skarpą w błękit Mare Nostrum. Wiekowe było to miasto, pokryte żółtym pyłem pustyni, które wiecznym zdawało się dla ludzi. Może dlatego gorączkowy ruch zebranej tu armii zdawał się czymś niemalże nagannym. Zbrojni byli wszędzie, a w powietrzu ścierały się i łamały głosy Egiptu, Grecji, a także ku radości Krzyżowca łaciny oraz Okcydentu. Ta mieszanek dialektów z Francji, Normandii, Prowansji, Sycylii, Lotaryngii oraz każdej chyba krainy Zachodu niechybnie wskazywała na obecność jerozolimskiej armii.

– Tym razem rozstajemy się na dłużej – rzekł szyper, zanim Rycerz zstąpił na ląd. Anglik spojrział raz jeszcze na Graala zdobiącego opończę Krzyżowca. – Obyś znalazł to, czego szukasz. Do tego czasu niech święty Jerzy ma cię w opiece. Bywaj.

Krzyżowiec ruszył po nagrzanym od słońca nabrzeżu, kroki kierując ku portowej bramie, nad którą powiewała jasna flaga w barwach Królestwa Jerozolimy. Tutaj Rycerz czuł się wreszcie na miejscu, ze swoją poparzoną skórą i gorejącymi oczodołami.

– Nie zapomnij! – zawołał jeszcze Ju, przekrzykując portowy zgiełk. – Nie zdejmuj hełmu, boś piękny i gładki!

Miasto było duszne, suche i wypalone bezlitosnymi promieniami. Zatłoczone ulice zasłonięte były markizami, dającymi nieco wytchnienia od lejącego się z nieba żaru. Domy tutaj stawiano dwupiętrowe, o wąskich korytarzach i małych okienkach w pokrytych gliną ścianach. Z tych otworów uchodził miły chłód nocy, wstrzymany za grubymi ścianami. Wszyscy na ulicach ubrani byli w długie szaty, zazwyczaj w naturalnym kolorze lnu, częste też były zawoje, chroniące głowy przed słonecznym porażeniem. Na placzkach, skrytych w cieniu drzew, odpoczywali mieszkańcy oraz żołnierze w wielokolorowych liberjach, tworząc pstrokaty tłum. Zdawał się on nie zwracać uwagi na zbliżającą się wojnę. Życie toczyło się dalej, w rytm uśmiechów, słów i spojrzeń, jakie towarzyszyły każdej upływającej chwili.

Pozorny to spokój, jak cienka tafla lodu przykrywająca bystry nurt, gotowy porwać człowieka. Panikę było czuć w Aszkelonie. Mieszkańcy miasta niezbyt radowali się z tysięcy skoszarowanych tu zbrojnych; wszak zwiastun to wojny, spalonych sadów oraz pól. Objadała ta szarańcza spichlerze, choć płaciła za jado i napoje, co zmuszało mieszczan do uśmiechania się, czasami nawet szczerze. Cóż jednak z tego bogactwa, jeżeli nadejdzie kataklizm, który zrówna z ziemią całe miasto? Nie było to jedynie widmo odległej przyszłości; pełzała po ulicach wieść o nadchodzącej armii, która rzuci na kolana Królestwo Jerozolimskie.

Z nieufnością patrzono na beduinów, którzy kroczyli po ulicach, nie wiedząc, czego można spodziewać się po tych pustynnych wędrowcach. Odziani w ciemne szaty, turbany oraz czerwone pasy, spoglądali na świat gorejącymi oczyma osadzonymi w złuszczonej skórze, podobnej do tej, jaka okrywa głowy jaszczurek. Wysoki to lud, zaprawiony w twardym życiu na morzu piachu, małomówny i wybornie posługujący się nożem oraz oszczepem. Gigantami zdawali się pośród ulic Aszkelonu w swych obfitych

szatach, poruszając się w niezbyt ludzki sposób i zza przymrużonych powiek ciskając groźne błyski wobec każdego, kto zbyt długo im się przyglądał. Nie stali po stronie Łacinników, tak samo jak nie sprzyjali braciom w wierze Saracenom. Krążyli po świętych dla nich piaskach pustyni, zawierając jedynie przygodne sojusze. Czasami przybywali do miast, aby sprzedać dzieła swych rąk bądź zdobycze wojenne.

Rycerz zawędrował aż pod cytadelę miejską, gdzie dostrzegł królewskie barwy, spływające wstęgami długich proporców z wysokości murów. Niełatwo przyszło porozumieć się Krzyżowcowi najpierw ze strażnikami, a później z sędziwym kasztelanem, lecz koniec końców dopiął swego i zaprowadzono go przed oblicze pana Ramli, który właśnie dokonywał obchodu stajni ze swym skrybą.

Spotkał go Krzyżowiec na niewielkim placu, dwoma ścianami przylegającym do kamiennego muru cytadeli. Oparty o cembrowinę studni, z kielichem w dłoni, stał profilem do Rycerza, zajęty wesołą rozmową ze swym kompanem, który na moment odłożył pergamin i raczył się winem. Balian, suweren zamku Ibelin, był wysokim szlachcicem, urodzonym już w Outremer, co zdradzały oliwkowa cera oraz kościane białka oczu. Wszyscy zrodzeni tutaj ludzie mieli źrenice osadzone w tej rogowej obsadzie, którą wysysali z mlekiem matki. Falujące włosy opadały mu na ramiona ciemną kaskadą, stanowiąc najlepsze ramy dla mocnej twarzy, zdradzającej charakter i cnoty godne króla. Na jasnej tunice szlachcic nosił herbową tarczę z czerwonym krzyżem wpisanym w złote pole.

Kasztelan wyłożył prośbę przybysza, która znalazła u ciemnowłosego Baliana pełną aprobatę. Ibelin zaofiarował się wyposażyć Krzyżowca do walki, a także obiecał mu miejsce pod własną chorągwią, która zwykła stać u boku królewskiego hufca na bitewnym polu.

– To wielki honor mieć u boku pierwszego z krzyżowców, choć przyznam, jestem nieco zaskoczony. Nie miałem pojęcia, że krązycie jeszcze po ziemi – powiedział Balian miłym, niskim głosem, wpadającym w delikatne drżenie przy końcu długich słów. – Szkoda jedynie, żeście związani milczeniem, bo zapewne nie brakło wam fantastycznych przygód przez te wszystkie lata. Z wielką chęcią bym o nich posłuchał.

Po raz wtóry Rycerz zgiął się w ukłonie, pod pachą trzymając swój wysłużony hełm. Mimo iż pochlebstwo połechtало jego dumę, to radował się z tej wymuszonej przez ciszę pokory. Tygodnia by nie stało, aby wszystko opowiedzieć dokładnie, a Krzyżowiec nie miał choćby krztyny ochoty na powrót do długich tygodni wędrówki, w opowieści przeżywanych na nowo. Musiałby opowiedzieć o tym, ile monet zabrał za morderstwo chłopaka z Florencji i dlaczego odebrał życie najemnikom w górach Lombardii; musiałby to rzec albo kłamać, kolejnym grzechem kalając swoje sumienie. Jakże cudownym wybawieniem z tej sytuacji było milczenie!

Wszak czyż nie jest ono złotem?

– Wybaczcie, że nie poświęcę wam wiele czasu, ale obowiązki naglą. – Balian skłonił się z szacunkiem, po czym zwrócił się do koniuszego: – Amalryku, zaprowadź naszego milczącego gościa na kwatery, a następnie wróć tutaj.

Idąc u boku rycerza z Outremer, Krzyżowiec słuchał o kolejach losu, jakie nawiedzały państwa Łacinników w ostatnich tygodniach. Królem był młody, ledwo szesnastoletni Baldwin, czwarty władca Jerozolimy, który przyjął to imię. Mimo niewielu lat na karku rozważny to młodzieniec, wzrokiem sięgający daleko poza swój skromny wiek. Wychowanek Wilhelma z Tyru, ale nawet tak wspaniale nasienie toczyła już tortura i choroba. Nie zaraza, która zjawia się szybko i zbiera czym prędzej swój plon, ale cierpliwy trąd pożerał ciało króla, i to od najmłodszych lat. Skazany na przedwczesny zgon był ten nastoletni monarcha, a mimo tego gotów był wystąpić przeciwko Saladynowi, którego odwadze dorównywała jedynie prawość.

Do Aszkelonu poprowadził swą armię Baldwin, na granicy chcąc wstrzymać Saracenów albo wciągnąć ich w oblężenia nadmorskiego miasta, gdzie czas będzie działać na korzyść Łacinników. Pomimo wezwania do boju nie wszyscy wasale zjawili się u boku króla. Największą stratą był brak

zakonu templariuszy, którzy mieli przyprowadzić dwie setki rycerstwa wraz z serwiensami oraz gośćmi zakonu. Stali beczynnymi w Gazie, oddzieleni od królewskiego sztandaru pierścieniem oblegających wojsk; król posłał do nich pocztowe gołębie, lecz do tej pory Aszkelon nie miał żadnych wieści z Gazy.

Słaba była armia Baldwina. Pięć setek rycerzy, garść sierzantów oraz giermków, lotne oddziały turkopoli i kilka tysięcy piechoty, w przeważającej większości lekkozbrojnej. Szósta to zaledwie część armii Saladyna, który samych ghulamów wraz z mamelukami zgromadził tyle, ile głów liczyła armia Jerozolimy. Chociaż król sprowadził ze sobą relikwie Prawdziwego Krzyża, coraz więcej ludzi zdawało się mówić, iż lekkomyślnie wprowadził ludzi w potrzask, zamykając armię w murach Aszkelonu i pozwalając Saracenom zniszczyć ją w jednym, druzgocącym uderzeniu.

*

Krzyżowiec stał w oknie, oparty o rzeźbioną w kamieniu balustradę, spoglądając ku ciemnym ścianom cytadeli. Cykady wypełniały jazgotem chłód nocy i nie pozwalały wielu nienawykłym do ich koncertów zaznać odpoczynku. W jednej z komnat na wysokich piętach fortecy wciąż płonęły świece. Okna to królewskiej sypialni, gdzie młody Baldwin bił się ze sobą, próbując przeniknąć myśli adversarza i podjąć właściwą decyzję. Cóż powinien uczynić w tej chwili? Rozpocząć pertraktacje ze słabej pozycji, poddać się czy trwać za obronnymi murami? Ofiarować Saladynowi złoto, fortece graniczne i porty, aby tylko ocalić Święte Miasto? Jak nie upaść pod brzemieniem tej decyzji, złożonej na wątłe barki szesnastolatka, którego ciało gniło za życia?

Nawykłszy do swobody Rycerz po raz pierwszy gotów był zawierzyć swój los w ręce innego człowieka i już czuł chłodny dotyk wątpliwości; ledwo kilka godzin po przybyciu do Ziemi Świętej. Ironiczny zdawał mu się fakt, iż pół świata przebył, aby stanąć w obronie Outremer przed innowiercami i zmasakrować swe grzechy, a teraz, gdy dotarł wreszcie do Ziemi Świętej, biernie czekał, kładąc głowę pod topór saraceńskiej armii. Im bliżej Jeruzalem, tym więcej stał w miejscu, a ledwo dwa dni marszu od Grobu Pańskiego. Teraz zaś nie był nawet pewien, czy nie na wyrost okazało się jego pragnienie bitwy wobec tak możnego przeciwnika. Wszak nie tylko w Outremer można rozlewać krew innych, ku swej ponurej uciechu; można to czynić w każdym innym miejscu, wybierając bitwy z góry wygrane ze względu na stosunek liczb.

Niepotrzebne teraz wydawało mu się opowiedzenie po stronie trędowatego króla. Tutaj potrzeba było tysięcy lanc, a jaką Rycerz będzie stanowić różnicę, kiedy dojdzie do walki? Nie stawał tutaj naprzeciwko Turków, ale wobec Saracenów. Lud to biegły w oblężniczej sztuce, nieustępujący w tym Łacinnikom czy cesarstwu. Trwanie przy królu było drogą ku zgubie, co Krzyżowiec widział z doskonałą klarownością. Armia Wenecji, której towarzyszył Rycerz przez te kilka dni, lepsza była pod względem pogłowia, a i dysponowała machinami wojennymi oraz eskadrą galer.

Z rozczarowaniem pomyślał Krzyżowiec, iż jako człowiek niezwiązany wasalnym hołdem z trędowatym Baldwinem rozsądniej by uczynił, jeżeli opuściłby teraz Aszkelon.

W oknie, na które spoglądał Krzyżowiec, pojawiła się ciemna sylwetka, odcinająca się na tle migotliwego ognia. Nie widział Rycerz jej twarzy, ale pewien był, iż spogląda gorejącymi oczodołami na króla, a ten odpowiada mu długim spojrzeniem. Jeden z nich dumał, jak daleko może poprowadzić swych ludzi, drugi zaś – jak daleko z własnej woli podąży za takim przewodnikiem.

*

O świcie Rycerz wyjechał z miasta na grzbiecie siwego rumaka, którego otrzymał w prezencie od Baliana z Ibelinu. Chciał sprawdzić, jak prowadzi się ta bestia, zanim przyszyłoby mu jechać na jej grzbiecie do walki. Narowisty był to wierzchowiec, pełen gorącej krwi, co zresztą tłumaczył klimat. Soudos, bo tak

nazwano siwka, był ognistym stworzeniem, nie mniej niebezpiecznym dla jeźdźca, co dla wroga. Mimo lekkości biegu oraz niespożytej energii nowego wierzchowca Krzyżowiec wolałby jechać na grzbiecie ulubionego kasztanka. Ten tutaj siwek mógł być idealnym wyborem do bitwy, jak najlepsze z narzędzi do wykonania pracy, a kasztanek był kimś więcej.

Popędzał więc Krzyżowiec rumaka do biegu, pozwalając unieść się w szalonej galopadzie po wyschniętej skorupie ziemi. Mijał szpalery daktylowych palm i pola słodkiej trzciny, pochylające się na wietrze, szumem wypełniające przerwy między uderzeniami kopyt o pylistą drogę. Rycerz mknął pośród zalanych słońcem wiosek, pomiędzy żółkłymi pagórkami, za plecami zostawiając chmurę jasnego pyłu. Zatrzymał siwka na szczycie nagiego, kamienistego wzgórza i mógł wreszcie spojrzeć na Ziemię Świętą w całym jej majestacie.

Sucha i surowa to kraina. Naznaczona kontrastem nagich skał i bujnej zieleni, porastającej brzegi rzeki oraz źródła oaz. Linia wybrzeża porośnięta była zblakłą gęstwiną krzewów oraz traw, skrywających w skalnych zatokach rybackie przystanie. Teren szybko wznosił się w głąb lądu, żebrami zwietrzałych wzgórz unosząc się ku Judei. Ich stoki miały barwę żółtej gleby, okrywającej cienką warstwą skalisty kościec Outremer.

Znał dobrze Rycerz wyschnięty pył, z którego wzrastały plony tej krainy. Zeskoczył z siodła i uniósł garść ziemi do oczodołów, patrząc, jak między palcami wycieka najpierw kurz, luźne ziarna, a później gleba, pozostaje mu w dłoni tylko żwir oraz kostny pył. Każdy krok w Ziemi Świętej był stąpieniem po szczątkach, tak długo miażdżonych przez żywioły, aż pozostał po nich jedynie biały piach. Z winogron, jakie wzrastały w Outremer, wyciskano wino o smaku krwi: jedyny chyba smak, jaki wciąż rozpoznawał Krzyżowiec. Rzadki to przywilej zakosztować tego trunku, ponieważ gdy opuszczał on granice Ziemi Świętej, przemieniał się w zwykłe wino, jakich wiele w świecie. Pod stopami głęboko zagrzebane leżały zwoje czarnych cierni, rozciągających się pod całym Outremer. Żadnej krzywdy nie czyniły im kilofy czy ogień. Trwały w ciemnościach nienaturalne węzowiska, zamarte w bezruchu, pozostając zagadką dla ludzi, którzy woleli pozostawić je w pokoju. Niebezpiecznie byłoby zakłócić spokój cierniowej korony otaczającej Jeruzalem.

Nie ma nic groźniejszego niż cud, a cudem jest Ziemia Święta.

Rycerz spojrział na kościany pył, jaki powoli przesypywał się między jego palcami. Tyle zostanie z niego po śmierci; nieważne, czy stanie do walki, czy umknie jak tchórz. Oto los każdego człowieka: garść kurzu, niewarta nawet talerza kasztanów, jak mawiało się w Langwedocji. Krzyżowiec strzepnął resztki gleby z ręki, wspominając słoneczne dni, które spędził opodal Fanjeaux, pod Jaskółczą Skałą. Panna Aude przynosiła mu kasztany w drewnianej misce, którą własnoręcznie jej wymalował w żółte i czerwone kwiaty. Dziwne to wspomnienie, tak nagle prowadzące go z myśli o śmierci wprost ku wdzięcznemu obrazowi życia.

Mógłby teraz wskoczyć na siodło i pognać na północ, wzdłuż wybrzeża; uciekać ku życiu, zachowując na dłużej tę namiastkę egzystencji. Dać sobie drugą szansę na zebranie tych słodkich wspomnień. Nie musi przecież umierać teraz; za rok czy dwa lata pora na śmierć będzie równie miła.

Skąd ta pokusa i słabość, drażące jego postanowienie od poprzedniego wieczora, Rycerz nie był w stanie dociec, ale odrzucił podszepty. Wszak nie pamiętał już głosu niewiasty ani koloru tamtej zieleni, ani smaku kasztanów. Takie życie było mu obce, a z kostuchą szedł ręka w rękę, jak brat z siostrą.

Krzyżowiec wspiął się na grzbiet siwka i ruszył na powrót do Aszkelonu. Na pożółkłym od słońca pagórku zostawiał tchórzliwe podszepty; niech tam wyschną i skonają. Dać zmielić własne kości na proch w walce to była pokusa, jakiej gotów był ulec.

*

W mieście wciąż panowało oczekiwanie na wielkie rozstrzygnięcie.

Na równinie pod Aszkelonem kłusowali ciężkozbrojni, ramię przy ramieniu, utrzymując równą linię pochylonych lanc. Łopotały na wietrze wielokolorowe kropierze rycerstwa Jerozolimy, a szybki krok podkutych koni wprawiał ziemię w drżenie. W trzech szeregach po czterdziestu jechali rycerze, całymi formacjami czyniąc zwroty, utrzymując dyscyplinę tak ścisłą, iż ich nagolenice nieustannie ocierały się o strzemiona sąsiednich zbrojnych. Kuszownicy oraz łucznicy wprawiali się w strzelaniu do celu w wyschniętym torze fosy, prowokując jednocześnie szereg zakładów, a tym samym ożywiali nieco atmosferę na murach.

Miasto starało się żyć tak, jak każdego innego dnia, lecz każda sylwetka pojawiająca się na południowym gościńcu sprawiała, iż zimna fala niepokoju przetaczała się ponad murami. Strażnicy przysuwali bliżej siebie kusze, przy bramie napinano łańcuchy, w każdej chwili gotując się do zawarcia wrót przed nagłym szturmem. Rolnicy, kupcy, pielgrzymi oraz zwykli mieszkańcy Aszkelonu zamierali na ulicach, starając się dociec, czy nadszedł już ten dzień, kiedy całe ich życie zależeć będzie od grubości murów oraz bitności garnizonu. Być może to zwiadowcy powracali z nowinami albo templariusze wycięli sobie drogę z Gazy w oblegających ją szeregach i oto zjawiali się w krwistej chwale?

Próżna jednak to nadzieja, bo ci samotni jeźdźcy pod Aszkelonem nie służyli pod sztandarem Jerozolimy. To były pierwsze forpocztę saraceńskiej armii. Jęk zawodu poniósł się pośród chrześcijan, bo znaczyło to, że albo Gaza upadła, albo siła Saladyna była tak wielka, iż gotów był on pozostawić za plecami obsadzone miasto bez lęku o atak. Ponure to wieści, a niewiele mogli zrobić zamknięci w Aszkelonie ludzie – tylko czekać. Jedynie beduini bez strachu opuszczali krąg murów, niknąc w oddali; ci nie lękali się ciemności nadchodzącej nocy.

Zazdrość trawiła Rycerza, kiedy patrzył na niknące punkciki nomadów. Tutaj czuł się jak ofiara, która zastygła w bezruchu i liczyła, iż w ten sposób zmyli drapieżnika. Wiedział także, jak beczynność wpływa na morale ludzi. Złamać bojowego ducha to równie pewny sposób pokonania wroga jak otwarta bitwa czy choroby oraz głód. Każdy dzień oznaczał kolejne ofiary zarazy oraz dezertorów, którzy umknęli przed wojowniczą reputacją Saladyna.

Krzyżowiec obserwował z murów, jak miasto sposobiło się do nadejścia nocy. Zamykano bramy, obsadzono całą długość fortyfikacji, wydano broń chętnym do walki mieszkańcom; rozpalono ognie pod garncami smoły, a kilku dzielnych ludzi gotowych było do szaleńczej misji spalenia opustoszałego przedmieścia, aby nic nie pozostawić nadciągającym Saracenom. Rozkaz ten jednak wstrzymuje u siebie sam król, chcąc oszczędzić budynki, przynajmniej do czasu, aż nie pozostanie mu jakikolwiek inny wybór. Słyszając, jak ta wieść obiega posterunki oraz domy, Rycerz zaczynał pojmować, dlaczego z takim szacunkiem mówiono tutaj o swoim władcy. Baldwin był młody i naznaczony tragedią, budził podziw oraz współczucie, a dźwięk jego imienia przywracał armii odwagę. Ludzki był w swym królewskim majestacie.

Noc zapadła ciemna, pozbawiona światła księżyca i gwiazd, skrytych za chmurami. W mroku, stojąc pomiędzy kusznikami z Tolosy, Krzyżowiec wsłuchiwał się w ciemność. Najpierw dochodziły go jedynie szum morza oraz stłumione rozmowy ludzi na murach; za plecami rozlegały się czasami trzask zamykanych drzwi czy szczekanie psa, ktoś wołał wina, a kto inny chrapał donośnie, śpiąc na dachu swego domostwa. Zwykłe to odgłosy nocy.

Dopiero po długim oczekiwaniu zaczął łowić z ciemności wrzawę nadciągającej armii. Zrazu był to jedynie odległy szum, jaki można by pomylić z odgłosami spokojnego morza albo szelestem lekkiego deszczu. Z czasem nabierał on mocy, a to, co ucho brało za delikatny szum, było w istocie nieprzerwanym grzmotem dziesiątków tysięcy ludzi maszerujących przez noc. Towarzyszyło im skrzypienie niezliczonych w mroku wozów taborowych oraz juczych zwierząt, wypełniających powietrze nie tylko hałasem, ale i zapachem. Do murów Aszkelonu docierała intensywna woń potu, łoję oraz ekskrementów, jakie pozostawiała po sobie czworonożna hurma. Rycerz odróżniał nawet charakterystyczny zapach wielbłądów, który wprawiał konie w niepewność, a czasami płoszył je zupełnie.

Godziny mijały, a łoskot stale przybierał na sile. Zdawałoby się, iż Saraceni wcale nie gotują się do oblężenia Aszkelonu, a bez wytchnienia maszerują przed siebie. Ognie, które ze sobą nieśli, przydawały im wyglądu upiornej armii, która powstała z grobów, aby raz kolejny stanąć na bitewnym polu. Szeptali o tym stojący na murach strzelcy, na co Rycerz jedynie uśmiechnął się w mroku. Kiedy zdobywał Jerozolimę wraz z pierwszymi krzyżowcami, u ich boku zjawił się widmowy zastęp sformowany z ludzi, którzy wyzionęli ducha, nim ujrzeli Święte Miasto. W niczym nie przypominali Saraceni tamtych ożywieńców.

Do świtu mury Aszkelonu nie doczekały się szturm, a wojska Saladyna zniknęły wraz z mrokami nocy. Dokoła murów pozostały niewielkie oddziały Saracenów, mające wstrzymać królewską armię w obrębie fortyfikacji. Mogło ich być nie więcej niż dwa tysiące włóczni, ale wystarczająca to siła, aby uniemożliwić opuszczenie wąskich przesmyków miejskich bram. Wtedy dotarła do obrońców straszliwa prawda, iż na Jerozolimę maszerowali żołnierze pod zielonymi chorągwiami. Bez trudu przyjdzie im wspiąć się na niebronione mury i zadać druzgocący cios w samo serce królestwa. Nie bez racji założył przywódca Ajjubidów, iż rozproszone rycerstwo zamknie się w fortcach, gotowe przeczekać burzę w tych górskich gniazdach, wznoszących się na wyschniętych pustkowiach.

Rycerz już miał ponownie zmierzyć się z wątpliwościami, jakie niosła mu bezczynność, kiedy miasto rozbrzmiało dziesiątkami rogów. Krzyżowiec wyprostował się nagle jak struna, a jego oczodoły zapłonęły mocniej.

To wezwanie do wyprawy w pole.

Szczęśliwy dzień! Na horyzoncie pojawiły się srebrne i czarne proporce templariuszy, którzy rozdarli pierścień saraceńskich obozów pod Gazą, aby stanąć co rychlej u boku króla. Prowadził ich sam Wielki Mistrz, a za nim zjawiło się półtorej setki zakonnych braci oraz konny zastęp serwiensów i młodszych braci. Widząc to, Saraceni nie zamierzali dłużej trwać między młotem rycerstwa Świętyni a murami Aszkelonu. Uchodzili czym prędzej na wschód, aby zawrócić na południe, ku Synajowi oraz ojczyźnie.

Zgromadzeni na murach ludzie z niedowierzaniem słuchali, jak trębacze ogłaszali zbiórkę, a na ulicach zjawili się heroldzi w liberiach swych panów. Za nimi maszerowali chorążowie, zmierzając przez wschodnią bramę, aby na podmiejskim polu wyznaczyć miejsca zbiórki poszczególnych hufców. W stuporze trwali żołnierze Królestwa Jerozolimskiego, nie mogąc zrozumieć tego szaleństwa, ale posłusznie ruszyli, aby zabrać ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy. Rozkazy szybko niosą się pośród siedmiu tysięcy głów, tak brutalnie obudzonych z nocnego spoczynku. Tabory mają być lekkie, załadowane orężem, aby odciążyć piechotę; niewiele zabierać ze sobą jedzenia, a żadnych zbędnych ciężarów nie brać pod surowym zakazem. Król Baldwin zamierza ruszyć w pościg i zaatakować Saladyna w otwartej walce. Pomieszania zmysłów się dopatrywali niektórzy w tej decyzji, inni podobieństwa do Dawida, którzy obalił Goliata z Filistynów.

Uskrzydłony wysokimi nutami zbiórki oraz straceńczą odwagą króla Rycerz pognał ku cytadeli, aby przysposobić się do walki. Soudos był już osiodłany, podobnie jak i inne konie należące do rycerstwa z Ramli. Najwyraźniej Balian nie był zaskoczony decyzją trędowatego monarchy. Tym szybciej zjawił się Krzyżowiec pod złotem i czerwienią barona z Ibelinu na grzbiecie siwka. W poparzonej prawicy ścisnął włócznię, plecy okrył długą tarczą, u siodła zaś spoczywał bojowy topór o dębowych trzonku, a krwiożerczy miecz Rogera d’Melfi ciążył mile przy boku. Tego właśnie dźwięku potrzebował Rycerz, aby obudzić swego niespokojnego ducha, żadnego ofiary z pokonanych wrogów. Do życia przywróciło go to wezwanie, raz jeszcze zapalając w nim jasny ogień krzyżowego zapału. Mocno teraz gorzał w nim ten płomień, coraz szybciej trawiąc czas, jaki pozostał mu na tym świecie. Nie żałował już niczego; walczyć i ginąć za Jerozolimę – oto los krzyżowca.

Miasto porzuciło strach, w jednej chwili otrząsając się z osłupienia na rzecz gorączki przygotowań. Nawet wojacy, którzy całą noc spędzili na murach, teraz ruszali pod senioralne flagi, zapominając

o zmęczeniu. Stawiły się zastępy Galilei oraz Trypolisu; setki lekkiej piechoty, okrytej ledwo bawełnianymi kaftanami, z włóczniami oraz toporami jako orężem. Niektórzy mieli nawet metalowe hełmy, sierżanci szczylicili się płaszczami kolczymi oraz pancernymi kapturami. Niewiele lepiej uzbrojeni byli piechurzy z Tyberiady i Zajordanii. Bogatsze wyposażenie miały hufce z północy królestwa, zakute po czubek głowy w kolczugi, z pełnymi hełmami, najeżone pikami, glewiami oraz toporami. Ich twarze na stałe stopiły się z pancernymi zasłonami na czaszkach, stając się ich nową skórą. Dłonie o zrosniętych palcach nie mogły już chwycić innego przedmiotu jak oręż. Do armii dołączyła także gromada trędowatych, porośniętych bliznami oraz ranami, którzy gotowi byli podążyć za królem do walki. Im niewielką czyniło różnicę, czy choroba pozbawi ich życia tutaj, czy padną na polu walki. Uzbrojeni w łachy oraz maczugi, niosąc na okaleczonych plecach tobołki z okruchami jedzenia, Ignęli do królewskiego sztandaru. Masa to była wojska, tysięcznym tłumem zalegająca pod Aszkelonem, ale niekarna. Może i był w niej zapał, lecz dobra wola jeszcze nigdy nie ochroniła nikogo przed ukąszeniem czarnopiórej strzały.

Nawykły do wojennego rzemiosła Krzyżowiec z niejakim zawodem liczył formacje, jakie mogły stawić godny opór Saracenom. Rycerstwa było kilka setek, drugie tyle giermków oraz konnych sierżantów, siedem tuzinów zbrojnych braci od świętego Jana i hufiec templariuszy, którzy pozostawili za plecami obleganą Gazę; spośród strzelców wyróżniali się kusznicy z Tolosy. Jeżeli by dodać do tego miejscowych konnych, zbrojnych we włócznie i łuki turkopoli, walczących na modłę nomadów, można by zbierać piętnaście setek solidnego wojska.

Taką oto siłę poprowadził trędowaty król Baldwin, szesnastolatek otoczony zbrojnym hufcem doradców oraz nadwornych rycerzy. Za plecami monarchy, na szerokim wozie, jechał owinięty białym całunem relikwiarz, uformowany na kształt ogromnego krzyża, wysokiego na piętnaście stóp. Zawierał w sobie najcenniejszy skarb Królestwa Jerozolimskiego, części Prawdziwego Krzyża, na którym umarł Zbawiciel. U boku relikwiarza maszerowało grono kapłanów, wyschniętych szkieletów, żywiących się jedynie chlebem oraz krwawym winem Outremer.

Krzyżowiec jechał na czele kolumny, tuż za orszakiem króla, wraz z rycerskim hufcem Baliana z Ibelinu. Z całkiem bliska mógł oglądać ogromny relikwiarz, kiwający się na wybojach drogi. Niepokojem napawał go ten odłamek drewna, uświęcony męką Chrystusa. Grzeszna dusza poparzonego Krzyżowca szarpała się, byle tylko dalej znaleźć się od nieskalanej świętości. Nic to jednak dla niego znieść nieco więcej przykrości; skoro nie powstrzymały go diabły, potwory, morza, lądy, zamiecie oraz burze, to i przed szczątkami Krzyża nie ugnie się Rycerz w drodze na bitewne pole.

Dalej jechały poszczególne chorągwie rycerskie, ale Krzyżowiec nieskory był do obracania głowy i spoglądania ponad ramieniem za siebie. Oczodoły kierował przed siebie, z niecierpliwością wyczekując starcia. Co jakiś czas tylko wędrował spojrzeniem na plecy króla okryte purpurą monarszego płaszcza. Śmiesznie nieco i wątle prezentował się Baldwin, rozmawiając z jednym ze swych rycerzy, mężem około czterdziestoletnim, odzianym w ciemną oponcę z czerwoną tarczą herbową oraz krzyżem, znakami hrabstwa Trypolisu. Król miał bladą i delikatną twarz, białka oczu z kości, a policzki naznaczone bliznami trądu. Rycerz dojrzał również, iż oszpecony monarcha nosił miecz u prawego boku – walczyć musiał lewą dłonią. Choroba pożarła jego drugie ramię tak dalece, że prawa dłoń zupełnie mu wygniła, odsłaniając wyschnięte mięśnie oraz biel kości.

Z ukontentowaniem w martwym sercu Krzyżowiec obejmował spojrzeniem wypalone słońcem pola uprawne, niewiele różniące się kolorem od żółtawego pyłu, jaki wzbijał się spod kopyt rycerskich wierzchowców. Przy strumieniach, spływających z nieodległych gór Judei, przycupnęły ludzkie zabudowania. Młyny oraz tamy do cna wykorzystywały życiodajne wody, pozostawiając po nich jedynie błotniste strugi, niegdyś będące korytami bystro płynących rzek. Cały ten wysiłek po to, aby nieco użyźnić kościstą glebę i pozwolić wyżyć mieszkańcom palestyńskich wiosek oraz miast. Kruchy balans pomiędzy istnieniem a umieraniem był miły dla Rycerza. W palącym słońcu wszystko niszczało, dzień po dniu,

zaledwie odwlekając nieunikniony koniec. Od malutkiego gryzonia, który drzemał w szkielecie swej matki tuż przy gościńcu, po armię króla Baldwina; każda dusza trwała na progu tej ostatniej i bezpowrotnej podróży. Całkiem blisko mieszkali ludzie od bram rajów oraz piekła, z ostatnim oddechem prześlizgując się do innego świata. Dla niektórych śmierć oznaczała potworne męki, dla innych zaś wyzwolenie od bólu i łagodne światło miłosierdzia prześwitujące przez anielskie skrzydła. Tak niedaleka była wizja Sądu Ostatecznego, iż gdyby wyciągnąć rękę w bok, przy odrobinie szczęścia opuszkami palców można by dotknąć Edenu. Nigdzie zaś nie było czuć wyraźniej tej przygniatającej ostateczności jak w Ziemi Świętej. Tutaj wojna splatała się z pokojem, wiara wyrastała z wątpliwości, a śmierć prowadziła do życia.

W tym właśnie kierunku zmierzały wojska Łacinników, maszerując śladem Saracenów, mijając opuszczone karawanseraje oraz wyschnięte studnie. Nieobciążona ciężkimi taborami armia Baldwina rychło dogoniła pierwszych maruderów za ariergardą Saladyna. Martwe zwłoki, porażone zarazą lub słońcem, leżały opodal drogi, już poszarpane zębami i dziobami padlinożerców. O zmroku, gdy siły Jerozolimy zatrzymały się na noc w wyschniętym rozwidleniu rzeki, od Saracenów nie dzieliło ich więcej niż kilka mil.

Cichy nastrój panował w obozie chrześcijan. Zakazano palić wielu ognisk, aby zmylić wrogich zwiadowców, licząc na ciemności nocy. Księżyc był niemalże w nowiu, zapewniając dodatkową ochronę przed nieprzychylnym wzrokiem. Wielu ludzi pościło, żarliwymi modłami chcąc wyblagać u Boga zwycięstwo albo chociaż własne przetrwanie w nadchodzącej bitwie. Inni wstrzymywali się od jedzenia, gdyż starcie z Saracenami miało być ich ostatnim sprawdzianem przed otrzymaniem rycerskiego pasa; pokory mieli w ten sposób nabrać giermkowie, zanim zostaną pasowani. Kolejni ludzie pościli, gdyż zbyt dalece wytrawiła ich zaraza i żaden pokarm już nigdy nie przejdzie im przez usta.

Rycerz siedział na resztkach kamiennej ściany, daleko poza kręgiem namiotów oraz taborowych wozów. Niemądrze było opuszczać ludzki tłum, rzucając wyzwanie ciemnej nocy, pośród której krążyły istoty nienawidzące wszelkiego światła, nawet księżycowego. Jednak Krzyżowiec chciał przez kilka chwil pobyc sam, pooddychać chłodnym powietrzem Outremer, poczuć w nozdrzach zapach pyłu oraz nutę morskiej soli. Niewiele jednak mu przyszło z ciszy oraz spokoju, gdyż każda myśl, jaką starał się uchwycić, umykała mu coraz głębiej w ciemność. Powoli jego ciało zapadało w sen. Ospale, wciąż miał pod czaszką kilka słów tak długo, aż zatracił zupełnie ich sens i pograżył się w płytkim śnie.

Wtem jego zmysły wychwyciły z ciemnej nocy jeszcze coś: woń mchu oraz iglastych drzew, jakie z rzadka rosły w Palestynie. Sparaliżowany, nie mógł uczynić nic, jak tylko wpatrywać się w ciemność przeciętą promieniami księżyca.

W plamie srebrnego światła bezszelestnie zjawiła się zmara, wysoka niewiasta o bladej, błękitnej skórze oraz lśniących złotem źrenicach. Kroczyła powoli, zmysłowo, otulona tak ściśle blaskiem księżyca, iż zdawała się nie mieć żadnego okrycia. Długie ciemne włosy okalały trójkątną twarz, delikatny podbródek oraz przymrużone w satysfakcji oczy. Miała drobny nos, lekko zadarty, oraz pełne usta, zastygłe w chłodnym uśmiechu, który bez trudu mógłby wciągnąć każdego mężczyznę w śmiertelną pułapkę.

– Witaj, najdroższy – powiedziała mara z mocnym francuskim akcentem. Krzyżowiec napiął mięśnie, ale sparaliżowane snem ciało trwało w bezruchu. – Nie szarp się za bardzo. Możesz się jeszcze skaleczyć, a tego bym nie chciała.

W nagłym przebłysku Rycerz pojął już, że od tygodni podróżował z tym upiorem, zupełnie ignorując obecność dziwnej woni. Zwiodła go postać niewinnej myszy, którą przyjmowała mara, aby zmylić jego czujność.

– *Bel*, ukochany, spokojnie – zadrwiła zimnym głosem zmara. Podeszła już całkiem blisko, nachylając się nad Krzyżowcem i spoglądając w jego oczodoły. – Nie skrzywdzę cię zbyt. Mogę? Ależ dziękuję, kochanie. – Mara usiadła na kolanach Rycerza, obejmując go ramionami w parodii czulego

uścisku kochanki. – Przyszłam ci podziękować. Gdyby nie ty, dalej bym tkwiła w tym miasteczku, pośrodku śniegu i lodu – wyszeptła wprost do jego ucha, bawiąc się rzemieniami podtrzymującymi hełm Rycerza. – Dobrze jest spotkać drugą martwą duszę, a z tobą mi szczególnie dobrze. Przepysznie mnie karmisz, prowadząc na tak obfite łowy. Krew najgorętsza jest wtedy, kiedy burzą ją silne emocje: ból, rozkosz, miłość, a ty wiesz, gdzie ich szukać. – Zmora położyła hełm na ziemię i odgarnęła kolczy kaptur z czaszki Krzyżowca. Jej palce teraz pieszczotliwie gładziły poparzone lico. – Kiedy zniknie księżyc, nie będziemy się mogli widywać, przynajmniej przez jakiś czas – zamruczała, przykładając swój martwy policzek do zwęglonej twarzy Rycerza. – Ale mam coś dla ciebie, *bel*. Kilku mameluków musiało umrzeć z tego powodu, ale nie będziesz chyba po nich zbytnio rozpaczać, prawda?

Mara chwyciła w dłonie oblicze Krzyżowca, obróciła ku sobie i przyłgnęła do jego warg ustami. Zadrżał Rycerz. Nie z powodu trupiego pocałunku, ale kiedy poczuł, jak wypełnia go żar – płomień odebranych przez zmorę istnień. W tej pieszczocie, między jej ustami, płynęły ostatnie uderzenia cudzych serc, które teraz wypełniały obumarłe mięśnie Krzyżowca. Dreszcz przebiegł mu po całym ciele, które natychmiast ocknęło się z drzemki, nagle obdarowane nową siłą. Mógłby teraz dobyć noża i raz na zawsze uwolnić świat od obecności tego nocnego drapieżnika, ale zamiast tego przycisnął ją mocniej do siebie.

Mara powoli oderwała usta, z których skapnęła jeszcze kropla żaru, w iskry rozbijając się na kolczudze Rycerza.

– Wróć z następnym księżycem, najdroższy – powiedziała z okrutnym błyskiem w oczach. Jej głos pozostawał chłodny i nieczuły, podobnie jak uśmiech. – Idź i zabijaj, będę na to z przyjemnością patrzeć z oddali, a kiedy znów się spotkamy, nakarm mnie dobrze.

Zjawa wyzwoiliła się z uścisku, po czym nie oglądając się na Rycerza, zniknęła w mroku równie bezszelestnie i kusząco, jak się zjawiła.

Cauchemar, wspomniał Krzyżowiec miano, jakim nazywano te upiory w rodzimych stronach. Koszmar, Nocna Śmierć, Dusicielka... Żerowały na śpiących, wysysając ich krew, przygniatając kolanami piersi, spijając życie z warg albo wgryzając się w gardło. Śmieszne wydało się to Krzyżowcowi, bo w służbie dam powinien służyć rycerz, a on wreszcie znalazł niewiastę, której mógł godnie być czempionem. Była martwa, głodna krwi i dzieliła z nim drapieżne nawyki: doskonała połowica.

*

Wraz ze świtem całą armię Jerozolimy poderwały do gotowości wieści, jakie przynieśli ze sobą turkopole, wysłani jeszcze w nocy na zwiad. Saraceni maszerowali w dużym nieładzie, rozpuszczając na północ niewielkie oddziały, aby łupiły kraj. Pewni, iż król nie opuścił Aszkelonu, zaniedbali kompletnie swe bezpieczeństwo. Większość ich armii utknęła w błotnistym korycie rzeki, które utrudniało przejazd ciężkim taborom, zaledwie dwie godziny marszu od obozu Łacinników. Niewypowiedziany zapał ogarnął wszystkich, od króla po ostatniego ciurę obozowego. W szyku bitewnym stanęły wojska spod znaku krzyża, nie chcąc dawać zaskoczonemu przeciwnikowi zbyt wiele czasu na ustawienie własnych linii.

Pod ciemnym, zachmurzonym do cna niebem jechał Rycerz, zaciskając palce na drzewcach lancy. Nie mógł doczekać się starcia. Sumiennie zamierzał wywiązać się z zachcianki mary, co zresztą i jemu było więcej niż miłe. Coraz bliższa była też chwila zadośćuczynienia ślubom krzyżowym, które zobowiązywały go do walki za Jerozolimę. Jednym uderzeniem gotów był zaspokoić swój apetyt na zniszczenie oraz pragnienie oddania swego miecza w sprawiedliwej intencji. Za późno teraz już na podszepty wątpliwości, te bezgłośnie ginęły w miarowym huku maszerującego wojska.

Sercem armii, zarówno duchowym, jak i namacalnym, był relikwiarz Krzyża Świętego, wznoszący swe ramiona nad środkiem linii chrześcijan. Wciąż zakryty był całunem, lecz na czas walki zostanie

odsłonięty, aby swoją łaską wspomagać tych, którym sprzyja Bóg. Za Krzyżem postępował hufiec króla, a obok niego jechały ustawione w pancerny czworobok zastępy rycerskiej jazdy. Najbliżej monarchy znajdowała się chorągiew Ibelina, Zajordanii oraz Trypolisu. Nieco dalej powiewały proporce Galilei, na krawędziach formacji stali joannici oraz templariusze z Wielkim Mistrzem Odonem de Saint-Amand. Chociaż rycerstwa Jerozolimy nie było wiele, równy szereg pokrytych kolczą skórą pancernych wzbudzał respekt. Skryte za wielkim hełmami oczy błyskały w wizjerach, a wielokolorowe chorągiewki na grotach lanc łopotały z dumą na wietrze.

Za ciężkozbrojnymi jechali giermkowie, konni sierżanci oraz turkopole mający za zadanie osłaniać flanki rycerstwa, kiedy łamać i kruszyć będzie ono linie Saracenów. Prócz turkopoli, którzy nie zwykli walczyć w obciążeniu, druga fala konnych nie była o wiele gorzej wyposażona, w słońcu połyskując setkami toporów i włóczni. Piechotę sformowano w długą linię, głęboką na pięciu ludzi; piki oraz inne drzewca stanowiły dwa pierwsze szeregi, w pozostałych stało marnej jakości pospolite ruszenie. Strzelcy maszerowali po bokach, na ramionach dźwigając kusze oraz cisowe łuki.

Taki widok ukazał się oczom Saracenów nad łagodnym przełamaniem terenu, które spływało ku błotnistemu trzęsawisku mozaiką zdeptanych pól uprawnych. Płytką była to dolina, dnem zwykła płynęła rzeka, teraz zamieniona w lepką pułapkę dla wozów taborowych, które próbowali tędy przeprowadzić wojownicy egipskiego sułtana. Z wyschniętego grzbietu spoglądał Rycerz na tysiące ludzkich sylwetek, biegnących i trudzących się, aby wydobyć zaprzęgi z potrzasku. Cała prawie piechota Saracenów zgromadzona była na bliskim brzegu trzęsawiska, odpoczywając albo siedząc wokół ognisk. Po drugiej stronie niecierpliwiła się jazda Saladyna, oddzielona od reszty armii bagnem oraz setkami wozów taborowych, tworzących wyborną zaporę, uniemożliwiającą jej wszelki szybki manewr.

Król Baldwin wyjechał przed front armii, przez moment spoglądał ku ogromnej mocy wojsk Saracenów, po czym zwrócił się do swych chorągwi.

– Bracia, dziś ten sztandar jest wam domem – zawołał łamiącym się głosem nastolatka. Palec jego lewej dłoni wskazał na złoty krzyż Królestwa Jerozolimskiego powiewający na sztandarach nad głowami rycerstwa. – Brońcie go jak własnego domu.

Opadł całun z relikwiarza Krzyża Świętego, zalewając światłem wyschnięte pagórki, skarłałe zarośla i rozmokłą dolinę, w której tkwili Saraceni. Nie było w nim złota ni gwoździ, ani żadnej innej materialnej rzeczy. Tylko solidny blask, namacalne światło, jakie można okryć świętą tkaniną. Dwie gorejące belki jarzyły się oślepiającym blaskiem, zmuszając Krzyżowca do odwrócenia oczodołów od czystej świętości, która paliła go nieomal żywym ogniem.

Król zsunął się z siodła, podtrzymywany przez dwójkę kapłanów, do szczętu wysuszonych przez anielski blask. Baldwin na kolana upadł przed jaśniejącym Krzyżem i modlił się w ciszy przez kilka chwil, powierzając swój los w ręce Ojca. Wstał już o własnych siłach, nie pozwalając sobie pomóc także przy powrocie na koński grzbiet. Chociaż z bólu krzywił się monarcha, podciągnął się z trudem na siodło i wsunął nogi w strzemiona. Oddychał ciężko, jakby miał ducha wyzionąć, ale dopiął do schorowanej prawicy tarczę, a lewą dłonią dobył miecza, wznosząc go nad głowę. Gromki wiwat wzniosła armia na widok swego władcy pokonującego cierpienie gnijącego ciała, aby poprowadzić ich do szarży.

Jerozolima rusza stępą. Powoli, nie chcąc łamać szyku. Za nią podążają pozostałe chorągwie. Krzyżowiec spogląda na panikę przy taborach; tam Saraceni próbują ułożyć w przerażeniu swoje szyki. Dmą w rogi; wielu biegnie do wozów, skąd dopiero wyciągają pancerze i oręż. Nie zdążą. Widząc nacierające rycerstwo, niektórzy z muzułmanów już poddają bitwę i co szybciej umykają przez trzęsawisko, paraliżując kawalerię mameluków.

Rycerz mocniej zapiera się w siodle, strzemionami dotyka butów jadących obok. Linia rusza szybciej i wtedy rozlega się grzmiot setek końskich kopyt, równym tempem bijących w spaloną glebę. Chylą się lance, ze świstem łopoczą proporczyki na drzewcach; do nich teraz zbrojni równają szyk.

Coraz większe robią się postaci Saracenów. Można już dostrzec ich twarze, ogorzałe od słońca, poparzone i wytrawione zarazą nie mniej niż oblicza chrześcijan. Sypią się z nieba strzały, ale źle wypuszczone i nieliczne. Zbyt ich mało, aby obrócić zły los, bo stalowa fala jest tuż nad nimi.

Krzyżowiec w mgnieniu oka widzi, jak brodaty człowiek w ciemnej szacie, stojący w pierwszym szeregu saraceńskiej piechoty, zamyka powieki, kiedy grot lancy przebija jego gardło. Tryska krew z otwartej rany, a drzewca coraz głębiej wchodzą w ciemną tkaninę, naprężają się i pękają w setkę drzazg. Rycerz puszcza złamany oręż, w jego miejsce dobywając topora. Siwek tratuje kolejnego człowieka i miażdżącym uderzeniem kopyta ucina krzyk. Nierealna i zamazana wydaje się płaska twarz Egipcjanina, skryta za ciemnym zawojem, ale uderzenie okutego strzemienia rzuca go na plecy.

Rycerz wbija prawe kolano w bok siwka, odsuwając go od piechura z włócznią. Obok przelatuje w galopie koń bez jeźdźca i tratuje piechura, ale nie zabraknie dziś ofiar dla jego żądz. Saraceńska piechota cofa się pod uderzeniem rycerstwa, a Krzyżowiec raz jeszcze wpada w tłum i raz za razem unosi topór. Siwek kręci się w miejscu, w czerwone błoto wdeptuje obalonych na ziemię ludzi. Przy każdym uderzeniu za żelźcem siekiery ciągnie się smuga krwi, mózgu oraz kości. Lniane szaty oraz zawoje opadają w czerwone kałuże. Pierzchają na ten widok piechurzy Saladyna, gdyż setki stalowych jeźdźców wdzierają się w ich szyki, siejąc panikę oraz amok.

Dwóch rusza Saracenów ku Rycerzowi. Pierwszego z nich obala cios tarczy. Drugi, odziany w kolczugę i stożkowy hełm, zamach bierze mieczem, tnie od dołu, ucinając pysk siwka, który szybuje przez chwilę, zanim pada w błoto. Porażone zwierzę zrzuca Krzyżowca przez plecy. Rycerz upada twardo, na prawe ramię, odruchowo zasłaniając głowę tarczą. Dobia do niego Saracen, z zamachem uderzając w krzyż malowany na drewnie. Rycerz ugina się pod ciosem, ale już topór mknie, niewiele nad błotem, i odrąbuje przeciwnikowi nogę w kostce. Siłą zamachu unosi się Krzyżowiec na kolano, całkiem już uwalany czerwona mazią. Raz jeszcze dźwiga siekiere do uderzenia, na moment zastyga lśniąca żelźce ponad jego hełmem, zanim opada i wbija się w pierś ajjubidzkiego wojownika.

Ledwo staje Krzyżowiec na nogi, a dopada do niego odziany w błękit młodzik z pałą w ręku. W tarczę trafia obuch, a Rycerz odpowiada poziomym ciosem, odrywając napastnikowi zuchwę. Kolejne ciało opada na upiorny dywan błota i krwi zaścielający teraz koryto rzeki. Za plecami Rycerza słychać łoskot chrześcijańskiej piechoty, szerokim frontem nacierającej na tabory Saracenów, ale nie patrzy tam Krzyżowiec. Mamelucy prowadzą kontratak, rozpaczliwą szarżą pociągając za sobą co odważniejszych wojowników. Templariusze w nich biją, jest z nimi jazda Zajordanii oraz Ramli, ale zbyt wielu jest Saracenów dla tej garstki i pancerna gwardia Saladyna rusza na szeregi jerozolimskiej piechoty.

Ku Rycerzowi szarżuje brzydki, nieforemny stwór. Cztery ma nogi o szerokich stopach, opuchłych stawach i rozdętym grzbiecie w postaci strome go garbu. Długa krzywa szyja podtrzymuje płaski łeb. Na grzbiecie tego paskudztwa siedzi pancerny mameluk, kościanymi oczyma i wzniesionym brzeszczotem mierząc w Krzyżowca. Rycerz nie trwa biernie, nie czeka na odsiecz, bierze zamach. Toporem rzuca z bliska, wprost w głowę wielbłąda, a ten wali się na pysk, rozkładając na bok chude nogi. Zwierzęca krew miesza się z błotem. Rycerz kopnięciem wytrąca miecz z ręki mameluka i rantem tarczy miażdży mu gardło. Z charkotem dusi się wielbłądzi jeździec.

Wkoło ścierają się setki niewyraźnych postaci. Z krzykiem i hukiem trwa bitwa, ogłuszającym chórem wzbija się jej krzyk ku zachmurzonemu obliczu nieba.

Ostrze włóczni obala Krzyżowca na kolano.

Grot nie przebija kolczugi, ale już ciężkozbrojny piechur szykuje drugi cios. Ma odkrytą głowę, piękną twarz i dwa ciemne warkocze spływające na pancerne naramienniki. Rycerz chwytając drzewce włóczni, skacze na ghulama, barkiem wytrącając go z równowagi. Tamten po miecz u boku sięga, ale Krzyżowiec łapie go w pól i ciska w błoto. Ghulam oplata go nogami, wstrzymuje cios tarczy i palce wbija w oczodoły Rycerza. Ten ignoruje ból, prawą dłoń zaciskając na gardle mężczyzny. Trwają tak zwarci, ale ghulam ustępuje, odpycha Krzyżowca i łapie kilka szybkich oddechów. Rycerz upada na

plecy, ale w mgnieniu oka staje na powrót do walki. Ghulam dopiero unosi się z kolan, czerwony na twarzy od pulsującej krwi. Pozwala mu Krzyżowiec wstać, po czym uderza tarczą z lewej. Trzask łamanych kości miesza się z bezgłośnym krzykiem ghulama. Rycerz obala go z powrotem na ziemię, szerokim ciosem prawej pięści łamie nos wroga. Z impetem i całym ciężarem ciała opada kolanem na gardło przeciwnika, dusi go tak samo, jak niegdyś zamordował chłopaka na bruku Florencji.

Rycerz wstaje, ma już dobyć miecza, ale z głośnym okrzykiem biegnie na niego trójka pustynnych piechurów. Powiewają ich szaty z furkotem, jak skrzydła kolorowego ptactwa. Krzyżowiec wysuwa miecz z pochwy, zatacza jego lśniącym sztychem kilka okręgów i rusza na spotkanie wroga. Pierwsze uderzenie przyjmuje na tarczę, odrzaca na bok brodatego Saracena oraz jego obuch. Sztychem odpędza Rycerz długi nóż w ręku ciemnoskórego mężczyzny odzianego w piaskową szatę oraz jasny turban. Trzeci, z włócznią i wiklinową tarczą, widzi swoją okazję; wbija ostrze w niechronioną pancerzem wewnętrzną stronę uda.

Ból promieniuje z rany, ale to dla Rycerza przyjemność, jedna z wielu, jaką znajduje na bitewnym polu. Ciosem miecza rozcina drzewce włóczni i błyskawicznym sztychem przebija na wylot czaszkę Saracena, który go ranił. Nie czeka na cios w plecy. Wyszarpuje miecz z głowy martwego, szeroki łuk zatacza zakrwawionym ostrzem. Obraca się ku dwóm pozostałym wrogom. Nożownik w piaskowej szacie odskakuje w tył przed tym cięciem, ale już naciera ponownie, jak wąż zadając kolejne pchnięcia. Rycerz nie stara się uprzedzić jego ruchów, zamiast tego rusza wprost na niego, zupełnie ignorując krótką klingę w ciemnej dłoni. Krzyżowiec tnie z wysoka, a tamten schyla się, unikając śmierci. Natychmiast Rycerz kopie go w twarz kolanem, posyłając nożownika na plecy, w chwilę później stalowa końcówka miecza z łatwością przesywa ciemną skórę.

Klinga wypada nagle z poparzonej dłoni, kiedy w hełm uderza okuta metalem maczuga. Rycerz uderza za siebie tarczą, na oślep; zdobywa nieco dystansu, kiedy brodaty Saracen w brązowej szacie cofa się o krok. Obuch unosi się po raz wtóry. Krzyżowiec skacze naprzód, ramieniem oplata prawą rękę Saracena i wyłamuje ją z barku. Krzyczy brodaczu, ale nie słyszy tego Rycerz; chwytając mężczyznę za gardło, unosi ponad skrwawioną ziemię. Trzyma go tak przez chwilę, zanim ciśnie z mocą na kamienie, łamiąc plecy, żebra i czaszkę.

Podnosi Rycerz swój oręż z ciała ciemnoskórego nożownika, który kona. Ciosem łaski Krzyżowiec skraca jego męczarnie. Teraz dopiero ma czas, aby potoczyć wzrokiem po polu bitwy. Wokół panują chaos oraz śmierć, ale wygląda, iż to siły chrześcijan górą są w tych zmaganiach. Na ziemi, u stóp walczących, leżą setki albo tysiące martwych i umierających. Pośród nich wciąż trwa bitwa; w zapasach zwierają się ranni, nożami albo własnymi rękoma gasząc resztki życia w oczach wrogów. Niedaleko stoi linia jerozolimskiej piechoty, odpierająca atakujących Saracenów, ale Rycerz już widzi lepszą okazję do walki. Pozbawiony jeźdźca koń pałęta się niedaleko, okryty białym kropierzem w barwach templariuszy. Krzyżowiec wyszarpuje z nogi grot włóczni, po czym rusza ku rumakowi. Wierzchowiec patrzy na niego spokojnie, być może zbyt spokojnie jak na zwierzę, ale bez przeszkód wskakuje Rycerz w siodło i żwawym klusem rusza na odsiecz piechocie, od tyłu uderzając na Saracenów. Zjawia się jeszcze kilku rycerzy pod barwą Galilei, którzy dopomagają Krzyżowcowi w krwawym dziele. Miecz po rękojeść zalany jest czerwienią, spływa ona po poparzonej dłoni Rycerza i skapuje na jasny kropierz rumaka. Piechota Saracenów umyka, ale Krzyżowiec dogania jednego człowieka za drugim, tratując ich albo posyłając w błoto uderzeniami skrwawionej klingi. Kiedy jednak widzi kapitana mameluków, który dosiada wspaniałego konia i krzykiem próbuje zawrócić swych ludzi, ku niemu rusza z uniesionym mieczem.

Saracen miał na sobie złotą szatę, spod której wypływała gęsto pleciona kolczuga. Bok osłaniał czerwonym kałkanem, na głowie zaś spoczywał złożony hełm, zasłaniający całą twarz. Ciemne oczy dostrzegły Rycerza, zabłysnęły przy tym, odbijając światło promieniujące ze Świętego Krzyża.

Z trzaskiem metalu, krzesząc iskry, ścierają się obydwa konie. Cios za cios wymieniają, odjeżdżają

nieco i wracają do walki. Szabla mameluka opada na tarczę Krzyżowca, a ten odpowiada sztychem w ogniste źrenice Saracena. Uchyła się pancerny Ajjubida, kałkan nadstawiając na kolejne uderzenie. Rycerz obraca nadgarstek, brzeszczot unosi wysoko, po czym tnie z całą mocą ramienia w czerwoną powierzchnię mameluckiej tarczy. Rozszczepia się kałkan na połowy. Saracen wyrzuca szablę naprzód, błyskawicznie przed pchnięciem zasłania się tarczą Krzyżowiec. Zakrzywione ostrze przebija deski i zatrzymuje się tuż przy jego oczodołach. Rycerz bez zwłoki odrzuca na bok tarczę, wyrywa oręż z dłoni Saracena. Krzyżowiec odpowiada teraz własnym sztychem, ale mameluk kładzie się na siodle, dając rumakowi ostrogę. Wymyka się z pojedynku, ale po kilkunastu krokach pada na ziemię, przeszyty kilkoma bełtami, które ugodziły go w pierś i twarz. Wesołe krzyki dobiegają z linii piechurów, gdzie stoją kusznicy Tolosy.

Odpina Rycerz od ramienia porąbaną tarczę, spoglądając na zwycięskie siły Jerozolimy, które ścigają umykające gromady Saracenów. Chorągwie wszystkich hrabstw oraz księstw łopoczą nad krwawym trzęsawiskiem, zielone proporce Saladyna leżą zaś porąbane w błocie, nasiąkając brudną czerwienią. Nie ma dla Krzyżowca piękniejszego widoku jak ten, który ogląda teraz pod Montgisard.

Powoli jedzie Krzyżowiec po marsowym polu, ku królewskiemu sztandarowi. Oczodołami ślizga się po ciałach poległych, rozsiekanych nieraz okrutnie. Setki widzi chrześcijan, ich kolczug, ciężkich hełmów oraz herbowych barw, tysiące zaś Saracenów. Nie da się policzyć padłych zwierząt, połamanego i porzuconego oręża, zniszczonych tarcz oraz pociętych ubrań. Koń stąpa wśród kopców ludzkich ciał, spoglądających szeroko rozwartymi oczyma w niebo, z wyrzutem i pytaniem. Jęki oraz krzyki wypełniają powietrze, wołając o pomoc albo rychły zgon. Z młasnieniem opadają kopyta w błoto, zmieszane z krwią oraz wąpłami, wyrzucając na boki krople burej mazi. Wkoło dogorywa bitwa. Niewielkie grupki Saracenów jeszcze stawiają opór, ale nie było dla nich innej drogi, jak złożyć oręż lub zginąć. Większość ich kompanów poszła już w rozsypkę, licząc na chyżość własnych nóg oraz szczęście, które pomoże im uniknąć ponurego losu zabitych towarzyszy.

Ku południu galopował bogato odziany Saracen, złoto błyskało na jego hełmie, karminowy płaszcz łopotał za jego plecami. Ścigało go kilku rycerzy Jerozolimy, ale ich konie były zmęczone walką i obciążone pancernymi kropierzami. Niedaleko przemykał zbieg od Krzyżowca, popędzając wierzchowca.

– Łap go! – krzyczą nadciągający Łacinnicy. – Złap sułtana! To Saladyn!

W jednej chwili Rycerz bierze wodze w garść i wbija łydki w końskie boki. Rumak bezimiennego templariusza skacze naprzód, kładąc uszy i wyciągając daleko szyję. Przewagę ma po swojej stronie Saladyn, Krzyżowca dzieli od niego ponad dwieście kroków, ale jego postać nie maleje już na równinie. Z tyłu pozostaje odór bitewnego pola, hałas i krwawe błoto. Niknie to wszystko z każdym uderzeniem końskich kopyt.

Blisko milę galopuje Saladyn, zanim pozwala wierzchowcowi przejść do swobodnego kłusa. Decyzja to wprawno jeźdźca i Krzyżowiec czyni podobnie. Nie sztuka zajeździć konia na śmierć, nie zyskując na tym nic. Wyścig to na wytrzymałość, rozgrywający się pośród skarłałych zarośli oraz wypalonych równin Palestyny. Ścigany i ścigający mijają nieświadomych pasterzy, przyglądających się pościgowi zupełnie obojętnie. Wszak skąd mają wiedzieć, iż tego dnia rozegrała się walna bitwa, a przed oczyma mają samego władcę Ajjubidów? Siedzą na kamieniach, spoglądają na owce, w dłoniach obracają solidne kije. Powaga tego, co widzą, jest im obca.

Obydwaj jeźdźcy kłusują tak przez wiele mil, zmuszeni do milczenia, a żaden z nich nie może wołać o pomoc. Jednymi są dla siebie towarzyszami pośród tego kamienistego pustkowia. Cierpliwość tutaj jest największą cnotą, a Rycerzowi jej nie brakuje. Sił ma wiele, choćby i na własnych nogach miał ścigać Saladyna. Dopiero teraz czuje, iż bitwa nie pozostawiła żadnego śladu zmęczenia w jego ciele, tak wspaniale zregenerowanego przez zmorę. Nie umknie mu zdobycz tego wieczora, toteż nie zważa na mile, jakie pozostawia za sobą, na wioski oraz stacje Królestwa Jerozolimskiego.

Na granicy dnia i zmroku wjechali na pustynię, jednak nawet w ciemnościach na piasku wyraźny był śladu kopyt pustynnego wierzchowca sułtana. Nie tracił go Rycerz w ostatnich, krwawych promieniach słońca. Długi cień rzuca sylwetka Saladyna na wydmy, jego rumak nisko ciągnie łeb w zmęczeniu, kiedy rumak templariuszy w nienaturalnym spokoju prze naprzód, jakby martwy był na trudy pogoni. Czując szansę, Krzyżowiec popędza konia do zwawego kłusa. Po kilkuset krokach zbliża się już wyraźnie do swej ofiary. Sułtan obraca głowę i zawraca konia; wie, że nie umknie. Ze spokojem patrzy na prześladowcę, głaszcząc swego zdrożonego rumaka po łbie.

Rycerz zbliża się, wodze ściągą powoli, dłoń trzyma na mieczu, gotując się do walki. Saladyn wciąż głaszcze wyczerpane zwierzę, drżące, z pianą odpadającą płatami od pyska i jego boków. Pociągłe i poważne jest oblicze sułtana. Nos mocny, nieco zakrzywiony, otoczony siecią zmarszczek niknących w starannie utrzymanej brodzie, naznaczonej pasmami siwizny. Oczy ma jak dwa węgle, zamknięte w skorupie kości słoniowej.

– Zwyciężyłeś – powiedział po arabsku, opierając dłonie na kulbace. Jego spojrzenie na moment przesunęło się po dłoni Rycerza, złożonej na pasie, tuż obok miecza. – Nie będę walczył. Mój kraj potrzebuje króla, nie męczennika.

Krzyżowiec podjechał jeszcze kilka kroków.

Łatwo by mógł zamordować sułtana; dosyć miał sił, aby oderwać mu głowę od reszty ciała gołymi rękoma. Wielką sławę przyniosłby mu ten czyn, zarówno dobrą, jak i złą, lecz Rycerz wie, iż musi zwalczyć tę pokusę. Dobrym ten czyn wydałby się z pozoru. Poświęcenie odrobiny sumienia w zamian za kompletny tryumf Jerozolimy ponad skłóconymi państwami muzułmanów, do tej pory trzymanymi w ryzach przez Saladyna. Pozostawienie ich bez przywódcy w tych dniach dałoby wytchnienie trędowatemu królowi, już i tak schorowanemu, mimo niewielu lat na karku.

Nie jest to jednak pole bitwy, gdzie zbrojnie dochodzi się swych praw. Zwykłe to morderstwo, ohydna zbrodnia, z której Krzyżowiec chciał przecież oczyścić sumienie. Nie godzi się przelewać krwi władcy w taki sposób, zwłaszcza iż sława sułtana sięga daleko poza Kair, Aleksandrię czy Jerozolimę. Człowiek to szlachetny, znany z licznych cnót, zwany Rycerzem Egiptu. Wszak Saraceni są uważani w Okcydencie za najbitniejszy z ludów Orientu, a Frankowie wywodzą ich rodowód od walecznych Trojan. Więcej zła uczyni to zabójstwo. Krzyżowiec nie powstrzyma w ten sposób wojny, a jedynie zasieje nienawiść w sercach tych, którzy przybędą wziąć odwet za przelaną krew Saladyna. On zaś, ze swoją mądrością i prawością, gotów jest utrzymać pokój, jaki nadejdzie po wojennej zawierusze. Tutaj, poza bitewnym polem, głąd krwi jest zwiastunem tragedii. Krzyżowiec pojmuje doniosłość chwili i mądrej decyzji; wie, że lepiej wstrzymać zbrojne ramię we właściwej chwili. Dobrze tę naukę przyswoił w tygodniach podróży, toteż wskazuje dłonią ku północy. Ku Jerozolimie.

– Nie będę uciekać, masz na to moje słowo, rycerzu – rzekł Saladyn z niewymuszoną godnością. – Zanim jednak ruszymy, zaspokój, proszę, mą ciekawość. Chciałbym poznać twarz oraz imię swego zwycięzcy. Oręż składa się jedynie przed równym sobie, a ty znasz już moje imię.

Rycerz pochylił nieco głowę i zdjął z czaszki hełm, wgięty na potylicy od uderzenia obucha.

– Niemowa, wieczny pielgrzym, jak nazywają was w mych stronach. – Sułtan skinął głową i pchnął konia do powolnego stępa, wracając po własnych śladach pozostawionych na piasku. – Prowadź więc do Jerozolimy. Niebezpiecznie jest pozostawać na pustyni po zmroku, a jak sądzę, mam wiele spraw do omówienia z królem Baldwinem.

Chłód nocy jeszcze nie pojawił się ponad ciemniejącymi piaskami. Wciąż były ciepłe w dotyku, lecz niedługo potrwa ten stan. Zdradliwy to żywioł, wrzącym piecem będąc za dnia i chłodnym grobowcem w nocy. Rodził on w przerażającej ilości jadowite gady oraz pająki, których dotyk bez trudu mógł zabić człowieka. Rada Saladyna była mądra. Tylko beduini, nieodrodne dzieci bezkresnych piasków, potrafili wyżyć w tym miejscu. Reszta skazana była na katusze.

Jadą teraz w milczeniu. Sułtan, chociaż u boku ma szablę oraz zakrzywione ostrze noża, nie szuka

wyzwolenia. Widać na jego twarzy smutek oraz ciężar katastrofy, jaką była dlań przegrana bitwa oraz niewola, próżno by jednak szukać tu rozpaczki. Zmęczenie długim pościgiem oraz trudami walki sprawiało, iż jego głowa opadała nieco, spragniona snu i odpoczynku. Korona to najcięższe brzemie – bycie ojcem lub matką nie tylko dla własnej rodziny, ale i dla wszystkich poddanych.

Krzyżowiec przesunął oczodoły na granatowe niebo, ledwo kilka odcieni jaśniejsze od smolistej czerni. Sięgnął po Czaszkę Pielgrzyma, która rozpałała się jasnym blaskiem, tak jasno, jak chyba nigdy w jego dłoni. Umykały przed sztychami ostrego światła jaszczurki oraz skorpiony, zakopując się w piachu. Opoką była gorejąca kość, pozwalająca poczuć odrobinę ciepła oraz spokoju myśli. U kresu podróży był Rycerz. Niewiele już pozostało drogi do murów Jerozolimy. Wreszcie będzie mógł uczynić to, co tak długo było mu celem, a nawet więcej; być może stanie w orszaku najwspanialszego rycerstwa, jakim był zastęp Graala. Pośród żywych taka wizja niewątpliwie wywołałaby żwawe bicie serca. Cóż jednak martwy może wiedzieć o życiu, jeżeli czuje jego smak tylko wtedy, kiedy odbiera je komuś innemu?

Dwóch jeźdźców zajętych było własnymi myślami, zupełnie nie zważając na swoje osobliwe towarzystwo. Gdyby nie wypalone do cna gardło, Rycerz mógłby zapytać o radę Saladyna jak równy, bo i nie czuć było żadnego dystansu między Krzyżowcem a sułtanem Egiptu.

Gwiazdy już migotały na niebie, kiedy Rycerz dotarł na skraj pustyni, zostawiając za sobą jej sekrety. Kiedy odpokutuje grzechy, być może wtedy ruszy w serce tego rozpalonego morza, w poszukiwaniu miejsc dawno zapomnianych: miast, świątyń, nieskalanych ludzką obecnością od setek lat. Nie mniej kusiły go daleki Orient oraz mroźna północ. Z tych rozmyślań wyrwał go głos Saracena.

– Rycerzu, zbliża się oddział jazdy – powiedział Saladyn, wskazując dłonią przed siebie, skąd w istocie dochodził tętent kilkunastu wierzchowców. – Nie jestem w stanie orzec, czy to żołnierze, czy bandyci.

Krzyżowiec skinął głową i położył dłoń na mieczu. Sułtan uczynił podobnie, bo w obliczu rozbójników obydwaj staliby w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Przedziwny byłby to widok dla postronnego: martwy Łacinnik oraz Saladyn, ramię w ramię przeciwko wspólnemu wrogowi. Rycerz pomyślał, iż bieglejszy w słowach poeta niewątpliwie wydobyłby nowy sens ich milczącego braterstwa oraz jedności w walce z tymi, którzy za nic mają prawo oraz z takim trudem ustalony porządek rzeczy.

W kręgu światła pojawiła się pancerna postać mameluka na zdrożonym do granic wierzchowcu. Jeździec miał na sobie skrwawioną kolczugę, a w ręce resztki porąbanego mieczami sztandaru. Hełm na głowie był pogięty, a zasłona z pancernych kółek była wbita w twarz i zmieszana z mięsem oraz strupami. Na ten widok Rycerz dobył miecza tak szybko, iż mameluk zdołał jedynie sięgnąć do szabli. Jednak za plecami Saracena szczęknął przynajmniej tuzin ostrzy oraz cięciwy napinanych łuków.

– Pokój! – zawołał Saladyn po arabsku, wjeżdżając pomiędzy Krzyżowca i mameluka. – Opuśćcie oręż. Mustafu, widzisz przecież, iż jestem w dobrym zdrowiu w towarzystwie przyjaciela.

– To sułtan! – krzyknął mameluk nazwany Mustafą. Głos miał zduszony przez spuchnięte wargi i policzki, ale mimo to radosny na widok swego władcy. Z mroku dobiegło kilka równie szczęśliwych i równie zmęczonych okrzyków. – Allahowi niech będą dzięki za twój ratunek, panie, ale to niewierny!

– W rzeczy samej – przytaknął Saladyn. – Ale to człowiek, który mogąc mnie zgładzić, wybrał drogę rozsądku i tak samo wobec niego postąpię w tej chwili.

– Ależ...

– Żadnych sprzeciwów, Mustafu! – Sułtan machnął ręką, ucinając wszelką dyskusję, po czym zwrócił się do Krzyżowca: – Rycerzu, muszę prosić cię, abyś zwolnił mnie z danej tobie obietnicy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, bym się oddalił?

Krzyżowiec wsunął miecz do pochwy i pokręcił głową. Nierealna mogła zdawać się ta chwila, kiedy władca Egiptu, otoczony swymi żołnierzami, zwraca się z uprzejmą prośbą do samotnego

Łacinnika. Taki jednak był Saladyn, zachowaniem swym sprawiając, iż jego imię znane było nawet w odległych krainach.

– Dziękuję. – Sułtan uklonił się z wysokości siodła. – Jedź w ciemnościach i zdaj się na zmysły wierzchowca, tutaj światło tylko zwabi drapieżniki, miast dać ci ochronę. Powodzenia życzę ci w podróży, a jeżeli los okaże się łaskawy, spotkamy się jeszcze w miłszych okolicznościach. Do tego czasu żegnaj.

Saladyn obrócił konia po raz kolejny tego wieczora i zniknął z oddziałem mameluków w ciemnościach. Krzyżowiec został sam, nie czując nawet specjalnego żalu. Łatwo przyszło mu to zwycięstwo, równie szybko zostało mu odebrane. Nie zdołał nawet do końca pojąć, jak wiele mogłoby ulec zmianie, jeżeli Saladyn trafiłby do chrześcijańskiej niewoli. To jednak już przeszłość. Rycerz zgasił Czaszkę Pielgrzyma i przytroczył ją na powrót do swego pasa. Przed nim rozciąga się znajoma droga: samotna, bezświatlna.

Ponownie przyszło mu wędrować przez długie godziny nocy, mając za towarzystwo jedynie własne myśli. Koń maszerował bez wytchnienia, równo odmierzając każdy krok, co jakiś czas tylko unosząc łeb oraz uszy. W bezksiężycowej nocy Krzyżowiec był niemalże ślepy. Jasny kropierz wierzchowca z trudem odcinał się w gęstych ciemnościach, a wokół brakowało jakiegokolwiek światła. Kiedy zniknęło słońce, w tej krainie pojawiała się siła gotowa zdusić wszelki blask. Nie znosiła ona jakiegokolwiek, nawet najdrobniejszej iskierki rozświetlającej noc. Jedynie gwiazdy pozostawały poza zasięgiem jej paszczy oraz pazurów; rykiem próbowały nocne drapieżniki strącić je z firmamentu. O nogi Rycerza ocierały się ich łuskowate grzbiety, ale on wytrwale parł naprzód, popychając konia piętami. Hełm tylko nasunął tak głęboko na twarz, aby zasłonić płonące oczodoły. Inaczej to, co wędruje nocą, wydrapałoby tę drobinę światła z jego czaszki. Z cichym szmerem łap wokół Krzyżowca zebrało się stado kreatur, przyciągniętych raczej przez ciekawość niż głód. Węszyły, nachylając ciała nad głową Rycerza, czasami trącąc długimi palcami konia, który w apatii człapał przed siebie.

Przez całe mile Krzyżowiec znosił obecność bezimiennych stworów, walcząc z pokusą zatopienia w nich stalowego brzeszczota. Jakże odległa wydawała mu się teraz górską dolina, oświetlana jasnymi błyskawicami, kiedy to w przerażeniu krył się przed wzrokiem bękartów nocy; teraz jechał pośród nich. Nie był to akt wielkiej odwagi, bo i drapieżniki innej szukały ofiary, ale sama myśl o zwalczeniu swego strachu, jednego z ostatnich ludzkich odruchów Rycerza, napawała go chłodną satysfakcją.

Ciemne godziny przedświtę powitały Krzyżowca, kiedy powracał na pole bitwy pod Montgisard. Obóz wojsk Jerozolimy, teraz jasno oświetlony, stał w pewnym oddaleniu od pobojuwiska. Tutaj nie zapuszczały się już nienawidzące światła istoty, lecz słusznie było trzymać się z daleka od świeżego jeszcze cmentarzyska. Pośród nocnej ciszy wyraźnie dobiegał do Rycerza odgłos mlaskania oraz obgryzania kości. Sowita uczta została tego dnia przygotowana dla wiecznie zgłodniałych trupożerców, a one stały się w wielkiej liczbie. Krzyżowiec jechał skrajem pola bitwy, z rozpaloną Czaszką Pielgrzyma w lewej dłoni. W jej blasku dostrzegał wiecznie wychudłe postaci pełzające po skrwawionej ziemi w poszukiwaniu żeru. Kościstymi palcami wygrzebywały zmiażdżone kości i wysysały z nich szpik długimi, skostniałymi językami. W szerokie paszcze trafiały kawałki ludzkich ciał: mięso, kości oraz wnętrzności, gdzie miażdżyły je rzędy zębów, podobnych do rekinich. Puste oczodoły i wygniłe nosy kierowali trupożercy na Krzyżowca, kiedy ten przejeżdżał w pobliżu. Podłe to istoty, wiecznie głodne, słabe oraz tchórzliwe. Moc ich jednak była na krwawym pobojuwisku, a armia Jerozolimy zanadto umęczona po bitwie, toteż nie było komu odpędzić trupożerców. Tej nocy mogły próbować napełnić żołądki tylko po to, aby kolejnej nocy znów cierpieć męki Tantala. Z niesmakiem spoglądał Rycerz na te żyjące ochłapy mięsa, z sykiem umykające przed żywymi jak padlinożerne zwierzęta. Pozbawione duszy ciała odbiegały kilka kroków, kuląc się i zasłaniając ramionami głowę, po czym przysiadały w błocie, obok jakiegoś trupa, i podejmowały przerwana ucztę. Gdyby nie ich liczba, Krzyżowiec z chęcią poznałyby je żelazem.

Resztki nocy przeczekał już w obozie armii jerozolimskiej.

Wraz ze świtem trupożercy zniknęły z powierzchni, zakopując się głęboko albo umykając w pozbawione światła szczeliny. Teraz, kiedy Rycerz spoglądał na pole bitwy, nie wyglądało ono tak upiornie jak zeszłego dnia. Siedząc kilkaset kroków od poboju, można było nabrać dystansu do ostatnich wydarzeń. Zacząć oceniać je tak, jak czynią to kronikarze oraz historycy. Zamienić przelaną krew na liczby, na opowieści mające przyciągnąć nowych krzyżowców, na chwałę króla i powód do dumy dla tych, którzy mieszkali daleko stąd i potrafili jedynie dywagować nad wojną, zamiast brać w niej udział. Dla Rycerza bitwa pod Montgisard okazała się o wiele mniejsza, niż przypuszczał; w tej chwili obejmował oczodołami niewielki skrawek ziemi, na którym rozegrał się zbrojny spektakl. Całą bitwę można było toczyć z powodzeniem na hipodromie w Konstantynopolu. Dziecięcą zabawą była ta najświętsza z wojen, mimo doniosłości. Chociaż tragedią było każde stracone życie, mniej chyba padło ludzi od dni pierwszej krucjaty, przez osiemdziesiąt lat istnienia Królestwa Jerozolimskiego, niż w czasie podbojów Aleksandra Macedońskiego, zwanego Wielkim.

Jakże potworne musiał on po sobie zostawić pola trupów! Bez wątpienia tak wielkie jak Hun Attyła, o którym mówiono tylko ściszym głosem, przeklinając jego barbarzyńską naturę. Przy ich czynach bladło tak wiele dzisiejszych wydarzeń.

Z rozmyślań wyrwał Rycerza jasny dźwięk rogów, wzywający armię do wymarszu. Wydobyto z błota tabor Saracenów, a król gotów był poprowadzić swą armię do Jerozolimy, odnowić siły i ruszyć na pomoc oblężonym w Gazie templariuszom. Mocno uszczuplone były teraz szeregi jego żołnierzy, bo cała prawie kawaleria oraz lekka piechota ścigała resztki Saracenów pośród wyschniętych skał Outremer. Nieśli oni ze sobą wieści o zwycięstwie do stanic oraz zamków królestwa, wzywając panów do przybycia pod królewski sztandar.

Długa kolumna ludzi, wozów oraz zwierząt posuwała się ku skalistym wzgórzom Judei po gościńcu pamiętającym jeszcze panowanie Heroda. Pałace słońce szybko odarło tryumf ze słodyczy, pogrążając zwycięzców w pyłe, pocie oraz znoju całodziennego marszu. Dla ludzi, którzy zeszłego dnia stoczyli bitwę, nie mały był to wysiłek. Szli pochyleni, w pełnym rynsztunku, gotowi odeprzeć wszelki niespodziewany atak. Przynajmniej starali się wyglądać groźnie, bo wiktoria nie zamieniła ich przecież w zaprawionych wojowników. Przy królu pozostały trzy tuziny rycerstwa oraz osiem setek ciężkozbrojnej piechoty. Nawet niewielka kompania zdeterminowanych Saracenów mogłaby rozbić te siły i obrócić zwycięstwo w druzgocącą klęskę.

Krzyżowiec ponownie znalazł się na czele kolumny, wraz z garstką rycerzy z chorągwi Ibelina. Z ulgą podążał za relikwiarzem Krzyża Świętego pomiędzy kamienistymi wzgórzami, porośniętymi zbladłą zielenią krzewów. W dolinach, przy życiodajnych brzegach rzek, kwitły oazy czerpiące siły z wodnych żył. Oczodołów Rycerza jednak nie przykuwały kopuły kościołów oraz meczetów stojących tutaj ściana w ścianę ani miejscowi ludzie o kościanych białkach i czarnej krwi. W głąb swej czaszki spoglądał, na drogę, jaką przebył, na te wszystkie niezwykłości rajy oraz piekła, których doświadczył. Teraz jednak wrócił pomiędzy te antyczne wzgórza, pokryte kostnym pyłem, spalone bezlitosnym żarem słońca.

Za kolejnym zakrętem doliny uniósł głowę, spoglądając na białe mury Jeruzalem niczym aureola unoszące się nad żółtawymi stokami, przeciętymi gdzieś wstęgami zieleni. Wysokie wieże, dzwonnice i dachy sięgały ku niebu, wraz z nimi gładkie jak lód ściany Wieży Dawida lśniły w słońcu. Nawet z tej odległości Rycerz dostrzegał kopułę Bazyliki Grobu Pańskiego, okrywającej zarówno Golgotę, jak i wykutą w skale grootę, gdzie złożono ciało Zbawiciela. Ten widok pokrzepił zdrażonych wojowników, dał siły do szybszego, równiejszego marszu, a ich plecy wyprostowały się w siodło. Ku Bramie Dawida zmierzała armia, mijając tłumy pielgrzymów oraz mieszkańców, którzy wylegli, aby obejrzeć zwycięskie hufce króla Baldwina.

Kościelne dzwony wypełniły czyste niebo spiszowymi uderzeniami. Z murów rozległy się radosne

nuty rogów i trąb. Mnisi już ruszyli ku wozom z rannymi, otoczeni zapachem octu oraz leczniczych balsamów. Kobiety niosły mężom wodę oraz owoce, inne zaś szlochały na kolanach, dowiedziawszy się, iż zwycięstwo króla dla nich oznaczało największą tragedię. Lotne oddziały opuszczały ciemny łuk Bramy Dawida, mijając kłusem przybyłe wojska. Ruszyli ku zachodowi na polowanie. Ludzie mieszanego to pochodzenia. Wiele mieli w sobie krwi Saracenów, Greków i Palestyńczyków, nie mniej zaś cech z dalekiego Okcydentu. Odziani w pustynne szaty, brodaci, z martwymi oczyma i czerwonym krzyżem na piersiach, będą tropić rozproszone oddziały Saladyna. Bóg niech ma w opiece ich zwierzynę, ponieważ te czarnopióre anioły pozbawione są litości.

Rycerz obserwował całe to zamieszanie z dystansem. Nie przybył tutaj po sławę oraz uwielbienie, ale po krew i rozgrzeszenie. Gdyby nie bliskość Grobu Pańskiego, gdzie obmyć się można z każdego grzechu, Krzyżowiec ruszyłby wraz z kawalerzystami w pościg, szukając krwawych tropów na piasku.

Pozostawiwszy konia w królewskich stajniach, Rycerz przebił się przez zatłoczoną gardziel Bramy Dawida i stanął wreszcie w kręgu murów Świętego Miasta.

Jerozolima była gorąca i sucha.

Kamienne domy o wyślizganych ścianach dźwigały na swych grzbietach kopuły, pochylając się ponad dusznymi ulicami. Cień nie dawał tu już wytchnienia od palącego słońca. Wszystko było jednakowo pozbawione wilgoci. Miasto jawiło się niczym nagi szkielet, dobyty wprost z ogromnej skały. Swoją surowością miało przypominać o powadze tego miejsca. Łatwo było wyłowić świeżych przybyszów z tłumu mieszkańców Jerozolimy; byli czerwoni na twarzy, złani potem, otumanieni temperaturą. W ich oczach jarzyło się niedowierzanie, kiedy spoglądali na templariuszy, Ubogich Rycerzy Chrystusa, lub braci od świętego Jana, którzy z rzadka tylko pozbywali się pancernej skóry. Nie mniej bulwersowała ich obecność w mieście Saracenów, których templariusze tytułowali „braćmi mużłmanami”, pozwalając im modlić się na uświęconej ziemi. W szpitalach opiekowano się chorymi w sposób, który trącił w oczach twardogłowych przybyszów świętokradztwem. Rycerz z niesmakiem spoglądał na tych nowych krzyżowców, dla których liczyło się jedynie dopadnięcie pierwszego lepszego mużłmanina i wbicie ostrza w jego serce. Największą chyba słabością państw krzyżowych byli sami krzyżowcy, przyplływający z Okcydentu, niewiedzący, jak zachować się w tym nowym środowisku. Umykało im, iż w Świętym Mieście, gdzie dokonano się Zmartwychwstanie i zwyciężenie śmierci, największym cudem jest samo życie.

Dlatego Rycerz kroczył tymi ulicami z kwaśnym grymasem na obliczu. Pograżony w myślach, niewiele już uwagi poświęcał otaczającym go ludziom. Jego domem było pole walki, siostrą kostucha, bratem miecz, a jedyną pasją – zadawanie śmierci. Jakże mógłby czuć się dobrze w tym miejscu?

Czy i on mógł prosić o wybaczenie?

Stanął u podstawy schodów wiodących w skalę ku Bazylice Grobu Pańskiego. Wielu pątników pokonywało tę ostatnią drogę w nabożnym milczeniu, pochylonych, z rękoma złożonymi i bezgłośnym wyznaniem winy na ustach. Szli boso, niektórzy w koszulach pokutnych z ostrego włosia, inni dźwigali na barkach belki krzyża. Rycerz spojrział jeszcze na zaschniętą krew plamiącą w wielu miejscach schody Bazyliki, po czym postawił stopę na pierwszym z kamiennych stopni.

Z miejsca poczuł, jak niewidzialna siła zgina mu kark, rzuca go brutalnie na kolana, w taki sposób nakazując mu wspinać się po odpuszczenie grzechów. Próbował wstać, ale miazdzący ciężar pozwalał mu jedynie unieść kolano, aby postawić je na kolejnym stopniu. Na dźwięk chrzęstu kolczugi inni pielgrzymi ze strachem spojrzeli w jego stronę. Chociaż Rycerz miał na sobie tunikę ubrudzoną krwawym błotem Montgisard, nie to napawało pątników trwogą; szeptem zadawali sobie pytanie: jak wiele trzeba zgrzeszyć, aby nie móc wyprostowanym zbliżyć się do Bazyliki Grobu?

Zbierając siły, Rycerz pokonał jeszcze dwa stopnie, zanim musiał podeprzeć się rękoma i odpocząć. Uniesienie głowy, aby spojrzeć, ile jeszcze pozostało mu tej wspinaczki, przekraczało jego możliwości. Kolczuga wbijała się w kolana, które gdyby nie były martwe, spłynęłyby już czerwienią. Krzyżowiec

zaciśnął pięści. Ruszył ponownie ku szczytowi schodów. Trzy stopnie dalej poczuł, jak jego kości zaczynają trzeszczeć. Upadł na twarz, szczęśliwie chronioną pancernym hełmem. Bez skutku spróbował unieść się na łokciach, więc końcówkami palców wpił się w schody, pełząc po nich jak wąż. Dotarł tak do szczytu schodów, gdzie padł na nagrzane kamienie. Gdyby był żywy, z trudem łapałby oddech, serce łomotałoby w piersi, krew szumiałaby w uszach, ale on czuł tylko obezwładniającą siłę oraz rozkoszny ból miazdżonego ciała.

Miał przed sobą jeszcze plac przed Bazyliką. Zamazana mu się zdawała ta przestrzeń, jakby przesłonięta mglistym oparem. Niewyraźne sylwetki ludzi. Daleka do niej droga, a tym trudniejsza, iż w czaszce Krzyżowca odezwało się zwątpienie.

Niektóre rany są zbyt głębokie, aby zagoił je czas; zbyt przerażające są pewne czyny, aby wierzyć, iż szczerze wyznanie winy cokolwiek zmieni. Można wydobyć żelazo z belki, lecz na zawsze pozostanie w nim otwór, którego nie zasklepią upływające lata. Słabości przyda to drewnu, nie siły. Dziesiątki takich otworów pozostawił za sobą Rycerz. Pełnych krwi, gnijących ciał, potworności, winnych i niewinnych, których osobiście wtrącił w objęcia śmierci. Zjawiał się w cudzym życiu, mieczem zadając niemożliwe do zasklepienia rany.

Jakże miał czelność oczekiwać, iż pokora cokolwiek zmieni? Jakże nędzna teraz wydawała się próba nadania właściwego kierunku łakomemu płomieniowi mieszkającemu w jego piersi... Cieniutka to zasłona cnoty, którą chciał zakryć swoją szpetotę. Dobrym i prawym chciał być rycerzem, ale jak pogodzić głód krwi z zakazem odbierania życia? Czy wyrzec się tego żywota, przywdziewając habit w klasztornej celi do końca dni w nadziei, iż grube mury konwentu powstrzymają jego mordercze zapędy?

Ta myśl uderzyła go znacznie mocniej niż niedostrzegalna siła trzymająca go rozpląszczonego na kamiennych płytach. Powstał na klęczki, chociaż niemal go to wypaliło do cna. Rozedrgane słowa i wątki nagle scaliły się w jeden obraz.

Znał przecież zakończenie tej historii. Przeżył ją.

Raz przecież stanął u progu Bazyliki Grobu Pańskiego, równie grzeszny i cierpiący, trawiony tym samym bólem i wątpliwością. Już był wtedy martwy, ale jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Przybył wtedy po odpuszczenie grzechów, jakich dopuścił się w czasie długiego życia. Z krzyżowcami wówczas ruszył, aby zmasać winy w walce o wyzwolenie Jerozolimy spod fatymidzkiego jarzma. Spłonął do szczytu w ogniu wojny tamten człowiek, pozostawiając po sobie ciało, nieżywe, ale nie do końca martwe, które tak wspaniale niosło w sobie niszczycielski płomień.

Te same wątpliwości odeгнаły go wówczas spod Grobu Pańskiego. Marność wyznania winy, lęk przed osądem oraz pokutą. Uciekł wtedy w przerażeniu, gotów szukać drogi prostszej i łatwiejszej do zmasania grzechów. To właśnie dlatego znalazł się w bezimiennym klasztorze, zamknięty w zmurszałej celi w towarzystwie szkieletu brata Philiberta i nabożnych mnichów. Modlitwami chciał ukazać swoją szczerłość w oczach Ojca, zanim kostucha zapuka do jego drzwi, aby zabrać go przed oblicze Najwyższego. Jakże mógł sądzić, iż powtarzanie po tysiackroć tych samych modlitw może przynieść ukojenie? Kogo próbował przekonać tamten ohydny człowiek, po którym ostał się jedynie głos pod czaszką Krzyżowca? Śmierć jednak nie nadchodziła, okrutnie szydząc z fałszywej pokuty i pozostawiając go na pastwę upływającego czasu. Rozłożyły się więc słowa, sens oraz postanowienia pod czaszką zbrojnego pielgrzyma; wyschło z resztek świadomości jego ciało, pozostawiwszy po sobie puste truchło, zbrojne w miecz, głód krwi oraz zmierzające wytrwale do Jerozolimy.

Po raz wtóry poszedł Krzyżowiec znajomą drogą, a ta zaprowadziła go bez pomyłki do tego miejsca, gdzie raz już stanął przed laty. Jak echo powtórzył dawne grzechy. Jednak tak samo jak niknący pogłos krzyku coraz słabszy jest z kolejnym odbiciem, tak i czyny Rycerza były ledwo ułomnym naśladownictwem dawnego życia. Nie był tym samym potworem, jak w przeszłości.

Rycerz wyprostował się pod brzemieniem win. Nie wszystkie czyny odrażające i grzeszne, jakie

dźwigał, należały do niego. Kainem był przed śmiercią i kainowe zamię pozostawił po swym odejściu, ale wyzwolenie z okowów życia dało mu dosyć sił, aby próbować zmasać winy czynem, a nie dwulicową modlitwą.

Rycerz spojrział na wiekowe ściany Bazyliki Grobu Pańskiego. Na plac otaczający ciemny portal wiodący ku Golgocie i wykutej w skale jaskini, gdzie złożono ciało Chrystusa. Kiedyś stała tutaj jedynie skromna kaplica, z upływem czasu jednak nie wystarczała ona dla pielgrzymów i wzniesiono dla nich westybul, Kaplice Biczowania oraz Korony Cierniowej wraz ze wspaniałą halą, która ogromem przypominała o kruchości ludzkiego życia.

Jak dawniej Krzyżowiec spoglądał już na świat i dostrzegał, iż nie tutaj spoczywa jego odkupienie. Szukać go musi na polach bitew, w miejscach, gdzie największe zbrodnie ongiś popełnił, a droga ta rozpoczyna się wcale niedaleko od Jerozolimy. Śmiertelna to trasa, a on nie wiedział, ile pozostało mu czasu, zanim zostanie wezwany przed Wszechwidzące Oko, które przeniknie ciało, kości oraz myśli, osądzając jego czyny. Do tego jednak momentu towarzyszką będzie mu zmora, z którą dzielić będzie każdą przelaną krew, a tej nie zabraknie na jego ścieżce.

Tego był pewien, a krzepiąca to świadomość.

W tej chwili pozostawało mu jeszcze zrobić to, czego nie potrafił dokonać jako żywy. Ciężkim krokiem ruszył ku ciemnemu portalowi, od którego wionęło lodowatym chłodem, tak obcym w Jeruzalem. Z zewnątrz Bazylika nie wyróżniała się na tle innych budynków w mieście. Ściany ułożone były z żółtawych bloków kamieni, wieże oraz dachówki lśniły w zachodzącym słońcu. Kiedy Rycerz przekroczył wyslizgany próg, omiół go chłodny dreszcz, jaki odczuł już pod kopułą Mądrości Bożej w Konstantynopolu.

Bazylika Grobu Pańskiego zdawała się pozbawiona podłogi oraz ścian, gdyż miały one barwę lśniącej czerni, od której odbijały się setki krwistych ogników rozpalonych świec oraz kości. Przez to wszystkie kaplice jawiły się jako ciąg złożonych ołtarzy oraz kolumn, wykutych z jasnego kamienia, a zawieszonych w odmętach nieznanego człowiekowi przestrzeni. Półkolem otaczały one skaliste wzgórze zamknięte pod dachem Bazyliki. Oto Golgota, jej szczyt, Sklepienie Czaszki, na której wiele wieków temu ustawiono trzy krzyże, tak pamiętnie zapisane w historii świata.

Dłutem nie wykuto w jej kości schodów; wyłobiły je niezliczone stopy pielgrzymów wspinających się po ostrej skale Golgoty i znaczących jej oblicze ciemnymi smugami. Z pęknięć w kamieniu wylaniały się cierniste gałęzie, podobne do tych, które ciągnęły się pod kostnym pyłem Ziemi Świętej. Bliźniacze krzyże stały teraz na czubku Czaszki, te, na których niegdyś zawisała dwójka łotrów konających z Chrystusem. Jeden z krzyży porośnięty był trędowatymi naroślami, z których sączyła się przykra woń rozkładu. Drugi krzyż, należący do nawróconego grzesznika, szerniał jakby od ognia i poprzerał go delikatne żyłki błękitnych włókien. Pomiedzy krzyże padał snop słonecznego blasku ze świetlika w kopule, oznaczając miejsce, w którym zwykł stać relikwiarz Prawdziwego Krzyża.

Rycerz kroczył po ciemnej posadzce ostrożnie, tak jakby szedł po lodzie. Prześladowała go myśl, iż ciężar jego grzechów jest zbyt wielki i pociągnie go w ciemną topiel, w kręgi piekielne, które opisał Dante, lecz nie zjawi się Wergiliusz, by go poprowadzić. Ta wędrówka nie miałaby dla niego szczęśliwego zakończenia; tragedią by się okazała pod niestałą maską nadziei.

Rycerz wspiął się po nierównych otworach, jakie znaczyły powierzchnię Golgoty. Stojąc na szczycie, wsłuchał się w szelest szat, szept modlitewny oraz cicho intonowane psalmy. Te odgłosy czasami zagłuszał trzask batogu, dochodzący z Kaplicy Biczowania. Lecz było tutaj coś jeszcze, coś oprócz powolnego oddechu niepoznanego, jaki wypełniał wnętrze Bazyliki. Krzyżowiec pochylił się i dotknął opuszkami palców skały. Czując pod nimi drzenie, zdjął hełm, po czym przyłożył ucho do twardej skały.

Najpierw usłyszał tylko niewyraźne krzyki, lecz z każdą chwilą coraz wyraźniejsze łowił słowa oraz dźwięki. Był tam tupot setek nóg, niektóre w podkutych butach, płacz oraz lament w nieznanym

Krzyżowcowi języku; kto inny wołał po łacinie, lecz w obcym dla niego dialekcie. Okrzyki bólu mieszały się z szyderczym śmiechem, ale to wszystko nikło pod miarowym uderzeniem obucha w żelazo oraz gwoźdźcia przechodzącego przez ciało i drewno.

Wstał Rycerz, nasuwając z powrotem hełm na swoją czaszkę, po czym zstąpił z Golgoty, idąc w kierunku Grobu Pańskiego. Wiele było cudów w tym miejscu, takich jak Kamień Namaszczenia, gdzie przygotowano ciało Chrystusa do złożenia w kamiennej grocie, lecz Krzyżowiec chciał zobaczyć jedynie to miejsce, gdzie życie zwyciężyło śmierć. Dla martwego szczególnie miało to znaczenie.

Z czerni ścian spływała żółtawa skała, czyniąc cały bok Bazyliki nagim, nieobrobionym zboczem. Tak samo wyglądało to miejsce jak wieki temu, kiedy Józef z Arymatei oddał swój grobowiec, aby złożyć w nim ciało ukrzyżowanego Jezusa. Ponad jaskinią wzniesiono niegdyś kaplicę ze spiralnymi schodami wiodącymi do Grobu. Dawno przestała ona wystarczać pielgrzymom. Krzyżowiec spojrział w górę, na wysoki tambur naznaczony dziesiątkami łukowatych okien, podtrzymujący kopułę Bazyliki dziesiątki stóp nad czarną posadzką.

Stąpając po połyskliwej podłodze, podszedł do otwartego wejścia groty. Dopiero z bliska dostrzegł, iż na skale pozostawione są setki wydrapanych krzyży. Największe były wielkości kciuka, inne zmieściłyby się na ludzkim paznokciu. Jeżeli wierzyć opowieściom, kiedy w obronie Królestwa Jerozolimy umierał dzielny człowiek, na tych przedwiecznych kamieniach pojawiał się kolejny krzyż; setki naliczył ich Rycerz w ciągu krótkiej chwili, a moc ich zalegała w półmroku Bazyliki.

Wejście do Grobu było szerniałe od nieziemskiego blasku, jaki towarzyszył prawdziwemu Zmartwychwstaniu. Po obydwu stronach groty odcisnięte były sylwetki ludzkich postaci, jasnymi kształtami odcinające się od pociemniałej skały. Strzec mieli oni ciała Chrystusa przed złodziejami, lecz zmorzył ich nienaturalny sen, z którego nie wybudził ich nawet przeszywający blask. Krzyżowiec na moment jeszcze zatrzymał się przy Śpiących Strażnikach, przyglądając się ich odbiciu w skale. Teraz widział, iż nie tylko obrys ciał odcinał się na kamieniu, ale jasność przeszła ich pancerze oraz kości, pozostawiając po sobie szkieletowe wizerunki rzymskich żołnierzy, po wsze czasy na straży Grobu.

Rycerz pochylił głowę i wkroczył w ciemność jaskini, gdzie niegdyś złożono szczątki ukrzyżowanego Jezusa. Chłód tego miejsca był równie przenikliwy co mróz Serbii, lecz sięgał znacznie głębiej, oplatał życiodajny płomień skryty pod pancerzem. Nic nie przypomina o śmiertelności człowieka tak mocno jak stanie na granicy życia. W ciemnościach Grobu Pańskiego Krzyżowiec zdawał się unosić w wodzie, z daleka od brzegu, blisko miejsca, gdzie porwą go nieubłagane prądy i porzucą w bezmiarze martwego oceanu. Każda chwila spędzona była tutaj w poczuciu nagłego odejścia; kiedy ciało ogarnia niewytlumaczalny mróz, a zmęczone mięśnie domagają się odpoczynku. Położyć się, przymknąć powieki i zasnąć.

Rycerz klęknął, opierając hełm o wnękę, gdzie spoczywał niegdyś Chrystus.

Przywołał z pamięci obraz patrycjusza z odległej Wenecji, który chciał, aby wspomnieć go w modlitwie u Grobu Pańskiego; tego samego, który zlecił mu mord za pieniądze. Jego imienia nie poleci Bogu Krzyżowiec. Wielu poznał ludzi w czasie swej pielgrzymki, którzy zasługiwali na wstawiennictwo Ojca. Żywi, umarli, skazani na piekielne katusze, a mimo to niezapomniane były spędzone z nimi chwile. Oni zasługują na lepszy los i za nich się modli Krzyżowiec, samego siebie jednak pomija w suplice.

Znał winy, które ciążyły na jego sumieniu, te, jakich dopuścił się zarówno za życia, jak i po śmierci. Nie prosił o ich wybaczenie; zresztą rogata natura jego charakteru nie zezwoliłaby mu na takie błaganie. Do niego należał trud obmycia sumienia z grzechu. Nie pozwoliłby, aby ktokolwiek uczynił to za niego. Gdyby nawet zdarzył się cud i cały ten ciężar został zdjęty z jego barków, oznaczałoby to śmierć dla Krzyżowca. Wszakże jaki miałby dalej cel w martwej egzystencji? Gdzie dalej mógłby udać się rycerz bez skazy, oczyszczony z wszelkich przewin i odstępstw, aby nie utracić tego wzniosłego, chwalebego stanu? Jego droga do odkupienia była długa oraz ciernista. Nikt nie mógł dojść na jej kraniec w zastępstwie Krzyżowca, a on nie miał zamiaru prosić Boga o zabranie Damoklesowego miecza znad

głowy.

Ludzka to rzecz trudzić się, nie boska.

*

Rycerz wyruszył z Jerozolimy, opuszczając Święte Miasto Złotą Bramą prowadzącą wprost w objęcia wschodzącego słońca. Wiele imion miała ta furta: Piękna, Brama Miłosierdzia, Skruchy albo Wiecznego Życia. Nie przypadkiem Krzyżowiec tędy wyruszał na wyprawę, pod wielkimi auspicjami ruszając do miejsca, gdzie przestało bić jego serce.

Pomimo wczesnej pory upał był już trudny do zniesienia. Nawet wietrzna natura Jerozolimy nie przynosiła ulgi; powietrze pozostawało gęste i palące. Rycerzowi jednak nie przeszkadzała ta aura. Wreszcie był w swoim żywiole, z niecierpliwością zaciskał poparzone dłonie na skórzanych wodzach. Długie drzewce kruczego dziobu mile ciążyło mu za plecami, podobnie jak zwisająca u siodła tarcza. Pomimo temperatury, która innych skutecznie trzymała w chłodnych wnętrzach domów, Krzyżowiec nie mógł życzyć sobie pomyślniejszego rozpoczęcia dnia; być może ostatniego, jaki przyjdzie mu oglądać w tym życiu. Był uzbrojony, siedział w siodle i zmierzał ku kolejnemu starciu.

Król Baldwin hojnie nagrodził żołnierzy nie tylko pieniędzmi i ziemskimi nadaniami; każdemu pozwolił wybrać jedną rzecz ze zdobycznego taboru Saladyna. Tym, którzy szarżowali jako pierwsi na linii Saracenów, przypadł podobny zaszczyt, lecz szczęśliwcy mogli wybrać sobie nagrodę z królewskiego skarbcza. Rycerz jednak nie chciał złota, kosztowności, tytułu czy własnego skrawka ziemi; wybrał kruczy dziób osadzony na solidnym dębowym drzewcu. Oręż wysokości rosłego mężczyzny, zakończony grotem włóczni oraz umieszczonym stopę niżej stalowym obuchem. To skromne życzenie wprawiło monarchę w konsternację, a nie chciał być okrzyknięty skąpcem, pozwolił więc Rycerzowi wybrać jeszcze jeden podarunek. Krzyżowiec wskazał wtedy palcem na mocną tarczę, z herbem królestwa wymalowanym na jasnym polu. Myląc mordercze zapędy Krzyżowca ze skromnością, król Baldwin podarował mu jeszcze rączego wierzchowca i obiecał, że jeśli kiedykolwiek Rycerz zechce wstąpić na stałą służbę Jerozolimy, będzie więcej niż mile widziany.

W ten sposób Rycerz zostawił jasne mury Świętego Miasta, jadąc na wschód, pod słońce spoglądając na ciemne wody Morza Soli, w którym żyły jedynie nieliczne stworzenia. Zgubne było morze dla tych, którzy nie znali jego właściwości i zbyt wiele napili się tej ciemnej wody. Pozostawali oni na brzegach, przerośnięci kryształami soli, nieruchomiejąc na słońcu jako pozbawione życiowych płynów posągi; czasami można było dostrzec, jak powoli ruszają kończynami, mozolnie pełzną ku wzgórzom Jerozolimy. Pomocy szukają, lecz daremne to staranie.

Nad solnymi brzegami Krzyżowiec skręcił na północ, kierując się ku odległemu Jezioru Tyberiadzkiemu, Morzu Galilei. Szybko i bez zmęczenia niósł go czarny rumak ofiarowany przez trędowatego króla. Dobry był to wybór, bo ten wierzchowiec był równie martwy jak jego nowy właściciel. Futro miał wiecznie zmierzwiłone, oczodoły puste, nozdrza nieruchome, a chód twardy. Nie było to wymarzone zwierzę do długich podróży, gdyż przyuczono je do zgoła jednego zadania: szarży na wrogie szeregi. Żywego kilka godzin w tym siodle przyprawiłoby o palący ból pleców oraz kręgosłupa, ale Krzyżowcowi to wcale nie przeszkadzało. Jechał szybko, bez postojów, nie musząc kłopotać się takimi trywialnymi potrzebami jak woda oraz pasza. Raz już się przywiązał do żywego stworzenia i wciąż jeszcze nie przeboleał straty kasztanka, toteż nieżywy koń był odpowiednim darem.

Pogoda dopisywała, chociaż żar przybrał jeszcze na sile, co wydawało się wręcz niemożliwością. Chmury trzymały się daleko od płonącej tarczy słońca, skrywając się za horyzontem. Mimo tego niebo zdawało się przydymione, jakby obleczone delikatnym woalem jakiegoś oparu. Może to zapłonął eter wypełniający kosmos? Jakakolwiek była przyczyna tego zjawiska, Rycerz nie zatrzymywał się, aby je podziwiać czy szukać wiedzy o jego źródle. Łukiem ominął Jerycho, będące jedną z niewielu oaz zieleni

przed ponurymi i wyschniętymi wzgórzami Judei. Starożytne miasto znane było z upraw cukrowej trzciny, która porastała gęstym kobiercem brzegi rzeki kończącej bieg w wodach Morza Soli. Liczne stały tutaj młyny, których zadaniem było wyciskanie kamiennymi żarnami kropel słodyczy i wytwarzanie brązowych grudek, osiągających w Okcydencie zawrotne sumy. Smakosze gotowi byli zapłacić niemałą fortunę za kryształki tej miodonośnej rośliny. Dla Krzyżowca niewiele to znaczyło, bo i wszelkie smaki bezpowrotnie utracił. Bogactwo Jerycha nie było dla niego wiele warte w tej chwili, ale kiedy zawita tutaj wojna, a ziemia pokryje się popiołem, wtedy słodkim będzie Rycerzowi ten widok.

Nie minęło wiele czasu, a już wkroczył pomiędzy jałowe grzbiety przecinające Judeę. Wyschnięte kopuły szczytów wznosiły się tutaj niczym usypiska dawno zapomnianych kurhanów, okrytych pyłem dawnych kości. Martwe od gorąca było powietrze, drgające ponad kamieniami; martwa była cała ta okolica, której ciszy nie ważyły się złamać nawet dzikie zwierzęta. Rycerz spojrział ponad ramieniem, dostrzegając w oddali sylwetkę jeźdźca, który zdawał się podążać jego śladem. Być może to sama kostucha cichym ścigała go lotem, gotowa wreszcie zawlec do grobu swego wiernego posłańca. Krzyżowiec prychnął namiastką śmiechu i ruszył dalej, wjeżdżając głębiej w zgorzałe doliny.

Chociaż słońce przesunęło się ponad zachodni horyzont, nie przyniosło to ulgi umęczonemu Outremer. W czerwonym świetle rosły cienie, wyciągając się na wschód i wypełzając spod każdego kamienia i załamania terenu. Rycerz na krótką chwilę zatrzymał się przy różanym krzewie, który wzrastał bujnie na jałowym zboczu. Wkoło nie było żadnych oznak życia, tym bardziej więc obca wydawała się ta zastygła w bezruchu kaskada zieleni. Róża oplatała łodygami wbity w ziemię miecz, za ciernistą zasłoną skrywając jedyny owoc. Marny to plon, lecz zrodzenie czegoś więcej niż tego drobnego serca było cudem samym w sobie. Biło ono słabo, okryte pomarszczoną skórką, lecz uparcie trzymało się bladego widma życia. Któż mógł wiedzieć, co wyrosnie ze stalowego brzeszczotu oplecionego zielenią oraz cierniami? Czas mógł odpowiedzieć na to pytanie, lecz jego łaska oraz nastrój były równie zmienne jak morze, toteż Krzyżowiec ruszył w dalszą podróż.

Miłą dalej przekroczył skalną bramę w bezimiennej dolinie. Dwa wysokie głazy, okryte zwierztałymi do cna napisami, stały niczym baszty i strzegły tego odludnego miejsca. Trzęsawisko otulone murem skał oraz stromych urwisk pochłoneło dolinę, zamieniając ją w cuchnące bagno. Nie rosło tutaj nic, gdyż zatrute wody spływały z nienazwanych źródeł skażonych wyziewami podziemia. Wiele lat temu zmasakrowany został tutaj zastęp krzyżowców, których ciała wciąż spoczywały w mokradłach, nadając im barwę rozkładających się zwłok. Ich groby znaczyły blade, niebieskawe ogniki, co kilka chwil pojawiające się w półmroku. Miejsce to nie mogło znieść obecności żadnego bijącego serca. Krzyżowiec spojrział na zachodzące słońce, lecz nie miał zamiaru teraz zawracać ani czekać do świtu. Zeskoczył na kamienie, tarczę zarzucił na plecy i z kruczym dziobem w dłoni ruszył ku ciemniejszemu bagnisku.

Nie było suchej drogi przez to miejsce. Po kostki w szlamie kroczył Rycerz, stawiając stopy na niezliczonych kościach swych dawnych towarzyszy. Od kiedy trujące wody mieszały się z krwią oraz ciałem, bezduszne życie pojawiło się w tym miejscu. Z poszatkowanych ciał wyrastały pnie odpychających stworzeń, hybryd, czegoś między roślinami a padlinożernym robactwem. Duszne i gorące powietrze nasycone było okrutnym smrodem ropy i zgnilizny. Prócz rozkładu wyczuwało się tutaj złośliwość oraz nienawiść do wszystkich dzieci słońca i księżyca.

Krzyżowiec zaciskał palce na dębowych drzewcach, gotowy w każdej chwili zdzielić uderzeniem obucha to, co mogło wyłonić się spod nieruchomego zwierciadła wody. Lecz on był martwy tak samo jak to ohydne bagno, więc nie zwracał na siebie uwagi tego, co pełzało w szlamie. Leżące opodal ciało rycerza okrytego resztkami kolczugi oraz opończy nagle zadrgało, wijąc się i skręcając jak wąż. Twarz zabitego wojownika, z rozwartymi ustami i oczami, nadal wykrzywiał grymas agonii. Z trzaskiem pękła jego czaszka, z której wyłonił się czarny, cienki, bardzo długi i wijący się robal. Zniknął w błocie, pozostawiając po sobie skręcone i okaleczone szczątki, które zadrżały jeszcze kilka razy.

Inne ciała porośnięte były białą pajęczyną, którą wypływały obłe stworzenia, przypominające zwoje jelit. Nienaturalnej długości były te stwory, a ich lepka sieć powoli rozkładała kości. Szlamem pożywiały się wielonożne kreatury mieszkające w pancerzu ludzkich ciał. Ich pyski były nieforemne i zaognione dziesiątkami ran. Nie było tutaj boskich stworzeń, jedynie to, co wzrosło z nienawiści, bólu oraz jadu, wegetując na resztkach żyjącego świata.

Koniec doliny był bardziej suchy, wyniesiony ponad błotniste jeziora. Tutaj ze skał wypływał największy spośród trujących strumieni zasilających umarłą dolinę. U jego kamienistego brzegu spoczywał ogromny jaszczur, podobny do egipskich gadów. Ponad dwadzieścia stóp liczył od pierwszej do ostatniej łuski. Miał długi pysk, czworo oczu błyskających żółcią oraz ogon zakończony rzędem pancernych grzebieni. Nagie żebra z trudem obejmowały rozdęty brzuch, w którym smok dźwigał swoje ofiary, przez dziesiątki lat trawione w jego sokach. Ciemna łuska okrywała mu grzbiet, tworząc poszarpany kropierz opadający na wiszące luźno wnętrzności. Na widok przybysza jaszczur dźwignął się na łapach, wbijając pazury w ziemię i żłobiąc w niej szerokie bruzdy. Rozwarł paszczę, z której pociekł jad, pieniącymi się kroplami wpadając do strumienia.

– Za kogo się uważasz, człowieku, przybywając tutaj? Głupia dziecino z krzyżykiem na tarczy – wysoki głos, jak żelazo twarde i przywołujący choroby, wydobył się z jego paszczy. – Odstąp albo poznasz cierpienie, jakiego nie znają nawet w kręgach piekieł.

Krzyżowiec jednak nie zamierza odpowiadać, nawet gdyby mógł. Jego to wina, iż ten koszmarny gad tak wzrósł, żywiąc się ludzkimi ciałami tych, których on, Rycerz, niegdyś wydał na zatracenie. Teraz dopiero, po śmierci, przybył, aby wyzwolić ich z tego miejsca.

Rusza biegiem, unosząc lśniący obuch nad głowę, i uderza w pysk smoka z całą mocą. Jaszczur opada na przednie łapy, połamane zęby wypadają z paszczy, lecz natychmiast uderzenie łapy zmusza Krzyżowca do uskoczenia w bok. Z gniewu i bólu ogon maskary bije w ziemię, rozbijając w pył kości, a pazury tną powietrze. Ogłuszający ryk zwiastuje szarżę, przed którą Rycerz odsuwa się na bok i celnym pchnięciem wylupuje jedno ze ślepi potwora. Ze świstem dosięga go uderzenie kolczastego ogona. Ustępuje kolczuga, pękają kości, kiedy pokryte jadem płyty wbijają się w prawy bok Krzyżowca. Upada Rycerz, wypuszczając z rąk drzewce kruczego dziobu, lecz płonie w nim siła dziesiątków ludzi, jaką obdarowała go zmora. Zrywa się na równe nogi, ignorując ból uchyła się przed szponami jaszczura i dobywa miecza.

Póki trucizna nie zgasi w nim ognia, będzie walczyć.

Gad skacze naprzód, chcąc schwycić go w długą paszczę, ale Rycerz zstępuje z linii ataku; tnie mieczem w lewą łapę potwora. Ostrze głęboko wgryza się pod łuski. Zanim bestia rzuca się w gniewie, by przygnieść człowieka, Krzyżowiec sztychem gasi kolejne oko. Częściowo oślepią maskara wpada w szal. Unosi przednie łapy, kopie i tłucze pazurami w furii. Rycerz odsuwa się ostrożnie, tarczą odbijając skalne odłamki, jakie tryskają spod uderzeń gada. Z paszczy smoka tryska cuchnąca ciecz – jad, żółdkowe soki oraz niestrawione resztki kości i pancerzy. Krzyżowiec biegiem rusza do ataku, tym razem nie dając się dosięgnąć kolczastej buławie ogona. Doskakuje do monstrualnego boku i wbija miecz głęboko, aż po jelec, w szczelinę między łuskami. Porażony ciosem smok uskakuje z taką chyżością, iż wyrывa oręż z dłoni Rycerza. Obraca łeb i chwytą Krzyżowca w imadło szczęk, chcąc na pół przegryźć napastnika. Chociaż przeszywają go kły, Rycerz wpycha zbrojne w tarczę ramię między jadowite zęby, tak głęboko jak tylko jest w stanie. Na ułamek chwili blokuje mordercze szczęki, dobywa noża i wraża go w oczodół smoka. Smok pazurami chce wydobyć ze swego ciała kolejny stalowy cierń, lecz bez skutku, ale wypływa przy tym przeciwnika.

Krzyżowiec rzuca się po leżący na kościanym pyle kruczy dziób, zaciskając obydwie dłonie na twardym drewnie. Przez moment pojawia się pod czaszką myśl, iż śmiertelne rany odniósł w tej walce i niedługo nadejdzie chwila Sądu, ale cóż to dla niego znaczy? Teraz nie istniała przyszłość. Uskrzydłony walką, raz jeszcze skacze naprzód, gotowy zadać bestii tyle ran, aby pociągnąć ją ze sobą w piekielne

odmęty.

Z lewej nadciąga uderzenie kolczastego ogona, ale Rycerz opada na kolano, nadstawiając grot włóczni na atak. Ryk bólu towarzyszy uderzeniu, a smok podkula pod siebie przebity ogon. Próbuje jeszcze zadać cios łapą, ale Krzyżowiec dobry użytek robi z obucha, zamaszystym ciosem łamiąc pazury i kości lewej kończyny jaszczura. Bestia ryczy, przeklinając Rycerza w antycznym języku, po czym szarżuje wprost na niego, niepomna morderczej siły, jaka tkwi w martwym ciele Krzyżowca. Samym ciężarem chce zmiażdżyć go na miazgę, którą później nieśpiesznie zliże ze skał. Zgruchotana łapa nie pozwala na skok, toteż gad unosi łeb oraz ciało do ostatniego uderzenia.

Krzyżowiec nie próbuje się uchylić. Wbiega pod cuchnące trzewia smoka i ustawia kruczy dziób pionowo, mierząc w miękkie podgardle potwora. Jaszczur opada z rykiem tryumfu, a krwawiące oczy nie pozwalają mu dostrzec hartowanego grotu, który lśni tuż pod nim. Mściwy grom jego zawołania przemienia się w krzyk bólu, pełen klątw oraz złorzeczeń. Coraz głębiej zanurzają się drzewca w płataninie wnętrzości, tryskających teraz posoką. Zawisa na moment smok, upalowany własną furją, po czym opada z hukiem na bok.

Zlany krwią i jadem Krzyżowiec prostuje się. Podchodzi ostrożnie do boku obalonej bestii i chwytając za rękojeść miecza, wciąż tkwiącego między żebrami jaszczura.

– Litości – rzezi potwór, mrużąc w agonii ostatnie z czworga oczu. – Zwrócę ci twój język i... proszę cię, błagam pokornie. Znajdź miłosierdzie w zwycięstwie.

Rycerz wyrывa skrwawiony brzeszczot z wzdętego brzucha. Przygląda się przez moment krwi, która spływa po ostrzu. Płonące oczodoły kieruje na bezsilną paszczę smoka, z której wycieka ciemna struga. Krzyżowiec raz jeszcze wbija miecz w cielsko potwora, wywołując szereg dzikich spazmów, które wstrząsają jaszczurem. Nie ma w martwym sercu miejsca na zmiłowanie dla tej kreatury. Hojny to dar oszczędzić czyjeś życie i pozwolić obejrzeć kolejny świt, ale na taką szczodrość nie zdobywa się teraz Rycerz. To monstrum nie może złapać choćby jednego jeszcze oddechu, aby kłamstwem i obietnicą odroczyć swój koniec. Krzyżowiec zadaje kolejne ciosy tak długo, aż zyskuje pewność, iż ostatnie z pożartych przez smoka serc zamarło na zawsze.

Opada z Krzyżowca uniesienie wywołane walką, a wraz z nim upływa resztką życia. Głęboko wbiły się kolce oraz kły smoka, pozostawiły nie tylko rany, ale i śmiertelną truciznę, która teraz pali mięśnie. Upada na kolana Rycerz i próbuje zebrać swój rynsztunek. Wzrok go zawodzi, ale determinacja nie pozwala mu jeszcze spocząć. Nie chce, aby jego szczątki stały się pożywką dla tego, co tapla się w cuchnącym szlamie przeklętej doliny. Idzie więc. Powoli, ledwo unosząc stopy ponad powierzchnię błota. Umęczonymi oczodołami spogląda na niebo, gdzie unosi się młody księżyc, wskazując mu bezpieczną drogę pośród trzęsawisk. Kuszą go błękitne języki ognia do spoczynku; groby przecież znaczyły tych, których niegdyś nazywał braćmi, a których zdradził i pozostawił na żer w tym miejscu.

Po raz drugi uginają się pod Rycerzem kolana, ale wspiera się na kruczym dziobie, odrzucając wieczny spoczynek u boku tych ludzi. Nie on to uczynił. Innym jest już człowiekiem. Ta myśl pozwala mu iść dalej. Odpycha od siebie martwe dłonie oplatające mu kostki. Pod butami pękają stare czaszki, a okute drzewca druzgocą nadgarstki dawnych krzyżowców. Bez duszne to ciała, jadovitą zemstą utrzymywane w iluzji życia. Nie ma w nich krztyny tego, czym były dawniej. Bez wyrzutów sumienia Rycerz rozdaje kolejne ciosy czołgającym się w błocie, czując pod hełmem lodowate igiełki. Czy był to jedynie chłód nadchodzącej nocy, czy też kres jego wędrówki? Krzyżowiec nie martwi się wcale. Takie myśli są już poza jego zasięgiem.

Lewa. Prawa.

Opiera się o drzewce.

Opuszczają go zmysły. Wydaje mu się, iż ktoś podtrzymuje go ramieniem, ale gasnące oczodoły widzą tylko granatowe niebo oraz ciemniejszy zarys kamiennej bramy. Pomiedzy zwietrzalymi ostańcami Rycerz dostrzega jadącą ku niemu sylwetkę konnej postaci o lśniących oczach. Uczynił, co mógł,

naprawiając stare winy, ale jego czas dobiegł końca. Pod podeszwami Krzyżowca rozlega się chrzęst kamieni oraz startych w pył kości, zwiastując kres jego podróży.

Samotnie nie pójdzie już dalej. W plamie księżycowego blasku upada po raz trzeci; zdziera z głowy hełm, który toczy się ze szczękiem po żwirze.

W uszach szemrzą mu srebrne dzwoneczki.

Rycerz w spokoju oczekuje upiornego pocałunku na wargach.

Krzyżowiec

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-445-3

© Grzegorz Wielgus i Wydawnictwo Novae Res 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Barbara Kaszubowska

KOREKTA: Katarzyna Czapiewska

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

